

*Aslam Nadeem*

*Mapy dla zagubionych  
kochanków*

W pewnym angielskim miasteczku znikają Jungu i jego kochanka Chanda. W hermetycznej enklawie pakistańskich imigrantów, potępiających ich związek, aż huczy od plotek.

Ostatecznie policja aresztuje braci Chandy pod zarzutem morderstwa. Podwójne zabójstwo wywiera destrukcyjny wpływ na całą rodzinę. Przez następne dwanaście miesięcy wszystko, co dla niej święte, staje się własnością publiczną. Szwagierka Jugunu, Kaukaz, próbuje zapobiec rozpadowi rodziny, a przy tym pozostać wierna naukom islamu.

**Istota ludzka nie jest nigdy tym, kim jest,  
Lecz tym, czego szuka.**

**Octavio Paz**

**ZIMA**

## *Noc pawic*

Shamas stoi w otwartych drzwiach i patrzy na świat, na ten magnes przyciągający ku sobie płatki śniegu z nieba. Opadają niespiesznie, można by rzec ospale, niczym tonące w wodzie piórka. Zamieć oczyściła powietrze z zapachu napływającego od jeziora z ksylofonowym nabrzeżem, ale on daje o sobie znać, nawet gdy go nie ma, zwraca uwagę swoim zniknięciem.

To pierwszy śnieg tej zimy i dzieci z okolicy cały dzień spędzą na górkach, nacierając świeczkami płozy sanek, żeby lepiej się ślizgały, podjudzając się nawzajem do polizania zmrożonych szpiców prętów żelaznych ogrodzeń, którymi otoczone są kościół i meczet, wykradając z kuchni tarki do sera, by poprawić kształty bałwanów, które ulepiły, niepomne chłodu, bo w tym wieku wszystko jest jedną wspaniałą przygodą.

Sopel odrywa się od rynny, spada niczym świetlisty sztylet i roztrzaskuje na kawałki o kamienny schodek, na którym stoi Shamas. Shamas zmiata stopą zmatowiałe okruchy w śnieg pokrywający ogródek przed domem, gdzie w maju i czerwcu na rosnącym w rogu krzaku róży dojrzewać będą pączki wielkości i zwartości truskawek. Przed laty jedno z jego dzieci pogrzebało pod owym krzakiem martwe pisklę zięby i nie pozwalało nikomu postawić w tym miejscu nogi, bo przecież delikatne kosteczki ptaszka, maleńka czaszka, krucha jak skorupka jajka, w którym ukształtowała się wiosną, mogłyby się skruszyć pod ciężarem człowieka.

Dom stoi przy ulicy biegnącej podnóżem wzgórza. Ulicę tę odchodząca od niej boczna uliczka łączy z równoległą drogą, która wcina się w stok w połowie jego wysokości i przypomina półkę; późnym latem trotuary są tam upstrzone czerwonymi i granatowymi plamami po rozdeptanych owocach opadających ze zdziczałych drzew wiśni.

Rankami podrostki tu z dołu, jeśli rodzice i pogoda na to pozwalają, jedzą śniadanie na schodkach przed domami, wypatrując na tej drodze półce autobusu, który zawozi ich do szkoły, i potem pędzą pod górkę boczną uliczką, kiedy ich oczom ukaże się waniliowo-zielony pojazd nadjeżdżający drogą między dwoma rzędami drzew wiśni — dokładnie tam, gdzie teraz widać małą figurkę brnącą przez śnieg od pnia do pnia. Wybrawszy się pewnej nocy na karpie, młodszy syn Shamasa nawrzucał do jeziora masę kwiatów z tych drzew w nadziei, że okażą się alternatywą dla drogich hiacyntów, które w jednej chwili przywabiają ryby ku powierzchni; ale kwiaty wiśni się nie sprawdziły, tak samo mleczce, które rozświeślały następnej nocy ciemną wodę setkami jaskrawych słońc; kluczem był zapach i pożądany efekt dawały tylko pęki lilii, ale sezon na nie już minął.

Dzieci wierzą, że jezioro — lśniące jak lustro i mające kształt litery X — powstało w początkach istnienia Ziemi w wyniku upadku z nieba olbrzyma nad olbrzymy; i że ten olbrzym wciąż tam leży, wciąż żyje, że regularne przyływy i odpływy to powolny rytm bicia jego serca, a wzburzone październikowe fale to skutek jego rozpaczliwych prób wydostania się na wolność. Kamienie przy brzegu są pokryte kępkami wilgotnego mchu przywodzącego na myśl zmiażdżony miąższ wyciśniętej cytryny, a gdy człowiek wchodzi latem po pas w spokojną wodę, staje się dwugłowy, jak te walety i damy z kart do gry. W zimowe miesiące wiatr hula nad brzegiem, owijając się wokół ciała niczym sari. I Shamas przypomina sobie, jak pewnego razu jedno z dzieci opowiadało, że nauczyciel biologii, ilekroć potrzebna mu żaba do sekcji, wysyła nad jezioro dwóch chłopców z celofanową torebką. Ostatnio bardzo rzadko się to zdarza, ale bywa, że jezioro zamarza i wtedy dzieci chodzą po nim „udając, że są Jezusem”.

Chociaż do brzasku jeszcze daleko, to w jasności bijącej od śniegu wyraźnie widać osobę na drodze tam w górze i Shamas dochodzi do wniosku, że to pewnie ktoś zmierzający do meczetu na pierwsze poranne modły.

Niewykluczone też, że to sama królowa Elżbieta II. Swego czasu pewien gość z Pakistanu, oczarowany zamożnością Anglii, zauważył, że jest tu prawie tak, jakby królowa noc w noc wędrowała w przebraniu po ulicach swego kraju, by się osobiście przekonać, czego najbardziej potrzebują i pragną jej poddani, i nazajutrz urzeczywistniała te marzenia. Jeśli wierzyć *Baśniom z tysiąca i jednej nocy*, tak właśnie czynił kalif Harun ar-Raszid; w rezultacie jego wypieszczony Bagdad stał się najbardziej spokojnym i dostatnim miejscem na ziemi, jakie można sobie wyobrazić.

Dla oka oszukanego perspektywą płatki śniegu w oddali zdają się opadać wolniej od tych bliższych; Shamas stoi z wyciągniętą ręką w otwartych drzwiach i łowi na dłoń małe, białe puszki. Wita tak pierwszy śnieg co roku, od kiedy przybył do tego kraju, weszło mu to w zwyczaj. Płatki zatracają na jego dłoni swoją biel, stają się przezroczystymi tafelkami lodu i topnieją szybko — kryształki śniegu przeistaczające się w kroplę monsunowego deszczu. Pośród innych nieprzeliczonych strat, jakie wiążą się z przybyciem do Anglii, odczuwa stratę jednej pory roku, bo w tej części Pakistanu, z której pochodzi, tych pór jest w roku pięć, nie cztery. Uczniowie uczą się w szkole ich nazw i kolejności występowania, powtarzając za nauczycielem: *mausam-e sarma, bahar, mausum-e garma. barsat, chizan*. Zima, wiosna, lato, monsun, jesień.

Śnieg pada i — tak — dłoń nadstawiona pod sypiące się z nieba płatki prosi jakby o zwrot tej straconej pory roku.

Osoba na stoku wzgórza to zdecydowanie kobieta. Kimkolwiek jest, skręciła z drogi półki i schodzi boczną uliczką ku niemu. W jednej ręce trzyma parasolkę, drugą przytrzymuje się dla równowagi pni klonów, które rosną w równych odstępach wzdłuż stromej uliczki. Z tą parasolką przywodzi na myśl ucieleśnienie zagadki: rozwiązaniem jest „płód połączony pępownią z łożyskiem”. Kobieta zaraz tu będzie i bez wątpienia uzna go za pomyłonego: stary, blisko sześćdziesięciopięcioletni

mężczyzna stojący w progu z ręką nadstawioną pod sypiący śnieg. Shamas wycofuje się do domu.

Drzwiami frontowymi wchodzi się prosto do kuchni. Niebieski, truskawkoworóżowy i żółty, jak w pewnych leningradzkich wnętrzach: na takie kolory pomalowane były trzy izby w oliw-kowoztelonym domu w Sohni Dharti — małej miejscowości w Pakistanie, gdzie się urodził i mieszkał do dwudziestego któregoś roku życia — i kilka lat temu zmieszał utartą kredę i klej ze skóry królika ze stosownymi barwnikami i pomalował pokoje w swoim domu na te same trzy kolory. Zdziwił sam siebie wiernością, z jaką udało mu się odtworzyć odcienie. Zupełnie jakby w dzieciństwie podczas zabawy w chowanego stał w kącie twarzą do ściany tylko po to, by wryć sobie te kolory w pamięć i po latach odtworzyć je bezbłędnie na obczyźnie.

Podczas letnich wakacji wchodził do różowego pokoju i zatrzymywał się przed półką z książkami. Jego dłoń zbliżała się z niezdecydowaniem ćmy do któregoś z tomów, wysuwała go do połowy, ale zaraz wsuwała z powrotem, by przenieść się na inny. Przypominało to eksperymentowanie z klawiszami fortepianu. Każda z otwieranych na krótko książek starała się przyciągnąć jego oko, każdy przebiegany wzrokiem akapit wabił swoimi sekretami. Dokonawszy wreszcie wyboru, szuka! sobie w domu najchłodniejszego miejsca, by czytać tam przez całe długie, mające w sobie coś z wieczności, letnie popołudnia, zmieniając co jakiś czas pozycję nie tylko dla ulżenia drętwiejącym kończynom, lecz również z obawy, że pozostający w bezruchu cień odcisnie się plamą na ścianie.

Ktoś jest za drzwiami. Puka trzy razy w szybkę, zamiast nacisnąć guzik dzwonka, podświetlony bursztynowym światłem, przed którym w letnie noce tańczą ćmy. Shamas odnosi takie wrażenie, jakby zbyt łapczywie zassał powietrze przez papierową słomkę i ta się zasklepiła; chce odetchnąć, ale nie może, klatka piersiowa twardnieje mu z przerażenia w ciężki głaz. Kto to może być? Chociaż świt tuż-tuż, na składanie wizyt pora jest mimo wszystko za wczesna. Ale Shamas wie, że zareagowałby podobnie, nawet gdyby to był środek dnia. Trwa zawieszony między jawą a snem od blisko pięciu miesięcy —

od kiedy z sąsiedniego domu zniknęli w niewyjaśnionych okolicznościach jego młodszy brat Jugnu ze swoją przyjaciółką Chandą.

Pięć miesięcy wyczekiwania, kiedy czas znowu ruszy z miejsca, i niepewności, w którym kierunku podąży — porwie go w ciemność czy poniesie ku światłu.

Nie wie, jak zareagować na to pukanie.

A ono rozlega się znowu. Stukanie zgiętym palcem w szybkę, tym razem głośniejsze. Stoi jak zahipnotyzowany, w głowie rój trzepoczących ciem. Ogrodowy tygrys. Cynober. Młody cień. Ślad gwoździa. Bardzo mu się podobają te nazwy nocnych motyli, których nauczył go Jugnu. Zjawia.

Dźwięk dzwonka poraża go niczym prąd elektryczny, wyrывa z odrętwienia.

— Przepraszam, że cię niepokoję o tak wczesnej porze, Shamasie... Dzień dobry. Ale mój ojciec przeleżał całą noc na podłodze, bo nie miałam siły dźwignąć go z powrotem na łóżko. — To Kiran — promyk światła. — Byłbyś tak dobry i zaszedł do mnie na minutkę. — Kiran wskazuje ruchem głowy w kierunku swojego domu; trzeba do niego iść pod górę stromą boczną uliczką z jej dwudziestoma klonami, potem biegnącą w poprzek stoku drogą półką z drzewami wiśni, gdzie dopiero co widział Kiran, tylko nie poznał.

Otwiera drzwi szerzej, żeby wpuścić Kiran do środka. Tumany śniegu niesione porywem wiatru omijają z obu stron najpierw ją, potem jego i wdzierają się nieproszone do domu, osiadając miękko na linoleum w żółto-zielone różyczki, na którym trudno znaleźć obrany migdał, kiedy ten wymknie się z palców, a przy zamiataniu podłogi pod koniec dnia okazuje się często, że pewnie od lunchu, bo pomarszczony już na krawędziach, przeleżał na tym linoleum wtopiony we wzór, udając płatek opadły z którejś z zielonych róż, liść mięty albo kolendry.

— Trzeba było zatelefonować, Kiran.

Kiran nie wchodzi — zapewne nie chce się spotkać z Kaukab, żoną Shamasa. Kiran jest sikhijką i przed trzydziestoma laty chciała wyjść za brata Kaukab, muzułmanina. Kochali się. On pracował w Anglii jako gastarbeiter, pojechał odwiedzić krewnych w Pakistanie, i ci, kiedy im powiedział, że zamierza się



ożenić z Kiran, tak się przerazili, że nie pozwolili mu wrócić do Anglii. Kiran wsiadła w Londynie do samolotu i poleciała do Karaczi, żeby być ze swoim ukochanym, ale od jego starszego brata, który przechwycił jej telegram i czekał na nią na lotnisku, usłyszała, że ma wracać najbliższym samolotem do Anglii, że spotkanie czy jakikolwiek kontakt z jego bratem może sobie wybić z głowy. W ciągu kilku dni znaleziono mu nową narzeczoną i w pośpiechu go ożeniono. Shamas zaprasza ją teraz do środka:

— Wejdz, nie będziesz przecież czekała na tym deszczu... chciałem powiedzieć, śniegu, aż ja wzuję kalosze. Kaukab jeszcze w łóżku. — Dom jest wąski i wszystkie wewnętrzne drzwi są rozsuwane. Wyjątek stanowią te od frontu i od tyłu, prowadzące na świat zewnętrzny. Shamas odsuwa drzwiczki schowka pod schodami i szuka kaloszy, które gdzieś tu są, odpoczywają w tej rupieciarni od końca zeszłej zimy. W kącie, niczym patyczaki, prężą się wędki. Widzi sandały córki stojące jeden przed drugim, jakby zaskoczył je w trakcie robienia kroku; zwijające się spiralnie rzemyki przypominają obierki z jabłka.

— Jeszcze raz przepraszam, że niepokoję cię o tak wczesnej porze. Myślałam, że któryś z twoich synów bawi u ciebie z wizytą i jego poproszę o pomoc.

— Cała moja trójka - i synowie, i córka — są daleko — odpowiada Shamas, nie przerywając poszukiwań. Natrafił właśnie na wiecierz do łowienia homarów z Maine w Stanach Zjednoczonych, wykorzystywany do podpierania tylnych drzwi, żeby się nie zatrzaśkiwały i w gorące poranki wpuszczały do środka słońce oraz szemranie strumyka, który płynie skrajem wąskiej ścieżki za domem. Pod koniec wiosny więcej w tym strumyku kamieni niż wody, ale mimo to wspaniale wyłapuje pyłki kwiatów. Kamienie wystające ponad powierzchnię wybieliło słońce, pod wodą zaś są czarne. Jesienią strumień płynie tak wartko, że aż strach do niego wejść, bo ma się wrażenie, że woda obciąłaby natychmiast stopy w kostce.

Wychodzą. Wiatr przybrał trochę na sile i drepcąc w ten mroźny monsun za Kiran, Shamas obserwuje łagodne przepychanki między opadającymi z nieba płatkami śniegu.

Kroczy za Kiran do jej domu po śladach, które zostawiła,

idąc do niego, i które zostawia teraz. Dno każdego idealnego odcisku buta w głębokim śniegu powleka cieniutka warstewka ubitego lodu, przez którą przezierają jak spod szklą zeschłe liście klonów. Są misterne jak biżuteria z subkontynentu — skarby zakopane pod śniegiem aż do odwilży.

Na stoku między dwoma klonami stoi słup telefoniczny. Kilka drutów, którym służy za podpórę, urwało się w nocy i ich obrośnięte szadzią końce leżą teraz w śniegu. Mroźne powietrze kłuje twarz tysiącami igiełek, stromizna zmusza go do oddychania trzysta razy na minutę jak koliber. Zmarznięta, przysypana śniegiem kępa trawy zarywa się pod jego ciężarem z takim samym głośnym trzaskiem, jaki wydają laseczki cynamonu, kiedy Kaukab łamie je w kuchni na dwoje i na czworo.

— Leżałam obok niego na podłodze przez całą noc i zajmowałam rozmową — odzywa się przez ramię Kiran. — Ale kiedy zaczął popadać w depresję, postanowiłam pójść po ciebie. „Chcę odejść z tego życia — powiedział. — Torby mam spakowane, ale świat nie chce mnie puścić: boi się raportu, jaki złożę, stając przed Jego obliczem”.

Shamas chce coś powiedzieć i omal nie dławi się płatkami śniegu, który wpada mu do ust.

Kiran wyprzedza go teraz o dobre kilka jardów. Usiłuje dotrzymać jej kroku, ale niesporo mu to idzie, bo ruchy ma niezborne.

Kiran nigdy więcej nie zobaczyła swojego ukochanego — no, chyba że w zeszłym roku, kiedy ten, już jako wdowiec, przyjechał do Anglii; Kaukab bardzo się bała, że dawni narzeczeni znowu się spotkają i, o ile wiadomo Shamśfeowi, udało jej się do tego spotkania nie dopuścić, ale jest niemal pewny, że Kiran musiała go widzieć parę razy z daleka.

Uliczka pnie się pod górę. Po jednej stronie, w załomie stoku, usadowił się stuletni parafialny kościół Świętego Eustachego otoczony lipami i cisami. Brakujący, od kiedy Shamas pamięta, ogon kogucika na wieży znalazł się przed dwoma miesiącami, kiedy w poszukiwaniu ciała Jugnu i Chandy bez powodzenia bagrowano dno jeziora. Po drugiej stronie uliczki wznosi się meczet. Półksiężyc i krzyż naprzeciwko siebie, po dwóch stronach wąskiej bocznej uliczki.

Pakistan to biedne państwo, surowy i katastrofalnie niesprawiedliwy kraj. Jego historia obfituje w smutne epizody, a życie jest ciężką próbą, jeśli nie gehenną dla większości urodzonych tam ludzi: milionom jego synów i cór, którzy rozproszyli się po świecie w poszukiwaniu środków do życia i namiastki godności, udało się znaleźć miejsca dla siebie. Przemierzając planetę, osiedlali się w małych miasteczkach, w których czują się jeszcze mniejsi, i w wielkich miastach, gdzie przytłacza ich jeszcze większa samotność. I tak do imama z tego meczetu może zadzwonić, dajmy na to z Norwegii, osoba pochodząca z tej samej co on wioski w Pakistanie i zapytać, czy wolno jej wypić od czasu do czasu małą szklaneczkę whisky lub wódki na rozgrzewkę, bo Norwegia to bardzo zimny kraj; w odpowiedzi imam każe mu stronić od tej grzesznej praktyki, będzie grzmiał przez telefon, że Allah, zakazując ludziom spożywania alkoholu, doskonale wiedział, jaki klimat panuje w Norwegii; czy nie lepiej, spyta imam, nosić po prostu pod wierzchnim okryciem koszyk z płonącymi liśćmi klonu, jak to czynią, żeby nie marznąć, dobrzy muzułmanie z mroźnego Kaszmiru?

Można też sobie wyobrazić telefon w środku nocy od przybitego ojca, który błaga imama o natychmiastowy przylot do Australii — on oczywiście pokrywa wszelkie koszty — w celu odprawienia egzorcyzmów nad jego nastoletnią córką opętaną przez dzinny po tym, jak położono kres jej miłości do białego kolegi ze szkoły i wydano za kuzyna ściągniętego w pośpiechu z Pakistanu.

Kiran dotarła już do szczytu uliczki i czeka tam na niego. Shamas dogania ją i przez krótką chwilę stoją nieruchomo ramię w ramię, spoglądając z góry na jego dom.

Miasteczko leży w dolinie i przypomina garść cukru rozsypanego po dnie misy. Górują nad nim ruiny fortu Iron Age, do którego dla uczczenia złotego jubileuszu królowej Wiktorii dobudowano wieżę.

— Przez całą noc próbowałam wtaszczyć go z powrotem na łóżko — odzywa się Kiran — ale nie dałam rady. — Czas posrebrzył jej włosy, ale cerę ma nadal koloru brązowiejącej połówki jabłka. Z płatków jej uszu zwisają malutkie, prze-

zrocyste paciorki przywodzące na myśl pęcherzyki powietrza. — Całą noc próbowałam.

— Trzeba było od razu po mnie przyjść. — Inkrustowane śniegiem krzaki głogu za jego domem wyglądają tego ranka jak obsypane kwiatami.

— Twój starszy chłopiec jest już żonaty? Z tą białą dziewczyną, która ma zielonego volkswagena garbusa?

— Nazywali go „Zuczek”. Byli małżeństwem, teraz są już po rozwodzie. — Ruszają znowu drogą wysadzaną drzewami wiśni w kierunku domu Kiran. - Nie pamiętam już, kiedy ostatni raz widziałem wnuka.

Chłopiec ma siedem lat i jest „na pół Pakistańczykiem i na pół... eee... człowiekiem” — tak podobno określiło go z rozbijającym nietaktem jakieś dziecko prowadzone za rękę przez matkę Angielkę.

Pod stopą Shamasa załamuje się cienka tafla lodu na zamarznętej kałuży (nie jest ani dzieckiem, ani Jezusem); głośny chrzęst, i uwięziona pod spodem woda wypływa z szafirowym chlupotem, by podmyć śnieg.

Kiran zajmuje połówkę pudełkowatego domu z kamienia, stojącego przy drodze, w przerwie między rzędem drzew wiśni. Jej sąsiadka jest podobno prostytutką. Kiedy Shamas przyjechał tu w latach pięćdziesiątych z Pakistanu, Kiran miała trzynaście lat. Jej ojciec stracił całą rodzinę podczas masakr, które towarzyszyły podziałowi Indii w roku 1947, i emigrując z Indii do Anglii, musiał zabrać ją ze sobą. Była tajemniczą, zamkniętą w sobie dziewczynką; kiedy spojrzano się jej w oczy, na kilka uderzeń serca krew krzepła człowiekowi w żyłach i zaczynał zachodzić w głowę, w jakimż to micie występuje istota o tego rodzaju hipnotycznych zdolnościach.

Jako jedyne dziecko w domu pełnym samotnych imigrantów była dla wszystkich oczkiem w głowie. Był to w Anglii okres, kiedy nastawienie białych tubylców do ciemnoskórych przybyszów zaczynało się właśnie zmieniać z „Nic chcę ich widzieć ani z nimi pracować” w „Jak już się inaczej nie da, to mogę z nimi pracować, bylebym nie musiał się do nich odzywać”. To nastawienie miało się za kilka lat zmienić w „Jak już się inaczej nie da, to w pracy mogę z nimi rozmawiać, bylebym nie musiał

się do nich odzywać po godzinach pracy", a po kolejnych dziesięciu latach w „Mogą bywać w tych samych miejscach publicznych co ja, jeśli muszą, bylebym nie miał ich za sąsiadów". Były to już lata siedemdziesiąte, a ponieważ rodziny imigrantów, które musiały przecież gdzieś mieszkać, wprowadzały się do dzielnic i domów białych, odzywały się głosy żądające położenia tamy dalszej imigracji i deportowania imigrantów, którzy już tu przebywali.

Dochodziło do brutalnych napaści. Wonne geranium przestawiano na noc na środek pokoi na parterze w nadziei, że prąd powietrza przesyconego ich zapachem dotrze do śpiących na górze przed ewentualnymi włamywaczami, którzy go wywołają, ocierając się w ciemnościach o liście. W tamtym okresie w dzieciach coś umarło — i nagle, pewnego wieczoru, zjawił się Jugnu z paszportem grubym od polnych kwiatów z Nowej Anglii, których narwał tuż przed wejściem na pokład samolotu, paszportem ze stronicami wilgotnymi od soku i rosy — i nieoczekiwanie to on rozjaśnił wkrótce dni i wieczory swojej bratanicy i dwóm bratankom.

Dotarli do domu Kiran i Shamas wchodzi za nią do środka.

Stojące w wazonie róże zrzuciły kilka karmazynowych nut na klawisze pianina.

Ciepło panujące w pokoju atakuje wrażliwe części twarzy Shamasa: czoło, oczy, kości policzkowe — strefy, z drugiej strony których wyświetlane są sny podczas snu. Ojciec Kiran, leżący na podłodze tam, gdzie spadł z łóżka, wita ich ledwie zauważalnym ruchem ciała, na który pozwala mu elastyczność skóry; na więcej go nie stać, bo jest przykuty do podłogi swoim wielkim ciężarem i ciężarem choroby, który jest jeszcze większy. Będąc sikhem, nie obcina nigdy włosów i ich pasma ma zebrane na czubku głowy w kok.

— Shamas? Przepraszam, że sprawiam ci zawód, ale wciąż żyję. Wiem, że nie możesz się doczekać, kiedy umrę i położysz wreszcie łapę na moich płytach z jazzem. — W drewno, którym wyłożone są ściany, wsiąkło więcej muzyki niż ptasiego śpiewu, kiedy rosło jeszcze pod postacią drzewa w lesie.

Shamas podchodzi i klęka przy starym.

— Modlę się o to co dnia, ale tyś się zawziął. — Naczynka



To ta dwójka — ojciec z córką — w tym domu, który zamieszkują od lat, odkryła przed Shamasem i innymi imigrantami jazz. Kiran, słysząc puls dźwięku dochodzący ze sklepu muzycznego Woods, potrafiła stanąć jak wryta. „To Ben Webster, jeśli mnie słuch nie myli”.

W domu wyjmowała z koperty nową płytę, oglądała z uwagą obnażony, żałośnie bezbronny krążek, zdmuchiwała pojedyncze pyłki, po czym układała na talerzu troskliwie jak matka niemowlę w kołysce. Goście obsiadali półkolem gramofon — otwarta księga twarzy — i zamieniali się w słuch: Louis Armstrong „zwołujący trąbką swoje dzieci” czy może geniusz Counta Basiego tak niepowtarzalny, jakby igła zbierała dźwięk wprost ze spiralnego rowka jego linii papilarnych?

Płyta zaczynała się i wkrótce słuchaczy porywali muzycy zdający się wiedzieć, jak w skondensowanej formie wyrazić wszystko, co składa się na życie, całą o nim prawdę, niekwestionowane ostatnie słowo, sam rdzeń tego, co przepelnia serce nieznośnym bólem, i wszystko to co radosne, wszystko, co kochane i wszystko co warte kochania, lecz pozostaje niekochane, okłamywane i zakłamywane; te niewyobrażalne głębie duszy, które tylko nieliczni mają odwagę sondować; smutki i bezdyskusyjną wściekłość — pod koniec utworu słuchacze byli już tak oczarowani, że kurczyła się odległość między nimi, głowy ciążyły ku sobie i stykały się, jakby przeglądając w tym samym lustrze. Wszyscy wielcy artyści wiedzą, że częścią ich zadania jest zasypanie przepaści dzielącej dwie ludzkie istoty.

— Dziękuję ci — mówi Kiran, stając w progu. — Zanim zeszałam do ciebie, skręciłam do meczetu; wiedziałam, że ktoś tam już będzie, miałam nadzieję, że znajdę chętnego do pomocy, ale oni mieli własne zmartwienie.

— Jakie zmartwienie?

— Ktoś podrzuci! w nocy... — Kiran waha się — ...łeb świni pod drzwi. Zrobił się wielki harmider, kiedy ludzie to odkryli.

Z ust Shamasa wydobywa się obłoczek pary. Wyszedł właśnie z meczetu, gdzie zajrzał, żeby ocenić sytuację. Kiedyś był to zwykły dom. Kupiono go przed dziesięcioma laty i zaadapt-

towano na meczet. Wdowa, która dawniej w nim mieszkała, po śmierci męża stopniowo traciła zmysły. Była samotna; w latach sześćdziesiątych mąż sprowadził do Anglii dwóch siostrzeńców, oświadczając władzom imigracyjnym, że to jego rodzeni synowie, i w latach siedemdziesiątych, kiedy kobieta po raz piąty z komplikacjami poroniła, lekarze nie widzieli powodu, dla którego nie mieliby zaproponować zabiegu histerektomii — małżeństwo miało już przecież dwoje dzieci. Mąż się zgodził i nakłonił do wyrażenia zgody żonę: angielski znał słabo, prawa obowiązującego w tym kraju wcale, obawiał się więc, że odmowa poddania się operacji spowoduje, że lekarze doniosą na nich władzom imigracyjnym i całą czwórką trafią do więzienia.

Siostrzeńcy, kiedy dorośli, i tak tam trafili. Na pogrzeb wuja przywieziono ich w kajdankach; jeden odsiadywał wyrok za włamanie, drugi za posiadanie narkotyków z zamiarem sprzedaży. Wdowa rzuciła się na nich z pazurami, a potem dostała konwulsji i kobiety musiały podważać jej łyżeczką zaciśnięte zęby, żeby uwolnić język.

Przez następne miesiące gwałtownie traciła na wadze — powiadano, że na pokrętlach jej kuchenki pająki porozpinały pajęczyny — chodziła w łańchmanach, twarz zasłaniała wyświechtaną szmatą, bo wszystkie ubrania i kosztowności zamknęła w skrzyni, a klucz wrzuciła do jeziora. Po roku doszła do przekonania, że ktoś manipuluje słońcem: „Nie mogę go nigdzie znaleźć, a jak już znajdę, to nie tam, gdzie powinno być”. Wtedy przyjechali jej bracia i zabrali ją z powrotem do Pakistanu, a dom wystawili na sprzedaż.

Shamas zatrzymuje się przed meczetem. Wszedł tam, żeby zaofiarować swoją pomoc, porozmawiać z imamem — chociaż początkowo nie miał takiego zamiaru. Kiedy w zeszłym roku zmarł poprzedni imam, prowadzenia meczetu podjął się ojciec Chandy, przyjaciółki Jugnu. Rodzina potępiała Chandę za to, że „żyje w grzechu” z Jugnu, i Shamas wolał nie spotykać się oko w oko z ojcem zaginionej dziewczyny.

Ale potem przypomniał sobie, jak w zeszłym tygodniu Kau-kab mówiła mu, że ojciec Chandy nie jest już głową meczetu: zrezygnował niedawno, bo był bezradny wobec krążących



wśród wiernych plotek o swojej „zepsutej”, „zdeprawowanej” i „rozwiązłej” córce, która żyjąc z mężczyzną bez ślubu, w oczach większości ludzi — tudzież Allaha — jest ostatnią dziwką.

Tak więc Shamas wszedł jednak do meczetu i zastał tam szlochających wiernych. Płakali, bo oto okazywało się, że Allah nie uznaje ich za dostatecznie godnych, by dać im szansę niedopuszczenia do profanacji Jego domu.

Shamas, jako dyrektor Rady Stosunków Społecznych, jest osobą, do której zwracają się sąsiedzi, kiedy nie potrafią negocjować na własną rękę ze światem białych; przychodzą do jego biura w centrum miasteczka albo pukają ze swoim problemem do drzwi jego domu, przez które wchodzi się prosto do kuchni z pomalowanymi na niebiesko ścianami i żółtymi krzesłami.

Gdyby RSS istniała w tamtych czasach, zostałyby rozwiane obawy, które skłoniły kobietę do wyrażenia zgody na histerektomię.

Wydechając obłoczki pary, Shamas stoi przed budynkiem i patrzy na przyprószony nasiąkniętymi krwią kryształkami śniegu plastikowy worek ze zwierzęcym łbem, oparty o pieńek pojabłoni ściętej swego czasu, bo według imama była siedliskiem trzystu sześćdziesięciu dzinnów, pod których złym wpływem samotnej wdowie pomieszało się w głowic.

Musi się jeszcze przejść do świątyni hinduistycznej i sprawdzić, czy i tam się coś podobnego nie wydarzyło — nakazuje mu to obowiązek wobec własnego osiedla.

Biały puch skrzypi mu pod stopami, kiedy rusza z powrotem w kierunku domu Kiran. Nowe płatki syjącego wciąż śniegu zdążyły już częściowo wypełnić ślady, które zostawił wcześniej. W Anglii jest teraz styczeń, w Pakistanie również. Niektórym imigrantom po przyjeździe do Anglii pojęcie stref czasowych tak mąciło w głowach, że zastanawiali się, czy aby *na* pewno miesiące na różnych kontynentach w danym czasie są te same. Tak, w Pakistanie też jest teraz styczeń — January, miesiąc Janusa, bożka o dwóch głowach, z których jedna patrzy w przyszłość, a druga ogląda się za siebie.

Ojciec Shamasa pracował w Lahaurze i przyjeżdżał do domu, do Sohni Dharti nad rzeką Cenab — pakistańską rzeką księży-

cową — dopiero w sobotę wieczorem. W poniedziałek rano odprowadzał swoich synów do szkoły, a sam wsiadał w pociąg do Lahaurze, gdzie był zastępcą redaktora „Pierwszych dzieci na księżycu”, miesięcznika dla dzieci w urdu, który wychodził też w języku bengalskim w Kalkucie oraz w hindi w Delhi. Shamas miał dwóch braci — jednego starszego i jednego młodszego, Jugnu — ale Jugnu był piętnaście lat młodszy od Shamasa, tak więc gdy Shamas chodził do szkoły, miał tylko jednego brata. „Zadam wam zagadkę — powiedział ojciec do chłopców, kiedy szli kiedyś razem: «Dwanaście albo coś koło tego księżniczek zbitych w gromadkę w swoim pałacu i pochłoniętych rozmową». Co to jest? Shamas do dzisiaj pamięta, jak lubił tego rodzaju zagadki. Oko, które u dorosłego widzi wszędzie wokół surowiec na metafory i skojarzenia, porównuje jedną rzecz z inną, to oko było u dziecka już na wpeł otwarte. „Pomarańcza!”.

Shamas chce jak najszybciej dotrzeć do świątyni hinduistycznej, ale śnieg spowalnia marsz, samo powietrze jest przeszkodą, którą trzeba pokonać, a tu chyba kluje się przeziębienie. Kaszlał w nocy. Wielki płat śniegu ześlizguje się ze spadzistego dachu kościoła Świętego Eustachego i spada z głuchym łomotem na ule, które stoją w pewnym oddaleniu od reszty pasieki i chyba czekają na naprawę. W czerwcu i lipcu pszczoły odwiedzają tonące kwiatów lip, którymi obsadzony jest kościelny dziedziniec i pod których spękaną korą śpią może teraz zimowym snem ubarwione niczym kolibry émy jastrzębie — imigrantki z południowej Europy przylatujące tu każdego lata rozwibrowanymi rojami na gody; powiadają, że ich poruszające się szybko skrzydełka wytwarzają ostry dźwięk słyszalny tylko dla dzieci, których uszy potrafią jeszcze rejestrować wyższe tony.

Shamas mija dom Kiran oraz dom kobiety, która podobno jest prostytutką, i idzie dalej drogą wzdłuż rzędu dzikich drzew wiśni w stronę rzeki, nad którą stoi świątynia hinduistyczna. Ktoś pytał go kiedyś, czy ta prostytutka jest Hinduską, czy Pakistanką. Jest biała: gdyby była Hinduską lub Pakistanką, długo by tu nie pomieszkała. Przepędzono by ją po paru dniach z osiedla za przynoszenie sąsiadom wstydu. Chanda, żyjąc bez

ślubu z Jugnu, też przynosiła wstyd swojej rodzinie: Chanda i Jugnu — dwoje zaginionych, których ciał nie znaleziono, bagrując dno jeziora, jeziora z ksylofonowym nabrzeżem przystani wspartym na słupach, na których wyrżnięto tyle serc z inicjałami w językach urdu, hindi i bengalskim, jak również angielskim, jeziora, którego wody mają ten sam szczególnie niebiesko-szaro-zielony odcień co krawędź tafli szkła, ów jasny pasek koloru zawarty między górną i dolną stroną.

Za parę godzin powierzchnia śniegu stwardnieje w kruchą warstewkę lodu ustępującą pod stopami z chrzęstem gryzionego tostu, ale na razie śnieg jest iszczę puszysty.

Kończą się dzikie wiśnie porastające pobocze, dalej droga jest szersza, skrytą teraz pod śniegiem nawierzchnię ma połatana jak dżinsy nastolatka jaśniejszymi i ciemniejszymi trójkątami i prostokątami asfaltu, i biegnie szpalerem potężnych kasztanowców w kierunku centrum miasteczka, przeskakując po drodze przez rzekę. Świątynia, poświęcona Ramie i Sicie, wznosi się na brzegu rzeki, gdzie na początku lata trzciny i kosańce sterczą z wody tak zwartymi pękami, jakby ktoś pod powierzchnią ścisnął dłoń ich łodygi.

Dokładnie w miejscu, gdzie droga przechodzi na krótko w most, przylega do niej podwójna spirala metalowych schodków prowadzących na znajdujący się trzydzieści stóp niżej brzeg. Jugnu, lepidopterolog z zawodu, zaopatrzony w butelkę doprawionej skórką pomarańczy i dwoma kardamonami kawy na odegnanie senności, spędził tutaj niejedną noc. Stał z uniesioną ręką na brzegu, po pas w żółtych stokrotkach, i przywabiał z ciemności ćmy, które nie mogąc się oprzeć sile przyciągania jego dłoni, nadlatywały z nocnych mroków, by krążyć wokół niej niczym schwyte w pułapkę grawitacji planety wokół słońca, a wtedy palce Jugnu zamykały się to na tym, to na innym stworzonku jak płatki kwiatu. Czasami w tych nocnych wyprawach łowieckich towarzyszyła Jugnu trójka dzieci; za dnia zaś dzieci często same wyruszały w teren z zadaniem zbierania okazów w miasteczku i okolicach według starannie wyrysowanych mapek, a precyzyjne słowne pouczenia wykluczały możliwość popełnienia jakiegokolwiek błędu.

„...Zielonkawoszare gałązki kaliny koralowej są kanciaste i gładkie, a liście od spodu srebrzyste. Pokazywałem ją wam w zeszłym roku, kiedy jechaliśmy zobaczyć tego wyrzuconego na brzeg wieloryba, powinniście więc pamiętać wygląd kwiatów...”.

„...Jeśli natraficie na motyla wykluwającego się właśnie z poczwarki, nie ulegnijcie pokusie i nie pomagajcie mu wydostać się na świat. Gdybyście to zrobili, pozostałby szary. Wysilek wkładany w rozłupanie poczwarki pociąga za sobą wzmożony napływ krwi do skrzydełek, co jest niezbędne do wydobycia barw oraz wzoru...”.

Raz w tygodniu jeden z chłopców wsiadał na rower i zawoził przepisane na maszynie akta drog i informacje o występujących w hrabstwie motylach i ćmach do redakcji lokalnej popołudniówki „Afternoon”, gdzie składano z nich kolumnę z ilustracjami wykonanymi indyjskim tuszem przez starszego z chłopców. Maszynę do pisania — jej klawisze rozmieszczone w opadających schodkowo rzędach kojarzyły się Shamasowi nieodparcie z twarzami ze szkolnych fotografii — kupił Shamas przed laty, zaraz po przybyciu do Anglii, z myślą o rychłym powrocie do pisania wierszy, ale stała od tamtego czasu w zasadzie nieużywana i dopiero Jugnu po powrocie ze Stanów Zjednoczonych zaczął wystukiwać na niej swoje artykuły dla „Afternoon”.

Rzeka na tle śniegu jest smoliście czarna — rozdarcie w białej chuście zrzuconej z nieba. Kilka mil dalej, zostawiwszy za sobą miasteczko, rzeka przepływa obok obrośniętych bluszczem ruin starego opactwa, z którego murów sikhowie ceremonialnie wsypują do wody popioły swoich zmarłych. Kiedy przed jakimiś dziesięcioma laty zapoczątkowali ten obyczaj, zamieszkałe wyłącznie przez białych przedmieścia zawrzały świętym oburzeniem, ale biskup uspokoił nastroje, oznajmiając, że jest niezmiernie rad, że ten zabytkowy obiekt służy znowu praktykom religijnym, bo z bólem serca patrzył, jak zmienia się w publiczny szalet za sprawą przykro mu to mówić, tych, którzy teraz najgłośniejszą gardłują.

Shamas zapada się po kolano w wypełnione śniegiem zagłębienie terenu. Prostując się, ekshumuje fragmenty liści i czer-

wone jagody jarzębiny, wyciąga je spod śniegu wraz z nogą; do buta przyłgnęło też trochę błękitnych rybich łusek.

Shamas widzi już świątynię hinduistyczną — wielki, prosty w konstrukcji barak w kolorze zielonego groszku stojący nad samą rzeką i przypominający domek z książeczki do kolorowania dla małych dzieci. Za nią strzelają w niebo sosny. Od drzwi do samego brzegu prowadzą drewniane schody.

Nic nie wskazuje na to, żeby doszło tu ostatnio do jakiegoś aktu profanacji.

Z krawędzi dachu zwisają topniejące sople, skapująca z nich woda draży w śniegu dziurki o średnicy półpensowej monety. W nocy musiały pozamarzać rury, bo Poorab-ji siedzi w kucki na najniższym stopniu schodów i czerpie z rzeki wodę do mycia rąk; upatruje sobie fale, po czym podstawia pod nią wrębek lśniącego mosiężnego naczynia *garwi*. To bardziej drewniana ścieżka niż schody: stopnie są szerokie i niziutkie. Poorab-ji unosi powalaną ziemią dłoń w geście powitania.

— Pogrzebałem właśnie szczygła, Shamasie-ji. Rozbił się o szybę w tamtym oknie. Ciekawe, czy odgadniesz, w którym miejscu. — Ma łagodną twarz, mięsiste wargi, długą szyję i jak wielu mężczyzn z subkontynentu, którzy młodość mają już za sobą, farbuje włosy na kruczoczarny kolor.

Korona każdej rosnącej nad brzegiem jarzębiny jest idealnie kulista, przypomina eksplodujący na niebie fajerwerk.

— O tutaj. — Poorab-ji podchodzi i pokazuje mikroskopijny krater wyłupany w szybie przez dziób nieszczęsnego ptaszka. Wyciąga z kieszeni okruszek szkła i podstawiając dłoń, na wypadek gdyby wyleciał, wciska go z powrotem na miejsce. — Znalazłem to w jego dziobku.

Gwoli wyjaśnienia swojej niecodziennej wizyty Shamas opowiada, co spotkało meczet, ale Poorab-ji mówi, że tutaj nie doszło do żadnego aktu wandalizmu, ostatni zdarzył się w październiku, o czym Shamasowi już wiadomo. Źle się dzieje na tym świecie, oj źle.

I nagle, w geście poufałości, na który Shamas nie był przygotowany, Poorab-ji otacza go ramieniem.

— Dziś rano zobaczyłem na ziemi kopę śniegu, który zsunął się z dachu, i kiedy tak patrzyłem na nią z daleka, przyszło mi

na myśl, że to ciała Jugnu i Chandy. Nawet sobie nie wyobrażasz, jak mi przykro, ale wiemy już przynajmniej, co ich spotkało.

— Wiemy? — Stalowa pułapka zatrzaskuje się na sercu Shamasa.

— To ty jeszcze nic nie słyszałeś, Shamasi-ji? — Na kilka chwil twarz Pooraba-ji staje się dla Shamasa lustrem odzwierciedlającym konsternację i zgrozę, którą teraz czuje. — Pierwszy ci to mówię? Widzę, że policja cię nie powiadomiła.

Shamas opuszcza wzrok, własne stopy wydają mu się dziwnie odległe.

— Linie telefoniczne są przerwane. — Nachodzi go przemożna ochota położenia się na białym śniegu.

Poorab-ji trajkocze jak najęty: okazuje się, że policja aresztowała obu braci Chandy pod zarzutem zamordowania jej i Jugnu.

Od zaginięcia kochanków upłynęło blisko pięć miesięcy i był to dla Shamasa okres tajonej żałoby — ale teraz wolno mu już okazać ból. Jest niewierzący i w jego przekonaniu we wszechświecie próżno szukać zbawicieli, a powierzchnia ziemi to jedno wielkie cmentarzysko, z którego nikt ze zmarłych nie powstanie z martwych.

Do Pooraba-ji przynoszone są regularnie koguty poranione w sekretnych walkach organizowanych przez pakistańskich i hinduskich imigrantów z okolicy. Poorab-ji przyjmuje zmaltretowane ptaki, grożąc za każdym razem, że ujawni ten nielegalny proceder, i przywraca je do zdrowia. Z ranami posypanymi kurkumowym proszkiem wyglądają, jakby wytarzały się w białych liliach.

— Kuruję tu teraz dwa koguty i kiedy o drugiej nad ranem zaczął padać śnieg, wyszedłem z domu, żeby do nich zajrzeć i sprawdzić, czy mają ciepło... Kiedy mijalem dom tamtej rodziny... Było tam pełno policji...

Oficjalne potwierdzenie nieszczęścia przyprawia Shamasa o mdłości.

Umysł nie chce przyjąć tego do wiadomości, podobnie reaguje organizm — żołądek podchodzi do gardła, tak jakby i on potraktowany został jakąś trującą substancją, którą czym prędzej

trzeba zwrócić. Ciało Shamasa zakute jest w zbroję, palącego żaru i dłonie przepalają się przez śnieg jak żelaza do piętnowania. Niewiele jest w tym żołądku do zwrócenia, bo nie jadł jeszcze śniadania, ale ciałem wciąż wstrząsają wymiotne spazmy, a każdemu towarzyszy straszne, przedłużone, spowolnione beknięcie. „Będziemy pili z waszych żył”. Kiedy Chanda wyprowadziła się od rodziców zajmujących lokal nad należącym do nich sklepem spożywczym, by zamieszkać z Jugnu, jej bracia zaczęli zapowiadać zemstę w obronie swojego honoru. „Będziemy lizali wasze rany”. Włamali się i podrzucili palącego się papierosa do ich łóżka.

Ale po zniknięciu kochanków zarzekali się, że nie mają z tym nic wspólnego.

Shamas dopiero teraz uświadamia sobie, że klęczy i szuka czegoś gorączkowo, odgarniając garściami śnieg z takim zapamiętaniem, że ziemia przy drewnianym baraku jest już zryta jak po przejściu szalonego ogrodnika z motyką. Wiatr bawi się włókienkami intensywnie — bazarowo — żółtego piórka sterczącego z bieli i należącego zapewne do ptaszka, który zginął z okruszyną szyby w dziobku. Krople wody skapujące z topniejących sopli nie mają już w czym drażyć dziurek o średnicy półpensowej monety, a Shamasowi w tej chwili szaleństwa brakuje owych monet, gdyż dla niego reprezentują sobą wszystko, co bezpowrotnie odeszło, i jest przekonany, że znalezienie choćby jednego takiego malutkiego miedzianego pieniążka rozwiązałoby wszystkie jego życiowe problemy. Ścierając sobie do krwi palce, przekopuje ziemię w poszukiwaniu tego bezwartościowego kawałka metalu, który nagle stał się ceną za pozostanie przy zdrowych zmysłach.

— Nie trzeba mi go było spuszczać z oka — słyszy własny głos; to słowa Kiran, które wypowiedziała przed laty po powrocie z Pakistanu, zawrócona z lotniska w Karaczi. — Nie trzeba mi go było spuszczać z oka — powtarza teraz Shamas.

Poorab-ji prosi go, żeby się uspokoił. Shamas zamyka oczy i walcząc z rozsadzającą go rozpaczą, wyczerpany, wspiera czoło o ścianę świątyni. Nie wie, czemu wspomina noc, kiedy to w kuchni o niebieskich ścianach wykluły się pawice gruszówki, i wyobraża sobie prawdopodobną sekwencję zdarzeń

po tym, jak wydostały się z kokonów. Tamtej nocy w niebieskiej kuchni wykluło się, odnajdując wreszcie drogę na wolność, dziewiętnaście samczyków. Wilgotne jeszcze po opuszczeniu poczwarki, fruną do sąsiedniego pokoju, gdzie na stoliku ze szklanym blatem stoi wazon z wiązką mimoz w kolorze żółtka jajka, wazon, który Shamas przywiózł ze sobą w latach pięćdziesiątych z Pakistanu, żeby przypominał mu dom. Cieniutka warstewka kurzu, z której przed laty podnosił ten wazon, do tej pory krzyczy wielkim O, żeby odstawił go z powrotem dokładnie tam, gdzie umieściła go ręka matki.

Wielka jak nietoperz ćma o aksamitnych skrzydełkach koloru papryki i białym puszystym tułowiu okrąża włókniste kwiatki mimozy, ale nie w poszukiwaniu pożywienia, bo nie ma ust i urodziła się, by umrzeć; przysiada na chwilę na liściu guajawy, po czym wraz z osiemnastoma towarzyszami przefruwa z trus-kawkoworóżowego pokoju z powrotem do kuchni.

W absolutnych ciemnościach widzą jak w dzień. Gnane ciekawością świata fruną w górę schodów do pokoju pomalowanego na leningradzką żółć, w którym śpią Shamas z Kaukab.

Badając giętkimi czułkami powietrze, zawisają niezdecydowanie nad Kaukab — Kaukab do dzisiaj wspomina pewien poranek, kiedy motyl, przywabiony zapachem olejku, którym nacierała włosy, próbował złożyć jajeczka w jej warkoczu — a ona na chwilę otwiera w ciemnościach oczy i w półśnie /decydowanie wydmuchuje trzy razy powietrze przez nos, bo Prorok powiedział: „Kto obudzi się w nocy, niech trzy razy przedmucha nos, bo w nozdrzach człowieka spędza noce szatan”.

Prawie natychmiast zapada z powrotem w sen, a ćmy, upewniwszy się uprzednio, że nic ich nie wzywa z za otwartego okna, przefruwają do pokoju starszego chłopca.

Mrugając w ciemnościach trzydziestoma ośmioma oczkami wymalowanymi na trzydziestu ośmiu skrzydełkach, owady w fruują następnie do pokoju dwojga młodszych dzieci i tutaj usiłują przelecieć przez okrągły otwór, ale bez powodzenia; przy każdej próbie zderzają się tylko czołowo z inną grupą takich jak one owadów, które tak samo rozpaczliwie starają się z niego wylecieć — to lustro.



W nogach łóżka dziewczynki połyskują lakierowanymi okładkami rozrzucone hinduskie czasopisma filmowe.

Pawice gruszówki wzlatają przez otwartą klapę w suficie tego pokoju na poddasze, do którego z jednej strony przylega od zewnątrz rosnący w ogrodzie buk, i błędzącym, roztrzepotanym stadkiem przelatują tamtędy na drugą połowę bliźniaka kupioną niedawno przez Jugnu, gdzie pełno jeszcze jego dobytku przesuwanego z kąta w kąt i czekającego na zniesienie na dół. Wiele z jego rzeczy ponieważ się nadal po domu: między innymi pudło na kapelusze z dziewiętnastoma poczwarkami w środku. Zostało w niebieskiej kuchni do rana, bo kiedy zapadła noc, rodzina, uświadomiwszy sobie, że już od dziesięciu godzin pracuje bez wytchnienia, pomagając się Jugnu wprowadzić, postanowiła zostawić wszystko tak, jak jest.

Jak latawce spuszczone z uwięzi, ćmy opadają z poddasza do pokoju wyklejonego tapetą w poskręcane liście i malutkie jagódki w kolorze indygo.

Pawice nie zwracają uwagi na śpiącego tutaj Jugnu, chociaż ten dłonie, które jarzą się w ciemnościach, ma wyłożone na koc. Żadna ćma nie oprze się przyciągającej sile tych dłoni, jednak owej nocy w pokoju rozbrzmiewał odmienny zew zagłuszający wszystkie inne - zew samiczki. Wykluła się dzień wcześniej i unosi się teraz w klatce, którą Jugnu sporządził z drutu miedzianego, oplatając nim słoik, a następnie tłukąc szkło.

Samiczka pozostaje w bezruchu i tylko od czasu do czasu macha delikatnie skrzydełkami, żeby rozsiać zapach, który stopniowo zalał oba domy, elektryzując powietrze ledwie uchwytną wibracją pożądania niewyrażalnego w żaden inny sposób, niewyczuwalnego dla ludzi, lecz przywabiającego dziewiętnastu samczyków. Zbliżają się z początku wolno, potem zrywami po jardzie na raz, ucząc się na bieżąco odróżniać prawdę od kłamstwa, i w końcu obsiadają całą klatkę rozedrganym aksamitem.

## *Śniadanie z motyli jajeczek*

Wracając pod wieczór z pracy z „Afternoon” pod pachą, Shamas słyszy echo własnych kroków na śniegu; można by pomyśleć, że ktoś za nim idzie.

Na telewizyjnych mapach pogody cały kraj już prawie od tygodnia spowijają girlandy izobar. W nocy unosząca się w powietrzu wilgoć zamarza na szybach, tworząc skrzące się desenie złożone z przenikających się nawzajem ni to ptasich piór, ni skrzydełek owadów, ni szkieletów liści; myślałby kto, że w każdym domu pleni się magiczna knieja, będąca siedliskiem wszelkich bajek i mitów, i jej połyskliwe, bujne listowie napiera od wewnątrz na szyby w oknach. Każda uliczka przeobraziła się w rząd książek na półce.

Shamasa nie boją już palce, które pościerał sobie tamtego ranka, ryjąc skrytą pod śniegiem ziemię na brzegu rzeki w poszukiwaniu półpensowych monet. Już go nie pieką. Takie rany szybko się goją. Nowy naskórek pod twardymi strupami na opuszkach ma przytłumiony połysk macicy perłowej. Jest bladoróżowy. Jugnu — lepidopterolog — powiedział, że ponieważ różowe motyle w naturze nie występują, to te, które wypuszczono na wolność podczas koncertu Rolling Stonesów w Hyde Parku w lipcu 1969 roku, musiały być w rzeczywistości białe i tylko ufarbowano je jakimś barwnikiem.

Shamas nie wie, co kazało policyjnym detektywom nadać śledztwu w sprawie zniknięcia Jugnu i Chandy kryptonim „Operacja Kość Słoniowa”.

Funkcjonariusze, którzy tamtego ranka przyszli do domu powiadomić go oficjalnie o dokonanych aresztowaniach, powiedzieli, że dwaj podejrzani przetrzymywani są w osobnych celach — żeby nic mogli uzgadniać ze sobą zeznań — i od tamtego czasu Shamas już dwukrotnie odwiedzał posterunek policji, by porozmawiać za pierwszym razem z detektywem nadinspektorem, a za drugim z detektywem inspektorem, którzy kierowali śledztwem. Detektyw inspektor powiedział mu, że brak ciała stanowi pewną przeszkodę, ale zespół mimo wszystko będzie dążył do uzyskania wyroku skazującego. Powiedziano mu, że rozprawa odbędzie się w grudniu. Istnieją liczne prawne precedensy, w których przed sądem stawali mordercy przekonani, że dokładnie zatarli za sobą ślady. Już w roku 1884 zdarzały się przypadki wydawania wyroków skazujących pomimo nieodnalezienia zwłok; za winnych morderstwa uznano wówczas dwóch marynarzy, którzy dryfując po morzu setki mil w otwartej szalupie, żywili się chłopcami kabinowymi. Bliższy współczesności przypadek dotyczył kobiety porwanej dla okupu. Mimo że jej ciała także nigdy nie odnaleziono, policja postawiła dwójce braci zarzut popełnienia morderstwa. Z materiałów dowodowych przedstawionych sądowi wynikało, że kobieta została skarmiona świniami.

I naraz do Shamasa dociera, dlaczego śledztwo opatrzone kryptonimem „Operacja Kość Słoniowa”: policja zakładała, że wedle wszelkiego prawdopodobieństwa pozostaje jedynie szukać kości.

Dobierając umiejętnie słowa, można do pewnego stopnia łagodzić drastyczność wymowy niektórych sformułowań; mówi się na przykład najwyższy wymiar kary zamiast kara śmierci; wstrzyknięcie substancji zatrzymującej akcję serca zamiast otrucie; posłać kogoś na krzesło elektryczne, zamiast usmażyć go żywcem, albo powiesić, zamiast udusić.

Ludzie wiele spekulują na temat losu zaginionych kochanków (zamienili się w parę pawi!), ale fakty są faktami i Shamas stara się pomału oswajać z myślą, że żywymi już ich nic zobaczy. Zeszłego lata Jugnu z Chandą — córką właściciela pobliskiego sklepu spożywczego, która kilka miesięcy wcześniej, w maju, wbrew woli rodziny zamieszkała z Jugnu — wybrali się na

cztery tygodnie do Pakistanu. Wyjechali w ostatnim tygodniu lipca, zapowiadając, że wracają w sierpniu. I wrócili — w domu znaleziono ich bagaże i paszporty, z dokumentów wynikało, że skrócili swój pobyt w Pakistanie o tydzień — i kilka godzin albo dni po powrocie zostali zamordowani. Ani Shamas, ani Kaukab nie zauważyli ich przyjazdu, nie mieli pojęcia, że są już w Anglii — tuż za ścianą.

W domu Chandy i Jugnu jest mnóstwo szklonych gablot z okazami ciem i motyli w każdym kolorze, od stonowanych i nierzucających się w oczy po pyszniące się bogactwem barw, wizualne ekwiwalenty wibrującej nuty wyśpiewywanej przez słowika. Długa szpilka przeszywająca każde truchelko przywodzi na myśl pionowy drążek przechodzący przez drewnianego konia na karuzeli.

Jajeczka motyli — podobne do guzików albo butelkowate, w kształcie ściętych stożków, albo kuleczek najeżonych kolcami jak morskie najeżki, to znów kopulaste, jakby przeznaczone na dach miniaturowego meczetu — składane są czasami w korze drzew w zgrabnych stosikach, które przypominają dzbany suszące się przed domem garncarza, czasami na powierzchni liścia, jedno przy drugim jak kubki smakowe na ludzkim języku, czasami zaś biegną wokół gałązki, oplatając ją na podobieństwo spiralnych schodów. Kolorów miewają tyle, co soczewki kontaktowe lub jednorazowe zapalniczki, i są tak samo przezroczyste. Mogą czekać na wyklucie odsłonięte, przyklejone do wybranego podłoża, a przez samiczki niektórych gatunków przykrywane są kocykiem z włosków na brzuchu.

Pewnego upalnego letniego poranka Kaukab zainteresowało, co też trójka jej dzieci tak zapamiętałe zlizuje sobie z dłoni i przedramion. Nie wierzyła własnym uszom, kiedy powiedziały, że te maleńkie kuleczki to jajeczka motyli. O mało nie zemdląła, kiedy Jugnu z całą powagą zapewnił ją, że może być spokojna, bo on już sprawdzał, czy jajeczka nie są szkodliwe.

— Jaja niektórych motyli zawierają trującą substancję dla ochrony przed drapieżnikami, dotyczy to zwłaszcza tych gatunków, które mają jajeczka jaskrawo ubarwione i składają je w skupiskach... — Dzielenie się tego rodzaju informacjami było jego drugą naturą i zapominał często, że nie wszystkich

one interesują. — ...Nie ma też obawy, że dzieci, zjadając te jajeczka, zagrożą gatunkowi: jajeczka pochodzą od motyli, które rozsiewają je w locie, admirałów i osadników. I tak nie miały szans na wyklucie, nie przejmuj się więc... Tu, widząc minę szwagierki, urwał.

— Spadły na nas, kiedy byliśmy nad jeziorem — dorzuciło jedno z dzieci.

Po owym incydencie Kaukab próbowała kilka razy nie puścić dzieci z Jugnu, kiedy ten wybierał się na wzgórze łowić motyle, ale na próżno.

Papier żółknie z biegiem lat, spala się bowiem bardzo powoli w kontakcie z powietrzem. Ułożone chronologicznie fotografie Jugnu, przechowywane w pudełkach w jego domu, który policja nazwała „domem śmierci”, tworzą teraz całe spektrum bladych brązów.

Najstarsze zdjęcie przedstawiające subtelnego dziewiętnastolatka, o którym ich matka zawsze mawiała, że zesłał go Allah w ramach rekompensaty za to, że nie dał jej upragnionej córki, zrobione zostało w roku 1966, przed samym wyjazdem Jugnu do Moskwy na studia na Uniwersytecie Przyjaźni Narodów imienia Patrice'a Lumumby. Nauczenie się rosyjskiego i uzyskanie dyplomu zajęło mu pięć lat. Potem, tuż przed śmiercią ojca, wrócił na krótko do Pakistanu. Później parę miesięcy spędził w zawilgoconym, zimnym domu Shamasa i Kaukab w Anglii i wyjechał do Stanów Zjednoczonych.

„Kim jest ta zielona kobieta w sari?” — spytała Kaukab, oglądając pierwszą pocztówkę ze Statuą Wolności, jaką przysłał z Nowego Jorku. Na odwrocie Jugnu donosił lakonicznie, że dotarł bezpiecznie na miejsce, pytał o stan zdrowia siedmioletniego wówczas bratanka chorującego na gruźlicę oraz pozdrawiał małą, będącą jeszcze w powijakach bratanicę. — Dziewczynka dziesięć lat później, już po jego powrocie do Anglii, podczas przeglądania tych fotografii, zatrzyma się na jednej i zapyta z tłumionym śmiechem o sumiaste wąsy, które zapuścił sobie podczas sześćioletniego pobytu w Stanach Zjednoczonych.

Któregoś dnia Kaukab, wypatrzywszy na jednym z tych zdjęć butelkę whisky, kazała wynieść wszystkie na strych, żeby nie

mieszały w głowach trójce dorastających dzieci. Pozostały tam do czasu, kiedy po sąsiedzku zamieszkał Jugnu.

Maszerując wysadzaną kasztanami drogą, Shamas słyszy za sobą czyjeś kroki na śniegu, ale to tylko złudzenie. Od kilku dni odnosi chwilami wrażenie, że to on umarł i został pochowany — i własne kroki wydają mu się krokami kogoś, kto nadchodzi, żeby go wykopać.

Dwa miesiące po zniknięciu Jugnu i Chandy policja zaczęła się zastanawiać nad rozszerzeniem poszukiwań na Stany Zjednoczone, ale przecież paszporty dwojga kochanków były w Anglii, w domu sąsiadującym z domem Shamasa.

Przez pierwsze trzy lata pobytu w Stanach Zjednoczonych, Jugnu każdej wiosny wyrusza! z wędrownymi pszczelarzami w dwumiesięczną trasę wiodącą z Tucsonu do gajów pomarańczowych Kalifornii, a stamtąd dalej przez Oregon do stanu Waszyngton. Po drodze zatrzymywali się co jakiś czas i wypuszczali swoje pszczoły nad wymagające zapylenia uprawy. Skrzynia ładunkowa prowadzonej przez Jugnu ciężarówki rozbrzmiewała brzęczeniem trzymilionowego roju i każdego roku jeszcze przez długie miesiące cuchnął olejem bananowym. Kiedy pewnej zimy malował skale czujników radu w fabryce zegarów, doszło do wycieku, w wyniku którego jego dłonie zaczęły się jarzyć w ciemnościach i przywabiać ćmy.

Był krótko żonaty z Amerykanką, która trudniła się zawieraniem małżeństw z nielegalnymi imigrantami, by występować o rozwód zaraz po przyznaniu im przez władze prawa stałego pobytu. Przez te sześć lat nie zdawał sobie nawet sprawy, jaki jest samotny. Uświadomiła mu to dopiero wiadomość o śmierci matki, infonacja ta zastała go w Bostonie, gdzie robił właśnie doktorat. Następnego roku wsiadł do samolotu i poleciał do Anglii.

Był to rok 1978 i w Wielkiej Brytanii krzyczano głośno, że imigrantów należy odesłać z powrotem do krajów, z których pochodzą; „Zajrzyjcie tylko do książki telefonicznej: są ich tu już tysiące”. Miał trzydzieści jeden lat, a dzieci, w które natychmiast po jego przyjeździe zaczął wstępować nowy duch, trzynaście, osiem i cztery. „Odchody łosia wyglądają i pachną tak samo jak odchody jelenia — opowiadał im — a gdybyście

ich spróbowali, przekonalibyście się, że również tak samo smakują",

Najmłodszą z wyniesionych na strych fotografii jest chyba ta, która przedstawia troje dzieci siedzących po turecku obok wyrzuconego na plażę wieloryba. Nieszczęsny ssak spoczywa różowym, prążkowanym brzuchem na mokrym, ubitym piasku, odbłask zachodzącego słońca ciągnie się niczym złoty szlak od brzegu aż po horyzont, na niebie nad nimi istny szmaragdowy pióropusz, to prawdopodobnie postrzępiona zewnętrzna krawędź burzy z piorunami, która przeszła tamtego popołudnia nad ich położonym w głębi lądu miasteczkiem. Zmierzchało, zapadała noc, a Shamas z Kaukab z rosnącym niepokojem wyglądali przez chlastane strugami ulewnego deszczu okno swojego domu.

Błyskawica uderza, nie dbając, czyje gniazdo spopieli: Shamas i Kaukab bali się, że czwórka wycieczkowiczów nie zdąży wrócić do domu przed zamknięciem pubów, kiedy to na ulice wylęgają zgraje pijanych białych ludzi.

Na drodze ciągnącej się między szpalerem drzew wiśni Shamas wstępuje w kulę niemal dziennego blasku rozsiewanego przez uliczną latarnię, i wynurza się z niej z powrotem w noc, i tak raz po raz. Skręca w stromą boczną uliczkę przebiegającą między kościołem a meczetem. Do tablicy ogłoszeń na dziedzińcu kościelnym przypinane są regularnie przetłumaczone na urdu wersety z Biblii, zwłaszcza te wychwalające Chrystusa jako zbawiciela, i tak samo regularnie są w nocy zrywane.

Z pochyłości między kościołem i meczetem widzi Shamas cienkie rozedrgane warstewki ogrzanego powietrza lgnące do dachów wszystkich domów przy jego ulicy, z wyjątkiem jednego — domu Jugnu. „Darwin” — należąca do Jugnu motorówka Sheridan Multi-Cruiser — wciąż stoi w ogródku przed domem przykryta spłowiałą brezentową plandeką.

W miasteczku, tak jak w Lahaurze, jest ulica Goethego. Jest Park Street jak w Kalkucie i Malabar Hill jak w Bombaju, i Naag Tolla Hill jak w Dakce. Ludzie napływający do miasteczka w latach pięćdziesiątych mieli trudności z wymawianiem angielskich nazw, nazywali więc po swojemu wszystko, co wpadło im w oczy. Przybywali z całego subkontynentu, gnieź-

dzili się po dziesięć osób w jednej izbie i nazwa nadana przez kogoś z nich jakiejś uliczce albo punktowi orientacyjnemu była podchwytywana przez resztę bez względu na to, skąd sami pochodzili. Ale mijały lata, ludzi zjeżdżało się tu coraz więcej, i poszczególne narodowości z subkontynentu — Hindusi, Pakistańczycy, Banglijczycy, Lankijczycy — wprowadzały własne nazewnictwo. Ostała się tylko jedna wspólna nazwa akceptowana przez wszystkie grupy. Nazwa samego miasteczka. Dašte-Tanhai.

Bezmiar Samotności.

Pustynia Osamotnienia.



## *W ciemnościach*

Kaukab obserwuje przez okno małego chłopca wspinającego się stromą uliczką wysadzoną dwudziestoma klonami. Sześciolatek idzie do meczetu. Mieszka trzy przecznice stąd i jego babka dzwoniła właśnie do Kaukab.

— Miej na niego oko, sestro-ji. Nie pozwala mi się już odprowadzać do meczetu. Staje się samodzielny i chce chodzić sam. Telefonuję do wszystkich znajomych na jego drodze, bo ostrożności nigdy za wiele — codziennie się słyszy o tych zdeprawowanych białych mężczyznach, którzy robią dzieciom takie rzeczy, że lepiej nie mówić. — I kobieta wzdycha ciężko. — Nie trzeba nam było przyjeżdżać do tego zakazanego kraju, sestro-ji, to siedlisko zła, z którego wygnano Boga. Nie, nie wygnano, gorzej — zaparto się Go i zamordowano.

Kaukab stoi więc w oknie, a kiedy malec znika jej wreszcie z pola widzenia, osusza oczy chustą. To już siedem lat i jeden miesiąc, jak nie mają z Shamasem żadnej wiadomości od swojego najmłodszego dziecka, jej ukochanego syna Ujali. Bierze z półki małą, oprawioną w ramki fotografię Ujali i patrzy na niego — opadające na ramiona włosy, męźniejące ciało, usta rozciągnięte w uśmiechu — i przypomina sobie, że Prorok, pokój niech będzie z nim, powiedział, że Allan objawił mu się pod postacią pięknego, długowłosego, czternastoletniego chłopca. Przyciska fotografię do piersi. Zawsze był krnąbrny -krytykował wszystko, co robiła — i opuścił rodzinny dom, kiedy tylko stało się to możliwe. Córka, Mah-Jabin, dzwoni

mniej więcej co miesiąc i przyjeżdża co najmniej raz w roku. Charag, najstarsze dziecko, artysta malarz, odwiedził ich zeszłego roku latem i od tamtego czasu ani nie zatelefonował, ani się nie pokazał. Był żonaty z białą dziewczyną, ale się rozwiódł — w związku z czym Kaukab już od dwóch lat i ośmiu miesięcy nie widziała wnuka.

Dzieci są dla niej wszystkim, za to ona dla nich jest tylko częścią życia, bardzo małą częścią, z biegiem lat uświadamia to sobie coraz wyraźniej.

Jest sama w domu, patrzy przez okno na wstający dzień. Znowu zaczął padać śnieg.

Kaukab zdaje sobie sprawę, że wybrzydzając na Anglię, czyni afront Allanowi, bo On jest przecież stwórcą i panem całej ziemi — o czym przypomina kamienna tablica na lotnisku w Islamabadzie, by podnieść na duchu załamanych iudzi zmuszonych opuścić Pakistan — ale nic potrafi się wyzbyć tęsknoty za ojczyzną i prosi wciąż w modlitwach o odwagę w obliczu tej samotnej próby, której On w swej mądrości ją poddał.

Powtarza sobie często, że Allah nadał Adamowi imię od arabskiego słowa *adim*, które znaczy „powierzchnia ziemi”; Adam — a co za tym idzie cały rodzaj ludzki, jego potomstwo — stworzony został z ziemi pobranej z różnych części świata. Głowa powstała z gleby Wschodu, tułów z gleby Mekki, a stopy z Zachodu.

Kaukab siada powoli na krześle i przyciska do oczu szal. Takie lekkie są teraz drzwi lodówki nieobciążone od wewnątrz butelkami mleka jak za czasów, kiedy mieszkały tu dzieci, a Jugnu jadał jeszcze posiłki z rodziną, czego nie zaprzestał nawet po przeprowadzce do sąsiedniego domu. Tak się z początku cieszyła, że Jugnu znowu jest w Anglii! Bawiąc w Ameryce, zwykł przysyłać podobne do monet pocztówki, a ona, jak grająca szafa, wyśpiewywała mu w zamian długie pieśni, opisując strona po stronie życie rodziny, prosząc, żeby wrócił, zapewniając, że od czasu jego pierwszej krótkiej bytności w Anglii sytuacja zmieniła się trochę na lepsze. Wrócił i Kaukab pęczniała z dumy, kiedy sąsiadki dopytywały się, kim jest ten Tadż Mahal w ludzkim ciele, którego widziały wczoraj siedzącego w ogródku przed domem. Zwerbowała je do pomocy

w szukaniu mu narzeczonej, ale on powiedział, że najpierw sam musi się odnaleźć w Anglii. Cieszyła się, że ma go przy sobie tutaj, w Dašte-Tanhai, bo emigracja do Anglii pozbawiła ją ciepła rozsiewanego przez powinowatych, ciepła i światła licznej rodziny. Przyrządzała mu wszystkie te przysmaki, do których przez lata tęsknił, Bambusowe pędy marynowane na ostro w oleju lnianym, lepkie figi z makiem, które skleją palce, chleb *nan* w kształcie baletek, nasiona maku bardziej szorstkie od ziarenek piasku, ale mimo to przesypujące się jak wydma, kiedy przechyla się słoik, placki ziemniaczane wysadzone suszonymi pestkami granatu jak brosza drogimi kamieniami, jadalne płatki kwiatów cukinii upakowane w pączkach niczym bursztynowe szaliki w zielonych plecakach, nasiona chili porażające jak prąd elektryczny, pieprz o łodygach zakrzywionych niczym rączka parasolki, masło pokrajane w trudne do rozdzielenia kostki, groszek przywierający do wnętrza strąka jak rząd szczeniąt do wymion matki; buszowała między półkami sklepu spożywczego Chanda Food & Convenience Store, wyszukując to, co Jugnu lubił najbardziej. Kolendra pieniała się bujnie w ogródku sąsiadów, wystarczyło przechylić się przez płotek i ciąć nożyczkami. Choć zakupione składniki ciążyły w siatkach niczym grudy lodu, to powstające z nich potrawy dorównywały lekkością płatkom śniegu, tak delikatna i zwiewna była równowaga przypraw i wzajemna gra smaków. Kaukab bała się, że swoje kulinarne sukcesy zawdzięcza przypadkowi, jednak z pomocą Allana za każdym razem udawało jej się powtórzyć bezbłędnie wszystkie procedury i przyrządzane przez nią dania okrzykiwano ósmym, dziewiątym i dziesiątym cudem świata.

Jugnu był bratem jej męża, wujem jej dzieci, jej szwagrem. Kochała brzmienie i znaczenie tych słów. Zupełnie jakby z chwilą, gdy zatrzęsnęły się za nią drzwi Pakistanu, jej dłonie zapomniały sztuki pukania; zaprzyjaźniła się z kilkoma kobietami z sąsiedztwa, ale niewielkie miała pojęcie o tym, co znajduje się poza granicami osiedla, i czuła się nieswojo w kontaktach z obcymi: biała rasa budziła w niej lęk, a ludzie z subkontynentu, wyznający inną religię czy należący do innej grupy etnicznej, skrepowanie.

Naukę przerwała w wieku jedenastu lat, ale po przyjeździe do Anglii, pełna jeszcze zapału i optymizmu, zapowiedziała Shamasowi, że kiedy tylko staną materialnie na nogi, zapisze się na kurs nauki angielskiego, i nie czekając biernie, aż ta chwila nastąpi, zaczęła notować sobie w zeszycie zasłyszane zwroty, słowa, których znaczenia nie знаła, poprzekręcane przysłowia, zbitki powiedzonek:

*Trawa jest zawsze zielona z zazdrości po drugiej stronie. Miłość unosi się w powietrzu, ale jest ślepa jak nietoperz. Nte posypywać popiołem gruszek na K/ierzbże. Nie ma takiego złego, co by z worka nie wyszło. Prawdziwego przyjaciela poznaje się w biedzie, jak piszczy. Niebo to inni ludzie.*

Tę ostatnią sentencję usłyszała i zapamiętała prawidłowo, „Piekło to inni ludzie”, ale po jakimś czasie ogarnęły ją wątpliwości: z pewnością nikt — żaden człowiek, żadna cywilizacja — nic myśli, że inni ludzie to piekło. Przecież naokoło sami inni ludzie.

Nie poszła nigdy na ten kurs językowy. Ale kiedy w latach siedemdziesiątych kupili telewizor — marki Phillips, bo jej ojciec miał w Pakistanie radio tej firmy, co uznała za najlepszą rekomendację, a poza tym wiedziała z doświadczenia, że firma jest godna zaufania — zaczęła oglądać programy dla dzieci z dziećmi, jednak te jedno po drugim odeszły z domu i została sama ze swoim kulawym angielskim.

Teraz wstaje i podchodzi do telefonu. Wybiera z namaszczeniem numer i czeka na połączenie, ale odwaga ją opuszcza i odkłada słuchawkę po pierwszym sygnale. Po chwili wybiera jeszcze raz ten sam numer i dzielnie trwa przy aparacie. Słucha powtarzających się sygnałów. W końcu po tamtej stronie odzywa się głosem Ujali automatyczna sekretarka. Od paru lat nie próbował się z nią skontaktować, ale ona dzwoni co kilka dni, żeby usłyszeć jego głos. Za każdym razem robi to z duszą na ramieniu, pełna obawy, że chłopiec odbierze i powie jej coś nieprzyjemnego, coś napastliwego, wypomni, że jest bez serca, że ponosi częściową, albo pełną odpowiedzialność za śmierć Jugnu i Chandy, bo tak się piekliła, kiedy razem zamieszkali.

Strach bierze górę i Kaukab znowu odkłada słuchawkę.

Owszem, nie była zachwycona, że Chanda wprowadza się do Jugnu, ale nie jest bez serca, nie miała nic przeciwko temu, że się kochają, wprost przeciwnie. Pamięta, jak się w skrytości ducha uradowała, kiedy dotarły do niej plotki, że tych dwoje ma się ku sobie, że Jugnu, który dotąd zadawał się tylko z białymi kobietami, tym razem wybrał muzułmankę. Jugnu dobiegał już pięćdziesiątki i Kaukab nie miała wątpliwości, że musi poślubić tę dziewczynę i wreszcie się ustatkować. Lecz oni zaczęli żyć ze sobą w grzechu, a Jugnu nie chciał jej słuchać bez względu na to, jak rozsądnie albo żarliwie usiłowała mu wytłumaczyć, że źle czyni.

Tym, że Jugnu nie kwapi się zakładać rodziny, niepokoiła się długo przed pojawieniem się Chandy. Shamas, który nieprzyparty do muru, nie skłaniał się do myślenia o takich rzeczach, przyznawał jej rację, ilekroć poruszyła ów temat. Potem przeprowadzali poważną rozmowę z Jugnu. Ostatnim razem było to chyba przed siedmioma laty, i Jugnu zaskoczył wtedy ich oboje, odpowiadając:

— Dobrze. Nawet chciałem wam ją przedstawić.

Miał na myśli białą kobietę, z którą Kaukab widziała go dwukrotnie w ciągu miesiąca w centrum miasteczka.

Był środek lata. W dzień kolacji zapoznawczej Kaukab przez cały ranek krzątała się w kuchni. Po południu wyszła przed dom posiedzieć parę minut na słońcu. Światło nad Dašte-Tanhai, przefiltrowane przez bujne listowie, nabierało morskiego odcienia, można by pomyśleć, że na słońce narzucono zieloną chustę. I los zrządził, że właśnie wtedy z niespodziewaną wizytą wpadł Charag: Charag — syn, którego wysłała do Londynu na uniwersytet, żeby się kształcił — przyjechał poinformować ją, że ma *dziewczynę*, która nie dość, że jest *biała*, to jeszcze *w ciąży*. Kaukab, ogłuszona i przybita tymi rewelacjami, winę za nieszczęście, jakie na nią spadło, przypisała w pierwszej chwili Jugnu. Pewnego razu w jednym z jego fachowych czasopism zobaczyła ilustrację przedstawiającą wnętrze świątyni i nie chciało się jej wierzyć, że to wszystko mieści się w takim małym stworzonku. Ta ilustracja stała jej przed oczami owego letniego popołudnia sprzed siedmiu lat, bo

wydawało jej się, że rozpacz rozsadzi ją od środka; miała pretensję do Jugnu, że to on sprowadził jej dzieci na złą drogę. Potem, przepełniona goryczą i rozżaleniem, przeniosła swój gniew na Shamasa, bo to on pierwszy namącił dzieciom w głowach swoimi bezbożnymi poglądami, a kiedy próbowała interweniować, podkopywał jej autorytet, dając do zrozumienia, że mają za przewrażliwioną i zacofaną — Jugnu dokończył tylko dzieła, które przed laty zapoczątkował Shamas.

Jej ojciec też nie był bez winy, wybierając jej takiego niereligijnego męża. W zapomnienie poszedł fakt, że tak dotąd wychwalała jego życiową mądrość i zasady niezłomne nawet w obliczu najdonioślejszych dla świata wydarzeń, no bo któż jak nie ojciec, po zwycięstwie irańskiej rewolucji, wysłał do ajatollaha Chomeiniego sążnisty dziewięciostronicowy telegram, nawołując w nim świętego męża do zachowania umiaru w przywracaniu religijnego ładu i przytaczając stosowne przemawiające za tym cytaty z Koranu oraz hadisy, czyli wypowiedzi Proroka, pokój niech będzie z nim.

Miała do ojca żal, że oddał ją, swoją córkę, w ręce tego pokroju ludzi. A przecież łatwo było poznać, co to za jedni, wystarczyło dobrze się przyjrzeć. Zaraz po zaręczynach matka Shamasa przysłała jej klatkę ze słowikami chińskimi i sugestią, żeby nacierała sobie twarz ptasimi odchodami, bo to podobno korzystnie wpływa na cerę. Kaukab zatrzymała słowiki, ale tylko dlatego, że ładnie śpiewały!

Charag, dobiwszy ją swoimi rewelacjami, zabawił nie dłużej niż godzinę i już go nie było; została sama ze swoją zgryzotą i łzami.

Płakała, przygotowując posiłek na cześć białej kobiety Jugnu — ucztę dla uczczenia faktu, że byli grzesznikami! Goście mieli przyjść po ósmej, mniej więcej o tej samej godzinie z zebrania partii komunistycznej powinien wrócić Shamas; ponieważ Ujala poszedł do kolegi, Kaukab była w domu sama, sama w domu tak samo jak sama na świecie, i mogła w tej samotności szlochać głośno, ile dusza zapragnie. Niebu udzielił się jakby ten jej minorowy nastrój, bo około szóstej pociemniało i zaczął padać deszcz. Tuż po siódmej spojrzała przypadkowo w lustro: białka oczu nabiegłe krwią, twarz czerwona, powieki

napuchnięte, włosy w nieładzie (dziesięć minut wcześniej w ataku bezsilnej rozpacz próbowała rwać je sobie z głowy).

Opuściła ją cała energia, nie chciało jej się nawet ogarnąć — a niech Shamas po powrocie zobaczy, do jakiego stanu doprowadził ją on, jego rodzina i jego wyrodne dzieci — ale mimo wszystko obmyła twarz, natłuściła włosy i uczesała się, żeby nie wyjść na czupiradło przed tą białą kobietą.

Popryskala się dezodorantem pod pachami, natarła kremem nawilżającym zniszczone, szare łokcie. Nigdy dotąd nie obcowała z białą osobą na takim poziomie zażyłości i już od kilku dni zastanawiała się, które ze swoich *shalwar-kamis*, czyli kompletów złożonych ze spodni i długiej koszuli na tę okazję włożyć. Ostatecznie wybrała niebieskie w białe kwiaty jabłoni. Po raz pierwszy od dziesięciu lat uniosła wieczko puzderka z pudrem do twarzy i zapach unoszący się od splekanej powierzchni skawalonego pudru przeniósł ją w czasy młodości. Delikatnie naniosła palcami płowy proszek na powieki, żeby zamaskować ciemne kręgi i zmarszczki, wydobyć oczy, które z biegiem lat zapadły się w głąb oczodołów. O Allahu! Przyjrzała się ze zgrozą bruzdom po obu stronach nosa. Były tak głębokie, że moneta przepadłaby w nich bez śladu. Wyskubała sobie nadmiar włosków z brwi. (Musi zapamiętać ile, żeby wyskubać dokładnie tyle samo z drugiej). Zastanawiając się, które kolczyki założyć, umalowała sobie wargi czerwonobrazową szminką. Nie za grubo? Starła szminkę i zaczęła od nowa, debatując ze sobą, czy użyć cienia do powiek i tuszu do rzęs. Jaka szkoda, że córka już z nimi nie mieszka, ona zna się na tych rzeczach, doradziłaby. Usiłowała przy tym nic płakać, ale na próżno; w końcu jednak wzięła się w garść, bo musiała jeszcze poćwiczyć w lustrze swój angielski. I z tym też szło jej beznadziejnie: jak tu się nie załamać, skoro w Anglii nawet rzeczy przemawiają innym językiem niż w Pakistanie? W Anglii serce mówi *boom boom* zamiast *dhak dhak*; pistolet strzela *hangi* zamiast *sah!*; przedmioty upadają ze „stukotem”, a nic z *dharam*; małe dzwoneczki śpiewają *jingle* zamiast *ćan-ćan*; parowozy sapią *choo choo* zamiast *ćuk-ćuk...* Pod koniec uznała, że brwi nadal są za bardzo nastroszone, i otworzyła szufladę szafki, w której Ujala trzymał swoje rzeczy. Znalazła słoiczek

z żelem do włosów i wtarła go po ździebku w każdą z brwi, żeby przygładzić niesforne włoski. Nie za dużo tego pudru? Pokrywał twarz tak grubą warstwą, że mogłaby sobie wyskrobać paznokciem na czole jakiś napis. Kiedy wreszcie skończyła, czasu na nadanie ostatniego szlif u posiłkowi pozostało niewiele; wyszła z nożyczkami do ogrodu na tyłach domu, żeby ściąć parę listków kolendry do posypania *mungdah*]. Dziesięcioletnia dziewczynka z sąsiedniej posesji zbliżyła się na jej widok do płotka. Przyglądała jej się w zamyśleniu przez parę chwil, a potem rzeczowym tonem kogoś, kto poczynił niewinną obserwację, orzekła:

— No nie, ciociu-ji, wyglądasz jak eunuch.

Odpędziwszy małą, która widziała pewnie eunuchów tańczących na jakimś weselu podczas pobytu z rodzicami w Pakistanie albo w Indiach, Kaukab wpadła do domu, płonąca ze wstydu i upokorzenia. Czyżby przesadziła z tym makijażem? Błagała Allana o pomoc, bo nie było już czasu na jakiegokolwiek korekty wyglądu; zabrzączał dzwonek u drzwi, obwieszczając przybycie Jugnu z tą białą kobietą, która bez wątplenia umalowana i uczesana jest bez zarzutu. Kaukab, stojąc jak słup soli pośrodku pokoju, usłyszała, jak w dziurkę zamka w drzwiach frontowych wsuwa się klucz: znaczy z Jugnu i jego wybranką jest również Shamas,

— Allahu najdroższy, przybądź mi z pomocą! Ratuj honor swojej służki, o *Parwardigar*— prosiła, poruszając bezgłośnie ustami, świadoma, że drzwi lada chwila się otworzą i przyjdzie jej spalić się ze wstydu. Ale jak mogła zapomnieć, że Wszechmocny czuwa nad swymi owieczkami? Zanim drzwi zdążyły się otworzyć, nastąpiła awaria prądu na całej ulicy — chwała niech będzie Allahowi — i dom pogrążył się w ciemnościach. Kaukab wróciła władza w członkach i nie czekając, aż Shamas wprowadzi Jugnu i białą kobietę do środka, wbiegła po omacku po schodach na górę, by zmyć z twarzy makijaż.

Większa część posiłku upłynęła im przy świecach. Wilgotne ślady, które zostawiły szpilki białej kobiety na linoleum w kuchni, połyskiwały w żółtej poświacie niczym wykrzykniki. Pośrodku kuchennego stołu, który powędrował do sąsiedniego różowego pokoju, stał wazon z kwiatami. Wypolerowane łyżki lśniły, a sam posiłek zaliczał się do najlepszych, jakie Kaukab



kiedykolwiek przyrządziła. Biała kobieta miała na sobie liliową bluzkę z błyszczącego jedwabiu i Kaukab strasznie korciło, żeby choć dotknąć go palcem — wyglądał jak tkanina znana w Pakistanie pod nazwą *ab-e-ravan*, płynąca woda — ale mimo wszystko ten wieczór nie należał do udanych. To, co w jego trakcie zaszło, miało w rezultacie doprowadzić do zerwania Jugnu z białą kobietą.

Starając się nie myśleć o rewelacjach, które usłyszała po południu od Charaga, i powstrzymywać od rozpamiętywania faktu, że nogi białej kobiety pod sięgającą kolan spódniczką w kratkę (uszytą z materiału, który przypominał Kaukab *hulbul ċasm*, oko słowika) są gołe, Kaukab krzątała się po kuchni i wymawiała od zajęcia miejsca przy stole z pozostałą trójką, utrzymując, że musi piec *ćapati*, że *aloalo hhurta* trzeba *oturkać* przed samym podaniem, że słodki ryż *zarda* należy trzymać na wolnym ogniu, żeby był w sam raz w ściśle określonym momencie pod koniec posiłku. Płomyki świec chygotały się, ilekroć wkraczała do pokoju z kolejną tacą, kolejną miską, kolejną wazą. Biała kobieta po spróbowaniu każdej nowej potrawy, jaka pojawiała się na stole, rozplątywała się w zachwytach nad talentem kulinarnym Kaukab, czarny cień pod skąpanym w blasku świec biustem podkreślał obscenicznie zarysy jej piersi. Kaukab aż skrećciło ze zgorznienia, kiedy Jugnu jak gdyby nigdy nic cmoknął kobietę w policzek, irytowała ją też wylewność, z jaką Shamas odnosił się do tej białej i do niej; zazgrzytała zębami, kiedy w pewnej chwili zawołał:

— Chodź, usiądź z nami, Kaukab, porozmawiamy. Udowodnimy naszemu gościowi, że Pakistańczycy to najgadatulniejszy naród na świecie. Boże drogi, do samego powiedzenia „witaj”, potrzeba nam aż siedmiu sylab: *As-salam alajkum*.

Kaukab rada była, że nie ma tu Ujali; chłopiec gotów by jeszcze pomyśleć, że to zupełnie normalne, kiedy Pakistańczyk sprowadza do domu białą kobietę i przedstawia ją rodzinie.

I nagle ogarnęła ją panika. Ujala! Biała dziewczyna zabrała jej już jednego syna, czy nie zachodzi czasem obawa, że gdyby Jugnu poślubił tę białą kobietę, Ujala też kiedyś zechce ożenić się z białą? Deszcz za oknem przeszedł w ulewę. Kaukab drżała ze strachu, przysłuchując się odgłosom trwającej przy stole

biesiady — gwar rozmowy, brzęk szklanek, postukiwanie sztućców o talerze: zwyczajne rodzinne spotkanie, można by rzec, tyle że ona — razem ze wszystkim, w co wierzy — jest z niego wykluczona. Rozmawiali po angielsku tak szybko, że niewiele z tego rozumiała. Spróbowała się skoncentrować i lęk, który dotąd odczuwała, zaczął się przeradzać w gniew.

— Przeszedłem na świat w muzułmańskiej rodzinie, ale myliłby się ten, kto by twierdził, że czyni mnie to automatycznie muzułmaninem — mówił Jugnu. — Prawda jest taka, że gdybym żył w czasach Mahometa i ten przyszedł do mnie ze swoim boskim przesłaniem, wzruszyłbym tylko ramionami...

Wstrząśnięta Kaukab nie miała wątpliwości, że to obecność białej kobiety (która tylko uważnie słuchała, nie dorzucając od siebie nic obrazoburczego) prowokuje Jugnu do wygadywania takich rzeczy; może i myślał tak w duchu od dawna, ale odwagą do powiedzenia tego na głos natchnęło go dopiero towarzystwo białej. I widać było wyraźnie, że Shamas również dryfuje w tym kierunku.

Kaukab przyozdabiała właśnie w kuchni sałatkę rzodkiewkami, które wyrzeźbiła czubkiem noża w misterne dwudziesto-płatkowc różyczki, kiedy rozmowę w różowym pokoju zagłuszył nagle śmiech Shamasa i len, podnosząc głos, zawołał do niej w pendżabi:

— Kaukab, naprawdę powinnaś tu przyjść i posłuchać naszego gościa. Powiedziała właśnie coś, co często słyszę od ciebie: „Nie da się ukryć, że próby racjonalnego wyjaśnienia zagadki powstania wszechświata nie dały jak dotąd przekonującej odpowiedzi. Naukowcy codziennie przyznają, że teorie dotyczące tego czy tamtego, które od dawna uważali za niepodważalne, okazały się nieścisle”.

Tak, Kaukab rzeczywiście wytaczała ten argument, stając w obronie religii. Rozpamiętywała jeszcze słowa Shamasa, kiedy ten przeszedł z powrotem na angielski i zwracając się do hialej kobiety, ciągnął:

— Ale ja nadal skłonny jestem wierzyć uczonym, bo oni, w odróżnieniu od proroków, nie twierdzą, że objawiła im się jakaś „ostateczna” i absolutna prawda, lecz przyznają szczerze, że jej dopiero „szukają”.

Nim Kaukab zdążyła ochłonać, Jugnu (zwracając się do Shamasa w pendżabi, co było jeszcze jednym dowodem, że to obecność białej kobiety prowokuje obu braci do wygłaszania takich bluźnierstw) dorzucił:

— Poza tym, stosowanie tych samych co w badaniu wszechświata procedur oraz tego samego intelektualnego i analitycznego reżimu zaowocowało przecież wynalezieniem samochodu, którym dzisiaj jechaliśmy, telefonu, przez który rozmawiamy, samolotów, którymi latamy, odkryciem elektryczności, z której korzystamy. Wierzę w to, co naukowcy mówią o wszechświecie, bo wszędzie wokół siebie widzę namacalne dowody tego, co można osiągnąć naukowymi metodami. I niech nikt ode mnie nie oczekuje, że wezmę za dobrą monetę to, co w siódmym wieku naszej ery miał do powiedzenia o początkach życia jakiś analfabeta, oportunistą, nawiedzony przekupień kaznodzieja — bo żadnym teologiem przecież nie był — z arabskiej pustyni.

Kaukab potrzebowała paru minut, żeby przyswoić sobie w pełni sens tego, co usłyszała, a wtedy pociemniało jej w oczach i musiała przytrzymać się ściany, bo zrozumiała, że mowa tu była o Mahomecie, pokój niech będzie z nim.

Żeby wychwalać takie coś jak elektryczność, pomyślała, zżymając się w duchu, coś, co dzisiaj nawaliło i muszą teraz siedzieć po ciemku!

Tylko patrzeć, jak jej dzieci jeszcze bardziej nasiąkną bezbożnością.

Co by na to powiedział jej ojciec-ji? Pamiętała jeszcze z lat pięćdziesiątych, jaka wstrząśnięta była cała rodzina, kiedy brat oświadczył, że chce się żenić z sikhijką. A przecież sikhowie to lud z subkontynentu, lud, którego zwyczaje, język, kolor skóry i kultura są zbliżone. Kim zaś jest ta biała kobieta? Czy dostatecznie dba, dajmy na to, o czystość: czy wie, że po stosunku płciowym trzeba się obmyć, bo inaczej człowiek pozostaje zbrukany, zanieczyszcza wszystko, czego tknie? A jeśli Jugnu i ta kobieta cudzołożyli dzisiaj w sąsiednim domu i na kolację do niej przyszli prosto z łóżka? Zrobiło jej się niedobrze. I z jej synem, Charagiem, wyprawia się to samo. Dotykała tej białej kobiety i teraz, przed odmówieniem następnej modlitwy, będzie się musiała wykapać i przebrać. Nappełniła miskę *rajta*

i poniosła ją do różowego pokoju. Stawiała właśnie miskę na stole obok wazonu z różami, kiedy włączyli prąd. Shamas zaskoczony nagłym rozblyskiem światła wypuścił z ręki butelkę wina, które rozlało się po dywanie, Kaukab odskoczyła przed rozpryskami tego odrażającego paskudztwa.

A więc raczyli się tu pod osłoną ciemności winem. Kaukab doznała olśnienia: zamierzała jeszcze dzisiaj powiedzieć Jugnu i Shamasowi, co jej obwieścił Charag, w nadziei, że znajdzie u nich choć trochę zrozumienia, ale teraz widziała, jak płonna to była nadzieja — oni nie dostrzegliby w tym nic zdrożnego. Mało tego — jako jedyna w tym domu, która niechętnie patrzy na tę ciężę — zostałaby przez nich uznana za osobę nieludzką, zakompleksioną i nieżyciową. Nie byłoby dla niej żadnym zaskoczeniem, gdyby się okazało, że oni wszyscy wyglądają z utęsknieniem jej śmierci, żeby wreszcie bez skrepowania „cieszyć” się życiem.

Butelka potoczyła się po dywanie i znieruchomiała. Przez chwilę było cicho jak makiem zasiał, potem Jugnu wstał i powiedział:

— Na plamy z czerwonego wina dobra jest chyba sól, prawda?

— Nie wiem — warknęła Kaukab, z trudem hamując wściekłość i odrazę - nigdy nie pozwalałam wnosić tego obmierzłego świństwa pod mój dach. — „Coście jeszcze od niej i jej ziomków podchwycili — cisnęło jej się na usta —czym jeszcze chcecie zarażać moje dzieci?”.

Jugnu nie ruszył się z miejsca, za to Shamas, nie zważając na piorunującą go wzrokiem Kaukab, wstał i podniósł butelkę. Biała kobieta wychyliła się, żeby położyć dłoń na ramieniu Kaukab, ale ta odskoczyła jak oparzona.

— Nie dotykaj mnie, proszę. Niech Allah mi wybaczy, ale nic wiem, gdzie byłaś. — Stała przez chwilę bliska załamania i płaczu, gotowa zmieść wszystko z krzykiem ze stołu na podłogę, potem odwróciła się i ruszyła w stronę kuchni. — Przyniosę *ihhl*. Wyleciało mi zupełnie z głowy, żeby go podać. — Uniosła pokrywkę z garnka i zgryzła ziarnko, żeby sprawdzić, czy *dahl* jest już gotowy do podania; był. Sięgnęła po chochlę i rozejrzała się za naczyniem na *dahl*.

Do kuchni wszedł Shamas.

— Pomyślałem, że nie pogardzą kieliszkiem wina do obiadu — powiedział, stając za nią.

Aha, pomyślała Kaukab. „Nie pogardzą” — jeszcze jedno określenie na pokusy szatana pijanicy!

— Nie chciałem cię zdenerwować.

— Widać, że sam też nie pogardzałeś — rzuciła Kaukab przez ramię do Shamasa i zanurzyła chochlę w *dahl*. — Gęba ci się nic zamyka, używasz mądrych słów, wszystko, żeby się popisać przed tą kobietą.

— Popisywać się? W moim wieku? — Shamas westchnął i słysząc szloch Kaukab, przysunął się bliżej. — I co ja mam ci powiedzieć?

— Nic. Słuchaj, co ja do ciebie mówię.

— Dobrze, będę. Daj, pomogę, ja to zrobię. A ty usiądź, odpocznij. — Chciał jej wyjąć chochlę z ręki, a kiedy go odepchnęła, dodał: — Proszę cię, nie wszczynaj awantur.

— I kto tu kogo traktuje teraz jak dziecko? Ja nic wszczynam awantur, jestem tylko zła. Traktuj mnie poważnie.

— Co ty wyprawiasz? Na miłość boską!

Kaukab, ustawivszy na tacy cztery buty, nalewała do nich *dahl* jak do talerzy.

Uniknęła zbrukanych winem rąk usiłującego ją zatrzymać Shamasa, wniosła tacę do różowego pokoju i z głośnym stukotem — *dharam!* — postawiła ją na stole przed Jugnu i jego białą kobietą.

Kaukab wybiera numer Ujali i wysłuchuje dwóch zdań recytowanych jego głosem przez automatyczną sekretarkę, potem szybko odkłada słuchawkę. I w tym momencie ktoś dzwoni do drzwi.

— Jugnu? — szepce Kaukab pod nosem i na drżących z podniecenia nogach rzuca się przez pokój, żeby otworzyć. *Ujala? Charagz synkiem? Mah-Jabin?* - ale to tylko kobieta z sąsiedztwa, swatka, przyszła zapytać, czy Kaukab nie ma czasem chusty, która pasowałaby kolorystycznie do musztardowego kompletu *szalwar-kamis*, który ze sobą przyniosła.

— Chciałabym pożyczyć tylko na jeden dzień, Kaukab — tłumaczy — W mojej musztardowej chuście mole wyżarły dziury wielkie jak drosy, a nie mogę znaleźć innej w takim odcieniu.

— Chyba mam na górze chustę w takim kolorze. Ale z szydełkowanymi brzegami... to chyba nic problem, prawda? Rządek małych pięciopłatkowych kwiatków. Nie rzuca się w oczy.

Kaukab zostawia paplającą najętą swatkę u stóp schodów, a sama wchodzi na górę do sypialni, zabierając ze sobą musztardowe *kamis*. Chusta to oczywiście pretekst. Kobieta chce porozmawiać o aresztowaniu braci sklepikarki Chandy.

— Powiadają, siostro-ji — woła Kaukab z góry — że policji pomógł przypadek. Setki godzin dochodzenia i sprawa nie rusza z miejsca, aż tu się raptem okazuje, że punktu zaczepienia należało szukać nie w Anglii, lecz w pakistańskiej wiosce, z której pochodzą rodzice Chandy. Jeden biały detektyw sierżant stąd, z Dašte-Tanhai, poleciał do tej wioski przesłuchać świadków w jakiejś sprawie o oszustwo, zupełnie niezwiązanej z „domniemanym” zabójstwem kochanków. Mówię „domniemanym”, bo nie wierzę, że Jugnu i Chanda nie żyją. I usłyszał tam przypadkiem, że bracia Chandy zwierzyli się ze wszystkiego swoim krewnym z tej wioski. Po powrocie do Anglii powiedział o tym swoim kolegom i ci wybrali się do Pakistanu zebrać zeznania. Siostro-ji, biała policja interesuje się nami, Pakistańczykami, tylko wtedy, kiedy trafia się okazja do wykazania, że jesteśmy dzikusami, którzy mordują swoich synów i córki, braci i siostry.

Swatka mruży oczy.

— I pomyśleć tylko, że polecili aż do Pakistanu, żeby przypiąć nam łatkę pakistańskich morderców. Jeden bilet kosztował ich czterysta sześćdziesiąt pięć funtów, pięćset dziesięć, jeśli nie chcieli czekać w Katarze całą noc na przesiadkę i polecili bezpośrednim rejssem.

Kaukab schodzi z chustą.

— Wiem, że bracia Chandy są niewinni, bo ci, którzy popełniają przestępstwa w obronie honoru, sami się do tego przyznają, dumni, że wypełnili swój obowiązek. Przez myśl im nie przej-

dzie, żeby się wypierać albo ukrywać. Jestem pewna, że po tym grudniowym procesie wypuszczą ich na wolność. Swatka kiwa zapamiętałe głową.

— A skoro już mowa o Chandzie: Jakaż to była bezwstydną dziewczyna, siostró-ji, jaka bezczelna. Nie dość, że wprowadzając się do biednego Jugnu, wydała na niego wyrok śmierci, to jeszcze zrujnowała życie swoim nieszczęsnym braciom, którzy musieli go zabić — oczywiście, jeśli to zrobili. Miejmy nadzieję, że ich w grudniu uniewinnią. Ale jednego wciąż nie mogę zrozumieć: jak brat-ji Shamas mógł dopuścić, żeby tych dwoje żyło w grzechu? I jak ty, Kaukab, mogłaś to tolerować, ty, która jesteś córką imama, urodziłaś się i wychowywałaś w meczecie?

Swatka przykłada swoje musztardowe *kamis* do chusty, którą zniosła z góry Kaukab.

— Pasuje idealnie, Kaukab. — Przesuwa chustą po grzbiecie dłoni. — To nie żorzeta. Szyfon?

Kaukab kiwa głową.

— Japoński. Ze sklepu przy Ustad Allah Bux Street, i nawet tamtejsi Pakistańczycy nie są z naszej części Pakistanu.

— Byłam niedawno na tej ulicy. Pamiętasz, jak parę lat temu próbowałam ożenić Jugnu z mieszkającą tam dziewczyną? Miała na imię Suraya. Nie? Mniejsza z tym, w każdym razie nic z tego naturalnie nie wyszło i potem znalazłam jej męża w Pakistanie. Niestety jest już z nim po rozwodzie. On się upił i z nią rozwiódł, i chociaż teraz tego żałuje, to ona, żeby wyjść za niego drugi raz, musi wpierw poślubić innego i się z nim rozwieść. Tak mówi prawo ustanowione przez Allana, a kim my jesteśmy, żeby je kwestionować? Biedna Suraya jest z powrotem w Anglii i szukam teraz mężczyzny, który zgodziłby się ją na krótko poślubić.

Gdyby dzieci byty jeszcze w domu albo gdyby Shamas wrócił już z pracy, Kaukab poprosiłaby swatkę o znizenie głosu do szeptu. Tego by tylko brakowało, żeby dzieci usłyszały coś złego o Pakistanie albo Shamas zyskał nowy pretekst do wygłaszania niepoehlebnych komentarzy o islamie i podawania w wątpliwość niepodważalnej wielkości Allana; ale jest w domu sama, pozwala więc kobiecie mówić.

— Odniosę ci ten szal pojutrze — obiecuje swatka, wychodząc około piątej, bo Kaukab musi się już zabrać do gotowania obiadu. Brat-ji Shamas wraca niebawem z pracy... idzie w tym roku na emeryturę, bo ma już sześćdziesiąt pięć lat, i będzie sobie mógł siedzieć z założonymi rękami. — Kobieta śmieje się. — Ale dla nas, gospodyń domowych, nie ma wieku emerytalnego, Kaukab. No, lecę już, bo jeśli jesteś chociaż trochę podobna do mnie, to nie lubisz, jak inna kobieta patrzy ci na ręce, kiedy gotujesz.

*Mung dani.* Płukając *dahl*, Kaukab przypomina sobie tamten katastrofalny wieczór z Jugnu i białą kobietą, *dahl* w butach i siebie błagającą znowu Allaha Wszechmogącego o wybaczenie, że zmarnowała jedzenie, którym On w swojej bezgranicznej szczodrości i dobroci obdarzył takie niegodne jak ona stworzenie. Jest jednak faktem, że tak naprawdę nie pamięta, ani jak napełniała chochlą buty, ani jak niosła tacę na stół. Oprzytomniała dopiero wówczas, kiedy stało się, co się stało; zdębiałc miny Jugnu oraz białej kobiety już dobrze pamięta.

Kaukab pamięta tamten wieczór, jakby czytała o nim w Księdze Przeznaczenia, księdze, w której anioły zapisują raz w roku, co spotka każdą istotę ludzką w ciągu najbliższych dwunastu miesięcy: kto umrze, kto będzie żył, kogo opuści szczęście, kto znajdzie miłość — dyktuje im to Allah, schodząc specjalnie w tym celu na jedną noc z siódmego do pierwszego nieba, tego najbliższego ziemi.

Allah dał jej wszystko, co posiada, jak więc Kaukab mogłaby nie dziękować Mu w każdej minucie dnia za to, czym ją obdarował, jak mogłaby nie dokładać wszelkich starań, by jej dzieci wyrosły na Jego wierne sługi, i jak mogłaby się godzić na małżeństwo Jugnu z białą kobietą, albo później patrzeć przez palce, że Jugnu żyje w grzechu z Chandą? Dla ludzi z Zachodu występki, który nie czyni szkody innemu człowiekowi albo szerszej grupie społecznej, nie był żadnym występkiem, ale dla niej — dla wszystkich muzułmanów — liczył się zawsze ktoś jeszcze — Allah; a Jemu postępowanie Chandy i Jugnu sprawiało ból.

Kaukab stawia *mung dahl* na kuchence, dodaje kurkumy, soli i sproszkowanego czerwonego chili i kręci głową, wspominając,



jak się zakończyła cała ta awantura z białą kobietą Jugnu. Po tamtej kolacji Jugnu przez mniej więcej dwa tygodnie unikał Shamasa i Kaukab, ale oboje słyszeli przez ścianę, jak się sprzecza z białą kobietą, i pewnego razu Kaukab zobaczyła ją całą we łzach, wychodzącą z domu Jugnu. Potem nastąpiło kilka tygodni ciszy i Kaukab już wiedziała, że Jugnu zerwał z tą kobietą, ale do nich wciąż nic zaglądał; informacje o nim wyciągała od Shamasa. Ujala wyprowadził się niedawno z domu (na zawsze — jak się z biegiem lat okazało) po kolejnej kłótni z Kaukab, toteż jedynym źródłem informacji o Jugnu był dla Kaukab Shamas. I to on powiedział jej pewnego dnia, że Jugnu zszedł się znowu z białą kobietą, i również Shamas — z pobladłą twarzą i paniką w głosie — powiedział jej kilka dni później, że Jugnu leży w szpitalu pod kroplówkami z glukozy, a do żyły wstrzykują mu co kilka godzin środek przeciwbólowy.

— A żeby tę zapowietrzoną kobietę, tę całą zapowietrzoną, zbereźną, rozwiązała rasę! — syczała Kaukab, siedząc przy łóżku Jugnu w szpitalu. Okazało się, że kobieta po zerwaniu z Jugnu postanowiła wyjechać na krótki urlop, na tym urlopie upiła się pewnego wieczoru i poszła do łóżka z kimś, kto ją zaraził wstydliwą chorobą prostytutek, którą z kolei ona, po powrocie do Anglii, nieświadomie zaraziła Jugnu, kiedy zaczęli się znowu spotykać. Chorobę wykryto nie tylko w męskości Jugnu, ale również w jego przetyku, i Kaukab mdliło na samą myśl, jakim sposobem musiała się tam zalegnać. Co za bezecne praktyki, co za bezbożność! Choroba była ani chybi przejawem gniewu Allaha i karą za takie wyuzdanie.

Kiedy po ośmiu dniach pobytu w szpitalu Jugnu wrócił do domu, Kaukab otoczyła go troskliwą opieką; posłała sobie nawet na podłozie i spała przy jego łóżku na wypadek, gdyby czegoś w nocy potrzebował. Jugnu błagał, żeby o tym, co mu się przytrafiło, nie powiadamiać Ujali, ale tego akurat Kaukab nie była mu skłonna obiecać: chłopiec od czasu wyprowadzki nie dawał znaku życia i Kaukab w skrytości ducha cieszyła się — niech Allah jej wybaczy! — że Jugnu jest tak poważnie chory; chłopiec na wieść o tym z pewnością rzuciłby wszystko i odwiedził uwielbianego wuja. W końcu jednak doszła do wniosku, że wolę Jugnu wypada uszanować. Powiedziała mu tylko, że

gdy tylko dojdzie do zdrowia, od razu musi odnaleźć Ujalę i sprowadzić go na łono rodziny.

I powiedziała mu jeszcze prosto w oczy, że nie uwierzyła, kiedy powiedział, że jego biała kobieta zaraziła się tą chorobą w Tunezji.

— Ona łże — orzekła z przekonaniem. — Tunezja to kraj muzułmański. Musiała pojechać na urlop gdzie indziej, do jakiegoś kraju, w którym mieszkają biali albo niemuzułmanie. Próbuje oczernić naszą wiarę.

Podczas rekonwalescencji szwagra Kaukab starała się nie wpuszczać pod swój dach kobiet z sąsiedztwa, żeby jakieś nieopatrzne słowo rzucone przez kogoś z domowników nie zdradziło prawdziwej natury niedomagania Jugnu.

Kobiety z sąsiedztwa. Kaukab stoi teraz w kuchni, wygląda przez okno i słyszy zewsząd ich głosy. Ależ tu hałaśliwie — nawet żuty banan zdaje się chrzęścić w zębach, a ptasie swary łatwo pomylić z kłótniami międzyrasowych małżeństw. Podnoszenie głosu to konieczność, ponieważ sąsiedzi po latach pracy w fabrykach są przygłusi, a herbatę miesza się tu tak, jakby na dnie filiżanek zalegał żwir, a nie kryształki cukru. Ale w tej dzielnicy bywa również cicho; ludzie skrywają swoje tajemnice, nie uzewnętrzniają bólu rozsadzającego pierś. Wstyd, poczucie winy, honor i strach są jak kneble w ustach. Nikt nie chce ściągać na siebie uwagi. Wszyscy nabierają wody w usta. Wszyscy wstrzymują oddech. Na każdym kroku można się tu potknąć o tajone sekrety i problemy zamiatane pod dywan.

Kaukab słyszy głosy kobiet. Jedna przeklina wynalazcę koła i dzień, kiedy jej noga stanęła na angielskiej ziemi, w tym przebrzydłym kraju, który skradł jej córkę. Teraz nieposłuszna dziewczyna nie chce jechać w odwiedziny do Pakistanu, bo tam mężczyźni i kobiety nie mają równych praw.

— Wszystko zależy od tego, czy jest się mężczyzną, czy kobietą, mamó, a żebyś nie miała wątpliwości, jaką jedną wielką kloaką jest ten kraj, już na lotnisku dają ci odczuć, że wylądowałaś po uszy w gównie.

Kobiety są marzyc i elkami. Nie, ich synowie na pewno nie zostaną piłkarzami Manchester United. Jeśli tak bardzo interesuje ich ta drużyna, mogą zostać jej lekarzami.

Kaukab, uosobienie osamotnienia, czekając na powrót Sha-masa, przypomina sobie, jak to chrypiące komunikatami głośniki na dworcu autobusowym nasuwają jej na myśl Pakistan i nawoływanie do modlitwy płynące z meczetowego megafonu. Wie od znajomych kobiet, że im też zdarza się ulegać temu złudzeniu. Jedna przyznała, że łzy napływają jej wtedy do oczu, bo uświadamia sobie, że pewnie już nigdy nic wróci na stałe do kraju ojców (zapłaciła właśnie w swoim meczecie pierwszą z comiesięcznych składek na poczet pochówku), kraju, który jest tak biedny, bo biali ograbili go z całego bogactwa, od diamentu Koh-i-Noor poczynając. Ilekroć jednak program telewizyjny przerywany jest nieplanowanymi „wiadomościami z ostatniej chwili”, każdej kobiecie z dzielnicy serce przestaje bić, bo spodziewa się usłyszeć, że rząd podjął decyzję o wydaleniu z Wielkiej Brytanii wszystkich emigrantów z Azji, tak jak zrobiła to przed dwudziestu laty Uganda, i chociaż serca zamierają im na moment, to nie zamierzają poddawać się bez walki; zgoda, powiedzą, z ochotą wrócimy do siebie, ale niech królowa odda nam w pierw nasz koh-i-noor.

I tak Kaukab czekająca na powrót Shamasa słyszy również, jak kobiety rozmawiają o niej i o Shamasi, o tym, jak Shamas zaparł się, że zostanie w tej dzielnicy, chociaż stać go na przeprowadzkę do lepszej. Biali wynosili się stąd na bogate przedmieścia już pod koniec lat siedemdziesiątych. Pierwszą grupą imigrantów, jaka w ciągu dziesięciu lat poszła w ich ślady, byli Hindusi, potem, powoli, rok po roku, adres zmieniło paru Pakistańczyków. Lekarze, prawnicy, księgowi, inżynierowie wyprowadzili się już na przedmieścia i w dzielnicy zostali tylko ci Pakistańczycy, Banglijczycy oraz garstka Hindusów, którzy pracują w restauracjach, są kierowcami taksówek i autobusów albo bezrobotnymi.

No i został jeszcze dobry brat-ji Shamas — myśli niejedna kobieta, gotując obiad — a przecież pracuje w biurze i na pewno mógłby się stąd wyprowadzić dziesięć razy, gdyby tylko zechciał. Ale on nie należy do tych, co uważają, że każdy ma za oknem taki widok, na jaki sobie zasłużył, bo nikt nie zasłużył sobie na życie w tej zatraconej dzielnicy —jedna próba samobójcza na rok, dwudziestu dziewięciu zarejestrowanych obłą-

kanych i tyle włamań co miesiąc, że kobieta każdego wieczoru wyłącza z kontaktu odtwarzacz wideo, na który odkładała dwa lata, zabiera go ze sobą na górę do łóżka i leżąc z otwartymi oczami, czeka z duszą na ramieniu na brzek tłuczonej na dole szyby, a jednocześnie zastanawia się, gdzie też podziewają się jej dwaj synowie, bo sprawcami kradzieży są coraz częściej synowie samych imigrantów, niemal co do jednego niepracujący.

Za ścianą sąsiadka tej kobiety zastanawia się tymczasem, dlaczego jej dzieci nazywają Bangladesz „zagranicą”, skoro Bangladesz to żadna zagranica. Zagranicą jest Anglia; Bangladesz jest ich ojczyzną.

Kaukab słyszy teraz, jak kobiety plotkują o Jugnu, którego wszystkie z miejsca pokochały i które zachęcały swoje dzieci do przebywania w jego towarzystwie, bo był wykształcony i a nuż przejdzie na nie choć cząstka jego inteligencji, o Jugnu, który mieszka! dłuższy czas w Rosji i w Stanach Zjednoczonych i jeździł łapać motyle do zachodnich Chin, Indii, Peru i Iranu. Opowiadał dzieciom z sąsiedztwa, że raz widział w Oklahomie, jak biały z początku lej trąby powietrznej robi się czerwony niczym to jabłko, wsysając szkółkę geranium. A dzieci pytały, dlaczego nie poczekał, aż trąba powietrzna przejdzie nad fabryką farb, bo one na pewno by poczekały.

Kobiety rade były, że ich dzieci spędzają tyle czasu z takim światowym człowiekiem, zaczepiały Jugnu na ulicy, żeby mu powiedzieć, jak się cieszą, że jest wśród nich, i upominały delikatnie, żeby nie mówił dzieciom, że w Biblii jest coś o motylach, bo to może je zainteresować tą księgą i gotowe jeszcze zostać chrześcijanami.

Tak było, ma się rozumieć, zanim zobaczono go po raz pierwszy z białą kobietą, na długo przedtem, nim zaczął żyć w grzechu z córką sklepikarza, Chandą.

Zwracały mu uwagę, że ma rozwiązane sznurowadło, i radziły coś z tym zrobić, bo jeszcze się o nie przewróci. I dopiero później — już w domu — pukały się w czoło, wyrzucając sobie, że w ogóle napomykały o tym przejściu swoich dzieci na chrześcijaństwo, bo właśnie pomieszanie wiar zrujnowało życie ojcu jego brata-ji Shamasa. Ich ojciec przyszedł na świat

w rodzinie hinduistycznej, jako dziesięcioletni chłopiec stracił pamięć i od tamtego czasu wychowywał się wśród muzułmanów. Dopiero jako dorosły mężczyzna przypomniał sobie, kim naprawdę jest, a wtedy było już za późno.

Tak, kiwa głową kobieta, pośród wielu rzeczy, jakie biali ludzie zrabowali z subkontynentu, była skradziona w roku 1919 pamięć dziesięcioletniego chłopca.

Kaukab kończy właśnie modlitwy, kiedy w zamku drzwi frontowych zgrzyta klucz Shamasa. Ten odgłos przypomina jej dzień, w którym Jugnu przyprowadził na kolację białą kobietę, i dochodzi do wniosku, że awaria elektryczności, która pogrążyła w ciemnościach cały dom w momencie, kiedy kobieta przekroczyła próg, była znakiem od Allaha.

## *Kobiety z ogonami*

Shamas nie pamięta swoich snów, ale w niektóre, takie jak ten poranki, budzi się z jakąś powściągliwością w ruchach i stąd wie, że do jego snów wkradł się znowu ojciec, wkradł się jak kochanka z dawnych lat, którą ruguje się z myśli na jawie, przychodzi więc we śnie złożyć w podświadomości kwiat, bo nie chce zostać zapomniana.

Niedzielny poranek. Shamas jest sam w niebieskiej kuchni i rozpamiętuje okoliczności, w jakich jego ojciec przeszedł na islam, a można je porównać z jednej strony do snu, z drugiej do sennego koszmaru. Był rok 1919, ojciec, wówczas dziesięcioletni chłopiec z hinduistycznej rodziny, wybrał się z siostrą zobaczyć na własne oczy dziw nad dziwy — kobiety z ogonami.

W Indiach z czasów władzy brytyjskiej białe kobiety swoimi strojami dawały niedwuznacznie do zrozumienia, że ani myślą się integrować. Niektóre Brytyjki jeszcze w dwudziestym wieku wbijały się wciąż w niewygodne i krępujące ruchy gorsety, chociaż te w Anglii dawno już wyszły z mody. A w dziewiętnastym wieku, czy to w błotnistej i dżdżystej monsun, czy morderczy upał poprzedzających go miesiące, paradowały uparcie w kołyszących się sztywno, udrapowanych na turniurze krynolinach. Miejscowa ludność zachodziła w głowę, co też mogą skrywać pod tymi jardami tkaniny i w końcu po subkontynencie zaczęła się rozchodzić plotka, że białe kobiety mają ogony.

I właśnie po to, żeby je zobaczyć, dwoje hinduistycznych dzieci maszerowało pewnego wiosennego popołudnia 1919 roku

uliczkami swojego rodzinnego miasteczka Gudźranwala w stanie Pendżab. Brat naprawdę był jeszcze dzieckiem, siostra, choć starsza od niego o trzy lata, miała jeszcze w sobie tyle dziecięcej ciekawości świata, że zgodziła się wziąć udział w tej wyprawie.

Jakiego rodzaju ogon może mieć biała kobieta? — spekulowali podekscytowani. Taki jak paw, co to potrafi się nastroszyć i rozpostrzeć w olbrzymi wachlarz z pięciuset piór? Czy raczej króciutki, rozedrgany, jak u łani, naszpikowany białymi włoskami? Chłopiec - na imię miał Deepak, ale nim skończy się dzień, nie będzie pamięta! ani swojego imienia, ani w ogóle nic — wysunął przypuszczenie, że ten ogon jest pewnie długi i mocny, żeby meni sahib, kiedy unosi nogi przy ściąganiu butów, mogła się na nim wesprzeć jak kangurzyca. Dziewczynka— Aarti - strasznie chciała, żeby się okazało, że ogon jarzy się w ciemnościach jak świetlik — falbaniaste, suto marszczone suknie nieodparcie przywodziły na myśl abażur i dzieci, zanim doszły do stacji pocztowej — bungalowu, w którym zatrzymywali się na odpoczynek biali ludzie podróżujący przez Gudźranwalę — zdążyły się dwa razy pokłócić i trzy pogodzić. Stację pocztową otaczały z trzech stron gaje malinowych pomarańczy, z których sływał region, i podobno sahibowie przelazili w środku nocy przez graniczny mur po te pomarańcze, a potem wyciskali z nich sok do swoich napitków. Powietrze przesycone było tutaj tak intensywną wonią, że zimą wystarczyło złowić na zewnątrz pojedynczy kłaczek mgły i rozmieszać go w szklaneczce, by uzyskać smak jak z sześciu części owocu.

Był kwiecień, wtorek. Szakale i wilki z pobliskiej dżungli wyły przez całą noc z niedzieli na poniedziałek, podniecone zapachem ciepłej ludzkiej krwi, który wiatr przynosił do Gudź-ranwali z odległości czterdziestu mil. W poniedziałek przed świtem ludzie też już wiedzieli: w Dżallianwallah Garden w Amritsarze zastrzelono setkę mężczyzn, kobiet i dzieci.

Wzburzeni tą wieścią mieszkańcy Gudźranwali obrzucili kamieniami pociąg, podpalili mosty kolejowe i kilka *budynków* przy szlaku Grand Trunk Road przebiegającym przez miasteczko — biuro telegrafu, sąd okręgowy, poczta oraz hinduski kościół chrześcijański spłonęły do szczętu. Zaatakowany biały

inspektor policji uszedł z życiem tylko dzięki temu, że kazał swoim ludziom otworzyć ogień do uczestników zamieszek.

Dzisiaj był wtorek i dymy już się rozwiały, ale na ulicach nadal było niebezpiecznie. Nikt wciąż nie wiedział, co się konkretnie wydarzyło i dzieje w Amritsarze, i kobiety, które miały tam krewnych, już drugą noc lamentowały, przewidując najgorsze. Hindusi, muzułmanie i sikhowie zapomnieli, co ich różni, i powstali ramię w ramię, a Brytyjczycy wiedzieli z doświadczenia, że taka zbiorowa amnezja niczego dobrego nie wróży. Uliczka, którą wędrowały dzieci, rozwidlała się i kiedy Aarti powiedziała, że muszą skrócić w drogę odbiegającą w lewo, Deepak przyłożył dłoń do piersi — to był najprostszy sposób na odróżnienie strony lewej od prawej, wystarczyło pamiętać, że lewa to ta, po której znajduje się serce.

Kiedy mijali niebieski dom z trzema drzewami figowca rosnącymi na podwórku, poszukał ręką dłoni siostry, bo dalej nigdy się jeszcze nie zapuszczał i od tego miejsca zaczynało się dla niego niezbadane terytorium. Wkrótce również Aarti znalazła się na nieznanym sobie terenie, wzięła więc Deepaka za rękę, by czerpać i zarazem przekazywać odwagę. Wędrowali teraz, kierując się już tylko wskazówkami z zasłyszanych opowieści i pogłosek (nieświadomi, że z każdym krokiem coraz bliżej im do kart historii).

Trafili, ale na końcu ścieżki biegnącej między dwoma rzędami pomalowanych na jasnozielono kamieni, gdzie miał się wznosić bungalow stacji pocztowej, zobaczyli jedynie rysujące się czernią na tle nieba zgliszcza; z wczorajszego pożaru ostał się tylko szkielet budynku. Ściany i dach strawione przez ogień zawaliły się, zaścielając ziemię czarnym pogorzeliem. Szkielet bungalowu przypominał dzieciom domek, który ojciec narysował kiedyś kawałkiem węgla na podłodze, mówiąc, że buduje im taki. I zbudował, ale rodzina ojca zabrała go potem owdowiałej matce, pozostawiając ją bez dachu nad głową, zmuszoną zdać się na łaskę i niełaskę brutalnego męża siostry.

Deepak i Aarti okrążyli spaloną stację pocztową. Deepak starał się nie okazywać, jak jest rozczarowany. Kiedy tu szli, kobiety z ogonami wydawały mu się tak realne, że niemal widział wokół siebie ślady ich stóp, ale teraz te zjawy się rozwiały.



Aarti zauważyła, że brat jest bliski płaczu, a ponieważ nie mogła mu zaproponować zakradnięcia się do gaju pomarańczowego — za murem słyhać było mężczyzn kopiących rowy nawadniające — spróbowała go pocieszyć, odtwarzając wygląd bungalowu stacji pocztowej na podstawie rozrzuconych po pogorzelsku szczątków. Tam u góry był balkon opleciony pnączami ketmii, a tu na dole wyłożona kafelkami weranda ocieniana przez drzewko plumcrii czerwonej, której liście mają kształt baranich uszu. Gdziekolwiek spojrzeć, skrzyły się odłamki barwionego szkła — czerwone, niebieskie, szmaragdowe. Gwałt odcisnął się gwałtem, ogień uwolnił setki niebezpiecznych, ostrych jak brzytwa krawędzi, których każda szyba, dopóki nie zostanie rozbita, więzi w sobie multum. W bijącym od pogorzelska żarze, masło, którym powleczona była skóra Deepaka, zaczynało wydzielać ostry zapach. Przed wyruszeniem na spotkanie przygody chłopiec nasmarował się nim, żeby zwiększyć swoje szanse na ucieczkę, w razie gdyby ktoś chciał go złapać; złodzieje i włamywacze, zanim weszli do domu lub pociągu, też natłuszczali ciała, żeby utrzymać ich było tak samo trudno jak rybę czy pestkę melona.

Skórę Deepak miał dziobatą po przebytej w niemowlęctwie ospie i kiedy stał w kuchni, nacierając się masłem, Aarti żartowała, że dla niej już masła nie starczy. Ledwie sama zaczęła smarować sobie rękę, przyłapał ich na gorącym uczynku wuj. Krzyki bitych dzieci obudziły z drzemki matkę i ciotkę, ale ich apele o umiarkowanie w wymierzaniu kary nie odniosły skutku. Mało tego, wuj uwięził obie kobiety w izbie na tyłach domu, przytrzaszkując im warkocze ciężkim wiekiem skrzyni, którą następnie zamknął na klucz. Chowając klucz do kieszeni, z mściwym uśmiechem na wargach napawał się widokiem dwóch siedzących na podłodze, roztrzęsionych, pozbawionych możliwości ruchu kobiet, jednej ciemnoskórej, drugiej jaśniejszej — z tą pierwszą był żonaty, drugą pragnął kiedyś poślubić, ale nie został uznany za godnego konkurenta, bo taką jasnoskórą piękność dostać mógł tylko bogaty mężczyzna. Teraz, kiedy ten bogaty mężczyzna już nie żył, na niego spadł obowiązek ubierania, karmienia i zapewniania dachu nad głową jej i jej dzieciom — tej zasmarkanej córeczce, którą zamierzał wydać

za pierwszego bezżebnego mężczyznę, jaki się napatoczy i poprosi o jej rękę, im biedniejszego, tym lepiej, pomimo że odziedziczyła jasną karnację po matce, i temu synaikowi — bękartowi, którego matka chciała kształcić, chociaż wszyscy widzieli, że to ulicznik i jeśli się kiedyś na kogoś wykształci, to tylko na kieszonkowca.

Przeciagnął dzieci przez podwórko i wypchnął je za furtkę, głuchy na błagania uwięzionych na tyłach domu kobiet, żeby się opamiętał, bo dzisiaj na ulicach może dzieciom grozić n i ebezpie eczeń stwo.

Ich obawy były w pełni uzasadnione. Wieść o masakrze w Amritsarze rozchodziła się lotem błyskawicy i w prowincji wybuchały zamieszki. W ogniu stały wszystkie miejskie ośrodki w okręgu Gudżranwala — Ramnagar, Sangla, Wazirabad, Akal-garh, Haftzabad, Szejchupuru Cuharkana. Rebelia rozszerzyła się również na północ, wzdłuż linii kolejowej do Gudżaratu, oraz na zachód do Ljaipuru.

Prośby o wsparcie płynące z Gudżranwali stawiały gubernatora Pendżabu, sir Michaela O'Dwyera, w trudnym położeniu: wysyłając kontyngent żołnierzy, uszczupliłby w znaczący sposób siły garnizonów w Amritsarze i Lahaurze, gdzie wojsko też miało pełne ręce roboty. Zwrócił się do Królewskich Sił Powietrznych i przydzielono mu trzy dwupłatowce BE2C z pierwszej wojny światowej, każdy uzbrojony w karabin maszynowy Lewis i dziesięć dwudzicstofuntowych bomb.

Dowodził nimi kapitan D. H. M. Carberry, ten sam, który z rozkazu generała Dyera odbywał w niedzielę lot rozpoznawczy nad Amritsarem i zameldował o odbywającym się w Dżallian-wallah Garden wiecu tubylców. Zgodnie z instrukcjami, jakie otrzymał na to wtorkowe popołudnie, miał nie zrzucić bomb na Gudżranwalę, „jeśli nie okaże się to konieczne”, za to bombardować wszelkie liczniejsze zgromadzenia na otwartej przestrzeni i rozpędzać wszelkie pochody zauważone w pobliżu okolicznych wiosek, gdyby kierowały się w stronę miasta.

Aarti i Deepak — oraz mężczyźni pracujący za murem w gaju pomarańczowym — usłyszeli najpierw warkot silnika dwupłatowca i śpiew wiatru w zastrzałach, a potem zobaczyli samą maszynę sunącą na wysokości trzystu stóp nad ziemią. Prąd

powietrza wywoływany przez śmigło podsycił żar w kilku węgielkach tłących się jeszcze w dogasającym wokół dzieci pogorzeliśku.

Deepak domyślił się od razu, że to *hawai-dżahaz*, statek powietrzny.

Słyszał o tych latających maszynach od muzułmańskich i sikhijskich kolegów, których ojcowie walczyli za króla na wojnie we Francji.

Samolot zbliżał się, rosnąc szybko w oczach, przeleciał im nad głowami i zaczął maleć. Cztery sterczące na boki płaty — po dwa z każdej strony kadłuba — były poziomymi żaglami statku powietrznego, a krzyżujące się druty między nimi — olinowaniem tych żagli. Deepak nie miałby nic przeciwko temu, żeby statek rzucił kotwicę, bo chętnie by go z bliska obejrzał, ale ten znikł mu z oczu tak samo szybko, jak się pojawił.

Stado kruków, skłonnych do wszczynania rabanu z najbliższego powodu, z głośnym krakaniem wzbilo się w powietrze.

Kropelki potu, ześlizgując się po ramieniu Aarti, pokonywały natłuszczony kradzionym masłem pas skóry tuż nad nadgarstkiem takimi samymi meandrami, jak w drodze przez obszary nieposmarowane, ale szybciej, jak kobra, która opuszcza wyschniętą ziemię, by przepłynąć na drugą stronę rzeki.

Cień powracającego samolotu spłynął po murze granicznym stacji pocztowej i falując na łagodnych nierównościach terenu, zbliżał się niczym niepowstrzymana kałuża brudnej wody.

Leciał teraz niżej i Aarti odniosła wrażenie, że zanim się tu pojawił, była jakby wyższa.

Może stalowy ptak wyciągnie zaraz z gracją dwie nogi jak bocian i usiądzie na drzewie *dhrake*, pomyślała, i w tym momencie drzewo stanęło niespodziewanie w ogniu.

Czerwona lilia wyrosła jej na ramieniu.

Świat zawirował i rozmazał się przed oczyma dziewczynki, jak oglądany z nabierającej szybkości karuzeli; poczuła się nagle tak zmęczona, że musiała usiąść pod murem, przy którym nie wiedzieć jak i kiedy się znalazła. Powieki same jej opadły.

Deepak, porwany przez jakąś potężną siłę i wyrzucony wysoko w powietrze, patrzył przez chwilę ze zdumieniem na

oddalając się od niego ziemię, czując zapach rozcinanych pomarańczy i wgryzający się w ciało żar płonących mu na głowie włosów. Potem wszystko zapomniał.

Podmuch rozrywającej się bomby wymiół jego pamięć do czysta.

Shamas patrzy przez okno na śnieg zalegający na ulicy, słyszy krzątającą się po kuchni Kaukab.

W powszechnej opinii cała odpowiedzialność za masakrę w Dżallianwallah Garden w 1919 roku spadała na sir Michaela O'Dwyera, ówczesnego gubernatora Pendżabu. Dwadzieścia jeden lat później, w marcu 1940 roku, zastrzelił go w Londynie Udam Singh, który jako dziecko został w tej masakrze ranny; za to morderstwo powieszono go w Pentonville.

Ale jedna z historii, którym początek dało zbombardowanie Gudżranwali przez RAF dwa dni po masakrze w Dżallianwallah Garden, miała znaleźć swój finał — równie tragiczny — znacznie później niż po dwudziestu jeden latach.

Mały Deepak wałęsał się przez rok od prowincji do prowincji, aż w końcu trafił do świątyni pod wezwaniem jakiegoś muzułmańskiego świętego, na której dziedzińcu bito wieczorami w obciągnięte skórą bębny z takim zapamiętaniem, że doboszom często zapalały się dłonie rozgrzane tarciami o pałki. Przygarnięto go lam i nadano imię Chakor, bo był wyraźnie zafascynowany księżycem, a *chakor* to księżycowy ptak, o którym powiadają, że żywi się księżycową poświatą, a w księżycowe noce wlatuje coraz to wyżej i wyżej, aż w końcu wyczerpany, bliski śmierci, spada o świcie na dachy i podwórka domów. *Chakor* jest dla księżyca tym, czym ćma dla płomienia.

— Pasujemy do siebie imionami — powie potem jego przyszła żona, kiedy w 1922 roku pozna ją w świątyni. — Mnie na imię Mahtaab. Księżyc.

Shamas przechodzi do różowego pokoju, bierze z półki album ze zdjęciami ojca i matki i otwiera go. Bardzo się kochali, nawet w podeszłym już wieku.

— No, przyprowadźcie tu swoje żony i każcie im stanąć obok mojej kobiety — mawiał Chakor do Shamasa i jego

starszego brata, uśmiechając się szelmowsko. — Zobaczycie, że jest z nich najpiękniejsza, chociaż najstarsza.

Oczy Mahtaab na tych niewyraźnych, ziarnistych fotografiach błyszczą oślepiająco — to światło, które dociera do teraźniejszości z minionych lat, podobnie jak do Ziemi wciąż dociera światło gwiazd, które dawno już się wypaliły.

Shamas odstawia album na półkę, obok książki o motylach, którą Jugnu sprezentował kiedyś swoim bratanekom i bratanicy; dzieci przez cały tamten dzień cytowały sobie nawzajem jej fragmenty.

Gładzi przez chwilę grzbiet książki o motylach, po czym wraca na swój fotel i sięga po gazetę. Przez cały ranek wspominał rodziców, pewnie pod wpływem jakiegoś snu, który musiał mu się przyśnić w nocy, a za godzinę pójdzie do urdyjskiej księgarni nad jeziorem, nieopodal ksylofonowego nabrzeża; spędza w niej większość wolnych weekendowych godzin.

Kaukab wchodzi z kuchni z tacą siada naprzeciwko. Pośrodku tacy leży mała, nieokreślonego kształtu kupka płaskich, okrągłych, czarnych nasion *masar* wielkości kamyków na plaży. Przed ugotowaniem trzeba je najpierw dokładnie oczyścić, a potem moczyć przez kilka godzin. Ostatnio — nie tyle z poświęcenia dla własnej rodziny, ile z racji faktu, że rozpacz matki Chandy napelnia ją wstydem i poczuciem winy — Kaukab zaczęła chodzić do sklepu spożywczego przy Laila Khalid Road, odległego o dwadzieścia minut drogi. Wstydzi się, bo za nieszczęście, jakie spadło na tę kobietę, częściowo — nie, nie częściowo, całkowicie — odpowiedzialny jest jej szwagier Jugnu.

Chandę, dziewczynę, której oczy zmieniały kolor z porami roku, wysłano w wieku szesnastu lat do Pakistanu, by poślubiła tam kuzyna, któremu została przyobiecana, kiedy była jeszcze dzieckiem. Małżeństwo to przetrwało zaledwie rok. Matka Chandy bardzo przeżyła wiadomość o rozwodzie. Na szczęście inny kuzyn z Pakistanu ulitował się i zgodził pojąć dziewczynę za żonę, pomimo że nie była już dziewicą. Ale on też rozwiódł się z nią po kilku miesiącach i Chanda, wróciwszy do Anglii, zaczęła pomagać rodzinie w prowadzeniu sklepu spożywczego. Po jakimś czasie trafił się nielegalny imigrant skłonny ją poślubić, chciał za wszelką cenę uzyskać obywatelstwo brytyj-

skie, nie przeszkadzało mu więc, że była już dwa razy zamężna. Ale człowiek ten zniknął zaraz po zalegalizowaniu swojego pobytu w Anglii. Chanda pozostała jego żoną, bo do rozwodu nie doszło.

Pewnego dnia, a było to w ubiegłym roku, Chandę wysłano do Jugnu — człowieka o świetlistych dłoniach — z zamówionym przez niego telefonicznie anyżkiem gwiazdkowatym, składnikiem pożywki dla motyli, którą sam komponował. Miała dwadzieścia pięć lat, on czterdzieści osiem. Był marzec i wróble zaczynały właśnie powracać do letniego upierzenia po trzy tysiące piór na osobnika, pozbywając się tych pięciuset nadmiarowych piórek, które wyrastają im na początku każdej zimy i chronią przed chłodami. Kwiaty na jabłoniach nic odrzuciły jeszcze muszelkowatych białych płatków. Uczynią to w maju — kiedy Chanda wprowadzi się do Jugnu - - i dopiero na jesieni, kiedy Jugnu i Chanda nie będą już żyli, z tych samych kwiatów wykształcą się dojrzałe owoce, które opadną i będą zalegać pod każdą jabłonią kręgami jasnoczerwonych punkcików aż do tegorocznych styczniowych śniegów.

Jugnu chciał się żenić z Chandą, ale ponieważ Chanda nie miała rozwodu z poprzednim mężem, islam zakazywał jej zawierania kolejnego małżeństwa przed upływem iluś tam lat (konkretnie ilu — czterech, pięciu czy sześciu — zależało od szkoły prawnej). Wszyscy imamowie, z którymi się oboje konsultowali, odpowiadali stanowczo, że jeśli zaginiony mąż się nie odnajdzie i nic da Chandzie rozwodu, będą zmuszeni czekać, aż upłynie określona liczba lat i tamto małżeństwo ulegnie unieważnieniu. Jeśli do tego czasu mąż nie da znaku życia, zostanie uznana za rozwódkę i będzie mogła poślubić, kogo zechce.

Wszystkie te konsultacje prowadzone były, oczywiście, przez wzgląd na rodzinę Chandy oraz na Kaukab. Gdyby Chanda zdołała uzyskać muzułmański rozwód i poślubić Jugnu zgodnie z zasadami islamu, mogliby, nie budząc powszechnego zgorszenia, współżyć ze sobą, pomimo że ona w myśl brytyjskiego prawa wciąż formalnie pozostawałaby żoną innego.

Kaukab potrząsa leciutko metalową tacą, rozprowadzając po niej kupkę nasion *masar*, tak by utworzyły pojedynczą warstwę grubości jednego ziarna, po czym przystępuje do ich przebiera-

nia; ogląda każde uważnie, wypatrując nadżerek poczynionych przez szkodniki, usuwając prawdziwe kamyczki i mikroskopijne odpryski plew. Co jakiś czas unosi głowę, wodzi przez chwilę wzrokiem po pokoju i znowu pochyla się nad tacą. W końcu daje za wygraną i wyciąga rękę.

— Pozwól na sekundkę.

Shamas opuszcza gazetę i spogląda na żonę znad ząbkowanej jak płatek goździka górnej krawędzi strony, potem zdejmuje okulary i wsuwa je w wyciągniętą dłoń Kaukab.

Lubią spędzać w tym pokoju weekendy, prawie się nawzajem nie zauważając; kiedy któreś wychodzi na jakiś czas za swoimi sprawami, drugie rejestruje to ledwie na peryferiach świadomości. Ślady spędzonego tu dnia usuwane są wieczorem i różowy pokój — wypełniony książkami w pięciu językach — staje się znowu wzorem ładu i harmonii, jak instrument muzyczny po ponownym nastrojeniu.

— Spójrz, co znalazłam. — Kaukab skończyła przebieranie, zdejmuje okulary. — Nasiono *rawan*. Patrz. — Na jej dłoni połyskuje niebieski paciorek, spod złuszczonej zewnętrznej powłoki przebiera żółtawe wnętrze. — Na paczuszce było napisane *Product of Italy*. Z tego by wynikało, że we Włoszech uprawiają *rawan*. Czy z Włoch daleko do Pakistanu?

Podaje ziarenko Shamasowi, a ten, nie spoglądając nawet na nie, uśmiecha się i chwytają za rękę. Gładząc drugą dłonią nadgarstek i wsuwając palce pod rękaw, stara się zajrzeć jej w oczy.

Kaukab jest wstrząśnięta tą pieszczotą, wie, że od tej chwili nie wolno jej na niego popatrzeć — ale on dalej ściska znacząco jej dłoń i nie zważając na zdecydowany opór, jaki mu stawia, próbuje przyciągnąć do siebie. Był czas, kiedy potrafiła stanąć nad nim rankiem i skręcając mokre włosy w długą na jard linę, skropić mu kropelkami wody twarz, a potem, z przekornym błyskiem w oczach rozbudzić go swoim pachnącym po porannej kąpieli ciałem. Nazywał ją swoją „piękną żoną”, „bohaterką opowieści o swoim życiu”.

Ale teraz? Nie, nie. Są już zbyt posunięci w latach, żeby parzyć się jak zwierzęta. Kaukab słyszała, że wchodząc do domu Shamasa w Sohni Dharti, można było często zastać jego rodziców w łóżku, przytulonych do siebie albo gawędzących

i żartujących, i to przy otwartych drzwiach, na oczach bawiących się na podwórku dzieci. Nie, ona urodziła się i wychowała w meczecie, i takie praktyki w jej domu były nie do pomyślenia.

Shamas puszcza ją z cichym, ledwie słyszalnym westchnieniem zawodu. Siedzą w milczeniu, oboje zawstydzeni, zakłopotani, niepocieszeni.

Niebieskie ziarenko łąduje w szklance na zanieczyszczenia usunięte z *masar*.

— Twój ojciec-ji, niech spoczywa w spokoju, przepadał za *rawan* z plackiem *ćapati* z kukurydzianej mąki, twardym jak tektura. — Kaukab stara się sobie wmawiać, że to trzymanie za rękę nie było ze strony Shamasa próbą nakłonienia jej do cielesnego zbliżenia: całe szczęście, że unikała jego wzroku. Ostatnie potrząśnięcie otwartą grzechotką trzymany na kolanach ziarenek, jeszcze jedno decydujące spojrzenie i Kaukab odstawia tacę na dywan. Dolewa trochę herbaty do mętów na dnie filiżanki Shamasa, wprawia je w ruch wirowy, wylewa do szklanki z zanieczyszczeniami z *masar* i napełnia ponownie czystą już filiżankę. Nie, to dotknięcie nie miało podtekstu seksualnego. W filiżance pływa odprysk drewna sandałowego z podstawki, na której stał ciepły imbryk. — Czy policja już ustaliła, kto w zeszłym miesiącu podrzucił ten... to... to „coś” na próg meczetu? — Kaukab dolewa do herbaty mleka, miesza, potem tłumi powstały wir, jednym okrężnym ruchem łyżeczki w przeciwnym kierunku.

Shamas odpowiada dopiero po chwili:

— Nietrudno zgadnąć, kto to zrobił, ale nie ma dowodu. — W meczecie mieszka pewna młoda Angielka, która przeszła w grudniu na islam, nie bacząc na protesty rodziny oburzonej, że postanowiła zmienić wiarę. Kaukab sączy w milczeniu herbatę. Dręczy ją to tajemnicze zniknięcie kochanków, płacze po Jugnu (może widząc reakcję, jaką wywołuje jego miłość do Chandy, zabrał ją gdzieś i rozpoczęli tam nowe życie?) i po każdej z pięciu modlitw dnia modli się dodatkowo za nich oboje (może przydarzyło się im coś strasznego?), ale wciąż nie wierzy, że bracia Chandy mają z tym coś wspólnego.

W zeszłym roku, kiedy Chanda z Jugnu byli w Pakistanie, Kaukab poprosiła Charaga, żeby przyjechał do Dašte-Tanhai.



Rozstał się już z tamtą białą dziewczyną i Kaukab rozmawiała kilka razy ze swatką o znalezieniu mu porządnej pakistańskiej kandydatki na żonę. Miał dopiero trzydzieści dwa lata, był więc jeszcze młodym mężczyzną — chłopcem prawie — a często się zdarzało, że muzułmanin, który poślubił białą dziewczynę, szybko się z nią rozwodził, przekonawszy się, jak trudna jest we współżyciu i bezwstydna, i żenił się ochoczo z ładną i uległą muzułmanką, najlepiej z pierwszą kuzynką sprowadzoną ze starego kraju. AUah kazał jej zachowywać optymizm: pierwiej niech się zerwie powróż oddechu, niżby miała pęknąć nie nadziei. Charag nie miał w Pakistanie odpowiedniej pierwszej kuzynki, ale z trzech tuzinów dziewcząt, o których opowiedziała jej swatka, Kaukab wytypowała cztery. Przez kilka tygodni planowała i marzyła, potem z fotografiami tych czterech dziewcząt w ręku zatelefonowała do Charaga, żeby przyjechał w najbliższy weekend do domu, bo za nim tęskni. (Nie kłamie, uspokajała się w duchu, naprawdę tęsknię!). I co tu ukrywać, Kaukab ucieszyła się, kiedy Jugnu i Chanda oznajmili, że wyjeżdżają na lato do Pakistanu; wolała, żeby kiedy będzie proponowała Charagowi ponowne małżeństwo, jego wuja przy tym nie było.

— Wasektomia! Zrobiłeś sobie wasektomię?!

To było wbrew Allanowi i wszelkim naukom Proroka, niech pokój będzie z nim. Jej syn się okaleczył. Pozbawił męskości.

— Allahu miłosierny! Kiedyś to zrobił?

— Jakiś czas temu. Nie chcę mieć więcej dzieci. Nigdy. Nie dawałem rady z tym jednym, które już mam. Żebyś wiedziała, jak mnie czasami wkurzał, kiedy chciałem malować, a nie mogłem, bo musiałem się nim zajmować.

— Od tego jest żona! Do kobiety należy zajmowanie się dziećmi, kiedy mężczyzna pracuje. — Mężczyzna, mężczyzna, którym już nie jesteś! — lamentowała w duchu. Gdyby ta biała dziewczyna robiła, co do niej należy, jej syn nadal byłby mężczyzną.

— Raz dałem mu nawet klapsa, bo pomieszał mi szkice, które rozłożyłem na podłodze. Nie, to nie był klaps — zdrowo mu wtedy przylałem.

— I co z tego? Rodzice powinni bić dzieci.

— Pamiętam.

— Co to miało znaczyć? Rodzice powinni bić dzieci, wpajać im dyscyplinę. Prorok, niech pokój będzie z nim, powiedział, że zostawiając wielbłąda na pastwisku, trzeba mu zgiąć w kolanie i podwiązać powrozem jedną nogę, żeby nic mógł się zbyt oddalić. Za wiele wolności nikomu i niczemu nie wychodzi na dobre.

O małżeństwie z pakistańską dziewczyną nie było w tej sytuacji mowy — kto by zechciał bezpłodnego mężczyznę dla swojej córki? — i Kaukab mogła zapomnieć o sprzymierzeńcu, jakiego na pewno by znalazła w osobie pakistańskiej synowej.

— Jak mogłeś podjąć taką ważną decyzję, nie pytając wpierw o zdanie mnie i swojego ojca?

— Co?

— Jak ktoś nie chce mieć więcej dzieci, to wystarczy, że będzie zachowywał ostrożność. Po co zaraz sięgać po takie ostateczne środki? — Kaukab nie chciało się wierzyć, że prowadzi z synem tę rozmowę.

— Pewności nigdy nie ma. Ten pierwszy raz to też była wpadka.

— Naprawdę? Nie planowałaś tego dziecka? Chodziło mi czasem po głowie, czy ta biała dziewczyna nic zaszła aby w ciążę specjalnie, żeby cię usidlić.

— Przepraszam, ale nie będę tego dłużej słuchał. Charag rozłączył się, zostawiając ją z głuchą słuchawką przy

uchu, czterema fotografiami w ręku i głową pełną myśli. Co noc śniła jej się to samo: wisiała na szubienicy i jednocześnie stała obok niej. „Wciąż się zastanawiam, czy to była tylko moja wina” — mówiła ona wisielec. „To przestań się zastanawiać” — radziła jej ona kat. Ale na jawie do głowy przychodzili jej zawsze ci sami winni tego nowego nieszczęścia, jakie się na nią zważyło. Shamas. Jugnu. Anglia. Biała rasa. Wasektomia to był spisek zawiązany przez chrześcijan zaniepokojonych rosnącą liczbą muzułmanów. Jak rodzice mogli ją wydać za niewiernego? Teściowie byli przecież bezbożnikami. Chora z samotności, oszalała z furii, uznała w końcu, że Shamas wcale nie jest muzułmaninem. Był przecież synem hinduisty, niewiernego, którego trupa ziemia wypluwała z obrzydzeniem raz po raz,

nieważne jak głęboko poprzedniego dnia go zakopano — do tej pory widziała zawsze w tym fenomenie rękę anioła śmierci, który nie może sobie darować, że zabrał ze świata tego najcnotliwszego z cnotliwych i najżyczliwszego z życzliwych człowieka, człowieka, którego kochała jak własnego ojca.

Chanda i Jugnu zatrzymali się w oliwkowozielonym domu należącym kiedyś do rodziców Shamasa — i przez cały tam pobyt udawali parę znajomych. Do tego właśnie oliwkowozie-lonego domu zadzwoniła po rozmowie z Charagiem Kaukab: powiedziała mieszkającym tam teraz ludziom, że goszczą pod swym dachem dwoje grzeszników.

Nie przyznała się do tego nikomu, nawet Shamasowi.

To prawdopodobnie jej telefon sprawił, że Jugnu z Chandą wrócili do Anglii wcześniej, niż zapowiadali, po prostu zostali wyproszeni. Wrócili do Anglii i... zniknęli.

W miarę zbliżania się terminu ich powrotu Kaukab mijały stopniowo gniew i wzburzenie. Ale dzień, w którym mieli wrócić, minął. Potem następny i jeszcze jeden... W końcu policja wyłamała drzwi i weszła do domu. Z znalezionych tam paszportów wynikało, że Jugnu z Chandą wrócili do Anglii trzynaście dni wcześniej. Z jednego z pokoi wyfrunęły w popłochu na ulicę dwa pawie — miało to z czasem doprowadzić do powstania plotki, że Jugnu i Chanda zmienili się w parę tych ptaków. W jednym z pokoi na parterze znaleziono zwłoki jeszcze jednego pawia. Obrażenia, jakie odniósł, świadczyły, że został zadziobany na śmierć przez tamtą dwójkę. Mniej więcej dwa tygodnie wcześniej w okolicy pojawiło się stado pawi złożone z tuzina sztuk; po jakimś czasie wyszło na jaw, że uciekły z menażerii okazalej rezydencji po drugiej stronie jeziora, i w końcu je wyłapano — liście zaczynały już opadać z drzew przed nadciągającymi miesiącami jesieni i ptaki nic miały się gdzie ukryć. Wtedy jednak nikt jeszcze nie wiedział, skąd się wzięły. Fruwały po ulicach, rysowały lakier na samochodach i napadały na koty i wróble. Jak trójka osobników należących do tego stada zdołała się dostać do domu Jugnu i jak długo w nim przebywała, nie dało się ustalić. Kurz na podłodze był w wielu miejscach zmieciony pawimi ogonami. Na białym talerzu pozostawionym na stole w jadalni rozlała się

kałuża uryny w bladozielonym kolorze stojącej wody. W jednej z otwartych walizek leżących na łóżku w sypialni na piętrze samica zniosła jajo.

Jugnu powiesił na ścianie oprawioną w ramki fotografię pawia i patrząc na nią, można było odnieść wrażenie, że to żywy paw pozostawił swoje odbicie w lustrze.

Kaukab dopija herbatę i mówi:

— Moczę ci ryż do *masar* na wieczór. Sobie zrobię *ćapati*, bo z piątku zostało trochę ciasta, a będzie do wyrzucenia, jeśli go dzisiaj nie zużyję.

— Nie dotrzyma do jutra? Przecież zimno — mówi Shamas tak cicho, że Kaukab nie ma pewności, czy rzeczywiście wypowiedział te słowa, czy przekazał je telepatycznie.

— Może ty też wolałbyś *ćapati*? Ryż jadłeś wczoraj, a ryż jedzony drugi dzień z rzędu szkodzi na kości, szczególnie w tym zimnym kraju. — Kaukab zawiesza głos, czeka aż Shamas odpowie jej z rozmarzeniem, że w tym roku osiąga już wiek emerytalny i wielkimi krokami zbliża się dzień, kiedy przeniosą się z powrotem do gorącego klimatu Sohni Dharti, tak jak to sobie przed kilkudziesięcioma laty obiecali. Od paru miesięcy co jakiś czas poruszają w rozmowach tę sprawę i za każdym razem Kaukab zapowiada, że będzie musiał wracać tam bez niej — ona zostaje w tej znienawidzonej Anglii, bo tu są jej dzieci.

— Gdyby Jugnu tu był, nic by nie zostawało... — Urywa i gryzie się w język, bo zdradziła, czym zajęte ma myśli. Zerka na Shamasa, ale ten nie reaguje, toteż wraca do przerwanej pracy i wzdycha.

O Allahu, że też sprawy musiały się akurat tak potoczyć. Nie dalej jak wczoraj swatka mówiła jej o jednej z młodych kobiet, które raiła przed laty Jugnu, tej imieniem Suraya. Otóż ta Suraya rozwiodła się niedawno z mężem pijakiem i szuka teraz kogoś, kto ożeniłby się z nią tymczasowo. Kaukab kręci głową; nie pamięta, kim była ta kobieta, ale gdyby Jugnu ją wtedy poślubił, to nie znalazłaby się biedaczka w tym kłopotliwym położeniu, a i on sam by nie zaginął. Ale nie, on wolał zadawać się z białymi kobietami. Wiedziała, że tych kilka nocy, jakie spędzał każdego tygodnia poza domem, upływało mu w ramionach białych przyjaciółek. Kaukab żyła w ciągłym strachu, że to

skandaliczne, karygodne prowadzenie się szwagra może posłużyć za zły przykład trójce jej dzieci, ale nic nie mogła na to poradzić. Na szczęście Jugnu był dyskretny, to musiała mu przyznać — starał się kryć przed dziećmi z tą niemoralną stroną swej natury, tak jakby podzielał obawy szwagierki.

Mijały lata. Pewnego dnia jakiś mały chłopiec zaczepił Kaukab na ulicy i spytał, czy to prawda, że siusiak Jugnu świeci w ciemnościach tak jak jego dłonie. Złożyła bezwstyd i zuchwałość chłopca na karb deprawującego wpływu zachodniego społeczeństwa, ale kilka godzin potem dowiedziała się czegoś, o czym dorośli z sąsiedztwa wiedzieli już od tygodnia, a miejscowa dzieciarnia od dobrych dwóch. Zaczęło się od tego, że kilku chłopców wdrapało się któregoś wieczoru na buk, żeby zdjąć z gałęzi kotka, i jeden z nich zajrzał przypadkiem do sypialni na piętrze domu Jugnu — tej samej, gdzie pewnej nocy kołysała się klatka z pawicą oblepiona przez bijące zapamiętałe aksamitnymi skrzydełkami samczyki, sypialni wyklejonej tapetą w pozwijane liście i fioletowe jagody. Dzieci wypatrzyły w ciemnościach dwoje potajemnych kochanków w łóżku, bo poświata emanująca z jego dłoni padała na jej skórę.

Niegdyś król Samarkandy zaskoczył żonę w objęciach kuchcika, wskutek czego rozerwał się worek z *Baśniami z tysiąca i jednej nocy*. Teraz to, co wieczorem podejrziała przez okno piątka chłopców, zainspirowało inny wysyp fantastycznych opowieści. Dzieci przekazywały je sobie z ust do ust, to dodając, to pomijając ten czy ów szczegół, aż w końcu wieść o ich odkryciu przeniknęła do świata dorosłych. Chłopiec zainteresowany luminescencyjnymi właściwościami przyrodzenia Jugnu zaczepił Kaukab, kiedy ta szła na przystanek autobusowy, żeby pojechać do miasta. Autobus, którym wracała potem do domu, był zatłoczony i chcąc nie chcąc musiała usiąść obok białej kobiety, która swego czasu spaliła Koran mężowi muzułmaninowi, ale kiedy po kilku przystankach zwolniło się miejsce obok kobiety z Gudżaratu, przesiadła się. I od tej Gudżaratki dowiedziała się, że Jugnu i Chanda są kochankami. Tego wieczoru zasadziła się na Jugnu i kiedy wracał z pracy, zastąpiła mu drogę.

— Może jestem tylko kobietą i nie mam twojego wykształ-

cenia, ale nie będę spokojnie patrzyła, jak unieszczęśliwiasz i tak już nieszczęśliwą dziewczynę. Zastanawiałeś się, co jej grozi, kiedy jej rodzina się dowie? Wy, mężczyźni, możecie robić, co chcecie, ale z nami, kobietami, jest inaczej. Kto pojmie ją za żonę, jak się rozniesie, że spółkowała z mężczyzną, któremu nie była poślubiona?

Kilka dni potem Chanda wprowadziła się do Jugnu.

Nim minął tydzień, Kaukab nabawiła się nawyku wyglądania przed każdym wyjściem z domu przez okno i upewniania się, czy droga wolna i nic zagraża jej spotkanie z tą dziewczyną, tak, dziewczyną, bo Chanda dojrzałą kobietą jeszcze nie była. Świadczył o tym choćby jej *szatwar* — zamiast wiązanego na tasiemki, jak na dorosłą przystało, nosiła taki z elastycznym ściągaczem w talii; Kaukab obejrzała sobie raz jej rzeczy suszące się na sznurze rozciągniętym między dwiema z pięciu jabłoni. Zresztą wyczuwała, że dziewczyna też woli się z nią nie spotykać.

I właśnie przy tym sznurze do wieszania bielizny Kaukab, przeszedłszy do sąsiedniego ogródka, powiedziała w końcu dziewczynie, żeby wyprowadziła się od Jugnu.

Chanda próbowała cofnąć rękę, ale Kaukab trzymała mocno.

— Skrucha, jeśli płynie z głębi serca, honorowana jest nawet na łożu śmierci i wymazuje grzechy całego życia, by grzesznik mógł dostąpić raju wraz z tymi, którzy nie zeszli z drogi cnoty. Bramy odpuszczenia przewin zatrzasną się dopiero w dniu, w którym słońce wzejdzie na zachodzie, w dniu Sądu Ostatecznego.

Dziewczyna wyszarpnęła rękę z uścisku Kaukab, jej zielone oczy zabłyśły.

— Nie ma innego wyjścia. On mówi, że chce się ze mną żenić, ale ja nie jestem rozwiedziona, a mój mąż przepadł jak kamień w wodę. — Przesunęła na sznurze ociekający wodą *kamis*, tak jakby odkładała na bok olbrzymią kartkę papieru, i weszła z powrotem do domu, lecz w progu zatrzymała się jeszcze i powiedziała do Kaukab: — Kochamy się głęboko i prawdziwie.

Kaukab spojrzała jej prosto w oczy.

— Nie wątpię, ale ludzie gadają.

— Nie dbam o to.

To była pierwsza i ostatnia rozmowa Kaukab z kochanką Jugnu. On sam już coraz rzadziej do nich zaglądał. Karmienie przeniewiercy było grzechem i Kaukab — córka imama urodzona i wychowana w cieniu meczem — przestała namaczać trzecią szklanę ryżu i obierała dwie oberżyny zamiast trzech. A potem, w pewne lipcowe popołudnie przesycone upojną wonią sosen, napływającą od rozgrzanego jeziora, Jugnu z Chandą wyjechali na cztery tygodnie do Pakistanu i Kaukab pochłonęły przygotowania do ślubu Charaga.

Poczucie beznadziei i rozpacz, jakie ją ogarnęły, kiedy dowiedziała się o wasektomii Charaga, trochę już przygasły (wyrzucała sobie teraz, że lżyła w myślach teścia, tego pełnego miłości i kochanego człowieka, człowieka, który był tak dobry, że kiedy odwiedził grób pewnego świętego męża, z mogiły na powitanie wysunęła się podobno ręka) i zawstydzona, skruszona, czując, jak Allan pluje na jej duszę wzburzony zaciętrzewieniem, jakim się wykazała, we własnych oczach tak mała, że miałyby poważny problem z pokonaniem w zapasach zuczka, postanowiła, że musi zaakceptować świat, jaki jest. Tuż przed spodziewanym powrotem pary kochanków do Anglii zupełnie przypadkowo natknęła się na ulicy na trzeciego męża Chandy i korzystając z okazji, zaapelowała do niego, by zwrócił dziewczynie wolność, godząc się na rozwód.

— Skontaktuj się natychmiast z jej rodzicami i powiedz, że nosisz się z takim zamiarem. Jeśli tego nie uczynisz, Allah nigdy ci nie wybaczy. Zrób to, jeśli nie ze strachu przed Allanem, to przynajmniej z wdzięczności, że pomogła ci zostać obywatelem brytyjskim.

Chanda i Jugnu mogliby się teraz pobrać!

Podparła drzwi więcierzem do połowu homarów, żeby mieć na oku ogród na tyłach domu Jugnu; drzwi frontowe domu były zamknięte, bo cały ogródek od frontu zawałał „Darwin”. Taka łódź warta była trzy tysiące funtów, ale tę Jugnu kupił w 1985 roku w opłakanym stanie, istny wrak, za jedyne sześćset pięćdziesiąt funtów i przez kilka następnych lat remontował z pomocą trójki dzieci. Rozpierała się tam teraz jak ogromne żelazko i do domu trzeba było wchodzić tylnymi drzwiami.

Mijały dni, a kochankowie nie wracali. Zaniepokojona Kau-

kab zadzwoniła do Pakistanu. Powiedziano jej tam, że wyjechali tydzień wcześniej, niż planowali. Poprosiła jakiegoś chłopca z ulicy, żeby wdrapał się na buk rosnący w ogrodzie na tyłach i zajrzał przez okno do sypialni na piętrze. Potem zataszczyła drabinę do frontowego ogródka i przystawiła ją do okien sypialni wychodzących na ulicę. Są już w Anglii czy jeszcze w Pakistanie? Może opuścili dom w Sohni Dharti i jeżdżą po Pakistanie, łapiąc motyle? Chłopiec, któremu kazała wleźć na drabinę, krzyknął z góry, że przez jedno z okien widzi otwarte walizki.

Kaukab szybko to sobie wytłumaczyła: a więc para kochanków wróciła z Pakistanu i pierwsze kroki skierowała do sklepu prowadzonego przez rodzinę Chandy, by prosić tam o wybaczenie. Ten dekadentki, zgniły Zachód sprawił, że zapomnieli, co to bogobożność i cnota, ale Pakistan przypomniawszy im na niezliczonych przykładach, jakie to ważne i piękne żyć godnie wedle Jego przykazań i zaleceń, Pakistan, kraj ludzi pobożnych i zacnych, gdzie respektowane są granice przyzwoitości. Pobiegnęła do sklepu święcie przekonana, że skruszeni Chanda i Jugnu już tam są i wiedzą od rodziców Chandy, że za sprawą Allaha zdarzył się cud: zadzwonił do nich niedawno trzeci mąż Chandy i powiedział, że jest gotów się z nią rozwieść. Ale brat Chandy, którego zastała w sklepie, burknął tylko opryskliwie:

— Przestań zawracać nam tą sprawą głowę, ciotko-ji. Dla nas ta kurewka umarła w dniu, kiedy się do niego wprowadziła.

Kaukab wracała do domu wstrząśnięta tymi słowami. Biegając do sklepu, myślała, że rodzina wybaczy parze kochanków, że rodzice Chandy będą pamiętali, iż przed zawarciem małżeństwa każdy kogoś kochał, że miłość, to fenomen stary i święty jak Adam i Ewa. Kobiety żartowały między sobą: „Dlaczego panna młoda płacze w dniu ślubu? Bo małżeństwo po wsze czasy kładzie kres miłości. Mężczyźni mogą sobie myśleć, że kobieta nie ma przeszłości — «urodziłaś się, i pojąłem cię za żonę» — ale mężczyźni to głupcy”.

Stary kawałek gotowanej ryby wielkości pudełka zapalek zeszywniał w lodówce z zimna i nadaje się właściwie do wyrzucenia, ale Kaukab owija go kromką chleba i je. Przy



drugim kęsie zgina się w pól. Zapomniała usunąć ości —jedna wbiła się teraz w przelyk i tkwi w nim jak metalowy haczyk. Kaukab krztusi się, pryska śliną, charczę i w końcu udaje jej się przełknąć ość, ale podrażnione gardło boli. Popija szklanką wody i siada, żeby ochłonać. Niebezpieczeństwo zażegnane, można podjąć przerwany wątek myśli. Miłość.

Islam głosi, że dla dostąpienia łaski istnienia potrzebne jest tylko jedno: miłość. I prawdziwa wiara głosi jeszcze, że kryterium to nie dotyczy jedynie ludzi i zwierząt, nawet drzewa kochają. Zimne kamienie śpiewają o miłości. Sam Allah miłuje to, co stworzył.

W młodości każde z rodziców Chandy, zanim poznało i poślubiło obecnego współmałżonka, musiało kogoś kochać, jak mogłoby być inaczej, skoro nawet jej się to przytrafiło, jej, Kaukab, córce imama...

No nie, wygląda na to, że skutki połknięcia ości nadal dają o sobie znać. Kaukab pochyła się i patrzy ze zgrozą na kroplę krwi, która skapnęła jej z wargi i rozplywa się po stole.

Nie zdążyła sobie jeszcze w pełni uświadomić, co się dzieje, a Shamas dzwoni już po taksówkę, żeby zawieźć ją do szpitala. Kiedy wchodzi na górę do sypialni, na schody skapuje kolejna kropelka krwi. Robi jej się słabo.

W taksówce przełamuje w końcu nieufność i pozwala Sha-masowi wziąć się za rękę, drugą przyciska do ust zakrwawioną chusteczkę higieniczną.

Robią jej prześwietlenie i okazuje się, że to niegroźne skaleczenie.

— Nie ma powodu do obaw — zapewnia biały lekarz. — Data urodzenia? — zadaje pytanie, wertując leżące przed nim formularze.

Shamas spogląda na nią z zaciekawieniem. Kaukab dyktuje szeptem dzień, miesiąc i rok. Mówienie sprawia jej ból.

— Jak się już czymś zadławić w dniu urodzin, to chyba lepiej tortem niż rybą — żartuje ze śmiechem mężczyzna.

— To dziś twoje urodziny? — pyta cicho Shamas.

— Nie wiedział pan? — Lekarz spogląda na niego rozbawiony.

— Mnie samej wyleciało z głowy — wtrąca Kaukab. Czyta z miny Shamasa, że to, co pewnie myśli sobie teraz ten biały mężczyzna, wprawia go w większe zakłopotanie niż sam fakt, że zapomniał o urodzinach żony i być może sprawił jej tym przykrość. Szybko jednak odpędza od siebie tę złą myśl.

Wracają do siebie zaśnierzonymi drogami i ulicami. Kaukab próbuje pozbyć się Shamasa z domu, żeby na spokojnie, bez świadków, zadzwonić do głosu Ujali, ale Shamas upiera się, że nie pójdzie do księgarni, jak to miał w planie, bo nie chce zostawiać jej samej. Kaukab udaje, że gardło boli ją mniej niż w rzeczywistości. Do tego wszystkiego dochodzi obawa, że Shamasowi znowu zbierze się na amory, tym razem pod pretekstem, że zapomniał ojej urodzinach, tak jakby jej wielce zależało na tym całym zawracaniu głowy z obchodzeniem urodzin.

Wyprawa do szpitala trwała ponad godzinę i dla Kaukab to jakby przerwa w życiorysie; tam, w Dašte-Tanhai, nie ma dla niej nic godnego uwagi, nic ciekawego. Wszystko ma tutaj, w domu. Tutaj czuje każdą ukochaną nieobecność. To oaza — chociaż często odwiedzana — pośrodku Pustyni Samotności.

Tam, na zewnątrz, nic, tylko upokorzenia; czerwieni się ze wstydu, wyobrażając sobie, co też tamten biały lekarz myśli teraz o Pakistańczykach, o muzułmanach — jak zwierzęta, nie pamiętają nawet o swoich urodzinach ani ich nie obchodzą. Chołota.

W końcu udaje jej się nakłonić Shamasa do wyjścia z domu i patrzy przez okno, jak ten oddala się szpalerem dwudziestu klonów — jej mąż, a przed laty tak niewiele brakowało, żeby nim nie został. Kaukab, od kiedy ukończyła dwanaście lat, widywała mężczyzn tylko z daleka, a jeśli już dane jej było spojrzeć na któregoś z bliska, to tylko poprzez siateczkę swojej *burki* — miała obowiązek ją nosić, bo dla nikogo nie było tajemnicą, że pewni mężczyźni upatrują sobie piękne dziewczyny-dzieci, a potem czekają latami, aż te dorosną. Jej czujna matka odrywała znaczki z każdego listu, jaki przychodził do domu, żeby sprawdzić, czy nie są pod nimi przemycane żadne potajemne treści. I było tak aż do tamtego monsunowego czwartku. Miała już wtedy ponad dwadzieścia lat i siedziała w izbie na tyłach domu, szyjąc części garderoby na posag,

z którym lada dzień opuści dom, bo rodzice prowadzili już wstępne negocjacje w sprawie jej zamążpójścia. W pewnej chwili usłyszała ciche pukanie w szybę. Odłożyła tkaninę, z której wykrajała elementy *kamis*, i podeszła do okna. Była przekonana, że to wraca ten mały chłopiec, którego przywołała wcześniej, kiedy przechodził ulicą, i posłała do sklepiku na rogu po szpulkę nici.

— Tylko żeby mi była dokładnie w tym samym kolorze — zastrzegła, wręczając mu na wzór łatkę materiału wielkości torebki z herbatą — bo inaczej polecisz ją wymieniać. I pokaż, czy nie masz dziury w kieszeni, bo nic wiem, co bym ci zrobiła, gdybyś zgubił pieniądze i wrócił z baraniąminą i pustymi rękami.

Kiedy zniknął jej już z oczu, pożałowała, że nie kazała mu zwrócić się do kogoś dorosłego — najlepiej kobiety — o pomoc w dobraniu nici do materiału.

Otworzyła okno i odskoczyła jak oparzona, chowając się w popłochu za firankę, bo za oknem stał dorosły mężczyzna.

Drżała na całym ciele. Słyszała jego głos, ale upłynęło wiele sekund, zanim wreszcie dotarł do niej sens tego, co mówił:

— Czy mogę prosić o zwrot naszej gazety? Domyśliła się, że to syn rodziny, od której ojciec pożyczał

każdego ranka gazetę, i słabo jej się zrobiło z przerażenia na myśl, że ktoś mógł widzieć, jak otwiera mu okno: tyle wystarczyło, by życie kobiety legło w gruzach. Ludzie mogliby nie uwierzyć, że jest niewinna.

I nagle zapalała gniewem: jak on śmiał pukać w okno za dnia, kiedy istnieje wszelkie prawdopodobieństwo, że zaskoczy córki w domu nieprzygotowane. — Gazetę odesłaliśmy o jedenastej, bracie-ji. Miała już zatrzaskać okno, kiedy usłyszała:

— Brakuje dodatku literackiego. Mogłabyś sprawdzić, czy się gdzieś u was nie zapodział? Byłbym wdzięczny.

Zamknęła okno i zarygłowała je z hałasem, mówiąc:

— Zaczekaj tam, bracie-ji.

Była na niego coraz bardziej zła, że nie zwraca się do niej per „siostró-ji”, co w jakimś sensie zdjęłoby odium przestępstwa z faktu, że przez mgnienie oka widział jej odsłoniętą twarz, i z paniką uświadamiała sobie, że nie sprawdziła daty na gazecie,

którą wcześniej znalazła na stole i z której od godziny wycinała szablon wykrojów do *kamis*: dzisiejszy dodatek literacki leżał teraz na podłodze pocięty w geometryczne kształty.

Wygarnęła spod łóżka wszystkie pomięte łódeczki i czaple dzioby ścinków papieru, które zwiął tam podsufitowy wentylator, potem wyprostowała się i mnąc je jeszcze bardziej w garści, znieruchomiała. A nuż ten obcy zniechęci się i odejdzie. Ale on znowu zastukał w szybę. Uchyliła okno na tyle tylko, żeby przez szparę przecisnęła się ręka z jego upragnionym dodatkiem literackim, stronicami, na których ani razu nie było wymienione imię Allana ani Mahometa, niech będą z nim modlitwa i pokój. Wiedziała, bo sprawdziła, zanim rozpostarła gazetę na podłodze.

— Masz, bracie-ji. Przepraszam, że jest trochę wygnieciona, ale popsuło nam się dzisiaj żelazko — powiedziała, tak jakby gazeta, poza tym wygnieceniem, znajdowała się w nienaruszonym stanie. I nagle zadrżała, uświadamiając sobie, że oto ona, córka meczetu, wręcza zupełnie obcemu człowiekowi żywotne dane dotyczące swojej osoby. Zepsucie toczące świat nie znało granic i temu mężczyźnie wystarczy teraz rozpostrzeć na łóżku gazetowe szablon wykrojów, a potem przy odrobinie wysiłku umysłowego ułożyć z nich jak z puzzli zarysy górnej części jej ciała.

Wziął od niej pociętą gazetę i oddalił się bez słowa.

W następny czwartek Kaukab, dręczona przez cały tydzień wyrzutami sumienia, obejrzała krytycznym okiem gazetę wygniecioną trochę przez ojca w trakcie lektury i chwyciła za gorące żelazko, żeby ją uprasować przed odesłaniem. To cud, że zdołała stłumić cisnący się jej na usta okrzyk zaskoczenia, kiedy na marginesie dodatku literackiego pojawiły się ni z tego, ni z owego słowa: „Widzę, że dzisiaj żelazko działa”. Była to stara uczniowska sztuczka: pisało się coś czystym bambusowym piórem maczanym w wywarze z cebuli zamiast w atramencie — po wyschnięciu tekst stawał się niewidoczny, ale pojawiał się znowu pod wpływem wysokiej temperatury.

Kiedy rodzice oznajmili jej jakiś czas potem, że negocjacje w sprawie zaręczyn dobiegły końca, zamknęła się w łazience i rozplakała. Oddarła czym prędzej cebulowy napis od gazety, ledwie się zmaterializował, bo jeszcze by go ktoś zobaczył,

a polem przez cały tydzień tego żałowała, bo brak fragmentu marginesu był dla autora świadectwem, że jego przesłanie dotarło do adresatki. Przez kolejne dwa czwartki dzielnie opierała się pokusie wyprasowania dodatku literackiego, ale w trzeci nie wytrzymała, włączyła żelazko i sama nie wiedziała, czemu czuje się taka niepokieszona, kiedy żaden napis się nie pojawił. I nie pojawiał się przez następne dwa miesiące, aż tu nagle dzisiaj, teraz kiedy była już zaręczona i wkrótce wyjdzie za innego, spod żelazka wyłoniły się słowa, które uznała za okrutną kpinę: „Słyszałem tę radosną nowinę. Moje gratulacje”.

Matka tłumaczyła sobie jej łzy jako zwyczajną reakcję dziewczyny dowiadującej się, że wkrótce opuści na zawsze dom rodzinny, i była dumna, że wychowała taką skromną córkę, która ucieka na dźwięk nazwiska narzeczonego. Kiedy krewni narzeczonego przyszli na formalne oględziny dziewczyny, Kau-kab pokazywała kobietom swoje robótki — ścieg łańcuszkowy, ścieg atlasowy, stokrotka, jodełka, ścieg francuski i ścieg niemiecki, wyszywane ściegiem krzyżykowym powłoczki na poduszkę, a do tego długie, plisowane bieżniki, haftowane cytaty z Koranu, prześcieradła z brzegami obszywanymi szklanymi paciorkami maleńkimi jak kryształki cukru; mężczyznom zaś dolewała herbaty, odzywając się przy nich tylko raz, i to tak cicho, że jej głos utonął w szcękaniu sztućców.

Płakała w tajemnicy za mężczyzną, którego pragnęła. Przez wszystkie miesiące narzeczeństwa żelazko co czwartek wyczarowywało ze stronic dodatku literackiego wiersz miłosny, którego przed zwróceniem gazety uczyła się na pamięć. Z linijek wierszy układała wijące się, wąsate pnącza i haftowała je na częściach swojego ślubnego stroju. Żyła nadzieją, że ktoś z domowników zauważy wywołane wiersze na gazecie albo poprosi ją, żeby wyjaśniła, dlaczego te arabeski na skrajach i mankietach jej sukni ślubnej i na krawędzi welonu wyglądają jak słowa — powiedziałyby wtedy prawdę, wszczęto by alarm i powstały kryzys doprowadziłby do zerwania zaręczyn.

W dniu, kiedy ślubny strój był już gotowy i skrzył się tak, że kto go zobaczył, zaczynał podejrzewać, że cekiny można zbierać garściami na plaży, a paciorki są tańsze od soczewicy, zrezygnowana poddała się losowi.

W przeddzień ślubu, siedząc przed klatką ze słowikami chińskimi, które z okazji formalnych oględzin podarowała jej przyszła teściowa — ich odchody zawierały wapno i wcierane w skórę podkreślały ponoć karnację, a ptaszki niczym upierzone tubki z kremem kosmetycznym, automatycznie, trzy razy dziennie, dozowały odmierzone dawki — otworzyła mały medalion z fotografią narzeczonego, który przed miesiącem wsunęła jej bez słowa w dłoń matka i — czerwona ze śmiechu wyzna po latach swojej córce Mah-Jabin — odniosła takie wrażenie, jakby znowu otworzyła okno w swoim pokoju i dała się zaskoczyć, bo okazało się, że jej narzeczoney i tamten przystojny nieznajomy to jedna i ta sama osoba, na Allaha, to przez cały czas był on.

Ma już zatelefonować do głosu Ujali, a tu rozlega się dzwonek u drzwi; z walącym sercem, przełykając z trudem ślinę przez obolałe gardło, idzie otworzyć. W progu stoi biały mężczyzna. Trzyma bukiet lilii, których intensywnej barwy nie przygaszą nawet padający w tle śnieg. Widok kwiatów przywołuje na jej twarz uśmiech. Chwała niech będzie Allanowi, który stworzył takie piękno, by radowało oczy Jego sług.

Spogląda na gońca z kwiaciarni i mówi cicho „dziękuję”. Trzeci raz w tym roku odezwała się do białego; w zeszłym roku uczyniła tak pięciokrotnie; dwa lata temu, jeśli dobrze pamięta, ani razu; trzy lata temu trzy... Kładzie lilie na suszarce do naczyń. Trzy jędrne łodygi, każda na końcu rozszczepiona na troje, dźwigająca kształtne pąki i rozwinięte już mięsiste kwiaty, białe jak miąższ rozłupanego dopiero co kokosa. Czyta dołączony bilecik — życzenia urodzinowe. Wychodzi na to, że z całej rodziny pamiętała tylko córka. Łzy napływają jej do oczu — ktoś ją jednak kocha.

Złote wisiorki w płatkach uszu i w nozdrzach schłodziły się w podmuchu śnieżnego powietrza, kiedy otwierała drzwi.

Lilie odbijają się jak w lustrach w małych cekinach naszytych na przód *komis*, które ziębią ciało przez tkaninę niczym krążki lodu.

Kaukab przychodzi na myśl, że mogłaby ją teraz odwiedzić któraś z sąsiadek. Pochwaliłaby się kwiatami. „Córka mi przy-

słała na urodziny — powiedziałyby z dumą. — Zawsze jej mówię, żeby nie trwonila na mnie pieniedzy, ale ona mnie kocha, jak sama widzisz".

Napełnia wodą z kranu szklany wazon. Pęcherzyki powietrza unoszą się ku powierzchni, rozpychają tam przez chwilę z sykiem i znikają.

Miesza ostrożnie wodę jedną z ukwieconych łodyg, żeby wrzucona do wazonu tabletki aspiryny szybciej się rozpuściła, i liczy kwiaty, bo kompozycja musi się zawsze składać z nieparzystej ich liczby. Jej Koran pełen jest zasuszonych między stronicami, przypominających wycinanki lilii koloru plam po herbacie. Obrywa część listków, tam gdzie tłoczyłyby się przy wrętku wazonu; oderwane od łodygi wraz z liśćmi cienkie pasemka zielonej skórki zwijają się powoli w idealne spirale podobne do sprężyn w nakręcanym samochodziku zabawce rozmontowanym przez dzieci. Dlaczego chłopcy nie pamiętają ojej urodzinach? Ociera łyzy; jej życie się skończyło, a przecież tyle jeszcze pozostało do przeżycia. Łodygę każdej lilii, zanim wstawi ją pod kątem do wazonu, opłukuje pod strumieniem bieżącej wody. Strumień strzepi się, ilekroć natrafi na brzeg listka, rozpryski przywodzą na myśl wróbelka zażywającego kąpieli w kałuży deszczówki.

Lilie pachną najintensywniej w nocy, a ponieważ w Sohni Dharti jest żywopłotowa roślina, której pąki nie dość, że otwierają się wieczorami jak lilie białe, to jeszcze wydzielają równie upojną woń, Kaukab polubiła lilie.

W porównaniu z Anglią Pakistan jest krajem biednym i zacofanym, ale ona za nim tęskni, bo spragniony marzy o szklance zwyczajnej wody, nie zamieniłby jej na żadną ilość tłustej maślanki.

Przenosi kolebiące się lilie na stół i stawia obok miski pełnej jabłek, które w swoich żółto-czerwonych skórkach przypominają jej barwnie upierzone tropikalne papugi.

Stoi pośrodku niebieskiej kuchni, kołysząc się lekko: Shamas całe popołudnie spędzi w księgarni, co tu robić przez kilka najbliższych godzin? Pogawędzę sama ze sobą, mówi szeptem, jak jedna stara wariatka z drugą starą wariatką.

Od kiedy dzieci odeszły z jej życia, czuje się osierocona jak mała dziewczynka, której ukradziono lalki. Aż tak opuszczona

nie czuła się nawet wtedy, kiedy Shamas dawno temu wyprowadził się na blisko trzy lata z domu, zostawiając ją z małymi jeszcze dziećmi.

Bierze wazon i przenosi go do różowego pokoju, gdzie na półkach stoją książki w pięciu językach, książki, które pewnego samotnego popołudnia wertowała jak oszalała jedną po drugiej, szukając odpowiedzi na pytanie, dlaczego los tak ją doświadcza. Oprawione w ramki wersety z Koranu wiszące na ścianach działają na nią kojąco. Stawia lilie na stolyczku do kawy i podchodzi do okna, żeby popatrzeć na sypiący śnieg. Płatki śniegu odbijają się w cekinach na jej piersi — myślałby kto, że te cekiny to małe okienka, przez które widać śnieg sypiący we wnętrzu jej ciała.

Wykręca numer Ujali i słucha jego głosu.

Wie, że był tu, w sąsiedztwie, niedługo po zniknięciu pary kochanków. O tym, że rodzina Chandy ma coś wspólnego z ich zniknięciem, zaczęto plotkować niemal natychmiast i pewnego dnia Kaukab odebrała telefon od zdenerwowanej matki dziewczyny.

— Twój syn kopie w naszym ogrodzie za domem, siostró-ji, mówi, że pochowaliśmy tam jego wuja!

Kobieta wynosiła na podwórko za sklepem pustą skrzynkę po jabłkach i ujrzawszy go tam z kilofem, bardzo się przestraszyła. Kaukab pobiegła do sklepu, ale jego już tam nie było; obok płytkiego dołka w ziemi leżał kilof. Podniosła go i wlokąc za sobą po ziemi, wróciła do domu. Ścisnęła mocno drewniane stylisko ciepłe jeszcze w miejscu, gdzie przed chwilą trzymało je jej dziecko.

Stalowe ostrze, podskakując na nierównościach, krzeszło iskry, podzwaniało jak kostki lodu w szklance wody i żłobiło w płytach chodnika przerywaną ryse.

Tydzień później Ujala rozbił kijem do krykieta szybę wystawową sklepu.

Zawsze sprawiał kłopoty wychowawcze, a z Jugnu był zżyty od najwcześniejszego dzieciństwa. Pamiętała ich razem — Jugnu opowiadał mu, jak to w 1680 roku w Irlandii wprowadzono zakaz zabijania białego motyla, bo to duszyczka dziecka, i jak rumuńskie dziewczęta przyrządzały sobie napój ze skrzydełek motyli, żeby przywabić zalotników. A kiedy wyrósł na na-



stolatka, znalazła kiedyś motyli pyłek w jego majtkach i podkoszulku. Jugnu, kiedy mu o tym powiedziała, najpierw się zdziwił, ale potem uśmiechnął i wyjaśnił:

— Na Wybrzeżu Kości Słoniowej dorastający chłopcy łapią motyle i zbierają z ich skrzydełek barwny pyłek, którym potem nacierają sobie pachy i genitalia, bo wierzą, że dzięki temu szybciej wyrosną im włosy łonowe, że zapewni im to męskość i jurność. Opowiadałem mu o tym w zeszłym tygodniu. Teraz już wiem, co się stało z moimi apollami i piękniśm sultankiem.

Była oburzona, i to nic tylko postępkiem chłopca, ale również reakcją Jugnu, którego cały ten incydent zdawał się bawić.

Kaukab marzyła, że jej synowie pokończą uniwersytety — najpierw starszy, Charag, kilka lat później młodszy, Ujala. Planowała wysłać do lokalnej gazety zdjęcia z obu uroczystości rozdania dyplomów; widziała się na nich oczyma wyobraźni, jak stoi dumnie w benarezyjskim *szalwar kamis* obok swojego odzianego w togę chłopca, a widniejący pod zdjęciem podpis zawiera imiona i nazwiska. Kupiła już nawet złote ramki w formacie 12 na 12, w których wyeksponuje te zdjęcia w domu.

Jej nazwisko trafiło na łamy „Afternoon”, ale z zupełnie innych powodów. Policja pytała, oczywiście, dlaczego musiało upłynąć aż trzynaście dni, żeby rodzina zaczęła szukać Jugnu i Chandy. Przesłuchano każde z trojga dzieci w nadziei, że może ich zeznania rzucać jakieś światło na okoliczności zniknięcia wuja. Ujala powiedział detektywom i dziennikarzom „Afternoon”, że to wszystko wina tej cipy, jego matki, która postanowiła nie odzywać się do Jugnu, bo rzekomo obraził jej uczucia religijne, a ten jego pieprzony ojciec pantoflarz boi się jej postawić, bo to przecież biedna imigrantka we wrogim społeczeństwie białych i nie należy jej dodatkowo stresować, a do tego wszystkiego ona przechodzi menopauzę. Musiał to usłyszeć od siostry, bo z rodzeństwem, owszem, kontakty utrzymuje — nie może tylko znieść rodziców, a ściśle mówiąc jej, Kaukab. Kaukab wzdryga się, przypominając sobie, w jaką furję potrafił wpadać, zanim przed siedmiu laty opuścił na dobre dom. Drżeli przed nim, jak dżungla przed swym władcą tygrysem. Kaukab bała się go panicznie, ale starała się z tym kryć, udając, że jego napady wściekłości nie robią na niej

wrażenia. Pewnego dnia zajrzała do jego pokoju, żeby spytać, czy będzie jadł śniadanie. Leżał w łóżku na wznak, z ręką pod głową, prezentując bujnie owłosioną pachę. Kołdra zsunęła się nieco, odsłaniając nagie uda. Kazała mu wstać i włożyć piżamę; nie mogła znieść myśli, że leży tu sam ze swoją nagością! Spojrzał na nią z pogardą, ale nawet nie drgnął, kiedy podniosła głos, jak zwykła to czynić, kiedy w dzieciństwie dostawał u Woolwortha hysterii na widok jakiejś drogiej zabawki i tarzał się po podłodze, nic sobie nie robiąc z pogrózki, że jeśli się nie uspokoi, zabiorą go biali, pogrózki, która przynosiła natychmiastowy skutek w przypadku jego brata i siostry, kiedy byli w tym wieku. Był weekend i Shamas siedział w domu, zawołała go więc na górę, ani na chwilę nie spuszczać oczu z Ujali, który leżał bez ruchu ze wzrokiem wbitym w sufit. Shamas przyszedł i stanął za nią. Wyjaśniła mu sytuację.

— Wstawaj natychmiast — powiedział Shamas — i rób, co matka każe.

I wtedy stało się coś takiego, że Kaukab pomyślała o śmierci, prosząc w duchu Allana, żeby kiedy postanowi wezwać ją do siebie, uczynił to, póki Shamas jeszcze żyje, bo gdyby on odszedł pierwszy, zostałyby na tym świecie zupełnie sama. Ale nie do zniesienia była również myśl, że z kolei Shamas będzie się błąkał samotnie po ziemi niczyjej podeszłego wieku — niedołężny wdowiec pozbawiony ramienia żony, na którym mógłby się wesprzeć, opuszczony przez dzieci — a kiedy umrze, jego trup wiele godzin, dni, może nawet tygodni przeleży u stóp schodów, czekając, aż ktoś go łaskawie znajdzie.

A oto, co się stało: Ujala wyciągnął rękę spod kołdry i strzepnął palce w stronę drzwi, w których stali. Krople nasienia przefrunęły łukiem przez pokój i spryskały im twarze; miały zapach krochmalu i konsystencję białka niedogotowanego jajka.

## *Najsłynniejszy tamaryndowiec na subkontynencie indyjskim*

Shamas bierze paczkę, która nadeszła poprzedniego dnia z Indii. Paczka zawiera liście z najśłynniejszego na subkontynencie indyjskim tamaryndowca, drzewa rosnącego nad grobowcem legendarnego pieśniarza Tana Sena, który potrafił sprowadzać deszcze, po prostu o nich śpiewając, i który swoim złotym głosem tak oczarował cesarza Akbara, że ten obwołał go jednym z dziewięciu klejnotów swego dworu. Sława Tana Sena była tak wielka, że pieśniarze do dzisiaj pielgrzymują do jego grobowca w Gwali-jarze, by zerwać z gałęzi tamaryndowca kilka liści na wywar do płukania gardła. Żywią nadzieję, że po kuracji i tym wywarem ich głosy nabiorą czystości, jaką miał głos ich znakomitego poprzednika, który cztery wieki temu, śpiewając *DipakRag* sprawił, że samorzutnie zapłonęły wszystkie lampy w pałacu.

Ten wygina się w łuk, tamten goni własny ogonek, zwijając się w bransoletę — długie, pierzaste liście przybyły z Indii i chociaż ich miejscem przeznaczenia jest Pakistan, to zostały przysłane do Anglii. Wrogość między tymi dwoma sąsiadującymi ze sobą krajami sprawia, że list z Pakistanu do Indii czy z Indii do Pakistanu musi wędrować określoną drogą przez jakiś trzeci kraj. Wysyła się go na adres znajomego albo krewnego mieszkającego w Wielkiej Brytanii, Kanadzie, Stanach Zjednoczonych, Australii czy którymś z krajów Zatoki Perskiej i dopiero stamtąd, w nowej kopercie, nadawany jest do właściwego adresata. Cała procedura przypomina zabawę w odbijanie o ścianę gumowej piłki, polegającą na rzucaniu lewą.

a chwytaniu prawą ręką. Bezpośrednia korespondencja jest często niszczone w imię opacznie pojętego obowiązku patriotycznego albo kontrolowana przez władze, którym niewiele trzeba, by w ludziach prowadzących regularną korespondencję z drugą stroną upatrywać zdrajców. Tysiące rodzin oczekuje z utęsknieniem wieści od swoich bliskich zza tamtej strony granicy — zza ściany, która skutecznie przecina na pół całą Azję — ale co tam ich uczucia wobec nacjonalistycznych ideałów.

Mieszkająca kilka domów dalej znajoma Kaukab pochodzi z Gwalijaru, to ona przysłała te liście dla ojca Kaukab — na podtrzymanie prężności strun głosowych, które służą mu do wzywania wiernych na modły.

Gdyby Shamas wiedział, pod jakim adresem mieszka w Indiach jego ciotka Aarti, toby ją poprosił o przysyłanie tych liści. W kwietniu 1919 roku, kiedy to wskutek bombardowania Gudźranwali rozdzielona została z młodszym bratem, była trzynastoletnią dziewczynką, czyli teraz miałyby dziewięćdziesiąt jeden lat, jeśli rzecz jasna żyje. W okresie podziału musiała zapewne opuścić Gudźranwałę — miasto należy obecnie do Pakistanu — i przesiedlić się do Indii. Rodzice Shamasa próbowali odszukać ją i resztę rodziny, jak tylko ojcu wróciły wspomnienia z dzieciństwa i przypomniał sobie, kim naprawdę jest, ale bez rezultatu. Nie wiadomo też było, czy w ogóle przeżyła masakry, do jakich dochodziło podczas wymuszonego przez podział przesiedlania niemuzułmanów do Indii. Przepadła na zawsze. Wydawałoby się, że dorosły mężczyzna nie powinien odczuwać straty ciotki z taką intensywnością, jak on czasami stratę Aarti, ale Aarti jest przecież związana z tragedią jego ojca i dlatego tak często wraca do niej myślą. Może to też mieć coś wspólnego z wiekiem: czyżby starzejąc się, zaczynał postrzegać życie jako coś więcej niż tylko mrok i rozłąka?

Shamas odchyła zasłonkę i wygląda przez okno. Dnieje. Zęby ma jeszcze ciepłe od herbaty, którą pił przed pięcioma minutami, kiedy, jak w każdy sobotni i niedzielny poranek, wychodzi z domu, by udać się do centrum miasteczka i przechwycić paczkę gazet, zanim dostawca prasy wrzuci mu je do zamkniętego biura. Zabiera ze sobą klucze do biura na wypadek,

gdyby gazety już tam się znalazły, ale do tego rzadko dochodzi, bo zawsze stara się ruszyć w drogę najwcześniej jak się da, czasami nawet przed świtem. Lubi te nieśpieszne przechadzki pustymi uliczkami i ulicami, przez cały tydzień się na nie cieszy. W poniedziałek odnosi gazety do biura, a reportaże oraz artykuły — dotyczące relacji międzyrasowych — które zaznaczył podczas weekendu, sekretarka wycina i odkłada do archiwum.

Niebo już blednie, ale żałobny mrok wciąż lgnie tu na dole do świata.

Pochyłe powierzchnie okolicy, przechodzące jedna w drugą niczym fasety klejnotu, odprowadziły już wodę z tajającego śniegu.

Śnieg zaczynał się topić i kurczyć, i jego białe pryzmy na poboczach dróg upodobniły się do zwłok przykrytych prześcieradłami.

Gdzie oni są? Przepadli jak kamień w wodę, a przecież ma wrażenie, że jest przykuty kajdankami do ich trupów. Od ich zniknięcia upłynęło już wiele miesięcy, ale wiara Kaukab pozostaje niezachwiana.

— Wrócą cali i zdrowi. Cóż znaczą miesiące i lata wobec planów Allaha? Zobaczysz, nadejdzie jeszcze taki dzień, kiedy odezwie się siostra twojego ojca, chociaż od pół wieku nie daje znaku życia.

Chakorowi z biegiem lat wróciła powoli pamięć i przypomniał sobie, kim jest. Ukrywał tę prawdę przed rodziną, jak długo się dalo. Znał ją już dawno w całej rozciągłości, kiedy wprowadzał do „Pierwszych dzieci na księżycu” stałą rubrykę zatytułowaną *Encyklopedia pakistańska*, w której zachęcał czytelników do opisywania historii swoich miast, wiosek i okolic, i w odpowiedzi na ów apel pewien chłopiec z Gudżranwali przysłał mu relację z bombardowania w 1919 roku. On sam też szukał w książkach historycznych opisów tamtego kwietniowego wtorku.

***Tego wtorku o godzinie J5.W nad Gudżranwalą przeleciały trzy dwupłatowce BE2C z pierwszej wojny światowej pod dowództwem kapitana D. H. M. Carbetry 'ego. Pierwsze trzy bomby***

*zrzuciły w pobliżu wioski Dhulla na liczącą 150 osób grupę ludzi maszerującą w stronę miasta. Jedna z bomb przebiła dach domu i wpadła do środka, ale nie wybuchła. Dwie upadły nieopodal tłumu, zabijając kobietę i chłopca oraz lekko raniąc dwóch mężczyzn. Reszta pochodu, po ostrzelaniu pięćdziesięcioma pociskami z karabinu maszynowego Lewis, rzuciła się do ucieczki, by szukać schronienia w wiosce.*

*Kilka minut później samoloty Carberry 'ego zrzuciły kolejne dwie bomby — jedna z nich nie wybuchła — na grupę około pięćdziesięciu osób w pobliżu wioski Gardzhak, po czym ostrzelały ich 25 pociskami, ale tam ofiar nie było.*

*W drodze powrotnej do Gudžranwali Carberry zaatakował grupę około dwustu osób zgromadzonych na boisku szkoły średniej na przedmieściach, zrzucając bombę, która spadła na dziedziniec szkoły, oraz wystrzeliwując serię 30 pocisków z karabinu maszynowego: jeden pocisk ranił sprzedawcę słodyczy, jeden uczeń został trafiony odłamkiem bomby, a wybuch ogłuszył małego chłopca.*

*Na samo miasto samoloty Carberry 'ego zrzuciły cztery kolejne bomby — z których dwie nie wybuchły — i wystrzeliły 100 i 150 pocisków do przechodniów na ulicach.*

*Pytany później, dlaczego prowadził ogień z karabinów maszynowych do ludzi, którzy już się rozprzeczli, Carberry odparł: „Robiłem to w ich własnym interesie. Pomyślałem sobie, że jeśli położę paru trupem, reszta nie będzie się zbierała i przychodziła do Gudžranwali rozrabiać”.*

*Chciał w ten sposób „wpłynąć na ludzi umoralniająco”.*

*Twierdził, że chociaż z wysokości 200 stóp „bardzo dobrze widać”. to on nie zauważył jakoś nikogo, kto byłby bez winy...*

W końcu Deepak wyznał Mahtaab wszystko, całą prawdę, jaką skrywał przed swoją rodziną Chakor. Pierwszego, migawkowego i zagadkowego przebłysku pamięci doznał już w roku 1922, zaledwie trzy lata po bombardowaniu, na widok białej kobiety; przyłapał się wtedy na tym, że nie wieciecz czemu przygląda się jej stopom. Z biegiem lat przeszłość przypominała mu się już pełniej, wyłaniając się niespiesznie, stopniowo z mroków niepamięci, tak jak wraz z powolnym nadciąganiem

świtu nabierają kształtu przedmioty w ciemnym pokoju. W tym czasie poślubił Mahtaab i na świat przyszedł dzieci. Pewnego dnia, kiedy Brytyjczycy zaczęli już wyprzedawać dobytek, przygotowując się do oficjalnego opuszczenia subkontynentu, które nastąpiło w 1947 roku, Mahtaab wróciła do domu z krynoliną, którą zamierzała przerobić na powłoczkę na kołdrę (oraz sześcioma zamszowymi kapeluszami, z których każde szewcowi uszyć kapcie), ale on i bez tego bodźca przypomniał już sobie, że ma na imię Dccpak, że pochodzi z rodziny wyznającej hinduizm i że szedł z siostrą zobaczyć, czy to prawda, że białe kobiety pod swoimi krynolinami ukrywają ogony.

Mahtaab nie dała po sobie poznać, że ma do niego żal, że zwierza się jej z tego dopiero teraz. Tłumaczył się, że nie wiedział, jak jej to powiedzieć, więc milczał.

„Ani przez chwilę — stwierdziła stanowczo Mahtaab, odpisując na list, w którym Kaukab pytała ją, czy nie czuła się przez męża zdradzona. — Wyobraź sobie, jak on musiał cierpieć, zzerany od środka przez tę tajemnicę”.

Shamas przystaje na moście, spogląda na przepływającą dołem wodę. I nagle słyszy cichy kobiecy głos:

— Bracie-ji.

Odwraca się na pięcie, bliski omdlenia. Kilka kroków od niego stoi matka Chandy, waha się, czy podejść.

— Chciałam ci coś powiedzieć, bracie-ji.

Shamas nie wie, jak się zachować, w głowie ma kompletną pustkę.

— To ważne. Chciałam zejść wczoraj po południu do urdyj-skiej księgarni nad jeziorem, ale czas nie pozwolił. Wiem, że w weekendy chodzisz zawsze bardzo bardzo wcześnie do centrum miasta po gazety, wysłałam więc z domu raniutko, żeby z tobą porozmawiać... Szłam za tobą, ale nie mogłam cię dogonić. Dopiero kiedy zatrzymałeś się tutaj, żeby popatrzeć na rzekę... Bracie-ji, kobieta, która mieszka blisko nas, wróciła wczoraj z Lahauru. Mówi, że wydaje jej się, że w zeszły czwartek widziała tam Jugnu w mauzoleum Data Darbar.

Shamas patrzy na nią, unikając kontaktu wzrokowego. W płatku ucha widzi szmaragd, który ledwie by się zmieścił w łapce

myszy — soczyście zielona jagoda. Odchrząkuje, poruszony tym, co usłyszał, ale po chwili do głosu dochodzi rozsądek, powraca mu zdolność logicznego myślenia.

— Przecież w domu znaleziono paszporty ich obojga — mówi cicho.  
— Zapomniałaś o tym, sioostro-ji? Nikt ich nie widział po powrocie z Pakistanu, ale oni wrócili.

— Ona twierdzi, że go tam widziała, bracie-ji. — Na policzki kobiety wypływa rumieniec.

Shamas czuje się skąpany w bezgranicznej rozpacz: w jej głosie zawarty jest cały smutek świata. Słowa wypływają z głębokiego osamotnienia. Dobrze zna to uczucie.

— Paszporty są tutaj, w Anglii, sioostro-ji. — Musi jej otworzyć oczy na fakty, ale czyniąc to, czuje, że postępuje okrutnie, bezdusznie, zupełnie jakby zamachiwał się na jej nadzieje maczugą.

Promienie wschodzącego słońca padają na strumyczki łez spływających po udreżonej twarzy kobiety.

— Tam każdy chce jechać na Zachód, bracie-ji. Może sprzedali komuś swoje paszporty, a sami postanowili zostać w Pakistanie... Tutaj wszyscy starali się utrudnić im życie... Na lotniskach nikt tak dokładnie nie porównuje twarzy pasażerów ze zdjęciem w paszporcie... — Szuka w minie Shamasa czegoś, co pozwoliłoby jej dalej karmić się złudzeniami.

Shamas kręci głową.

— Znaczący, ci hipotetyczni nabywcy paszportów mieliby przybyć do Anglii, przyjechać do naszego miasta, dostać się do domu Jugnu i Chandy, zostawić tam paszporty i bagaże, a następnie zniknąć, tak? Wybacz, sioostro-ji, ale czy to właśnie sugerujesz? — Są z córką uderzająco podobne; zupełnie jakby ojciec nie wniósł nic od siebie w geny zaginionej dziewczyny.

— Tak... Nie... Tak... Wiem, że to naiwnie brzmi...

— Wybacz, ale to tak samo absurdalne jak opowiadanie, że przemienili się w pawie. Chyba się ze mną zgodzisz?

Kobieta nie rusza się z miejsca, próbuje jeszcze raz.

— Bracie-ji, ludzie giną, a potem odnajdują się po latach... Weź swojego ojca, który został w dziwnych okolicznościach rozdzielony z rodziną...



Tańczące między nimi pyłki nabierają barw w promieniach wstającego słońca.

Shamas ciekaw jest swojej miny. Co wyraża? Zniecierpliwienie, gniew, strapienie?

Kobieta milczy dłuższą chwilę, potem, zrezygnowana, mówi:

— Tak, naiwnie to brzmi. Bardzo mi przykro, bracie-ji, że zawracałam ci głowę.

Twarz przesłania jej przejrzysta jak woda chusta, opatulą się żółtym szalem w białe gwiazdki wielkości pensowej monety; ręce pod szalem ma skrzyżowane. Shamas nie przypomina sobie, żeby już kiedyś z nią rozmawiał, ale wie, że ma długie, wysmukłe palce pianistki, widział, jak z gracją i wyczuciem przebiera nimi po klawiaturze sklepowej kasy.

— Odprowadzić cię? — Nie ma pewności, czy powinien jej to proponować: co pomyśleliby ludzie, gdyby zobaczyli ją o tak wczesnej porze w towarzystwie mężczyzny, który nie jest jej mężem? Już samo to, że tu stoją i rozmawiają, może wywołać plotki, jeśli ktoś ich teraz widzi. Wiatr wieje od jej strony i Shamas uświadamia sobie naraz, że jednym z powodów, dla których zrobiło mu się tak smutno, jest zapach kobiety — matka jest nie tylko podobna do córki, ale nawet pachnie jak ona. Każdy wdych przypomina mu Chandę. Któregoś z tych kilku krótkich miesięcy, jakie przemieszkali ze sobą kochankowie — w błogiej nieświadomości tego, co ich wkrótce czeka zdarzyło się pewnego razu, że Jugnu rozpiął w otwartym oknie chustkę Chandy, wykorzystując ją w charakterze zapyry dla natrętnych owadów. Shamas, przechodząc tamtędy, poczuł jakąś nieznaną sobie woń i ujrzawszy chustkę w oknie, domyślił się, że to zapach ciała i włosów Chandy.

Kobieta potrząsa gwałtownie ręką na znak, że odrzuca jego ofertę odprowadzenia. — Nie, dziękuję, bracie-ji. Mam niedaleko. — I zbierając się do odejścia, mówi jeszcze: — Ale ty sam uważaj: nie podoba mi się, że wychodzisz z domu o takiej wczesnej porze, gdy na ulicach ani żywego ducha. Kiedy czekałam na ciebie pod twoim domem, miałam wrażenie, że w tym mieście obowiązuje godzina policyjna i tylko ja odważyłam się wychylić nos za próg. Zerwij z tym zwyczajem. Wszystko się może zdarzyć; nie zapominaj, że to nie nasz kraj.

Wokół cisza, całe miasto jeszcze śpi. Pora ruszać w swoją stronę. Shamas prostuje się; przychodzi mu to z takim trudem, jakby dźwigał na barkach jarzmo. Rozmowa nie mogła zająć więcej niż dwie minuty, ale on ma wrażenie, że trwała dłużej; powiadają, że szokujące albo stresujące zdarzenia zgniatają świadomość do jednego punktu, w wyniku czego bieg czasu ulega spowolnieniu. Weźmy na przykład proces umierania, który trwa kilka sekund, ale z punktu widzenia umierającego rozciąga się przypuszczalnie na całą wieczność.

Wstrząsnęło nim to spotkanie i jak zawsze, kiedy dopada go stres, wraca myślami do lat młodości spędzonych w Lahaurze i Sohni Dharti, lat, kiedy pisał wiersze i zaczynała się w nim kształtować świadomość polityczna. W tamtych czasach, w kraju tak podzielonym jak Pakistan, nieżonaty mężczyzna późno rozpoczynał życie płciowe, a więc były to dla niego również lata inicjacji seksualnej i zdobywania doświadczenia — na „Diamentowym Rynku”, dzielnicy lahaurańskich prostytutek. (Od kilku lat tu, w Anglii, kiedy zbliża się do kresu życia, korci go czasami, żeby kupić sobie zaspokojenie seksualne, uśmierzyć to dojmujące poczucie samotności, ale nigdy jeszcze nie zrobił w tym kierunku nic ponad przebiegnięcie wzrokiem numerów telefonów i adresów na specjalnych stronach „Afternoon”). Kiedy w 1958 roku doszło do przewrotu wojskowego, miał dwadzieścia sześć lat i czekał z niecierpliwością na ukazanie się drukiem swojego pierwszego tomiku wierszy, bo w wydawniczym światku Lahauru panowało przekonanie, że z dwóch rywali zabiegających o miłość i względy tej samej kobiety górą będzie ten, który coś opublikował. Nowo powstały rząd wszczął nagonkę na komunistów i Shamas musiał uciekać z Pakistanu. Miesiąc po tym, jak policja dokonała nalotu na siedzibę jego wydawcy i przed jej spaleniem spisała wszystkie znalezione tam nazwiska, był już w Anglii. Przebywał tam do trzydziestego pierwszego roku życia, pracując w młynach i fabrykach w okolicach Dašte-Tanhai.

W 1963 roku, po pięciu latach spędzonych w Anglii, wrócił do Sohni Dharti i poślubił Kaukab. Ledwie zaczęły się negocjacje między rodzinami, robił wszystko, żeby ją zobaczyć, i udało mu się to wreszcie pewnego monsunowego popołudnia, kiedy

zapukał do jej okna, by poprosić o zwrot literackiego dodatku do gazety. Od powrotu do Pakistanu nie mógł znaleźć żadnej sensownej pracy, kiedy więc dowiedział się, że zostanie ojcem, postanowił wracać do Anglii. Trafił tam na początku 1965 roku i zatrudnił się w fabryce, a pod koniec tego roku dołączyła do niego Kaukab w długim czekoladowobrązowym płaszczu, który jej wysłał, oraz z małym Charagiem na rękę.

O przeszłości ojca dowiedział się w roku 1970, jednak z wizytą do Pakistanu wybrał się dopiero w następnym roku, kiedy przyszła wiadomość, że Chakor cierpi na raka trzustki i jest umierający.

Wyczuwając zbliżającą się śmierć, ojciec zaczął mówić od rzeczy i wymuszać na Mahtaab przysięgę, że nie pogrzebie jego zwłok w ziemi na muzułmańską modłę, lecz spali je na stosie z bierwion płomiennego drzewa jak wyznawcę hinduizmu.

Szykany zaczęły się wkrótce po wyjściu na jaw tożsamości Chakora, ale w listach, które otrzymywał Shamas, nie było o tym ani słowa. Dopiero później dowiedział się, że pewien sklepikarz, otarłszy się przypadkowo dłonią o dłoń ojca, umył natychmiast ręce, burcząc: „Nie dotknąłbym hinduisty nawet hakiem do wieszania mięsa”. Kobiety zaczęły odsyłać olejek różany — sprzedawany przez Mahtaab w buteleczkach wielkości i kształtu rowerowego dynama — twierdząc, że jest zanieczyszczony cebulą. W redakcji „Pierwszych dzieci na księżycu” atmosfera wokół Chakora tak się zagęściła, że w końcu, nie widząc innego wyjścia, złożył wymówienie; byli tacy, którzy w jego rubryce *Encyklopedia pakistańska* dopatrywali się ni mniej, ni więcej, tylko pretekstu do publikowania szczegółowych map pakistańskich miast i miasteczek, którymi Hindusi będą się mogli posłużyć w razie wojny — wojna z Indiami wisiała zawsze na włosku, zaledwie pięć lat upłynęło od ostatniej, kiedy to rząd, w celu odwrócenia uwagi opinii publicznej niezadowolonej z wyników wyborów w 1964 roku, wysłał armię do Kaszmiru, na co Indie odpowiedziały przekroczeniem granicy i zajęciem Lahauru.

Pewien hinduistyczny uczoney z Indii wysunął hipotezę, że Anarkali, Kwiat Granatu — służka, w której zakochał się

muzułmański księżę Salim i którą w wyniku tego ojciec Salima, cesarz Akbar, kazał w 1599 roku pogrzebać żywcem — nie była wcale dziewczyną, lecz chłopcem, fakt ten jednak muzułmańscy historycy zajmujący się okresem panowania Wielkich Mogołów aż do tej pory zatajali. Po opublikowaniu owej hipotezy w pakistańskich gazetach, Chakor, przez tydzień zaczepiany na ulicy, musiał wysłuchiwać, że hinduistyczni bogowie to „ładni chłopcy” o przypudrowanych policzkach i umalowanych szminką ustach.

Raka trzustki zdiagnozowano u niego, kiedy choroba była już w ostatnim stadium, i przed samą śmiercią Chakor bredził już na okrągło, domagając się kremacji zamiast pochówku. Kaukab, wystraszona, że Mahtaab może się pod tą presją ugiąć i spełnić ostatnią wolę umierającego męża, któremu najwyraźniej pomieszało się z cierpienia w głowie, wysłała do Pakistanu Shamasa.

— Jedź tam i dopilnuj, żeby wszystko odbyło się jak należy. — Pokazała palcem na ich roczną wówczas córeczkę Mah-Jabin: — Nikt nie będzie jej chciał za żonę, jeśli twoja matka-ji ugnie się i postąpi wedle jego życzenia. Ona nie miała nigdy córki i nic wic, jakie to ważne nie dać się ludziom wziąć na języki. Za to ty masz teraz córkę i musisz stawiać ją na pierwszym miejscu, przed wszystkimi innymi. Taki skandal pogrzebałby bezpowrotnie jej widoki na przyszłość.

Był listopad 1971 roku i armia Pakistanu Zachodniego od marca siała śmierć i zniszczenie w Pakistanie Wschodnim; w wyborach powszechnych, które odbyły się w grudniu poprzedniego roku, zwyciężył lider wschodnich Pakistańczyków, jednak przywódcy Pakistanu Zachodniego robili wszystko, żeby przeszkodzić mu w powołaniu rządu, a do stłumienia rozruchów, jakie na tym tle wybuchły, wysyłali wojsko. Żołnierzom powiedziano, że wschodni Pakistańczycy to podludzie — niewyrośnięci, ciemnoskórzy, cherlawi i wciąż zainfekowani hinduizmem — a oficerowie wręcz zachęcali swoich podkomendnych, żeby przy okazji kampanii wojskowej uszlachetniali geny wschodnich Pakistańczyków, toteż zgwałcono setki tysięcy kobiet i dziewcząt. Tego samego grudniowego dnia, kiedy Chakor zwymiotował ciemnobrązową, na wpół przetrawioną,

ziarnistą jak piasek krwią, która z pękniętej aorty dostała się do żołądka, tak że jego ciało zjadało teraz samo siebie, do Pakistanu Wschodniego wkroczyła armia hinduska i po dwóch tygodniach walk Pakistan się poddał; Pakistan Wschodni stał się Bangladeszem — Indie nie tylko pokonały Pakistan, ale również doprowadziły do jego rozpadu.

Shamas spędzał przy Chakorze całe noce na krześle, obok którego stał kosz z zakrwawionymi szmatami. Czasami w tych nocnych czuwaniach towarzyszył mu dwudziestoczteroletni wówczas Jugnu, który na wieść o chorobie ojca wrócił ze Związku Radzieckiego.

Pod rosnącym na podwórku drzewem *harsinghar*, które zrzuca o świcie swoje białe pogrzebowe kwiaty, w tamte poranki kwiatów leżało więcej niż zwykle, tak jakby drzewem ktoś w nocy potrząsał. Shamas był niewierzący, ale wyobraźnia rządzi się własnymi prawami, jej język jest bogatszy i dopuszcza takie pojęcia, jak życie pozagrobowe. Tak więc patrząc na ów kobierzec z kwiatów, Shamas nie mógł opędzić się od myśli, że nocami Azrael, muzułmański anioł śmierci, toczy pośród konarów drzewa walkę z hinduistycznym bogiem śmierci o duszę ojca. Spoglądając w górę, widział oczyma wyobraźni, jak wokół tych dwóch nadprzyrodzonych istot okręcają się gałęzie, a odpadające od nich kwiaty tworzą na ziemi grubą warstwę.

W rzeczywistości sprawczynią tego wzmożonego opadu kwiatów była Mahtaab, która ostatnio przerzuciła się na żucie Hści *harsinghar*, liście betelu, od których była od dziecka uzależniona i bez których nie funkcjonował jej układ trawienny, rosły głównie w Pakistanie Wschodnim. Kiedy na początku wojny domowej ich cena poszła w górę, Mahtaab zredukowała dzienną dawkę do dwucalowego kawałka liścia o świcie; od kiedy jednak Pakistan Wschodni stał się zagranicą, dostawy betelu całkiem się urwały. Niektórzy w patriotycznym geście skończyli z nałogiem, ale tych była garstka. Reszta populacji Sohni Dharti rzuciła się do eksperymentowania z każdym liściem, jaki im się nawinął pod rękę, w nadziei, że trafią na taki, który goryczką i smakiem będzie chociaż przypominał betel.

— No to rząd może być teraz kontent — utyskiwała Mah-

taab — bo dopiął wreszcie swego i przemienił nas wszystkich w osły.

Shamas i Jugnu, słuchając tego, uśmiechali się tylko, ich starszy brat zgrzytał zębami. Po czterdziestce stał się bardzo religijny i zdruzgotała go wieść, że ojciec urodził się hinduistą. Zarzucał staremu, że ukrywając tę tajemnicę i żyjąc nadal w grzechu z muzułmanką, zdradził ich wszystkich.

W młodości bywał sporadycznie w meczecie prowadzonym przez ojca Kaukab. Wizyty te stały się częstsze, kiedy zadurzył się w młodej ciotce Kaukab, która mieszkała z rodziną imama przy meczecie. Na każde modły szedł z nadzieją, że choć przez moment nacieszy oczy jej widokiem; często widywał ją w wysokim oknie wychodzącym na dom modlitewny — czyżby choć przez chwilę chciała na niego popatrzeć? Swoją religijnością pragnął sobie zaskarbić przychyłność ojca Kaukab. Kto wie, może któregoś dnia uzna go za odpowiednią partię dla swojej siostry. Kiedy usłyszał, że ta, do której wzdycha, ma wkrótce wyjść za mężczyznę, któremu została przyrzeczona w dniu narodzin, serce mu pękło i zaczął chodzić do innego meczetu, gdzie propagowano bardziej radykalną interpretację islamu. Poznał tam ludzi, pod których wpływem stał się z czasem wyznawcą obcej jego rodzicom i braciom, wojującej i nieprzejednanej formy wiary.

Kiedy pochodzenie Chakora wyszło na jaw, nie słuchając ojca Kaukab starającego się załagodzić sprawę, zaczął szukać porady u znajomych i uczonych, do których miał zaufanie. Ich opinia doprowadziła go na granicę obłądzenia — dzieci ze związku Chakora z Mahtaab były co do jednego z nieprawego łoża. Potrzaskał meble na werandzie i cisnął o ścianę dzbanem na wodę, kiedy się dowiedział, że Chakor domaga się kremacji. Wykrzykiwał przy tym, że Chakor nie powinien być płodzić potomstwa, skoro nic miał pewności co do swojego statusu religijnego, że w dniu Sądu Ostatecznego zostanie przywleczony w łańcuchach przed oblicze swoich dzieci i będzie je błagał o zmiłowanie.

Sprzeciwiał się szukaniu Aarti. Twierdził, że rak trzustki to kara zesłana przez Allaha, i stając nad umierającym, kaszlącym krwią ojcem, kazał mu prosić o wybaczenie żonę, dzieci i Allaha, bo „tylko pod tym warunkiem Allah uśmierzy ból”. Klęska

w wojnie z Indiami o Pakistan Wschodni dobiła go i wpędziła w stan otępienia (podobnie zresztą jak większość mieszkańców kraju). Przestał się odzywać, szczęki drgały mu tylko z wściekłości i oczy płonęły, kiedy snuł się bez celu po domu, pluł na talerz i odchodził, jeśli posiłek nie był taki, jakiego oczekiwał, tłukł bez opamiętania swojego syna za puszczanie latawca, za dmuchanie w gwizdek albo kopanie piłki na podwórku, bo uważał, że to nie po muzułmańsku — krótko mówiąc, kazał dziecku przeproszać, że jest dzieckiem.

Pewnej nocy Shamas zasnął na macie rozłożonej na podłodze przy łóżku Chakora. Obudzony przez awanturującego się sąsiada, palacza opium, który w narkotycznym transie rzucał kamieniami w księżyc, stwierdził, że jest w izbie sam. Dopiero po kilkudziesięciu latach dowiedział się ze szczegółami, co zaszło, kiedy spał.

Jugnu, który też się zdrzemnął, obudził podmuch zimnego powietrza. Drzwi na podwórko stały otworem, zbliżał się świt, z drzewa *harsinghar* opadały płatki kwiatów. Jugnu spojrział na łóżko ojca. Było puste. Shamas spał na rozłożonej na podłodze macie. Jugnu wyszedł na podwórko i okrążywszy dom, spostrzegł, że drzwi frontowe też są otwarte, a na ulicy, tuż za progiem, leży zakrwawiona szmata. Schylił się i ją podniósł — krew jeszcze nie zakrzepła. Idąc tropem świeżych kropel krwi, trafił do opuszczonej hinduistycznej świątyni. Hinduiści z Sohni Dharti wyemigrowali w 1947 roku do Indii i od tamtego czasu niedogładany przez nikogo budynek stopniowo popadał w ruinę.

Zaglądał do zdewastowanych pomieszczeń, wołając ojca po imieniu. Odpowiadały mu tylko budzące się ptaki. Nagle poczuł swąd dymu. Pobiegnął w kierunku, z którego dolatywał, ale było już za późno: ojciec oblał się naftą i podpalił. Czując zbliżającą się śmierć, oszalały z niehumanicznego bólu, postanowił sam się skremować.

Zwęglona twarz, wyszczerzone, zmatowiałe zęby, ślubna obrączka wtapiająca się w palec skwierczący jak pieczone na ruszcie mięso; Jugnu przez wiele lat będzie się starał wyrzucić ten widok z pamięci, przepędzić go ze swych wspomnień z dwóch godzin, które spędził jeszcze w ruinach.

I podobnie jak Shamas będzie się starał nic myśleć o tym, że

ktoś zakradał się nocą na cmentarz i wykopywał trupa, bez względu na to, jak głęboko go zakopali; a zdarzyło się to trzy razy.

Jugnu zdusił płomień *loi* pleciem, którym owinał się, wychodząc z domu, a potem okrył nim popalone ciało ojca. Chakor wydawał ciche gardłowe pomruki, był tak poparzony, że lepiej go było nie ruszać. Kruk sfrunął z gałęzi nad głową Jugnu i porwał z zakurzonej podłogi lśniący, czerwony płatek mięsa. Ledwie ptak, unosząc zdobycz w dziobie, wyleciał przez wyłom w ścianie i zniknął mu z oczu, Jugnu uświadomił sobie, co to było: Chakor, zanim się podpalił, odciął sobie język na wypadek, gdyby ból zmusił go do wzywania pomocy.

Shamas wraca przez wyludnione centrum miasteczka z odebranymi od dostawcy prasy gazetami.

Schodzi po skarpie nad brzeg rzeki, żeby jej posłuchać. Liście rosnącej tu jarzębiny przypominają liście tamaryndowca. Nawet Aarti, gdyby ją odnaleźli, nie mogłaby przyjechać na pogrzeb brata — wojna dopiero co się skończyła i nie dostałaby wizy.

Żdźbła podtopionej trawy falujące na płyciźnie przywodzą mu na myśl wici plemników i naraz, w ustronnej zatoczce, gdzie niczym rozsypane szklane paciorki kłębią się pęcherzyki powietrza, dostrzega parę kochanków. Wybałuszają na niego przerażone oczy, zaskoczenie jest tak wielkie, że i jemu krew uderza do głowy.

Nie ulega wątpliwości, że oni pierwsi go zauważyli: zdążyli się już od siebie oderwać i trochę ochłonać, ale na twarzach pozostały jeszcze ślady tego, co się na nich przed chwilą malowało: „pokaż mi gdzie, a posmakuję cię tam”. Chłopak siedzi przygarbiony, dopina rozporek, dziewczyna naciąga pośpiesznie rozpiętą na plecach *kamis*, która zsunęła jej się z ramion, odsłaniając piersi.

Musieli starannie wybrać na schadzkę to odosobnione miejsce, a kondom, który — gdyby nikt im nie przeszkodził — znajdowałby się już pewnie na swoim miejscu, ma bez wątpienia wojskowy kamuflaż.



— Witaj, wujku-ji Shamasie — odzywa się z uśmiechem dwudziestoletni chłopak, hinduista. — To ty, wujku-ji Shamasie, tak?

To sąsiad z osiedla, Shamas zna go z widzenia. Przyjmowany do przedszkola mówił tylko w hindi, języku rodziców, nie znał ani jednego angielskiego słowa i wyklócał się z przedszkolanką, że owoc, który kazała narysować dzieciom, nic nazywa się wcale „jabłko”, tylko *seb*.

Chłopak, wciąż uśmiechnięty, wstaje, koszula napina się na szerokich ramionach. Proces dojrzewania nie do poznania zmienił jego twarz; nos zrobił się nieproporcjonalnie długi; kości policzkowe pozostały takie, jakie były w dzieciństwie, wskutek czego jakby spłaszczyły się optycznie; podbródek i szczęka są teraz bardziej kanciaste.

— Pozwól, że wezmę swoje wieczko. — Wskazuje ruchem głowy na baseballową czapkę leżącą na kamieniu. To pretekst, tak naprawdę chce sprawdzić, czy z jego kochanką wszystko w porządku. Podchodząc do Shamasa z rękami wciśniętymi głęboko w kieszenie, żeby zamaskować widoczną przez spodnie erekcję, dawał jej wyrozumiale czas na ogarnięcie się gdzieś na stronie, i ona skwapliwie to wykorzystywała, wycofując się w zarośla.

Dziewczyna jest teraz żoną muzułmanina, ale ta miłość zaczęła się na długo przed małżeństwem.

Shamasa ni stąd, ni zowąd ogarnia znużenie; to ów szok, o jaki przyprawiło go natknięcie się na tę parę. Stoi trochę oszołomiony, jakby zaczadziały, i czeka, aż uspokoją się rozdygotane zmysły. Niebo już prawie całkiem jasne, woda się skrzy. Oczy zachodzą mu od jakiegoś czasu kataraktą, ale na razie musi się nauczyć żyć z tą mleczną błonką, bo nic nie da się z nią zrobić; trzeba poczekać, aż pogrubieje, stanie się bardziej nieprzejrzysta, nabierze konsystencji kleju, poważnie upośledzi wzrok. Lekarz powiedział, że na operację przyjdzie czas za jakieś dziesięć lat. Coś takiego, czyżby dawał mu jeszcze tyle życia?

Chłopak wraca z dziewczyną. Idzie wyprostowana, z gracją i godnością, poprawiając włosy i z braku lustra, w którym mogłaby się przejrzeć, zerka na swój cień na kamieniu.

— Znasz, wujka-ji Shamasa, ma się rozumieć? On i jego brat lo najrówniejsi dorośli na osiedlu. Mieszka niedaleko kościoła Świętego Eustachego. Za dzieciaka przezywaliśmy wikarego Samotny Bobek, biali się wyprowadzili i został bez swojej trzódki.

Dziewczyna mieszka na obrzeżach osiedla. Na jej twarzy widać wysiłek, z jakim próbuje sobie skojarzyć Shamasa — tego intruza, który wkradł się w chwilę miłosnych uniesień. Pokropiła się przed chwilą jakimś pachnidłem i jego woń dociera do Shamasa falami, tak jakby gdzieś w pobliżu rozkwiatały jedna po drugiej gardenie.

— Wczoraj znaleziono tu niedaleko serce, wujku-ji — odzywa się dziewczyna; najwyraźniej uwierzyła kochankowi, że Shamasowi można zaufać, że on nie z tych, którzy zaczęliby rozpowiadać, co tu widzieli, i narobili im kłopotu. — Jakieś pół mili stąd, za tamtymi sosnami. Pełno tu było detektywów. Przyszliśmy z ciekawości...

— Ludzkie serce — wpada jej w słowo chłopak. - Czyjeś dzieciaki przybiegły do domu, wołając, że znalazły „bijący woreczek”. Rodzice wezwali policję.

Shamas patrzy na nich zdębiały i nic nie rozumie. Serce? Stojący przed nim kochankowie są z krwi i kości, za to krzaki, z których przed chwilą wyszli, poruszają się jeszcze, jakby buszowały w nich duchy. Odchrząkuje, żeby pobudzić nieużywane od pewnego czasu struny głosowe, ale mimo to, kiedy się odzywa, głos ma schrypnięty:

— Czyje to było serce? — Chandy? Jugnu? Z krtani wrywa mu się stłumiony jęk. Strzyżyk obserwujący go z gałęzi nad kamieniem, od fruwa z przenikliwym gwizdem. Shamas odwraca się i rusza przed siebie.

Zmęczenie zatruwa mu krew. Idzie wysoką nawą tworzoną przez sosny. Co chwila trafia go strząśnięta przez drzewo kropla wczorajszego deszczu; pęki igieł ocickającym mokre pędzle, buty grzęzną mu w zawiesistym jak majonez błocku. Nie, to nie mogło być serce Jugnu ani Chandy, wmawia sobie, przyśpieszając kroku, Oddech już mu się trochę wyrównał.

Zakłopotany stylem, w jakim rozstał się z kochankami, ogląda się przez ramię. Kiedy wyszło na jaw, że dziewczyna zakochała

się w Hindusie, wydano ją wbrew jej woli za kuzyna sprowadzonego czym prędzej z Pakistanu, ale małżeństwo szybko się rozpadło, bo ona go do siebie nie dopuszczała, i zniechęcony kuzyn, po uzyskaniu brytyjskiego obywatelstwa, dał w końcu za wygraną, rozwiódł się z nią i wyprowadził. Była jeszcze młoda, ale nikt nie chciał za żonę dziewczyny, która nie jest dziewicą — „Jak już się żenić z rozdzieloną, to czy z dwojga złego nie lepsza niebieskooka angielska blondynka?” — i rodzice zdołali znaleźć jej tylko starszego mężczyznę, który, jak się poniewczasie okazało, miał już trzy żony. Z nią ożenił się zgodnie z literą zarówno brytyjskiego, jak i muzułmańskiego prawa, z tamtymi trzema miał tylko muzułmański ślub: pragnął syna, a rodziły mu się same dziewczynki, a więc żenił się i żenił. Kliniki płodności prowadzone przez pakistańskich lekarzy zamieszczają często w urdyjskich gazetach ogłoszenia o niewinnej z pozoru treści: „Powiedzmy ci na poczekaniu, jakiej płci jest płód”, ale Shamas wie, co kryje się w podtekście — „i jeśli to dziewczynka, na twoje życzenie przerwiemy ciążę”. Ciekawe, czy mąż dziewczyny korzystał z tego rodzaju usług.

Shamas ogląda się jeszcze raz, ale kochanków nie widzi. Kiedy matka dziewczyny dowiedziała się, że ta nadal wzbrania się przed skonsumowaniem małżeństwa, chociaż już prawie od tygodnia dzieli łożę z nowo poślubionym kuzynem, wzięła pana młodego na stronę i szepnęła mu do ucha:

— Zgwałć ją dziś w nocy.

Shamas mija dom Kiran. Wciąż ma przed oczyma ciało dziewczyny — gładkie, śniade, połyskujące powabnie w promieniach wstającego słońca, takie były przynajmniej te jego fragmenty, które zdążył zobaczyć. Od kilku lat odwiedza co jakiś czas Kiran i jej niepełnosprawnego ojca i za każdym razem, wybierając się do nich, ma świadomość — poczucie winy ciąży mu na sumieniu jak ołów — że robi to głównie z myślą, że spotka ich sąsiadkę prostytutkę i kto wie, może nawiąże z nią bliższą znajomość.

WIOSNA

## *Madonny*

Pociąg wiozący Mah-Jabin do Daśle-Tanhai przesywa tunel za tunelem niczym igła nanizająca na niewidzialną nić paciorki różańca. Im bliżej doliny, tym tych tuneli więcej, bo teren fałduje się i coraz bardziej przypomina wzburzone sztormem morze — przełęcze za każdym łukiem torów są coraz głębsze, a szczyty wyłaniające się za każdym tunelem coraz wyższe.

A kiedy powietrze uwięzione między dwiema takimi zestalonymi falami wlewa się do przedziału — wypełniając go po brzegi ciepłym angielskim kwietniem — wraz z nim wlatuje również ćma wielkości i kształtu strzałki kursora na ekranie komputera i rozpoczyna zawiły taniec po opuszczonej do połowy szybie.

Mah-Jabin skończy w tym roku dwadzieścia siedem lat, mieszka i pracuje w Londynie. Jako szesnastolatka wyjechała do Pakistanu, wyszła tam za mąż za kuzyna i zamieszkała z nim w jasnozielonym domku w Sohni Dharti. Rozwiedli się dwa lata później, doprowadzając tym do nerwowego załamania tudzież wściekłości jej matkę. Tamto krótkie małżeństwo wydaje się jej teraz tak nierealne, jakby znała je tylko z czyichś opowieści.

Kaukab zanurza jabłka jedno po drugim w misce wody i trze każde, usuwając wszelkie wyczuwalne pod palcami szorstkości, przywracając skórcie nieposzlakowaną gładź.

Kłęb zgniecionego papieru, w którym Mah-Jabin przyniosła białe lilie, szeleści, jeszcze rozprostowując się w koszu na śmieci, z którego, niczym szyje pijanych łabędzi, zwisają smętnie łodygi zwiędłych tulipanów. W szklanym wazonie zastąpiły je lilie; płatki tulipanów, schnąc, pomarszczyły się, rozdzieliły i każdy kielich wielkością oraz kształtem przypomina teraz żywy kwiat kapryfolium.

— Dotarły do ciebie kwiaty, które ci przesłałam, mamó?

W ciepłym pokoju jabłka zaczęły już wydzielać swój łagodny, rozleniwiający aromat, kojarzący się z pachnącą dymem jesienią.

— Tak. Utrzymały się przez całe dwa tygodnie. Kaukab, widząc, że Mah-Jabin sięga po jabłko, podaje jej nóż.

— To tak się teraz czeszą białe dziewczyny?

W tym momencie słońce wygląda zza chmur i rozświetla pokój jak wybuchająca magnezja.

Mah-Jabin mruży oczy, odkłada jabłko na miejsce, bierze od Kaukab nóż i pokazuje nim na paprykę — czerwoną jak płód — leżącą na desce do krojenia.

— Chciałam coś zmienić w swoim wyglądzie. — To nowa fryzura i do tej pory znajduje długie na metr włosy oblepiające ubrania, których od jakiegoś czasu nie nosiła.

— Osiemnaście lat zapuszczania. — Wargi Kaukab układają się w sztywny uśmiech, uśmiech rzeźby, który nie zniknie, choćby nie wiadomo co wyprawiano z resztą jej twarzy czy ciała. — Osiemnaście lat.

Tym bardziej miałam powód, myśli Mah-Jabin, ale na głos tego nie mówi. Ostrze noża z głuchym odgłosem tnie paprykę w czerwone pierścienie, które w gotowaniu nabiorą woskowej przezroczystości.

Kaukab kiwa głową i na razie porzuca temat włosów.

— Zupełnie przypadkiem trafiłam wczoraj na tę paprykę. Chyba hiszpańska. O tej porze roku jest wielkości tulipana i rada nie rada musiałam wziąć taką. Trochę drogo, ale... — szuka na twarzy córki oznak, że nie pamięta — ...sama wiesz, jak ojciec ją lubi.

Grzbietami palców dotyka jedwabiu, który przywiozła jej Mah-Jabin — zielonego jak kopuła mauzoleum Mahometa

(pokój niech będzie z Nim) w Medynie — żeby uszyła sobie z niego *kamis*, i za który podziękowała, bo w takiej *kamis* nie mogłaby odmawiać modlitw: jest w motylki, a islam zabrania tworzenia obrazów żywych stworzeń.

— Szkoda — mówi. — Taki ładny materiał. Uszyłabym z niego *kamis* tobie, ale ty już pewnie nie nosisz pakistańskich strojów. — Wypowiada te słowa odwrócona do córki plecami; bada ją, ciekawa, czy domyśla się miny towarzyszącej tej uwadze, zupełnie jak dziewczyna, która nagle zamyka oczy i pyta ukochanego, jakiego są koloru: prawidłowa odpowiedź będzie dowodem miłości.

Mah-Jabin wolno było nosić „zachodnie” stroje do szkoły, ale tylko pod warunkiem, że zachowywały krój i styl *szaiwar--kamis*: koszule musiały być długie i wyrzucone na wierzch, do nich wkładała spodnie. Raz pozwolono jej wdziać spódnicę plisowanajak *ghargas* kobiet z pakistańskiej pustyni i długą do samej ziemi, chociaż spódnice były w zasadzie zakazane, jako strój umożliwiający łatwy dostęp. Mah-Jabin bardzo się zdziwiła, kiedy Kaukab na czyimś ślubie nazwała jedną z kobiet „skąpo ubraną”. „Przecież ona była w sari! Sześć i pół jarda materiału”. „Tam gdzie w grę wchodzi przyzwoitość, liczba jardów nie gra roli”, brzmiała odpowiedź Kaukab. Matka potrafiła też przechwytywać w locie potajemne znaki i gesty, zanim te dotarły do adresata i zostały rozszyfrowane. Widziała je wszystkie jak kot w ciemnościach. Nie pomogły zapewnienia Mah-Jabin, że zgubiła paragon, Kaukab kazała jej odnieść do sklepu granatowy sweter z szerokim jaśniejszym pasem od pachy do pachy, bo zwracał uwagę na biust.

Mah-Jabin — w sinoziclonych zamszowych butach i z odkrytą głową, w czarnych, lekko zwężanych w kostce spodniach i olśniewającej koszuli z purpurowym kołnierzem z materiału na sari — podaje Kaukab talerz z pierścieniami pokrojonej papryki upstrzonymi żółtawymi nasionami.

— Kiedyś, na uniwersytecie, ugotowałam sobie posiłek z tego, co moje koleżanki chciały wyrzucić — z ogonków papryki i usuniętych ze środka pestek. Nie mogły wyjść z podziwu; dobrą szkołę mi dałaś. — Stara się nie mówić ze zbytnią nonszalancją o swoich nowych znajomościach, nie chce ranić

Kaukab przedstawianiem się jej w charakterze innym niż córka, jej córka. Tyle jest rzeczy, których lepiej nie wnosić do domu, a matce niewiele trzeba, żeby w wyrażeniu własnego zdania albo przejawie niezależnego myślenia ze strony córki dopatrywać się próby podważania swojego autorytetu.

Kiedy Mah-Jabin weszła w okres dojrzewania, Kaukab, po blisko dwudziestu latach obywatela się bez przyjaciółki, w niej właśnie taką znalazła.

— Na Allaha — mawiała, przygryzając róg chustki, żeby nie wybuchnąć śmiechem — nawet swojej rodzonej matce ani teściowej nie powiedziałam połowy tego, co ty ze mnie wyciągnęłaś, szelmo. Jak możesz pytać o pierwsze słowa, z jakimi zwrócił się do mnie ojciec w noc poślubną? Miej trochę wstydu. — Kiedy słabe protesty Kaukab przeciwko niestosowności niektórych jej pytań wreszcie ustały, potrafiły dyskutować na każdy temat bez skrepowania i wszystko dokładnie analizować. Mah-Jabin pytała o dziadka Chakora, zastanawiało ją, dlaczego innym muzułmanom ze świątyni nie wydało się dziwne, że przebywający między nimi chłopiec nie jest obrzezany, bo urodziwszy się w hinduistycznej rodzinie, pewnie nie był. Kaukab wyjaśniła, że w tamtych czasach, na początku stulecia, kiedy szalały rozmaite choroby i infekcje, nierzadko spotykało się muzułmańskiego chłopca w tym wieku z nietkniętym napletkiem, bo po przebytej przed rokiem ospie i po tyfusie, na który chorował przed dwoma laty, był za słaby na zabieg, a polem przypląfywała się cholera i operację znowu odkładano.

— Obrzezali go w tej świątyni, do której trafił, i tyle. W Sohni Dharti mieszkał za moich czasów dwunastolatek, którego matka poza nim miała jeszcze ośmioro dzieci, przez co wciąż brakowało jej czasu, żeby tego dopilnować. Chodził potem po wiosce z dziurą na przodzie szortów jak ten słoń w balaklawie, ale co ja tu z tobą rozmawiam — i to jeszcze o takich sprawach! — skoro powinnam coś zrobić z tymi rzeczami do prania, co już od paru tygodni leżą na samym dnie kosza i wabią tylko szczypawki i inne robactwo. Pewnego razu, podczas jakiejś sprzeczki, Mah-Jabin wykrzyczała w gniewie:

— 1 nie przybiegaj więcej do mnie, ilekroć zależą ci za skórę twoi synalkowie albo ojciec wyskoczy z czymś niezgod-



nym z nauką islamu. — Wymieniona trójka znajdowała się w zasięgu jej głosu i przestraszonej, upokorzonej tą zdradą Kaukab oczy zaszyły łzami.

Czajnik gwizdże jak nadepnięta piszcząca zabawka. Kaukab zdejmuje z haczyków dwie z sześciu filiżanek, które wiszą w równych odstępach na krawędzi półki niczym dojrzałe brzoskwinie na gałęzi albo kolekcja dzwonków.

— Zwykle przyrządzam posiłek wieczorem, kiedy ojciec jest już w domu — on nie lubi odgrzewanego — ale dzisiaj weźmiemy się do tego już teraz. Pamiętam do dziś, jak moja matka, kiedy byłam mała, zwykła mawiać, że jeśli chodzi o posiłek, to kobieta nie powinna go ani kończyć, ani zaczynać: znaczy to, że nie wolno jej brać ostatniego kawałka czegoś, bo ktoś inny może mieć na niego ochotę, i nic wolno nakładać sobie pierwszej ani gotować specjalnie dla siebie, bo to nieprzyzwoite i świadczy o braku wstrzemięźliwości. Ale te zasady uznaje się teraz za staroświeckie. Ludzie się zmienili. — Podaje Mah-Jabin filiżankę w kolorze kwiatu lotosu.

— Wydaje mi się, mamó, że z przyrządzaniem właściwego posiłku rzeczywiście powinniśmy się wstrzymać do szóstej, ale wyszłam rano z domu bez śniadania, podróż była długa, przekąsiłabym więc coś na lunch, może kanapkę. — Odbiera filiżankę i znowu zalatuje ją zapach matki. Za pierwszym razem poczuła go w powietrzu przy furtce, kiedy wkraczała z ulicy do ogródka: to jej powiedziało, że matka była dopiero co na zewnątrz, wychodziła z domu albo do niego wracała.

— Ojciec na pewno nie weźmie ci tego za złe, przygotujmy teraz paprykę i ćapati. — Kaukab otwiera drzwi prowadzące do ogrodu na tyłach, podpira je więcierzem do łowienia homarów i do kuchni wdziera się nagrzanе powietrze. Skrajem wąskiej ścieżki skapanej w wilgotnym cieniu i odgradzającej ogród od zbocza, płynie błękitno-różowy strumyk, który w lecie wyschnie, odsłaniając oślepiająco białe kamienie. Płynie z prawej w lewo, tak jak pisze się w języku urdu.

— To ty rób ćapati, mamó, a ja się zabiorę do papryki. Jak ją przyrządzić? — Mah-Jabin czuje już rozkoszny pożar ostrych przypraw szalejący po kubkach smakowych jak atomy w reaktorze, ale odpowiedź matki sprowadza ją na ziemię.

— Tak jak to robiłaś na uniwersytecie.

Kaukab stoi w drzwiach, patrzy na ogród za domem, na zieloną trawę, która jeszcze przed miesiącem była pomarańczowozłota jak folia, w którą zawijane są czekoladowe batoniki z pomarańczowym nadzieniem, słucha szemrania strumyka, które rozbrzmiewa w domu bez ustanku jak szum krwi w ludzkim uchu. Kiedy przyjechała przed laty do Anglii, myślała, że w tym kraju nie ma różowogłowych papug, bajecznie ubarwionych lorys, gwarków i żołą, bo jego mieszkańcy nie sadzą w swoich ogrodach odpowiednich roślin i pnączy, nie wiedzą, że trzeba akacji, by przywabić z niebios tkacza, że trzeba winorośli, by przyfrunęła wilga, że papugi z różowymi kryzami gustują w mango i *dżamun*. Ona wiedziała, że muchodlawkom pękają serduszka, kiedy wycinane sąerytryny i że malutki nektarnik wyklócać się będzie z motylem o pierwszeństwo do połyskliwego kwiatu ketmii, przy którym obaj są jak karzelki.

Napisała więc do domu list z prośbą o przysłanie nasion, szczepów i sadzonek roślin, których tutaj się nie uświadczyło, przez co dudki, sójki amerykańskie i perskie słowiki z czerwonymi kuperkami krążyły nad angielskimi chmurami, na próżno szukając gałązki, na której mogłyby przysiąść, a później, podejrzewając, że za niepowodzenia odpowiedzialna jest miejscowa gleba, rozważała sprowadzenie w workach gleby pakistańskiej, gościnnej dla wszystkiego, czego najlepszym dowodem stuletnie parki i ogrody Lahauru zaprojektowane i założone w czasach kolonialnych, w których znaleźć można każdą roślinę z każdego kraju rządzonego kiedykolwiek przez Brytyjczyków. Ale ta ziemia jest teraz cieplejsza i Kaukab zna kogoś mieszkającego niedaleko, przy Benzair Bhutto Road, komu udało się wyhodować bananowca, tyle że drzewo nie przetrwało długo, bo zaraz po wyemitowaniu programu telewizyjnego o madraskiej kuchni jakieś uczennice wypróbowały polecane tam przepisy kulinarne, a żeby przydać swoim *dosas* południowo indyjskiej autentyczności, postanowiły jeść je z liści bananowca.

Mah-Jabin wstaje, przeciąga się, potem podchodzi do zlewu, myje swoją filizankę i odwiesza ją na pusty haczyk. W sąsiedniej filizance spoczywa martwa ćma przypominająca szczyptę

sproszkowanego złota (przeoczona przez matkę, bo od jakiegoś czasu nie było okazji do zrobienia użytku ze wszystkich sześciu naraz?), i teraz przypomina sobie, że wcześniej na zasłonie sąsiadującej z wazonem widziała stary, zbiakły nalot z pyłku z lilii, które przysłała Kaukab na urodziny.

Kiedyś byłoby to nie do pomyślenia.

Osiągnięcie przez Mah-Jabin wieku dojrzewania stało się punktem zwrotnym dla wyglądu domu, do tej pory traktowanego jak tymczasowe miejsce zamieszkania w kraju, w którym nikt z rodziny nie myślał zapuszczać korzeni. Okres spędzony w Anglii utożsamiany był z doczesną pokutą, powrót pewnego pięknego dnia do Pakistanu ze wstąpieniem do raju.

Rozdrażnienie dorastającej córki prowizorką, która ją na co dzień otaczała, zmusiło w końcu matkę do wyrażenia zgody na wprowadzenie wielu zmian w wystroju wnętrza. Zaczęła chodzić z dziewczyną po sklepach, w których wcześniej nie postąpiła jej noga, i przysłuchiwać się, jak wypytuje białych sprzedawców, czy ta rzecz dostarczana jest w takim to a takim kolorze, czy tamta bywa w mniejszym rozmiarze i w wersji zapinanej na zatrzaski, a nie wiązanej na tasiemki, jak na tym zdjęciu wyciętym z czasopisma. Słuchała z niedowierzaniem, jak dziewczyna trąkocze po angielsku w takim tempie, że na jedno wypowiedziane przez nią zdanie ona ledwie zdążyłaby wydukać jedno angielskie słowo, jak każe jej usunąć ze stołu obrus, bo ona chce się „napawać” fakturą gołego drewna. Mah-Jabin pamięta, jak Kaukab zżymała się na niedojrzałość dwóch dziewcząt z sąsiedztwa, z których jedna, bardzo wzburzona, poskarżyła się swojej matce, że mąż chce „robić to od tyłu”, a druga swojej, że mąż chce „folgować sobie w jej usta”; pamięta również powiedzonko Kaukab, że pierwszych piętnaście do dwudziestu lat małżeństwa należy do mężczyzny, za to reszta do kobiety, bo może nastawiać dorastające dzieci przeciwko ich ojcu, opowiadając im o wszystkich doznanych od niego krzywdach i upokorzeniach, kluczem do szczęścia jest zatem cierpliwość. Tak więc Mah-Jabin, mała że nie wyznała nigdy Kaukab prawdy o swoim małżeństwie, to jeszcze przedstawiała je matce w tak różowych barwach, że sama czasami wierzy, że jej mąż — ten kuzyn, którego poślubiła w wieku szesnastu lat

w Pakistanie i z którym zamieszkała w jasnozielonym domku w Sohni Dharti — był w niej bez pamięci zakochany, i pyta teraz drzew w lesie, dlaczego go opuściła. W tych fantazjach nie chwyta jej żelaznym uściskiem za gardło i nie nazywa „rozpustną, bezwstydną angielską kurwą”, bo potajemnie doprowadzała się do szczytowania, kiedy on już skończył, odwrócił się do niej plecami i wytarłszy w grobowych ciemnościach w co popadło, zaczął zasypiać.

Wie, że świadomość tego, ile naprawdę wycierpiała, sprawiłaby Kaukab więcej bólu niż życie w fałszywym przeświadczeniu, że córka bez skrupułów, wzbudzając powszechne zgorszenie, porzuciła kogoś w niej rozkochanego. Reakcja Kaukab naprawdę świadczyłaby o jej miłości, to, że się jej tej prawdy oszczędza, jest dowodem miłości Mah-Jabin.

— Lepiej odpocznij — mówi Kaukab. — Ja to zrobię. — I po dziesięciu minutach blat szafki jest już zasłany kruchymi, łamliwymi miseczkami różowawych łupin cebuli, i przypomina „warsztat” drozda, jak nazwał kiedyś Jugnu płaski głaz na łące, na którym drozd rozłupywał skorupy ślimaków. Mrużąc podrażnione, łzawiące oczy, Kaukab kroi cebulę w półksiężycy i wrzuca je na rozgrzany olej. Znikają ze skwierczeniem pod kotłowaną pęcherzyków powietrza i będą się smażyły, dopóki nie zmiękną i nie zarumienią na brzegach. Kaukab wskazuje ruchem głowy na jedwab w motylki. — Mah-Jabin, wynieś to do pokoju. Tłuszcz tak pryska, a szkoda, żeby się poplamilo. Przypomniało mi się właśnie, że parę dni temu widziałam dziewczynę w *komis* z takiego samego materiału. Mieszka przy Faiz Street i chciała kiedyś wyjść za hinduistę, ale przemówiono jej do rozsądku i poślubiła kuzyna. Oczywiście małżeństwo się rozpadło, bo ona do niego nie pasowała — była wtedy bardzo młoda i miała jeszcze poprzewracane w głowie przez szkołę, nauczycieli i kolegów, i w ogóle przez mieszkanie w tym kraju, ale zgodziła się po raz drugi wyjść za męża i teraz jest bardzo szczęśliwa.

— Widziałam ją dzisiaj na Omar Khayyam Road, kiedy tu jechałam — mówi Mah-Jabin, pomijając milczeniem fakt, że dziewczyna była w towarzystwie swojego kochanka hinduisty. Jest zdumiona łatwością, z jaką przeszła na operowanie na-

zwami, które nadali ulicom i uliczkom miasteczka imigranci z pokolenia rodziców, nazwami, które słyszała dorastając.

Kaukab stoi przy kuchence, plecami do niej, i widok tej odwróconej sylwetki w rogu kuchni wywołuje u Mah-Jabin przyływ sentymentów: matka nad rondlem, skoncentrowana na gotowaniu, albo nad sąsiadującym z kuchenką zlewem, dokręcająca czubkiem noża śrubkę obluźowanej rączki patelni.

— Skąd ją znasz? Parę dni temu, podczas zmywania, jedna plastikowa miseczka zakleszczyła mi się w drugiej i nic mogłam ich rozdzielić. Ulicą przechodził akurat ten hinduista, którego ona chciała poślubić, i poprosiłam go o pomoc. Jak już powiedziałam, dziewczyna jest bardzo szczęśliwa z nowym mężem, którego wyszukali jej rodzice. — Kaukab milknie, a potem dorzuca: — Dochowanie się posłusznej córki to chyba loteria.

Mah-Jabin woli nic podejmować tej niebezpiecznej gry bez określonych zasad, w której nawet niewinny z pozom komentarz może sprowokować drugą stronę do konfrontacji.

— Pomóc ci w czymś, mamó?

Kaukab kręci przecząco głową, ale mimo to podaje Mah--Jabin drewnianą łyżkę do mieszania.

— Spróbuj, czy nie trzeba dodać soli albo przypraw. Ja po tym poście coś nie mam smaku.

— Po jakim poście? — pyta zdumiona Mah-Jabin. — To ostatnio był ramadan? Miałam wrażenie, że przeoczyłam Święto Ofiary\*. Dlaczego nie zadzwoniłaś?

— Nie, ramadan jest na jesieni. Pościłam przez dwa dni, żeby ubłagać Allana o spokój duszy. — Kaukab potrząsa łyżką, żeby Mah-Jabin wreszcie ją od niej wzięła. — A ty przeoczyłaś nie jedno, lecz dwa Święta Ofiary. W zeszłym roku go nie obchodziliśmy, bo Jugnu zaginał; ale zapomniałaś o tym dwa lata temu. Dlaczego miałam do ciebie telefonować? O takich rzeczach sama powinnaś pamiętać.

— Przepraszam, mamó, że nic przyjechałam. — Problem

**\* Id al-adha — święto upamiętniające ofiarę Abrahama, obchodzone przez muzułmanów dwa miesiące po ramadanie.**

wynika, oczywiście, z faktu, że daty muzułmańskich świąt wyznaczone są na podstawie kalendarza księżycowego i trudno rok po roku śledzić, kiedy wypadają. Mah-Jabin rozprawia po języku odrobinę sosu. — Idealnie. Ale przecież dzwonię co miesiąc, mogłaś mi coś napomknąć. — Odpowiedź jest druzgocąca:

— W tym roku zadzwoniłaś w sam dzień id al-adha. Kaukab znowu stoi przy kuchence.

— To moja wina, że w tym kraju wychowywałam swoje dzieci. W Pakistanie nikt nie musiałby im przypominać o id al-adha ani o ramadanie, tak jak tutaj nikomu nie trzeba przypominać o Bożym Narodzeniu. Tutaj o zbliżaniu się ramadanu świadczy jedynie zwiększony popyt na budziki wykupywane przez muzułmanów, żeby im przypominały, że świt blisko i trzeba zacząć pościć. — Ściana rozmywa się przed załzawionymi oczami Kaukab, drewniana łyżka przestaje krążyć po patelni. Mah-Jabin wyplątuje błyskawicznie stopy z gęstego lasu nóg od krzeseł pod stołem, zrywa się, w paru susach dopada do osuwającej się na podłogę matki i podtrzymuje ją w ostatniej chwili.

— Tak pusto w tym domu — szłocha spazmatycznie Kaukab, jak niedawno Mah-Jabin, która przekroczywszy próg domu, upuściła na podłogę bukiet białych iilii i rzuciła się z płaczem w objęcia matki. Nie musiała tłumaczyć, że płacze po Jugnu i Chandzic, to była jej pierwsza wizyta po tym, jak dowiedziała się w styczniu o aresztowaniu dwóch braci Chandy. Matka i córka zawsze się tak witają, pocieszając jedna drugą.

Kaukab wciąż płacze.

— Żadne z was nie przyjedzie pomodlić się nad moim grobem, kiedy umrę, to pewne. Czasami tak się boję, że nikt Go nie poprosi, żeby zmiłował się nad moją duszą.

Biała, porowata para nad patelnią zaczyna się zmieniać w czarny dym. Kaukab przetyka szybko swoje rozżalenie, uwalnia się z objęć Mah-Jabin i odpycha ją łagodnie, robiąc sobie miejsce do manewru.

— Może sprawdź jeszcze raz, czy nie za słone — próbuje się uśmiechnąć i jej twarz wykrzywia groteskowy grymas — bo trochę moich łez nakapało.

Mah-Jabin uśmiecha się blado i po chwili milczenia zmienia temat.

— Mamo, włosy z tyłu głowy zupełnie ci posiwiały. Dlaczego ich porządnie nie ufarbujesz? Siwizna wygląda jak łata na kocim futerku.

— Aż tak się odznaczają? — Pyta po chwili Kaukab, wykręcając szyję, tak jakby zobaczenie własnej potylicy było w ogóle możliwe. — Biali na ulicy patrzą pewnie na nas „pieprzonych Pakich” z politowaniem, jak na takich, co niczego nie potrafią porządnie zrobić. Twój ojciec przestał farbować włosy. Dawniej robiliśmy to sobie nawzajem tego samego dnia, ale teraz farbuję je sobie sama, nie chcę go fatygować, po co ma sobie brudzić ręce... Mam nadzieję, że się nie przypaliło... Czyli mówisz, że moje włosy dziwnie wyglądają? Naprawdę? Ale w moim wieku to bez znaczenia; czerwona uprząż nie odmłodzi starej kobyły.

— Ufarbuję ci je jak trzeba po lunchu. — Mah-Jabin bawi się własnymi włosami; nie zdążyła jeszcze odkryć wszystkich zalet nowej fryzury. — Ja też nałożę na swoje hennę, żeby je trochę rozjaśnić, ale są tak czarne, że nie wiem, czy przyjmą kolor. A swoją drogą, nie sądzę, żebyś była dla ojca starą kobyłą.

— Zamilcz, wredna dziewucho! — Kaukab rumieni się. — Czasami mam wątpliwości, czy jesteś moja. - Odchodzi od kuchenki i szpera w szafce. — Chyba... Tak, mam tutaj paczuszkę henny. — Na stole przed Mah-Jabin leży mała saszetka. — Nie, chwileczkę, są dwie. Tę drugą też weź. Po południu ufarbujemy sobie nawzajem włosy. Tylko wyciśnij do henny pół cytryny; rozjaśni trochę włosy i henna się przyjmie.

Mah-Jabin miesza hennę w miseczce. Dwie pary cieniutkich, przezroczystych celofanowych rękawiczek dołączanych do każdej saszetki henny sfrunęły na podłogę i leżą tam, ledwie widoczne na wzorzystym linoleum, niczym cztery widmowe dłonie.

— Dla mnie tylko jedno ćapati, mamo. Zazwyczaj jem dwa, ale twoje są ciężiej strawne od moich. — Mah-Jabin miała dwanaście lat, kiedy matka zaczęła ją uczyć, jak się robi ćapati. Bracia wybrzydźali i wykpiwali jej wysiłki, udając, że zbiera im się na wymioty, kiedy jeden po drugim wyjmowała z bryt-

fanny nieforemne krążki- Parę razy doprowadzili ją swoimi docinkami do łez, nazywając Salvadorem Dali, ale Kaukab wychodziła z założenia, że rodzina musi przetrzymać te pierwsze nieudane próby, żeby w przyszłości mąż nie miał zastrzeżeń do jej kuchni.

Kaukab, która wygarnęła już trzy garście ciasta z masy rozrobionej w emaliowanej misce, wciska teraz jedną z powrotem.

- Ojciec wychwala zawsze twoje ćapati, że takie kształtne i lekko strawne, takie puszyste. Ostatnio częściej, bo ja nie mogę się wciąż przyzwyczaić do tej nowej blachy do pieczenia — od tamtej starej oderwał się uchwyt — i ćapati wychodzą mi, co tu ukrywać, kiepskie. Pamiętam, jak wyjeżdżając do Anglii, zabrałam ze sobą blachę: twój ojciec specjalnie pisał, żebym to zrobiła, bo tutaj nie można ich było wtedy dostać. Mężczyźni przyrządzali sobie ćapati na odwróconej do góry dnem patelni...

— Tak, wiem, opowiadałaś mi. Ale w Wielkiej Brytanii jest przecież w sprzedaży coś, co nazywa się „brytfanna” i przypomina pakistańskie blachy do pieczenia, no i jeszcze meksykańskie tortille piecze się na...

— Gdybyśmy mieli ciebie za przewodniczkę po tamtych pierwszych latach, byłoby inaczej, i przepraszam, że się czasami powtarzam, ale nie mam takiego urozmaiconego życia jak twoje. — W komentarzu tym pobrzmiwa ledwie uchwytna nutka zgryźliwości i dezaprobaty. — Jeśli powtarzam coś codziennie, to dlatego że codziennie to coś na nowo przeżywam. Na przykład codziennie z żalem, że nie mogę cofnąć czasu, przeżywam na nowo dzień, w którym przyjechałam do tego kraju, w którym niczego dobrego nie zaznałam. — Kaukab kładzie na wyjęte z blachy ćapati grudkę masła, które topi się i rozpląwa po gorącej powierzchni.

Na dnie talerzyka, który Mah-Jabin wyjęła z szafki, widnieje cieniutki sierp bladożółtego nalotu — zaschniętych pozostałości po poprzednim posiłku — odcinający się wyraźnie od białego fajansu. Kiedyś to Kaukab zauważyłaby i wytknęła taką niedokładność zmywającej naczynia córce.

Matka się starzeje.



Siadają obok siebie przy stole i jedzą. Kaukab co chwila ociera się z westchnieniem zadowolenia o ramię Mah-Jabin. Dziewczyna odgryza kęsy powleczonego masłem ćapali i nadziewa na widelec rozmiękczone, ustępliwe krążki papryki nasiąknięte olejem słonecznikowym; w sosie pozostają ślady przypominające odciski ptasich nóżek w błocie.

— Ciekawam, co ta dziewczyna robiła na Omar Khayyam Road — odzywa się Kaukab. — Rozmawiałaś z nią? Była z kimś, może z tym młodym hinduistą?

Mah-Jabin obawiała się tego pytania. Nie potrafi ukryć rozdrażnienia.

— O Jezuu, a co to za różnica, z kim była?

— Siedziałaś taka milcząca, to chciałam zagaic rozmowę — mówi Kaukab, odsuwając rękoma talerzyk, łydkami krzesło, i wstając gwałtownie. Pogłębiają się trzy bruzdy przecinające jej czoło. Są tam, od kiedy Mah-Jabin pamięta, tak proste i równo odległe, że w dzieciństwie przypominały jej linie w zeszytach do ćwiczeń i miała ochotę kaligrafować na nich litery alfabetu. — I nie pozuj mi tu na białą tymi odzywkami w rodzaju „O Jezuu”, bo mnie nie zaimponujesz. Słyszysz? — Mruży pałające gniewem oczy. — Pytałam, czy słyszysz.

— Przepraszam. To nie twoja wina, że się nie odzywałam. — Mah-Jabin wzdycha. — Myślałam o wujku Jugnu.

Zżyma się wewnątrz na własne słowa, w swoim odczuciu postępuje niegodziwie, wykorzystując śmierć dwojga bliskich osób do odwrócenia uwagi matki, bo nie chce ranić jej uczuć, czy może raczej boi się z nią konfrontacji. Wychodzi na to, że straszna rzecz zwana życiem wysysa z niej przyzwoitość, uczy kompromisu i zmusza do sprzeniewierzenia się wyznawanym zasadom, do nieoddawania należnego szacunku pamięci tych, którzy odeszli! Pewnego dnia obudzi się i nie pozna samej siebie.

Od stycznia już kilka razy rozmawiały przez telefon o Jugnu i Chandzie, rozmawiały o nich również i dzisiaj, i zanim nadszedł styczeń, kiedy to mijały długie nerwowe tygodnie i miesiące, a Jugnu i Chanda, przepadłszy jak dwie krople deszczu w jeziorze, nie dawali znaku życia, miesiące, które w końcu doprowadziły do aresztowania braci Chandy — i nie

ma tu już nic do dodania. Kaukab jest niewzruszona w swoim przeświadczeniu, że nie zostali zabici i kiedyś wrócą, że grzechem jest tracić nadzieję, że bracia nic mogliby z zimną krwią zamordować własnej siostry.

- Nic obchodzi mnie, ilu jest takich, którzy mówią co innego; nieprawda nie staje się prawdą tylko dlatego, że powtarza ją dziesięciu. Ja nie stracę wiary w łaskawość Allaha, obojętne, w jak ciemnych barwach będą się rysowały sprawy; słońce nie znika, to tylko ziemia się od niego odwraca.

Mówi córce o napisach, które ktoś wydrapał na ścianie domu Jugnu: „Żyli w grzechu i umarli jak grzesznicy” oraz „Smażą się w piekle już od ponad sześciu miesięcy, ale pamiętajcie, że wieczność odjąć sześć miesięcy to nadal wieczność”.

Mah-Jabin sprząta ze stołu w zalanej słońcem niebieskiej kuchni. Ciszę maści tylko szemranie strumyka. Kaukab, wciąż zagniewana, bierze ze spodeczka różaniec z przezroczystych czerwonych paciorków i wychodzi. To pora modlitwy. Mah-Jabin skracza zasłonkę na szybce drzwi frontowych, wiążąc ją w luźny węzeł, i przestawia krzesło w płonąca płamę światła słonecznego. Rączką zużytej szczoteczki do zębów, która sądząc po charakterystycznym odkształceniu włosów, należała kiedyś do ojca, zaczyna mieszać farbę do włosów w plastikowej nasadce starego pojemnika po dezodorancie.

Po skończonej modlitwie Kaukab schodzi z góry z rozkołysanym różańcem w ręku. Podobne do żurawin paciorki są większe od tych, na których modliła się, kiedy była młodsza, palce miała zwinniejsze, a opuszki bardziej wrażliwe; w Koranie, którego teraz używa, druk też jest większy niż w poprzednim egzemplarzu, bo wzrok już nie ten i słowa zaczynają się zlewać przed oczami.

Nawet po spotkaniu i naradzie z Allanem dąsa się wciąż na córkę, skutki wybuchu gniewu jeszcze nie ustąpiły. Wchodzi bez słowa w płamę słonecznego światła, siada na krześle i spuszcza głowę.

Stojąca za oparciem Mah-Jabin domyśla się, że matka, przystępując we wzburzeniu do modlitwy, nie mogła się należycie skupić i teraz ma z tego powodu wyrzuty sumienia. Jedyne, co w tej sytuacji pozostaje Mah-Jabin, to wrócić do punktu wyjścia

i zacząć od nowa, tym razem ostrożniej dobierając słowa. Wypadałoby coś powiedzieć, ale w głowie ma pustką.

Nagle wpada na pomysł; zwilża śliną kłykieć i przytyka go delikatnie do ucha Kaukab, a ta wydaje z siebie ciężkie, oczyszczające westchnienie i wreszcie się odzywa:

— Tylko mi uszu nie ufarbuj, Mah-Jabin. Dziewczyna uśmiecha się z triumfem.

— Bądź spokojna. O... już wytarłam.

Kaukab nalega jednak, że na wszelki wypadek chce mieć na podorędziu jakąś szmatkę.

— Zajrzyj do szuflady, znajdziesz tam ścinki z materiału na *nową Kamis*, którą właśnie sobie szyję. O jeden odcień jaśniejszy od granatowego. Oho, pomyślałam, kiedy go kupowałam, Mah-Jabin będzie zachwycona tym kolorem. Cztery funty za jard. *Kamis* już prawie gotowa, jeszcze tylko dół został do ostębnowania. — A kiedy Mah-Jabin mówi z uśmiechem, że tutaj na jej pomoc nie ma co liczyć, bo jest antytalentem, jeśli chodzi o ten drobnutki, niewidoczny ścieg, Kaukab pyta, czy pamięta, jak siedziała kiedyś przez cary dzień z nową *kamis* na kolanach, ostębnowując dół, i na koniec okazało się, że przyszyła ją do tej, którą miała na sobie!

— Nie pamiętam tego zdarzenia — odpowiada Mah-Jabin — ale wierzę na słowo, bo to do mnie podobne. No już. Teraz moja kolej. Nie, chwileczkę. No. Teraz gotowe.

Rozpościera niebieską ścierkę na podółku Kaukab, siada na podłodze i opiera głowę o kolana matki. Jej włosy nie zajmują tyle miejsca co dawniej i Kaukab brakuje ich ciężaru; przeczesuje je palcami i kiedy kończą się nagle, jak nożem uciął, te zdezorientowane palce szukające w powietrzu czegoś, co jeszcze niedawno tam było takie namacalne, są najlepszą ilustracją wyrwy, jaka powstała w jej życiu.

Otwiera usta, żeby coś powiedzieć, ale rezygnuje, bawi się tylko w milczeniu tym, co zostało z czarnych pukli, tak miłych w dotyku, prześlizgujących się między palcami — nie знаła przyjemniejszego uczucia. Niestety, raz obcięte, nie odrosną na zawołanie.

— Wygodnie ci tak? Kulisz się na tej podłodze jak szmaciana lalka. Powiedz, jak zeszywniejesz. Przesiądziesz się na krzesło,

a ja wstanę. — Kaukab nabiera palcami porcje rozrobionej henny i nakłada je na włosy Mah-Jabin. - Pamiętaj, powiedz, jak zeszywniejesz, to wstanę. W Pakistanie załatwialiśmy się w kucki i kiedy tu przyjechałam, myślałam, że nigdy nie przywyknę do zachodnich toalet. A teraz, po latach, nie chce mi się wierzyć, że mogłam tak kiedyś kucać po parę razy na dzień.

— Ciało do wielu rzeczy się przyzwyczaja.

— Tylko umysł nic nadaża.

Kaukab wygarnia resztę henny z miski, rozprowadza ją po włosach córki, wklepuje i po chwili głowa Mah-Jabin przypomina splątany tamaryndowiec powleczony wonną, słodką jak brązowy cukier mieszaniną błota z mchem; sproszkowany ciemnozielony liść każdym porem i mikroskopijnym pęknięciem otwartym w procesie suszenia i mielenia zaczyna wydzielać swój czerwony, rozcieńczony wodą sok, któremu cytryna przydaje kleistości.

Kaukab obciąga niebieską ścierkę na ramionach córki i odsuwa się z krzesłem. Ścierka zsuwa się jej z kolan i opada na plecy dziewczyny jak marynarski kołnierz, zabezpieczając koszulę przed poplamieniem henną. Kaukab odpina klucz od drzwi frontowych, z braku kieszeni w *kamis* przypięty agrafką do czarczafu, i podaje córce agrafkę, żeby spięła nią ścierkę pod szyją.

Słońce wycofało się tymczasem w ślimaczym tempie z domu, przepelzło nad dachem i zaczyna teraz zaglądać w okna od frontu.

Mah-Jabin robi sobie kawę. Kaukab obiera pomarańczę, układa na talerzu cząstki przywodzące na myśl grzbiety dokazujących delfinów, i wychodzą razem przed dom. Siadają na schodkach. Lekki wietrzyk porusza płatkami lilii w małym ogródku, cienie zaczynają się wyciągać jak guma do żucia.

Promienie słońca wsiąkają w ziemię niczym deszcz odpływający podziemnymi ciekami, by wytrysnąć gdzieś tam pod postacią źródła.

Mah-Jabin siada instynktownie bokiem, plecami do posesji po prawej, żeby na nią nic patrzeć, nie patrzeć na dom Jugnu. Tylko że on tam mimo wszystko stoi, czuje jego obecność: dusza ma mnóstwo oczu, widzi na wszystkie strony.

Sąsiadka z posesji po lewej korzysta ze słonecznego popołudnia i wietrzy przed domem dywan, od którego na odległość zalatuje kozieradką.

— Ona musi dodawać tej kozieradki do wszystkiego — mruczy Kaukab; je swoją pomarańczę po pakistański!, maczając wpierw każdą tęponosą cząstkę w soli. — Ten zapach we wszystko się wciska. W Pakistanie nie było z tym zmartwienia, bo tam domy były i są duże, przewiewne i żaden smród się w nich dłużej nie utrzyma. Tutaj pokoje są małe, pozamykane i jak raz przejdą jakimś zapaszkiem, to potem trudno się go pozbyć.

— Ty też kilka razy przyprawiłaś coś kozieradką i do dzisiaj pamiętam, jak kozieradką pachniał potem mój pot, nawet mocz.

— Cicho bądź!

— Przepraszam. — Mah-Jabin śmieje się po raz pierwszy od kilku tygodni i trąca kolaniem kolano matki. Śmiech rozplywa się w słońcu, w suchym powietrzu paruje odstawiona na schodek kawa.

— Co ja widzę, matka i córka wygrzewają się na słoneczku. — Ten głos jest jak wpadająca do ogródka piłka. — A córka cesarzowa chce sobie rozjaśnić włosy, tak?

Mah-Jabin podnosi wzrok; kobieta z osiedla, którą chyba skądś zna, mociuje się ze zgrzytającą, zardzewiałą zasuwką u ogrodowej furtki. Kaukab wyjaśnia jej, jak postępować z kapryśnym mechanizmem, i kobieta, stosując się do tych instrukcji, pokonuje wreszcie przeszkodę i zbliża do nich szpalerem lilii.

Mah-Jabin, podejrzewając, że kobieta przyszła zbierać materiał do plotek, chce się wycofać do domu, ale tamta macha ręką na znak, żeby nie wstawiała.

— Nie będę się rozsiadała, ślicznotko. Wpadłam tylko przypomnieć twojej matce, że Ateeka — żona Zafara, ale nie Zafara-mańkuta, tylko tego Zafara-co-ma-stragan-z-odzieżą-na-czwartkowym-jarmarku — leci w poniedziałek do Pakistanu i gdybyście chcieli przesłać rodzinie jakieś prezenty, to ona ma jeszcze miejsce w walizkach.

Kaukab odpowiada, że wie już o tym od żony Mahmuda taksówkarza, która przechodziła tędy wcześniej i wywołała ją

do furtki. Mah-Jabin wyobraża sobie tę kobietę, jak drepce ulicą — jedna z wielu konspiratorek ze zorganizowanej grupy przestępczej, które wyruszają każdego ranka na obchód, by uprawiać proceder zwany kojarzeniem małżeństw.

Mah-Jabin zanurza palec w gorącej kawie, czeka chwilę, a kiedy zaczyna ją piec i do poparzenia już tylko krok, wyciąga go; można by pomyśleć, że drażniła się z ptaszkiem w klatce i zabrała palec spomiędzy prętów tuż przed zbliżającym się bolesnym dziobnięciem.

Przenosi wzrok na róże, żeby zająć myśli czym innym. Przejrzałe pąki o pomarszczonych płatkach, zalegające pod każdym krzakiem, kojarzą jej się z odchodami jakichś fantastycznych stworzeń, a sterczące wokół nich zielone źdźbła traw y — z lasem noży... Już wie, kim jest ta kobieta. To matka dziewczyny, którą widziała na Omar Khayyam Road z kochankiem hinduistą. Przygląda się jej z nowo obudzonym zainteresowaniem.

Kobieta zzuwa but i opiera wysuszoną, spękaną podeszwę bosej stopy o najniższą żerdkę płotu oddzielającego ogródek od ogródka sąsiadów. Od kiedy tu weszła, buzia się jej nie zamyka, trajkocze jak najęta.

— Chłopcy Ateeki dorastają i pozerają, co im się tylko nawinie pod rękę, trzeba więc przed nimi chować wszystkie smakołyki i herbatniki, i ciastka przeznaczone dla gości, którzy przychodzą odwiedzić ich matkę. Ateeka umyśliła sobie, że najlepszą kryjówką będzie pojemnik na pościel stojącej w kuchni kozetki, gdzie trzyma prześcieradła i powłoczki na poduszki. I wiecie, co się stało? A ot co: wczoraj wieczorem przyszli goście i rozsiedli się na tej kozetce! Czajnik gwizdże i paruje, mleko się zagotowało, zdażyło ostygnąć i drugi raz się zagotowało, filiżanki i talerzyki rozstawione, ale jak tu się dostać do tych pasztecików od samego Marksa and Spencera, nawiasem mówiąc? Ateeka opowiada, że przysiadła na chwilę, pogapiła się na gości i zaraz zrywała pod pretekstem, że jeszcze raz przetrze ścierką a to sztućce, a to talerzyki. „Ani chybi pomyśleli sobie, że nic ma na tym allahowym świecie schludniejszej ode mnie kobiety — zwierzyła mi się. — Albo bardziej roztrzepanej i zwariowanej<sup>1</sup>. To ci musiało być widowisko, co, Kaukab?

Mah-Jabin parska śmiechem; wszystkie trzy zaśmiewają się do łez, ocierając nadgarstkami oczy.

— Nic nie zmyślam, Kaukab. Jeśli to nieprawda, możesz zapomnieć, jak mam na imię i od dzisiaj nazywać mnie klamczuchą.

Kaukab ściera papierową chusteczką linię czerwonej cieczy z czoła Mah-Jabin.

— Kaukab, jakiej marki ta henna? Lotus czy Elephant? — pyta kobieta, ale nie czeka na odpowiedź i kontynuuje: — Przez tych parę ostatnich dni Ateeka bardzo się denerwowała, bo jej siostrę, która mieszka w Ameryce, zatrzymała i zakula w kajdanki policja za to, że chodziła zawoalowana od stóp do głów. Chyba tylko patrzeć, jak za takie coś będą aresztowali muzułmanów na całym świecie. Policjanci...

— A gdzie w Ameryce to się stało, ciociu-ji? — pyta Mah-Jabin. — Bo w niektórych stanach chodzenie z zasłoniętą twarzą jest zakazane. Policjanci mogli pomylić jej nakrycie głowy z kapturem członka Ku-Klux-Klanu.

— Czego? Członka czego? — docieka kobieta, a Kaukab posykuje z dezaprobatą i karci Mah-Jabin spojrzeniem za to, że się wtrąca i próbuje pouczać dorosłych. — W Portsmouth, w Wirginii. Zatrzymali ją, kiedy szła do sklepu i chociaż tłumaczyła im, że to muzułmański strój, kazali odsłonić twarz, a kiedy odmówiła, zakuli ją w kajdanki i zrewidowali, i na nic się zdało, że krzyczała „Przestańcie mnie dotykać, przestańcie mnie dotykać”. Niezameżna dziewczyna, wszystko mogło się zdarzyć.

A jakże, myśli z pogardą Mah-Jabin, mogli jej przecież naruszyć błonę dziewiczą. Jej samej nie pozwolono pójść do ginekologa, kiedy w wieku dwunastu lat miała problemy nie tyle nawet kobiece, ile hormonalne; w dzielnicy pełno jest nastolatek o ziemistej cerze i brodach kłujących jak kaktusy, szczeciniastych jak u ich braci.

Kaukab dostrzega łzy, które nagle napływają kobiecie do oczu: czym prędzej każe Mah-Jabin przejrzeć listy, które przyszły pod jej nieobecność i leżą w pokoju na górze. Dziewczyna wstaje zakłopotana. Ona też zauważyła, że kobieta jest bliska płaczu. Uchyła drzwi i wślizguje się cicho do domu.

Kobieta zajmuje zwolnione przez Mah-Jabin miejsce i Kau-kab otacza ją ramieniem.

— Och, Kaukab, to był taki straszny poranek... Tobie mogę wszystko powiedzieć, jesteś dla mnie jak siostra... Moja córka nie jest uległa swojemu mężowi... — Oburącz przyciska do oczu chustę i zaczyna cicho płakać.

Kaukab ogląda się na Mah-Jabin, która nadal stoi niezdecydowana w uchylonych drzwiach.

Kobieta odzywa się słabym głosem zza chusty:

— Idź, ślicznotko, przejrzeć swoje listy, zostaw mnie na chwilę z twoją matką. Idź... Zawsze powtarzam Kaukab, jaką piękną ma córkę, wiesz? O takich twarzach jak twoja ludzie opowiadają legendy... No idź już, idź.... Poszła? Dzisiaj rano byłam u imama-ji w meczecie i on mi powiedział, że moja córka tak niewłaściwie się zachowuje, bo przypuszczalnie opętały ją dżinny...

Mah-Jabin wycofuje się w głąb domu. Komentarzem, który ciśnie się jej na usta, ściągnęłyby na siebie gniew obu kobiet. Dżinny!

Zapach lilii zdążył się już rozejść po całym domu; kwiaty rozsiewają go jak świece światło. Mah-Jabin wstępuje po schodach na piętro. W szufladzie komódki znajduje dwie koperty — jedną z kartą do głosowania w wyborach powszechnych, drugą z listem. Na znaczku tej ostatniej w tle drzewo obsypane różowobiałymi kwiatami, a na pierwszym elanie strumyk, którym płynie n troszony kwiat niby to orchidei oraz liść przypominający siształem odcisk kopyta wielbłąda, to *Bauhinia variegata*, informuje napis biegnący wzdłuż pionowego marginesu, na poziomym zaś można przeczytać, że znaczek należy do serii poświęconej ROŚLINOM LECZNICZYM PAKISTANU. Mah-Jabin siada na krześle; poznaje charakter pisma, którym skreślony jest adres. Mąż nie próbował nigdy dotąd kontaktować się z nią bezpośrednio. Ciekawe, co też może zawierać koperta ze znaczkiem przedstawiającym ładny kwiat drzewa, ceniony między innymi jako skuteczny środek na gorączki malaryczne, na zaburzenia menstruacyjne oraz jako antidotum na jad węża.

Nie rozerwie tej koperty, przynajmniej w ten sposób zamknie mu usta. Sprawdza dłoń, czy henna wyschła i stwierdza, że



z preparatu wyparowała już niemal cała wilgoć — kruszy się pod palcami jak zielony piasek, na włosach pozostaje tylko kleisty ciemnoczerwony sok. W łazience ciekawość bierze górę i Mah-Jabin rozdziera kopertę, nie starcza jej jednak odwagi, by wyjąć list, nie mówiąc już o jego przeczytaniu. Otwiera wąską, kanciastą szafkę w kącie, która mieści elektryczny podgrzewacz wody zabezpieczony izolacyjną otuliną z połyskliwego, srebrnego nylonu. „Ahoj, kosmonautko”. Włącza urządzenie i tuż przed zatrzaśnięciem luku rakiety wrzuca tam zmiętą kopertę z niewyjętym listem — toksyczny odpad posłany w czeluście jakiejś odległej czarnej dziury.

Wyjmuje z torebki paczkę tamponów, wytrząsa jeden z tubki, a pustą tubkę wyrzuca potem do wiklinowego kosza na śmieci. Po chwili zastanowienia wyciąga ją jednak, zgniata w płaski pasek i chowa do kieszeni. Pozbędzie się jej później gdzieś, gdzie nie zagląda Kaukab. Kaukab przestrzegала swego czasu dwunastoletnią dziewczicę przed używaniem tego zamiennika podpasek, który trzeba sobie wkładać do środka, bo to może jej „zrujnować życie”.

Ma już wyjść z łazienki, kiedy ręka bez, udziału jej woli, jakby sama z siebie, otwiera ponownie drzwiczki podgrzewacza, wsuwa się za pękaty zbiornik wody i maca tam w ciemnościach; palce natrafiają na obiekt poszukiwań i w tym samym momencie Mah-Jabin odnosi takie wrażenie, jakby od tego przedmiotu do jej mózgu przemknął porażający impuls elektryczny - przypomina sobie.

Szydełko, które wrzuciła tam blisko dziewięć lat temu, wkrótce po powrocie z Pakistanu, wciąż tam spoczywa, nie rozłożył go upływ czasu ani brak światła. Mah-Jabin przysiadła wolno na brzegu wanny, przyciskając do piersi rękę, którą dotknęła śliskiego, gładkiego szpikulca.

Uzbrojona w to szydełko zamknęła się tutaj, kiedy nie było już wątpliwości, że jest w ciąży — zapach rdzy w nozdrzach i smak żelaza w ustach zdawały się z każdą sekundą nasilać, tak jakby gdzieś w niej wykuwano kajdany, w które zostanie zakuta — i dopiero wtedy uświadomiła sobie, że nie wie, co dalej. Jak to się właściwie robi? W końcu odwaga ją opuściła i siedziała rozdygotana. Legalna aborcja w klinice nic wchodziła

w rachubę; była na utrzymaniu rodziców, a oni nie dość, że nie daliby jej pieniędzy na usunięcie ciąży, to jeszcze wykorzystaliby sytuację i zaczęli znowu nakłaniać do powrotu do męża.

Ostatecznie wywołała sztucznie poronienie, zażywając przez dwa tygodnie tabletki chininy. Metodę tę stosowała z powodzeniem pewna młoda kobieta z Sohni Dharti, matka ośmiorga dzieci, ilekroć czuła, że jej ciało potrzebuje odpoczynku. Mąż nie dał sobie przemówić do rozsądku; zaparł się, że nie będzie stosował środków antykoncepcyjnych, bo nie chce, żeby w dniu Sądu Ostatecznego nienarodzone dzieci wskazały na niego i poskarżyły się Allanowi: „Oto człowiek, który nie pozwolił nam przyjść na świat, byśmy powiększyły rzeszę wiernych!”. Rezultat był taki, że któregoś roku kobieta ta rodziła dwa razy, najpierw w styczniu, potem w grudniu.

Mah-Jabin z dziwnym ciepłem w sercu wyjmuje z kieszeni zgniecioną, wygiętą w półksiężyc tekturową tubkę po tamponie i przed wyjściem z łazienki wyrzuca ją-do śmieci.

— O czym chciała z tobą porozmawiać ta ciocia-ji, mamó? Kaukab stoi przy zlewie i zmywa po lunchu — filiżankę

Mah-Jabin, talerzyk, na którym leżały cząstki pomarańczy i miskę po hennie. Nie odpowiada od razu, jak zwykle nieskora do ujawniania czegokolwiek, co dotyczy Pakistańczyków, a co dzieci mogłyby uznać za przejaw zacofania. Wie, że Mah-Jabin nie wierzy w dzinny.

— O niczym takim. Skarżyła się, że czuje się trochę zmęczona. Mah-Jabin podsłuchiwała mimowolnie kilka słów z tego, co

kobieta mówiła do Kaukab: mąż jej córki chce wiedzieć, dlaczego do tej pory nie zaszła w ciążę — czy bierze potajemnie środki antykoncepcyjne, czy jest bezpłodna. Nazwał ją jałową doliną, w której marnuje się jego nasienie.

— Wspominała coś o córce i jej mężu...

— Każde małżeństwo ma swoje dobre i złe okresy — wpada jej w słowo Kaukab i bezceremonialnie zmienia temat: — Co było w liście?

— Wyrzuciłam go bez otwierania — odpowiada spokojnie Mah-Jabin.

Kaukab kiwa głową; wciąż ma nadzieję, że Mah-Jabin wróci do męża, to znaczy, jeśli ten będzie ją jeszcze chciał, a jeśli nie,

to może uda się wydać ją ponownie za mąż — co nie będzie takie proste, bo nie jest już dziewczyną, jest towarem z drugiej ręki. Ogląda się przez ramię i szuka oczu córki.

— Zakazuję ci jechać do Ameryki. Zaciska dłonie w pięści. — Obcy kraj pełen obcych! Twój ojciec też pewnie będzie temu przeciwny.

— Skąd wiesz, że wybieram się do Ameryki? — pyta zdumiona Mah-Jabin. — Zresztą, co w tym złego? Byłam już w kraju, gdzie mieszkają sami swoi, i przekonałam się, jak lam jest, pomyślałam więc sobie, że dla odmiany warto by zobaczyć, jak jest w kraj u pełnym obcych. — Jej matka, kobieta uwieczona w klatce jedynie słusznego myślenia, jest najgroźniejszą z istot, z jakimi kiedykolwiek przyjdzie jej się zmierzyć. — Jadę tylko na lato do znajomych. Kto ci o tym powiedział? I dodam jeszcze, że nie boję się ojca.

„Och, twój ojciec będzie zły, och, twój ojciec się rozgniewa”. Mah-Jabin wysłuchiwała tych formułek przez cały okres dorastania. Matka, powołując się na ojca, starała się uprawomocnić decyzje, które sama podejmowała. Chciała, żeby wpadał w gniew, jego gniew był jej potrzebny. Obsadziła go w roli głowy rodziny i chcąc nie chcąc, musiał ją grać; zdarzało się, że przychodził do swoich nastoletnich dzieci i mówił, że zabrania im czegoś, o co prosiły wcześniej matkę — na przykład wypadu na szkolną dyskotekę — chociaż z jego miny można było wyczytać, że osobiście nie robiłby z tego problemu. Mah-Jabin zastanawia się czasami, czy Kaukab w ogóle zna Shamas. Wic, że Shamas nie sprzeciwiałby się jej wyjazdowi do Ameryki. I teraz wyrzuca to wszystko z siebie.

Słowa córki dopiekają Kaukab do żywego.

— A to ci się język rozpuścił przez tych parę ostatnich lat. Tego nauczyli cię na uniwersytecie? Pyskowania? Na tym twoim drogim uniwersytecie daleko w Londynie, na który uparłaś się pójść, bo chciałaś się kształcić? Gdyby chodziło ci o samo wykształcenie, wybrałabyś uniwersytet gdzieś bliżej, gdzie mogłabyś dojeżdżać, a mieszkać w domu, jak wszystkie przyzwoite dziewczęta z naszego osiedla. Tobie o wolną rękę chodziło, nie o wykształcenie; o wolną rękę w wyprawianiu bezceństw z chłopakami i prowadzeniu napiętnowanego grzechem życia.

Głowa, nie dość, że rozbrzmiewa brzęczeniem roju szerszeni, to jeszcze wydaje się Mah-Jabin nieważka jak te kulki z przeżutego i zlepionego śliną papieru.

— Wiedziałam, że nie odległość leży ci na sercu; kiedy miałam szesnaście lat bez zmrużenia oka wysłałaś mnie w ty-sięcmilową podróż w jedną stronę.

— Sama nas o to prosiłaś. — Kaukab podchodzi do córki, jej oczy ciskają błyskawice.

— Ale miałam dopiero szesnaście lat. Skoro w każdej innej sprawie traktowałaś mnie jak dziecko, to dlaczego akurat tę moją decyzję zaakceptowałaś bez zastrzeżeń? Inna matka dałaby mi czas do namysłu, ale ty byłaś wniebowzięta, że wyrażam chęć zamieszkania w twoim ukochanym kraju — krzyczy Mah-Jabin. — A ja przed samym wyjazdem strasznie się bałam, ale wiedziałam, że sprawy zaszły tak daleko, że nie ma już odwrotu.

— I nie było. Te sprawy to nie dziecięca zabawa. Słowo się rzekło, tam wszystko było już przygotowane do ślubu i wiedz, że gdyby zaszła taka potrzeba, związałabym cię i zaciągnęła tam siłą. Co masz do zarzucenia Pakistanowi? Wiele tutejszych dziewcząt wraca tam, wychodzi za męża i żyje szczęśliwie. Nie dalej jak w zeszłym miesiącu swatka opowiadała mi o kobiecie stąd, która przez własną głupotę rozwiodła się ze swoim pakistańskim mężem, a teraz bardzo chce do niego wracać. Przejrzała na oczy. - Kaukab zawiesza na chwilę głos, po czym ponawia swoje pytanie: — No, co masz do zarzucenia Pakistanowi? Wychowałam się tam...

— I spójrz tylko, co z ciebie wyrosło, głupia! Siarczysty policzek wymierzony otwartą, stwardniałą dłonią

Kaukab zapiera Mah-Jabin dech w piersiach. Nie jest to odruchowa reakcja na słowa córki, Kaukab już od dawna ręka świerzbila, ilekroć pomyślała o córce marnotrawnej, i teraz, mając ją przed sobą, wykorzystwała sposobność, żeby sobie pofolgować.

Siła uderzenia strąca Mah-Jabin z krzesła, a różaniec Kaukab — owinięty wokół oparcia — pęka i paciorki rozsypują się ze stukotem po podłodze. Kaukab wczepia się palcami we wciąż lepkie, chrzęszczące włosy córki i z całych sił wali jej

głową raz po raz o ścianę, na której ciemnieje i powiększa się czerwona plama z henny. Mah-Jabin osłania się zgiętą w łokciu ręką. Kaukab puszczają wreszcie, wraca do zlewu i odwrócona tyłem do córki zmywa z dłoni kleistą jak krew czerwień.

Mah-Jabin otwiera oczy i podnosi się, sunąc plecami po ścianie. Agrałka spinająca pod szyją ścierkę nie wytrzymuje naprężenia. Otwiera się i wbija ostrzem w miękkie zagłębienie ciała między obojczykami.

Zadanie właściwego pytania jest czasami równie trudne jak udzielenie właściwej odpowiedzi. Tak, Mah-Jabin przez dziewięć ostatnich lat, a przedtem przez dwa lata małżeństwa bezskutecznie starała się sformułować pytanie, które teraz wreszcie się jej nasunęło. Pamięta, jak Kaukab, zobaczywszy kiedyś w telewizji Jessye Norman — śpiewającą piosenkę, której sensu nie rozumiała, w języku, którego nie знаła — podniosła się powoli, zupełnie jakby składała hołd majestatowi porażająco pięknej bogini stojącej dumnie niczym skała na tle paryskiego nieba, a potem z trudem wykrztusiła:

— Kocham ludzi, którzy dokonują rzeczy wielkich.

Mah-Jabin nie wiedziała wtedy, co o tym myśleć, a podobnych sytuacji było więcej. Czasami na Kaukab spływało jakieś olśnienie, które natychmiast się rozwiewało i na jej twarz znowu powracał mrok, ale już nie taki jak wcześniej, był to mrok, jaki pozostaje po przelocie świetlika, mrok rozjaśniony świadomością, że niedawno do czegoś tu doszło, do jakiegoś objawienia, po którym wibrują jeszcze komórki mózgu. Kaukab wzdychała wtedy i uduchowiona otwierała się na krótko przed córką.

Mah-Jabin pamięta, jak matka zwierzała się jej, że żałuje, że nie mogła się kształcić, że jako dziewczynka bardzo chciała mieć własny rower, ale nie było o tym mowy, nie pozwalano jej nawet pojeździć na rowerze ojca po podwórku, bo jej matka bała się, że się przewróci, złamie sobie coś, a kaleki nikt potem nie będzie chciał za żonę, kupiła więc sobie mały wisiorek w kształcie roweru i nosiła go na szyi na łańcuszku, tak jak dla ochrony przed złodziejami przypina się do drzewa czy słupa prawdziwymi łańcuchami prawdziwe rowery.

Ta sama kobieta, która nie widziała niczego złego w fakcie, że szesnastoletnia córka przerywa naukę, zabraniała jej jeździć

na rowerze, argumentując, że to zrujnuje dziewczynie życie. Dlaczego?

— Dlaczego mocniej mnie nie uderzyłaś, mamó? Na przykład tak... — Mah-Jabin, podchodząc do Kaukab, wymierza sobie policzek. — Na przykład tak... tak... tak... Uderz mnie mocniej... no, uderz...

Kaukab bierze sztucę po lunchu i nóż, którym Mah-Jabin kroїła paprykę, i wrzuca to wszystko do wody z mydłem. Córka szarpie ją od tyłu obiema rękami, potrząsa, a ona stoi niewzruszona jak skała.

— Musisz być moralną kaleką, jeśli myślisz, że nie wyrządziłaś mi żadnej krzywdy. Nie mówiłaś mi kiedyś, że życie kobiety to jeden wielki kierat, bo w dzień musi się zajmować domem, a w nocy spełniać w łóżku zachcianki męża? Skoro tak, to dlaczego nic zrobiłaś nic, żeby nic mieć takiego życia? Odpowiedz mi... no, odpowiedz... Ludzie, dlaczego wy w kółko powielacie te same błędy, chociaż wiecie, do czego prowadzą?

Ręka Kaukab zanurza się w wodzie pokrytej kożuchem banieczek powietrza i zaciska na trzonku długiego stalowego noża.

— Mówiłaś mi kiedyś, mamó, że pierwszych dwadzieścia lat małżeństwa należy do męża, a reszta do żony, bo ta, wychowując dzieci, może je nastawiać przeciwko ojcu, i kiedy dorosną, staną w jej obronie i już do śmierci będzie miała w nich oparcie.

Kaukab stoi bez ruchu, chociaż Mah-Jabin szarpie ją za ramiona, próbuje odwrócić twarzą do siebie i spojrzeć w oczy temu najbardziej osobistemu ze swych wrogów.

— Jakaś ty mądra, mamó, jaka cholernie mądra! Tak, wszystkim ciemieźonym Pakistankom pisane zwycięstwo, tylko za jaką cenę, mamó, za dwadzieścia zmarnowanych lat życia... Po co je marnować, po co się tak męczyć, skoro można po prostu rzucić wszystko w diabły i odejść...

Nóż unosi się w powietrze, kropelki wody skapują z ostrza.

— Odejdź ode mnie, ty mała suko!

Kaukab odwraca się na pięcie, głodna stal zakreśla łuk. Mah-Jabin traci równowagę i zatacza się w tył z jedną ręką uniesioną, drugą przyciśniętą do brzucha.

— Jak śmiesz ukamienowywać mnie pytaniami!

Ostrze błyska oślepiająco w smudze słońca wlewającej się przez okno. Samo powietrze zdaje się czmychać przed Kaukab, jak ławica ryb przed zbliżającym się drapieżnikiem. Miska po hennie spada na podłogę, wiruje przez chwilę na krawędzi i przywodzi na myśl te srebrne kubki, które obracając się w kogucie na dachu wozu policyjnego, wywołują efekt błyskania.

Kaukab oczy wychodzą na wierzch, jak komuś bładzacemu w ciemnościach. Opuszcza nóż o twardym jak diament czubku, na którym przez krótką chwilę skupiały się jej rozpacz i poczucie klęski.

Mah-Jabin z błyskiem w oku odrzuca w tył głowę i po raz trzeci tego dnia wybucha śmiechem.

— Oto dowód, że Chandę zamordowali jej bracia, że w rodzinie może jednak dochodzić do zabójstw. Ciekawe, czy sąd dojdzie do tego samego wniosku i skaże tych dwóch sukinsynów na dożywocie. Boże, dla was wszystkich ona za lekką miała śmierć: wy za to, że sprzeniewierzyła się waszym prawom i zwyczajom, tak zwanej tradycji, którą wnieśliście w to stulecie jak gówno na butach, najchętniej byście ją poćwiartowali, potem z powrotem pozszywali i zabili jeszcze raz.

Nóż wypada Kaukab z omdlałej dłoni.

— O Boże, Mah-Jabin... Chciałam cię odepchnąć ręką, nie wiedziałam, że trzymam w niej nóż.

— Lepiej do mnie nie podchodź, mamó. Ty z największą rozkoszą odesłałabyś mnie do Pakistanu, prawda, do męża, lego mojego „boga na ziemi”? Albo znalazła mi tutaj nowego, jak tamci biednej Chandzie. Ile razy była zameżna, zanim poznała wujka Jugnu? Dwa? Trzy? Tak, tak, nic wyszło za pierwszym razem, próbujmy dalej, w końcu się utrafi, byleby to do was należała decyzja, a jak suka postanowi wziąć sprawy w swoje ręce i sama sobie kogoś znajdzie, to chwytacie za noże i szatkujecie ją na kawałki.

— Nie każdy może, ot tak sobie, zejść z utartej drogi życia — mówi cicho Kaukab. — Tobie za łatwo to przyszło i dlatego jesteś teraz taka arogancka i bez serca.

— To wcale nie było takie łatwe! Dla mnie to wciąż dramat. Boli mnie, że zamiast dać mi wolną rękę w pokierowaniu

własnym życiem, wepchnęłaś mnie w te same koleiny, w które ciebie kiedyś wepchnięto. Tak bym chciała cofnąć się w czasie i powiedzieć tamtej młodej dziewczynie, którą kiedyś byłam i którą kocham, czego ma się wystrzeżać, ale czasu nie da się cofnąć. Tobie było wtedy łatwiej, bo miałaś mnie przy sobie; gdybyś mnie kochała, przed niejednym mogłaś mnie uchronić...

— Nie mogłam dać ci wolnej ręki, nawet gdybym chciała, bo nie ode mnie to zależało, czy ty tego nie rozumiesz? — Świadomość, że ktoś tak bliski jak własne dzieci ocenia swoje życie, wychodząc z takich fałszywych założeń, boli i przygnębia ICaukab.

— Nie kłam. Gdybyś chciała, nic nie stałoby na przeszkodzie. Nadal widzisz we mnie mężatkę, bo nie mieści ci się w głowie, że kobieta może nie mieć męża. Powiedziałam, nie zbliżaj się.

Ale Kaukab nie słucha. Przechodzi obok niej i zaczyna zbierać z podłogi paciorki różańca.

— Tak, chcę, żebyś tam wróciła, bo w oczach Allaha nadal jesteś mu poślubiona. Rozwiodłaś się z nim w myśl brytyjskiego prawa, ale przed muzułmańskim sądem tego nie zrobiłaś. Moja religia to islam, a on nie uznaje brytyjskiego prawa. — Urywki zdań wypowiedzianych w ciągu kilku ostatnich minut wracają do niej jak fale do brzegu, a ona po kolei się z nich rozlicza. — Kiedy mówiłam, że gehenna kobiety kończy się po dwudziestu latach małżeństwa, bo dzieci są już dorosłe i mogą jej bronić przed ojcem i teściami, nie miałam wcale na myśli, że trzeba od początku judzić przeciwko ojcu i specjalnie szczuć je na niego. Kobieta musi mieć kogoś, z kim może od serca porozmawiać, zwierzyć mu się z trosk, a dzieci są jej najbliższe. Nie spiskuje się wprost, to wychodzi samo z siebie. — Kaukab siedzi w kucki i szlochając, zbiera z linoleum paciorki jak muszelki na plaży. — I co to za gadanie, że groziłam ci nożem; naprawdę myślisz, że mogłabym ci zrobić krzywdę? — W czynności, w którą zaangażowane są jej palce, jest coś kojącego, coś zbliżonego do nawiązywania kontaktu ze zmarłymi; przed oczyma stają jej matka, babki i inne kobiety w domu, takie, jakie, zapamiętała z dzieciństwa, też krzątające się wokół mnóstwa codziennych obowiązków, i czasami — ale nie dzisiaj, nie teraz — to odczucie bliskie jest oddawaniu czci, wspomnianiu i modleniu się za tych, którzy już odeszli, ale wciąż żyją i są



obecni w jej pamięci, nicopiewani nigdzie indziej ani w żaden inny sposób. Odeszli tak definitywnie, że niekiedy nie jest pewna, czy aby jej się nic przyśnili.

Mah-Jabin rusza w kierunku schodów. Podłoga zasłana jest zaschniętą albo zasychającą henną, którą rozsiała, bijąc się po twarzy, i stąpając po niej, ma wrażenie, że idzie przez pokój w pakistańskim domu, nad którym przetoczyła się właśnie burza piaskowa.

— Nie przejmuj się tak — mówi, zatrzymując się u stóp schodów — nie pierwszy raz od ciebie oberwałam. Ciebie bije mąż, ty odreagowujesz na dzieciach.

— Nie rozumiem, czemu wciąż do tego wracasz. Co mnie wtedy podkuśliło, żeby ci powiedzieć, że mnie uderzył. Od tamtego czasu już tysiąc razy ci powtarzałam, że zdarzyło się to tylko raz i potem przez parę miesięcy się do niego nie odzywałam. Błagał mnie o wybaczenie, a kiedy to nic poskutkowało, na prawie trzy lata wyprowadził się z domu. — Kaukab podchodzi do schodów i patrzy za wstępującą po nich córką. — Ty sama nigdy nie popełniłaś błędu? Pamiętaj, jeśli uda ci się kiedyś cofnąć w czasie, to uważaj, w kim się zakochujesz jako czternastolatka, żebyś dwa lata później, kiedy twój wybranek poślubi inną, nie prosiła rodziców o znalezienie ci męża gdzieś daleko, na przykład w Pakistanie. Wysłaliśmy cię do Pakistanu, bo chciałaś być jak najdalej stąd, żeby nie patrzeć, jak ten młody mężczyzna żyje sobie szczęśliwie z inną.

Mah-Jabin już wie, co czuje óma natrafiająca na szybę w oknie. Powietrze przed nią jakby się nagle zestaliło. Zatrzymuje się na schodach jak wryta, ale się nie odwraca. Trze obolały punkcik na szyi, gdzie ostrze agrafki przebiło skórę, rozciera go w płamę ciepła. Na schodach robi się odrobinę widniej. Domyślając się, że Kaukab nic stoi już na drodze światłu, że wróciła do kuchni, Mah-Jabin zrywa łańcuchy, którymi słowa matki spętały jej na chwilę nogi, i z głową zwieszoną jak kwiat lili na złamanej łodydze podejmuje wspinaczkę.

Tamten obcy tylko na chwilę zatrzymał na niej wzrok i uśmiechnął się. Tyle wystarczyło. Przez kilka następnych dni

odtwarzała z pamięci i wciąż na nowo przeżywała tamte pierwsze chwile. Ujęta tym, że raczył zwrócić na nią uwagę, zakochała się; łatwo jej to przyszło, bo nie była dotąd obiektem niczyjego zainteresowania, nie licząc natarczywych, zawsze agresywnych, przeważnie wrogich zaczepk. Co gorsza, uwierzyła, że on również zakochał się w niej od pierwszego wejrzenia, że wiele go kosztowało, by nie podbiec do niej tam i wtedy. Wyobrażała sobie, że jest jego kochanką i naga, okryta jedynie rozchylnym szlafrocikiem swych włosów, z przymrużeniem oka ocenia go pod kątem tych trzydziestu dwóch cech, które świadczą o doskonałości mężczyzny: głęboki pod trzema względami i pod trzema szeroki; tryskający zdrowym rumieńcem pod siedmioma; zadbane pod pięcioma i długi pod czterema; wydatny pod sześcioma, kształtny i krótki pod czterema. On leży z głową na jej podołku, ona wynajduje u niego te cechy, każdą z osobna komentując, i oboje z trudem powstrzymują się od chichotu.

— Powiadają, że doskonałego mężczyznę poznaje się po głębokim pępku, głosie i oddechu oraz po szerokich udach, czole i twarzy; jego stopy, dłonie, kąciki oczu, podniebienie, język, dolna warga i paznokcie mają intensywnie różowy odcień; według starożytnych dobrze wróżą zadbane palce, kłykcice, włosy, skóra i zęby; panowie ziemi mają długą szczękę i ręce oraz wydłużony wykrój oczu i szeroki rozstaw sutek; szczęście zapewniają podobno wydatne klatka piersiowa i barki, paznokcie u rąk i nóg, nos, podbródek i szyja; a najlepiej, kiedy pośladki, łydki i męski członek są kształtne i krótkie — ojej! No nic, trzydzieści i jedna na trzydzieści dwie cechy to też nieźle. No dobrze, niech będzie trzydzieści i półtorej, bo kształtny jest.

Każdego dnia wynajdywała nowe argumenty na poparcie swojej obsesyjnej wiary. Nic musiał nic mówić, rozumiała go bez słów. Nie dawał jej żadnego znaku, ale to z ostrożności, bo w tym osiedlu krzywiono się na naturalne i instynktowne dla wszystkich ludzi gesty, i to na tych, którzy je wykonywali, patrzono jak na odmieńców. Każdy był tu więźniem w ciasnej klatce zasad wyznawanych przez resztę. Oboje urodzili się tutaj, w Anglii, i dorastali, widząc wokół siebie ludzi cieszących

się wolnością, ale sami z tej wolności, choć była na wyciągnięcie ręki, nie mogli korzystać, tak jak nie skorzysta z lampy Aladyna ktoś, komu obcięto język i nie jest w stanie wypowiedzieć trzech przysługujących mu życzeń.

Wpojono jej cierpliwość — bo na każde pragnienie znajdzie się deszczowa chmura — czekała więc, czekała na ich noc poślubną, kiedy wreszcie połączą się jak te dwie połowy talii kart wsuwane na koniec tasowania jedna w drugą, stapiające się zachłannie w jedno.

Dziewczęta po wyjściu za mąż często oddychały z ulgą, bo mężowie byli z reguły mniej restrykcyjni od matek, pod których surową kuratelą od dnia narodzin aż do tej pory pozostawały. Mah-Jabin zorientowawszy się, że kobiety z rodziny duchownego prowadzącego meczet — kobiety, o których przychylność musiała zabiegać, jeśli marzyło jej się załatwienie sobie dojścia do mężczyzny swego życia — są co najmniej takimi samymi tradycjonalistkami jak jej matka, z dnia na dzień porzuciła więc zachodnie stroje, na noszenie których z takim trudem wydebiła wcześniej od matki pozwolenie, i zaczęła modlić się pięć razy dziennie.

Półtora roku upłynęło jej w odurzeniu wyczekiwania, pobożności i rzucającego się w oczy masochizmu, czego nie mogły zrozumieć białe koleżanki ze szkoły, za to rozumiały doskonale dziewczęta z Indii i Pakistanu, których większość przeżywała podobne sercowe perypetie.

Aż nadszedł dzień, kiedy Kaukab napomknęła mimochodem, że taki to a taki chłopiec z osiedla żeni się. Jeszcze nie skończyła, a Mah-Jabin już była na górze i ryglowała drzwi zasuwą w daremnej próbie odcięcia się od tej tragicznej wiadomości.

Chłopak nie dostał się na studia medyczne do żadnego z okolicznych college'ów, do których mógłby dojeżdżać, w związku z czym jesienią miał opuścić dom rodzinny: rodzice upatrywali w tym spisku białych, mającego na celu odrywanie pakistańskich dzieci od ich kultury, stwarzanie im warunków do swobodnego uprawiania przedmałżeńskiego seksu ot tak, dla przyjemności, oraz doprowadzanie do tego, by pobierali się z białymi. Jeśli chciało się dopieć do żywego komuś z osiedla,

mówiło się mu „oby twój syn poślubił białą kobietę”; Mah--Jabin pamięta, jak matka posyłała ją do pokoju braci, żeby szukała tam kondomów i adresów, fotografii albo numerów telefonów białych dziewczyn, pamięta też, jak ubolewano nad tragedią pewnej rodziny, w której u ojca zdiagnozowano raka, a córka wyszła właśnie za białego chłopca.

Tak więc po gorączkowych konsultacjach, które o mało nie doprowadziły do przegrzania linii telefonicznych między Anglią a Pakistanem, postanowiono, że przed wyjazdem na studia medyczne chłopiec poślubi kuzynkę z Pakistanu; rodzice wychowali go na człowieka ambitnego i mierzącego wysoko — jeśli rozwiązał test w dziewięćdziesięciu procentach i był tym samym najlepszy w klasie, to świetnie, jeśli jednak z wynikiem dziewięćdziesięciu pięciu procent plasował się na drugim miejscu, to mizernie. I ani myśleli dopuścić, żeby taki chodzący skarb przywłaszczyła sobie jakaś biała dziewczyna, która na dokładkę nie będzie pewnie dziewicą. Dwoje lekarzy z przychodni na końcu ulicy — doktor Lockwood i doktor Varma — którzy interesowali się chłopcem od czasu, kiedy okazało się, że nie jest jeszcze jednym młodym nieudacznikiem z okolicy i zamierza studiować medycynę — ostrzegało go przed niebezpieczeństwami związanymi z zawieraniem małżeństw między krewnymi, ale ojciec udał się do przychodni i przypomniał Anglikowi, że królowa Wiktoria i książę Albert też byli kuzynami, a Hindusce powiedział, że zanim zacznie straszyć muzułmanów wadami genetycznymi, niech się najpierw zajmie swoimi bogami, którzy mają oczy pośrodku czoła, nie wspominając już o tych sześciorekich boginkach, które bardziej przypominają scyzoryki niż bóstwa. Shamas ostrzegł Kaukab, żeby powściągnęła swoje zapędy i nie podnosiła na dziewczynę ręki, bo jeśli to zrobi, nazajutrz w miejscowej gazecie pojawi się nagłówek: **URODZONA W ANGLII CÓRKA PRZYWÓDCY PAKISTAŃSKIEJ SPOŁECZNOŚCI MUZUŁMAŃSKIEJ POBITA PRZEZ MATKĘ PRZECIWNĄ JEJ PLANOM MATRYMONIALNYM**, co zdyskredytuje za jednym zamachem islam, Pakistan, imigrancką społeczność tu, w Anglii, oraz jego stanowisko pracy, które, jeśli chodzi o kwestie rasowe, jest oficjalnie uznanym sumieniem tego kraju.

— Jak ja to zniosę, mamó, co ja będę czuła, kiedy zobaczę go obejmującego inną? — Były w łazience, Mah-Jabin stała w rozkroku w wannie, a Kaukab goliła ją między nogami: dziewczyna zupełnie się zaniedbała, a przecież religia nakazywała, by długość włosów łonowych nie przekraczała długości surowego ziarnka ryżu. — Nie chcę tu mieszkać, na tym osiedlu, w tym mieście. Wyprowadźmy się gdzieś daleko.

Kaukab wytarła córce nogi i rozejrzała się za paczuszką płatków higienicznych.

— Coś wymyślimy, dziecko.

Niedawno umarła żona starszego brata Shamasa i oliwkowo-zielony dom w Sohni Dharti został bez kobiety (nieszczęście, jakiego nie życzyło się nawet najgorszemu wrogowi); Kaukab i Shamas poczuli się w obowiązku przyjść z pomocą załamanyemu mężowi i synowi, których osierociła nieboszczka: zapytali Mah-Jabin, czy byłaby skłonna poślubić swojego kuzyna i przenieść się do Pakistanu; byłaby, brzmiała odpowiedź. Życie upływało jej teraz na snuciu się bez celu po pustych ciemnych pokojach. Pewnego razu przejrzała się w lusterku, potem przekreśliła je na drugą stronę — tę powiększającą — i nie zauważyła różnicy: marniała w oczach.

Błagała Allaha, żeby jej wybaczył wyrachowaną pobożność, z którą od dwóch lat się obnosiła, i teraz, zwracając się do Niego w modlitwach, obiecywała, że wyzbędzie się reszty wątpliwości co do Jego istnienia, jeśli tylko On uczyni cud i sprawi, żeby to ona została żoną ukochanego, przeprowadzi ją bezpiecznie przez te wzburzone wody.

Ale cuda wypływają z wiary, a nie na odwrót.

Kaukab nigdy nic zwątpiła, że Allah znajdzie sposób na przyjście z pomocą jej owdowiałemu szwagrowi — człowiekowi, którego, chociaż był trudny we współżyciu, kochała i szanowała jak rodzony brata — i bardzo się ucieszyła, kiedy Mah-Jabin nieoczekiwanie zgodziła się wyjść za jego syna i zamieszkać w Sohni Dharti, by prowadzić tam dom i dbać o starzejącego się, przybitego nieszczęściem wuja. Wszystko dla wszystkich dobrze się układało i w cichych fantazjach, które przez ostatnie dwa lata snuła córka — fantazjach eks-

trawaganckich, źle ukierunkowanych, niewinnych i nieposkromionych — Kaukab widziała teraz dowód na to, jak Allah potrafi zaślepić swoje stworzenia, kiedy Mu to potrzebne do tkania ich dalszego losu.

Przestało padać i na dworze roziskrzyło się wszystko, co mogło się roziskrzyć. Mah-Jabin przykłada ucho do otworu muszli, która przypomina wyrzeźbioną w kości, w jednej trzeciej otwartą orchideę albo lilię, kamienny srom, książkę o pozwijanych, nasiąkniętych deszczem stronicach, i z zamkniętymi oczami słucha morza, którego tam nie ma.

Henna nadała jej czarnym włosom ten rudawy odcień, który można znaleźć na negatywach zdjęć fotograficznych. Gwiazdy z nocy na noc wydają się coraz odleglejsze. Ściany tego domu nasiąknięte są emocjami; każda najmniejsza powierzchnia nosi tutaj blizny po wojennych ranach. Mah-Jabin patrzy poprzez szkło i płynne paciorki deszczówki na frontowy ogród, na wykąpane lilie, na zbite deszczem róże przypominające potłuczoną porcelanę, na furtkę, przy której wchodząc tutaj z ulicy, poczuła zapach perfum matki, ulotną woń jaśminu świadczącą, że Kaukab dopiero co tam była... już się domyśla, skąd matka dowiedziała się, że planuje podróż do Stanów Zjednoczonych; napomknęła o tym taksówkarzowi, który musiał powtórzyć to żonie przez radio, a ta zaraz przybiegła tutaj i wywołując Kaukab do furtki, podzieliła się z nią nowiną, że jej córka wyjeżdża. Hinduscy i pakistańscy taksówkarze są znani z rozsiewania przez swoje krótkofalówki plotek po całym Dašte--Tanhai — kto z kim, kiedy i gdzie był widziany — i ona zawsze unika wdawania się z nimi w rozmowy, niech sobie słuchają swojej hinduskiej muzyki albo nagranych na kasety kazań muzułmańskich imamów, ale dzisiaj w radiu leciała piosenka z przewrotnie dwuznacznym tekstem:

*Coli ke pićhe kja be, coli ke pićbe? Cunn ke niće kja be, ćunri ke niće?*  
**Co ukrywasz pod tą bluzką? Co skrywa ten szal?**

Zgorszony kierowca wyłączył radio i nawiązał z Mah-Jabin konwersację, nie pozwalając odpowiedzieć na te pytania wokalistce śpiewającej z piosenkarzem w duecie:

*Coli men dii be mera*

*Cunń men dii he mera*

*Ye dii men dunggi mere*

*jar ko, pjar ko.*

**Pod tą bluzką bije me serce,**

**Ten szal okrywa me serce:**

**Serce, które oddam ukochanemu, umiłowanemu,**

Mah-Jabin odstawia muszlę na stół, ale nie odchodzi. Przypomina sobie, jak w dzieciństwie chciała pływać w morzu, którego szum słyszała w tych skamieniałych fałdach i zmarszczkach upstrzonych archipelagami białych plam. W głowie jej się kręciło na samą myśl, jakież to fantastyczne stworzenia można napotkać pod falami, których tam, w głębinach nie ma, w zatoczkach na obrzeżach tego płynnego srebra, w tym iluzorycznym morzu, w którym odbija się niebo.

Mah-Jabin wychodzi z pokoju z czołem rozpalonym od kotłujących się w głowie myśli.

Za oknem przelatuje szpak, niesie w dziobku kwiatek do ustrojenia gniazda, które zbudował gdzieś tam dla samiczki, a pusty pokój rozbrzmiewa niesłyszalnym, wydobywającym się z różowego stożka muszli szumem i echemi morza i jego mieszkańców.

## *Jakby na nowo się rodzić*

Charag rozbiera się do naga, wchodzi do jeziora, złożonymi w miseczkę dłońmi czerpie wodę i kręcąc szyją, polewa sobie głowę. Zmoczone włosy zaczynają przylegać do czaszki, woda spływa mu po twarzy, dostaje się do oczu o ciemnobrązowych, jakby zszytych ze ścinków zamszu tęczęwkach, które przywodzą na myśl spód kapelusza blaszkowatego grzyba. Do ziemi dociera sporo księżycowego św iatła, które jednak nie rozjaśnia ani nieba, ani stojącego mu na drodze powietrza — ziemia zdaje się świecić sama z siebie. To przedświt, do brzasku pozostało jeszcze z pół godziny i świat wygląda jak dopiero co stworzony, nic w pełni jeszcze ukształtowany, rozmyty. Na wodzie, wokół wypływającego w jezioro Charaga, unoszą się liście dębu, niektóre z podwiniętymi jak na botanicznych rycinach czubkami. Zostawił ubranie na kamienistym brzegu i przecina ramionami gładką tafłę wody przywodzącą na myśl błonę, której blask docierający do powierzchni gdzieś z głębin nadaje atramentową barwę.

Wciąż jeszcze się waha, czy odwiedzić rodziców. Całą noc jechał do Dašte-Tanhai, a teraz nie bardzo wie, po co tu przyjechał.

Był starszym synem i przez cały okres dzieciństwa nie odstępowało go poczucie, że od niego zależy, jak potoczą się losy rodziny. Nikt mu niczego głośno nie powiedział, czuł jednak przez skórę, że takie są wobec niego oczekiwania. Rodzice chcieli wrócić do Pakistanu: on wykształcił się na lekarza i wróci z nimi — tak to odbierał. Skończy studia medyczne i Anglia nie będzie już im — nikomu z nich — do



niczego potrzebna. Ilekroć robił to, co sprawiało mu prawdziwą przyjemność, ilekroć sięgał po swój blok rysunkowy, nachodziły go wyrzuty sumienia, że marnuje czas. Kiedyś przyszła do nich do domu nauczycielka plastyki i prosiła rodziców, żeby nie zabraniali mu rysować i malować, bo ma prawdziwy talent. Wygospodarowała nawet miejsce na trzy jego prace w małej galerii sztuki nad biblioteką publiczną w centrum miasteczka, a w „Afternoon” pojawiło się jego zdjęcie. Miał wtedy czternaście lat. Wcześniejsze listy nauczycielki plastyki zbywane były w domu wzruszeniem ramion, Kaukab utrzymywała, że to podstępne knowania białych mające na celu sprowadzenie chłopca na manowce, podcinanie skrzydeł Pakistańczykom, którzy chcą coś w życiu osiągnąć, wciąganie co ambitniejszych w rozmaite dziecinady, żeby nie mieli czasu nad sobą pracować i zostać kimś. Na Charaga, kiedy zobaczył nauczycielkę wchodzącą do domu, padł blady strach, poczuł się upokorzony, krzychał na nią w duchu, żeby się wynosiła, bał się, że rodzice gotowi jeszcze pomyśleć, że to on ją tu zaprosił, że w jakimś sensie ich zdradził.

Chcąc nie chcąc, Charag skupił się na zgłębianiu nauk przyrodniczych. Spędzał długie godziny w laboratoriach, gdzie pod pokrowcami, niczym zakapturzone sokoły, drzemały mikroskopy. Nauczyciel przyrody radził mu, żeby nie ilustrował swoich prac domowych takimi szczegółowymi rysunkami, bo może mu to wejść w krew i na egzaminach straci na nie cenny czas. Ale to były przecież jedyne rysunki, nad jakimi mógł pośłęczyć w domu jawnie i bez poczucia winy. Wszyscy domownicy zdawali sobie oczywiście sprawę, że ma talent. Kaukab wręczała mu czasami kostkę pachnącego mydła i prosiła, żeby zaprojektował jakiś ładny ozdobny szlaczek do wyhaftowania na *kamis*, którą szyła właśnie dla siebie albo dla Mah-Jabin. Podsuwała mu też papierowe ręczniki i prosiła, żeby na podstawie zawijasów i wzorów geometrycznych, które zdobią ich brzegi, sporządzał szablony do nanoszenia tych motywów henną na ręce — pomniejszone na palce, powiększone na dłonie. Wykonane przez niego szkice i szablony przechowywała w teczce, którą trzymała w koszyku z przyborami do szycia, i często udostępniała sąsiadkom. A kiedy zapodziała gdzieś kredę krawiecką, przychodziła do niego po kredę świecową.

Szkołę średnią ukończył z dobrym wynikiem, nie na tyle jednak dobrym, by dostać się na medycynę. Odwieszając na kolek poczucie winy, osobistej porażki i wstydu, oznajmił rodzicom, że w nadchodzącym roku szkolnym nie będzie próbował poprawiać ocen, od których zależało przyjęcie na medycynę, ani nie rozpocznie w tym roku studiów na żadnym z uniwersyteckich wydziałów, na które ze swoją średnią ocen mógłby zostać przyjęty.

Zamierzał pójść na Akademię Sztuk Pięknych.

Zmienił jednak zamiar, kiedy schodząc któregoś dnia po ciemnych schodach, usłyszał, jak matka policzkuje w kuchni trzynastoletnią wtedy Mah-Jabin i mówi:

— I kto będzie cię teraz chciał za żonę?

Rok powtarzania ostatniej klasy upłynął mu pod znakiem napierającej zewsząd samotności. Wszyscy jego znajomi podostawali się na takie czy inne studia i rozproszyli po świecie. Sam teraz jeździł autobusem do szkoły — niskiego, podługowatego budynku pośród wzgórz, wzniesionego z błyszczącego szkła i szarości, na którym wiatr wygrywał jak na organkach — z nowymi kolegami z klasy nie miał jakoś ochoty nawiązywać bliższych kontaktów. Atmosfera w domu też się popsuła: rodzice odebrali jego niepowodzenie jak okrutny cios dla pokładanych w nim nadziei, ogólne przygnębienie udzieliło się bratu i siostrze — widzieli przecież, jak przykładął się do nauki, i jego porażka wpłynęła na nich deprymująco, zwątpili w siebie.

Na początku października zaczęły go boleć plecy i nogi. Lekarz, tu łaskocząc, tam wachlując chusteczką higieniczną jego nagie ciało, sprawdził odruchy i zasugerował wizytę u psychiatry, bo on żadnej organicznej przyczyny tych dojmujących bólów nie stwierdza. Matka powiedziała, że nie ma mowy; pewna młoda dziewczyna z osiedla też została skierowana przez lekarza do psychiatry, a po paru miesiącach zbuntowała się przeciwko rodzicom i wyprowadziła z domu.

Mijały miesiące. Bóle z czasem ustały, starał się, jak mógł, ale średniej ocen wymaganej przez wydział medycyny znowu nic udało mu się uzyskać. Poszedł na chemię, to była ostatnia deska ratunku — gdyby ukończył ten kierunek z dobrym wynikiem, miałby prawo ubiegać się o przyjęcie na medycynę za trzy lata.

Ale w drugim roku pobytu w Londynie wszystko się zmieniło, pewnego wieczoru, trochę wstawiony, zdobył się wreszcie na odwagę i podszedł do Stelli.

— Na barwach znam się jak nikt — zagaił, przekrzykując muzykę. — Nosisz szklę kontaktowe? Niemożliwe, żeby ktoś z włosami takiego koloru miał aż tak błękitne oczy. Na barwach znam się jak nikt.

Spojrzała na niego,

— To mój naturalny kolor oczu. Nie przyszło ci do głowy, że mogę farbować włosy? — Opadały jej na ramiona spod wielkiego czarnego kapelusza z rondem podwiniętym z przodu i przypiętym do denka stylizowaną różą uformowaną z jednego odcinka wstążki, też czarnej.

Dłonie mu drżały. Przez tamten rok, kiedy powtarzał ostatnią klasę, żeby poprawić średnią ocen, widział mnóstwo dojrzałych już chłopców i dziewcząt z Pakistanu i Indii, którzy z utęsknieniem wyglądali dnia wyjazdu na uniwersytet, gdzie znajdą sobie kochanków, a kiedy podobnie jak on nie dostali się na studia i wolność odsunęła się od nich w czasie o cały nieznośny rok, próbowali rozpaczliwie, nieporadnie i infantylnie szukać sobie pary na miejscu. On jednak trzymał swoje popędy na wodzy i zachowywał dystans. W Londynie, gdzie nie musiał się już obawiać zdemaskowania i wynikających z tego reperkusji, blokowały go z kolei świadomość własnej niekompetencji i niedoświadczenia, przytłaczające poczucie wstydu, że jest jeszcze cnotliwy.

— No? — Dziewczyna odwróciła się ostentacyjnie plecami do chłopaka, z którym do tej pory rozmawiała, i wykonała szybki obsceniczny gest uformowanymi w obwarzanek kciukiem i palcem wskazującym lewej ręki, symbolizujący męski ruch masturbacyjny, dając w ten sposób do zrozumienia, co myśli o swoim dotychczasowym rozmówcy. Stropiony chłopak stał za nią jeszcze jakiś czas, potem odwrócił się i oddalił jak niepyszny.

Charaga przeraziła jej bezpośredniość. Czyjego też tak spławi i podsumuje, kiedy podejdzie do niej ktoś inny? Wargi miała czerwone i soczyste jak dojrzałe wiśnie.

— No, chłopaczku, skąd wiesz, że nie mam ufarbowanych włosów?

— Bo wiem. Poznałbym, gdyby były. Już powiedziałem, że na barwach znam się jak nikt.

Wzruszyła ramionami i uśmiechnęła się.

— Ty, zaraz, ja cię widziałam w kampusie. A w weekendy pracujesz w barze w Sono, tak? Już dawno chciałam do ciebie zagadać.

— Mam na imię Charag.

— Wiem. A ja Stella. — Wiem.

Musieli przysunąć się do siebie bardzo blisko, żeby się nawzajem słyszeć, i w rezultacie słyszeli nawet swoje oddechy. Byli w pękającej w szwach, gwarnej piwnicy klubu studenckiego w Notting Hill. Dziewczyna wzięła go za rękę i pociągnęła pod ścianę pomalowaną w gigantyczne kapsułki i tabletki w jaskrawych kolorach — fetysze bywalców klubu. Miał grać zespół muzyczny, jacyś znajomi gospodarzy imprezy, ściągnięci specjalnie na tę okoliczność ze Szkocji, ale do występu nie doszło, bo towarzystwo rozpedziła policja wezwana przez sąsiadów pałających niespotykaną niechęcią do studentów i młodzieży, której nie rozumieli i której hałaśliwych hulanek i libacji ani myśleli tolerować. Charag i Stella rozdzielili się w tłumie wylewającym się na ulicę jak termity z walącej się termitiery.

W następny piątek Stella zjawiła się w Soho, w kolejny wieczór również, i powiedziała znajomym, żeby wracali bez niej, sama zaś czekała, aż personel knajpki posprząta po zamknięciu. Tuż przed świtem — kiedy czerwone kropki na pościeli odbijały się w okiennej szybie, przywodząc na myśl jagody jarzębiny — Charag wymknął się z jej pokoju i wrócił do siebie, płonąc z niespełnienia i upokorzenia, kopiąc z morderczą wściekłością liście opadłe z platanów.

Obserwował papierosa, którego trzymała w palcach: maleńkie różowe oczka otwierały się i zamykały, oddychały, wysyłając w powietrze błękitną smużkę dymu z tytoniu i równoległe do niej brązową z tłącej się bibułki.

Można było popaść w kompleksy. Od dziecka wpajano mu, że różnic między białymi i Pakistańczykami jest za dużo, by istniała jakakolwiek nadzieja na udane pożycie; wiele takich mieszanych małżeństw szybko się rozpadało. Imam z meczetu

radził chłopcom, żeby omijali z dala te „wory łajna”, jakimi są ziemskie kobiety, i czekali na swoje hurysy z raj. Mówił, że podczas oddawania moczu powinni trzymać członek, ten odrażający wyrostek, przez bibułkę. No i rzecz jasna, że stosunek jest czymś tak plugawym, że po jego odbyciu trzeba oczyścić całe ciało w kąpeli. Charag podsłuchał kiedyś, jak jedna z kobiet zebranych w niebieskiej kuchni opowiadała, że musiała tego dnia okłamać swojego dociekliwego, niewinnego syna, który dopytywał się, dlaczego tak wcześnie rano ma mokre włosy: „Powiedziałam mu, że jego młodsza siostra zsiusiała się w łóżko i musiałam się o świcie wykapać, żebym mogła przystąpić do porannych modłów oczyszczona”. Kobiety roześmiały się i zaczęły komentować incydent, a on siedział nagi od pasa do kolan w swoim pokoju, przyciskając łokciem podrygujące śliskie czasopisma, żeby nie zsunęły się z łóżka. Potem, podciągając spodnie, przytrzymał sprzączkę u paska, żeby nie zabręczała. W okresie dojrzewania gromadził, wyrzucał i znowu gromadził czasopisma z dziewczętami. Stronice każdego egzemplarza poprzecinane były śladami po zagięciach tam, gdzie składał je na pół, by w momencie orgazmu mieć przed oczami kombinację ulubionych ilustracji. Wyrzucał swoje zbiory w chwilach obrzydzenia do samego siebie, zgrywając zawsze te porządki z dniem przyjazdu śmieciarzy, żeby gazety nie leżały za długo przed domem. Każdą wizytę w kiosku z prasą w celu odnowienia kolekcji przeżywał jak osobistą klęskę — był słaby i zepsuty.

W następny weekend Stella wzięła sprawy w swoje ręce i zostali kochankami. Wargi miała zadbane i miękkie, on suche, spierzchnięte i wodząc po nich językiem, odnosiła wrażenie, że liże zgrzebne płótno.

Naczynka krwionośne na jej brzuchu skurczyły się i cofnęły w głąb ciała pod dotykiem jego chłodnej dłoni, pozostawiając na skórze uczucie mrowienia. Zatarł to wrażenie, przywabiając krew ciepłym, wilgotnym językiem z powrotem ku powierzchni.

Leżała pod nim z rozplaszczonymi pod własnym ciężarem piersiami, sutki miała różowe, tego samego koloru co wargi — jego były ciemnobrązowe, też jak wargi.

Na czubku jego penisa żarzył się i rozrastał punkcik roz-

gwieźdzzonego, rozkosznego bólu, który trzeba było kontrolować i co jakiś czas podsycać, by podtrzymać erekcję, ale z umiarem, bo gotów się zbyt szybko rozprzestrzenić i doprowadzić do rozładowania.

Poszukał ustami jej oleistej wisienki. Jej smak spływał mu do ust falami słoności i goryczy, wymowny jak pogoda.

Kiedy minęło pierwsze uniesienie i otworzył oczy, nie mógł się nadziwić, że ona naprawdę tu jest.

Wciąż było mu jej mało.

Czuł na jej ramionach zapach spod swoich pach, osiadł tam jak kwiatowy pyłek na czółku kolibra.

Doprowadzili się nawzajem do orgazmu, pot zlepił całe połączenie ich ciał jak sok cząstki pomarańczy.

I przez całą przerwę bożonarodzeniową — nie ufając swojej pamięci, co okazało się potem bezpodstawne, a tym samym wzmocniło radość ponownego spotkania — myślał, że nie poznałby jej na ulicy. Dom w Dašte-Tanhai był tej zimy pogrążony w ciszy. Mah-Jabin wyjechała przed kilkanaście miesięcy do Pakistanu, wyszła tam za męża i Ujala nie miał z kim drzeć kotów. Sople ociekały za oknem jak rozwieszony dopiero co pranie. Nocami od jeziora ciągnęło chłodem, który potęgował poczucie zimna i utrzymywał się w nieruchomym powietrzu przez cały dzień.

Nie mógł dać Stelli numeru swojego telefonu, a tak mu brakowało rozmów z nią, jej bliskości. Swego czasu do Charaga zadzwoniła koleżanka z klasy z pytaniem o zadane lekcje i na dom padł blady strach; po powrocie ze szkoły rzadko gdzieś wychodził, ale ten jeden telefon wystarczył, by malka zaczęła podejrzewać, że ma dziewczynę. Nie wiedziała (on wówczas też jeszcze nie), co to znaczy chodzić z dziewczyną, nie wiedziała, że utrzymywanie takiego związku wymaga wielu subtelności, poprzez które z jednej strony okazuje się partnerowi czułość i oddanie, z drugiej żąda ich od niego dla siebie, że trzeba się regularnie spotykać, choćby to miało być codziennie, przedstawić partnera rodzicom. Kaukab rozciągała na wszystkie kobiety to, co wiedziała o Pakistankach, którym wpajano, że mają cierpliwie czekać i cieszyć się, jeśli w ogóle wzbudzą zainteresowanie mężczyzny, obojętne, jaki by on był.

Od tamtego czasu Kaukab wzięła go pod lupę i Charagowi bardzo to doskwierało.

Skaleczył sobie penisa o haczyk bransoletki Stelli. Zadrapanie już się goiło i strupek, ocierając się o materiał majtek, szeptał jej imię.

Po Nowym Roku wrócił do Londynu i pałac w popielniczce zapalę za zapalną, zwierzał się Stelli, jak bardzo chce malować. Słuchała wpatrzona w płomyki trawiące patyczek i wysysające z niego grubość, by same napełnić. Dopalające się zapalniczki czerniały, wyginały się i przygasając, jarzyły jeszcze przez chwilę na czubku na podobieństwo latarni ulicznych. Była w górze, a on w spodniach od piżamy.

Powiedziała mu, że musi bezzwłocznie rzucić studia na chemii. Tak po prostu. Jakież lekkie staje się brzemień życia w rękach kochanej osoby! Powiedziała mu, co musi zrobić, i analizując wszystkie za i przeciw, wykazała, że do katastrofy jeszcze daleko — jemu, który zawsze myślał, że pograży go jeden fałszywy krok.

Po Wielkanocy coraz częściej jeździł do domu. Za każdym razem z zamiarem wyznania rodzicom, że nie jest już studentem, ale nie mógł się nigdy zdobyć na odwagę i wracał do Londynu, nic im nie powiedziawszy. Podśledzał kiedyś, jak Kaukab mówi do Shamasa, że ich syn jest chyba szykanowany na uniwersytecie przez jakichś rasistów i przyjeżdża do domu, żeby uwolnić się na jakiś czas od prześladowców.

Wyjawił im prawdę kilka miesięcy później, w święta Bożego Narodzenia, kiedy w domu pachniało, jak zawsze w zimie, płynami do zmiękczenia tkanin i proszkiem do prania, bo w kuchni suszyła się zrobiona tego dnia przepierka.

— Z malowania trudno wyżyć — powiedziała Kaukab. — Po przyjeździe do tego kraju mieszkaliśmy w wałących się ruderach i karmiliśmy się nadzieją, że naszym dzieciom będzie lepiej.

— Mamo, klepię biedę, bo jestem jeszcze młody. Jakoś to będzie. — Patrzy! na skórę nad piersiami Kaukab; była zwiotczała i pomarszczona, w niczym nie przypominała skóry Stelli — świeżej, jędrnej, jedwabistej. To widome świadectwo starzenia się i beznadziei sprawiło, że żal mu się zrobiło matki i zapragnął ją pocieszyć. — Nie martw się, mamo. Dam sobie radę.

— Dobrze chociaż, że Allah uśmiecha się do mnie, jeśli chodzi o córkę. Mąż ją kocha i jest szczęśliwa. — Nie było godziny, żeby do Mah-Jabin nie zdążał list od Kaukab — w postaci depeszy albo luźnych kartek w grubej kopercie ze znaczkiem w lewym górnym rogu — Kaukab wciąż zapominała, że znaczki nakleja się w prawym. Listy od Mah-Jabin były pogodne, ale nie tchnęły przesadnym optymizmem.

Mah-Jabin, pomimo że dzieliły ją od matki tysiące mil, była Kaukab bliższa niż Charag, któremu wystarczyło wsiąść do pociągu i już był w rodzinnym domu. Życie Mah-Jabin wyobrażała sobie poprzez pryzmat własnych doświadczeń; o życiu Charaga nie wiedziała nic; straciła go.

Istnienie Stelli pozostawało dla wszystkich członków rodziny tajemnicą do czasu, kiedy Jugnu odwiedził w Londynie Charaga studiującego już w Akademii Sztuk Pięknych. Charag nic powiedział mu wcześniej, przekonany, że Kaukab nie darowałyby Jugnu, gdyby się wydało, że wiedział o „grzeszeniu” Charaga i nie pisał słówka. Reakcji ojca się nic obawiał, ale jemu z tego samego powodu też wolał się nic zwierzać.

Niebo jest tak niebieskie, że aż chce się go dotknąć. Wkrótce stanie się błękitno-złote. Charag opływa jedną z tych małych, porośniętych trzciniami wysepek, które dryfują po powierzchni jeziora, i z zaskoczeniem stwierdza, że ma w wodzie towarzystwo. Zderza się niemal z płynącą na grzbiecie nagą jak on kobietą odznaczoną małym listkiem, który przyłgnął do piersi tuż nad lewym sutkiem; na wodzie unoszą się jej falujące, gęste jak wodorosty włosy, wypierane przez wodę piersi sterczą wysoko, jakby ujęte od dołu czyimiś niewidzialnymi dłońmi.

— O Allahu — szepce na jego widok kobieta i Charag zauważa teraz, że jak przystało na muzułmankę, łono ma gładko wygolone. Nie sposób płynąć i jednocześnie zakrywać dłońmi piersi i krocza. Nieznajoma zachłystuje się i znika pod wodą. Jej stopa ociera się o jego penisa; poplamiał go sobie wczoraj akwamaryną, kiedy poczuwszy parcie na pęcherz, oderwał się od sztalug i poszedł do toalety. Próbuje jej pomóc, traci rytm i sam idzie pod wodę. Mul, gnijące liście, palce zaplątane



w długie włosy. Wyrywa mu się i odpływa oliwkowoskóra, otoczona rojem pęcherzyków powietrza. Charag wynurza się, odkrztusza wodę, która dostała się do krtani i nosa, mruga piekącymi oczami. Kobieta dopływa do odległego brzegu, wstaje, odwraca się i patrzy w jego kierunku. Mokra ramiona i biodra ociekają, woda skapuje z sutek.

Charag odczekuje jakiś czas, a kiedy nieznajoma znika mu z oczu między drzewami, sam płynie do brzegu. Ubiera się szybko, dygocząc z zimna i rozglądając, ale nigdzie jej nie widzi. Z samochodu zaparkowanego pod pobliską latarnią zabiera siatkę pomarańczy, blok rysunkowy i tuzin pastelowych kredek, które spięte starym zegarkiem przypominają bombę zegarową z komiksu. Wraca nad jezioro i siada na wyrzuconej na brzeg kłodzie. Rysuje mgłę. W świetle budzącego się dnia papier przybiera bladobłękitną barwę, pył z kredek szybko pokrywa dłonie Charaga, zmiotany z papieru jego dmuchnięciami osiada też na ziemi kolorowymi wachlarzami, które przywodzą na myśl zmaterializowane i utrwalone zobrazowania jego oddechu. Biel, szarość, zieleń fartucha chirurga, przytłumiona czerwień szkolnego kortu tenisowego wysypanego ceglanym *proszkiem*.

Zauważa, że każda z pomarańczy, po które co jakiś czas sięga, ma własny specyficzny smak odróżniający ją od poprzedniej. Odkłada kredki i blok rysunkowy, przymyka oczy. Czuje, że z jego krwiobiegu zostały już wypłukane wszystkie gwiazdy.

Zdaje sobie sprawę, że jego prace stały się ostatnio banalne, że na gwałt potrzeba mu nowej inspiracji. W szukanie jej włożył całą swoją pasję i wie, że ewentualne niepowodzenie może przypłacić poważnym kryzysem twórczym.

— Przepraszam, ale nie chciałam pana przestraszyć — słyszy naraz za plecami.

Ogląda się. Kilka kroków za nim stoi kobieta z jeziora. Jest już kompletnie ubrana, jej wilgotne włosy i ramiona okrywa zwiewny szal. Czyżby go podglądała? Myślał, że wzięła nogi za pas.

— A pani doszła już do siebie? — odpowiada pytaniem na pytanie. — Byłem zbyt pochłonięty myślami, by słyszeć, że nie jestem w wodzie sam.

— To tak jak ja.

Stokrotki porastające ścieżkę, na której stoi kobieta, przypominają pasmo żywych gwiazd. Sama ścieżka biegnie między wysokimi trawami ku wejściu do urdyjskiej księgarni, której właścicielem jest przyjaciel ojca Charaga.

Kobieta, mrugając tymi sennymi oczyma, odpędza machnięciem ręki owada.

Do samochodu zaparkowanego w tym miejscu w pełni lata szybko zleciałyby się z sosen ćmy cyganki i złożyły jajeczka na oponach.

Kobieta stoi i patrzy na niego w milczeniu. Charag nie bardzo wie, co powiedzieć ani co ze sobą zrobić. Z braku innego pomysłu zaczyna zbierać swoje rzeczy.

— Na imię mi Suraya — odzywa się wreszcie kobieta i niepewnie postępuje krok w jego stronę. — Woda nie była dla pana za zimna?

Charag potrząsa przecząco głową. W obecności Azjatek czuje się zawsze skrepowany, nigdy do końca nie wie, jak się zachować, intuicja podpowiada mu, że najlepiej okazać rezerwę i powściągliwość.

Kobieta ma około czterdziestu lat i jest uderzająco piękna, podobna z urody do Włoszki, Hiszpanki, może Latynoski.

— Często kąpałam się w tym jeziorze w dzieciństwie i przed godziną naszła mnie ochota, żeby się znowu w nim zanurzyć. Myślałam, że nikt mnie nie zobaczy. Na początku roku wróciłam z Pakistanu i do dzisiaj czekałam, aż woda się nagrzej. W końcu nie wytrzymałam.

Charag wstaje i przyciska do piersi swoje rzeczy.

— Co pani robiła w Pakistanie? Odpowiedź jest jakby nie na temat.

— Strasznie tęskniłam za tym jeziorem i za lasem po tamtej stronie, pełnym na wiosnę dzwonek... brakowało mi ich w Pakistanie. — Pokazuje palcem na rysunki; — Mogę zobaczyć? — Nie czekając na pozwolenie, podchodzi i staje obok Charaga tak blisko, że ich ubrania niemal się stykają. — Byłam w Pakistanie mężatką — podejmuje cichym głosem. — Mam tam małego synka. Ale zeszłego roku mój mąż upił się jednego wieczoru i rozwiódł ze mną. — Wpatruje się intensywnie w kartki, wyraźnie unikając jego wzroku, nie chce widzieć jego

miny. — Teraz on tego żałuje i oboje chcemy, żeby było między nami po staremu, ale muzułmańskie prawo nie pozwala mi po raz drugi wyjść za niego za mąż, jeśli przedtem nie zostanę żoną innego, Ten nowy mąż musiałby się ze mną rozwieść zaraz po ślubie i wtedy mogłabym poślubić znowu ojca mojego synka. — Patrzy w jeden punkt na kartce, którą trzyma. — Jest pan może muzułmaninem? Jak panu na imię? Charag cofa się o krok.

— Tak za nimi obydwoma tęsknię. — Wciąż na niego nie patrzy. — Jest pan żonaty? — pyta z udawaną nonszalancją.

— Pani wybaczy, ale na mnie już czas — mówi Charag i wyciąga rękę po rysunki. Ale ona jakby nie słyszała. Stójkę tuniki ma haftowaną jak ta młoda dziewczyna z pierwszej wersji obrazu Caravaggia *Cyganka wróżąca*, która pokazując wzgórek Wenus na dłoni młodzieńca zauroczonego jej urodą, ściąga mu delikatnie z palca złoty pierścień. Subtelna kradzież.

— Gdyby tak znalazł się ktoś odpowiedni. Chodzę regularnie do swatki, ale jak dotąd nic z tego. Jak już powiedziałam, byłoby to tylko tymczasowe małżeństwo. No i, naturalnie, nie musielibyśmy być w podobnym wieku. Prorok, niech pokój będzie z Nim, miał dziewiętnaście lat, kiedy ożenił się z czterdziestoletnią kobietą.

A mając sześćdziesiąt, skonsumował małżeństwo z dziewięćciolatką, dodaje w myślach Charag.

— Ile ma pan lat? — pyta kobieta.

Trzydzieści dwa, chce odpowiedzieć, ale głos go zawodzi. Stoi zdębiały. Nigdy by nie przypuszczał, że znajdzie się w takiej sytuacji. Kiedy wyjmuje swój blok rysunkowy z rąk kobiety, po jej policzku stacza się łza wielkości pestki gruszki i skapuje z wilgotnym pacnięciem na kartkę. Pierwsze, co się słyszy, przychodząc na świat, to kobiety — pokrzykujące, gruchające słodko, pocieszające, wściekające się, rugające, wrzeszczące z bólu, z rozkoszy, śmiejące się, szlochające. Charag myśli czasem, że znaleźć się w tym starym osiedlu Dašte-Tanhai, z jego azjatyckimi ulicami i uliczkami, na których upłynęło mu dzieciństwo, to jak wejść do jednej wielkiej sali porodowej rozbrzmiewającej głosami kobiet wyrażającymi całe spektrum emocji. Jakby na nowo się rodzić.

Nie wie, co począć z tą skrzącą się na papierze Izą. Zetrzeć

ją, strząsnąć? Ale czy nie byłaby to zbyt obrazowa forma odrzucenia propozycji kobiety, czy w ten sposób nie zraniłby jej niepotrzebnie?

Patrzy, jak łza wsiąka w papier.

— Jest pan bardzo utalentowany. — Kobieta spogląda na niego w końcu i uśmiecha się. Oczy ma zaczerwienione. I decyduje się na jeszcze jedną ostatnią próbę: — Chętnie bym obejrzała inne pańskie prace. Gdzie pan mieszka?

Zakłopotanie, które go ogarnia, jest tak dojmujące, że wydaje się namacalne, sprawia mu niemal fizyczny ból. To, co się tu rozgrywa, trudno nazwać podrywaniem, ale w desperacji kobiety dostrzega coś ze swego dawnego zakompleksienia i amatorszczyzny w kontaktach z płcią przeciwną. Wychowali się oboje w kulturze opartej na segregacji oraz na wyparciu się własnego ciała i pogardzie dla niego i najprawdopodobniej kobieta po raz pierwszy komuś się „oświadcza”.

— Pan jest artystą — podejmuje z rezygnacją Suraya, kiedy Charag odwraca się, by odejść. — Proszę mi powiedzieć, czy potrafiłby pan to namalować?

Charag wie, że mówiąc „to”, ma na myśli upokorzenie, którego właśnie doświadczyła, i swoją żalną nieporadność, będące skutkiem okoliczności oraz tęsknoty za synkiem i mężem.

— Potrafiłby pan? — Ból wyziera jej z oczu.

— Nie wiem - - mówi cicho Charag. — Mogę spróbować. Kobieta kiwa głową, ociera chustą oczy i oddala się wolnym krokiem.

Charag wraca do samochodu i siedzi w nim przez kilka minut zamyślony.

Tylko patrzeć, jak promienie słońca wleją się przez okna do wszystkich domów w Dašte-Tanhai, budząc tam ze snu świadomość. Gaśienice wspinają się już na stojące pod drzwiami butelki z mlekiem, by spijać rosę z foliowych kapsli. Zostanie tu jeszcze trochę, żeby popatrzeć na wschód słońca nad jeziorem, potem zje śniadanie w centrum miasteczka i ruszy w drogę powrotną do Londynu.

## *Wiele kolorów mleka*

Shamas, jak w każdą sobotę, wraca tuż po świcie z gazetami z centrum miasteczka. Niezliczone jedwabne pajęczki nici połyskujące w słońcu, rozpięte luźno między wysokimi trzcinnami nad brzegiem rzeki, nie wiedzieć czemu przywodzą na myśl trzymających się za ręce kochanków. Lśnią i przyciągają oko jak ulubione strofy w tomiku poezji. Wirujący w powietrzu rój utrzymuje kamie kształt lejka, tak jakby tworzące go szare owady wierzyły święcie, że wpadły w pułapkę. Shamas wchodzi na most. Płynąca dołem rzeka zdaje się pić słoneczne światło, zasysać zeń ciepło, trawa nad brzegiem jest tak bujna, że chyba chrzęściłaby pod stopami. To tam dwoje kochanków szukało jakoby miejsca, w którym znaleziono ludzkie serce; Kaukab mówi, że matka dziewczyny jest przekonana, że jej córkę opętały dżinny i dlatego nie chce zaakceptować nowego męża. Shamas woli nic mówić Kaukab, że przypadkiem spotkał tę dziewczynę z młodym hinduistą — ich potajemna schadzka musi pozostać tajemnicą.

Ta rzeka to praktycznie strumień w porównaniu z rzekami subkontynentu indyjskiego: Indus, którego drugi brzeg wciska się pod horyzont, to ocean wody pamiętający tysiące lat historii. A rzeka jego dzieciństwa — Chenab — potrafi podczas monsunu przybrać o kilka jardów.

Mając niewiele ponad dziesięć lat, zmajstrował sobie łódkę i nazwał ją „Safina”, co znaczyło zarówno łódka, jak i w archaicznym znaczeniu — kajet. Wpływał nią w szuwary na

płyciznach Chenabu i czytał. Jeśli to była zima, zza zielonej kurtyny trzciny dolatywały go krzyki wędrownego ptactwa wodnego zlatującego tu niewielkimi kluciami od Himalajów na początku października.

Tego roku motyle zaczęły się niedługo wylegać — wiosna tętni życiem, powietrze nad rzeką pachnie lekko jak zdjęta niedawno odzież swoim właścicielem. Wtem w pole widzenia Shamasa wlatuje czerwona wstęga o jedwabistym połysku, wydzielająca tak silny aromat kapryfolium, jakby wycierano nią rozlane perfumy — zaraz sfrunie do wody. Sięga po nią instynktownie, przechylając się przez niski murek, i spod pachy wypadają mu gazety; lądują w rzece, papier, nasiąkając wodą, błyskawicznie zmienia kolor. Shamas czuje się od razu lżejszy, mięśnie mu się rozluźniają. Trzyma w dłoni apaszkę z niebieskimi jak motyle rombami wzdłuż brzegów. Rozgląda się. Kilka kroków od niego stoi młoda kobieta, słońce śmieje się w jej szklanych bransoletach. Oddaje jej apaszkę.

— Dziękuję panu — szepce nieznajoma. — Przykro mi z powodu gazet. — To powiedziawszy, odwraca się i zaczyna oddalać; skręca w marszu odzyskaną apaszkę i wykorzystując ją w charakterze wstążki, wiąże włosy w luźny koński ogon. Jej skóra ma ten jasnordzawobrazowy kolor, który pod wieczór przybierają kwiaty jaśminu.

Shamasowi nieobce są zasady dobrego wychowania, wie, że nie wypada mu jej zatrzymywać, ale pod wpływem impulsu łamie je i woła:

— Piękny mamy poranek.

Kobieta przystaje, bez wątpienia tak samo zbulwersowana jego zuchwalstwem jak on sam. Po chwili wahania odwraca się i kiwa głową. Kilka pasemek bujnych, falujących włosów zdążyło się już wysunąć spod apaszki i opaść na ramiona. Jest niska, drobnej kości, gdzieś pod czterdziestkę, ma na sobie bladożółte *szatwar-kamis*, a zarzucony na ramiona szeroki szal z prześwitującego szyfonu ma pewnie służyć w razie potrzeby jako nakrycie głowy. Z lekko skonsternowaną miną rozgląda się niespokojnie — czy szuka wzrokiem jakiegoś przechodnia, który w razie czego przyjdzie jej z pomocą, czy też chce się upewnić, czy aby na pewno nikt ich nie obserwuje, trudno stwierdzić.

Zawstydzony, że dal jej powód do niepokoju, że zachował się tak nieodpowiedzialnie i wołając za nią, naraził na szwank jej dobre imię, Shamas unosi rękę do czoła w pożegnalnym geście, jak na dobrze wychowanego muzułmanina z subkontynentu przystało, i odwraca się szybko, by pomaszerować z powrotem do centrum miasteczka po gazety.

— Idę właśnie nad jezioro. Jest tam urdyjska księgarnia i chciałam sprawdzić godziny otwarcia — słyszy za sobą głos kobiety. Zatrzymuje się, odwraca i na jej twarzy, na której jeszcze przed chwilą gościły podejrzliwość i lęk, widzi teraz załóżki życzliwego uśmiechu. Kobieta ujmuje palcami brzeg szala i narzuca go sobie na głowę pełnym niewypowiedzianej gracji ruchem z rodzaju tych, które mówią wszystko o usposobieniu człowieka; cienka tkanina osiada na jej włosach zmysłowo powolną, żółtą falą. — Księgarnia nazywa się „Safina”. O ile dobrze pamiętam, to słowo w poetyckim języku urdu znaczy „łódź”, a w potocznym „zeszyt”.

Jakby ktoś skrzesił iskrę w jego głowie — w jednym krótkim rozbłysku powraca ekstatyczna apatia letnich miesięcy z okresu dojrzewania i robi mu się błogo na duszy.

— Nazwałem tak swoją łódkę, kiedy byłem chłopcem i mieszkałem nad Chenabem. I zaproponowałem tę nazwę właścicielowi księgami, który jest moim przyjacielem.

Most między nimi jest ze szkła, postępuje więc jeden ostrożny krok w jej stronę.

Kobieta przygląda mu się, sprawia wrażenie zatopionej w myślach.

— Mam na imię Suraya. — Uśmiecha się już jawnie, szerzej niż za pierwszym razem, i jasnomorelowe znamię (tak jasne, że gdyby było otoczone podobnymi, można by je uznać za pieg) tuż przy kąciku ust zostaje wciągnięte w tworzący się tam dołeczek, znika w fałdce skóry.

— Księgarnia jest otwarta w sobotnie i niedzielne popołudnia, zachęcam do jej odwiedzenia — mówi Shamas. Obawia się o bezpieczeństwo kobiety; tego by tylko brakowało, żeby ktoś ją zobaczył, jak rozmawia z obcym. Pewien Pakistańczyk potracił śmiertelnie samochodem idącą poboczem drogi szwagierkę i dla pewności przejechał po niej jeszcze kilka razy,

w biały dzień, bo podejrzewał- że zdradza jego brata. *Lękam się tylko, że umierając, sprofanujesz zmarłych, tak jak żyjąc, profanujesz żyjących.* Zdarzyło się to tutaj, w Anglii, a według statystyk w jednej tylko pakistańskiej prowincji co trzydzieści osiem godzin, za to tylko, że jej cnota budzi czyjeś wątpliwości, mordowana jest kobieta. Powinien się z nią czym prędzej pożegnać. Składa lekki ukłon.

— A teraz proszę mi wybaczyć, muszę już iść. Kobieta dotyka apaszki.

— Dziękuję panu za pomoc - mówi. — Wiatr wyrwał mi ją z ręki i nie mogłam jej dogonić, leciała z szybkością myśli; na szczęście Allan zesłał mi pana. I przepraszam za te gazety, które pan przeze mnie stracił.

— Wrócę zaraz do miasta i kupię drugie. — Shamas ofukuje się w duchu za podejrzenie, że kobieta zagaduje go z rozmysłem, że nie chce się z nim rozstawać. Nie da się jednak ukryć, że ona naprawdę z dziwną intensywnością mu się przypatruje. Shamas nie wie, co powiedzieć ani co ze sobą zrobić, i stoi jak słup soli, a ona wodzi wzrokiem po jego ciele, zupełnie jakby szukała szczeliny, do której trzeba wrzucić monetę, żeby go ożywić. Speszony unosi rękę i sprawdza, czy wiatr nie rozwichrzył mu zanadto włosów. Potem z bijącym mocno sercem odwraca się wreszcie i odchodzi. Nie wiedzieć czemu czuje się bardzo stary i zmęczony. Oddala się od tej bladej złotej angielskiej rzeki, od jej roziskrzanej wstęgi i od tych nieprzeliczonych nici pajęczego jedwabiu zwisających luźno z trzciny połyskliwymi parabolami. To tutaj przed kilkoma tygodniami podeszła do niego matka Chandy i powiedziała, że Jugnu widziano w Lahaurze; potrząsa głową i krzywi się, próbując odpędzić to wspomnienie. Ulica pnie się pod górę szpalerem kwitnących kasztanów; centrum miasteczka usytuowane jest na szczycie wzgórza. Blade cienie kasztanowców kładą się w poprzek jezdni, przelatujący nad nimi biały motyl zmienia raz po raz barwę to na błękitną, to na różową.

W centrum miasteczka są konie z kamienia. Lwy strzegą wejścia do biblioteki. Ze szczytu fasady dworca kolejowego spogląda w dół granitowy jeleń.

W saloniku prasowym pali się światło i jest jasno jak na



zewnątrz. Sbamas wyjaśnia, że gazety wpadły mu do rzeki, i prosi jeszcze raz o te same. Jak zawsze woli nie wdawać się w konwersację, bo ta może zejść na temat zamordowanych kochanków. Są teraz na językach wszystkich i każdy po swojemu komentuje ich zniknięcie.

Odwracając się od lady, przyłapuje się na tym, że mimowolnie unosi wzrok nieco wyżej niż to konieczne, żeby przebiec nim po czasopiśmie wyeksponowanych na najwyższej półce. Wychodzi szybko, zamieniwszy ze sprzedawcą nie więcej niż dwa, trzy zdania. Stał się ostatnio małomówny.

Z gazetami pod pachą rusza w drogę powrotną. Zatrzymuje się przed kwiaciarnią, zwaną „La Primavera”, żeby popatrzeć na australijskie kwiaty o pręcikach jak szczoteczki i na gałązki eukaliptusa, których liście przypominają monety podrzucone przez kilku sędziów piłkarskich naraz; na szeroko rozwarte lilie o grubych, mięsistych płatkach; na rozkwitłe róże; gardenie; goździki czerwone jak rany po pociskach, epatujące bólem; na małe kwiatki o płatkach wielkości paznokietków jego wnuczka; słoneczniki, które zdają się płonąć; brzeg pochylonego obrazka rozpląszczonego na szybie niczym jakieś morski bezkręgowiec na ścianie akwarium; na liście wszelkich kształtów, każdy wyróżniający się spośród innych ząbkowaniem obrysu. Ruszając dalej, zauważa, że na wystawie stoją też róże koloru ubrania Surai...

Pozdrawia uniesieniem ręki hydraulika z Kalkuty, który na burcie furgonetki wymalował sobie sentencję: „Przejedli ci się kowboje, spróbuj z Indianami”. Byle się tylko nie zatrzymał

i nie wysiadł, żeby pogawędzić, myśli z duszą na ramieniu.

Podmuchy lekkiego wietrzyka muskają mu twarz.

Zmiennokształtne jak obłok stado gołębi krąży nisko nad ziemią, ich białe skrzydła mienia się barwami w świetle odbitym od kolorowych wystaw sklepowych i naraz układają na moment w twarze Chandy i Jugnu — falujące w powietrzu jak kartki na płynącej wodzie. Kochankowie są wszędzie, czają się.

Co do ojca Chandy Shamas pewności nie ma, ale jest przekonany, że matka na pewno nie wie, co się stało z jej córką i z Jugnu. Ze statystyk Ministerstwa Spraw Wewnętrznych wynika, że w ubiegłym roku za morderstwa skazanych zostało

stu szesnastu mężczyzn, a kobiet tylko jedenaście. Kobiety bywają z reguły ofiarami.

Kilka dni po oficjalnym stwierdzeniu zaginięcia kochanków, ojciec dziewczyny przyszedł do Shamasa i powiedział, że znane mu są plotki, jakoby on i jego rodzina byli zamieszani w zniknięcie Jugnu. Siedział w niebieskiej kuchni, pił herbatę, którą poczęstowała go Kaukab, i zarzekał się, że ani on, ani jego żona, ani synowie nie mają pojęcia, co się z Jugnu stało. Dziwne to jakieś było. Fakt, że Chanda również zniknęła, zdawał się temu człowiekowi umykać, a nawet jeśli nie umykał, to on jakby się losem córki nic przejmował i nie rozumiał, co komu do tego. On, jego żona i synowie poczuwają się tylko i wyłącznie do obowiązku odpierania podejrzeń, jakoby mieli coś wspólnego ze zniknięciem Jugnu; dziewczyna — córka swoich rodziców, siostra swoich braci — należy do niego, do nich, i mogli z nią zrobić, co im się żywnie podobało. Nieprawdaż? Czy mógłby — mogliby — liczyć na puszczenie całej sprawy w niepamięć, gdyby Jugnu odnalazł się jutro cały i zdrowy, a dziewczyna nie?

Zaraz jednak powstydział się tych myśli: przecież wie, że to tragedia dla rodziców z subkontynentu — a prawdę powiedziawszy, dla wszystkich rodziców na tej ułomnej planecie — kiedy ich córka żyje z kimś bez ślubu. Całkiem możliwe, że ojciec Chandy nie potrafił się zdobyć na wypowiedzenie jej imienia, bo się za nią wstydział, nie chciał łączyć córki z Jugnu nawet w ten sposób, nie czuł się na siłach kojarzyć ich ze sobą nawet werbalnie.

Shamas wyobraża sobie teraz te dwa imiona złane ze sobą i przeplecione jedno z drugim:

***C j h \_ a g n \_ , \_ d \_ u \_ a***

Shamas, chociaż rozumie zażenowanie ojca Chandy, to czasami podejrzewa, że ten zabrania żonie wyjawienia jakiegoś istotnego tropu. Wyczuwa tu fizyczną i psychiczną presję. „Trzymaj gębę na kłódkę! Jesteś zwyczajną *haramzadU* kobietą! Siedziałaś cicho jak ta *kandzri*, kiedy powinnaś była zabierać głos i wychowywać jak należy swoją *badma.ś kutija* córkę, a teraz nie potrafisz utrzymać języka za zębami!”.  
To całkiem

możliwe, choć może się wydawać groteskowe; to zdarza się na co dzień w milionach domów jak świat długi i szeroki, od osad po wielkie metropolie. Czyż sam nie spoliczkował kiedyś przed laty Kaukab? Nigdy nie zapomni, jak włóczył ją wtedy w ślepej furii po pokoju, aż spod porwanej bluzki wyłoniła się naga pierś przeorana krwawymi bruzdami po jego paznokciach.

Zdarzyło się to w 1974 roku, po przyjściu na świat najmłodszego, Ujali. Kaukab wróciła ze szpitala. Był piękny kwietniowy dzień, słońce zalewało ulice niczym świeża powłoka metalicznego lakieru. Dwoje starszych dzieci, którym pod nieobecność matki palce u rąk pozłocpiały się niemal od toffi, a u nóg zarosły brudem, obejrzało niemowlę i orzekło, że z tą spiczastą pośrodku górną wargą jest podobne do żółwia, że ma kolor mandarynki, a w zaciśniętych mocno piąstkach trzyma pewnie monety.

Cały dom szybko przesiąkł silnym intymnym zapachem niedawnego porodu wydzielanym przez matkę i dziecko — był jak żar upału lgnący do trotuarów jeszcze długo po zachodzie słońca. Ujala przyszedł na świat w połowie kwietnia, kilka dni przed początkiem muzułmańskiego miesiąca ramadanu. Ludzie walili drzwiami i oknami, żeby go obejrzyć, bo szybko rozniosła się wieść, że jest dzieckiem błogosławionym, które wyrośnie na szczególnie pobożnego muzułmanina: był jednym z tych nielicznych chłopców, którzy rodzą się bez napletka, a muzułmanie wierzą, że takie dzieci zostały przez Allana namaszczone do prowadzenia przykładowie cnotliwego życia na ziemi.

Shamasa te odwiedziny i odwiedzający przyprawiały o ból głowy. Za to Kaukab po wydaniu na świat Ujali jakby urosła o kilka pięt.

— Któż, jeśli nie córka imama, miałaby dostąpić takiej łaski — powiedziała z zachwytem i przejęciem jedna z odwiedzających, swatka. — Znam jednego chłopca z Peszawaru, który się taki urodził. Pamiętam kołysankę, którą śpiewała mu matka: „O mamki, które mleko macie zbyt białe i słodkie, odstawcie go czym prędzej od piersi, bo czarne serca niewiernych królów będą mu posiłkiem”. Chłopiec w wieku trzech lat znał na pamięć cały Koran, a mając pięć, uczył dzinny arabskiego. Za jego sprawą wiele rozwiązywałych dzinnów przeszło na islam.

Ale wychodziło na to, że anioły zapomniały o noworodku, bo mniej więcej w drugim tygodniu życia zaczął podupadać na zdrowiu: stawał się coraz bardziej apatyczny i słabł w oczach, aż w końcu nawet płakać nic miał już sił. Z upływem dni, pomimo regularnego karmienia piersią, tracił na wadze, a powtarzające się infekcje, na które nie pomagały przepisywane lekarstwa, zaczęły niepokoić lekarzy. Pewnego popołudnia, po karmieniu, Kaukab położyła go obok Shamasa. Shamas pochylił się nad małym, miękkim ciałkiem synka i pogłaskał go po główce. Kępka krótkich włosków na ciemączku przypominała w dotyku meszek. Kiedy palec serdeczny Shamasa musnął wargi malca, ten zaczął go łapczywie ssać i wszystko stało się nagle jasne. Shamas przeszedł na drżących nogach do kuchni. Kaukab przygotowywała lunch dla dzieci, nad patelnią, niczym poranna mgła nad stawem, unosiła się blada para.

— On wciąż jest głodny, Kaukab.

— Dziwne. Dopiero co go karmiłam.

— - Może byś jeszcze raz to zrobiła. Ssał mój palec, szkoda, że nie widziałaś, jak zareagował, kiedy przyłożyłem mu go do ust. Jak ostami zamorck.

— Nie mam już pokarmu. Przed chwilą odstawiłam go od piersi.

— A lekarstwo mu dałaś? — Ciemne plamy latały mu przed oczyma, miał wrażenie, że mdleje.

— No przecież.

Zaciskał w pięści i rozluźniał zimne dłonie.

— Bo tak sobie pomyślałem, czy ty aby nie zapomniałaś; pościłaś, a poszczających pamięć czasem zawodzi. A może i dziecku aplikujesz post? Nic mu nie dajesz — ani mleka, ani wody, ani lekarstwa — od świtu do zmierzchu?

— Nie wiem, co ci chodzi po głowie. I nie podnoś głosu, proszę.

— Chodzi mi po głowie, że zmuszasz dziecko — swoje *święte* dzieciątko — do przestrzegania ramadanu. Głodzisz go za dnia.

— Nawet gdyby tak było, a nie jest, to dlatego, że on tego chce. Póki widno, nie weźmie nic do ust. I nie naigrywaj się z mojej wiary; to wybrane dziecko. Nie możesz się już po-

wstrzymać od wygłaszania pod tym dachem herezji? Że też mój ojciec-ji musiał mnie wydać za komunistę.

— Zejdź z obłoków na ziemię i natychmiast daj mu mleka. — Starał się mówić spokojnie, bo wyczuwał obecność dwójki starszych dzieci — dziewięcioletniego Charaga i czteroletniej Mah-Jabin - na schodach przy kuchni. Przed chwilą sturlał się po nich cukierek w żółto-zielone paski, wielkości jajeczka wróbla. Musiał wypaść z ręki któremuś z nich... Tak, byli tam na pewno i podsłuchiwali.

— A właśnie że nie dam. To moje mleko. Zawiesimy oboje post po zachodzie słońca. To tylko pewne przesunięcie w harmonogramie, w nocy damę mu tyle, ile potrzebuje.

— Ktoś ci uszy ukradł? Powiedziałem, natychmiast. — Świat nabrał ostrości, raził oczy jaskrawymi kolorami.

— Nie. Przed chwilą go karmiłam i nic mi już nie zostało.

— Pokaż. — Patrzyli na siebie dopóty, dopóki nie przestali się nawzajem poznawać. A wtedy chwycił oburącz za dekolt jej *kamis* i rozrywając materiał, odsłonił nasiąkły wilgocią biustonosz. Zaczął go szarpać na wszystkie strony, aż oderwał jedną z miseczek i zwartość opadła, podrygując niczym piłka na gumce. Przeciągnął zapierającą się Kaukab do sąsiedniego pokoju i lam przeniósł owinięte w biały kocyk dziecko z łóżka na kolana matki, która siedziała bez ruchu na podłodze z obnażoną piersią, noszącą krwawe ślady jego paznokci. Kaukab była najwyraźniej w szoku i nie zareagowała, nie uniosła niemowlęcia do czekoladowej sutki z niebieskawą kropelką mleka na czubku. Wymierzył jej siarczysty policzek.

— Karm go, ty *haramzadi*

Błada para nad pozostawioną na ogniu patelnią ściemniała i po domu rozpełzły się wici czarnego, duszącego dymu. Shamas wrócił do kuchni, żeby zakręcić gaz. Swąd spalenizny wyparł cytrynoworóżaną woń, którą zaczęła wydzielać pelargonia, kiedy w trakcie szamotaniny strącili ją z kuchennego parapetu. Przekręciwszy kurek, odwrócił się i zamarł na widok wchodzącej za nim do kuchni Kaukab. Jej szeroko rozwarte oczy miały wielkość listków róży, pozostawione w pokoju dziecko płakało. Czuł, że niedowierzanie i rozpacz przybierają na sile, zaczynają żyć własnym życiem i traci nad nimi kontrolę. Był jeszcze

sobą, ale z każdą chwilą coraz mniej. Chwycił ją za przegub, żeby zaciągnąć z powrotem do niemowlęcia, ale jednym szarpnięciem uwolniła się z jego uścisku. Zataczając się jak ktoś brnący pod wiatr, dowlokła się do ziewu i zaczęła myć ręce.

Kroiła wcześniej papryczki chilli i nie chciała dotykać tymi rękami dziecka.

Wzięła potem niemowlę, przytuliła je, ukołysała. Skrzywiła się, kiedy zaczęło ssać, karmienie piersią zawsze sprawiało jej ból.

Przez następne sześć czy nawet siedem miesięcy nie odzywali się do siebie. W końcu Shamas uznał, że dalej tak nie można. Wysłuchała jego przeprosin, wysłuchała sugestii, że on też takich od niej oczekuje, a potem, na znak, że mu nie wybacza i sama też ani myśli prosić o wybaczenie, spaliła swoją ślubną suknię, na której przed laty wyhaftowała jego wiersze.

Tydzień później wyprowadził się z domu i wynajął mały pokoik po drugiej stronie miasteczka. Każdego miesiąca wysyłał jej pocztą większą część pensji. Tak minął rok, drugi, potem połowa trzeciego. Żył byle jak, popadł w abnegację i bywało, że przez kilka dni z rzędu do nikogo się nic odezwał. Jego świat skurczył się do tego stopnia, że za nieboskłon starczyłaby mu połówka wydmuszki jajka.

Widывał się z żoną i dziećmi sporadycznie, to spotykając któreś przypadkiem na ulicy, to znów, po stoczeniu ze sobą wewnętrznej walki, odwiedzając ich w domu. Któregoś dnia, zauważywszy Kaukab wspinającą się po schodach, zamknął się od środka na klucz i udawał, że go nie ma; dobijała się do drzwi tak natarczywie, jakby wyczuwała jego obecność, i w końcu, nie widząc innego wyjścia, zawołała przez, łyzy, że przyszła go powiadomić, że w Sohni Dharti umarła jego matka.

Chociaż przez ponad godzinę płakali objęci i chociaż żegnając się z nią, zapewniał, że przed końcem tego tygodnia wróci do niej i do dzieci, to upłynęło kilka miesięcy, a on wciąż nie potrafił się przemóc. Pewnego śnieżnego marcowego dnia 1978 roku zaszedł do małego sklepu z owocami morza, w którym niedawno podjęła pracę, żeby przekazać jej swoją wypłatę; wybrał taką porę, kiedy nie powinno jej tam być — o przekazanie koperty z pieniędzmi poprosi kogoś z innych pracowników

sklepu. Za ladą nie było nikogo, usiadł więc, żeby poczekać w ciepło. Dzień na zewnątrz był bieluśki jak niezapisana kartka, z okapów zwisały sople długości włóczni. Zdrzemnął się i przyśniło mu się, że sklep zmienia się w kalejdoskop wypełniony czarno-kobaltowobłękitnymi okruchami, a odbite od nich światło pada zmieniającymi się wciąż wzorami na wszystko, z nim włącznie.

Pobrzeżki wydostały się ze swojego zbiornika.

Instynkt podpowiadał im, że zbliża się pora posiłku; na odległym o sto mil wybrzeżu zaczynał się przypływ i wszystko, co żyje, wyłaziło spod piasku, by pożywić się tym, co przyniesie morze. Małe ślimaki ze sklepu z owocami morza za krótko przebywały z dala od plaży, by zdążyć im się przestawić zegar biologiczny. Do tej pory pozostawały w bezruchu, tak jak czyniły to w swoim naturalnym środowisku, czekając zagrzebane w norkach na przypływ. Teraz wyruszały na żer.

Drugi świat planety, ten bezmiar ożywionej przyrody, dla którego rodzaj ludzki jest mało znaczącym marginesem, przebił się do świata zamieszkanego przez ludzi.

Shamas przyglądał się otaczającym go granatowym jak nocne niebo stworzeniom. Przypływ zaczynał się daleko stąd, ale morze wdzierało się tutaj, do tego pomieszczenia. Patrzył, jak piękne lazurowe stworzonka opuszczają zbiornik, *wspinają* się na ściany, rozpełzają po okiennych szybach niczym dziecięce oko, które tracąc koncentrację, zaczyna błędzić po stronicy podręcznika, malują wilgotne ślady na liściach roślin jak język na skórze kochanki, i wdrapują się na stoły, by kontynuować swoje powolne podróże.

Z zaplecza wyszła ekspedientka, która przypomniała sobie poniewczasie, że przed godziną odpływu zbiornik trzeba nakryć wiekiem.

Wręczywszy Shamasowi list, który zostawiła dla niego Kau-kab, zaczęła się krzątać w sklepie. Zbierając po kątach niebieskie ślimaki, spytała Shamasa, czy chce zostawić u niej kopertę z pieniędzmi, ale on odparł, że nie ma takiej potrzeby, po postanowił właśnie wrócić do Kaukab na dobre.

Pomógł kobiecie pozbierać z zimnych szyb stęsknione za plażą stworzonka i dopiero kiedy wszystkie znalazły się z po-

wrotem w zbiorniku, zerknął na list — był od Jugnu; Jugnu pisał, że nosi się z myślą wyjazdu z Ameryki i zamieszkania w Anglii, że wczesną wiosną powinien być już z nimi. Shamas wsunął rękę za pazuchę płaszcza, schował list do ciepłej kieszonki na piersi wypłowiałej różowej koszuli i prowadzony przez białe widma zaśniewanych ulic pomaszzerował z powrotem do Kaukab, Charaga, Mah-Jabin i Ujali.

Wracając do domu z nowym plikiem sobotnich gazet, po raz drugi wkracza na most. Patrzy na wodę. Wschód słońca ma barwę miąższu owocu, jest jasny i soczysty. Czuje na twarzy rozrzedzone poranne powietrze, niespokojne i lotne jak przed burzą.

To tutaj spotkał Surayę. Wącha palce, żeby sprawdzić, czy zachował się na nich jeszcze zapach jej apaszki, ale czuje tylko zapach gazet, Ciekawe, czy Suraya przyjdzie po południu do „Safiny”?

Rzeka płynie. Od tamtego styczniowego poranka Poorab-ji ze świątyni Ramy i Sity tam w dole, nad brzegiem, dwa razy już go odwiedzał. Był dobrym człowiekiem, miłym i przyjacielskim, ale mimo to Shamas zraził się do niego przed kilkanaście laty, kiedy spotkali się przypadkiem właśnie tutaj, na tym moście. Była niedziela i ulicą nadciągnęła grupka sobotnich balangowiczów - młodych białych kobiet i mężczyzn zalatujących alkoholem, włosy rozwichrzone, ubrania w nieładzie — wracająca z jakiejś zakrapianej imprezy, która przeciągnęła się do białego rana. Pijani wciąż chłopcy gonili piszczące dziewczęta, krzyków i wrzasków było co niemiara. Wyraz niesmaku — wręcz odrazy — na twarzy Poorab-ji zaskoczył i rozczarował Shamasa. Wychodziło na to, że Poorab-ji dostrzega w zachowaniu tej młodzieży ostentacyjną, plugawą rozwiązłość, wyuzdanie, sprośność, podczas gdy dla niego, Shamasa, nie było nic piękniejszego niż ci młodzi ludzie borykający się z przeciwnościami losu, pełni nowych wątpliwości i niepewności, szukający pocieszenia w towarzystwie rówieśników.

*A jeszcze cudowniejsze prześcieradło na dwojgu kochanków w łóżku.*



Wchodzi do domu i widzi, że Kaukab już wstała, bo na blacie stołu lśni w blasku poranka wilgotny krążek pozostawiony przez spód filiżanki. Tak samo lśniły w słońcu łzy na twarzy matki Chandy, kiedy ta zaczepiła go wtedy na moście.

Wysuwa szufladę kuchennego kredensu i sprawdza, czy Kaukab zażyła swoje pigułki i tabletki; podobno matka Chandy, po zniknięciu Chandy i Jugnu „zwyczajnie dała za wygraną”, przestała jeść, przyjmować lekarstwa; i czasami nachodzi go obawa, że Kaukab, idąc w jej ślady, też zacznie zaniedbywać swoje kolano i ciśnienie. Uspokojony, ostrożnie, żeby nie zagrzechotały, odstawia buteleczki z pastylkami.

Kaukab wchodzi do kuchni. W ręku trzyma różaniec z paciorkami wielkości pigułek — swoje osobiste lekarstwo.

— Wydawało mi się, że ktoś wszedł. Z tymi drzwiami coś dziwnego się ostatnio porobiło, nie zauważyłeś? Skrzypną, a człowiek od razu myśli, że to Chanda i Jugnu wracają.

Jugnu kojarzy się zawsze Kaukab we wspomnieniach z ćmami i motylami, tak jak Charag — jej syn artysta — z podpisami, które pozostawia w wilgotnych jeszcze warstwach farby w narożnikach swoich płócien.

— Stłukłem rano filiżankę — mówi Shamas — wyśliznęła mi się z rąk. Wydaje mi się, że pozbierałem z podłogi wszystkie skorupki, ale nic chodź lepiej boso, zwłaszcza... tutaj i... o, tam.

— To była ostatnia z tego serwisu, który na samym początku kupiłam. — Kaukab unosi pokrywkę kubła na śmieci i rzuca okiem na okruchy porcelany. — Pamiętam, z jaką niechęcią go kupowałam, bo myślałam, że zostanie tutaj, w Anglii, kiedy przyjdzie nam wracać do kraju. Wyrzucanie pieniędzy w błoto. Wstrzymywałam się wtedy z wszelkimi zakupami, bo mieliśmy tu zostać tylko jakiś czas. Ale sprawy nie ułożyły się po naszej myśli. Tyle lat minęło, a my wciąż tutaj. Hazrat Ali, niech łaska Ałłaha zawsze z nim będzie, mawiał, że Allaha rozpoznaje się po zgliszczach, w jakie obracają się plany życiowe. Shamas wzdryga się, a potem mówi: — Dzisiaj w nocy śniło mi się, że przeprowiam się przez Chenab do Sohni Dharti.

— A mnie już trzecią noc z rzędu się śni, że pielgrzymuję do Mekki i chociaż widzę miasto na horyzoncie pustyni, to ono

nic a nic się nie przybliża. I zawsze się budzę, zanim do niego dojdę.  
— Głos grzęźnie jej w krtani. -Każdej nocy kładę się spać, prosząc Go, żeby pozwolił mi dojść we śnie do świętego miasta, ale nadaremno.

— Myślałaś o odwiedzeniu Pakistanu?

— Owszem, z wizytą możemy się wybrać, ale na stałe tam nie zostanę, chociaż niczego bardziej nie pragnę. Nienawidzę tego kraju tutaj, jak niczego na tej planecie, ale nie przeniosę się do Pakistanu, dopóki moje dzieci będą tu mieszkały. Ten przeklęty kraj odebrał mi dzieci. Mojego Charaga, moją Mah--Jabin, mojego Ujalę. Ilekroć wyjechali, wracali obrońnięci nowym nalotem obcości, aż w końcu przestałam ich poznawać. Synowie i córki na wieść, że matka umiera, powinni natychmiast do niej przyjechać i prosić o umorzenie długu, jaki wobec niej mają, długu, który zaciągnęli, ssąc jej mleko. To jej przywilej i prawo. Dla człowieka, któremu matka umarła pod jego nieobecność, nie ma nic straszniejszego, niż dowiedzieć się, że nikt jej nie spytał, czy umorzyła mu dług mleka; dziecko powinno ją błagać, by zdjęła mu z duszy ten ogromny ciężar. Nic spodziewam się, żeby któreś z moich dzieci to zrobiło, kiedy wybije moja godzina. Może AUah karze nas w ten sposób za to, że przed laty zostawiliśmy swoich rodziców w Pakistanie i wyjechaliśmy do Anglii. - Kręci głową i po chwili milczenia pyta: - Coś tak długo marudził z tymi gazetami? Salonik był jeszcze zamknięty czy znowu naszła cię ochota na spacer?

Shamas czuje się jak złodziej przyłapany na gorącym uczynku.

— Tak, salonik był jeszcze zamknięty — wyrzuca z siebie w panice. „To do zobaczenia po południu w księgarni”, powiedziała Suraya, kiedy się rozstawali.

Nic, nie pójdzie dzisiaj do księgarni. Nie chce mu się wierzyć, że przed chwilą okłamał Kaukab, i nie rozumie, dlaczego to zrobił.

Kaukab rusza ku schodom.

— Nie przeniosę się do Pakistanu. Jak wyglądałoby tam moje życie? Dzieci w Anglii, ja w Pakistanie, moja dusza w Arabii, a serce... — Zawiesza na chwilę głos, a potem kończy: — A moje serce tam, gdzie są teraz Jugnu i Chanda. -

Składa tę ostatnią deklarację ze łzami w oczach, wiedząc, że z miny Shamasa wyczyta zaraz pytanie: „Doprawdy?”. Zdaje sobie sprawę, że nikt nie uwierzy, że naprawdę brakuje jej Jugnu i że modli się bez przerwy o jego szczęśliwy powrót. Gdyby uprawomocnił swój związek z tą Chandą w oczach Allana i Jego ludu, to co innego. A skoro tak się nie stało, to jedynym sposobem na przekonanie ludzi, że tęskni za Jugnu, byłoby chyba wyparcie się Allana i Jego nauk, uznanie, że to, co robili za ścianą Jugnu z Chandą, nie było grzechem. Ale jak tu wyprzeć się Aflaha?

Kaukab wchodzi na górę, a Shamas opada na fotel. Próbuje przywołać z pamięci twarz Surai. Czy nie przypomina trochę młodszej Kaukab, tej, którą poślubił jako młody poeta z Lahau-ru? Nie pamięta, czy powiedział jej, jak ma na imię, kiedy mu się przedstawiła. I nagle robi mu się wstyd za te absurdalne myśli. Stary a głupi. Ale wyglądało na to, że wpadł jej w oko. Podobnie jak wszyscy mężczyźni, widuje na co dzień inne kobiety, które mu się podobają, ale na odnotowaniu tego faktu, na oddaniu sprawiedliwości ich urodzie się kończy, bo musi się skończyć — one po prostu nie przejawiają zainteresowania jego osobą. Bo i czym tu się zachwycać? Dzisiejsze poranne spotkanie też puściłby w niepamięć, ale jej wyraźnie zależało na nawiązaniu znajomości. Szkoda, że nie ogolił się rano przed wyjściem. Nie, nie, to czyste szaleństwo. Tak właśnie rodzą się sztubackie zadurzenia — on już na to za stary. Jest od niego dużo młodsza, o dobre dwadzieścia pięć lat — przyszła pewnie na świat, kiedy on miał dwadzieścia kilka i pisał miłosne wiersze. Bierze głęboki wdech. Musi się wziąć w garść. Nie, nie pójdzie dzisiaj po południu do „Safiny”.

Ta stanowcza decyzja przynosi mu ulgę. Cichym chichotem kwituje swoje nedorzeczne rojenia i brzemień świata spada mu od razu z barków. W jednej z pozostałych po Jugnu książek o motylach ukrył w zeszłym roku karteczkę z numerem telefonu jakiejś prostytutki, który przepisał z kolumny ogłoszeń towarzyskich w „Aftemoon”; sięga teraz po tę książkę, znajduje karteczkę, ale po chwili, zażenowany, drze ją na strzępki. Kartkuje książkę, szukając czegoś, co skierowałoby myśli na inne tory i uspokoiło. „Jest motyl, który nazywa się śpiąca

pomarańcza... W syberyjskiej tundrze i w Himalajach występuje motyl o nazwie mapa, a na wyspach Azji Południowo-Wschodniej ćma atlas... I inne nazwy, jeszcze dziwniejsze: Jednym z najrzadszych klejnotów planety jest motyl żyjący wśród zalesionych wzgórz otaczających Sikkim, zwany Kajsar-e Hind, cesarz Indii...". Przypominają mu się czasopisma, o które niby to od niechcienia zahaczył wzrokiem w saloniku prasowym. Może by tak wsiąść do autobusu, pojechać do innej dzielnicy i kupić kilka takich świerszczyków? Gdyby Kaukab je odkryła, powie, że pewnie należały do któregoś z chłopców. Ale co będzie, jeśli wpadną jej w oko wydrukowane na okładce daty? I płonie ze wstydu, przypominając sobie, jak przed dwoma laty, spragniony do bólu kobiety, zaczął przeszukiwać pokoje, które w okresie dorostania zajmowali synowie; zaglądał pod dywany, macał podłogę, sprawdzając, czy któraś z desek nie jest czasem obluzowana, wsuwał rękę pod materace, a nuż któryś z nich zapomniał wyrzucić jakiegoś świerszczyka.

## *Hiraman — papuga z różową kryzą*

Tafla jeziora ma przygaszony połysk starego atłasu. Suraya, stojąc na ksylofonowym nabrzeżu, odczytuje imiona i inicjały, które zakochani wycięli w drewnie w języku urdu, hindi, bengalskim, jak również angielskim. Wydłubane kropki mają wielkość doleczków w policzkach lalki. Drewno jest tak wygładzone, że aż aksamitne w dotyku.

Dżdżysty wczesnowiosenny świt, niedziela, szmaragdowoszara godzina i natura u szczytu swej kreatywności. Trzeba jej było przyjść tu wczoraj po południu do „Safiny”, tak jak obiecała tamtemu mężczyźnie na moście; ale zabrakło jej odwagi. Do tej pory jej wstyd, że podeszła przed kilkoma tygodniami do tamtego młodego artysty. Dzień wcześniej wypadały urodziny jej synka, którego zostawiła w Pakistanie, i naszło ją takie pragnienie, by zmienić swoją sytuację, polecieć tam i połączyć się znowu ze swoim synkiem i mężem, że była już gotowa na wszystko. Przez całą noc płakała targana lękiem i wątpliwościami, litując się nad samą sobą, a kiedy przysypiała, śniły jej się koszmary, i tuż przed świtem zanurzyła się w chłodnych wodach jeziora.

Zapach sosen przesyca powietrze. Materialny świat zdaje się rozpływać, pozostaje po nim tylko światło i atmosfera — świat ulepiony niemal z niczego.

Suraya podchodzi do miejsca, w którym zagadywała wtedy młodego mężczyznę. Na brzegu Jeżą podeschnięte, poskręcane skórki pomarańczy. Ich kolor jest jeszcze przytłumiony. W takie wiosenne świty barwy rodzą się długo i powoli.

Z kandydatów przedstawionych jej do tej pory przez swatkę żaden nie wydaje się odpowiedni. Większość to nielegalni emigranci albo poszukiwacze azylu, którzy chcą się z nią ożenić, żeby zalegalizować swój pobyt w Wielkiej Brytanii. A spośród pełnoprawnych obywateli mało który kwapi się zawierać tymczasowe małżeństwo; ci zaś, którzy byliby do tego skłonni, ślinią się na jej widok obleśnie, z czego jasno wynika, że spodziewają się poużyć wać sobie na niej jak na kupionej na parę dni prostytutce.

Swatka mówi, żeby nie podupadała na duchu.

— Widziałaś, jak mężczyźni na ciebie patrzą? Hindusi, Pakistańczycy i biali, i czarni — ha, mogą sobie pomarzyć. Oczu nie mogą od ciebie oderwać. Nie, nie jesteś za stara. Niektóre białe kobiety w twoim wieku nadal są pannami.

Suraya podchodzi do wody i myje ręce. Była właśnie na grobie matki z torbą ziemi doniczkowej i dwoma tuzinami tulipanów. Matka, uczestnicząc zeszłej jesieni w pielgrzymce do Arabii Saudyjskiej, nabawiła się zapalenia opon mózgowych i Suraya przyjechała specjalnie z Pakistanu, żeby się nią opiekować. Była już wtedy kilka tygodni po rozwodzie i mąż postanowił, że po śmierci matki powinna zostać w Anglii: „Wyjdź tam za kogoś za mąż, rozwiedź się i wracaj. Czuję się upokorzony, gdybyś poślubiła kogoś tutaj, bo nie chcę widzieć, jak inny mężczyzna dotyka mojej żony, kobiety, którą kocham”. Sprzeciwiała się temu pomysłowi, bo nie chciała rozstawać się z synkiem, ale w końcu ustąpiła. Mieszka teraz w domku, który odziedziczyła po matce.

Allah ustanowił, że mężczyzna może pojąć za żonę każdą kobietę, która nie jest z nim blisko spokrewniona. Tak więc, w myśl mużulmańskiego prawa, karą, jaką musi ponieść mąż Surai za to, że się upił i że nie potraktował sprawy rozwodu z należytą powagą, jest to, że wolno mu się ożenić z każdą kobietą, tylko nie z nią. Była żona jest owocem zakazanym dla niego, ale nie dla innych mężczyzn — to jego pokuta. Ale Allah jest miłosierny dla swojego stworzenia! Nie staje się ona dla niego owocem zakazanym na zawsze; jeśli kobieta, z którą mąż pochopnie się rozwiódł, spełni wymóg, który musi spełnić Suraya, to ten mąż może ją pojąć ponownie. Bezgraniczne

jest miłosierdzie Allana wobec swego stworzenia. Surai przychodzi czasem do głowy, że Allan nie jest tak samo łaskawy dla biednej kobiety, która nie z własnej winy musi przechodzić przez kolejne małżeństwo. Zupełnie jakby ustanawiając niektóre ze swych praw, zapomniał, że na świecie są też kobiety, ale odpędza te myśli, jak na dobrą muzułmankę przystało.

Ciekawe, kiedy rozkwitną te tulipany. Matka życzyła sobie mieć tulipany na miejscu swego wiecznego spoczynku; mówiła dlaczego, ale Surai zupełnie wyleciało to z głowy. Posadziła w idealne rzędkie wszystkie cebulki prócz jednej, bo matka mawiała zawsze, że tylko Allah jest doskonały i należy mieć to na uwadze, cokolwiek się robi, że należy z rozmysłem wprowadzać jedną małą, nierzucającą się w oczy wadę do wszystkich swoich poczynań. „Cesarz Szahdżahan dopilnował, żeby w Tadź Mahal był jeden błąd konstrukcyjny — minarety odchylają się tam od pionu o trzy stopnie”, mówiła.

Kiedy zapalała pierwszą lampkę, rozpadało się — był to nie tyle deszcz, co mglista mżawka, która nie wybijała nawet werbla o naprężony jak skóra na bębnie nylon rozpiętej parasolki — ale teraz już nie pada; gdyby spojrzała w niebo, do oka nie wpadłaby jej ani jedna kropelka dżdżu. Jezioro obiegają koncentryczne kręgi wielobarwnego piasku, kamyków i nieco wyżej sosen; a woda łagodnieje podgryza. Suraya odwraca się i rusza w kierunku baraku otoczonego klonami. Po bocznej ścianie budynku rozpełzł się na wszystkie strony bluszcz, można by pomyśleć, że ktoś rozbryztał na niej puszkę zielonej farby. To urdyjska księgarnia. Suraya zagląda przez okno. Jak miał na imię ten mężczyzna, którego spotkała wczoraj na moście? Czy był muzułmaninem? Znak nad wejściem namalowano ciemnoczerwoną farbą jak krew delfina: przedstawia łódkę i dwa wiosła leżące w niej obok siebie jak mąż i żona.

Suraya powtarza sobie po raz nie wiadomo który, że nie wolno jej się użalać nad swoim losem; na tym życie się jeszcze nie kończy, to tylko rozdział.

Shamas idzie do „Safiny”. Mżawka już ustała. Kępka wilgotnych trzcin nad brzegiem jeziora rozsiewa wokół zielone

refleksy — każda to skrzydło gigantycznego pasikonika. Księgarnia pomalowana jest na ciemny brąz, kolor ostrych przypraw. Na początku — dwadzieścia lat temu — stało w niej tylko kilka pudeł z książkami. Poza tym same pająki i poprowadzone wierzchem kable instalacji elektrycznej, ale powoli wysprzątano tu i położono tapetę w splątane gałązki i jelenie z zadami przypominającymi puszek do pudrowania. Ściany były przedtem dziurawe i popołudniami do środka wlewały się zakurzone smugi słonecznego światła. Dach przeciekał czasami jak gąbka.

Ale właściciel był wielbicielem książek i ludzie żartowali, że gdyby ktoś go o to poprosił i dał odpowiednio dużo czasu, wygrzebałby mu spod ziemi nawet pierwsze wydanie Koranu.

Shamas spogląda w niebo. Zapowiada się jeden z tych póź-nowiosennych angielskich dni, kiedy trudno określić temperaturę: na słońcu gorąco, w czterech ścianach chłodno.

Właściciel „Safiny” pod koniec ubiegłego roku wybrał się do Pakistanu wyjaśnić na miejscu jakieś nieprawidłowości z rozliczeniem pieniędzy, które przez dziesięć lat z okładem wysyłał siostrzeńcom z przeznaczeniem na zakup ziemi i posiadłości, i umarł tam. Krewni powiadomili telefonicznie żonę tutaj, w Anglii, że została wdową, dopiero trzy dni po pogrzebie. Niewykluczone, że został otruty; zdarzały się ostatnio przypadki, że osoby jadące z Wielkiej Brytanii do Pakistanu w celu wyjaśnienia spraw finansowych były tam mordowane i grzebane przez krewnych i współników w interesach, którzy sprzeniewierzyli, przywłaszczyli sobie albo roztrwonili przysyłane im pieniądze.

Wdowa dała Shamasowi klucze do „Safiny”, kiedy obiecał, że w każdy weekend będzie otwierał księgarnię na kilka godzin aż do wyprzedania całego asortymentu; później zamierzała sprzedać barak.

— Miejsca trzeba mi tylko tyle, żeby było gdzie rozwinąć dywanik modlitewny, bracie-ji — powiedziała, machając z rezygnacją ręką.

Słońce jest blade, ocieka srebrem. Powietrze pachnie porankiem, wilgotnym światłem dnia. Tu i ówdzie zapalają się cytrynowożółte mlecze, za godzinę będzie ich mrowie. Shamas podchodzi do „Safiny” i przystaje. Ktoś... — to Suraya —



zagląda przez okno do środka, włosy ma związane tamtą czerwoną apaszką, szlaczek z niebieskich rombów skrzy się w promieniach wstającego słońca jak rząd klejnotów, zdaje się żyć.

Przepraszam, ale nie mogłam wczoraj przyjść, panie... panic... — Musi się dowiedzieć, jak ma na imię, po tym pozna, jakiej jest wiary.

— Shamas.

A więc muzułmanin. Zerka na jego palec serdeczny, obrączki nie widzi, ale to jeszcze o niczym nie świadczy, bo zwyczaj noszenia obrączki ślubnej nie jest na subkontynencie przestrzegany.

Musi go jakoś zatrzymać, dowiedzieć się o nim czegoś więcej. Nie orientuje się pan czasem, czy to tutaj policja znalazła przed paroma tygodniami ludzkie serce? Podśluchałam w sklepie rozmowę dwóch dziewczynek. Podobno kiedy dzieci, które je znalazły, trąciły je patykiem, zabiło jeszcze kilka razy. Ach, ta dziecięca wyobraźnia! — Może usłyszysz teraz z jego ust jakiś komentarz, z którego dowie się, czy ma dzieci.

— Nie, to było na tamtym brzegu, nad rzeką, niedaleko mostu, na którym się pierwszy raz spotkaliśmy, niedaleko miejsca, gdzie mieszka ten pszczelarz, od którego sułtan Omanu odkupił czterdzieści królowych pszczół i sprowadził do kraju wycarterowanym samolotem. Zasmakował mu ich miód, którego skosztował podczas pobytu w londyńskim hotelu.

Suraya kiwa głową. Otacza ich późnowiosenny, zielonobłękitny świt, w górze przestwór nieba, pod nim młodziutkie liście, które wydają się świecić. Nie, on jest zbyt wyniosły i dystyngowany, żeby się nią zainteresować. Na pewno nie jest robotnikiem ani taksówkarzem, bo dłonie ma delikatne i niemal różowe.

— Tak — ciągnie mężczyzna — to serce znaleziono po tamtej stronie. Należało do zmarłej matki pewnego młodego białego mężczyzny, który wykradł je ze szpitala, bo nie chciał, żeby zostało przeszczepione jakiemuś czarnemu.

To szokująca informacja i Suraya zdaje sobie z tego sprawę, jednak od kilku miesięcy, zaabsorbowana własnymi zmart-

wieniami, jest trochę zubożyła na świat, wskutek czego napływające z niego wieści — choćby najbardziej wstrząsające czy poruszające — docierają do niej jak przez mgłę. Nie pamięta też, kiedy ostatnio było jej dobrze, kiedy odczuwała tę czystą przyjemność, która jest balsamem dla duszy, taką jak wtedy, gdy brała synka w objęcia i wtulała nos i usta w jego mięciutką szyję, albo kiedy baraszkowała z nim na podłodze rada, że nie jest dziewczynką, bo z dziewczynkami trzeba postępować delikatniej; pamięta, jak jej matka brała się pod boki i w ostrych słowach upominała ojca, żeby nie bawił się tak żywiołowo z córeczką, bo może wyrządzić „nieodwracalną szkodę jej intymnym częściom”, tyle razy już mu powtarzała. „Jeśli kwiat straci płatek, to ten już nie odrośnie!”.

Dziękuję Allanowi, że nie ma córek.

Tęsknota za synkiem jest tak dojmująca, że zeszłego miesiąca, kiedy w szarówce przedświt pływała w jeziorze, nasza ją w pewnej chwili pokusa, żeby się poddać, opaść na dno i pozwolić wodzie wyssać z siebie życie na oczach jasno świecącego księżyca. Jeśli w najbliższym czasie nic się nie zmieni, myśli teraz, to może jeszcze tak zrobię i martwa będę się unosiła nad wciąż bijącym sercem olbrzyma w kształcie litery X. Pamięta z dzieciństwa, jak kobiety mówiły, że to jezioro żąda co sześć lat ofiary. Ciekawe, ile lat upłynęło od ostatniego utonięcia?

— Moja córka — ciągnie mężczyzna — myślała, że to serce jej zamordowanego wuja.

Dopiero po paru chwilach do Surai dociera znaczenie jego słów. Wstrząs jest tak wielki, że podrywa ręce do piersi — to niemal cios w serce.

— O Allahu!

— Przepraszam — bąka speszony mężczyzna. — Nie chciałem pani przestraszyć, proszę mi wybaczyć.

— Kiedy to się stało? Niedawno?

— Tak. Proszę mi wybaczyć. Nie wiem, po co o tym wspomniałem.

Niedawno. Ten biedny człowiek przeżywa jeszcze śmierć brata, oplakuje go, a ona tu planuje, obmyśla strategię, próbuje wysondować, czy jest nią zainteresowany! Do oczu napływają jej łzy, kiedy uświadamia sobie, że prawdopodobnie nie jest—

będzie musiała rozejrzeć się za kimś innym. Czuje się wyczerpana. I jednocześnie wstyd jej, bo w głębi duszy zastanawia się również, czyby nie wykorzystać jego żaloby do własnych celów. Pocieszając, zyskałaby sobie jego wdzięczność, prawda? Czuje wstręt do samej siebie, oczy jej wilgotnieją. Co się z nią stało i kto jest za to odpowiedzialny?

— Przepraszam. Nie powinienem był tego mówić. Dobrze się pani czuje?

— Tak, dziękuję. — Unosi do twarzy chustę i dopiero teraz zdaje sobie sprawę, że trzyma zeschnięty na wiór kawałek skórki pomarańczy, którą w zeszłym miesiącu jadł tamten młody artysta; musiała podnieść go z brzegu. Upuszcza skórkę i odwraca się, żeby odejść.

— Gdyby chciała pani zajrzeć do „Safiny”, to otwieram po południu — mówi Shamas, żeby ją jakoś zatrzymać. — Teraz jestem na spacerze. — Tylko że to wszystko na nic; nie przyszedł wczoraj do księgarni ze strachu przed samym sobą, ale ona też nie przyszła. Powiedziała, że przyjdzie — ale z pewnością ma już bogate i pełne życie, znajomych, rodzinę, kochanków. Kobieta zatrzymuje się na dźwięk jego głosu, oczy ma wciąż wilgotne. Musi być bardzo wrażliwa, samo wspomnienie o śmierci Jugnu wycisnęło łzy. Tyle może jej jeszcze powiedzieć. Wyobraża już sobie tę przyjaźń. Powie jej, jak bardzo teraz żałuje, że przestał pisać wiersze, i że po przejściu na emeryturę chciałby wrócić do Pakistanu, wrócić tam i zrobić coś dla dobra ojczyzny. Powie jej, że o znalezieniu tego serca dowiedział się od dwojga potajemnych kochanków — młodego hinduisty i muzułmańskiej dziewczyny, której matka jest przekonana, że córkę opętały dżinny, i rozpytuje o jakiegoś świętego męża, który odprawiłby egzorcyzmy.

— Tak, przyjdę. Kiedy byłam małą, mój ojciec, niech spoczywa w pokoju, przyprowadził mnie tutaj na wieczór autorski pakistańskiego poety Wamaka Salima.

Shamas rozpromienia się.

— Organizowałem ten wieczór. — Wamak Salim był wówczas na wygnaniu, potworny reżim wojskowy zmusił go do

opuszczenia Pakistanu. Tomiki jego poezji sprzedawały się w Pakistanie i Indiach w stutysięcznych nakładach i pomimo że jesienne niebo oddychało zimnym wiatrem, do baraku nad jeziorem ściągnęło ze sto osób, by posłuchać, jak Wamak czyta swoje wiersze. — Powiadają, że Wamak Salim zrobił dla Pakistanu tyle, co Homer dla rejonu Morza Śródziemnego i Biblia dla Jerozolimy.

— Pamiętam, że kobiety z sali obdarowywały go kwiatami, flakonikami perfum i słoiczkami miodu, za którym, podobnie jak Prorok, niech pokój będzie z Nim, przepadał - mówi Suraya. — A od mężczyzn dostawał butelki whisky i ginu. Mój ojciec przyniósł piękny szal i ja mu go wręczyłam.

Shamas uśmiecha się, robi mu się lekko, jeśli nie radośnie na duszy.

Ta kobieta należy chyba do tych osób, które, gdy się je poznaje, to tak jakby poznawało się samego siebie.

Jest w krótkim wełnianym żakieciku, żółtym, w charakterystyczny paisleyowy deseń wyszywany białą nicią. Bierze go lekko w palce i mówi:

- To był kiedyś kaszmirowy szal, identyczny z tym, który dałam Wamakowi Salimowi. Należał do mojej zmarłej matki — niech spoczywa w pokoju— ale ćmy go nadgryzły. Nie mogłam się zmusić, by go wyrzucić, a więc pocięłam i uszyłam z niego żakiet.

Shamas chce, żeby została, ale wyczuwa, że ochota na jego towarzystwo wyparowuje z niej z każdą sekundą niczym rosa. Kobieta, zbierając się chyba do odejścia, dotyka wiśniowoczer-wonej apaszki, którą ma na szyi i mówi:

— Dziękuję za nią jeszcze raz. — Uśmiecha się do niego. Ten pieprzyk. Każda chwila, jaką poświęcił na rozmowę z nią, jest bardzo cenna i warta swej ceny; staje mu przed oczyma klepsydra napełniona nie piaskiem, lecz małymi diamencikami. Porozmawiałby z nią jeszcze, ale na niego już pora. Podpowiada mu tak sumienie — to wewnętrzne wędzidło — bo chociaż tak mu dobrze w jej obecności, to przecież nie wybaczyłby sobie, gdyby przez niego doznała uszczerbku na honorze albo spotkały ją jakieś nieprzyjemności. Mógłby ich zobaczyć razem ktoś wracający z porannych modłów w meczecie i do południa

wiedziałyby już całe osiedle, a przed wieczorem całe miasteczko. Rada w taksówkach nie są od parady. I chociaż innym miejscom i ulicom nadaje się hinduskie, pakistańskie i banglij-skie nazwy, co ma stworzyć namiastkę swojskości i stopniowo, kroczonek po kroczoneku, doprowadzić do zawłaszczenia tego angielskiego miasteczka, to miejsce nad jeziorem, gdzie teraz stoją, zyskałoby z czasem nazwę Scandal Point, nawiązującą do tego miejsca w Shimla, gdzie przed pięćdziesięciu laty pewien hinduski książę spotkał się z piękną córką wysokiej rangi brytyjskiego oficera i zabrał ją na długą konną przejażdżkę, a ich kilkudniowa nieobecność wywołała wielki skandal wśród białych mieszkańców miasta.

— No więc, jeśli chce pani obejrzyć książki, to proszę przyjść do księgarni po południu — powtarza z desperacją przed odejściem. Moment rozstania napęlnia go nieokreślonym bólem. Wstyd mu za wrażenie, jakie musiał na niej zrobić — wrażenie człowieka rozpaczliwie poszukującego towarzystwa. Od tak dawna nie rozmawiał z nikim na interesujące go tematy. Rozmowy z Kaukab są często, dla nich obojga zresztą, jeszcze jedną formą odczuwania samotności, podkreślają tylko osamotnienie, jakie każdemu z nich doskwiera.

Stracił również większość przyjaciół z partii komunistycznej; na zebraniach wstępował w niego zwykle nowy duch, ale teraz niemal wszyscy z partii są zdania, że rozpad Związku Radzieckiego wyjdzie światu na korzyść, podczas gdy on uważa to za jedną z największych tragedii dwudziestego wieku, a takie gadanie — za taniec na grobie komunizmu, nie chodzi więc już na partyjne zebrania. Na dodatek śmierć Chandy i Jugnu odebrała mu ochotę do rozmów z kimkolwiek.

Suraya patrzy za odchodzącym Shamasem. Zastanawia się, jak śmieie powinna sobie w kontaktach z nim poczynać. Mimo wszystko zależy jej nie tylko na rozbudzeniu w nim zainteresowania swoją osobą — ostatecznym celem jest nakłonienie go do ślubu. A mężczyźni, choć lubią przestawać z kobietami pewnymi siebie i asertywnymi, to u potencjalnej żony wolą tych cech nie widzieć.

Mówiono jej, że potrafi być bardzo śmiała, i uważała ten element swojej osobowości za odwagę, ale teraz widzi w nim skłonność do hazardu, może nawet bezmyślność, bo właśnie ta cecha ściągnęła na nią kłopoty, z których nie może się teraz wykaraskać. Wysłano ją do pakistańskiej wioski, żeby poślubiła mężczyznę, którego nie widziała na oczy, i przyznaje, że czasami za wiele sobie pozwalała, wiedząc, że teściowie — i przystojny, kochający mąż — będąc pod wrażeniem faktu, że jest „z Anglii”, puszcza jej to płazem. Mąż odnosił się do niej z miłością, przynajmniej na początku, zanim jego skrywana skłonność do alkoholu nie wymknęła się spod kontroli. Aleją już wtedy, na tamtym wczesnym etapie małżeństwa, trwożyły wysoki i wyuzdane zachcianki małżonka, kiedy się upił, chociaż on, po wytrzeźwieniu, nie pamiętał, co wyczyniał, i znowu stawał się wobec niej delikatny, znów traktował jak porcelanową figurkę.

Tak, kruchą figurkę; by nie miał czasem wątpliwości, że pojął za żonę kogoś specjalnego, ulepionego z lepszej gliny, obruszała się ostentacyjnie na prymitywną i siermiężną naturę wioskowej rzeczywistości. Udawała, że nie pojmuje praw i moralnych zasad, którymi kierowali się na co dzień otaczający ją ludzie, utrzymując na przykład, że kultywowana od dziesiątek lat wzajemna nienawiść z mieszkającą po sąsiedzku rodziną to absurd. Jej naiwność uznawano za ujmującą i wyśmiewano, ale pewnego dnia posunęła się za daleko. Odkryła, że jeden z mężczyzn z rodziny, z którą jej teściowie mieli od dziesięcioleci na pieńku, od kilku miesięcy gwałci swoją czternastoletnią siostrzenicę. I nikt by się o niczym nie dowiedział, gdyby dziewczynka nie zaszła w ciążę. Krewni oskarżyli ją o splamienie dobrego imienia rodziny poprzez utrzymywanie z kimś stosunków płciowych. Niezameżna, a już nie dziewica! Zastraszana przez wuja nie chciała wyjawić, kim jest winowajca. Rzecz udawało się na razie utrzymać w tajemnicy przed sąsiadami, bo po dziewczynce nie było jeszcze niczego widać, ale Suraya dowiedziała się tego od służącej pracującej w tamtym domu. Suraya przestraszyła się, że dziewczynka może zostać lada dzień zamordowana za okrycie hańbą rodziny. Na policję pójść nie mogła, bo zgodnie z obowiązującym w Pakistanie sza-

riatem, czyli muzułmańskim prawem, zgłaszając gwałt, trzeba przedstawić świadków w osobach mężczyzn, którzy potwierdzą, że był to faktycznie gwałt, a nie stosunek za obopólną zgodą; dziewczynka takich świadków nie miała, została więc oskarżona o uprawianie przedmałżeńskiego seksu, skazana na chłostę i osadzona w więzieniu. I do końca życia nie zmyłaby już z siebie piętna bezwstydnego grzesznicy, kobiety upadłej i prostytutki.

Suraya, której zdarzało się jeszcze zapominać, że nie jest w Anglii, postanowiła udać się do domu wrogiej rodziny, powiedzieć, jak naprawdę przedstawia się sprawa i zaapelować o wyrozumiałość. Wkraczała w ciągnący się od dziesięcioleci konflikt, ale sądziła, że trafi do tych ludzi ze swoimi argumentami.

W jakim była błędzie, uświadomiła sobie zaraz po znalezieniu się na wrogim podwórku. Pamięta każdy szczegół, bo czas jakby zwolnił bieg. Mieszkający tam mężczyźni otoczyli ją i nie wypuścili, kiedy próbowała się wycofać. Ludzie często gubią drogę w gęstej zimowej mgle, udawała więc, że weszła do nich przez pomyłkę. Zapomniała o ciężarnej dziewczynce, bo teraz gra szła o jej własne przetrwanie. W końcu pozwolono jej opuścić obejście z nietkniętą cnotą; mężczyźni zapowiedzieli jednak, że będą wszystkim mówili, że ją zgwałcili, bo cień padłby na ich honor, nazwisko i męskość, gdyby ludzie się dowiedzieli, że mieli u siebie kobietę z wrogiej rodziny i nie wykorzystali w pełni tej sposobności.

Okazało się, że równie dobrze mogliby ją zgwałcić. Bo liczyło się nie to, co naprawdę się wydarzyło, tylko jak przebieg wydarzeń wyobrażają sobie inni. Mąż i teściowie uwierzyli bez zastrzeżeń w jej zapewnienia, że nadal jest czysta, że w domu wroga nie doszło do niczego nieodwracalnego, ale to niczego nie zmieniało.

Mąż załamał się psychicznie. Coraz częściej szukał zapomnienia w alkoholu, mówił, że bez niego nie mógłby oddychać. Wracał do domu w sztok pijany, zdejmował czapkę i kurtkę i próbował je wieszać na padającym na ścianę cieniu wieszaka, stawał się wobec niej coraz bardziej gwałtowny i w końcu bała się nawet brzęknąć w jego obecności bransoletami, żeby go nie

sprowokować. Potem zawsze żałował swoich wybuchów gniewu, kajał się i zapewniał ją o swojej miłości, tłumacząc, że wszystkiemu są winne te zjadliwe komentarze sąsiadów, których się nasłucha i nie może wyrzucić z głowy.

Zdarzały się dni, kiedy zawstydzony nie chciał nikogo oglądać, nawet siebie — zarzucał na lustro szmatę. Ale rozgoryczenie i wściekłość wyłaziły z niego z byle powodu, choćby przy sortowaniu chust, które przynoszono do ufarbowania, bo jej teść był farbiarzem: „Stają się coraz to krótsze i krótsze. Te dzisiejsze kobiety robią się bezwstydną”.

Wieczorami poznawała zawsze po pukaniu do drzwi, czy wraca trzeźwy, czy pijany i ile wypił. Po pijanemu zwracał się do niej w ostrych słowach, tak jakby obrzucając ją wyzwiskami, chciał sobie powetować to, co przetracił na alkohol.

Usiłowała wykrzesać z siebie dawną pogodę ducha w nadziei, że przypomni mu w ten sposób szczęśliwsze czasy i udobrucha, ale jego to jeszcze bardziej rozsierdzało, bo dopatrywał się w jej zachowaniu przejawów zachodniej dekadencji.

Pewnego dnia spoliczkował ją twardą, spracowaną dłonią. Nazajutrz, potrząsając nią brutalnie, wykrzykiwał: „Wiem, co robiłaś w tamtym domu! Przyznaj się od razu, bo kułakiem przywrócę ci pamięć!”. Następnego dnia zbił ją. A jeszcze następnego, wymachując nożem, wrzeszczał: „W tym nożu kryje się twoja śmierć... rolą kobiety jest dawać życie, rolą mężczyzny je odbierać...”. Następnego dnia stało się. Wypowiedział trzy razy słowo *ta lak*. Rozwodzę się z tobą, rozwodzę się z tobą, rozwodzę się z tobą.

I odepchnął ją od siebie nogą. Nazajutrz przysięgał, że nie pamięta, by wypowiadał po trzykroć to straszne słowo, a nawet gdyby tak było, to nic mówił poważnie — ale co się stało, już się odstać nie mogło. Mąż — a w muzułmańskim małżeństwie przede wszystkim jemu przysługuje prawo żądania rozwodu — wypowiedział to słowo trzy razy i zgodnie z prawem byli teraz rozwiedzeni.

Świadków nie było, ale to niczego nie zmieniało; Allah słyszał.

Niejeden opój najchętniej pod ziemię by się zapadł, kiedy budząc się rano, widzi żonę płaczącą z dziećmi na gruzach,



w jakich z dnia na dzień legło ich życie: ani chybi żona, zbrzydzone smrodem alkoholowych wyziewów, odpychała w ciemnościach jego rwące się do piesszot ręce, aż w końcu rozjuszony, w pijackim zamroczeniu, wyrzucił z siebie trzykrotnie to słowo. *Talak, talak, talak*. I klamka zapadła.

Codziennie do imamów z meczetów, jak subkontynent długi i szeroki, przychodzą tysiące zrozpaczonych par, codziennie do muzułmańskiej gazety — w Anglii, Indiach, Pakistanie albo Bangladeszu — napływają listy od mężczyzn, którzy piszą, że szczerze kochają swoje żony i dzieci, i rodzina jest dla nich wszystkim, a słowo *talak* wymknęło im się w gniewie — ale prawo Allaha jest prawem Allaha i nic się na to nie poradzi.

Istnieje tylko jedna droga prowadząca do przywrócenia dawnego porządku rzeczy. Droga, po której Suraya właśnie kroczy.

Mężczyzna - jej mąż — żeby ponownie się z nią ożenić, nie musi poślubiać innej kobiety. Prawo Allaha jest prawem Allaha i nie wolno go kwestionować.

Shamas siedzi z gazetą na jednym z żółtych krzeseł i słucha Kaukab. Wróciła właśnie z zakupów i przyrządzając w niebieskiej kuchni posiłek, powtarza mu, co usłyszała od spotkanych kobiet. Prowadzi swój monolog, krzątając się między kredensem, szatką, ladą i kuchenką. Na białym jak żagiel obrusie wyczarowuje martwą naturę ich lunchu. Wiosenny posiłek nie może się obejść bez świeżo przyrządzonego ostrego sosu korzennego z kolendry, chili i mięty, wybrała się więc do sklepu po miętę i kolendrę — pęki najświeższej, jaką można sobie wyobrazić zieleniny ściśnięte gumką — i papryczki chili w torebkach z tak cieniutkiego polietylenu, że nawet nic szeleści. Przyniosła też limonki o podziobanych przez ptaki skórkach, co świadczy, że owoce dojrzewały na zewnątrz korony drzewa, dzięki czemu lepiej nasiąkły słońcem niż te ukryte w listowiu, które poznać można po skórcie gładkiej i nieuszkodzonej. Przecięła na pół limonkę i jedną połówką natarła talerze, z których będą jedli, by potrawa przeszła jej aromatem od spodu, a drugą wycisnęła do sałatki z pokrojonej cebuli, po czym każdy plasterzek posypała ostrym czarnym pieprzem.

Opowiada, że do sklepu przyszedł transport mango koloru miedzi, po trzy funty sześćdziesiąt za pudełko zawierające pięć sztuk, i guajar, których jaskraworóżowy miąższ jest jak poezja, i czerwonych gruszek o skórcie takiej apetycznej barwy, że aż się nie chce ich obierać i patrząc na nie, człowiek żałuje, że oczy nie mają kubeczków smakowych.

Sąsiadka dostała list od kobiety z tej bengalskiej rodziny, która mieszkała kiedyś w domu obok, a kilka lat temu odsprzedała go Jugnu i wróciła do kraju po tym, jak ich syn został napadnięty i zatłuczony na śmierć przez białych rasistów. I ta kobieta pisze w liście, że była kompletnie zdruzgotana, kiedy się dowiedziała, że Mah-Jabin, córka jej dawnych sąsiadów, obcięła swoje piękne długie włosy.

Hinduskie i pakistańskie matki dorastających córek proszą właściciela sklepu, żeby nie sprowadzał więcej pewnego anglojęzycznego czasopisma dla kobiet wydawanego w Bombaju. Uważają je za wulgarne i pornograficzne, bo w tym miesiącu wydrukowało list jakiejś młodej mężatki z Delhi, która pisze, że niedawno urodziła pierwsze dziecko i mąż, któremu jej pochwa teraz za luźna, zaczął w nią wchodzić tamtędy, gdzie *jest* ciaśniejsza; list skierowany był do działu porad medycznych czasopisma i kobieta pytała w nim, czy jest jakiś sposób na zwężenie pochwy, a jeśli nie, to co robić, żeby to, co praktykuje teraz mąż, tak nie bolało.

Muzułmańscy rodzice siedmiolatka który niedawno zaczął pobierać w domu i w meczecie nauki o rozmaitych grzechach oraz o karach, jakie za nie grożą — zostali wezwani wczoraj przez dyrektorkę szkoły i poinformowani, że chłopiec straszy białych kolegów z klasy, że zostaną obdarci żywcem ze skóry w piekle za to, że jedzą wieprzowinę, a ich mamusie i tatusiowie będą przypalani żywym ogniem i pojeni wrzątkiem, bo piją alkohol i nie wierzą w Allaha ani Mahometa, niech pokój będzie z Nim.

Ktoś słyszał od kogoś, że Chanda przed zamordowaniem była brzemienna i że rączki płodu, podobnie jak ręce Jugnu, świeciły w ciemnościach, co było widać nawet przez skórę na brzuchu Chandy i przez jej ubranie.

Po lunchu sprzątają oboje ze stołu, a towarzyszy im muzyka i głos spikera z nastawionego na azjatycką stację radia. Trwa

telefoniczny chat na temat trudności życia w Anglii: „...Nie możesz już znieść, że biali traktują cię jak kulisa? Dzwon do nas. Do zabrania głosu zachęcamy również naszych młodszych słuchaczy. Jesteś wściekły, jesteś jednym z tych bezrobotnych, chodzących do meczetu mizantropów z kielkującą dopiero brodą, o których piszą w gazetach? Nic straciłeś jeszcze cnoty albo masz za żonę nieznaną angielskiego kuzynkę sprowadzoną z zabitej deski wioski w Pakistanie lub Bangladeszu, mieszkasz z rodzicami, chodzisz pod szkołę siostry, żeby podglądać z ukrycia, czy rozmawia z chłopcami, i uważasz, że nie powinni jej przyjąć na uniwersytet? Dzwon do nas pod numer...”.

Shamas siada po lunchu nad pamfletem na lokalną służbę zdrowia, który trzeba przetłumaczyć na języki hindi, urdu, bengalski i gudżarati — zacznie od przekładu na urdu. W latach sześćdziesiątych Zachód uznał, że gruźlica została ostatecznie zwalczona, i przerwał nad nią wszelkie badania naukowe, chociaż choroba szerzyła się nadal w innych częściach świata, a teraz odradza się w biedniejszych dzielnicach (tych wysepkach Trzeciego Świata w Pierwszym) Londynu, Liverpoolu, Glasgow, Nowego Jorku i San Francisco. Shamas pamięta ruchome laboratoria rentgenowskie parkujące trzydzieści lat temu pod młynami, fabrykami i biurem zatrudnienia. Wskaźnik zachorowalności wśród robotników imigrantów był powyżej średniej, bo źle się odżywiali i mieszkali w przeludnionych kwaterach, gdzie jeden wdychiwał zarazki wykastywane przez drugiego. Wielu z nich żyje w podobnych warunkach nawet dzisiaj — ponad połowa domów w osiedlu uznana została przed siedmioma laty za nienadające się do zamieszkania — i ludzi trzeba ostrzec przed groźbą infekcji. Regularne podróże na subkontynent także wystawiają ich i ich dzieci na zwiększone ryzyko.

Shamas pracuje do drugiej po południu, a potem, opędzając się od owadów, idzie do księgarni, by zaraz po trzeciej ją otworzyć. Niebo usiane jest z rzadka białymi obłoczkami w kształcie leśnych zwierząt. Inicjały wymalowane sprayem na ścianie przez narodowców z National Front azjatycka młodzież zmodyfikowała i napis głosi teraz: NFAK RZĄDZI — Nusrat

Fatch Ali Khan to słynny na cały świat wykonawca religijnych pieśni sufickich, Z pobocza wiodącej nad jezioro ścieżki podrywa się latająca za dnia ćma o nazwie cynober i odfruva szukać bezpiecznego schronienia w starcach. Jeziora jeszcze nie widać, ale unoszące się nad nim białe jak strzępki papieru rybitwy zdradzają, gdzie się znajduje.

Myśli o Surai od rana nie opuszczają Shamasa. Krocząc pod niebiesko-białym baldachimem nieba, uświadamia sobie, że przez cały dzień, nawet kiedy skoncentrowany tłumaczył przed godziną tekst pamfletu, siedział jak na rozżarzonych węglach, wyczekując tej chwili. Tak, myśli o niej, ale głównym tego powodem jest obawa, że ktoś podpatrzył, jak ze sobą rozmawiali, i ona w związku z tym ma teraz gdzieś jakieś nieprzyjemności. Ten strach siedzi w nim jak granat z wyciągniętą zawleczką. Co chwila coś ściska go w piersiach i robi mu się słabo.

Otwiera księgarnię i wchodzi. Oczy jeleni z tapety błyszczą niczym małe lampki prześwitujące spod niebieskich chust. Stoją parami pośród krzewów o liściach garbatych jak dzioby papug.

Promienie słońca padają na srebrzystą gładź jeziora pod coraz ostrzejszym kątem, Shamas spodziewa się zobaczyć w każdej chwili Surayę, ale w głębi duszy ma nadzieję, że nie przyjdzie. Przyjemnie mu się z nią rozmawiało, a i ona zdawała się kilka razy ożywić, ale zdaje sobie sprawę z zagrożeń. Pamięta urdyjskie powiedzenie, które doradza rozagę w obliczu czegoś pięknego albo sprawiającego przyjemność: „Nic zapominaj, że węże upodobały sobie sandałowce”<sup>1</sup>.

Stojąc w drzwiach „Safiny”, obserwuje nadchodzącą Surayę i kiedy ta mija Miejsce Skandalu, zaczyna żałować, że otworzył dziś księgarnię; z ulgą widzi, że nic jej nie jest, ale budzi się w nim obawa, że ktoś (mąż, brat albo młody siostrzeniec, przeczytawszy w urdyjskiej gazecie, że w wiosce pod Lahauem znaleziono zwłoki kobiety w średnim wieku ze skręconym karkiem) przyszedł tu za nią i podgląda teraz z ukrycia, żeby potwierdzić swoje podejrzenia.

Podszedłem do drzwi, bo usłyszałem dziwny melodyjny dźwięk - wyjaśnia Shamas. — Przez cały dzień go słyszę.

Albo to jakiś nieznan mi ptak, albo któryś ze sklepików w okolicy sprowadził nowy rodzaj gwizdka, teraz tak popularnych wśród dzieci. — Suraya jest w czystym *szalwar-kamis* i tym samym żakieciku do pasa w paisleyowe esy-floresy. Shamas, wodząc w powietrzu palcem, pokazuje na półki. — Tam beletrystyka. Odtąd dotąd literatura faktu. Tam poezja. A tam kilka pozycji o sztuce. - I nakazuje sobie, że od tej pory będzie milczał; niech ona się tu rozejrzy i jak najszybciej pójdzie, dla własnego dobra. Podobno trudno zabić człowieka. *Nie celuj w ofiarę: celuj w jakiś element jej ubrania* — węzeł krawata, kwiat na sukience. Czy ci, którzy widzieli ich rano rozmawiających, i przyszli tu teraz za nią, ci którzy kryją się w zaroślach pod księgarnią i czekają przed pociągnięciem za spust, wzięliby na muszkę fragment tego paisleyowego deseni z malutkim rubinowym punkcikiem pośrodku?

Suraya bierze z półki wielki musztardowożółty tom *Murakka--e Cugtai* — tom wierszy urdyjskiego poety Ghaliba ilustrowany pracami Abdura Rahmana Cugtaia i mówi cicho:

— O, ma pan to.

Tak. Pierwsze wydanie z tysiąc dziewięćset... dwudziestego ósmego roku. Obok stoi *Nakhsz-e-Cugtai* — tekst ten sam, ale inne ilustracje, wydany w tysiąc dziewięćset... trzydziestym czwartym. — Pozostaje na krześle, nie chce się do niej zbliżyć; między nimi przerzucony jest kruchy most ze szkła. — Widzi pani? Szara obwoluta z łąnią leżącą pod małym cyprysem, który wyrasta z klejnotu. — Musi nabrać wody w usta i nie pokazywać jej już książek. Suraya przesuwa się wzdłuż półek z urdyjską i perską poezją, otwiera i zamyka tomy, po chwili mówi:

— Wiele perskich wierszy jest o kwiatach i wiosnie.

- Fakt. Mój młodszy brat był kilka lat temu w Iranie i po powrocie opowiadał, że na wysyp kwiatów, jaki następuje w tym kraju z nadejściem wiosny, nawet przypadkowy obserwator nie może pozostać obojętny. Osobiście uważam, że próżno by szukać bardziej porywających opisów wiosny niż te, których dostarcza poezja Oani.

Czy to ten brat, który... został... zamordowany? - Suraya wbija wzrok w podłogę.

— Tak, i jeszcze raz przepraszam, że wtedy nieopatrznie pani o tym wspomniałem.

— Proszę sobie tego nie wyrzucać. Mogę zapytać, jak to się stało?

Shamas nic chce jej stresować.

— Wolałbym o tym nie mówić.

— Rozumiem. — Suraya odwraca się do półki i książki znowu bez reszty ją pochłaniają.

Shamas spogląda w okno. Przypomina mu się, jak siedział kiedyś w „Safinie” z właścicielem księgami i nagle wpadł tu zdyszany Jugnu z siatką na motyle, którą wymachiwał jak flagą. „Chyba widziałem jak wlatuje tutaj motyl, którego gonilem” — wy sapał. A on wskazał wtedy na stojący na półce urdyjski przekład *Madame Bovary* i powiedział: „Jedyne tutaj motyle, to te tam”. Jugnu wybiegł kontynuować poszukiwania, ale później wrócił do „Safiny” i wziął z półki *Madame Bovary*. „Rzeczywiście. Pamiętam, że w tej książce są motyle. Chyba trzy. Pierwszy czarny, drugi żółty i trzeci biały”. I po pięciu minutach kartkowania oznajmił: „Tak, wciąż tu są”.

Shamas spogląda znowu na Surayę. Czuje, że swoim ostatnim komentarzem mógł ją urazić, ale nie przychodzi mu do głowy żadna forma przeprosin. Suraya, odwrócona do niego plecami, wertuje z pochyloną głową książki. Shamas skupia wzrok na punkcie, w którym ich spojrzenia będą musiały się spotkać, jeśli tylko ona choćby lekko obróci głowę. Uśmiecha się do niej, kiedy w końcu do tego dochodzi — jakby chciał udobruchać kochankę po sprzeczce — i nonszalancko pokazuje na kaszmirowy zakieciak.

— A wie pani, dlaczego ten deseń jest tak silnie związany z Kaszmirem? Nie? Proszę sobie wyobrazić kłótnię dwojga kochanków w tym regionie. Ten motyw wydeptały jej stopy, kiedy uciekała od niego wzburzona. Szukał jej skruszony na leśnych uroczyskach, gdzie świetliste orchidee wyrastają z... — za późno, żeby przerwać — ...z rozpryskanego nasienia parzących się zwierząt i ptaków, gdzie wola życia zmusiła pnącza i winorośle do wspinania się ku odległym smugom słonecznego światła, gdzie gałęzie rozbrzmiewają żywymi pieśniami, a niebo

pod wieczór czerwienieje, tak jakby zachodzące słońce rozrzuciło garście rubinów po całunieniu dnia. I trafił do niej po tym właśnie śladzie odcisniętym wśród kwiatów. On to bóg Sziwa, ona — bogini Parwati, i znalazłszy ją, upamiętnił ich związek, rzeźbiąc koryto rzeki Jehlum, która płynęła i nadal płynie doliną Kaszmiru, na wzór tego deseni.

— Dziękuję. — Suraya uśmiecha się, oczy jej błyszczą. — Ładne to było.

Podbudowany jej uśmiechem pokazuje na książki ilustrowane przez Ćugtaia i mówi:

— W tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym Ćugtai zaprojektował okładkę do mojego tomiku wierszy.

— Wydał pan tomik wierszy? — Jest tak poruszona, że niemal traci oddech. — I to z okładką Ćugtaia?!

— Był wielkim przyjacielem światka wydawniczego La-hauru — spogląda na nią. — A co do mojego tomiku, to był już przygotowany do druku, ale nigdy się nie ukazał.

— Dlaczego? Zachował pan może rękopisy tych wierszy? Chciałabym je przeczytać.

— Niestety, nie ma kopii rękopisu. Jedna jedyna, którą miała moja żona... uległa zniszczeniu. A nie mam pewności, czy jeszcze je pamiętam. — Wyobraża już sobie, jak rozkłada suknię ślubną Kaukab i mozolnie przepisuje z niej swoje wiersze do zeszytu — do „Safiny”! — żeby dać je Surai do przeczytania; Niestety ta ślubna suknia już wiele lat temu obróciła się w popiół.

— Musi pan spróbować je sobie przypomnieć — mówi Suraya i dodaje z uśmiechem: — Przyjdę któregoś dnia do „Safiny” i poproszę, żeby mi je pan wyrecytował, jak Wamak Salim. Z tą jedyną różnicą, że będzie to osobista recytacja, tylko dla jednoosobowego audytorium. — Podchodzi do niego z dwoma ilustrowanymi przez Ćugtaia tomami, trzymając je w zgięciu łokcia jak studentka college'u. — Wezmę je. Szukałam tych tytułów w Pakistanie, ale zaopatrzenie księgarni w wiosce, w której mieszkałam, ze zrozumiałych względów pozostawiało wiele do życzenia.

— Co pani robiła w Pakistanie? — Włosy Surai są przewiązane apaszką, którą pomógł jej wczoraj odzyskać: podczas

lunchu czerwony miąższ krwistej marokańskiej pomarańczy — jednego z tych owoców, które zabarwiają intensywnie mocz — przypomniał mu jej kolor.

A więc ma żonę, w której posiadaniu znajdowała się jedyna kopia jego tomiku wierszy. Ale to jeszcze nie znaczy, że nie mógłby się z nią ożenić, bo muzułmaninowi wolno mieć cztery żony.

Przed przyjściem do „Safiny” i już w samej księgami Suraya zastanawiała się, jak dalece może się przed nim odkryć. Czy powinna mu uczciwie przedstawić swoją sytuację, powiedzieć bez ogródek: szukam kogoś, kto poślubiłby mnie tymczasowo... Ale to by go spłoszyło. Chyba lepiej zaczekać, aż lepiej się poznają, aż on bardziej się do niej przywiąże. A jak nakłoni go potem do rozwodu? W domu rozplakała się na tę myśl. *Dobry Allahu, dlaczego nie mogę pojąć, jakie cele Ci przyświecały, kiedy ustanawiałeś swoje prawa?* To mężczyzna powinien ponosić karę, jeśli wypowiedział słowo rozwód jako czczą pogrózkę w gniewie lub zamroczeniu. Owszem, jest dla niego karą, że musi patrzeć, jak jego żona staje się na krótki czas własnością innego mężczyzny, jak jest przez niego wykorzystywana. Ale dlaczego musi być karana żona, z którą się pochopnie rozwiódł? Dla muzułmanki nie ma nic obrzydliwszego od myśli, że będzie jej dotykał mężczyzna, który nie jest jej mężem. Ukrywa swe ciało jak skarb. Ale jeśli chce odzyskać męża, musi pozwolić dotykać się innemu. To jej kara; być może na nią zasługuje, bo nie potrafiła nauczyć męża bycia prawym człowiekiem, panowania nad gniewem i bycia dobrym, stroniącym od alkoholu muzułmaninem.

Suraya zniesie każde upokorzenie i upodlenie, gotowa jest pozwolić dotykać się innemu mężczyźnie — na przykład Sha-masowi — bo nie chce iść dalej przez życie bez swojego synka i męża; będzie przyjaciółką jednego, powiemiczką innego, kochanką jeszcze innego, ale dla nich jest wszystkim.

— Wyszłam tam za męża. Teraz jestem rozwiedziona — odpowiada na pytanie Shamasa. — Mam siedmioletniego synka, który został z ojcem. — Na razie wystarczy. Czuje się wyczer-



pana. — Nie wiem, kiedy i czy w ogóle wrócę do Pakistanu. W chwili obecnej nie mam nikogo ani żadnych planów na przyszłość. — Płaci za dwie książki, ale zanim wyjdzie, musi zaaranżować jakoś następne spotkanie. Od kilku minut myśli gorączkowo, jak to zrobić, nic jednak nie przychodzi jej do głowy. Szuka pretekstu, który pozwoliłby jej zostać tu jeszcze i dał czas na zastanowienie.

No i rzecz jasna on nie może sobie pomyśleć, że inicjatywa tego następnego spotkania wychodzi od niej — całkiem możliwe, że zalicza się do mężczyzn, którzy nie lubią, kiedy im się coś dyktuje (a większość mężczyzn tego nie lubi; kobieta, jeśli chce coś z mężczyzną osiągnąć, musi nim tak sterować, żeby miał wrażenie, że to on podejmuje ostateczną decyzję).

— Przyszło mi właśnie do głowy, że tego dźwięku, który pan słyszał, nie wydał raczej dziecięcy gwizdek. To musiał być ptak. — I opowiada mu o stadzie subkontynentalnych papug z różową kryzą, które dewastują ogrody i sady na przedmieściach Dašte-Tanhai. Widziała to stado na własne oczy w ubiegłym tygodniu. Liczy około trzydziestu sztuk, a wszystko to potomkowie pary hinduskich ptaków, które przed kilkoma laty uciekły z klatki.

— Bardzo lubię te papugi — mówi Shamas — ale już od paru dziesiątków lat żadnej nie widziałem.

Mogłabym pana do nich zaprowadzić — proponuje Suraya (może trochę za skwapliwie).

— Świetnie. Poobserwujemy ptaki, tak jak mój brat obserwował motyle. Na imię miał Jugnu, nawiasem mówiąc...

Nie musi mi pan opowiadać o tym, o czym wolałby nie mówić.

- Aleja chcę. Chciałbym. — Spogląda jej prosto w oczy i pyta: — To jak się umówimy?

Patrząc za Surayą, która oddała się ścieżką wśród wysokich traw, ma ochotę pobiec za nią i powiedzieć, dlaczego lubi te długoogoniaste papugi. Opiera się jednak tej pokusie; powie jej, kiedy znów się spotkają. *A zna pani legendę o papudze z różową kryzą imieniem HIRAMAN i księżniczce PADMAWATI?* HIRAMAN, gadająca papuga różowokryza, dopatrywała się wad u każdej pięknej panny, którą radza RATAN SEN byłby skłonny

pojąć za żonę. Mówiła mu: „Nie wolno zadowalać się byle czym. Siedem gór, siedem mórz od pałacu waszej wysokości leży kraina zwana Serendip, którą włada radża Gandhrap Sen. Ma on córkę imieniem Padmawati. Delikatną jak lotos. Promienną jak Gwiazda Zaranna. Jej bujne, wonne włosy są jak mon-sunowa chmura, a przedziałek po ich środku to droga do samego nieba. Czoło gładkie jak księżyc w drugą noc miesiąca, zalewający blaskiem dziewięć krain i trzy światy. Oczy jak dwie igrające ze sobą ryby. Spojrzenia jak dwie walczące w locie pliszki. Biodra szerokie jak czoło słonia. Wszystkie formy piękna sprzysięgły się, by do niej lgnąć, tak jak zielony gołąb, który siada na gałęzce, gdy chce się napić ze strumienia, bo uważa, że wszystko, co na ziemi, niewarte jest kontaktu, i zwisa z gałęzi łepkiem do dołu, nawet kiedy zostanie zabity”. Walory i cnoty Padmawati tak zawładnęły wyobraźnią radży Ratan Sena, że w końcu urzeczony opisem, postanowił ją odszukać...

Shamas krąży wokół „Safiny”, układając sobie w myślach scenariusz następnego spotkania. Powie jej, że jego zdaniem papuga hiraman reprezentuje artystę, ludzi, którzy mówią nam, do czego powinniśmy dążyć, którzy odkrywają przed nami ideał życia doczesnego, podpowiadając, dla czego naprawdę warto żyć i za co umierać.

Co jakiś czas otwiera książkę, do której wcześniej zaglądała Suraya.

## *Najstarsza znajomość świata*

Matka Chandy, wysiadłszy z autobusu pośród zielonych wzgórz na przedmieściu Dašte-Tanhai, przystaje na poboczu pod drzewem wiśni. W powietrzu śmigają papugi z różową kryzą. Mąż, który tu z nią wysiadł, znikł właśnie za zakrętem opustoszałej drogi wijącej się między wzgórzami. W trawie pod jej stopami zatrząsienie bladoróżowych płatków wiśni. Spogląda na swoje buty, kupowała je przed dwoma laty z córką.

Mąż wyłania się zza zakrętu; mruży coś do siebie, kręci głową, w lawendowym cieniu zielonego stoku wydaje się dziwnie blady. Wracają z widzenia u synów, którzy siedzą w więzieniu godzinę jazdy autobusem od domu. Wysiedli na tym odludnym przystanku, bo ojcu Chandy wydało się, że widzi kogoś znikającego za drzewem — kogoś z siatką na motyle. Jugnu? Wysiedli pośpiesznie na najbliższym przystanku. Ona została pod drzewem wiśni, on pobiegł z powrotem drogą do miejsca, gdzie mignął mu przez chwilę rzekomy łowca motyli. Korzystając z jego przedłużającej się nieobecności, wykrzyczała głośno w niebo cały smutek, jaki wyniosła z wizyty w więzieniu: jeden z ich synów został wczoraj pobity przez białych współwięźniów — ma złamaną rękę i szczękę, a twarz nic do poznania zmasakrowaną. Nie może zdradzić, kto mu to zrobił, i powiedział władzom więzienia, że się przewrócił.

Matka Chandy uśmiecha się, żeby ukryć swą rozpacz przed wracającym mężem, nie chce go denerwować.

— To był jakiś chłopiec z papierowym samolocikiem — mówi mąż, zbliżając się. Rozgląda się dookoła, jak rozbitek pośrodku oceanu wypatrujący brzegu. — Ale widziałem kogoś jeszcze. Shamasa nad strumieniem. I to chyba z jakąś kobietą. A przynajmniej wydaje mi się, że byli razem, bo ona stała w pewnej odległości.

— Na Allana! Jesteś pewien?

— Sam nie wiem. Nie, pewien nic jestem. Był już następny autobus?

— Był, ale z tych, które nie jadą na dworzec autobusowy Saddama Husajna, tylko skręcają w Annemarie Schimmel Road, w stronę Muridke. — Podaje mężowi chusteczkę, którą wyjęła z czerwonej jak pancierz kraba torebki, spocił się, biegnąc. — Ta kobieta z Shamasem była biała?

Mąż kręci głową.

— Nie ma o czym mówić. Czy to nie z Muridke jest ten święty mąż, którego wezwiała rodzina z Faiz Street, żeby wypędził dżinny z ich córki?

— Tak. Niedługo przybędzie — odpowiada matka Chan-dy. — Dziewczyna się zbiesiła, nie okazuje należnego szacunku swojej rodzinie ani mężowi. Wczoraj w nocy zastanawiałam się, czy aby nie to samo spotkało naszą córkę — czy to nie dżinny ją opętały i podjudziły do buntu.

Ojciec Chandy ociera chusteczką twarz, oddech mu się wyrównuje. Teraz, przy żonie, opuszcza go to poczucie zagubienia i dezorientacji; tak jest zawsze, kiedy powraca skądś, gdzie był jednym z wielu, by znowu grać główną rolę w spektaklu — sztuce ich życia — choć do niektórych cech charakteru małżonki ma pewne zastrzeżenia. Gdy nie ma jej w zasięgu wzroku, to nawet w tłumie czuje się osamotniony. Kiedyś naklejając metki z cenami na torebki przypraw, potrafił zawołać z za rzędu półek:

— Matko Chandy, po ile te paczuszki kopru? A ona odkrzykiwała wtedy z za lady:

— Małe po dwadzieścia dziewięć pensów, duże po pięćdziesiąt jeden. Musisz mnie pytać za każdym razem?

— To tylko pretekst, żeby usłyszeć twój głos, szczęście ty moje. — Podnosił się z kuczków, stawał na palcach i puszczał

do niej oko sponad górnej półki, albo zza biało-niebieskiej piramidy toreb z cukrem. A ona szybko ukrywała swoje ukontentowanie za chustą; och, co ona ma z tym swoim mężem! Strofowała go: są już. dorośli, mają troje dzieci, a on wciąż zachowuje się jak młodzieniaszek i oczekuje od niej, że się dostosuje i będzie traktowała cały świat jak jedną wielką sypialnię nowożeńców, a każdą noc jak tę poślubną. Przed laty, nazajutrz po tym jak zrobiła użytek z cążek do paznokci (co każdy od czasu do czasu czyni), poprosiła go, żeby obrał jej pomarańczę, bo ona czubki palców ma trochę obolałe, a on dostrzegł w tym coś, z czego warto uczynić rytuał: od tamtej pory, ilekroć w lecie przyszła nowa dostawa pomarańczy, obierał zawsze jedną, układał na talerzyku gwiazdę z soczystych cząstek i ze szczyptą soli stawiał obok niej przy kasie. Kompozycja była wysmakowana w formie, bo pierwszy kęs robi się zawsze oczami. Kiedy wybierał z kartonów najdojrzały, najciemniejszy owoc, klienci uśmiechali się i tręcali łokciami, ale wszystko wskazywało na to, że tylko ona dostrzega ich rozbawienie.

Teraz w ich życiu nic ma już prawie miejsca na śmiech.

— A byłem przekonany, że to łowca motyli — mówi ojciec Chandry — z autobusu ten samolocik wyglądał jak motyl, a chłopiec był wyrosnięty i wziąłem go za dorosłego mężczyznę. — Pokazuje palcem w kierunku, z którego przyszedł. — Jest ich tam cała gromadka. Jedni łowią ryby na wędki, inni się kąpią.

Matka Chandy stoi ze zwieszoną głową pod drzewem wiśni i zastanawia się, czy poruszyć temat synów. W końcu mówi cicho:

Serce o mało mi nie pękło, kiedy zobaczyłam go takiego pozszywanego — te czarne supełki wyglądały jak pająki wylazące z twarzy. I te bandaże, i ta ręka na temblaku... Mąż milczy przez chwilę, potem kiwa głową.

Drugi też jakby zmizemial.

Powiedział: „Robi się coraz goręcej i nawet przez te wszystkie drzwi, każde zamknięte na kilogramową kłódkę, czuję zapach mango dojrzewających w Pakistanie”.

Brakuje im twojej kuchni. Nie mogli się jej nachwalić. „Powinnaś wysłać przepis na to do gazety”, mówili ci po

każdym posiłku. — Dotyka delikatnie jej ramienia. — W grudniu wyjdą, zabierzemy ich do domu, odkarmimy, wykurujemy.

Matka Chandy unosi głowę, spogląda mężowi prosto w oczy, a potem odwraca głowę i patrzy w kierunku, z którego ma nadjechać autobus. Milczy jakiś czas, w końcu się odzywa:

— Zanim powiedziałaś mi w autobusie o tym kimś goniącym mandarynkowego motyla, widziałam rosnące przy drodze drzewo z tylko jedną gałęzią w kwiatach. Reszta była uschnięta, bez jednego listka. I przypomniałam sobie, jak ktoś mi kiedyś opowiadał o drzewie nad grobem pewnego pobożnego człowieka. Gałęzie nad samym grobem wciąż kwitły i rzucały cień, chociaż reszta drzewa już dawno uschła i obumarła. Kiedy zobaczyłam z autobusu tamto drzewo, naszła mnie pokusa, żeby wysiąść, rozkopać ziemię pod tą kwitnącą gałęzią i sprawdzić, czy... czy...

— Nie wolno ci tak myśleć. — Mąż spogląda na złoty zegarek, wychodzi spod wiśni i staje na skraju szosy, przy słupku, który nadaje temu miejscu rangę przystanku autobusowego.

— Różne myśli przychodzą człowiekowi do głowy. Czasami bardzo głupie. Nie mówiłam ci, ale kiedy ta kobieta z Bihzad Lane wróciła z Pakistanu i powiedziała, że Jugnu był widziany w Lahaurze, coś mnie podkusiło i zaczęłam na ulicy Shamasa, żeby mu to powtórzyć.

— Kiedy? — pyta zdumiony mąż. — Po co?

— Nie złość się. Jednego dnia o świcie.

— To była tylko plotka, ludzkie gadanie. Co powiedział i co chciałaś przez to osiągnąć?

— Nie patrz tak na mnie. Przyznałam, że to było głupie, i prosiłam, żebyś się nie złościł. Chciałam wydostać moich synów z więzienia, i słusznie. Patrz, co się jednemu z nich tam przytrafiło! W przeddzień rozmowy z Shamasem usłyszałam, że w zeszłym roku w więzieniach odnotowano tysiąc pięćset samobójstw, i wpadłam w panikę, rozum mi odjęło. Przyszło mi do głowy, że może Chanda i Jugnu sprzedali swoje paszporty innej parze, a sami postanowili zostać w Pakistanie. Że to było ukartowane: że tamta inna para przyjechała do Anglii, podrzuciła do domu walizki i paszporty i znikła. Całą noc nie

zmrużyłam oka, a w nocy dziwne myśli przychodzą człowiekowi do głowy. O świcie wstałam i wyszłam Shamasowi na spotkanie, bo wiedziałam, że o tej porze chodzi do centrum po gazety.

— Pomyślał sobie pewnie, że cała nasza rodzina jest stuknięta. — Zbulwersowany mąż wyrzuca ręce w dramatycznym geście.

— Powiedziałam przecież, że rozum mi odjęło — mówi płaczliwie matka Chandy.

Mąż patrzy na nią przez chwilę z czułym uśmiechem.

— Przepraszam. Faktycznie różne myśli przychodzą człowiekowi do głowy. Parę minut temu wydawało mi się, że słyszę krzyk papugi!

— Wcale ci się nie wydawało. Ja też słyszałam. Podobno żyje tu gdzieś całe ich stado. I rozmnaża się. Tylko patrzeć, jak będą wszędzie. Taki ostry krzyk. — Matka Chandy podchodzi do stojącego na skraju drogi męża, a potem wracają oboje pod wiśnię, na kobierzec opadłych z niej różowo-brązowych płatków.

— Gdyby miała grób, zasadziłabym na nim tulipany — mówi cicho matka Chandy. — Tulipany to błogosławione kwiaty. W urdu i perskim tulipan to *lalah* — te same litery co w Jego imieniu — Allan.

Spogląda na męża i widzi w jego oczach łzy.

— Co ty...? Nie trzeba... — Krtań jej się ściska. Mąż zasłania oczy nadgarstkami.

— Nie płacz. — Coś się z nimi porobiło przez ostatnie lata, zupełnie jakby odchodzący z tego świata krewni i znajomi zabierali ze sobą coś z ich życia.

— Myślisz, że mam serce z kamienia, że nie przeraziłem się, widząc, jak jest poturbowany. A ja nie wierzyłem własnym uszom, kiedy napadłaś na nich, że muszą ci powiedzieć, co naprawdę się stało z Chandą i Jugnu. „Wasz ojciec nie chce mi powiedzieć prawdy, więc wy musicie”. — Kręci głową. — Wiem, myślisz, że ja coś przed tobą ukrywam, że wiem, co się stało z Chandą.

— Wcale tak nie myślę — mówi cicho matka Chandy z tamtej strony lasu podejrzeń, jaki między nimi wyrósł.

— To, co spotkało ciebie, spotkało i mnie. Klnę się na swoje zbawienie i prawdę islamu... chcę, żeby moja córka wróciła, i chcę odzyskać synów.

- Nie wiem, co o tym myśleć, ale wierzę ci. I będę ci wierzyła, jeśli o to prosisz.

— Chcesz przez to powiedzieć, że gdybym cię nie poprosił, podejrzewałaś mnie dalej o nieszczerść? Znaczący, do tej chwili byłem... w twoich oczach... zamieszany w to, co się stało? Jedyne, co dotąd przed tobą ukrywałem, to rozpacz, która mnie przepelnia, a ukrywałem ją, żeby cię nie denerwować. — Spogląda na nią oczyma okrągłymi jak wygładzone przez morze kamyki. Przykłada do nich chusteczkę i chichocze. — Przeklęte łzy! Tyle się nasłuchaliśmy o Anglikach, dzielnych budowniczych imperium, a nawet niektórzy z nich płakali, kiedy pięć lat temu przegrali finałowy mecz\*. Smith się popłakał, i Stewart chyba też. A pakistańscy gracze też płakali, ale ze szczęścia, bo zdobyli puchar.

— No nie, teraz to już naprawdę nie wiem, co myśleć — mówi cicho matka Chandy. — Niech Allah mi wybaczy, ale przychodziło mi nawet do głowy, że co z tego, że żyli ze sobą w grzechu, co z tego, że sprzeniewierzali się Jego przykazaniom, że gdyby można było cofnąć czas, nie zerwałabym z nią z tego powodu wszelkich stosunków. W zeszłym roku przechodziłam obok urzędu stanu cywilnego. Na tablicy ogłoszeń wywieszona była lista zaplanowanych ślubów. Wyczytałam na niej, że jakaś Pakistanka wychodzi za mąż za białego, i przemknęło mi przez myśl, że skoro nasze dziewczęta robią teraz, co im się podoba, to niechby i moja Chanda żyła sobie w grzechu. — Matka Chandy blednie, sztywnieje, zaczyna dygotać, jej szarokar-melowe oczy matowieją. — Skąd mogę mieć teraz pewność, czy oni będą w tym więzieniu bezpieczni? — W zeszłym tygodniu w celi znaleziono zwłoki młodego Pakistańczyka, który odsiadywał trzymiesięczny wyrok i do wyjścia na wolność brakowało mu zaledwie dwunastu godzin. O zamordowanie chłopca oskarżono białego więźnia dzielącego z nim celę.

**\* W mistrzostwach świata w lerykiecie w 1992 roku, organizowanych w Melbourne, Pakistańczyk w finale pokonał Anglię.**



Wiadomość o śmierci syna spadła na rodziców, kiedy przygotowywali powitalne przyjęcie. — W ubiegłym roku w policyjnych aresztach zmarło dwudziestu czarnych.

— Co z tym naszym autobusem? Powinien już nadjechać. — Ojciec Chandy uświadamia sobie nagle, że znajdują się na przedmieściu, daleko od swojego osiedla, w nieznannej okolicy, a wokół żywego ducha. W obcych dzielnicach Dašte-Tanhai kobiety trzymają się blisko swoich mężów i dopiero po wkroczeniu na znajome ulice własnego osiedla pozwalają sobie na zwolnienie kroku, bo tam już nic boją się zostać z tyłu. Ale nawet wśród swoich nie jest całkiem bezpiecznie. Nie dalej jak przed dwoma dniami dwaj biali mężczyźni, przechodząc obok grupki rozmawiających przed sklepem kobiet z dziećmi, zaczęli wznosić okrzyki *Sieg Heil!* Spogląda na żonę. — Skąd wiesz, ilu czarnych zmarło w policyjnych aresztach?

— Słyszałam w radiu.

Milkną, oboje zdjęci tym samym lękiem. I nagle matka Chandy doznaje olśnienia.

— Trzeba ich przenieść do innego więzienia. Poproszę brata-ji Shamasa, żeby pomógł to załatwić.

Zdumiony mąż kręci głową.

— Tak. To dobry człowiek. Pomoże nam. Sama z nim porozmawiam — ciągnie z ożywieniem matka Chandy i spogląda tam, gdzie mąż podobno widział przed chwilą Shamasa. — Zaraz to zrobię! Nie pozwolę, żeby nad moimi synami dłużej wisiało niebezpieczeństwo.

Jeszcze chwila, a ruszy szukać Shamasa. Mąż chwyta ją za ramię.

— Nie.

— On nam powie, jakie druki trzeba wypełnić, gdzie się udać, do kogo się zwrócić. Nie znamy obowiązujących procedur, a z naszą słabą angielszczyzną narobimy pewnie błędów przy wypełnianiu formularzy i załatwienie sprawy niepotrzebnie się przeciągnie.

- Nie. Wiem, że musimy im jakoś zapewnić bezpieczeństwo — nic jestem ślepy, widziałem, jak go pobili. Ale nie podejdziesz drugi raz do Shamasa. Zastanów się tylko, co wygadujesz!

Matka Chandy kiwa potakująco głową, puszcza więc jej ramię. Kobieta oddycha głęboko, żeby się uspokoić.

— O tyle rzeczy chciałam zapytać dzisiaj moich synów, ale nie za dobrze mówię po angielsku. Ilekroć chciałam powiedzieć, co naprawdę czuję, ten strażnik więzienny napominał mnie, żebym nie mówiła do nich w „tym pakibełkocie” „Mów po angielsku albo siedź cicho”, nakazał.

— Z moim angielskim jest jeszcze gorzej — przyznaje mąż. Matka Chandy macha tylko ręką. Ubrana na granatowo stoi

z nim pod drzewem wiśni; z drugiej strony drogi patrzą na nich nieśmiertelne skały i głazy. Po chwili uśmiecha się.

— Tak, za miesiąc pojawią się mango. Może pozwolą nam zanieść im kilka sztuk. Brazylijskie mango już są w sprzedaży, ale w nich nie ma muzyki. — Pestka śliwki, pestka brzoskwini, moreli, mango, wiśni; kiedy dzieci były młodsze, każdego roku na początku jesieni, przycinając krzew róży rosnący w rogu, znajdowała stos pestek tych owoców, które chłopcy wyrzucali w lecie przez znajdujące się bezpośrednio nad nim okno swojego pokoju.

Mąż milczy, kładzie mu więc dłoń na ramieniu.

— Nie podupadaj tak na duchu. Ufajmy, że On pomoże nam wybrnąć z tej biedy.

*Gdzie jesteś? Nie spoczywasz nawet w zaciszu mogiły, leżysz gdzieś wystawiona na wiatr i deszcz, słońce i śnieg.*

Synowie zarzekają się, że nie mają z tym nic wspólnego, ustalono jednak z całą pewnością, że mają, bo się tym przechwalali. Jeden powiedział: „Przyznam się każdemu, że to zrobiłem w podkoszulku z napisem, że to zrobiłem, i z rysunkiem pokazującym, jak to robię”, a drugi: „Oni byli grzesznikami i Allah użył mnie jako miecza przeciwko nim”. Matka Chandy chciałyby wejść w ich dusze z zapaloną lampą i poszukać tam prawdy. Ludzie mówią, że przyznali się do popełnienia zbrodni, ale czego to ludzie nie wygadują.

— Mamy autobus.

Tutaj niebo jest błękitne, bez jednej chmurki, ale gdzieś na trasie musiało padać, bo autobus nadjeżdża mokry. Wsiadają, witają się z pakistańskim kierowcą, płacą i zajmują miejsca.

Siedzenia z tyłu okupuje grupa chłopców; to ci sami, którzy łowili ryby nad rzeką. Śmieją się, rozmawiają głośno, pachną trawą, błotem i mchem. Na podłodze między nimi leżą rzucone byle jak wędkę i podbieraki. Ojciec Chandy wie, co jest powodem tego hałaśliwego zachowania i chichotów, które chłopcy starają się tłumić, ale z takim tylko skutkiem, że ramiona drżą im jak operatorom młotów pneumatycznych: oglądają strzępy wyrwanych z pornograficznego czasopisma kartek, które znaleźli rozrzucone na brzegu. Dopasowują do siebie fragmenty zdjęć, obracają je, przekrzywiają głowy. Oglądali je już wtedy, kiedy do nich podszedł, a to, co wziął za motyla, nie było wcale samolocikiem z papieru — jak powiedział żonie, kiedy zszokowany i zakłopotany zostawił chłopców i wrócił do niej na przystanek — lecz strzępem kolorowej kartki, który wiatr wyrwa! z ręki jednemu z nich.

Kierowca autobusu mieszka nieopodal sklepu; jego żona powiedziała matce Chandy, że ojciec Chandy powiedział mu, że jego córka umarła dla niego w dniu, w którym wprowadziła się do Jugnu, że nie zniesie obok siebie grzesznicy, choćby była jego córką po stokroć, że ta bezwstydnica mogła sobie zaginać, ale w jego domu nikt za nią nie tęskni, i że jest dumny ze swoich chłopców, że zrobili, co zrobili. Matka Chandy nie powtórzyła tego mężowi. Ich osiedle to teren bizantyjskich intryg i emocjonalnego szpiegostwa i kiedy dwie osoby zatrzymują się tam na ulicy, żeby porozmawiać, ich języki zmieniają się we wprawione w ruch ostrza nożyczek, tnąc na kawałki reputacje i dobre imiona. Może więc być tak, że kierowca autobusu kłamał, że kłamała jego żona, może też być, że ojciec Chandy rzeczywiście wypowiedział te lub podobne słowa, lecz zrobił to pod presją. Żeby ratować w towarzystwie twarz, dał na przykład do zrozumienia, że tak myśli, albo czuł się osaczony i na odczepnego powiedział, dajmy na to: „Tak, tak, to, co trzeba było zrobić, zostało zrobione. A teraz dajcie mi spokój”.

W życiu bywa, że trzeba robić albo mówić coś nie po swojej myśli. Ludzi i kajdany łączy najstarsza znajomość świata.

Matka Chandy przeciera dłonią szybę z takim zaangażowaniem, jakby próbowała zetrzeć rozpościerający się za nią świat; ojciec Chandy wyjmuje urdyjską gazetę i zagłębia się w lek-

turze. Autobus zatrzymuje się, wsiada dwoje nowych pasażerów, wstępują na schodki prowadzące na górny pokład.

— To był Shamas! — szepce matka Chandy, szarpiąc męża za rękaw.  
— I była z nim kobieta!

Mąż opuszcza gazetę.

— Gdzie? To pewnie któraś z jego sekretarek. Biała?

— Nie, nasza. Pewnie ta, którą z nim widziałeś. Co by tu robił z sekretarką? Weszli na górę. Była w kaszmirowym żakiecie, a on trzymał zielone pióro. Chyba papuzie.

— Czyżby wszyscy synowie tej rodziny byli tacy, za nic sobie mieli przyzwoitość, robili, co im się podoba? — mruczy z tłumionym oburzeniem ojciec Chandy. — Niech sobie używają z białymi kobietami — nie od dziś wiadomo, jakimi zasadami moralnymi się kierują — ale przynajmniej nasze mogliby zostawić w spokoju. Myślałby kto, że postawili sobie za cel zbałamucić każdą Pakistankę, jaką spotkają na swej drodze. — I dodaje stanowczo: — Moim zdaniem są wciąż zatruci hinduizmem swojego ojca. Ten bóg Kriszna i jego tysiąc nałożnic! I drwią z naszego Proroka, niech pokój będzie z Nim, że miał tylko dziewięć żon!

Matka Chandy wzdycha.

— Może mylimy się oboje. Niech Allah mi wybaczy, że źle myślę o innych. Może oni nie byli ze sobą. Nie zauważyłam nic, co by wskazywało, że się znają; a ty. wcześniej?

Ojciec Chandy zaprzecza jednym gniewnym potrząśnięciem głowy, wciąż jest zły. — Chyba nie przyjąłbym od niego pomocy, nawet gdyby sam ją zaoferował. Jego brat zepsuł mi córkę! To przez nich cała ta afera.

Dwadzieścia minut później autobus zatrzymuje się i kierowca, wychylając się ze swojego fotela, prosi siedzących z tyłu chłopców o opuszczenie pojazdu. Wykupili bilety tylko do tego przystanku.

Wszyscy pasażerowie oglądają się, robi to też mężczyzna, który właśnie wstał, żeby tu wysiąść.

Cała piątka chłopców, rozsiewająca wokół nadrzeczną kompozycję zapachów mchu, gleby i młodych liści, tudzież samej rzeki, w której dwaj z nich się kąpali, milknie i zastyga w pozycjach, w jakich zastało ich wezwanie kierowcy.

Kierowca odryglowuje metalowe drzwiczki obok swojego fotela i staje w przejściu między siedzeniami zaśmieconym zużytymi biletami, z których każdy nosi odcisk podeszwy czyjegoś buta i przywodzi na myśl ostemplowany znaczek na liście.

— Proszę wysiąść albo dopłacić, jeśli chcecie jechać dalej. Pamiętam, ile zapłaciliście.

Ubrani pstrokato chłopcy żywo protestują, twierdzą, że to jakieś nieporozumienie. Są jeszcze na etapie eksperymentowania, sondują, ile i jak można wycisnąć z życia.

— To pokażcie bilety. — Kierowca przeciska się obok mężczyzny stojącego w otwartych drzwiach i rusza w ich kierunku. Protesty przybierają na sile. We wnętrzu ciętego promieniami słońca autobusu jest jak w diamencie.

Kierowca ogląda bilety i okazuje się, że miał rację.

— Proszę dopłacić po dwadzieścia pięć pensów na każdego. **Haram-khor!** Nie, nie, w takim razie proszę wysiąść! Nic utrudniajcie. Albo jeszcze po dwadzieścia pięć pensów od każdego. Grzecznie proszę. **Behen ćod.** — Cała szóstka mówi naraz, przekrzykuje się, nic popuszcza, żaden zarzut strony przeciwnej nie pozostaje bez odpowiedzi.

— Ej! — woła ni stąd, ni zowąd mężczyzna stojący z przodu autobusu. — Ej, ty, Gupta, czy jak was tam zwa, Abdul-Patelu. Panie Nielegalny Imigrancie-Azylancie Z Bożej Łaski! Wracaj na swoje miejsce.

Zdumiony kierowca ogląda się. Protesty chłopców cichną, ich buńczuczność pęka jak mydlana bańka.

— Na miejsce, ale już — mężczyzna, pokazując na fotel kierowcy, dźga powietrze palcem jak dorosły przywołujący do porządku dziecko. — Ludzie się niecierpliwią.

— Ależ, proszę pana, z pracy mnie wyrzuca, jak wejdzie kontroler i... — Kierowca przestępuje z nogi na nogę. — Zapłacili za przejazd tylko do tego przystanku, proszę pana... jak chcą jechać dalej, muszą dopłacić po dwadzieścia pięć centów... — Na miejsce.

Kierowca z miną skarconego psa robi kilka kroków.

— Z pracy mnie wyrzuca... przez nich...

Patrzą na siebie z dwóch stron granicznego muru.

— Ja ci zapłacę... ile? — Mężczyzna wyciąga portfel. — Na miejsce, powiedziałem.

Kierowca już bez słowa wraca na swój fotel, inkasuje należność, i mężczyzna wysiada ostentacyjnie, rzucając jeszcze na odchodnym:

— Trochę szacunku dla kraju, który was przygarnął. Nie jesteście tu u siebie.

Biali pasażerowie patrzą w okna. Matce Chandy serce wali jak miot, omal nie wyskoczy z piersi. Pali ją twarz i całe ciało, krew gotuje się w żyłach.

— Mam nadzieję, że kierowca nie zabierze tego upokorzenia do domu — odzywa się, kiedy autobus rusza — nie wyładuje go na swoich dzieciach i żonie.

Autobus zjeżdża nagle na pobocze i zatrzymuje się. Kierowca wstaje i unikając spojrzeń pasażerów, wychodzi zza kierownicy. Otwiera drzwi, wysiada. Mija minuta, dwie, trzy, cztery, płynie piąta, a on nie wraca. Pasażerowie zaczynają się niecierpliwic. Kilkoro podnosi się z miejsc. Idą na przód autobusu, wyglądają. Kierowca, trzymając się za głowę, siedzi na przydrożnym kamieniu, pod kwitnącym krzakiem. Pada kilka nieśmiałych „przepraszam”, ale on jakby ogłuchł.

Nikt nie wie, co robić.

— Niech pan wraca, kochaniutki — mówi łagodnie biała kobieta, wystawiając głowę przez otwarte drzwi. Żadnej reakcji. Zatrokana kobieta przykładą dłoń do ust i w tym momencie rodzice Chandy tężeją: z górnego pokładu schodzi Shamas. Jest zaintrygowany, obraca w palcach jasnozielone pióro. Wysiada, pochyła się nad kierowcą, rozmawiają. Po kilku minutach mężczyzna podnosi się z kamienia i wraca do autobusu.

— Tego nie wolno tak zostawić. Po powrocie na bazę niech pan zgłosi incydent przelożonym — mówi Shamas do kierowcy w języku pandżabskim. — Zgłosi i zażąda, żeby zaczęli rejestrować przypadki rasistowskich zachowań wobec kierowców autobusów. A jutro zapraszam do mojego biura. My też ze swej strony się tym zajmiemy.

Mężczyzna kiwa głową i siada za kierownicę. Shamas zerka przelotnie na pasażerów z dolnego pokładu i wstępuje na schodki prowadzące na górę.

— Myślisz, że nas zauważył? — pyta męża matka Chandy.

— Ta kobieta w kaszmirowym żakiecie stała na schodach, tak jakby na niego czekała. Ale może zniecierpliwiał ją tylko ten postój i zeszła z góry, żeby zobaczyć, co się stało. Dobrze mówię?

Matka Chandy kiwa potakująco głową.

— Może.

Autobus rusza. Przez kilka minut, jakie zajmuje dojazd do obwodnicy okrążającej centrum miasteczka, nikt się nie odzywa. Na każdym zakręcie i wyboju pasażerowie kiwają się albo podskakują jak butelki w skrzynce. Młodociani wędkarze z tyłu zaczynają zbierać wędki, siatki i koszyki. Nagle podnoszą radosną wrzawę — otworzyła im się puszka z przynętą.

Jest perłowa godzina późnego popołudnia, ściemnia się, po obu stronach ulicy, którą jedzie autobus, ciągną się sklepy. Pachnący zielonolistnym światem chłopcy chodzą w kucki przejściem między siedzeniami i uśmiechnięci od ucha do ucha wybierają robaki spomiędzy butów pasażerów. Matka Chandy podrywa nogi. Brzydzi się tych padlinożerców, ich krewniacy żerują teraz na zwłokach jej córki.

— Wciąż się zastanawiam, czy tam na górze coś się dzieje. — Ojciec Chandy wskazuje na metalowy sufit.

— Przestań. — Matka Chandy kręci głową. — To dobry człowiek. Widziałeś, jak przemówił do rozsądku kierowcy? I pamiętam, jaki był wobec mnie uprzejmy, kiedy zaczepiłam go wtedy o świcie i nagadałam głupstw. — Spogląda na męża. — No, nie burmusz się tak, obiecuję, że więcej do niego nie podejść.

Ale ojciec Chandy siedzi naburmuszony, wspomina słowa żony: „Przyszło mi do głowy, że może Chanda i Jugnu sprzedali swoje paszporty innej parze, a sami postanowili zostać w Pakistanie...”. Zaraz, a niby dlaczego nie mogło tak być? Tylko czemu nie poprosili tych dwojga, żeby po znalezieniu się w Wielkiej Brytanii poszli na policję i powiedzieli, że przekroczyli granicę na paszportach Chandy i Jugnu? Nie. Potrząsa głową, kto by się na to zgodził?

Ale im dłużej się zastanawia, tym poszczególne elementy całej mistyfikacji zaczynają się układać w coraz spójniejszą

całość; „Ej, ty, Gupta, czy jak was tam zwa, Abdul-Patelu. Panie Nielegalny Imigrancie-Azy lancie Z Bożej Łaski! Wracaj na swoje miejsce...”. Nielegalni imigranci! A może by tak znaleźć parę nielegalnych imigrantów i zaproponować, żeby za odpowiednią opłatą poszli z tą historyjką na policję? Odwraca się do żony.

— Powiedziałaś przed chwilą, że to był głupi pomysł z tym rzekomym powrotem Chandy i Jugnu do Anglii, i w ogóle, ale to wcale nie takie głupie. Niby czemu nie mogło tak być? Kto tak powiedział?

— Na Allana! Myślisz, że Jugnu i moja Chanda żyją?

— Nie wiem. Ale może dałoby się znaleźć mężczyznę i kobietę, którzy poszliby na policję i powiedzieli, że wjechali do Anglii na paszportach kupionych w Pakistanie od Jugnu i Chandy? Na lotniskach nikt nie patrzy, czy fotografia się zgadza.

— Dokładnie to samo powiedziałam Shamasowi.

— To by chyba było do załatwienia.

— Mówisz poważnie?

— Jak najpoważniej.

— Tylko kto się zgodzi pójść na policję i coś takiego powiedzieć?

— Nielegalnych imigrantów jest w tym kraju zatrzęsienie. Znajdziemy jakąś parę i zapłacimy im. — Ojciec Chandy mówi i myśli szybko, w żyłach krąży adrenalina.—Naturalnie, policja ich deportuje, ale sądzę, że jeśli dobrze im zapłacimy, chętnie wrócą do Pakistanu. Będziemy sugerowali, że mamy już innych kandydatów, więc dużo nie zażądają.

— To i tak nie wyjaśni, gdzie są Jugnu i Chanda.

— Ale obali hipotezę, że zostali zabici przez kogoś z naszej rodziny Bracia Chandy mieliby siedzieć w więzieniu tylko za to, że nie można ustalić miejsca jej pobytu? To nie ich wina.

Matka Chandy kręci sceptycznie głową.

— To nie przejdzie. Za grubymi nićmi szyte.

— Gadanie.

- Na Allana, ty naprawdę chcesz to zrobić? — Matka Chandy jest wstrząśnięta. — I zrobię.



— Dusza Chandy nigdy nam nie wybaczy.

— Troszczmy się przede wszystkim o żyjących.

— Gdzie ty masz serce?! — Matka Chandy wybucha płaczem. —  
Mężczyźni! Jak możesz tak mówić o własnej córce?

Mąż nie odpowiada od razu, czeka, aż żona się wypłacze.

— Mam serce na swoim miejscu — odzywa się cicho, kiedy jej oddech w końcu się pogłębia i wyrównuje. — Widziałem dzisiaj swojego pobitego, obandażowanego syna i sama mówiłaś, że trzeba coś zrobić, żeby obaj byli bezpieczni, prawda? Do Shamasa o pomoc się nie zwrócę. Musimy więc zająć się tym sami.

— To również moi synowie — mówi po chwili milczenia matka Chandy. A potem wzdycha i pyta: — A jeśli ta podstawiona para zgodzi się pójść na policję, i pójdzie, ale w ostatniej chwili się rozmyśli i powie policjantom, że to my ich przysłaliśmy? Mogliby nas wsadzić do więzienia. Za nakłanianie do fałszywych zeznań i wprowadzanie w błąd wymiaru sprawiedliwości.

Mąż rozważa to przez kilka uderzeń serca, po czym kręci głową.

— Wyprzemy się i już. Nie będzie dowodów, a na słowo im nie uwierzą. — Po chwili zastanowienia ciągnie: — Na początek wypłacimy tej parze tylko część uzgodnionej sumy. Resztę dostaną, kiedy wywiążą się z zadania i będą czekali na deportację.

— Możemy się też z nimi umówić, że resztę pieniędzy dostaną dopiero w Pakistanie, dopiero kiedy ich tam odeślą.

Mąż kiwa głową. - Tak będzie nawet lepiej.

Ma pod dostatkiem banknotów powiązanych w paczki. Chłopcy należeli do grupy, której przed kilku laty udało się przemyścić / Pakistanu heroinę ukrytą w kartonach z owocami i warzywami. Nie wiedział o tym nikt z rodziny, a kiedy mu powiedzieli, kazał im przysiąc, że nigdy więcej tego nie zrobią. Koledzy chłopców — z których jeden prowadził hinduską restaurację — założyli firmę krzak i poprzez nią sprowadzili najpierw siedemdziesiąt cztery, a potem dwa razy po czterdzieści sześć kartonów Hiiajaw, miszpcelników, *dżamunu*, *saflalu*, morw i *falsy*. Łączna wartość ukrytej w kartonach heroiny, liczona po cenach detalicz-

nych, wynosiła siedemset pięćdziesiąt tysięcy funtów, ale chłopcy partycypowali tylko w pierwszej dostawie — mieli za zadanie pojechać własną furgonetką na przydrożny parking, przejąć tam kartony od mężczyzny, który odebrał je z lotniska, i przywieźć do Dašte-Tanhai.

— Przyszedł wczoraj do meczetu młody człowiek — podejmuje ojciec Chandy — i mówi że jest nielegalnym imigrantem z Pakistanu i szuka brata, który kilka lat temu przyjechał do Anglii i od tamtego czasu nie daje znaku życia.

— Podał adres, pod którym można go znaleźć?

— Nic. Powiedział, że ten zaginiony brat ma czarne włosy, a wśród nich jeden jedyny złoty. Ale adresu nie, nie zostawił. W każdym razie takich jak on jest wielu. Wystarczy się dobrze rozejrzeć.

Waniliowo-zielony autobus kluczy ulicami miasteczka wyznaczoną trasą, zmierzając ku centrum; zatrzymuje się raz po raz przed fortepianowymi klawiaturami przejść dla pieszych, jego odbicie przesuwają się po szybach sklepowych witryn wielkości kinowych ekranów. Rodzice Chandy milczą, widok własnych sylwetek w tych witrynach sprawia, że czują się bezcieleśni.

Matka Chandy czułym ruchem kładzie dłoń na dłoni męża i trzyma ją tam przez chwilę. To, co dotknęło ją, dotknęło również jego.

Końcowy przystanek. Pasażerowie zaczynają wysiadać, ale oni nie wstają z miejsc, siedzą jak zahipnotyzowani.

— Jej dusza nigdy nam nie wybaczy — mówi cicho matka Chandy. I nagle ich oczom ukazuje się Shamas schodzący z górnego pokładu. Jest sam, za nim postępuje trójka pasażerów. — Czyli się pomyliliśmy — ciągnie matka Chandy. — Ta kobieta nie była z nim. — Kobiela, o której mowa, schodzi z góry ostatnia. — Widziałeś, jaka była piękna — dodaje szeptem matka Chandy, wstając. — Na Allaha, istna hurysa.

Zaferowani oboje własnymi sprawami nie zauważyli, że tym razem, na ostatnim przystanku, jasnozielone papuzie pióro trzymała Suraya.

## *Taniec zranionych*

Zapylenie kwiatów to zadanie owadów. Ale Shamas pamięta, że ktoś mu kiedyś opowiadał o rzadkiej roślinie, którą znaleźć można tylko na jakiejś dalekiej górzystej wyspie i którą zapyla się ręcznie, przenosząc pyłki z kwiatu na kwiat miękkim pędzelkiem; owady, które do niedawna się tym zajmowały, wyginęły — owady nieznanne człowiekowi. Nie ulega wątpliwości, że roślina nie przetrwałaby do naszych czasów bez tych wymarłych już stworzeń. Nikt nie wie, jak wyglądały. Te kwiaty są jedynym świadectwem, że jeszcze niedawno musiały w przyrodzie występować.

Są jak kwiaty złożone na grobie kogoś bliskiego.

Późnomajowy wieczór, ściemnia się, nadciąga noc, a on idzie nad jezioro, wdychając z lubością intensywny zapach zalegający nad obsypanymi kwiatem omżynami. Gdzieś spośród szarozielonego listowia wyfruwa i otacza go wirem gromada ciem.

Upojny aromat towarzyszy mu przez kilka kroków, górą, sam sobie, dryfuje księżyc. Od spotkania w „Safinie”, tamtego popołudnia na początku maja, już pięć razy widział się i rozmawiał z Surayą. Nigdy nie umawiali się konkretnie, nigdy nie miał pewności, czy ona przyjdzie, ale czekał i zawsze przychodziła.

Odnosili się do siebie formalnie, niemal wstydliwie, i nie doszło między nimi do choćby przelotnego kontaktu fizycznego, bo dzieli ich szklany most. Jak dotąd nie było żadnych konsekw-

wencji tych spotkań i czasami trudno mu uwierzyć, że to dzieje się na jawie. Czytał gdzieś, że chociaż bombardowani za dnia masą bodźców z otoczenia, nie zdajemy sobie z tego sprawy, to na jakichś podprogowych poziomach śnimy przez cały czas.

Spotyka się z Surayą z coraz silniejszym poczuciem, że zdradza Kaukab. Przecież jej nie opuszczam, próbował sobie wmawiać na początku; ale za stary jest, żeby przekonały go takie kruche argumenty. Opuszcza ją, tyle tylko że nie wyprowadza się z domu. Każda wyprawa na spotkanie z Surayą wymagała lwiej odwagi i próbował nie myśleć, jak zareaguje Kaukab, jeśli się dowie.

Księżyc stoi jeszcze nisko i sklep żeglarski jest wypełniony po brzegi jego przykurzonymi odbiciami, po jednym w każdym z wiszących tam złuszczonych, zmatowiałych luster. Na ciemniejszych partiach nieba pojawiają się już gwiazdy i konstelacje i Shamas, patrząc na nie, przypomina sobie, że te zamglone galaktyki to jakoby pył wzniecony kopytami uskrzydłonego rumaka, na którym Mahomet odbył nocną podróż do nieba na spotkanie z Allanem. Przekracza krętą, przezroczystą żyłę małego strumyka. Widzi już przed sobą kolonię okazałych, drogich domów, która wyrosła nad brzegiem jeziora. Kwiaty kwitną tam setkami, a nierozwinięte jeszcze czubki liści gigantycznych paproci przypominają pięści czerwono włosów goryli.

Rodzina mieszkająca w jednym z tych domów to potomkowie świętego męża z Fajsalabadu w Pakistanie. Do uczniów tego czcigodnego antenata nadjeziornej rodziny zaliczali się między innymi przodkowie nabożnego śpiewaka Nusrata Fateha Ali Khana — człowieka, którego pewien londyński krytyk nazwał „najlepszym i najwybitniejszym śpiewakiem współczesności”, a inny „jednym z trzech, może czterech prawdziwie wysublimowanych głosów dwudziestego wieku — artystą porównywalnym z Marią Callas i egipską śpiewaczką Umm Kulsum.

Nusrat, kiedy tylko może, uczestniczy w dorocznych obchodach *urs* w świątyni pod Fajsalabadem, by ukorzyć się przed starożytnym świętym. Święty ów musiał wyświadczyć przed wiekami jakiegoś rodzaju przysługę jego przodkom, ale nikt już nie pamięta, co to była za przysługa; ten akurat szczegół

nie ma dla Nusrata większego znaczenia — nie pamięta się smaku mleka matki, ale to wcale nie znaczy, że się go kiedyś nie polrzcbowowało albo nie piło. Dodatkowo Nusrat oddaje w ten sposób szacunek swoim praprzodkom: skoro uważali, że święty wart był uwielbienia, to ich potomek nie będzie tej opinii podważał.

Rosnąca w świecie sława sprawia, że Nusrat w tym miesiącu jest na tournée w Anglii, a zaraz potem leci do Los Angeles nagrywać ścieżkę dźwiękową do jakiegoś hollywoodzkiego filmu. Do Anglii przyleciał prosto z Japonii, gdzie miał recital w telewizji; zbiegło się to w czasie z dorocznym fajsalabadzkim świętem *urs* i niestety nie mógł pojawić się tego roku w świątyni, w zamian postanowił odwiedzić potomków świętego podczas pobytu w Anglii.

Dziś wieczorem, w blasku księżycy — kiedy aspidistric w ciemnych ogrodach otworzą kwiaty przed zapylającymi je ślimakami — pod białym namiotem rozbitym za nadjeziornym domem, wszyscy chętni będą mogli wysłuchać wyboru pieśni w wykonaniu tego niezziemskiego głosu. Suraya przyjdzie na pewno. Kaukab też.

Powiedział Surai o koncercie, kiedy spotkali się dziś przelotnie; dziewczyna, którą kilka tygodni temu widział nad rzeką z kochankiem hinduistą — tłumaczyli mu się wtedy, że szukają miejsca, gdzie znaleziono ludzkie serce — została zatłuczona na śmierć przez świętego męża, którego sprowadzono, by wypędził z niej dżinny. Shamas zaszedł dzisiaj do rodziców nieszczęsnej. Dom pełen był żałobników i ludzi przychodzących złożyć kondolencje, ale na parę chwil znalazł się w pokoju sam na sam z Surayą. Ubrana była, tak jak wszyscy, możliwie najskromniej, żeby strojem nie obrażać zmarłej i nic przypominać o rozkoszach życia, których nieboszczka i opłakujący ją już nigdy nie zaznają. Rozglądała się za kwiatami róży i jaśminu.

— Trzeba ich dodać do wody, którą obmywane będzie ciało — wyjaśniła, a on wręczył jej leżącą w kącie płócienną torbę pełną karmazynowych i białych kwiatów, kwiatów barwnych jak żywiące się pszczołami żołą. Do tego i owego płotka czepiał się złotymi nóżkami mały skrzydlaty owad.

— Kiedy tu wchodziłem, dzieci zrywały je w ogrodzie przed domem. Zdmuchiwały mszyce, pieczołowicie podnosiły z ziemi każdy upuszczony kwiat, każdy płatek i nie mogłem z początku pojąć, kto kazał im to robić i po co. — A potem powiedział jej o dzisiejszym recitalu Nusrata — chciał wysondować, czy przyjdzie. Wybiegła z pokoju, zostawiając go z poczuciem, że mówienie o pieśniach i śpiewaniu w domu pogrążonym w żałobie mogło się jej wydać niestosowne. Ale bardzo chciał ją znowu zobaczyć i nie miało to nic wspólnego z brakiem szacunku dla nieszczęsnej dziewczyny, która w tak tragiczny sposób rozstała się z życiem. Zginęła w wyniku egzorcyzmów, które zamówili rodzice za zgodą zięcia. Odprawiający je święty mąż zapewnił rodzinę, że zastosowanie umiarkowanej siły nie zaszkodzi dziewczynie, tylko dżinnom, i że nie ma innego sposobu na przegnanie tych wrednych duchów niż chłostanie ciała, w które weszły. Dziewczynę zaciągnięto do piwnicy i poddano chłości. Trwała kilka dni. Matka i ojciec siedzieli w tym czasie w pokoju nad piwnicą i czytali na głos Koran. Nie dawano jej jeść ani pić, nie pozwalano zasnąć nawet na pięć minut, a kiedy zaczęła zarastać brudem, matka zabrała ją na górę do łazienki, obmyła i sprowadziła z powrotem do piwnicy na dalsze egzorcyzmy. Święty mąż kazał jej stanąć na podgrzanej do czerwoności metalowej tacy. I już nie było wątpliwości, że została opętana, bo zaczęła mówić w pendżabskim, języku swojej matki, w którym nigdy z rodzicami nie rozmawiała. Siedzący w niej przebiegły dżinn zdał sobie sprawę, że święty mąż nie zna angielskiego i o litość można go błagać jedynie w pendżabskim.

W „Afternoon” napisano, że zgodnie z raportem koronera dziewczyna ręce i nogi połamane miała kijem do krykieta, a klatkę piersiową wgniecioną, tak jakby po niej skakano.

Świętego męża z brodą tak bujną, że pawie mogłyby uwić sobie w niej gniazdo, aresztowano i prawdopodobnie zostanie skazany na dożywocie za morderstwo, a matce i ojcu grozi dziesięć lat za pomocnictwo w zbrodni.

Po osiedlu krąży tyle opinii o tym zabójstwie, ile jest ust.

Wśród młodzieży: „Chodziłam z nią do szkoły i była wobec nas, swoich koleżanek, w porządku. Dziwnie musiała się za-

chowować tylko w domu. Nie wyobrażam sobie, żebym w obliczu śmierci mówiła w języku moich rodziców — chociaż go znam".

Wśród starszych: „Co to za matka, he? Co za matka? Jak mogła jeść, wiedząc, że córka głoduje? Bił ją łańcuchem od roweru".

Wśród tych w średnim wieku: „Ci święci mężowie to porąbańcy, właśnie przez takich biali mają złą opinię o islamie. Nade mną też odprawiano egzorcyzmy i pomogło. Patrzcie, jaka teraz jestem zdrowa. A wcześniej strasznie bolał mnie brzuch i co chwila mdlałam".

Część z nich Shamas słyszał dzisiaj sam w domu dziewczyny i na pogrzebie, część powtórzyła mu Kaukab. Rozmawiając z nią o zabójstwie, Shamas stara się panować nad miotającą nim wściekłością i smutkiem, bo wie, że to islam każe jej wierzyć w dzinny, czary i duchy. Ona ze swej strony również miała pewne obiekcje, choć głośno tego nie przyznawała. Ten święty mąż albo był szarlatanem, albo nie znał się na rzeczy — myślała — a ta biedna dziewczyna wcale nie musiała być opętana, co jeszcze nie znaczy, że dzinnów nie ma. Allah stworzył je z ognia — tak stoi czarno na białym w Koranie. Niemal wszyscy z ich osiedla wierzą w takie rzeczy. Nie dalej jak dziś Kaukab opowiadała, że kiedy kupowała w sklepie hibiskusowy olejek do włosów, podeszła do niej podekscytowana kobieta i zagaiła rozmowę, pytając najpierw, czy wie, jak wywabić z białego płótna plamę z proszku antymonowego używanego do barwienia oczu, a potem zapytała, czy jej mąż ma na imię Shamas. „Dzieci mówią, że po lesie nad jeziorem snują się dwa smutne duchy, świetliste jak postaci, które zeszły z kinowego ekranu, mężczyzna i kobieta, jego dłonie i jej hr/uch świecąjaśniej niż reszta ciał". Kaukab i Shamas słyszeli już tę plotkę, ale tym razem jest w niej nowy szczegół. „I nie poruszając ustami, wołają raz po raz cicho kogoś imieniem Shamas".

Kiedy Suraya przybywa na występ Nusrata Fateha Ali Khana, w powietrzu rozbrzmiewają już rozbudowane strofy urdyjskiej poezji. Nusrat śpiewa niepokojącym, zmysłowym głosem księ-

życową pieśń, po białym płótnie namiotu falują rozmyte cienie poruszanych ciepłym wietrzykiem liści. Wszystkie twarze zwrócone są ku niemu, scenę nastrojowo oświetlają papierowe lampiony ze słabymi żarówkami.

Suraya szykowała się właśnie do wyjścia z domu, kiedy zatelefonował mąż z synkiem. Gdy rozmawiała z chłopczykiem, ten w pewnej chwili powiedział: „Masz w uszach te złote wisiorki, prawda, te, w których tak się tacie podobasz? Słyszę, jak pobrzękują”. Tak, miała, i pochwaliwszy go, że jest bystrym młodym człowiekiem, zdjęła je z poczuciem, że strojąc się dla innego mężczyzny, zdradza męża. Ale po wstrząsającej informacji, jaką przekazał jej mąż, założyła wisiorki z powrotem. Teściowa zamierza znaleźć mu nową narzeczoną. Suraya omal nie krzyknęła z bólu. Potem słuchawkę przejęła teściowa i powiedziała, że mężczyźnie potrzebna żona. „Jak długo jeszcze ma tu na ciebie czekać?”.

Wisiorki w płatkach uszu podźwiękują cichutko: potrzebuje ich, wystroiła się dla Shamasa. Pomijając dzisiejsze spotkanie w domu zmarłej dziewczyny, od czasu kiedy wybrali się za miasto, żeby zobaczyć stado papug z różowymi kryzami, widzieli się jeszcze kilka razy; dał się jej namówić do wyrecytowania kilku fragmentów swoich wierszy, doprowadziła do stanu używalności stary samochód matki, żeby jeździć nim na spotkania, zdążyli się już nawet posprzeczać (poszło o jego krytyczny stosunek do islamu. „Ilekroć powiedziałam coś, co moja matka uznała za sprzeczne z nauką islamu — oznajmiła mi wstrząśnięta do głębi jego słowami — słyszałam w odpowiedzi: «Mów ciszej! Allah mieszka w moim sercu i cię usłyszy»”). A kiedy on nadal obstawał przy swoim, głęboko urażona wygarnęła mu, że kruchość dowodów i iluzoryczne postrzeganie tego świata nic mogą przesłaniać Allaha: „Powierzchnia wody nie zatrzymuje nurka”). Ale nie mogła się zdecydować, jaki powinien być jej następny krok.

Nusrat ze swoim zespołem złożonym z ośmiu muzyków siedzą na niewielkim podwyższeniu, które zasłano wzorzystym perskim dywanem; wełna połyskuje na szafirowo i lazurowo. Złożoność tej muzyki wymaga od wykonawców lat wyteżonych ćwiczeń i absolutnego zgrania, ale linie melodyczne i rytmy tak



szybko wpadają w ucho, że zapamiętują je i uwielbiają nawet dzieci — między innymi synek Surai; a ponieważ na subkon-tyncie dzieci towarzyszą wszędzie rodzicom — pojęcie opiekunki do dziecka jest tam zupełnie nieznane — jest tu dzisiaj kilkoro młodszych wiekiem wielbicieli Nusrata. Kiedy artysta wchodził do namiotu, jakiś czterolatek poznał go i krzyknął do matki: „Mamusiu: Nusrat! Patrz, tam!”.

Teściowa oznajmiła Surai pojednawczo: „On ożeni się teraz z inną, a kiedy wybrniesz wreszcie ze swoich kłopotów, poślubi również ciebie. Islam pozwala mu mieć cztery żony”.

— Ani myślę tolerować pod moim dachem innej kobiety i rywalizować z nią o względy męża! — wyrzeszczała do słuchawki Suraya. — Allah mi świadkiem, zabiję ją!

Ale czyż sama nie gotuje takiego losu żonie Shamasa? Bo przecież jeśli wszystko pójdzie po jej myśli, ta biedna kobieta, na krótko, bo na krótko, ale mimo wszystko będzie się nim musiała z nią podzielić.

Drżą jej ręce. Bierze się w garść i słucha Nusrata, który wykonuje właśnie pieśń miłosną, a kiedy dochodzi do słowa „ty” — oznaczającego ziemską ukochaną — wskazuje palcem niebo, dając tym do zrozumienia, że Allanowi dedykuje tę miłość; kochanek szukający ukochanej symbolizuje ludzką duszę szukającą zbawienia.

Czas jej się kończy. Ogląda się, wypatruje w tłumie Shamasa; coś (co?) musi się wydarzyć i to wkrótce. Dzisiaj.

O Allahu, co wpisałeś pod moim imieniem do Księgi Przeznaczenia?

Stojący z tyłu Shamas odnajduje wzrokiem Kaukab — przyszła osobno z grupą sąsiadek — i zaraz potem dostrzega Surayę w oliwkowozielonych jedwabiach, wysmukłą jak cyprys, wjej szklane bransolety wnika i uśmiecha się stamtąd księżycowa poświata.

Nusrat cofa się w czasie o stulecia i przenosi na pustynię 'I hal w południowym Pakistanie, gdzie szaleje piaskowa burza; wciela się w postać pięknej Sassi, młodej kobiety, która przyszła na świat w rodzinie bramińskiego kapłana, ale włożono ją do

skrzynki z drewna sandałowego i spławiono Indusem, bo z jej horoskopu wynikało, że w przyszłości przyniesie hańbę rodzinie, wychodząc za muzułmanina; wyłowiła ją z rzeki i wychowała jak własną córkę muzułmańska praczka. Teraz, już dorosła i zagubiona na palonej słońcem, niezmierzonej pustyni Thal, woła swojego ukochanego Punnu, a porywisty wicher szarpie na niej szatę. Punnu w tajemniczy sposób zniknął w nocy, szuka go więc zrozpaczona...

Czubki palców muzyka grającego na tabli przemieszczają się po skórach bębnów bardzo szybko jak palce biegłej sekretarki po klawiaturze komputera.

Urodzeniowy horoskop Sassi mówił również, że jej historia opowiadana będzie przez wiele stuleci, które nadejdą.

Umrze na pustyni, ale dopiero kiedy promyk nadziei obudzi w niej odcisk kopyta pozostawiony przez należącego do Punnu wielbłąda, ostatni ślad ukochanego.

*Przycisnęła do niego pierś.*

*Za często jednak lękała się go dotykać,*

*Zeby nie zniknął.*

Umiera z policzkiem wtulonym w półkolisty ślad.

Młoda kobieta z widowni, wzruszona do łez, szlocha cicho, a Nusrat śpiewa pełnym bólu głosem. Shamas rozpoznaje ją, Kaukab mu o niej opowiadała. Dziewczyna wyszła za mąż za kuzyna sprowadzonego z Pakistanu i ich pierwsze dziecko urodziło się z jednym płucem mniejszym, a drugie bez przepony. Niedawno, w szóstym miesiącu trzeciej ciąży, dowiedziała się, że u płodu nie wykształciły się uszy; musi chodzić codziennie na USG. Teraz, szlochając, prosi bez wątpienia duszę pobożnego dawnego poety-świętego — którego strofy śpiewa Nusrat — żeby wstawił się za nią u Allaha. *Zwracam się do ciebie, mój bracie z minionych pokoleń...* Kobiety obejmują, uspokajają, twarze mają stężałe, zatroskane.

W grupie słuchaczy pod kulistym lampionem, wokół którego krąży żółta ćma wielki szmaragd, Shamas dostrzega rodziców Chandy. Nie chce nawiązywać z nimi kontaktu wzrokowego. Wielki szmaragd ożywia się, zaczyna ocierać o powierzchnię

białej kuli, jest coraz bliżej otworu na szczycie i w końcu wpada do lampionu jak ktoś rzucający się w paszczę wulkanu. Shamas słyszał, że jeden z morderców Chandy i Jugnu został w więzieniu pobity; i od kilku dni żyje w przekonaniu, że tylko patrzeć, jak rodzice Chandy poproszą go o pomoc w przeniesieniu syna do innego więzienia. Sami słabo mówią po angielsku i należą do ludzi, którzy brnąc wyboistą ścieżką swojego życia w Anglii, codziennie zwracają się do Shamasa o pomoc i radę. A on z podlegającymi mu pracownikami musi wyjaśniać w biurze rozmaite procedury mężczyznom i kobietom z gruntu nieza-trudnialnym, nienawidzonym, nieznanym angielskiego albo zbyt zahukanym, żeby zwrócić się o pomoc do kogoś o białej skórze.

Ale oni jeszcze do niego nie przyszli. Może ich synowa mówi po angielsku i zajęła się sprawą? Tak czy owak musi jakoś, może za pośrednictwem Kaukab, dać rodzinie Chandy do zrozumienia, że gdyby potrzebowali pomocy, w biurze zawsze będą mile widziani. Z lampionu wydobywa się smużka dymu — najwyraźniej ćma w zetknięciu z gorącą żarówką uległa kremacji. Shamas czuje, że musi usiąść — słabo mu się zrobiło na samą myśl, że miałby pomagać mordercom! Ale powinien dać do zrozumienia rodzicom Chandy, że mogą na niego liczyć. Zresztą nie muszą /wracać się bezpośrednio do niego, jeśli to ich krępuje. Nie jest przecież właścicielem biura, pracuje tam tylko.

Pali go w piersiach. Każdy wdech podsyca w nim ten płomień jak strumień powietrza z miecha. Rozgląda się. Nie chce myśleć o braciach Chandy, kiedy wyobraża sobie ostatnie chwile kochanków na ziemi, serce kurczy mu się z przerażenia. Dzisiaj, nu pogrzebie zakatowanej na śmierć dziewczyny, ktoś mu powiedział, że wczoraj robotnicy rozkopujący jezdnię przy kościele w centrum miasteczka znaleźli ludzkie szczątki. Ta wiadomość podziałała na niego jak uderzenie obuchem w głowę. Ale potem wyjaśniło się, że prawdopodobnie był to jakiś bardzo stary grób. Jeśli kości liczą mniej niż siedemdziesiąt lat, policja ma obowiązek wszcząć dochodzenie w celu ustalenia przyczyny zgonu.

Stoi zasłuchany. Ludzie rzucają pod nogi śpiewającego Nusrata garście banknotów. Jakaś młoda kobieta wstaje, podchodzi

rozkołysanym, tanecznym krokiem do sceny i kładzie Nusratowi na kolanach różę; zmysłowość, z jaką się porusza, wywołuje zgorszenie i wiele osób z widowni, zarówno kobiet, jak i mężczyzn, karci ją spojrzeniami.

Shamas znowu szuka wzrokiem Surai. Dostrzega ją wśród kobiet zajmujących miejsca siedzące. Stwierdza z konsternacją, że wielu mężczyzn, zachwyconych jej urodą, też na nią raz po raz popatruje.

Nagle w namiocie robi się jaśniej, zupełnie jak za sprawą błyskawicy; Suraya ogląda się i ich oczy na moment się spotykają.

Nusrat śpiewa teraz o sławnej Hir. Wydana za mężczyznę, którego nie kocha, nie wie, czemu odczuwa pociąg do niechlujnego wędrownego żebraka, który zapukał do jej drzwi, prosząc o jałmużnę. Nie wie jeszcze, że to jej ukochany Rańdź-ha, pastuch pięknie grający na flecie. *Niech nikt nie nazywa mnie Hir*, mówi wyniosłym tonem Nusrat-Hir, *nazywajcie mnie Rańdźha, bo w czasie tej rozłąki tyle razy wypowiadałam jego imię, że stałam się nim...* Jej bracia — w porozumieniu z resztą rodziny i zdeprawowanym świętym mężem z meczetu — zamierzają ją otruć za to, że dla Rańdźha porzuciła męża. Wydając ostatnie tchnienie, przeklnie ich. Święci poeci islamu w swoich romantycznych wierszach nienawiść do władzy i niesprawiedliwości wyrażają zawsze poprzez protagonistki kobiety: Hir nie chciała poślubić mężczyzny, którego nie kochała — nie chciała powiedzieć „tak” — ale przekupiony przez jej rodzinę mułła, który odprawiał ceremonię, powiedział, że widział, jak kiwnęła głową, i to wystarczyło. Paradoksalnie, te wiersze, choć tworzone przez świętych, były potępiane przez ortodoksyjnych duchownych, bo namawiały do bezpośredniej łączności duchowej z Allaniem z pominięciem meczetów. Kiedy zmarł poeta Bulla Szah, duchowni odmówili pochówku. Zostawili jego ciało na palącym słońcu i dopiero wielbiciele, których były setki, odepchnęli świętych mężów i pogrzebali go sami. Sufi, czyli mistycy, do dzisiaj nazywani są „partią opozycyjną islamu”. A do portretowania nietolerancji i niegodziwości swoich czasów święci poeci wykorzystywali zawsze kobietę bezbronność; w ich wierszach kobiety buntują się i próbują dzielnie stawiać

czoło wszelkim przeciwnościom. W większym stopniu niż mężczyźni starają się naprawić świat. I w każdym wierszu, w każdej legendzie ponoszą porażkę. Ale walcząc, stają się częścią uniwersalnej legendy o ludzkiej nadziei — Sassi uległa bezlitosnej pustyni, ale umarła z twarzą wciśniętą w ostatni ślad ukochanego.

Shamas obserwuje trzy kobiety z widowni —jedną z przysypiającym dzieckiem na rękę, tulącym do siebie lalkę z dorysowanymi długopisem wąsami. Kobiety wstają i wychodzą z namiotu; należą do odłamu, który zabrania słuchania takiej muzyki i pieśni religijnych, przyszły jednak, bo chciały zobaczyć Nusrata. Dostałoby im się za to od mężów, ale ci są kelnerami w restauracji i nie wrócą do domu przed drugą nad ranem; prawdopodobnie odwaga je opuściła i na wszelki wypadek wychodzą wcześniej.

Kaukab przyjechała samochodem z tymi trzema kobietami. Teraz zerka na Shamasa, macha mu ręką i wychodzi za nimi. Shamas doganiają w wąskiej uliczce zastawionej autami i mówi, że jeśli chce zostać, to niech zostanie, znajdzie potem kogoś, kłojąodwiezie do domu, ale ona woli wracać z przyjaciółkami; silny zapach palonych w namiocie kadzidełek przyprawił ją o ból głowy.

Poruszony i przygnębiony wcześniejszymi myślami o śmierci, potrzebuje jej obecności. Kaukab stoi obok z odwróconą głową, spięta, nie życzy sobie, by zanieczyszczał ją swoim oddechem; toleruje z melancholijną rezygnacją i ledwie zauważalnym obrzydzeniem tę szklaneczkę whisky, na którą on kilka razy w miesiącu sobie pozwala.

Kaukab odjeżdża i Shamas zostaje sam pod gwiazdami, tymi eksplozjami jądrowymi miliardy mil nad jego głową. Śledzi spadającą gwiazdę, która przecina trawersem nocne niebo, odbijając się jak cięcie brzytwą w lakierze metalowych dachów tiul. Zgodnie z islamem, kiedy na świecie ma się wydarzyć coś doniosłego — dobroczynnego albo katastrofalnego w skutkach — i Allah ustala z aniołami ostatnie ważne szczegóły, szatan podkrada się do nieba, żeby podsłuchiwać; spadające gwiazdy to ogniste kamienie, którymi ciskają stamtąd w niego, żeby go odpędzić, trzeba je więc traktować jako zapowiedź inkiegoś przełomu.

Shamas wraca do namiotu oświetlonego papierowymi księżycami i po raz pierwszy tego wieczoru zajmuje miejsce, z którego widać jak na dłoni Surayę. Napotkawszy jednak jej spojrzenie, czerwieni się jak burak i z uśmiezkiem zażenowania wycofuje stamtąd; w takim publicznym miejscu, na widoku, nie powinni się do siebie zbliżać. Już sobie wyobraża, jak przeżywałaby ewentualny skandal Kaukab. To, co pojęcia honoru, wstydu i dobrej opinii znaczą dla ludzi z Indii, Pakistanu i Bangladeszu, można podsumować pakistańskim powiedzeniem: „Człowieka, którego nie zabija drwina ani szyderstwo, pewnie i miecze się nie imają”.

Shamasowi doskwiera samotność — czuje się stary. W tym roku skończy sześćdziesiąt pięć lat, od dwudziestu siwych włosów na głowie ma więcej niż czarnych. I ostatnio, ilekroć obudzi się w środku nocy i leży sam (Kaukab już od kilku lat sypia osobno) z szeroko otwartymi oczami, całe jego ciało zaczyna przepęłniać czysty, coraz intensywniejszy ból; z przerażeniem myśli o tym, co go czeka — o czarnej otchłani, przed którą nie ma ucieczki. Ile jeszcze? Pięć lat, dziesięć? Serce ściska się na tę myśl. O tej godzinie wezgłowie łóżka kojarzy się z nagrobkiem i Shamas sam już nie wie, gdzie jest, wie tylko, że daleko od przyjaciół. Wyteża do bólu oczy, ale wzrok go zawodzi, nie widzi w tym bezmiarze ciemności żadnego nowego świata. Wie, że ludzie są tylko cieniami na powierzchni czasu, nadzieniem dla mogił. Ma wrażenie, że kroczy z uniesionym kciukiem drogą życia, po której jeżdżą same karawany. Nie słyszał jeszcze, żeby ktoś, zajrzawszy do grobu, zobaczył tam drzwi do innego świata; w każdym razie, jeśli tamten świat nawet istnieje, to nikt z żyjących nic może z ręką na sercu powiedzieć, że ma do niego klucz.

Kiedy tamtą dziewczynę złożono dzisiaj do grobu, ktoś krzyknął do grabarzy sypiących ziemię na owinięty białym całunem kształt, żeby się wstrzymali: wydało się właśnie, że młodsza, czternastoletnia siostra odchodzącej na tamten świat zmarłej wsunęła pod całun liścik, w którym zapewnia ją o swej miłości. Islam zakazuje takich praktyk — nic nie może być z ciałem pogrzebane. Shamas z przerażeniem patrzył, jak grabarze, ześlizgnąwszy się do mogiły, odgarniają ziemię, żeby

odsłonić ciało. Mglisto bursztynowe światło popołudnia oblało ubabrany ziemią całun, rozbrzęczone pszczoły krążyły nad wiązkami i wieńcami, które złożone obok grobu czekały na jego zasypanie. Ceremonię pochówku wznowiono dopiero po odnalezieniu listu.

— Sługi szatana! — wycedził przez zaciśnięte zęby któryś z mężczyzn, kiedy żałobnicy odchodzili od grobu; listu nie napisała siostra zmarłej — autorem był jej kochanek hinduista, który ubłagał jedną z kobiet obmywających i przygotowujących zwłoki, by potajemnie wsunęła go pod całun. — Kobiety i niewierni to sługi szatana! — List, kartkę zapisaną gęsto ładnym charakterem pisma, puszczone w obieg — Takie plugastwa. — Co by sobie pomyślały anioły, gdyby znalazły to przy niej w grobie?

*O, Ty, która odeszłaś zrywać kiviaty śmierci, Nie serce tu zostało i nie mogę go nauczyć. Płacze, kiedy zapominam-*

Shamas zdążył przeczytać tylko tyle. Potem jedna z hien cmentarnych podarła list na kawałki i wrzuciła do jeziora jak garść białych kwiatów — wieniec skradziony z grobu zmarłej.

Dosyć tych rozważań o śmierci. Musi dotknąć Surai, jej młodości, płonącego w niej życia, poczuć na twarzy jej żywy oddech. Szuka jej na widowni wzrokiem, ale nigdzie nie widzi. Och, obciąć dziób temu ptakowi, który powtarza... *ukochana... ukochana...* Jest wierząca i spotykając się z nim, ma pewnie wyrzuty sumienia; czytał czasem z jej miny, że toczy ze sobą zaciętą wewnętrzną walkę.

Zmienia kilka razy miejsce, ale zgubił ją definitywnie.

Wychodzi z namiotu. Na zewnątrz ciemnogramatowe nocne powietrze gładzi powierzchnię jeziora, zmarszczki na niej oblewa bladą srebrną poświata księżyca. O świcie te zmarszczki, oświetlone promieniami słońca, będą się odbijały w brzuskach plaków fruujących nad jeziorem. Gdzie ona się podziała? Shamas oddala się od namiotu brzegiem jeziora, którego wody skr/ą się w blasku księżyca. Głos Nusrata, śpiewającego o zranionych kochankach, którzy tańczą dumnie w obliczu śmierci

i ruiny, cichnie z każdym krokiem. Wyteża w ciemnościach wzrok, stąpa ostrożnie, drzewa wokół poskrzypują niczym maszty okrętów. Ociera się kolanami o wybujałe dzikie trawy i kwiaty. Dokąd poszła? W pewnej chwili dostrzega wyraźniejszy, zakręcający odcinek ścieżki, która kawałek dalej ginie znowu wśród paproci i leśnego poszycia. Od czasu do czasu zrywa się wiatr; jego poddmuchy są jak szalejący deskorolkowcy — wykręcą młynka, przypadną do ziemi, podskoczą i już nie ma po nich śladu, a wszystko kołysze się jeszcze i faluje. Dotarł do skraju cmentarza, widzi groby, każdy otoczony wysokim na stopę płotkiem. Czy to czasem nie po tym lasku snują się dwa duchy wołające go bez poruszania ustami?

Nieopodal coś zaszeleściło. Shamas zatrzymuje się jak wryty, słysząc swoje imię.

— Wujku-ji Shamasic.

Z zalegających przed nim cieni wyłania się kochanek zmarłej dziewczyny.

— Zabłądziłem, wujku-ji. Mógłbyś mnie zaprowadzić do niej... na jej... grób... niech spoczywa w pokoju. — Trzyma w ręku bukiet orchidei. — Chciałem je tam położyć. — Mówi cicho, głosem przepełnionym żałobą.

— Chyba pamiętam, gdzie to... gdzie ona... jest — mówi Shamas, dochodząc do siebie. — Chodź.

— Obserwowałem pogrzeb z lasu i wydawało mi się, że dobrze zapamiętałem to miejsce — mówi chłopiec. Idzie za Shamasek ze spuszczoną głową, patrzy na kwiaty. — Grobów tu z tysiąc, ale od razu trafiłem, kiedy przyszedłem wieczorem, myśląc, że pogrzeb się już skończył i nikogo tu nie zostanie. Lecz wiele kobiet wybrało tę porę, żeby ją odwiedzić. Wycofałem się, żeby poczekać, aż odejdą, i w ciemnościach pobłądziłem.

Shamas kiwa głową. Kobietom nie wolno uczestniczyć w pochówku, przychodzą więc na cmentarz później. Siostra zmarłej chciała widzieć, jak ją zakopują, ale powiedziano jej, że to niemożliwe. Pograżona w żałobie zbuntowała się — po raz pierwszy miała bezpośrednio do czynienia ze śmiercią, nie znała więc obowiązujących reguł i uważała, że tak wielka strata upoważnia ją do złamania praw Allaha — okazało się jednak,



że ma okres, wytłumaczyli jej więc, że i tak nie mogłaby pójść na pogrzeb, bo jest nieczysta. Nie wolno jej dotykać Koranu, wchodzić do meczetu, modlić się, a w myśl zasad wyznawanych pr/ez niektóre odłamy, nawet przygotowywać posiłków. O tym, że podczas menstruacji jest nieczysta i zbrukana, wiedziała od pewnego czasu i akceptowała to. Sprawa była przesądzona. Dala za wygraną i zgodziła się odwiedzić grób później.

— To tam. — Shamas zatrzymuje się i pokazuje na kopczyk, na którym umierają w mroku wiązanki i wieńce. Chłopiec postępuje krok w tamtym kierunku, ale zatrzymuje się. W blasku księżyca jego skóra nabiera błękitnego odcienia, taka sama w jego oczach musi być skóra Shamasa: to kolor Kriszny, boga, który powielił się po tysiącokroć, żeby posiąść tysiąc dziewczyc naraz w nocnym lesie, wskutek czego wszystkie miały jednego kochanka. Chłopice kręci głową.

Nie bardzo wiem, jakich reguł trzeba przestrzegać przy muzułmańskim grobie. Myślałem, że muzułmanie palą na swoich grobach świece, i widziałem wcześniej światełko migające na miejscu jej spoczynku, ale potem znikło, to był pewnie icden z tych świetlików, które gdzieś tu widziano.

Muzułmanie palą znicze na grobach i jedni utrzymują, że ćmy, które się do nich zlatują, to anioły, inni, że to duchy zmarłych albo kochankowie, którzy przybywają w odmienionej postaci, by modlić się za dusze ukochanych.

Świetliki? Tutaj, w Anglii? Chłopiec robi jeszcze kilka niepewnych kroków, boi się złamać protokół.

Tak, od dawna krążyły pogłoski, że widuje się je w Dašte-Tanhai, i te pogłoski w zeszłym tygodniu potwierdzono. Shamas czeka, aż chłopiec podejdzie do grobu i uklęknie, potem się wycofuje. W jego wyobrażeniu dziewczyna, podczas swoich ostatnich dni na ziemi, była jak księżyc pożerany przez smoki zaćmienia; osaczona przez karygodnie głupich rodziców i tego potwornego świętego męża. Wraca po własnych śladach i w miejscu, gdzie spotkał chłopca, widzi na ścieżce ludzkie serce, tak, w kałuży księżycowej poświaty przesączającej się przez korony drzew leży serce przecięte na dwoje: dwie połówki, jedna przy drugiej — widać jak na przekroju wkłęsłe

i mięsiste wnętrza komór. Shamas odskakuje, kiedy te połówki jaśnieją nagle, jakby podświetlone od środka. Czerwone światło zabarwia ziemię i dopiero teraz Shamas stwierdza, że to dwie orchidee, które wypadły pewnie z przeniesionego przez chłopca bukietu. Świetlik, który na nich przysiadł, właśnie błysnął świetlnym impulsem — teraz wzbija się w powietrze i znika, pozostawiając po sobie oślepiającą plamę na siatkówce Shama-sa, powidok, który powoli blaknie. Shamas podnosi kwiaty i rozgląda się za innymi świetlikami. Przypomina sobie, jak w dzieciństwie łapał te świecące owady i zamykał w szklanych butelkach z dziurkowanymi nakrętkami. Otrzymywał w ten sposób latarnie pulsujące blaskiem jak ciecz. Po monsunowej ulewie unosiły się ich w oddali całe chmury: punkciki światła otwierające się i zamykające powoli jak usta ryby. Powietrze wtedy jakby ożywało i widział je nawet z zamkniętymi oczami; podobno niewidomi mają silnie rozwinięty ten będący namiastką wzroku zmysł, wyczuwając na twarzy falujące ciepło, wiedząc, że coś jest w pobliżu.

Czyżby to obecność świetlików dała początek opowieściom o dwóch duchach snujących się po lesie nad jeziorem? Rusza dalej, zabierając dwie krwistoczerwone orchidee. Przypomina sobie teraz, jak przed laty, kilka dni po śmierci ojca wybrał się na spacer i nogi same go zaprowadziły do hinduistycznej świątyni, w której ojciec dokonał samospalenia. Pamięta, że zbliżając się do świątyni, zobaczył unoszącą się w pewnej odległości gromadę świetlików; w bladej poświacie, którą wokół siebie roztaczały, majaczyły czy to krawędzie liści, czy skrzydełek samych owadów. I nagle coś go uderzyło — stworzonka nie przemieszczały się, wisiały w powietrzu nieruchomo, jakby rzucono na nic czar. Kiedy podszedł bliżej, przyczyna tego stała się jasna. On, dorosły mężczyzna, zdjęty grozą rzucił się poprzez ciemności do panicznej ucieczki. Do dzisiaj ma przed oczyma ten widok; każdy z około setki owadów nadziany był na cierń drzewa zamieszkiwanego przez ptaki nazywane „ptakami rzeźnika”, bo nabijają swoje ofiary na różnego rodzaju szpikulce, żeby je uśmiercić albo zjeść później. Nieszczęsne świetliki żyły jeszcze, ale powoli umierały.

Nie, nie, stanowczo musi odpędzić od siebie te myśli o śmier-

ci! Przyśpiesza gwałtownie kroku, chce jak najszybciej wydostać się z cmentarza. Biegnie na oślep między grobami brukowanymi alejkami i gubi drogę. Przydałaby się mapa tego labiryntu, szuka defektu, który pomógłby mu się wyplątać z tej sieci, sieci o blisko tysiącu węzłów. Pragnie Surai. Wyszczерzone zęby wyschły i bołą, sucho ma też w ustach. Im szybciej biegnie, tym bardziej nasila się to rżenie w piersiach, można pomyśleć, że do nóg ma przymocowane dynamo i to ono tak hałasuje. Czubki cierni na krzakach, przez które się przedziera, iidląmują się i zostają w ubraniu. Dokąd poszła Suraya? Jest z powrotem nad brzegiem jeziora, gdzie skrzą się ziarenka piasku opłukane przez fale z wszelkich zanieczyszczeń. Nic ma już. tej pięknej dziewczyny o jasnej skórze, a chłopiec ubiera się teraz na czarno, przypomina w tej czerni smużkę dymu unoszącą się z knota zdmuchniętej świecy. Już wie, dokąd udała się Suraya; jego poszukiwania dobiegły końca, teraz po prostu tam pójdzie. Zabiera ze sobą księżyc i maszeruje z nim jak z balonem na sznurku w kierunku „Safiny”, na Miejsce Skandalu. Stąd to półtorej mili. Czuje, że z każdym krokiem oddala się od śmierci. Trzyma w dłoniach pęknięte serce i prac drogą na skróty przez las i polany, odgarnia gałązki krzaków obsypane niebieskimi, brokatowo-aksamitnymi liśćmi. W pewnym momencie czuje nu palcach i dłoniach wilgoć i przemyka mu przez myśl, że chwytając się w ciemnościach niskiej gałęzi dla utrzymania równowagi, musiał zgnieść kiść przejrziałych wiśni, ale zaraz uświadamia sobie, że to dopiero maj, a wiśnie pojawią się we wrześniu. Nie, ta wilgoć na rękach to sok puszczony przez dwa kwiaty, które niesie. Idzie dalej. Przedzierając się przez zarośla, które lo gęstnieją, to znów rzędną, dociera w końcu do zastygłych w bezruchu okolic „Safiny”. Nie widzi nikogo.

Noe budzi się na dźwięk jej wisiorków.

Ona tu jest, intuicja go nie myliła, czeka na niego. Mija gaszcz trzciny, wkracza w czarny romboidalny cień rzucany przez „Salinę” i zanurza się w nim jak w wodzie. Kładzie delikalnic lewą dłoń na karku Surai, pochyla głowę i przywiera ustami do jej warg. Orchidee, które wypuścił z drugiej ręki, upadają u jej stóp, a on zagłębia wolnajuż dłoń aż po nadgarstek w jej włosach. Pachnie korą brzoową i migdałami. Po jej

włosach tańczą błyskawice wyładowań elektrostatycznych; próbuje nie kojarzyć ich z pulsującym światem świetlików. Suraya opiera się z początku, ale potem oddaje pocałunek. Wprowadzają do „Safiny”. Ona jest życiem. Aniołem miłosierdzia. Gdzieś w oddali zegar na wieży wybija pierwszą, suche powietrze nasiąka zapachem Surai. Słyszy jej przyśpieszony świszczący oddech, braknie jej tchu. Zeus, spółkując z Alkmeną, rozciągnął noc tak, że trwała trzy razy dłużej; on też by teraz chciał, żeby świt nie nadszedł o wyznaczonej porze.

Suraya myje się w ciemnościach, stojąc po pas w wodzie i kołysząc się w rytm uderzeń serca pogrzebanego pod dnem olbrzyma. Trzciny liżą jej skórę, a ona płacze cicho i desperacko szoruje się między nogami, trze piersi.

— O Allahu, wybacz mi, proszę, to, com uczyniła. O Litościwy i Miłosierny, odpuść mi moje grzechy.

Czerpie wodę złożonymi w muszelkę dłońmi i zapamiętała, z całych sił trze ciało, rozpamiętując szczegóły cudzołóstwa, którego się dopuściła. Sprzed „Safiny” dobiegało brzęczenie jakiegoś nocnego owada, a on dotykał jej wszędzie, rozniecając na skórze małe ogniska, wywołując małe detonacje; z wzorzystej tapety, wykręcając szyje, przyglądały się im pary jeleni o nozdrzach w kształcie czarnych serc. Legli potem na sindhijskim kobiercu i zaczął scałowywać bladoczerwony sok orchidei, który rozsmarował po różnych miejscach jej ciała, kiedy ją rozbierał. Przyłożył twarz do jej ciała i wyszeptał, że jest zaskoczony, że zna już jej oddech.

— Ten mały cień, który rzuca na szyję płatek twego ucha też jest mi znajomy. — Leżeli obok siebie jak w dryfującej łodzi, unoszeni swoją historią. — Powinienem uchylić okno, żeby trzy motyle Madame Bovary mogły wylecieć na poszukiwanie nektaru.

— Słucham?

Szlochając, szoruje się wśród wodorostów, a on śpi w środku. Powiedziała mężowi przez telefon, że ma już odpowiedniego kandydata i żeby dali jej z matką jeszcze kilka tygodni, zanim postanowią ożenić go z inną.

Najchętniej położyłaby się teraz w czarnej wodzie i przestała oddychać, ale myśl o synku — wkrótce znajdzie się na łasce i niełasce macochy — dodaje jej odwagi do pozostania przy życiu. Prosiła męża, żeby pozwolił chłopcu przyjechać na parę tygodni do Anglii, ale on boi się, że ona nie puści go z powrotem do Pakistanu.

— Prawo na Zachodzie faworyzuje kobiety, władze wezmą twoją stronę i nie będę mógł nic na to poradzić.

I Suraya przyznaje w duchu, że jego obawy nie są bezpodstawne: mając chłopca przy sobie, mogłaby żyć z tą bolesną świadomością, że straciła męża.

— To może obaj przyjedziecie w odwiedziny? — zaproponowała nie tak dawno. Ale on zraził się bardzo do Anglii, kiedy mieszkał tu przez dwa lata zaraz po ślubie. Czuli się w Pakistanie samotna i namówiła go na przeniesienie się tutaj.

— Może to i bogaty kraj, ale za bardzo różni się od naszego — orzekł w końcu. — Wracamy. Człowiekowi nie wolno tu niczego, co może swobodnie robić tam. Pies zapytał drugiego psa, dlaczego uciekł z zamożnego domu, w którym codziennie karmili go mięsem. „Karmić mnie mięsem, owszem, karmili, ale nie pozwalali szczekać”.

Oczyszcza się i błaga Allana o zmiłowanie. Kiedy była mała, wróciła pewnego dnia z meczetu cała we łzach, bo dowiedziała się właśnie, że Prorok, niech pokój będzie z Nim, powiedział, że w piekle będzie więcej kobiet niż mężczyzn. Dziewczynki rozmawiały na lekcji i imam postraszył je tą informacją. Zapłakana powiedziała matce, że nie chce już być muzułmanką. Matka uspokoiła ją i wyjaśniła, że Prorok, niech pokój będzie z Nim, rzeczywiście tak powiedział, ale w żartach: w meczecie, podczas zbierania jałmużny, do kobiet, które ociagały się z oddaniem swojej biżuterii na żywność dla biednych i finansowanie dżihadu przeciwko niewiernym. Ledwie to rzekł, kobiety wstały i wdały się z nim w wesołe przekomarzenia. Ale teraz, stojąc wśród trzciny, Suraya zastanawia się, czy tamten imam z dzieciństwa nie miał aby racji, mówiąc: „Kobiety są grzeszne”. Wzbraniała się przed zrobieniem tego, co zrobiła tej nocy z Shamasem, ale czy wzbraniała się dostatecznie zdecydowanie? Może zamiast grzeszyć, powinna była poszukać innego sposobu rozwiązania swojego problemu? Ale innego sposobu nie ma.

Szłocha i dygoce z przerażenia. Z góry patrzy na nią wiekowe oko księżycy, na jego tle krążą owady. Suraya obmywa twarz i zastanawia się, czy jej płacz został tam usłyszany. Shamas powiedział w nocy, że czasami, kiedy ona mówi, budzą się w jej krtani ptaki śpiewające i on słyszy wtedy głos, którym jako dziewczyna recytowała poezje Wamaka Salima, akompaniując sobie na gitarze i plektronie z pawiego pióra. Ona słyszy te budzące się ptaki śpiewające, kiedy teraz płacze. Zbiera i unosi włosy, ciągnąc ich mokre pasma, które przylgnęły do ramion; czuje na wychłodzonej skórze ślad pozostawiany przez każde z osobna. Zarośla wokół ksylofonowego nabrzeża szeleszczą w powiewach bryzy.

Gdzieś tu musi rosnąć jaśmin, bo po jeziorze pływają jego kwiaty, rozczapierzając palce wyławia kilka z wody i stwierdza, że to strzępy papieru zapisane po jednej stronic, ale liter nie da się odczytać — za ciemno. Chyba jakiś podarty list.

Siada w ciemnościach i zastanawia się, jaki powinien być jej następny krok. Dała mu dzisiaj, czego chciał, i teraz musi poprosić o coś w zamian. Okazał się wielkim sensualistą, pieści! ją delikatnie językiem i dłońmi, aż pojękiwała ze wstydu i upokorzenia (i raz z rozkoszy). Był łagodniejszy od męża, którego członek jest taki ogromny, że często chorowała na zapalenie pęcherza, Kiedy leżeli potem obok siebie, wysunął ramię spod głowy kochanki i dał jej książkę z wzorami do malowania henną, żeby ją sobie podłożyła.

— Będzie w sam raz. Poduszki wypełnione kwiatem henny stosuje się do wywoływania regenerującego snu.

Zrobiła pierwszy krok na drodze powrotu do synka, przy którym czuła się jak w pępku świata, miejscu, gdzie ziemia łączy się z niebem, do synka, który powiedział w zeszłym miesiącu, że nikt nie potrafi przyrzadzić *zardy* takiej, jaką on lubi, „takiej jak ty robiłaś, mamó. Babcia dodaje zawsze za dużo rodzynek i *zarda* staje się za lepka”. Już go widziała, jak macha z oburzeniem rączką i marszczy gniewnie czoło. O mało nie parsknęła śmiechem. Poprosiła do telefonu teściową, żeby podyktować jej właściwy przepis. A ta kobieta może już wtedy nosiła się z myślą poszukania innej „matki” dla chłopca. Z jaką satysfakcją obcięłaby jej ten siwy, podobny do szczurzego ogona

warkocz! Od początku była Surai niechętna. Chyba jak wszystkie matki nie mogła znieść myśli, że żona może dać jej synowi to jedno, czego jej nie wolno, bo zabrania tego prawo i natura. Jakaż była zgorszona, kiedy nazajutrz po ślubie zobaczyła plecy Surai; Suraya na noc poślubną kazała sobie wymalować henną wzdłuż kręgosłupa — od jego nasady do miejsca między łopatkami — wzór przedstawiający kwitnącą winorośl. Ten zaskakujący szczegół podniecił niezmiernie w nocy jej silnego i przystojnego męża, ale dla starej była to oznaka zepsucia.

Ile jeszcze razy powinna oddać się Shamasowi, zanim wszystko mu wyjawি? Może to, co zaszło między nimi tej nocy, wystarczy? Opowiadał jej o swoim bracie i jego przyjaciółce. Chandzie również prawo muzułmańskie dotyczące rozwodów uniemożliwiało poślubienie Jugnu. Może powinna wykorzystać te, zbieżność. Czy łatwiej dzięki temu obudziłoby się w nim współczucie i zrozumienie?

Była rzecz jasna wstrząśnięta faktem, że związkowi Chandy z Jugnu kres położyło morderstwo, ale zgorszyła się, usłyszawszy, że żyli ze sobą bez ślubu, grzesząc jawnie — nie okazała tego jednak, bo nie chciała do siebie zrażać Shamasa. Pragnęła tylko połączyć się znowu z synkiem, a Shamas niech sobie wygaduje, co chce. Kiedy pierwszy raz na wpół przeglądała, na wpół udawała, że przegląda książki z poezją w „Safinie”, jej oko przyciągnęła w pewnej chwili linijka z wiersza Kalidasy\* i niemal dech jej zaparło.

*Lasem szła łania*

*spowalniana przez ssące jej wymię jeleniątko.*

Tak pragnęła być znowu z synkiem, że nic bacząc na nic, odrzucając wszelkie skrupuły, sama prowokowała Shamasa, czego rezultatem był grzech, którego się dzisiaj dopuściła. Teraz cała śmiałość już z niej wyparowała, pozostały tylko wyrzuty sumienia, wstyd oraz poczucie katastrofy i moralnego upadku, potęgowane jeszcze przez zalegające wokół ciemności.

Ze stresu i niewyspania głowa ciąży jej jak słoń pełen monet.

**\* Kalidasa — hinduski poeta z V wieku n.e.**

Patrzy na ciemne jezioro po lewej; jego powierzchnia faluje ociężale jak płachta bardzo grubego jedwabiu. Czuje zapach rosnących gdzieś niedaleko kwiatów. To krzaki dzikich róż, w których roi się od pszczół i żuków. W dzieciństwie, gdy szła do szkoły, przylepiała sobie ich płatki śliną do paznokci, żeby choć na krótko poczuć się dorosła. Kolczyki, naszyjniki, wstążki, perfumy, szminka. Małe dziewczynki uczyły się być kobietami, kokietkami, postaciami ze snów i fantazji mężczyzn. Teraz uświadamia sobie, jaka zagubiona czuje się czasami, nie widząc wokół siebie żadnego takiego marzyciela. A niech idą wszyscy do diabła. Jedyna miłość, dla której warto żyć, to miłość do dziecka, do synka.

Przepełniona buntem wraca do „Safiny”. Shamas śpi na podłodze, obok jego głowy leżą dwie orchidee, które niewątpliwie przyniósł dla niej. Ich pomarszczone brzegi jarzą się; upuścił je na zewnątrz, ale godzinę później po nie wyszedł. W oczach Surai lśnią ich miniaturowe odbicia. Na jednej widzi ciemnoczerwone, prawie czarne plamy — obrażenia odniesione w wyniku upadku na ziemię albo zbyt mocnego ściśnięcia palcami.

Shamas powiedział, że jego ojciec pochodził z hinduistycznej rodziny i w Pakistanie bardzo go z tego powodu prześladowano. Suraya zastanawia się teraz, czy zyskałaby w jego oczach, wyznając, że ona sama zadurzyła się w szkole w chłopcu wyznającym inną religię — w sikhu — i że matka zabrała ją wtedy ze szkoły. Ale zaraz ogarnia ją wstyd: *Cóż za zimnokrwiste kunktatorstwo, Surayo! Co Allah by pomyślał?* — i wydaje cichutki jęk rozpacz. *To co ja mam robić: zostać jego nałożnicą, a kiedy się mną znuży, poszukać sobie innego mężczyzny, żeby z kolei on mógł karmić czarne skorpiony swych oczu moją nagością?* Ale nie, nie, nie wykorzysta do własnych celów strasznej śmierci ojca Shamasa. Shamas wspominał jej kiedyś, że w latach pięćdziesiątych brat jego żony chciał poślubić sikhijkę, i wyczuła wtedy, że on nie widzi w tym nic zdrożnego (ona rzecz jasna pochwałała zdecydowane działania podjęte przez rodzinę młodego mężczyzny; pojąć za żonę niemuzułmankę, w głowie się nie mieści!); postanawia więc, że powie mu o swojej miłości do młodego sikha, powie, że obu-



rzona matka zabrała ją z tamtej szkoły i zapisała do muzułmańskiej szkoły tylko dla dziewcząt, gdzie córkom z porządnych rodzin wpajano takie tradycyjne wartości, jak skromność i uległość. Dyrektorka i założycielka tej muzułmańskiej szkoły mieszkała na eleganckich przedmieściach i każdego ranka dojeżdżała do dzielnicy biedoty, odwiózłszy wpierw własną córką do prywatnej szkoły koedukacyjnej; muzułmańska szkoła była poniżej aspiracji jej córki, ale „tym” ludziom lepszej nie trzeba. Kiedy jej córka śpiewała o kotku, który wybrał się do Londynu zobaczyć królową, dziewczynki z muzułmańskiej szkoły śpiewały: *Fatimo, Fatimo, gdzie byłaś tak długo? Z wiernymi na modłach w meczecie nad strugą.*

Suraya buntowała się przeciwko przeniesieniu do muzułmańskiej szkoły dla dziewcząt, ale teraz wie, że była to tylko młodzieńcza krnąbrność. Jest matce wdzięczna, że zabrała ją *te* szkoły koedukacyjnej i posłała tam, gdzie uczono bać się Allaha i kochać Go, gdzie kazano myśleć o życiu po śmierci i zbawieniu duszy.

Tak, powie Shamasowi o tamtym sikhijskim chłopcu. Niech ma wrażenie, że coraz lepiej ją poznaje. Naturalnie może też nawiązać do historii tej dziewczyny, którą dzisiaj pochowano. Shamas wspominał, że widział ją kiedyś w towarzystwie młodego hinduisty — rozmowę o parze potajemnych kochanków łatwo będzie skierować na temat zakazanej miłości Surai. I znowu ogarnia ją wstyd; jakże nisko upadła, skoro próbuje wybrnąć ze swojej kłopotliwej sytuacji po trupach zmarłych, zakrywa dłońmi twarz, przypominając sobie, jak pastwił się nad swoją ofiarą ten egzorcysta; podobno kazał nieszczęsnej misi usiąć na grzejnik elektryczny i dziewczyna zemdląła porażona prądem.

Uświadamia sobie nagle, że ma coś na szyi; to skrawek papieru — najwyraźniej fragment podartego listu, którego strzępy unosiły się na wodzie — musiał przyłgnąć do szyi, kiedy myła się w jeziorze. Jedno zdanie da się jeszcze odczytać w całości, woda go nie rozmyła:

*Powiadają, że serce jest narządem, który pienoszy się formuje i ostatni umiera.*

Trzy uderzenia zegara na wieży po drugiej stronie jeziora rozchodzą się nad wodą jak fale. Powinna go już obudzić i odwieźć do domu. Taki spóźniony powrót można jeszcze wytłumaczyć — *dzieliliśmy się w grupie znajomych wrażeniami z występu Nusrata i tak się jakoś zeszło* — ale nie może przecież spędzić poza domem całej nocy. Pamięta te noce, kiedy mąż szedł pić, a ona leżała z szeroko otwartymi oczami i najmniejszy szmer przepelniał ją trwogą — albo to duch, albo dżinny zaległy się w domu, albo on w końcu wrócił zamroczony alkoholem. I sama nie wiedziała, co straszniejsze.

LATO

## *Cukrzyk i winorośl*

Jugnu? — to było pierwsze skojarzenie, jakie przed dwoma dniami przyszło Kaukab do głowy, kiedy w środku nocy obudził ją dzwonek telefonu i jak pchnięta sprężyną usiadła na łóżku. Namacała po ciemku kapcie i wsunęła w nie stopy, żeby zejść do różowego pokoju i odebrać. Była już w połowie schodów, kiedy ze swojej sypialni wyrzął zaspany Shamas.

Podniosła słuchawkę, ale wydobywały się z niej same szумы i trzaski. Pewnie ktoś z zagranicy, pomyślała. Znała te odgłosy z rozmów z Pakistanem. Została jednak przy aparacie i Shamasowi też kazała czekać. A nuż zadzwoni jeszcze raz. Ale nie zadzwonił.

I wczoraj znów to samo, tym razem po południu, kiedy Shamas był w pracy, a ona sama w domu. Za pierwszym razem przez kilka sekund słycać było tylko trzeszczenie, a polem zapanowała głucha cisza, ale za drugim odezwał się mężczyzna. Bełkotał bez ładu i składu, krzyczał prawie: „Wara od mojej żony!” i „Rozwód rozwodem, ale ona wciąż jest moja, ty *behan ćodr*. Był chyba pijany i Kaukab odłożyła słuchawkę. Kiedy godziną później telefon znowu zadzwonił, Kaukab była w rozterce: odebrać, nie odebrać... w końcu jednak nie wytrzymała — *a jeśli to Jugnu? Albo Ujula?* „Słuchaj, ty — mężczyzna był już jakby spokojniejszy — ożeń się z nią i zaraz rozwiedź, tak jak to między sobą ustaliliście, ale żebyś nie ważył się do niej dobierać, nie wolno ci tknąć jej choćby palcem. Wiem, że islam nakazuje jej wywiązywanie się z obowiązków i powinności

wobec nowego męża, dopóki ten się z nią nie rozwiedzie, ale ty nie będziesz tego od niej wymagał, prawda?". Zaraz potem znowu stracił nad sobą panowanie i wywrzeszczał w szale: „Niech ci do głowy nie przyjdzie żądać od niej przed rozwodem wywiązywania się z małżeńskich obowiązków! Nie nastawaj na jej cześć! Nie rób tego błędu, mieszkałem w Anglii i mam tam kumpli, jedno moje słowo, a połamią ci gnaty, ty *dollar*.

To niewątpliwie była jakaś pomyłka i tak powiedziała Sha-masowi, kiedy ten wrócił wieczorem z pracy — słuchał, wydając jakieś nieartykułowane pomruki jak zawsze, kiedy mu relacjonowała, jak upłynął jej dzień. Nie powtórzyła mu, co wykrzykiwał tamten mężczyzna, ani że był zdecydowanie pijany, bo wstyd jej było, że w takim czystym kraju jak Pakistan można kupić alkohol, że tam ludzie też go piją.

Ale wczoraj to on odebrał w środku nocy telefon, a kiedy zeszła na dół, stał nad aparatem blady. Wyglądał, jakby miał zemdleć.

— Nikt taki — powiedział, kiedy zapytała, kto dzwonił. — Wracaj do łóżka.

Pomyślała więc, że to pewnie był jakiś biały rasista. Dzwonili tacy czasami o dziwnych porach z pogrózkami, bo Shamas udzielał się w Radzie Stosunków Społecznych i w Komisji do spraw Równości Rasowej.

Teraz Kaukab idzie do sklepu rodziców Chandy. Czy to możliwe, że mężczyzna, którego grózb sama wysłuchała przez telefon, to któryś z byłych mężów Chandy? Dajmy na to, nie wie o zaginięciu pary i jest wściekły na Jugnu, że wziął ją sobie na kochankę? A zadzwonił do nich, bo myśli, że Jugnu mieszka wciąż z bratem?

Musi zapytać matkę Chandy, czy któryś z byłych mężów dziewczyny nadal ją kocha.

Tylko o co chodziło z tym małżeństwem i rozwodem? I skąd miał numer ich telefonu?

Nie pamięta już, kiedy ostatnio odważyła się przekroczyć próg Chanda Food & Convenience Store, i nagle czuje, że i teraz się na to nie zdobędzie. Zbliżając się do drzwi, zwalnia kroku, ale mija je i jak gdyby nigdy nic idzie dalej ulicą.

Słyszała, jak skatowano w więzieniu jednego z synów rodziny — i to przez jej szwagra — i obawia się, że w sklepie nie przywitano by jej z otwartymi ramionami. Wie jednak, że kilka miesięcy temu matka Chandy podeszła na ulicy do Shamasa, żeby mu powiedzieć, że Jugnu widziano podobno w Lahaurze, i zachowywała się wtedy zupełnie zwyczajnie; dlaczego więc teraz miałyby ni z tego, ni z owego zmienić front? Zresztą matka Chandy przywitała się z nią grzecznie, kiedy pięć tygodni temu znalazły się obok siebie na występie Nusrata: stały tak kilka chwil — owszem, trochę skrepowane, ale jednak — i matka Chandy zdążyła poinformować Kaukab, że niedawno, na wzgórzach za miastem, widzieli z mężem Shamasa z czymś, co wyglądało na pióro papugi z różową kryzą w rękę. „Papugi tutaj? — podchwyciła stojąca nieopodal kobieta. — O Alfahu, jak mi brakuje tych ptaków!”, i Kaukab, korzystając z okazji, odeszła.

Przypomniała sobie o tym kilka dni później i spytała Shamasa o to pióro, ale odparł, że matce Chandy musiało się coś przywidzieć. Kaukab się z nim zgodziła: „Bardzo przeżyła śmierć córki. Czasami mam wrażenie, że pomieszało jej się w głowie”. Sasłowa na określenie wszelkiego rodzaju osób, które oplakują kogoś bliskiego — wdowy, wdowcy, sieroty — ale nie ma określenia dla rodziców, którzy stracili dziecko: to cios tak straszny, że język nie znajduje właściwych słów.

Po przejściu dwudziestu kroków Kaukab zbiera się na odwagę i zawraca. Wejść czy nie wejść?

Jadąca na spotkanie z Shamasem Suraya przypomina sobie, że sklep po prawej, do którego właśnie się zbliża, należy do rodziców nieżyjącej przyjaciółki Jugnu, i zatrzymuje samochód. Siedzi w zaparkowanym aucie i zastanawia się, czy tam wejść. Do spotkania z Shamasem, który zadzwonił dzisiaj rano i powiedział, że chce się z nią zobaczyć, ma jeszcze trochę czasu.

Patrzy na przechodniów przed sklepem. Od tamtej nocy w „Safmie” po występie Nusrata jeszcze sześć razy oddała się Shamasowi. Ale jest coraz pewniejsza dywidendy. Przed dwoma dniami wyjawiała nawet mężowi nazwisko „tego bardzo obiec-

jącego kandydata", o którym wcześniej wspominała jemu i teściowej. Kazał sobie podyktować adres tego człowieka, żeby mogli go sprawdzić ludzie, których poznał podczas pobytu w Anglii. Wzbraniała się przed udzieleniem tej informacji, ale tak nalegał, że w końcu ustąpiła, bo jeszcze gotów sobie pomyśleć, że jest krnąbrna albo nieposłuszna i nie będzie się chciał z nią ponownie ożenić, albo zrobi jej na złość i poślubi inną kobietę, której jego matka pewnie już mu szuka.

Wyciąga szyję i przegląda się w lusterku wstecznym. Należy do obficie owłosionej rasy i w ubiegłym tygodniu poddała się zabiegom woskowania całego ciała, z twarzy usuwano jej włosy metodą elektrolizy; przez kilka ostatnich miesięcy jakoś nic miała do tego głowy. Shamas mówi, że rozmowy z nią to dla niego odprężenie i przyjemność, że uroda nie jest tym, czego szuka u kobiety; ale jak wszyscy mężczyźni jest w swoich deklaracjach dziecinny, tak naprawdę szuka nie tylko urody - kobieta musi być i inteligentna, i piękna. Kobieta inteligentna, ale brzydka to nie to samo. Tak więc Suraya zaczęła bardziej dbać o swój wygląd. I owszem, musi przyznać, że komplementy Shamasa sprawiają jej przyjemność, poprawiają samopoczucie i trwa to, dopóki nie przypomni sobie o swoim nieszczęściu, mężu, synku, o Allahu.

Ta kobieta już drugi raz w ciągu pięciu minut przechodzi obok samochodu. Włosy ma ufarbowane niewpravnie, domowym sposobem, przedziałek pośrodku odsłania poplamioną skórę głowy.

Suraya swoje bujne włosy ma zebrane na karku w kok i przewiązane skręconą apaszką z czerwonego jedwabiu, której nie lubi, ale którą zakłada na każde spotkanie z Shamascm, żeby mu przypominała okoliczności, w jakich się poznali. „Troski całego świata wypadły mi wtedy z rąk”, zażartował podczas ostatniego spotkania, mając na myśli gazety.

Wnętrze samochodu wypełnia zapach perfum, którymi spryskała ubranie i niebiesko-purpurową — kolor dzwonek — zasłonę. Wie, że córka Shamasa, Mah-Jabin, wysłana została swego czasu do Pakistanu, by wyjść tam za mąż. Musiało jej brakować Anglii, kiedy tam przebywała, tak jak jej, Surai, kiedy mieszkała w Pakistanie; tak więc dziś po południu za-

mierzą wykorzystać kolor swojej zasłony jako pretekst do zagajenia rozmowy o tym, jak tęskniła w Pakistanie.

Obserwuje kobiety z dziećmi wchodzące do sklepu i z niego wychodzące. Wie już, jak dobre serce ma Shamas. Kiedy rozmawiali niedawno o osiedlu, cały dygotał, opowiadając o rozpaczliwym położeniu większości mieszkających tu ludzi, o życiu rodzinnym zdegradowanym do zalegalizowanej brutalności. Naliczył dziewiętnaścioro umyślowo upośledzonych tylko przy swojej ulicy. Na jednym końcu tej ulicy stoi dom, w którym mieszka sikhijka w średnim wieku z dwudziestoletnią córką z zespołem Downa; mąż porzucił ją i córkę i wrócił do Amritsaru, gdzie ożenił się z dwudziestopięciolatką. Kobieta ta przy każdej okazji powtarza: „Niech dobry Bóg sprawi, by skarbiec królowej Elżbiety był zawsze wypełniony po brzegi za lo, że zapewnia mnie i mojej córce dach nad głową i wyżywienie. Nie dbam o to, że ściska nasz diament Koh-i-Noor tak mocno, że aż jej kłykcie bieleją!"; na drugim końcu tej ulicy stoi dom zamieszkiwany przez rodzinę z Sylhetu \*, umyślowo chory ojciec przed kilkanaście laty zaginął bez wieści i matka, kiedyś dumna robotnica pracująca w fabryce, jest teraz zdruzgotana, bo syn rzucił studia medyczne, stał się wyznawcą radykalnego islamu, zapuścił brodę i głosi, że wszystko, od demokracji poczynając, a na kremie do golenia kończąc, jest nieislamskie.

Sprawa Chandy i Jugnu napęliła żalobą dom i życie Shamasa.

Powiedział — a ona w tym momencie zapalała do niego taką miłością, że na chwilę zapragnęła zostać jego żoną na zawsze — „Czy na pewno uczyniłem wszystko, co w mej mocy, żeby moim bliskim nie stała się krzywda? Czy był w przeszłości czas, kiedy nie potępiałem z dostateczną mocą niegodziwców, krętaczy, wyzyskiwaczy? Czy byłem nieświadom do czego są zdolni, bo nic odczułem jeszcze na własnej skórze skutków ich działalności, i dopiero śmierć Chandy

i Jugnu otworzyła mi oczy?". A potem przeczytał linijkę z wiersza Syeda Abida Ali Abida:

**\* Sylhet — prowincja w Bangladeszu i świeże miasto o tej samej nazwie.**



*A ostrzegałem: tamto więzienie pomału się rozrasta i teraz jego mury podchodzą już prawie pod wasz ogród.*

Jego melancholijny głos chwyta! ją za serce. I ona wokół tego dobrego człowieka tka swoją sieć nieszczerości i podstępu?

Dręczona wyrzutami sumienia siedzi w samochodzie i nie wie, czy wysiąść. Dopiero myśl o synku przywraca jej wolę działania i pewność siebie. Wejdzie do sklepu i rozejrzy się. Może kupi trochę materiału na parę nowych *szalwar-kamis*. Kto wie, czy przy okazji, przebierając w tkaninach jak na bazarze, nie zasłyszysz jakiejś informacji, którą będzie mogła potem wykorzystać.

Ciche dzyń! dzwonka nad drzwiami obwieszcza wyjście klientki i bratowa Chandy zostaje w sklepie sama. Wygląda przez szybę wystawową: ulicą przechodzi żona Shamasa; to już chyba trzeci raz tego popołudnia, ale może się myli. Sklep jest tak samo szeroki jak głęboki, zajmuje cały parter domu, na którego piętrze mieszka rodzina. Słyszy kroki na górze — to jej córeczki i teściowie. Front sklepu za jej plecami jest niemal cały ze szkła i co jakiś czas zerka przez ramię, żeby mieć na oku Kaukab. *Gdyby Allah pozwalał mieszkańcom raju zajmować się handlem, wybrałbym handel tkaninami, bo tym trudnił się Abu Bakr as-Siddik* — głosi napis na tabliczce przybitej do ściany nad stoiskiem z tkaninami po lewej, powiedzenie proroka Mahometa, niech pokój będzie z Nim. Stoją tam półki uginające się pod belami materiałów i długa lada, a podłoga zasłana jest cekinami i skrzącym się pyłem, który opadł z tkanin. Kolory i desenie zmieniają się w tej części sklepu wraz z porami roku. Para nożyc na sznurkach przypomina martwe ptaki powieszzone za nogi i odsączone z krwi. Bele z końcówkami materiałów, każda wysoka na czterdzieści pięć cali, stoją oparte o ladę jak kolejka bardzo chudych i cierpliwych kobiet w sari.

Bratowa podchodzi do schodów i krzyczy, że już pora, by dziewczynki zjadły lunch i zbierały się do wyjścia do meczetu na lekcje Koranu.

— I nie zapomnijcie, że proszono was o przyniesienie po jednym funcie na fundusz pomocy uchodźcom z Bośni!

Wraca za ladę, przechodząc obok dwóch wysokich do pasa lodówek na mrożonki przykrych pleksiglasowymi płytami, które przesuwają się jak wieka trumien w bajkach. Teściowie podzielili się z nią swoim planem wysłania na policję rzekomych nabywców paszportów Chandy i Jugnu, i doprowadzenia w ten sposób do uznania za bezpodstawne zarzutów stawianych braciom Chandy — i ona jest całkowicie za tym. Teść powiedział jej o tym pomysle, gdy tylko wrócił z żoną z widzenia w więzieniu,

i wspomniał, że niedawno poznał w meczecie młodego mężczyznę szukającego brata, chłopca ze złotym pasemkiem w czarnych włosach. „Ostatnia wiadomość, jaką od zaginionego chłopca ze złotym pasemkiem włosów dostała rodzina, przyszła stąd, z Dašte-Tanhai, a więc tu rozpoczął poszukiwania. Żeby lak go znowu spotkać — nadawałby się idealnie”, powiedział wtedy ojciec Chandy. I los zrządził, że znaleźli go niedługo potem, w tamten wieczór, kiedy występował Nusrat Fateh Ali Khan, w tłumie, pijanego i zrozpaczonego, bo stracił już nadzieję, że kiedykolwiek odnajdzie brata. Kiedy ojciec Chandy do niego podszedł, mężczyzna powiedział: „Ilekroć wygnańcy wspominają ojczyznę, łza kręci się w oku poranka — stąd biorą się kropelki rosy. To cytat, wujku-ji, z pieśni wykonywanej przez Nusrata Fateha Ali Khana, a właściwie z wiersza Wamaka Sulima, który Nusrat przerobił na pieśń”. Żrenice miał rozszerzone, nie był żadnym partnerem do poważnej rozmowy, tak więc ojciec Chandy poprosił go o adres i poszedł z nim porozmawiać następnego dnia. Mężczyzna zgodził się pomóc rodzinie Chandy w mistyfikacji — policja deportuje go co prawda do Pakistanu jako nielegalnego imigranta, ale za to bogatszego o pieniądze, który wypłaci mu rodzina. Muszą być ostrożni, nikt nie może go widzieć w ich towarzystwie, nikt nie może powziąć podejrzeń, że mają z tą historią coś wspólnego. Po znalezieniu dziewczyny, która zgodzi się odegrać podobną rolę, rodzina wyśle ich oboje na policję. Ale znalezienie dziewczyny okazuje się trudniejsze. Zazwyczaj to mężczyźni wyjeżdżają do obcych krajów, bo są silniejsi, odważniejsi, trochę łatwiej poruszać im się w świecie niż kobietom.

Otwierają się drzwi sklepu. Stoi w nich chłopiec zjadający kupiony przed chwilą czekoladowy baton, wargi i dziąsła ma oblepione słodką mazią, odsuwa go na bok grupka kobiet.

— A ty co, odźwierny? — burczy jedna i nie czekając na odpowiedź, wchodzi do sklepu.

— Ja tylko czekam, aż ten wysoki dom tam na wzgórzu się zawali — woła za nią chłopiec — jest stary i pusty, i dzisiaj po południu mają go wysadzić w powietrze.

Kobiety są oburzone, że nie przeprosił za tarasowanie im drogi. Ale puszczają mu to płazem i wchodzi. „Kto jest zadowolony ze swoich dzieci? No kto?!” Jedna z nich macha wysoko uniesioną ręką, żeby uciszyć resztę i przytoczyć przykład z wielkiego świata.

— Nikt. Nie ma takiego. Spójrzcie tylko, co z tą biedną królową wyprawiają jej dzieci.

— Włóczą po ziemi, ot, co z nią wyprawiają, siostró-ji.

— Włóczą za nogi.

— Za włosy.

— Po ziemi i po błocie. I to kobietę, która rządzi tym krajem.

— Robią z niej pośmiewisko.

Na kilka minut zapada milczenie i tylko kwiaty na tkaninach stroszą się obruszone nieodpowiedzialnością dzisiejszej młodzieży. Potem kobiety rozpraszają się po sklepie i znikają między wolno stojącymi półkami. Tu kamy rząd ciast owocowych, których wierzchy nadziewane rodzynkami i sułtankami wyglądają jak skóra ściągnięta z lamparta. Tam, tam... i tam kosze owoców i warzyw, jabłek rumianych jak policzki japońskich dzieci, mango, gwaj, długich na stopę odcinków trzciny cukrowej importowanej z Pakistanu; kilka takich lasek nasycza to zamknięte pomieszczenie takim aromatem, jaki unosi się nad całą wioską, kiedy na polu dojrzewa trzcina. Jaja leżą zwykle tu, obok owoców, ale w lecie przenosi się je gdzie indziej, bo klienci gotowi się jeszcze skarżyć, że omlety wychodzą im w smaku papi, ananasa i melona.

Przez następne pół godziny w sklepie panuje taki ruch -kobiety chcą robić zakupy również w stoisku z tkaninami — że bratowa Chandy zmuszona jest zawołać teściową, żeby zeszła z góry, bo sama nie daje rady. Klientki pytają jedna przez

drugą, czy to ciemnoczerwone płótno pasowałoby do jej smagłej cery, czy w tym sklepie można dostać materiał w tym deseniu, który w zeszłym tygodniu widziały u żony Shamasa, Kaukab, czy ta żorzeta w paski to ta sama tkanina, która suszy się na sznurze przy Jinnah Road...

Suraya oglądająca paczuszkę multańskiej glinki, którą stosuje się jako maseczkę na twarz, słysząc imiona Shamasa i Kaukab, unosi głowę i spogląda w kierunku stoiska z tkaninami. Glinka wydobywana jest w pakistańskim mieście Multan i stosowana również do czyszczenia marmurowej fasady Tadż Mahal; odkłada ją na półkę, podchodzi do stoiska z tkaninami i — stropiona trochę faktem, że kobieta za ladą przygląda jej się dziwnie, tak jakby gdzieś już ją widziała, ale nie może sobie przypomnieć gdzie — pokazuje palcem materiał, który podobno widziano na Kaukab. Pamięta, gdy jako młoda dziewczyna bardzo polubiła nauczycielkę z muzułmańskiej szkoły dla dziewcząt tylko za to, że ubierała się w to samo co jej matka. Teraz zastanawia się, czy to, co czuje do niej Shamas, też się pogłębi, jeśli pokaże mu się w materiale, który nosi jego żona.

Jego żona, kiedy była młodsza.

Ale efekt może też być odwrotny: odżyje przygasła miłość i Shamas wróci do żony, żałując swojej niewierności.

Ogląda niezdecydowanie tkaninę. Opowiadał jej o drobnych, czasami ostrych różnicach zdań w swoim małżeństwie z Kaukab, a ona nic daje po sobie poznać, że bardziej jest po stronie jej niż jego. Z tego, co od niego słyszy, wynika, że Kaukab to bogobojna, miłująca Allalia kobieta i Suraya nie ma już pewności, czy odważy się w końcu zwrócić bezpośrednio do niej i przypomnieć, że Prorok, niech pokój będzie z Nim, miał więcej niż jedną żonę.

— Będzie się pięknie komponował z pani karnacją — zapewnia kobieta za ladą — matka Chandy? — kiedy Suraya prosi ją od odmierzenia materiału na *szalwar-kamis*.

— Dziękuję — bąka Suraya, bierze swoją paczkę i odwraca się. W tym momencie sklep rozbrzmiewa seriami z dziecięcych karabinów kosmicznych. Zabawki są importowane ze Wschodu

i *blipią* i *piuuują* o wiele głośniej od tych produkowanych tutaj, w Anglii. Ogłuchnąć można.

Grupa kobiet w średnim wieku wkracza natychmiast do akcji, pacyfikuje pociągających za spusty, niesfornych chłopców i w sklepie zapada dzwoniąca w uszach cisza. Winowajcy, ze skruszonymi, zbolalymi minami, zostają doprowadzeni do matki i unieruchomieni przy niej pogrózkami oraz przygważdżającymi spojrzeniami.

Suraya uśmiecha się. Opowie dziś Shamasowi o tych chłopcach. Zauważyła, że lubi wspominać dzieciństwo swoich dzieci, opowiadać, co wtedy robiły, co mówiły. Ale spytany o okres ich dojrzewania albo co robią teraz, nabiera wody w usta. Najwyraźniej nie są to dla niego najmiłsze wspomnienia: zapewne dochodziło wtedy do nieporozumień z Kaukab na tle ich wychowania i on woli zachować je w pamięci jako małe dzieci.

Kiedy wspomniał, że jego starszy syn, Charag, jest artystą, przemknęło jej przez myśl, czy to czasem nie ten młody mężczyzna, którego spotkała wiosną nad jeziorem, ale Shamas powiedział, że Charag nie mieszka w Dašte-Tanhai i nie przyjeżdżał tu w tym roku.

Idzie między półkami, chłonąc widoki i zapachy, bierze do ręki to jakieś pudełko, to słoik zahipnotyzowana różem, błękitem, czerwienią, zielenią, oranżem, barwą złocistą lub srebrzystą, odkręca i wacha małe flakoniki perfum — drewno sandałowe, szafran, jaśmin, róża. Jakby znowu była małą dziewczynką.

Uświadamia sobie nagle, że bardzo chciałaby mieć córeczkę — ubierać ją, kupować dla niej paciorki i lalki.

Od wielu miesięcy nie było jej tak błogo na duszy i słuchając głosów rozmawiających wokół kobiet, popada z wolna w coś na kształt słodkiego hipnotycznego letargu. Jedną z rzeczy, które upodobała sobie w Pakistanie i których jej teraz brakuje, jest towarzystwo przyjaciółek i koleżanek leżących na werandzie pod sufitowymi wentylatorami, rozmawiających o wszystkim i o niczym, śmiejących się, przymierzających bransolety z tego tuzina rozrzuconego między nimi na podłodze niczym symbol olimpijski planety, która ma więcej niż Ziemia kon-

tymentów, przekomarzających się jedna z drugą, protestujących przeciwko pomówieniom i insynuacjom i wygłaszających lubieżne uwagi na temat mężów (jak często, jak szybko i, dzięki niech będą Allanowi, jak powoli?) i narzeczonych, jak również innych mężczyzn z okolicy (pamięta, jak zauważywszy kiedyś mężczyzn z rodziny, z którą jej teściowie mieli na pieńku, przechodzących ulicą, pochwaliła szeptem przed przyjaciółkami ich zapierającą dech w piersiach urodę; kobiety zgodziły się z nią, a potem któraś, pokładając się ze śmiechu, powiedziała, że słyszała kiedyś, jak jeden z tych przystojnych, boskich mężczyzn, nie zdając sobie sprawy, że ona jest w pobliżu, oddawał mocz w zaułku i — o Allahu! — jakże zaintrygował ją ten odgłos. „Kiedy odszedł, nie mogłam się powstrzymać, zakradłam się w to miejsce i zobaczyłam ogromny krater w ziemi, taki jak robią konie”).

Suraya rozgląda się z uśmiechem i nagle przypomina sobie leściową — kobietę niewiele się różniącą od tych tutaj — która knuje przeciwko niej i kto wie, czy właśnie w tej chwili nie lamie jej życia. Ta jędza powiedziała jej przez telefon: „Nawet dziecko urodziłaś pod trzydziestkę, a i to dopiero po tych wszystkich hormonach i zastrzykach, które kosztowały nas tysiące rupii, roniałaś i roniałaś, a mój biedny syn musiał cię potem odwiedzać po parę razy na dzień w szpitalu”. Suraya chciała wykrzyknąć: „Leżąc na szpitalnym łóżku, marzyłam, żeby napluć na ciebie i tego twojego synalka, stara wiedźmo. Budziłam się i zasypiałam ze sterczącymi z ramion igłami, a krocze miałam całe we krwi i porznięte po operacjach”. Ale nic nie powiedziała, bo ta jędza z jeszcze większym zaangażowaniem zaczęłaby szukać nowej żony dla swojego syna, a jej męża.

- Słyszałam, że Anglia to zimny kraj, ale dzisiaj jest gorąco — mówi młoda kobieta stojąca obok Surai. Suwając tam i z powrotem bransoletami, drapie się nimi po nadgarstku. Na szyi ma jeden z tych szkaplerzyków z miniaturowym Koranem wielkości jednej trzeciej pudełka zapalek.

Suraya uśmiecha się uprzejmie i chrząka wymijająco.

- To moja pierwsza wiosna tutaj. W listopadzie przyjechałam z Pakistanu.

— Jakiś kuzyn urodzony tutaj, w Anglii, wrócił do kraju, żeby się z tobą ożenić?

Młoda kobieta odkłada na półkę tubkę kremu, którą oglądała.

— Nie jestem zamężna. Przyjechałam do Anglii na własną rękę. — Zniża głos. — Jestem nielegalną imigrantką.

Suraya kiwa głową.

— Szukam kwatery. Może słyszała pani o jakimś pokoju do wynajęcia? — Dziewczyna pokazuje za siebie, na przeszklony fronton sklepu. — Widzi pani tamten wysoki blok? Stoi pusty, włamaliśmy się więc z przyjacielem zeszłej nocy i na razie mieszkamy tam na dziko. On ma dziewiętnaście lat i jest dla mnie jak brat, zresztą przypomina mojego brata. — Na wspomnienie chłopca oczy zaczynają jej się śmiać. — A od kilku dni coraz bardziej, bo on jest bardzo chory i muszę się nim opiekować, tak jak opiekowałam się bratem, kiedy próbowałyśmy z matką odzwyczaić go od heroiny.

Suraya patrzy na wysoki dom w oddali — nie większy od szkaplerzyka na szyi dziewczyny — i kiwa głową.

— Przez całą noc miał bóle, zasnął dopiero nad ranem. To chyba gruźlica. Kiedy wychodziłam, jeszcze spał. Zaniosę mu wieczorem trochę owoców. — Odwraca się i patrzy na budynek. Uśmiech odfruva z jej oczu i przysiadła jak motyl na wargach.

— Można powiedzieć, że nawet stąd masz na niego baczenie — zauważa Suraya. Dziewczyna chichocze. Otwiera zamocowane na zawiasach wieczko szkaplerzyka i pokazuje go Surai: w zagłębieniu — zamiast miniaturowego Koranu — leżą cztery złote nitki.

— Ten chłopiec ma wszystkie włosy na głowie czarne, a jeden złoty. Wrywa go sobie co drugi miesiąc, a ja je gromadzę w tym szkaplerzyku. To prawdziwe złoto. Sprzedamy je, kiedy uzbieramy więcej.

Suraya spogląda na zegarek.

— Niestety, muszę już iść. Zwróć się do właścicielki sklepu, może ona pomoże ci znaleźć jakieś lokum.

Wychodzi ze sklepu, wsiada do samochodu i jedzie do „Saliny” na spotkanie z Shamasem. Powinna opowiedzieć Shamasowi coś o swoim synku, o jakiejś jego bystrej obserwacji albo dowcipnym komentarzu. Jeśli obudzi w nim sympatię do

chłopca, to kiedy przyjdzie czas, Shamas zrobi wszystko, żeby dziecko znalazło się znowu z matką. O, na przykład to by było dobre — w zeszłym tygodniu chłopiec powiedział, że ślimaki są jak galareta, która ożyła w foremce i próbuje uciec.

Ma nadzieję, że zdoła zjednać sobie jakoś służącą z domu w Pakistanie, a potem wyciągnąć od niej, co planuje mąż i teściowa. Zrobić z niej swojego szpiega. Tak, spróbuje tego następnym razem, obiecując dziewczynie jakiś prezent z Anglii, powiedzmy różową kamizelkę ze złotymi guzikami albo kolorowe spinki do włosów w kształcie truskawek, motyli, żonkili, tartanowych kokardek, albo sandały na wysokim obcasie z kryształami górskimi na paskach.

Wszelkimi sposobami musi ochraniać swojego synka (i siebie).

Bratowa Chandy wkłada do plastikowej torebki tubkę kremu do twarzy, którą kupiła klientka — import z Pakistanu. Linie na dłoni mężczyzny przepowiadają, ile będzie miał żon — jedną, dwie, trzy czy cztery — ale slogan na tubce głosi: „To nie linie na dłoni twojego męża zapowiadają drugą żonę — to zmarszczki na twojej twarzy”. Kobieta wychodzi, przeliczając skrupulatnie resztę, którą jej wydano.

— Sprzedasz mi taniej te truskawki, siostró-ji? — pyta młoda dziewczyna, podchodząc do lady. W smudze światła wpadającej przez okno wystawowe błyska szkaplerzyk na jej szyi. Bratowa Chandy ma już grzecznie odmówić, kiedy dziewczyna, zniżając głos, dodaje: — Jestem biedną nielegalną imigrantką, siostró-ji, a Allah cię wynagrodzi, jeśli mi pomożesz.

Bratowa Chandy uśmiecha się natychmiast do dziewczyny, ale jednocześnie zerka na boki, bo nikt nie może jej widzieć w towarzystwie tej młodej kobiety; może się nada, ale ich plan spali na panewce, jeśli ktoś je razem zobaczy. Na szczęście są w sklepie same.

— Nałóż sobie. — Wskazuje na truskawki. — Moim obowiązkiem jest ci pomóc.

— Przyjechałam tu z jednym mężczyzną z Pakistanu i w porcie w Dover powiedzieliśmy, że jesteśmy kochankami i nasze



rodziny chcą nas zabić, bo zakochując się w nim, splamiłam ich honor. Powiedzieliśmy, że chcemy się ubiegać o azyl. Pozwolili nam zostać do czasu rozpatrzenia naszego wniosku. Uciekłam z ośrodka dla azylantów i trafiłam tutaj.

— A twój kochanek? — Bratowej Chandy serce bije jak miot — może ona nie będzie chciała wracać bez niego do Pakistanu.

Dziewczyna kręci głową.

— Sostro-ji! On wcale nie był moim kochankiem. Jestem dobrą muzułmanką. Choćby Allan zesłał na mnie najgorsze plagi, nigdy nie splamię swojego honoru. Nic mnie z nim nie łączyło, tylko agent w Pakistanie poradził nam, żebyśmy opowiedzieli angielskim władzom tę bajeczkę o wielkiej miłości. Prawdopodobnie siedzi dalej w ośrodku dla azylantów. Powiedziałam mu, że uciekam — opuściłam Pakistan, żeby zarabiać pieniądze, a nie zbijać baki w zamkniętym budynku. Tutaj, w Anglii, w dziesięć lat zarobię tyle, co w Pakistanie przez czterdzieści.

Bratowa Chandy kiwa głową.

— Gdzie teraz mieszkasz?

Dziewczyna pokazuje na wysoki budynek widoczny przez szybę wystawową, drugą ręką bawi się zawieszonym na szyi szkaplerzykiem.

Bratowa Chandy ogląda się i widząc zmierzającą do sklepu klientkę, posyła szybko dziewczynę do działu owocowego. W wirze warkoczy, szarf i baloników z nadrukiem „Wolność dla Kaszmiru”, zbiegają z góry jej córki — idą do meczetu.

Bratowa Chandy, co chwila zerkając ukradkowo na dziewczynę ze szkaplerzykiem, obsługuje klientkę, i kiedy po pięciu minutach sklep znowu pustoszeje, podchodzi do niej. Dziewczyna stoi przy koszyku z truskawkami, tu i ówdzie z czerwonych owoców sterczy włochaty listek.

— Nie powinnaś była wyjeżdżać z kraju - mówi do niej bratowa Chandy. Dziewczyna rzuca jej przelotne spojrzenie, przygryza wargę, ale milczy. — Tęsknisz?

Dziewczyna nieruchomieje na chwilę z ręką wyciągniętą po truskawkę, a potem wybucha:

— Nie powinnam była wyjeżdżać?! — powtarza gniew-

nie.— Nawet nie wiecie, jacy jesteście szczęśliwi wy, z prawem legalnego pobytu w bogatym kraju!

— Przepraszam — bąka zaskoczona bratowa Chandy. — Ciekawiło mnie tylko, czy zamierzasz wrócić, kiedy już zarobisz te swoje pieniądze.

Ale dziewczyna jakby nie słuchała. Patrzy na bratową Chandy z furją w oczach.

— Nie macie pojęcia, jak się tam żyje większości z nas. — Jeden balonik wymknął się którejś z dziewczynek z rąk i unosi się teraz pod sufitem, dryfując powoli. Dziewczyna posyła mu pogardliwe spojrzenie. — Wolność dla Kaszmiru, jeszcze czego. Pakistan nie potrafi wyżywić ludzi, którzy już mieszkają w jego granicach, a chce przygarniać następnych, powiększyć terytorium. To samo odnosi się, oczywiście, do Indii.

— Ktoś rozdawał te baloniki na ulicy — mówi bratowa Chandy, starając się ją udobruchać. — Nie chciałam cię urazić. — Wie, że musi wyrzucić na dziewczynie wrażenie, że zgadza się z jej poglądami. — Co parę dni gazety donoszą o jakiejś grupie nielegalnych imigrantów, których spotkał tragiczny koniec. Ci przekłęci premierzy, prezydenci i generałowie — i z Indii, i z Pakistanu. Powinni odczuć na własnej skórze, przez co muszą przejść ludzie, żeby dostać się do kraju, gdzie z uczciwej pracy mogą żyć na przyzwoitym poziomie. Powinni zapytać tych ludzi, czy chcą wolnego Kaszmiru, czy szansy na bezpieczne życie z pełnym żołądkiem we własnym kraju.

Dziewczyna, już spokojniejsza, mówi cicho:

— Powinni zobaczyć, jak dotarła tutaj grupa, w której byłam, jak ostrzeliwani biegliśmy po kolana w śniegu, jedna granica, druga, trzecia, poniżani, policzkowani.

Bratowa Chandy bierze od dziewczyny torbę, którą ta napęła, i zaczyna dorzucać do niej garście czerwonych truskawek.

- Codziennie się o tym słyszy... ludzie brodzący w kanałach ściekowych i rozlanych rzekach, zostawiający zmarłych albo umierających na górskich zboczach na pastwę kruków i sępów. — Nachyla się do dziewczyny. — A teraz posłuchaj, jesteś tak jak ja Pakistanką. Mam obowiązek ci pomóc. Jeśli czegoś potrzebujesz...

Ale dziewczyna z niedowierzaniem w oczach patrzy na coś ponad jej ramieniem. Bratowa Chandy ogląda się i torba z truskawkami wypada jej z rąk. Oddalony o kilka mil budynek wali się w gruzy. Dziewczyna odpycha ją i z niemym krzykiem biegnie do drzwi. Próbuje znowu krzyknąć, ale i tym razem krzyk więźnie jej w krtani. Pędzi ulicą prowadzącą do zburzonego domu, szkaplerzyk majta jej się wokół szyi. Przed sklepem stoi kilka osób, a do tego do środka weszły właśnie jakieś klientki, więc bratowa Chandy nie może za nią pobiec, bo zdradziłaby się, że coś ją z dziewczyną łączy. Patrząc bezradnie, jak ta znika z jej życia, wydaje cichutki jęk. Taka okazja wymknęła jej się z rąk.

— Zaraz, po co to ja przyszłam? — zastanawia się głośno stojąca przed ladą kobieta. — Taka ze mnie zapominalska. — Córeczka ubrana w jaskrawopomarańczową sukienkę szarpie ją za rękaw i mówi, że chce dwa lody, jednego truskawkowego, drugiego cytrynowego, ale w odpowiedzi słyszy, że jak się nie uspokoi, to zostanie oddana białemu, który każe jej jeść wieprzowinę i pić alkohol, i nie pozwoli myć pupy po wizycie w ubikacji, tylko zmusi do podcierania się papierem toaletowym. Mała, przejęta strasznymi konsekwencjami nieposłuszeństwa, godzi się zadowolić tylko jednym lodem. Podchodzi do szklanych trumien i zagląda do środka, wspierając brodę o krawędź lodówki.

Bratowa Chandy staje za ladą i uśmiecha się nieszczercze do klientki. Mając przed oczyma cały asortyment wyeksponowany pod pleksiglasową szybą, córeczka klientki zapomina o okropieństwach białych i mimo wszystko wyjmuje dwa lody. Matka widzi to i krzyczy:

— Jak nie będziesz posłuszna, to nie tylko ciebie oddam białym, ale twojego brata też. Już oni dopilnują, żeby nie nauczył się prowadzić samochodu, kiedy dorośnie, i będzie musiał siedzieć na fotelu pasażera, a kierować będziesz ty. Chcesz mieć takiego eunucha za brata? Pantoflarze! Mózg się człowiekowi gotuje, kiedy patrzy na wynaturzenie tej rasy. — Przestraszona nie na żarty dziewczynka potrząsa przecząco głową i cytrynowego loda odkłada. Tymczasem matka wychwytuje kolejny przykład niewłaściwego zachowania: — Ej,

ty! — krzyczy do chłopca w zielonej koszulce reprezentacji Pakistanu w krykiecie, która zdobyła Puchar Świata — do ciebie mówię, kimkolwiek jesteś. Tak, ty, zielony. To nie kredens, to lodówka. Zdecyduj się najpierw, co chcesz z niej wyjąć, a dopiero potem otwieraj. — Kręcąc głową, spogląda na bratową Chandę. — Stoi taki i się gapi. Chan [mran nedorobiony. Za dobre masz serce, siostró-ji, mogliby ci tu kogoś mordować, a ty słówkiem byś się nie odezwała. — Mruży chytrze oczy. — Powiedz mi tylko, że to on rozsypał tamte truskawki po podłodze, a zobaczysz, jak go nauczę po sobie sprzątać. Nie obchodzi mnie, czym jest synem.

— Sama posprzątam mówi cicho bratowa Chandy. Myśli wciąż o tamtej dziewczynie. Listki truskawek są włochate jak liście winorośli i przypominają jej rośliny, które rosły przy domu jej rodziców w Pakistanie, kiedy była dzieckiem. Zasadził je ojciec, ale matka zawsze narzekała, że musi wciąż zamiatać opadające liście. Kiedy ojciec zachorował, wykorzystła tę okazję i zabrała się do ich wycinania. Była w połowie, kiedy nad podwórkiem pojawiło się nagle z tuzin nektarników. Zaczęły krążyć z krzykiem nad ściętymi pnączami. Żywiły się winogronami i prawdopodobnie miały swoje gniazda gdzieś pod większymi liśćmi. W podobnej sytuacji znalazła się przed chwilą dziewczyna ze szkaplerzykiem; tak właśnie się rozpacza, kiedy niszczą ci dom. Ojciec krzyczał coś ze swego pokoju i machał rękami jak te ptaki skrzydłami nad podwórkiem, ale matka, głucha na jego protesty, dalej rąbała i piłowała.

Bratowa Chandy patrzy na kolumnę pyłu, która wznosi się w oddali ku niebu i przywodzi jej na myśl walkę dżinnów na pustyni. Znajdziemy inną młodą kobietę, pociesza się.

## *Cynober*

Shamas czeka w „Safinie” na Surayę. W księgami nagrzewanej od sześciu godzin przez słońce jest duszno, w powietrzu unosi się zapach papieru i farby drukarskiej. Dziś był jeden z tych upalnych dni, które przypominają, że świat jest podtrzymywany przy życiu przez słońce. Ale właśnie zaczyna się pierwsza letnia burza, deszcz pada coraz rześściej. Wygląda na to, że upał i światło słoneczne zostały zwinięte w rulon i odstawione do kąta na kilka najbliższych godzin. Ulewa zmywa z trotuarów wyrysowane przez dzieci kredą kratownice do gry w klasy.

Shamas stoi w oknie i obserwuje ćmę o nazwie cynober, która uciekając przed deszczem, przysiadła po tamtej stronie szyby; przednie skrzydełka ma brązowawe, koloru mlecznej czekolady, z plamkami w tym jaskrawym odcieniu czerwieni — od samego patrzenia na niego może zakręcić się w głowie — za to tylna para skrzydełek jest jednolicie czerwona. Shamas przypomina sobie, jak Jugnu mówił z uśmiechem, że cynober, projektując swoją szatę, musiał się wzorować na stylu ubierania się kobiet z Indii i Pakistanu: przednie skrzydełka są jakby *kantu* — koszulką z tkaniny z naniesionym deseniem w kwiaty, geometryczne figury, a tylne to *szalwar* — spodenki w jednym z kolorów występujących na *kamis*.

Szum deszczu przypomina granic świerszczy. Na powierzchni pobliskiego jeziora roją się pęcherzyki powietrza — nicość powleczone nicością. Shamas mruga powiekami. Brzegiem

jeziora nadbiega Suraya i uśmiecha się, dostrzegając go z daleka w oknie. Szal wydyma się, pasemka włosów i czerwona jedwabna apaszka turkoczą na wietrze. Musi bardzo lubić tę apaszkę, nie rozstaje się z nią. Woda, popołudniowe niebo i kamienie widoczne na płyciznach jeziora są szare, niebieskoczarne, białe, pociemniały też wodorosty, te szmaragdowozielone oślizłe pasma, które dzieciom brodzącym przy brzegu z podwiniętymi nogawkami więzną zawsze między palcami stóp i wloką się za nimi niczym rozwiązane rzemienie lekkich sandałów.

Suraya wydaje okrzyk zaskoczenia, kiedy Shamas, nie zważając na ulewę, wybiega jej na spotkanie i bierze ją w ramiona. Uwalnia się ze śmiechem z objęć i wciąga go pod dach „Safmy”, świat na zewnątrz lśni jak ukończony przed chwilą, dopiero co zdjęty ze sztalug obraz.

— Wszędzie szukałam, ale nie znalazłam tych złotych ołówków Koh-i-Noor, które obiecałam ci kupić, żebyś znowu mógł zacząć pisać wiersze — mówi Suraya, strąsając z włosów kropelki wody.

Ale on bez słowa, niecierpliwymi ruchami, ściąga z niej ubranie. Lampa z zakurzonym, poplamionym abażurem zalewa wnętrze żółtawym, ciepłym jak blask świec światłem. Skóra Surai ma w nim barwę bladego jaśminu. Suraya osuwa się na wytarty kobierzec i na wpeł leżąc, podparta na łokciach, życza mu wreszcie swych warg. Ale zaraz odrzuca w tył głowę, przerywając pocałunek, a on sunie zachłannymi wargami w dół, za pepek, ku wzgórkowi łonowemu. Jego gwałtowność i pośpiech wyciskają z niej od czasu do czasu jęk zdziwienia lub protestu, ale potem oddech jej się uspokaja jak rzeka za kataraktami, i pary jeleni z wzorzystej tapety wykręcają szyje, by na nią patrzeć.

— Wczoraj w nocy dzwonił do mnie twój mąż. Skończyła się właśnie ubierać, ale odwraca się do niego

dopiero po paru sekundach. Tak jakby sens tego, co przed chwilą powiedział, docierał do jej świadomości bardzo powoli, jak pęcherzyk powietrza unoszący się ku powierzchni w słoiku miodu.

— Kocham mojego synka, mojego najdroższego synka, i kocham męża, Shamasię — mówi łamiącym się głosem.

— Czy kiedy pierwszy raz mi się oddałaś, była to forma zachęty? Chciałaś mi dać próbkę tego, czego zakosztuję, jeśli się z tobą ożenię?

Suraya podchodzi do niego, kilka razy wyciąga niezdecydowanie rękę, by dotknąć jego ramienia, ale w końcu ją cofa.

— Allah mi cię zesłał tamtego ranka na moście, żebyś mi pomógł w ratowaniu apaszki. Od razu wyczułam w tobie dobrego człowieka...

— Kogoś, kim łatwo manipulować?

— Nic miałam wyjścia. Dla synka i męża zrobiłabym wszystko. Miłość ośmiela kobietę.

— Myślałam, że ośmiela cię to, co do mnie czujesz, a ty przez cały czas po prostu śmiało upadłaś się z miłości do męża i dziecka.

— Mężczyźnie wolno mieć cztery żony naraz, Shamasie. Mógłbyś...

— A więc obmyśliłaś już wszystko ze szczegółami? Jak wyglądał twój plan?

— Przysięgam na swój wzrok, że nigdy nie było żadnego przemyślanego planu. Na koniec chciałam ci wszystko wyznać.

— Z miłością dajmy sobie spokój, nie jestem głupcem, ale czy przynajmniej mnie lubiłaś, zależało ci na mnie choć trochę?

Suraya odwraca wzrok, a po chwili wyrzuca z siebie z goryczą:

— A jakie ty miałaś plany? Co, według ciebie, miało wyniknąć z naszych spotkań? Zamierzałaś porzucić dla mnie żonę? — Nie spodziewa się chyba usłyszeć od niego starej pieśni, elegii o duszeniu się w małżeństwie, o heroicznym buncie przeciwko hipokryzjom tej instytucji, bo ciągnie: — Chociaż tego nie powiedziałaś, wiem, że żona jest w twoim życiu najważniejsza. Podejmowałam swoje decyzje w stanie oszołomienia, tak samo zresztą jak ty. — I już bardziej uległym tonem dodaje: — Shamasie, wiesz przecież, że mężczyzna może mieć więcej niż jedną żonę...

Tak, wie. Pewien mężczyzna przyszedł do Mahometa i poskarżył się mu, że jest nieszczęśliwy. Prorok poradził, żeby wziął sobie żonę. Jakiś czas później człowiek ten, już żonaty, przychodzi znowu do Mahometa i nadal twierdzi, że jest nie-

szczęśliwy. „Weź sobie drugą żoną”, poradził mu Mahomet. Po jakimś czasie mężczyzna wrócił, teraz podwójnie żonaty — i szczęśliwy.

— Wiem, że jesteś na mnie zły, Shamasie. Nie myśl, że byłeś mi obojętny, prócz męża nie miał mnie dotąd nikt.

— Próbuję tylko zrozumieć, jak to sobie wyobrażałaś. Jak chciałaś nakłonić mnie zaraz po ślubie do rozwodu?

— Tak daleko w przyszłość myślą nie wybiegałam. Nie zastanawiałam się wtedy, jak to zrobię, zresztą teraz też nie wiem. Zamykam oczy i wypowiadam w myślach życzenie, żeby to wszystko odpłynęło w niebyt, poczynając od chwili, kiedy tam, w Pakistanie, weszłam do domu wrogiej rodziny. Myślę o synku, o mężu, oplakuję matkę, błagam Allaha o wybaczenie grzechu, którego się z tobą dopuściłam i... tak, proszę (io, żeby mi wybaczył, że cię zwodzę.

- Moim zdaniem nic masz sobie nic do zarzucenia. I nie zapominaj, że weszłaś do tamtego domu, żeby ratować dziewczynie życie. — Shamas odwraca się do Surai, która usiadła tymczasem obok niego na wyświechtanym kobiercu, i dotyka brzegu jej chusty.

- Zastanawiam się czasami, jakie motywy mną wtedy kierowały — mówi Suraya. — Być może popchnęła mnie do tego próżność. Chciałam być w centrum zainteresowania tej małej, zacofanej wioski, chciałam, żeby ludzie widzieli we mnie tę, która miała odwagę stanąć w obronie skrzywdzonej dziewczyny, wyciągnęła na światło dzienne niegodziwe postęпки jej wuja i kto wie, może nawet położyła kres odwiecznej nienawiści rodowej. Może nieszczęście, które na mnie spadło, iśl karą Allaha za pychę i próżność, jakie okazałam. Taka byłam znudzona życiem w tej małej osadzie, chciałam, żeby na mnie patrzono, podziwiano, szukałam jakiejś podniety.

- To bardzo ludzkie słabostki. Nie wyrzucaj ich sobie. Znałam angielski — podejmuje Suraya — miałam dość

łusną karnację, o pewnych rzeczach wiedziałam więcej niż ktokolwiek z tych wieśniaków. Czasami dawałam im do zrozumienia, że czuję się kimś lepszym od nich. Sugerowanie, że mój umysł ma dostęp do wyższych tajemnic życia, było rzecz lasnn grą, pozą. — Śmieje się ironicznie. — Wiedza! Kiedy



moi rówieśnicy zdobywali rzetelną wiedzę, ja wkuwałam w trzeciorzędnej islamskiej szkole imiona wszystkich żon Proroka. Zdaję sobie sprawę, jaka jestem niedouczone, jak niewiele rozumiem z życia, jak mało o nim wiem. Bałam się — boję — że w rozmowie z kimś naprawdę wykształconym, kimś takim jak ty, wyjdzie ze mnie cała moja ignorancja.

— Niczego takiego nie zauważyłem. Suraya znowu puszcza jego słowa mimo uszu.

— Oczywiście, mogłabym zostać kimś. Ale to wymagałoby długiej, wyteżonej pracy nad sobą, obrania stylu życia ukierunkowanego na dążenie...

— Nawet to niczego nie gwarantuje.

— Lubiłam oglądać zachwyty i podziwy, które pojawiały się na twarzy męża, kiedy cytowałam — nie zawsze wiernie — fragment któregoś ze znanych mi wierszy, bo mi to pochlebiało, i zaraz ogarniał mnie wstyd i obrzydzenie do samej siebie, bo wiem, że próżnością nic zdobywa się prawdziwej wiedzy.

— Nie zadrećzaj się tak.

— Wiesz, co powiedziała mi wiosną swatka, kiedy odrzuciłam wszystkich kandydatów, jakich mi zaproponowała? Orzekłam, że żaden z nich mi nie dorównuje, a ona na to: „Wprost przeciwnie, moja wyniosła i dumna ślicznotko. Odnoszę wrażenie, że ty szukasz kogoś, na kogo mogłabyś patrzeć z góry. A tymczasem czujesz, że oni cię przewyższają”. Zastanawiam się, czy nie ma w tym aby ziarenka prawdy.

— Zapomnij o tym wszystkim i postaraj się myśleć sensownie o przyszłości.

— O przyszłości? Boję się, że jeśli w najbliższym czasie nic wrócę do synka, to pewnego dnia dowiem się, że przypomina mnie sobie tylko wtedy, kiedy inni przypomną mu o moim istnieniu, namawiany, żeby o mnie myślał. — A potem mówi nagle: — O AUahu, Shamasie, dlaczego mnie nie powstrzymałeś, kiedy z takim brakiem szacunku wyrażałam się o islamie? Co się ze mną czasami dzieje? To twoja wina, że tak myślę i mówię; teraz już wiem, co ma na myśli twoja żona, kiedy twierdzi, że to przez twoje gadanie Charag, Mah-Jabin i Ujala odeszli z domu. — Ukrywa twarz w dłoniach. — Co pomyśli o moich błuźnierstwach Allah? Już raz pokarał mnie rozłąką

z synkiem i mężem. Och, nawet nie zdajesz sobie sprawy, jak ja ich kocham.

— Nie płacz, proszę. A jak bardzo kochasz syna i męża, wiem: żeby do nich wrócić, nie zawahałaś się nawet stać... — nie może się przemóc do nazwania jej prostytutką — ...tą... no... jedną z tych kobiet.

— Mężczyźnie wolno mieć do czterech żon, Shamasie. Wszyscy troje będziemy się za ciebie modlić przez resztę życia. Sama poproszę twoją żonę, wyjaśnię jej swoją sytuację.

— Nie. Niech ci do głowy nie przyjdzie zwracać się z tym do Kaukab. Przykro mi, ale do tego, do czego próbujesz mnie nakłonić, nigdy nie dojdzie. — Siedzą w pewnym oddaleniu od siebie, ale jedno świadome jest obecności drugiego jak dygocące zwierzęta w lesie. — Nie ożenię się z tobą dla zasady; jedną z rzeczy, które uważam w islamie za haniebne, jest idea, że mężczyzna może mieć cztery żony.

— Proszę cię, nie mów tak o islamie. Chcesz pójść za to do piekła?

— Nie, za to nie chcę. I jeszcze jedno, Surayo, skąd wiesz, że twój mąż nie upije się znowu do nieprzytomności i ponownie z tobą nie rozwiedzie? Był pijany, kiedy telefonował do mnie w nocy.

— Nie mógł być pijany. Mówi, że przestał pić.

— Nie przestał. Nic możesz do niego wrócić. Jest jeszcze jeden powód, dla którego nie pójdę ci na rękę: ja po prostu nie chcę, żebyś do niego wróciła. Może cię pobić. W Pakistanie nie tylko bije się żony, tam się je również morduje; w którymś z pijackich szalów mógłby cię zabić.

— Czasami myślę sobie, że powitałabym śmierć z otwartymi ramionami. Niech Allah wybaczy mi moją niewdzięczność. Shamasie, pozwól mi porozmawiać z Kaukab...

— Nie! — Wymawia to słowo głośniejszym głosem, niż zamierzał, i nerwowy skurcz przebiega mu przez twarz. — O nie, czy on uderzył cię kiedyś po pijanemu? Bił cię? — Porywają w ramiona. — Gdzie cię uderzył, no gdzie? — Obsypuje pocałunkami twarz wyrywającej się Surai. Policzki. Wargi (spomiędzy których zaledwie przed półgodziną wciągnął w usta jej wilgotny język i ssał go, szczytując w niej jak dzban z mlekiem opróż-

niany jedną długą strugą po drugiej). — Tutaj? Tutaj cię uderzył? — Całuje jej piersi, które z rozkosznym mrowieniem w opuszkach palców pieścił za pierwszym razem w „Sarinie”, całuje jej kasztanowy sutek, szepcząc na ucho, że pewien sans-krycki wiersz opiewa kobiecy sutek jako tak twardy, „że łza, spadając na niego, odbija się, rozpryskując w wodną mgiełkę”. — Tutaj? Tutaj? — Ale ona nagle coś sobie teraz, w tym momencie, uświadamia.

— Na Allaha, skoro znałeś całą prawdę, zanim tu dzisiaj przyszedłem, to dlaczego mnie całowałeś, dotykałeś, *przeleciałeś*? Chciałeś jeszcze raz zaspokoić swoje żądze i dopiero potem mi powiedzieć, że wszystko już wiesz. Jestem pewna, że domyślałeś się już, ile szacunku dla samej siebie musiało mnie kosztować każde zbliżenie z tobą, a mimo wszystko... Ty nikczemna bestio! — Próbuje mu się wyrwać, okładając po głowie pięściami. — Ty potworze! Oszukałeś mnie, bezwzględny sukinsynu! I ty śmiesz mówić o zasadach!

Shamas tuli ją do siebie, pokornie znosząc słabe ciosy.

— Przepraszam, przepraszam. Kocham cię. Suraya wbija paznokcie w jego ramię.

— Przestań kłamać, wcale mnie nie kochasz. Gdybyś kochał, nie odmówiłbyś mi.

— Myślisz, że każdemu, kogo spotkam, opowiadam o Jugnu i Chandzie, o moich wierszach, o ojcu, o swoim życiu?

Na te słowa Suraya zaprzestaje szamotaniny, pozwala mu objąć się mocniej, a potem przywiera twarzą do jego szyi i wydaje z siebie przeciągły skowyt. Kładą się oboje na kobiercu i leżą obok siebie jak powaleni strzałami.

— Nie mógł być tej nocy pijany i obiecuje, że w przyszłości nie tknie mnie palcem. Zmądrzał, Shamasi. Kiedy po rozwodzie wyprowadziłam się z domu, przeniosłam do miasta i zamieszkałam w wynajętym pokoju, skruszony odwiedzał mnie codziennie, chociaż miał daleko, a podróż była męcząca. Podjęłam pracę recepcjonistki w hotelu. Kiedy kierownik zwolnił mnie po jakimś czasie za podanie ręki gościowi, spodziewałam się wymówek ze strony męża, myślałam, że znowu zwątpi w moją cnotę, że zacytuje Mahometa — niech pokój będzie z Nim — który powiedział: „Kto dotyka dłoni kobiety, która

prawnie do niego nie należy, ten w dniu Sądu Ostatecznego będzie miał włożone w tę rękę rozżarzone do czerwoności węgle", ale kiedy wyjaśniłam, że się na moment zapomniałam i odruchowo ścisnęłam wyciągniętą dłoń tego mężczyzny, on mi uwierzył. Zmienił się. Ufam jemu i ufam Allanowi.

Mężczyzna telefonujący ostatniej nocy był na pewno pijany, ule Shamas zostawia na razie tę sprawę.

— Dlaczego wcześniej wszystkiego mi nie powiedziałaś? — Przez kilka ostatnich tygodni krew żywiej krążyła mu w żyłach, teraz te z każdą chwilą coraz bardziej się kurczą, zwążają.

— Wyczuwałam, że nie zależy ci na mnie jeszcze tak, jak powinno. Uznałam, że muszę,., oddać ci się jeszcze kilka razy, — Suraya wpatruje się w sufit. — W jakimś sensie rada nawet jestem, że sam do wszystkiego doszedłeś. Nie będę już musiała grzeszyć. Gdyby nie to, nie mając pewności, co do innej czujesz, przez jakiś czas dalej bym to ciągnęła. Zresztą byłeś moją nadzieją. Nie mówiąc ci, mogłabym się nadal łudzić, że kiedy w końcu powiem, zgodzisz się.

Shamas odwraca głowę i patrzy na nią, patrzy na to ciało, które w różnych miejscach pachnie odmiennie, a wszystkie te zapachy zlewają się w jedno, jest jak kwiat, który potrafi wydzielać nawet sto chemicznych związków o aromatach łączących się ze sobą i mieszających w rozmaitych kombinacjach, zależnie od pór roku, a każdy stanowi inny sygnał dla przelatujących owadów; jeden mówi; „Tu jest pożywienie”, inny: „Tu można złożyć jajeczka”, jeszcze inny: „Ten rowek prowadzi do nektaru”. — Wybacz, że zarzuciłem ci, że mną manipulowałaś — mówi Shamas — bo mnie samemu przyszło do głowy, żeby cię oszukać. Kiedy kochałem się tu dziś z tobą, przemknęło mi w pewnej chwili przez myśl, żeby nie mówić o telefonie twojego męża, żeby poczekać, aż w końcu sama zdecydujesz się wyjawić mi, o co ci od początku chodziło. Zdawałem sobie sprawę, że mówiąc dzisiaj, że wiem, czego ode mnie chcesz, i odmawiam, stracę cię. A nie chciałem tracić ciebie, twojego towarzystwa... i, tak, przyznaję, twojego ciała.

Suraya macha ręką.

— Było, minęło. — I siadając, mówi: — Muszę już iść. Jaka jest twoja odpowiedź?

— Nie mogę tego zrobić. Ale pomogę ci wszcząć procedurę dochodzenia prawa opieki nad synem.

— To nic wchodzi w grę. — Cień strachu przemyka przez jej twarz. — Sprawa ciągnęłaby się latami, a gdybym przegrała, z zemsty nie pozwoliliby mi już zobaczyć się z synkiem. Znam kobietę, której nie wolno się nawet zbliżyć do swoich dzieci. Zapomniałeś, jak jest w Pakistanie. Zastanawiam się czasami, jak matka mogła mnie wysłać do tego kraju. — Suraya milczy przez chwilę, potem pyta: — A ty dlaczego wydałeś swoją córkę Mah-Jabin za człowieka mieszkającego w Pakistanie?

— To złożona sprawa... Ona sama chciała tam jechać...

Tak pragnie jej dotknąć — wessać w siebie część jej bólu — ale wie, że mu nie wolno. (Od wielu lat ma te same zahamowania w stosunku do Kaukab, ilekroć jej dotyka, odnosi wrażenie, że popełnia grzech). Nie może znieść myśli, że już jej nie zobaczy. Skąd będzie wiedział, co się z nią dzieje (tak jak teraz nie wie, co spotkało Chandę i Jugnu, gdzie w Indiach mieszka jego ciotka Aarti)? Po raz nic wiadomo który próbuje zwalczyć swój egoizm, nie myśleć o konsekwencjach, jakie będzie miał na jego duszę i życie wewnętrzne jej wyjazd. Co mu tam Suraya i jej kłopoty. — Proszę cię, nic zmuszaj mnie, żebym znowu udawała kogoś, kim nie jestem — odzywa się Suraya — proszę, nie zmuszaj mnie do upokarzania się przed innym. Błagam.

Tak jak zjawiała się tu niedawno na skrzydłach burzy, tak odejdzie za chwilę i już nigdy jej nie zobaczy, zostanie sam z ćmą cynober ubraną jak kobieta z subkontynentu. Mała figurka w błękitnie bieżąca w deszczu, w szarosino-białej ulewie, zostawiająca go w otoczeniu jeleni z wzorzystej tapety, odchodząca z jego życia, minie Miejsce Skandalu i zniknie mu na zawsze z oczu zaraz za słupem linii energetycznej, którą doprowadzany jest do „Saliny” prąd i na którym zakwitł w tym miesiącu bielutkimi kwiatkami oplatający go powój o liściach w kształcie strzał ociekających teraz deszczem. — Nie.

— Może chciałbyś to jeszcze przemyśleć? Ile potrzebujesz? Dziesięć dni, dwa tygodnie?

— Nie zmienię zdania.

— Powiesz mi to wtedy. Zamówiłam dla ciebie koh-i-noory:

do tego czasu nadejdą, przyniosą je. Spotkajmy się tutaj jeszcze jeden ostatni raz, przy naszej „Salinie”, na Miejscu Skandalu. Ustalmy dzień.

Przed odejściem całuje go w czoło. Jest wierząca, a pozamałżeński seks to jeden z najcięższych grzechów islamu. Wyobraża już ją sobie, jak po powrocie do domu z każdego z nim spotkania wchodzi pod prysznic i szoruje się gorączkowo.

Stoi w oknie i widmowe odbicie własnej twarzy w szybie napętnia go odrazą: musi go w głębi serca nienawidzić za to, co robiła, by zdobyć bilet powrotny do swojego prawdziwego życia. Jakże musiał ją mierzić dotyk tych dłoni! W jej oczach był bestią zaspokajającą na jej ciele swoje żądze. Zlizującą te plamy z soku orchidei z jej piersi i ud. Nienawidzi się za to, że zachowywał się jak zwierzę, jak byk pokrywający krowę. Chucha na szybę i znika za mgiełką swojego oddechu.

Na odchodnym przeprosiła go za męża, który groził mu w nocy przez telefon, i powiedziała, że wybacza mu, że tak podstępnie wykorzystał ją dziś po południu. Ale on sam wybaczyć sobie nie potrafi, jest jak ten jelen, który nie mogąc znieść woni wydzielanej przez własne ciało, doprowadzony do szaleństwa, zaczyna kręcić się w kółko, a kiedy to nic nie daje, zrywa się do biegu i pędzi na oślep przez pustynie i lasy w nadziei, że odnajdzie źródło pochodzenia tego zapachu, ustali, dlaczego przyłgnął do niego i zdaje się go ścigać.

Tam, na zewnątrz, utkwiał w pajęczynie puszek dmuchawca, wygląda to tak, jakby pajęczycy zdjęła futrzany szal i powiesiła go w kącie swojego mieszkania. Nad jeziorem odzywa się czajka — ...*stra-cil-ja...* *stra-cil-ja...* Wysoki powój stulił przed deszczem kwiaty, żeby nie dopuścić do rozcieńczenia ich zapachu i nektaru. Cynober, od czasu do czasu otrzepując leniwie piękne wiśniowe skrzydełka, siedzi wciąż na szybie: wiatr zmienił kierunek i ćmę sieką teraz kropelki deszczu. Shamas wychodzi, wnosi ją do środka i sadza na półce obok książki z obwolutą w kolorze dzwonek, przypominającym mu kwiaty pakistańskiego drzewa rzęb. Kolor chusty Surai.

Nie może jej w żaden sposób pomóc.

W gęstym lesie po tamtej stronie jeziora snują się podobno, wołając go, duchy zamordowanych kochanków jarzące się

zimnym światłem niczym świetliki. Jasne oczy wkrótce po śmierci zmieniają kolor —tęczówki ludzi rasy kaukaskiej robią się zielonkawo-brązowe — i Shamas zastanawia się, jaki kolor przybrały oczy zamordowanej Chandy; ich barwa zmieniała się przecież z porami roku. Podobno brzuch jej ducha jest jaśniejszy od reszty, co świadczy, że zawiera świetliste dziecko, dziecko, które umarło wraz z nią.

Czas wszystko obraca we wspomnienia. Czy wyrzuci Surayę z myśli i tylko sporadycznie ją wspomni? Podejrzewa, że nie starczy mu na to czasu, bo proces zacierania wspomnień trwa dziesiątki lat, a on jest już za stary. To wspomnienie raczej zabierze ze sobą do grobu.

## *W Miejscu Skandalu*

Obok „Saflriy” stoi bezlistne drzewo przywodzące na myśl poroże jelenia, który został tu kiedyś pochowany, a teraz zaczyna wygrzebywać się spod ziemi, i pod tym drzewem Suraya czeka na Shamasa. Poprawia na sobie ubranie z tkaniny w wianuszki, wrześnie słońce przypieka mocno. Ależ gorąco. Od jeziora, od stromych stoków porośniętych wrzosem i wierzbówką, nadlatuje ledwie wyczuwalne tchnienie letniej bryzy.

Godzina, na którą się umówili, dawno już nadeszła i minęła. Zatem nie zmienił zdania? Ale jest jeszcze niła nadzieja, że może w końcu przyjdzie, że mimo wszystko nie odmówi. Suraya z trudem powstrzymuje łzy, uświadamiając sobie, jak absurdalna jest ta myśl. I teraz, kiedy kropelki potu, ściekając po ciele, pobudzają zakończenia nerwowe, nagle ogarnia ją gniew: jak śmiał odtrącić kogoś tak inteligentnego, tak pięknego i pociągającego jak ona, jak śmiał nie przyjść! I zaraz orukuje się w duchu za ten wybuch złości — szatan wie, jaka jest dumna i próżna, i wykorzystuje tę wiedzę przy każdej nadarzającej się okazji. Tak, w życiu można być pewną siebie i drażliwą na swoim punkcie, ale tylko trochę. Są granice, których przekroczyć nie wolno. Istnieją substancje, które w dawce do dziesięciu kropli działają jak lekarstwo, ale przy jedenastej stają się śmierną trucizną.

Porywczosć to wada, którą chyba odziedziczył po niej synek. „Poco poszłaś do tamtego domu— spytał ją wczoraj wieczorem przez telefon. — To wszystko twoja wina”. Zaszokował ją



oskarżycielski ton, jakim to powiedział, podejrzewa, że to teściowa zaczęła już nastawiać go przeciwko niej. Poza tym musi słyszeć różne rzeczy i w domu, i na ulicy. Gdyby odezwał się do niej tym tonem, kiedy była jeszcze w Pakistanie, spolicz-kowałaby go, i to mocno, żeby wybić z niego całą tę bezczelność. Czy kiedy dorośnie, będzie ją dręczył oskarżeniami jeszcze dzikszyimi, jeszcze bardziej obscenicznymi? Wzdryga się. Przed trzema dniami przyłapała się na tym, że fantazjuje, jak rozkosznie byłoby poszydzić z męża, podręczyć go, potor-turować, wyjawiając wszystkie szczegóły zbliżeń z Shamasem, powiedzieć, że był lepszym od niego kochankiem. Tak, tylko że po czymś takim już nigdy nic zobaczyłabym synka, pomyślała z żalem. Ale zaraz przywołała się do porządku: *Na Al/aha. Surayo, kochasz przecież męża i czcisz Allaha — skąd takie myśli przychodzą co do głowy?!*

Słyszysz szelest i z sercem pełnym nadziei spogląda w tamtym kierunku, ale to tylko wiatr dokazuje w trzcinach.

Ten upał jest nie do zniesienia. I nagle w panikę wprawia ją myśl, że Shamasa napadli jacyś znajomkowie męża. *Na Allaha, leży teraz martwy gdzieś w rowie.*

Ręce jej drżą, w pudełku, które trzyma, grzechoczą ołówki Koh-i-Noor.

*Nie, nie, Shamas nie leży nigdzie martwy ani konający* — wmawia sobie z przekonaniem, za całą podstawę do tego optymizmu mając jedynie wiarę w łaskawość Allaha.

I nagle znowu ogarnia ją gniew. A jeśli nic mu się nie przytrafiło, a tylko przestraszył się, że może zostać pobity przez przyjaciół jej męża, i nic przyszedł na spotkanie z tchórzostwa?

Miota nią taka wściekłość, że chce już jechać do niego do domu. Ale bierze się w karby, wie, że nie wolno jej ulec tej pokusie — wszelka konfrontacja mogłaby pogrzebać raz na zawsze szanse na to, że zostanie zaakceptowana przez ICaukab. Przez ostatnie cztery dni o różnych porach kręciła się koło jego domu, ale za każdym razem miała dość rozsądku, żeby się wycofać. Raz widziała przelotnie ICaukab, kobietę tak urocą, że wystarczyłoby jej dotknąć suchą gałąź, a ta bez wątpienia obsypałaby się kwieciem.

Rozpoznała róże i jaśminy rosnące we frontowym ogródku: to ich kwiaty dodano do wody, którą obmywane było ciało dziewczyny zatłuczonej na śmierć przez egzorcystę.

Kolejny szelest, ale Suraya nie podnosi głowy, nie chce przeżyć znowu rozczarowania — *on nie przyjdzie, Surayo, ale ty jesteś silną i przedsiębiorczą kobietą: z pomocą Allaha poradysz sobie ze wszystkim. Nie potrzebujesz Shamasa* — ale kilka sekund później wcale nie jest już tego taka pewna...

## *Leopold Bloom i Kob-ż-Noor*

Wczoraj późnym wieczorem na podłodze meczetu znaleziono spernę..

Mija już prawie rok od zaginięcia Chandy i Jugmi. W zeszłym roku o tej porze byli w Pakistanie. Shamas patrzy na tyły domów swojego i zaginionej pary ze stoku wzgórza, którego podnóżem biegnie wąska ścieżka i płynie strumyk. Teren wznosi się tutaj stromo, tworząc jakby kurtynę z jaworów i głogów, która o wschodzie słońca rzuca cień na wszystkie okna wychodzące na tę stronę; przy ziemi zatrząsienie zygzakowatych gałązek, zielonych i szkarłatnych jagód, spleśniałych skrzydlatych owoców jesionu i rdzawych liści zalegających pod drzewami niczym kończący bajkę morał. W maju zapach kwitnących tutaj głogów jest równie intensywny w domu, jak na zewnątrz, a w lecie w powietrzu dryfują ospale nieważkie nasiona mleczy.

Wczoraj rano — kilka godzin przed spotkaniem z Surayą — zaszedł do meczetu, żeby zasięgnąć u imama informacji o muzułmańskim prawie rozwodowym, zapytać, czy Suraya na pewno nie ma innego wyjścia, jak tylko poślubić kogoś i się z nim rozwieść. Imama nie było w budynku, chociaż dzieci recytowały tam swoje lekcje. Postanowił poszukać go na górze i kiedy szedł do schodów, zza zamkniętych drzwi dobiegi płaczliwy dziecięcy głosik: „Wujku, ja nie chcę”. Zajrzał tam

zaintrygowany i zobaczył jednego z młodszych imamów, kawalera po pięćdziesiątce, ze wzwiedzionym penisem w ustach dziewczynki.

Shamas krzyknął i odciągnął mężczyznę od małej. Do pomieszczenia zbiegli się wszyscy imamowie meczetu i Shamasa grzecznie wyproszone, sprawą zajmie się meczet. Wyszedł, ale na odchodnym zażądał, żeby mężczyznę oddano w ręce władz. Minęło południe, zbliżała się już pora, kiedy będzie musiał wyjść, by zdążyć na Miejsce Skandalu, gdzie umówi się z Surayą, a nikt z policji nie zgłosił się jeszcze do niego w celu spisania zeznania. Zniecierpliwiony poszedł do meczetu i stwierdził, że nic w tej sprawie nie zrobiono.

Wrócił do domu i sam zadzwonił na policję, żeby zgłosić czyn lubieżny. Kazano mu czekać w domu, ktoś zaraz do niego przyjedzie. Pocieszał się, że to nie potrwa długo, że zdąży jeszcze na spotkanie. Ale składanie zeznań przeciągnęło się, a nie mógł przecież powiedzieć policjantom w środku przesłuchania, że bardzo przeprasza, ale jest umówiony, wstać i wyjść.

W toku dochodzenia wyszło na jaw, że zdarzały się już przypadki napastowania dzieci przez tego samego mężczyznę. Przed dwoma miesiącami grupa kobiet przyszła do meczetu ze skargą, że człowiek ten molestuje ich dzieci, ale w odpowiedzi usłyszały, że taki skandal rzuci się cieniem na islam i Pakistan, że dopilnuje się, by ten człowiek więcej tego nie robił, że jeśli policja zajmie się sprawą i zamknie meczet, to nie będzie komu napominać ich synów, by trzymali się z dala od rozwiązłych białych dziewcząt, a córki pouciekają z domów i nie będą chciały wychodzić za mąż za kuzynów z ojczyzny, że hinduiści, żydzi i chrześcijanie będą zacierali ręce, patrząc, jak miesza się z błotem islam. Część mężczyzn po prostu wyśmiała kobiety, radząc im, żeby wracały do domów i szykowały mężom obiad; byli też tacy, którzy potraktowali je z jeszcze większą pogardą, upominając, żeby przestały gdać jak kury, bo to świątynia, nic bazar, i dodając, że kobieta powinna być stworzeniem domu i nocy, i nie ma dla niej miejsca na ulicach, w świecie mężczyzn.

Meczet stanowczo zaprzeczył, jakoby próbował w jakikolwiek sposób tuszować działalność pedofila.

— To dom Boży i gdyby ktokolwiek z nas o czymś takim się dowiedział, stosowne działania na pewno zostałyby podjęte — zapewnił policję duchowny. — Kobiety twierdzą, że się skarżyły? One łatwo popadają w przesadę i nie są zbyt rozgarnięte, same nie wiedzą, co mówią.

Shamas nie miał żadnej możliwości skontaktowania się z Surayą i przełożenia spotkania na inny termin. Dopiero pod wieczór był wolny, a wtedy było już za późno. Telefonował do niej kilka razy, lecz nikt nie odbierał: albo nie było jej w domu, albo postanowiła nie podnosić słuchawki.

Policja była przekonana, że próbki cieczy pobrane z podłogi w pomieszczeniu, w którym Shamas zobaczył tę przerażającą scenę, to sperma lubieżnika.

Nie mógł sobie darować, że jego ostateczna i definitywna odpowiedź dotarła do Surai w taki okrutny sposób, i zastanawiał się, czy skontaktować się z nią dzisiaj — tylko żeby wyjaśnić, dlaczego nie przyszedł. Ale telefon od niego teraz obudziłby w niej na chwilę nową nadzieję, którą musiałby znowu rozwiewać.

Nie wie, co robić. Stoi nieruchomo, nie chce mu się choćby kiwnąć palcem, czuje się niemal jak spękana kolumna, która rozsypie się na kawałki przy najmniejszym drgnięciu albo wibracji.

„Musiałam się z tobą upodlić — powiedziała. — W naszej religii nie ma innego sposobu na to, bym mogła znowu połączyć się z synkiem”. Wyrzuca sobie naturalnie tylko to pierwsze, do drugiego nie ma zastrzeżeń: system wpaja ludziom przeświadczenie, że pod żadnym pozorem nie wolno go o nic obwiniać, nie wolno kwestionować. „Musimy zebrać — mówią żebracy — te przeklęte żołądki domagają się pożywienia”: to wina żołądka, a nie niesprawiedliwego świata, który nie dopuszcza, by każdy mógł w godny sposób zaspokoić głód.

Shamas schodzi ze stoku na ścieżkę, przeskakuje strumień i wkracza do ogrodu na tyłach domu Jugnu. W maju zeszłego roku Chanda uprała i powiesiła na sznurze denimową, ciemno-niebieską jak szyja pawia marynarkę Jugnu: w jednej z kieszeni zaczął więc sobie gniazdko strzyżyk i marynarka została na sznurze. Shamas zdjął ją dopiero w październiku, wyjąwszy wpierw z kieszeni małą miseczkę skonstruowaną z jednego

zeschłego liścia klonu, jednego jaworu, dwóch wiązu, które rozpoznał po asymetryczności — jedna strona większa od drugiej — i trzech listków jabłoni; gniazdko wymoszczone było puchem dmuchawców i kilkoma warstwami pajęczyny, próba rozdzielenia których przypominała rozdzielanie dwuwarstwowej chusteczki higienicznej albo złożonego, dobrze wy-krochmalonego prześcieradła. Znajdował się tam też kawałek purpurowej nitki, której używała Kaukab, gdy szyła przed kilkoma miesiącami *kamis*. Ziemia wokół usłana była żółtymi liśćmi opadłymi z drzew, wszystkie krawędzie połyskiwały w słońcu, bo w nocy chwycił przymrozek. Gdziekolwiek spojrzeć, leżały jagody przypominające przeżute perły. I nikt nic wiedział, gdzie są Chanda i Jugnu.

Shamas, wyobrażając sobie Surayę czekającą na niego w Miejscu Skandalu, pod „Saflną”, z ołówkami Koh-i-Noor w rękę, przechodzi do swojego ogrodu. Pewnego razu, przed laty, kiedy siedział w „Safinie” z zaprzyjaźnionym właścicielem księgami — obaj jak zawsze w pełnym skupienia milczeniu, obaj z jakimś świeżo przeczytanym akapitem albo wierszem dojrzewającym w głowach jak w dwóch filiżankach wrzątku, w których liście herbaty uwalniają swój smak i aromat — wpadł Jugnu z siatką na motyle, żeby zapytać, czy w księgami jest indyjski przekład *Ulissesa*: „W tej części o burdelach wokół lampy krąży ćma. Ciekaw jestem, jak tłumacz przełożył na urdyjski ćmę — *parwana* czy bardziej prozaicznie, *patangaT*. Shamas odparł, że pamięta opis ścieżki, „gdzie mchy udają ciapki na skrzydełkach ćmy, a małe paprocie ostrzą sobie zębki na wyszlifowanym pniaku”, ale nie przypomina sobie ćmy w rozdziale „Kirke” *Ulissesa*. Jesteś pewien, że nie chodzi ci u te pocałunki, które opadają chmarą Blooma w Nocnym Miasteczku? „Przystaje przed oświetlonym domem i nasłuchuje. Skrzydlate pocałunki wylatują ze swych kryjówek i fruują dookoła niego, swiergocąc, ćwierkając, gruchając...”. Tu, ze śmiechem, wpadł mu w słowo Jugnu: „Szeleszcza, trzepocą na jego ubraniu, zwiewne, lśniące, ruchome cętki, srebrne cekiny”\*. Tak, ale w tym rozdziale pojawia się też ćma jako taka.

\* *Ulisses w przekładzie Macieja Słomczyńskiego.*

W którymś miejscu Bloom ma tam na palcu prawej ręki diament Koh-i-Noor.

Shamas powiedział wtedy, że nie przychodzi mu na myśl nikt godniejszy noszenia tego klejnotu.

Teraz wchodzi do domu kuchennymi drzwiami i mrucząc pod nosem „*Parwana*, czy bardziej prozaicznie *patangaT*” kieruje się do różowego pokoju, żeby to sprawdzić w urdyjskim przekładzie *Ulissesa*.

W progu zatrzymuje się jak wryty na widok Surai siedzącej tam z Kaukab.

Oglądają fotografię Ujali. Najwyraźniej Kaukab przed chwilą opowiedziała Surai coś o chłopcu, bo ta mówi właśnie:

— Bardzo chciałabym cię jakoś pocieszyć, ale nie wiem jak.

— Nie trzeba — mówi Kaukab. — Moje rany nic są z tych, co łatwo się goją.

Zauważają Shamasa i wstają. Suraya patrzy mu prosto w oczy.

— To pewnie mąż?

Kaukab uśmiecha się do Shamasa.

— To Perveen. Podziwiała moje kwiaty ze ścieżki i skończyło się na tym, że rozmawiamy. Już z półtorej godziny tu siedzimy, dojadamy te truskawki, które wczoraj kupiłam. — Pokazuje dwie salaterki na stoliku do kawy, na ściankach których pozostał różowo-biały osad ze śmietany zmieszanej z sokiem puszczonego przez owoce. — Modliłyśmy się nawet razem.

Perveen. Shamas powiedział kiedyś Surai, że jej imię to perska nazwa konstelacji Plejad, Siedmiu Sióstr: „Inna jej nazwa to Perveen — też popularne teraz wśród dziewcząt imię”.

— Perveen sprowadziła się niedawno do naszego osiedla — wyjaśnia mu Kaukab i zwraca się znowu do Surai: — A teraz — odprawia Shamasa machnięciem ręki, jest podekscytowana faktem, że tak niespodziewanie trafił jej się dziś ktoś do towarzystwa — muszę ci opowiedzieć o Mah-Jabin. Siedzi za morzem, w Ameryce, i pewnie nosi najmodniejsze zachodnie stroje.

Ale Shamas nie rusza się z miejsca, nie rozumie, co ona tu robi. Serce wali mu tak głośno, że tylko patrzeć, jak popękają mu bębenki w uszach.

— Wspominałaś, że wysłaliście Mah-Rukh, przepraszam, Mah-Jabin, do Pakistanu, żeby tam wyszła za męża. Dlaczego?

— Powiem ci, Perveen, ale musisz obiecać, że nikomu tego nie powtórzysz. Otóż Mah-Jabin zakochała się w młodości w pewnym chłopcu, a kiedy on ożenił się z inną, zaczęła nas prosić, żebyśmy ją wysłali do Pakistanu.

Suraya zerka na Shamasa i natychmiast przenosi wzrok z powrotem na Kaukab.

— Masz rację, to złożona sprawa.

— Wyszła tam za bardzo sympatycznego chłopca, ale go porzuciła. — Oczy Kaukab wypełniają się łzami. — Napisał do niej w tym roku, ale kiedy na początku wiosny przyjechała w odwiedziny do domu, wyrzuciła ten list, nawet go nie otwierając. Wyobrażasz sobie, Perveen?! Muszę ci pokazać jego zdjęcie. Trzymałam je kiedyś w tym pokoju, ale potem zaniósłam na górę, bo serce mi się ścisnęło na samą myśl, jaki ból zadała mu moja córka. — I tu Kaukab zwraca się nagle do Shamasa: — Na Allaha, Shamasi, zapomnieliśmy ci powiedzieć, że Nusrat Fateh Ali Khan nie żyje. Perveen mi powiedziała.

— Tak — mówi Suraya. — Ulicą szły zapłakane kobiety i spytałam, co się stało.

Kłamie? Czy „śmierć Nusrata” to jej zaszyfrowany sposób na przypomnienie mu ich pierwszej wspólnie spędzonej nocy i że w końcu nic z tego nie wyszło? Przyszła tu, żeby go dręczyć?

— A przed chwilą dzwoniła Meena Shafia i też mi to powiedziała — dorzuca Kaukab.

To naprawdę druzgocąca wiadomość.

— I kto będzie teraz śpiewał o biednych? — szepce wstrząśnięty Shamas.

— I o kobietach — dopowiada Suraya; słyszała, co wyszeptał.

— I wielbił w pieśniach Allaha i Mahometa, niech pokój będzie z Nim — dodaje Kaukab.

Shamas spogląda na Surayę.

— Jak to się stało? — Niepokoi go, że tak szybko przeszedł do porządku dziennego nad jej obecnością w swoim domu. Przenosi wzrok na Kaukab: — Jak to się stało?



— Umarł w szpitalu, podłączony do maszyny do dializy.

— Pewnie sprzęt nie był wy sterylizowany — myśli na głos. — Tantejsze szpitale...

Kaukab natychmiast się jeży.

— Wiedziałam, że i w tym znajdziesz pretekst do powiedzenia czegoś przykrego o Pakistanie. — Odwraca się do Surai. — Sama widzisz, Perveen, o to mi właśnie chodziło, kiedy ci mówiłam, że nastawił dzieci przeciwko mnie. — Wstaje, prawie płacze. — Pójdę po to zdjęcie męża Mah-Jabin. Zobaczysz, jaki jest przystojny, Perveen, i na pewno zgodzisz się ze mną, że trudno zrozumieć, dlaczego Mah-Jabin go porzuciła.

Shamas czeka, aż Kaukab wstąpi na schody, i wchodzi do pokoju.

— Co tu robisz?

— Musiałam cię zobaczyć.

— Siedzisz tu i bawisz się jej kosztem, głupiej starej kobiety?

— Nie uważam jej wcale za głupią. Może ty? Postępuje krok w jej stronę, ale w tym momencie ze schodów

dobiega głos Kaukab:

— Przypomniało mi się właśnie, że to zdjęcie jest jednak, na dole, schowane między książkami.

Suraya szybko wręcza Shamasowi kopertę — cichy grzechot mówi mu, że w środku znajduje się pudełko z ołówkami Koh-i-Noor. Chowa je do kieszeni, a ona szepce:

— Przyjdź, proszę, jutro o świcie do „Saliny”. - W jej głosie dźwięczą sprzeczne emocje, jest pieszczotliwy i żrący zarazem.

Kaukab uśmiechnięta (jest jak dziecko, które najadło się za dużo cukru) wchodzi do różowego pokoju.

— Zostaw nas, kobiety, same — mówi do Shamasa i zaczyna szukać fotografii. — Tak, tak: on tam, w Pakistanie, usycha z tęsknoty za nią, a ona pojechała sobie do Ameryki, obcięła włosy na chłopaka, chodzi w dzinsach i spódniczkach. Dlaczego nie może nosić naszych strojów, jak dajmy na to ty — uosobienie wschodniej urody?

Shamas ciekaw, do czego zmierza Suraya, stoi na schodach i próbuje podsłuchiwać, ale kiedy dolatuje go głos Kaukab — „zjedzmy jeszcze parę truskawek, a potem opowiem ci o moim bracie i sikhijce imieniem Kiran...” — wycofuje się na górę.

Kaukab jest z reguły bardzo ostrożna w dzieleniu się informacjami o swojej rodzinie z innymi kobietami, bo nigdy nic wiadomo, jak ten czy ów fakt zostanie zinterpretowany albo powtórzony i bardzo boleje, że tyle jej sekretów krąży teraz po osiedlu pod postacią plotek; i Shamas domyśla się, że w „nowej na osiedlu Pervcen” dostrzegła kogoś, komu lepiej od razu zaprezentować swoją wersję rodzinnych prawd, nie czekając, aż zrobią to inni.

Słyszy przez podłogę jej głos.

— Mój brat jest teraz wdowcem i kiedy był tu w zeszłym roku z wizytą, musiałam pilnować, żeby ta Kiran znowu go nic usidliła. Mężczyźni są jak dzieci, jeśli chodzi o te sprawy. Wiemy obie, jaka przebiegła potrafi być kobieta, kiedy chce.

Nie, nie wolno mu zakładać, że Suraya przyszła tu rozbijać jego małżeństwo. Może postanowiła jednak wszcząć prawną batalię o swojego synka i potrzebuje jego pomocy. Zrobi, co tylko się da, napisze do członków parlamentu, znajdzie jej najlepszych prawników. A może chciała go tylko zobaczyć po raz ostatni i wręczyć mu te ołówki? Oryginalne koh-i-noory — z fabryki w Bloomsbury w New Jersey — powlekano czternastoma warstwami złotożółtego lakieru, końce spryskiwano złotą farbą, a napisy nanoszono szesnastokaratowym złotem, ale podobno te współczesne, produkowane masowo, kiedy gra na nich światło, wcale tak bardzo tym oryginalnym nie ustępują. Rozdziera kopertę, ale nie znajduje w niej pudełka z ołówkami. Napis na pudełku głosi: „Domowy test ciąży”. Otwiera je i po przestudiowaniu znajdującej się w środku ulotki uświadamia sobie, że wynik testu, który ma przed sobą, jest pozytywny.

— Wyszła, jak tylko poszedłeś na górę - mówi Kaukab, kiedy zbiegłszy po schodach, wpada do różowego pokoju. — Sympatyczna kobieta, bardzo ładna. Chciałam jej pokazać te piękne wzory haftów, które rysował mi Charag, kiedy był chłopcem...

Chce za nią biec, ale powstrzymuje się, bo Kaukab zaczęłaby coś podejrzewać.

Jutro o świcie w „Safmie”<sup>1</sup>?

Nie, powie, że musi iść do meczetu, zobaczyć, jak się tam sprawy mają, i zadzwoni do Surai z budki telefonicznej.

— Aż popiskujesz ze szczęścia, że możesz sobie nareszcie poużywać na islamie — mówi z goryczą. Kaukab, kiedy Shamas uznawszy, że Suraya dojechała już do domu, oświadcza, że wychodzi do meczetu. — Szkoda mi tego biednego pobożnego imama-ji, który zamiast się modlić, musi teraz jeździć na posterunek policji i tłumaczyć się za tego młodszego imama.

Shamasa ogarnia nagle wściekłość. *Nie uważam jej wcale za głupią. Może ty?*

Kaukab widzi tę wściekłość w jego oczach, ale nie odwracając wzroku, ciągnie:

— Wracasz tam, żeby węszyć za innymi wstydliwymi rzeczami. Zawsze chciałam, żeby mój mąż chodził do meczetu, ale do głowy mi nie przyszło, że w tym celu.

Shamas, tłumiąc pokusę trzaśnięcia drzwiami z całych sił, zamyka je za sobą cicho i idzie do budki telefonicznej. Czeka długo ze słuchawką przy uchu, ale Suraya nie odbiera telefonu.

Jutro o świcie w „Safinie”.

## *Zapomnisz o miłości, tak jak zapomina się o wszystkich katastrofach*

Shamas dowiaduje się, że w nocy skradziono galaktykę.

Z ciepłej nocy wynurzyło się kilka postaci. Przypadli do ziemi przy samych torach kolejowych, by pod osłoną rumianu i naparstnicy, sieczeni w twarze zakurzonymi płatkami, które prąd powietrza oderwał od kwiatów, przepuścić pociąg towarowy. Kiedy przejechał, przeskoczyli przez tory i pocąc się pod ubraniami, pobiegli przez wilgotne, przesycone aromatem ziół ciemności, ku zamkniętemu na czas remontu odcinkowi autostrady. Dotarłszy tam, padli na klęczki i przyświecając sobie tanimi dziecięcymi latarkami, zaczęli wydłubywać z asfaltu wtopione weń kocie oczy i napełniać tymi gwiazdzistymi kamykami plecaki. Milcząca grupa złodziei pracowała nienie-pokojona kilka godzin w parnych ciemnościach późnego lata, i rano władze stwierdziły, że w nawierzchni autostrady widnieje ponad trzy tysiące dołków.

Po przebudzeniu, Shamas usłyszał w radiu, że policja nie wie, co o tym sądzić, nie rozumie motywów kradzieży tej galaktyki i sprawa zalicza się do tych, które prawdopodobnie nigdy nie zostaną wyjaśnione.

Idąc na spotkanie z Surayą w Miejscu Skandalu, Shamas zauważył, że wiciokrzewy i wilcze jagody znów obsypały się kwiatami i owocami, jakby niepomne, że ten rok wkracza już prawie w swą ostatnią fazę.

Wczoraj próbował się do niej dodzwonić, ale bezskutecznie.

Wspomnienie Surai wciąż wywołuje jakąś chemiczną zmianę we krwi, natychmiastową fizyczną lekkość, która utrzymuje się długo i przypomina reakcję organizmu na łyk alkoholu, i bywały poranki, kiedy po przebudzeniu wiedział, że o niej śnił, chociaż szczegółów sobie nie przypominał.

W powietrzu unosi się delikatny cytrusowy zapach, taki sam jak w pomieszczeniu, w którym ktoś przed chwilą obierał pomarańczę. Wkrótce jesień, słońce nie będzie już tak grzało, a niebo zacznie z dnia na dzień ciemnieć. Róże i jaśminy Kaukab — te, które rzekomo podziwiała „Pervecn”, krążąc wczoraj pod domem za jakieś pięć, sześć tygodni umrą do następnego roku. Każdy kwiat róży zwinie się w kielich z wysoką koroną długich włochatych listków i będzie przypominał skrzyżowanie jagody z pasikonikiem.

Przerwanie ciąży nie wchodzi w rachubę, ale jaka jest alternatywa? Będą musieli porozmawiać. Ona też nie chce tego dziecka. Nie po to się z nim spotykała.

A może oszukuje go z tą ciążą? Może chce mu tylko zburzyć spokój ducha — zaszcześcić strach — za poniżenie, w jakim od kilku miesięcy żyje. Beznadzieja, upokorzenie i odrzucenie zatrują jej duszę; na pewno marzy teraz o zemście, o odegraniu się. Przechodzi obok brzozy, której liście zaczną wkrótce żółknąć i do listopada zaścielą ziemię pod tymi białoskórymi drzewami na podobieństwo rozspanych przez dzieci frytek. Och, jak wszystko musi jej przypominać synka! Podobno chłopiec, kiedy rozmawiała z nim w lecie przez telefon, powiedział — coś pięknego — że w dziurawym wężu ogrodowym mieszkają małe wieloryby i kiedy go się używa, tryskają z tych dziurek fontannami wody.

Wstyd mu, że przez chwilę podejrzewał ją o kłamstwo. Nie, zna ją na tyle dobrze, by wiedzieć, że do tego by się nie posunęła. Z drzew skapują na niego ostatnie krople wczorajszego deszczu. Za parę tygodni będzie tu jak pośród otwartych ran — czerwone liście jesieni. Światło nie jest już takie intensywne, każdy promień niesie go tylko połowę: lato było porą świetlnego przyływu, teraz idzie jesień i zaczyna się odpływ. Wczoraj wieczorem Kaukab mówiła tylko o „Perveen”: „Po-

wiedziała, że mieszka przy Habib Jalib Street.... (Nieprawda, dom, który odziedziczyła po matce, stoi przy Ustad Allah Bux Road). „Shamasie, jest piękna jak twoja matka, niech spoczywa w pokoju, a przy tym widać, że boi się Allaha, nie żebym chciała mówić źle o zmarłych... Jest wdową, powiedziała, że jej mąż był poetą... Ciekawam, Shamasie, czyjej rodzice albo starsi krewni pracowali z nami w latach pięćdziesiątych w fabrykach...”.

Dwa dni temu, wracając przez centrum miasteczka z pracy, Shamas zauważył, że fotograf, u którego od końca lat pięćdziesiątych poprzez sześćdziesiąte i siedemdziesiąte wszyscy imigranci z Azji robili sobie zdjęcia portretowe, sprzedaje swój zakład. Musi mieć pewnie tysiące negatywów dokumentujących pierwsze nasze imigranckie lata w tym miasteczku, pomyślał, przechodząc spacerowym krokiem przed witryną; i teraz — idąc na spotkanie z Surayą w Miejscu Skandalu — uświadamia sobie, że te zdjęcia mają przecież archiwalną wartość i władze miasteczka powinny je od fotografa odkupić. Dziś sobota, a więc w poniedziałek z samego rana nada tej sprawie bieg, a jeszcze dzisiaj odwiedzi fotografa i poprosi go, żeby nie wyrzucał na razie negatywów, żeby wstrzymał się z tym do następnego tygodnia. Są zbyt cenne, by miały wylądować na wysypisku śmieci.

Suraya. Przypomina mu się, co w przeszłości zarzucała mu często Kaukab: że myśli o pracy, kiedy chce uciec od codziennych problemów. I teraz zastanawia się, czy aby nie próbuje wyrzucić Surai z myśli, znowu się jej zaprzeć i nie zaprzętać sobie nią głowy. Nie, te negatywy przypominały mu się same z siebie — nie inaczej.

Obchodzi szerokim łukiem mały rdestowiec. Kilka lat temu chciał sprawdzić, jak pachną jego bladokremowe, jakby posypane proszkiem do pieczenia kwiaty, i aż go odrzucił odór rozkładu, zgnilizny. Rośliny z reguły pachną; wydzielanie nieprzyjemnych woni to domena zwierząt, w tym ludzi. Piżmo, miód, mleko to w świecie fauny wyjątki, w świecie flory odstępstwem od reguły są te tropikalne rośliny z kwiatami śmierdzącymi gnijącą rybą albo ten rdestowiec, którego kwiat ujął wtedy w dłoń jak mężczyzna twarz całowanej po raz

pierwszy dziewczyny. Już nigdy nie pocałuje jej w usta i nie poczuje, jak penis nabrzmiwa i wilgotnieje na czubku niczym nozdrza buhaja; już nigdy nie będzie leżał z jej głową na piersi, wsłuchany w rozpaczliwe brzęczenie pszczoły, która uwieźla gdzieś niedaleko w kwiatku lwiej paszczy i trzepocąc w panice skrzydełkami, usiłuje wydostać się na wolność. W jej odczuciu to, co z nim robiła, było grzechem, którego piętno nosić będzie „aż do dnia Sądu Ostatecznego i dłużej”. Tę ciężę uzna za początek zasłużonej kary.

Musi istnieć jakiś sposób na ocalenie dziecka, które nosi w łonie. Nie ożeni się z nią — nie może — ale gdyby tak zdecydowała się urodzić to dziecko i zostać tutaj, w Anglii? W tym czasie wszczęłoby się batalię o przyznanie jej prawa do opieki nad synkiem i odebrało chłopca temu damskiemu bokserowi.

Czy w końcu będzie musiał powiedzieć Kaukab?

Odebrał już sobotnie gazety z saloniku prasowego w centrum miasteczka i idzie teraz z ciężkim ładunkiem wiadomości ze świata pod pachą w kierunku Miejsca Skandalu i „Saliny”.

W Miejscu Skandalu nikogo nie zastaje. Czeka kilka minut, potem rusza w kierunku sosny, pod którą ona zostawia zwykle swój samochód. Niebo odbija się w tafli jeziora kaszmirowo-niebieskimi smugami, gdzieś tam, na szczytach wyższych fal, płoną czerwone ognie rozniecane przez wschodzące słońce — czerwone, jak kałuża zwierzęcej krwi, którą na początku roku rozlano w meczecie. Te lśnienia rażą, w najjaśniejszych rozbłyskach wprost parzą oczy.

Wychodzi na jaw coraz więcej okoliczności ohydnej zbrodni popełnionej na dziecku — nie starszym od synka Surai — której świadkiem był w meczecie. Okazuje się, że młodszy imam siedział już w więzieniu za molestowanie dzieci w meczecie w Brick Lane pod Londynem. Dobiera! się do siedmioletniej dziewczynki i jej matka zgłosiła to na policję. Kiedy zbliżał się termin rozprawy, zaczęto zbierać podpisy pod petycją na papierze z nagłówkiem meczem. *My, niżej podpisani, ręczymy za czcigodnego imama Amjada i chcemy, żeby jak najszybciej do nas wrócił. Mamy do niego pełne zaufanie.*

Na rodziców jego ofiar wywierano ogromną presję, odwo-

dzono ich od udziału w rozprawie. Kiedy wyznaczono datę, ojciec poszedł na policję i powiedział, że nie chce, by jego córka stawała przed sądem — w gruzach ległyby jej szanse na małżeństwo, zostałyby splamiona skandalem, ucierpiałyby też reputacja jej siostry. Ludzie z meczetu zwrócili się listownie do jego mieszkających w Pakistanie rodziców z prośbą, by kazali mu cofnąć skargę wymierzoną przeciwko świętemu mężowi.

W końcu jednak rodzina zdobyła się na odwagę, stawiała się w sądzie, i pedofil uznany został za winnego dopuszczenia się czynu lubieżnego. Zanim zapadł wyrok, meczet puścił w obieg kolejną petycję do podpisu. *My, niżej podpisani, nadal wstawiamy się za czcigodnym imamem Amjadem. Ubolewamy nad okolicznościami, które doprowadziły do jego aresztowania, ale mimo to potwierdzamy z całą mocą, że jeśli zwrócona zostanie mu wolność, meczet bez żadnych zastrzeżeń przyjmie go z powrotem w poczet swoich sług...*

Pomimo tych apeli mężczyzna skazany został na sześć miesięcy więzienia i wpisany do rejestru dewiantów seksualnych.

Shamas zatrzymuje się przy sośnie, pod którą Suraya, na czas wizyty w „Salinie”, zostawiała zawsze samochód — widzi ślady opon, ale pochodzą one z dnia, kiedy ostatni raz się spotkali („ślad pozostawiany przez pełznącego pytona nie różni się niczym od śladów opon jeepa”, powiedział kiedyś Jugnu). Mężczyzna wyszedł na wolność po trzech miesiącach i policję zaalarmował fakt, że wrócił do meczetu, ale przestali się nim interesować, kiedy dostali zapewnienie, że nie będzie miał żadnej styczności z dziećmi. Wkrótce potem przeniósł się do małego miasteczka w Lancashire i zaczął służyć w tamtejszych meczetach, prowadząc w niektórych modły. Stamtąd — po kolejnym incydencie jego zwolennicy pod groźbą pistoletu wymogli na rodzicach nieletniej ofiary milczenie — trafił do Dašte-Tanhai. I tutaj przyłapany został na gorącym uczynku.

To tylko kwestia czasu, kiedy ktoś przyjdzie do Shamasa, żeby mu wyperswadować zeznawanie w sądzie.

Może Suraya zaparkowała dzisiaj gdzie indziej. Zawraca i przyspieszając kroku, maszeruje do „Safiny”. Skronie mu płoną, poci się, nie jest w stanie zastanawiać się, gdzie ona się podziewa ani co może nieść przyszłość.



W Miejscu Skandalu nadal jej nie ma. Czeka chwilę, potem msza jedną z wielu ścieżek prowadzących do „Safiny” — nie może się już doczekać, kiedy ją zobaczy, ma nadzieję, że ona już tam jest. Liście jarzębiny, do której się zbliża, w przyszłym miesiącu zaczną przybierać rozmaite odcienie żółci, od jasnego bursztynu po blady brąz papierowego klosza osłaniającego słabą żarówkę, oraz tyle samo odcieni czerwieni — od sjeny po cynober. Kolory te będą przypominały, że czym dla dnia jest zachód słońca, tym dla roku jest jesień.

A może poroniła w nocy i leży teraz na porodówce? Może wrócić do domu i zadzwonić do szpitala?

Nie, nie, przyjdzie. Mija łąn późnoletniej dzikiej trawy i wysokie, wąskie źdźbła tną jego poranny cień na równe paski jak niszczarka arkusz papieru. Pewnego razu Jugnu, pokazując mu w książce o motylach i ćmach rysunek podobnej do jeża kępy trawy, powiedział: „Można śmiało twierdzić, że len gatunek miał swój udział we wszystkich stadiach postępu cywilizacyjnego: wykorzystywano go do wytwarzania włóczni, do podwiązywania winorośli, a na koniec do wyrobu instrumentów muzycznych”. Shamas jest przekonany, że widział ten gatunek trawy za kościołem Świętego Eustachego, i teraz wraca znowu myślą do trwającej od kilku dni polemiki, którą wywołał tamtejszy wikary. Otóż jego wielebność zabronił ostatnio z ambony swojemu dwuosobowemu stadku utrzymywania jakichkolwiek stosunków z dwojgiem osób, które odeszły od swoich małżonków, by żyć ze sobą bez ślubu. Para ta — chociaż uczęszczająca regularnie do kościoła — to zdaniem wielebnego cudzołożnicy, którzy, jeśli nie wyrażą skruchy, pójdą do piekła. Zakaz ów, wyjaśnia ksiądz na łamach „Afternoon”, podyktowany jest chrześcijańską miłością bliźniego i pragnieniem sprowadzenia błądzącej pary z powrotem na łono Kościoła.

W „Afternoon” napisano, że ksiądz zaniepokojony wysypem plotek, zamieścił w gazetce parafialnej następującą instrukcję: *W związku z przygnębiającym faktem jawnego buntu dwojga osób z naszego kościoła przeciwko boskim przykazaniom, przypomina się ze smutkiem wszystkim parafianom o tym, co pisze święty Paweł w Pierwszym Liście do Koryntian, (rozdział 5, ustępy od 9 do 13), i obowiązującym w związku z tym zakazie*

*utrzymywania z nimi jakichkolwiek stosunków towarzyskich.* Dalej wymieniał dwoje kochanków z nazwiska i imienia i zwracał się do wiernych, by poparli jego decyzję, jeśli kochają tę parę i nie chcą, żeby smażyła się w piekle. Potem opublikował objaśnienie, jak członkowie Kościoła powinni się zachowywać w stosunku do rzeczonyj pary, podkreślając, że Pierwszy List do Koryntian (rozdział 5, ustępy od 9 do 13) nic pozostawia w tym względzie żadnych wątpliwości; że nic jest przejawem miłości udzielanie gościny i pocieszanie kogoś, kto buntuje się przeciwko Bogu, bo to utwierdzi go tylko w nieposłuszeństwie, co prowadzi do wiecznego potępienia; że zakaz zostanie odwołany dopiero wówczas, kiedy winowajcy okażą skruchę.

Od kilku dni Shamas, wychodząc z domu, ma nadzieję, że nie natknie się na wikarego. Nie chce z nim na ten temat rozmawiać, tym bardziej że jakaś fraza albo argument wielebnego mogłyby mieć też zastosowanie do Chandy i Jugnu, mogłyby się też zdarzyć, że rozmowa z księdzem rzuciłaby jakieś nowe światło na motywy kierujące zabójcami, co jemu, Shamasowi, na nowo zburzyłoby spokój ducha.

Ciała dwojga kochanków mogły być gdziekolwiek — tutaj, w Anglii, Europie, Pakistanie. Nielegalni imigranci dostają się do tego kraju w przyczepach, ciężarówkami, samolotami, statkami i nikt nic o tym nie wie. Jeżeli żywi mogą niepostrzeżenie wjechać, to co za problem wywieźć martwych?

Lato się kończy i wkrótce człowiek otoczony zewsząd jesiennymi liśćmi będzie się czuł jak wśród krwawiących ran. Furgonetka braci stoi wciąż przed sklepem, ich ojciec przywozi nią towar z *cash and carry*, chociaż nie wiadomo, jak daje sobie radę z prowadzeniem sklepu, mając do pomocy tylko żonę. Kaukab mówi, że chyba kogoś ostatnio zatrudnili, bo przechodząc tamtędy, widziała między workami i kartonami jakiegoś chłopaka.

Ktoś za nim odchrząkuje, wrywając go z zamyślenia.

— Bracie-jk

Shamas odwraca się i staje oko w oko z nieznanym sobie mężczyzną.

— Tak?

Nieznajomy uśmiecha się pod lśniącem jak futro norki wą-

sem — włoski rozchodzą się nieco, bo wargi są rozciągnięte — i kładzie dłoń na ramieniu Shamasa w poufałym pakistańskim geście.

— Pozwól, że się przedstawię...

Shamasowi umyka i nazwisko, i początek kaskady grzecznościowych formułek, która następuje, bo absorbuje go fakt, że spoczywająca na jego ramieniu dłoń trzyma cał od jego policzka, od oka, palącego się papierosa. Dopiero po paru sekundach uświadamia sobie, że się pomylił, że to, co wziął za papierosa, to plaster opatrunkowy owinięty na palcu wskazującym mężczyzny, ale nazwisko już padło. Skurcz paniki przemykający przez jego twarz sprawia, że mężczyzna zdejmuje rękę z jego ramienia i cofa się o krok, zażenowany swoją wylewnością, a może urażony chłodnym przyjęciem.

Shamas przedstawia się i przekładając plik gazet pod lewą pachę, wyciąga prawą rękę. Woda po goleniu albo perfumy używane przez nieznanego mają cytrusową nutę, jak krople deszczówki skapujące z drzewa cytrynowego, jak zapach unoszący się w pokoju, w którym ktoś niedawno obierał pomarańczę. Czyż nic czuł jej wcześniej — czyżby ten mężczyzna szedł za nim, a on się nie zorientował?

— Czym mogę służyć?

— Niczym, bracie-ji. Zobaczyłem cię przed chwilą i pomyślałem sobie, że podejść, powiem *As-salam alajkum*, przywitam się. Dobrze wiem, Shamasi-ji, jak pomagasz w swoim biurze nam, Pakistańczykom, i bardzo cię podziwiam. Zastanawiałem się właśnie, czy i ja nie mógłbym ci jakoś pomóc w tym trudnym okresie.

Shamasowi przemyka przez głowę absurdalna myśl, że ten człowiek jest może zjawą, którą tylko on widzi, zesłaną, by wyświadczyła mu przysługę. Ale trwa to tylko moment i myśl ulatuje z powrotem w mrok, z którego się wyłoniła.

— Trudnym okresie?

- Chodzi mi o kłopoty, jakie masz z córką i młodszym synem. Odeszli z domu, prawda?

Shamas, zdębiały i zdezorientowany, cofa się o krok.

— Przepraszam, ale muszę już iść.

— Wiemy, że to delikatne sprawy, ale uznaliśmy, że naszą

powinnością jest zaproponować ci nasze usługi. Wiemy, że dziewczyna i chłopiec odeszli z domu. Dziewczyna obcięła sobie włosy i nosi teraz zachodnie stroje.

O tym wiedzą przecież wszyscy; nie ma w tym nic złowieszczonego. Tego rodzaju rzeczy na osiedlu się nie ukryje, widać je gołym okiem: Kaukab też zauważyła, że kobieta, której nie zna, atc która przechodzi codziennie koło ich domu, z dnia na dzień coraz bardziej się garbi. Nie, wszyscy wiedzą, że Ujala i Mah-Jabin odeszli z domu rodziców; ale o jakich „usługach” mówi ten mężczyzna? Może go z kimś pomylił. I kto to są ci „my”?

Mężczyzna zauważył jego stropienie i wyjaśnia:

— Zmierzam do tego, że możemy sprowadzić twoje dzieci z powrotem. Zajmujemy się organizowaniem takich małych operacji: władze nigdy się o nas nie dowiedzą; działamy tak dyskretnie, że nawet ty do dzisiaj o nas nie słyszałeś. Mamy swoje sposoby na infiltrowanie schronisk dla kobiet, do których uciekają dziewczęta, a po numerze ubezpieczenia społecznego potrafimy ustalić miasto, w którym mieszka zbiegły z domu chłopiec. Manchester, Edynburg, Bristol, Londyn — nigdzie nie jest nam za daleko. Pobieramy niewielką opłatę na pokrycie kosztów własnych, ale od ciebie nic nie weźmiemy na znak, że cię szanujemy. Wiemy, że przez całe życie pomagałeś ludziom, że już w pierwszych latach swojego pobytu tutaj, w Anglii, pomagałeś imigrantom w szukaniu pracy w fabrykach, dachu nad głową, w negocjowaniu wynagrodzenia, w kontaktach ze związkami zawodowymi i w nauce angielskiego. Wiemy dobrze to wszystko.

— Nie ma o czym mówić.

— Za skromny jesteś, *dżanab-sahab*. Ale teraz wszechmogący Allah, przeznaczenie i nasza dobra passa sprawiły, że z kolei my możemy ci się na coś przydać. To nasz obowiązek, a twoje prawo. Nieważne, gdzie są twoje dzieci, odszukamy je dyskretnie: potrafilibyśmy wydobyć kurczaka z jajka bez tłuczenia skorupki. Na początku popełnialiśmy błędy, na przykład raz podaliśmy mężowi adres schroniska dla kobiet, w którym ukryła się jego zbiegła żona, twierdząc, że jest wobec niej brutalny, i zapominając, że kobieta prędzej powinna przyjąć

truciznę z rąk męża niż mleko z miodem od obcych — i ten mężczyzna wtargną! tam i zabił ją strzałem w głowę. Ale teraz jesteśmy już ostrożniejsi.

— Nie muszę sprowadzać znikąd swoich dzieci. Nie są uciekinierami — oświadcza stanowczo Shamas; rozumie już wszystko. O tym gangu łowców głów dowiedział się w ubiegłym tygodniu w biurze. Zaintrygowany, zlecił jednemu z urzędników zebranie o nich dokładniejszych informacji, z którymi będzie można pójść na policję. Do tego tu człowieka najwyraźniej dotarła wiadomość, że ktoś zadaje pytania, i stara się teraz odwieść jego, Shainasa, od interesowania się tą sprawą. Czyżby chcieli go w jakiś sposób przekupić, wychodząc z założenia, że pies z kością w pysku nie szczeka?

Shamas spogląda mu prosto w oczy.

— Nie chcę nikomu zlecać porwania moich dzieci. A teraz pan wybacz, śpieszę się na spotkanie.

Mężczyzna rozkłada potężne ramiona - kości w nich muszą mieć grubość klucza nastawnego — na nadgarstku połyskuje złoty łańcuszek.

— Porywania? - mówi z udawanym bólem. — Shamasie-ji, tak mógłby powiedzieć biały. Oni nie rozumieją naszej kultury. Dzieci i zbiegłe żony trzeba odnajdywać i sprowadzać z powrotem.

Stojąc z nim tutaj oko w oko, Shamas woli nie wdawać się w dyskusje ani polemiki; i tak by go nie przekonał, za to niepotrzebnie zadraźnił sytuację.

— Trzeba ich sprowadzać z powrotem — ciągnie mężczyzna. — Dziewczęta, pozostawione same sobie, mogą zostać prostytutkami, a chłopcy narkomanami. Mogą dostać się pod wpływ jakichś pozbawionych skrupułów osobników. Jest takie urdyjskie powiedzenie: *Dukhija insan to ser ka bhi bharosa karta he*. Samotny zaufa nawet lwu. W ciągu ostatnich dwunastu miesięcy uchroniliśmy od takiego losu czterdzieścioro siedmioro młodych ludzi oraz sześć żon, które opuściły swoich mężów. Jeden z chłopców dla zarobku stał się... — przepraszam za wyrażenie — homoseksualistą.

W ciągu ostatnich dwunastu miesięcy? Od jak dawna to trwa? Shamasowi robi się słabo, ściska go w gardle. Zastanawia

się, czym jeszcze może zajmować się ten człowiek. Zabijaniem na zlecenie? Czy nie ma przypadkiem czegoś wspólnego ze zniknięciem Chandy i Jugnu? Shamas jest pewien, że do zeszłego tygodnia nikt w biurze o tym procederze nie wiedział: kiedy po pomoc przychodzili ludzie, z których domu odszedł syn lub córka, mówili im zwyczajnie, że dzieci są pełnoletnie i na drodze prawnej nic w tym kierunku zrobić się nie da; prawo nie pozwala również ujawniać adresów i telefonów schronisk dla kobiet. Czyżby po wyjściu z jego biura, rozczarowani, zwracali się do tego człowieka i jego kompanów?

— Naturalnie potrzebne nam będą fotografie Mah-Jabin i Ujali oraz ich numery ubezpieczenia społecznego — ciągnie mężczyzna niezrażony milczeniem Shamasa. — Numery kart kredytowych też mogą pomóc. Osobiście gwarantuję, że siła użyta zostanie tylko w ostateczności.

Shamas dostaje gęziej skórki, ten człowiek zna imiona Mah-Jabin i Ujali.

— Ja wiem, gdzie są moje dzieci — słyszy własny głos. — A teraz przepraszam. Naprawdę muszę już iść.

— Będziemy delikatni. Stosujemy się ściśle do instrukcji rodziców. Pewne małżeństwo poprosiło nas o sprowadzenie do domu córki, która uciekła na tydzień przed zaplanowanym ślubem z całkiem przyzwoitym kuzynem z Pakistanu. Powiedzieli nam, że w razie konieczności możemy się uciec do użycia siły, bylebyśmy nie bili jej po twarzy, bo to wyjdzie na ślubnych zdjęciach i wideo. Jeśli będzie trzeba, bijcie ją po tułowiu, powiedzieli, bo pod suknią ślubną nie będzie widać sińców, albo po głowie, bo tam ewentualne obrażenia zasłoni welon i włosy.

— Powiedziałem, że moje dzieci bardzo dobrze się mają i nie chcę ich sprowadzać. — Shamas stara się hamować gniew, uszy mu płoną.

— Ty może nie, ale twoja żona? — Słyszy za sobą Shamas. Odwraca się i widzi dwóch mężczyzn stojących dziesięć

kroków od niego, a jeszcze dziesięć zalanych słońcem kroków dalej, na wąskiej cementowej drodze przecinającej łąn dzikich Iraw i późnoletnich niedoskonałych kwiatów, samochód z pootwieranymi drzwiczkami. Nad samochodem połyskują liście

klonu, te u samego dołu korony poruszają się rytmicznie tam i z powrotem jak wahadło zegara. Shamas ogarnął to wszystko jednym rzutem oka, teraz skupia wzrok na dwóch mężczyznach, którzy ruszają w jego stronę.

Mężczyzna, z którym rozmawiał, z wyczuwalną agresywnością też postępuje krok w jego kierunku. Tamci dwaj są już przy nim i z wymuszonymi uśmiechami ściskają mu prawicę.

Nie przywykł do tego; ludzie, z którymi miał dotąd do czynienia, gdy wchodzili do jego biura, zostawiali pewność siebie za progiem. Tych trzech stoi zdecydowanie za blisko. Shamas zaczyna drżeć, w głowie mu huczy, czuje nieprzyjemną miękkość w nogach — ma przeczucie, że zaraz nastąpi jakiś dramatyczny zwrot.

Czy to nie mąż Surai nasłał na niego tych ludzi?

Nic dając po sobie poznać, jaki jest zdenerwowany — nie chce tracić twarzy przed tymi nieznajomymi — przeciska się przez kordon, którym go otoczyli, i oddala kontrolowanym krokiem. Ale oni, najwyraźniej nie dbając, co może sobie o nich pomyśleć, ruszają za nim drobnym truchcikiem, doganiają i zastępują drogę. Trochę zabawnie to wygląda, ale on już wie, że to nie zabawa.

Pierwszy z tych, którzy wcześniej stali za nim, mówi:

— Shamasie-ji, tobie ta sytuacja odpowiada, ale twoja żona przyszła do nas kilka miesięcy temu, półtora roku temu, jeśli chodzi o ścisłość, żeby zapytać, czy potrafimy ustalić miejsce pobytu jej syna Ujali, a wcześniej, cztery czy pięć lat temu, prosiła nas o sprawdzenie, czyjej córka Mah-Jabin nie wpadła aby w złe towarzystwo. Wspomniała, że była zdruzgotana, kiedy Mah-Jabin opuściła swojego męża, chociaż, jak każda dobra matka, powiedziała córce, że dom, do którego idzie — dom jej prawowitego męża — jest niebem, ale niech nie waży się go porzucić, nawet gdyby stał się piekłem, że z dniem ślubu córka dla rodziców umiera.

Drugi z tych, którzy stali za nim, mówi:

— Twoja żona nie chciała, żebyś się dowiedział o jej wizycie u nas, bo z oczywistych względów nie masz w piersiach serca matki i byś nie zrozumiał. Matka tęskni za dziećmi, które uciekły, i pragnie, żeby wróciły.

— Twoją żonę skontaktowały z nami pewne kobiety z osiedla — to bardzo miła i pobożna matrona. Ani w jednym, ani w drugim wypadku nie zdecydowała się w końcu na skorzystanie z naszych usług, ale bardzo nas wzruszyła jej prośba. Powiedziała, że dzieci są dla niej drugą połową każdego uderzenia serca.

— A teraz sam powiedz — odzywa się pierwszy mężczyzna, ten z dziobami wokół ust, pozostałościami po młodzieńczym trądziku czy to w porządku, że chcesz pozbawić inne rodziny usług, z których jeszcze nic tak dawno zamierzała skorzystać twoja rodzina? Dlaczego próbujesz przedstawiać nas w niekorzystnym świetle, zadając poprzez swoje biuro tendencyjne pytania? Jesteśmy tylko pokornymi sługami swojej społeczności.

Im dłużej Shamas słucha tego człowieka, tym większa ogarnia go zgroza. Znowu przemyka mu przez myśl, że to nie dzieje się naprawdę i jeśli będzie w to bardzo wierzyć, wszystko wróci na swoje miejsce, a ci ludzie znikną. Patrzy jak zahipnotyzowany na puste dłonie mówiącego mężczyzny, które w pewnym momencie zwijają się w pięści i te pięści zaczynają okładać go po twarzy, po głowie, po żebrach. Gazety wypadają mu spod pachy. Pozostali dwaj też się na niego rzucają. Kiedy krzyczy z bólu, biją mocniej, po nerkach, po brzuchu, a on nie wie, co począć z rękami. Metalowy sygnet orze mu policzek; boli tak, jakby ktoś rysował mu na twarzy linię kwasem siarkowym.

Ciosy są coraz silniejsze, spadają coraz gęściej, i nagle ta młócka nabiera metodyki, odstępów między uderzeniami wyrównują się, tak jakby biła go teraz jedna osoba, ciosy są dokładnie mierzone — ci ludzie to najwyraźniej eksperci w biciu i zadawaniu bólu.

Shamas nie może już oddychać przez nos. Leży wśród rozrzuconych, podartych i całych gazet, i czuje, że do jego twarzy przybliżają się czyjeś usta.

— To tylko drobne ostrzeżenie. Następnym razem zabawimy się z tobą po pakistańsku. Uważaj, bo zmiążdżę cię, o tak — mówiący zwija pięść i zaciskają — i zlizę z dłoni. I nie waż się iść na policję, chyba że chcesz, żeby twoi dowiedzieli się, co przez całe lato wyprawiałeś z tą dziwką w księgarniach.



Inny głos dodaje:

— W tej klitce musiało być gorąco jak w pistolecie po oddaniu strzału; pewnie chłodził ich pot, który z siebie wycisnęli.

— Powiedział, że musi już iść, bo jest z kimś umówiony. My tu gadu-gadu, a ta parszywa, bezwstydną suka może tam na niego czeka — tłuste cycki w gotowości, węzeł sznurówki *szalwar* poluźniony.

Śmiech.

— Może zajrzemy?

— Patrzcie na niego. Próbuje na nas powarkić. Coś mi się wydaje, że ranimy jego uczucia, mówiąc o niej w ten sposób. Widać dla niego jest tak czysta, że anioły mogą wykorzystywać jej ubranie w charakterze mat modlitewnych. To dlatego rozbierała się i kładła je na podłodze — żeby anioły mogły się na nim modlić do Allana, kiedy on będzie pchać jej kutasa w usta albo nadawać poślizgu dziurze w dupie umaczanym w oliwie palcem.

Jedno oko Shamasa patrzy w ziemię, z pola widzenia drugiego znikają odchodzący mężczyźni. Przed oczyma latają mu czerwone cętki, w obu czuje klucie, oba widzą w nowym świetle pasmo upokorzeń, przez które, oddając się mu, przechodziła Suraya, by połączyć się znowu z synkiem i mężem. Jakże musiała go nienawidzić podczas tych spędzanych z nim godzin, a on przez cały czas myślał, że jest z nim z własnego wyboru. Och, gdyby wtedy wiedział, co od niej wkrótce usłyszy!

Leży z uchem przyciśniętym do ziemi (pod którą gniją ciała Chandy i Jugnu), jakby coś tam słyszał, jakby był wędrowcem z bajki, który idąc przez las, usłyszał naraz dochodzące spod ziemi wołanie kogoś, kto został pogrzebany żywcem przez czarnoksiężnika i błaga przechodniów o odkopanie.

Czuje, jak wpełza na niego słońce. Jakiś spacerowicz z psem na pewno zaraz go tu znajdzie, pociesza się; te zwierzęta i ich panowie kręcą się tu bez przerwy, co jedna taka para przejdzie, zjawia się następna, psia sierść czepia się ździebeł trawy jak nitki ubrania; psy okręcają smyczą swoich właścicieli, wirując, biegając w kółko jak promień światła latarni morskiej. Albo któryś z tych ludzi, których widuje zawsze w oddali, jak krzątają

się przy swojej łódce z trójkątnym żaglem kołyszącej się na wodzie — nogi rozstawione, żagiel w podmuchach bryzy przebiegają dreszcze jak w Pakistanie bok krowy, kiedy usiądzie na nim mucha.

Shamas leży w trawie. Głosy napastników ścichły już w oddali, w ciszy, jaka zapadła, szeleszcza, ocierają się o niego gazety, ta podarta ufarbowana jest na karmazynową czerwień krwią — jego krwią, bo czuje w ustach słonawy posmak. Oczy same mu się zamykają, ogarnia go nieprzewyciężona senność. Jest bardzo zmęczony, powieki ciężą, widzi jak przez mgłę. Próbuje poruszyć nogą, ale nie może i zamyka oczy...

I w nagłym przyplwywie energii, jak ogrodowy szlauch, który jeszcze przed chwilą sflaczały, preży się naraz pod wpływem tłoczonej weń pod ciśnieniem wody, odrywa głowę od ziemi, a potem, nie zważając na ból przeszywający całe ciało, dźwiga się z trawy i staje na chwiejnych nogach: przyszło mu właśnie do głowy, że oni na pewno idą skrzywdzić Surayę — ją, która jest tak delikatna i wrażliwa, że dotyka wszystkiego, jakby to była cząstka niej — i musi ich powstrzymać.

Życie nabiera nagle sensu.

Widzi tych trzech idących w kierunku samochodu. Dziwne, wydawało mu się, że dłużej tu leżał. Kuśtyka za nimi pijany euforią, wszystko jest zamazane, a zarazem idealnie wyraziste. Nie posuwa się do przodu tak szybko, jak by chciał, bo znosi go na boki. Co chwila musi zmieniać kierunek, żeby sprowadzić tamtych w centrum swojego pola widzenia. Co chwila mu z niego znikają, uciekając to w tę, to w tamtą stronę, to znowu po przekątnej... Upuszcza i podnosi plik podartych gazet, które najwyraźniej postanowił pozbierać i zabrać ze sobą, szkoda mu je tu zostawić. Nie pamięta zupełnie, żeby je zbierał, zanim ruszył za tamtymi. Chyba wymiotował, bo śmierdzi mu z ust, nic tego też nie pamięta.

Spręza się w sobie i idzie za nimi jak bańka powietrza niesiona przez nurt rynsztokiem w kierunku studzienki ściekowej. Serce wali mu jak młot, chyba pojękuje, ale pewności nie ma, oni za chwilę go usłyszą, zatrzymają się i odwrócą.

JESIEN

## *Skrzydła Iris*

Kaukab ma wrażenie, że jest obserwowana z góry.

Prorok, pokój niech będzie z Nim, powiedział, że ilekroć ziemską żonę przysparza mężczyźnie kłopotów, jego siedemdziesiąt dwie żony hurysy — czekające nań w raju — wzdychają z ubolewaniem. Jeśli zdarza się, że mąż chce spółkować ze swoją ziemską małżonką, a ona się od tego wymawia albo wprost go odpycha, żony hurysy przeklinają ją przez całą noc.

Hurysy zarezerwowane dla Shamasa przeklinają Kaukab tam z góry, bo wybiegła właśnie cała w pasach z pokoju, w którym leży miesiąc po pobiciu Shamas.

Dwadzieścia pięć z ostatnich trzydziestu dni spędził w szpitalu. Nadal miewa nawroty delirium i przed chwilą próbował ją rozbierać, prosił, żeby go pottrzymała między nogami, miętosił jej piersi, dopominał się, by pokazała mu tę kolonię pieprzyków na udzie, która tak mu się podoba. Kiedy odwiedzała go w szpitalu, niejednym razem pytał ją — w delirium — co by powiedziała na jeszcze jedno dziecko. A kilka razy wołał jakieś „Plejady”. I dwa razy zrywał się ze szpitalnego łóżka, krzycząc, że ma coś ważnego do załatwienia na Miejscu Skandalu. Tym w Shimla?

Owszem, odtrącała go dawniej, kiedy zbierało mu się na czułości, ale za każdym razem udawała — tak, udawała, przyznaje ze skruchą - że nie dostrzega w tych jego czułościach żadnego seksualnego podtekstu, nie wyczuwa, żeby chciał ją posiąść. To w jej mniemaniu zdejmowało z niej brzemień winy i chroniło przed gniewem Allaha. Jednak te obecne obmacywanki i pieszczoty nie pozostawiają cienia wątpliwości.

Shamas jest cały posiniaczony i odniósł wiele obrażeń wewnętrznych. Lekarze mówią, że ma szczęście, że żyje, a jego stolec od czasu pobicia jest rzadki jak ptasie odchody. Nie potrafi powiedzieć, kto go napadł ani dlaczego, nic nie pamięta. Ludzie z osiedla mówią, że sprawców należałoby szukać w rodzinie Chandy, że to ich zemsta za to, że przez brata Shamasa jej synowie staną w grudniu przed sądem i kto wie, czy nie zostaną skazani na śmierć.

Jedna sąsiadka — która chodzi teraz z Kaukab dla towarzystwa do ginekologa, bo Kaukab osiągnęła już ten wiek, w którym macica wyslizguje się z pochwy i trzeba ją albo usunąć chirurgicznie, albo przyszyć do wewnętrznej wyściółki ciała — powiedziała: „Kiedy o tym usłyszałam, serce pękło mi jak porcelanowy talerz upuszczony z wysokiego tarasu. Oby te złe czasy szybko się skończyły i Allah znowu otoczy! was oboje swoją opieką”.

Zaniosła mu niedawno lunch i teraz schodzi z tacą na dół. Talerz ze starej zastawy lśni w półmroku; Kaukab wie, że jednym ze składników porcelany jest mączka kostna i to fosfor zawarty w kościach sprawia, że porcelana żółknie z wiekiem. Tamtego popołudnia przed miesiącem Shamas wrócił do domu, tuląc do piersi plik postrzępionych gazet, a sam wyglądał, jakby się zderzył z ciężarówką. Twarz miał tak opuchniętą, że na ułamek sekundy opadły ją wątpliwości, czy to on, czy nie on — poznała go dopiero po ubraniu. Ślinił się, tak jakby w ustach pękło mu jajko.

Macica — pierwsza sukienka jej córki, pierwszy adres synów — wciąż jej ostatnio dokucza, zstępuje więc po schodach ostrożnie. Powtarza sobie, że musi to cierpliwie znosić, że człowiek jest jak liść herbaty: jego prawdziwy kolor wychodzi dopiero po zalaniu wrzątkiem. Kiedy czuje, że ból się za chwilę nasili, czyta wersety z Koranu.

*Na jasność poranka*

*Na noc, kiedy spokojnie zapadał*

*Nie opuścił cię twój Pan*

*ani cię nie znienawidził\*.*

**\* Koran, sura 93 „Jasność poranka”, 1-3, tłum. Józef Bielawski, PIW, Warszawa 1986.**

Od rana ze stoków za domem dolatuje stłumione odległością brzęczenie kosiarek. To drugie w tym roku strzyżenie dzikich kwiatów i powietrze jest przesycone zapachem ich soku i postrzępionych płatków, który przez całe popołudnie spływa ze wzgórz.

Shamas prosił o coś słodkiego, zrobi mu więc pudding ryżowy, musi tylko sprawdzić w kredensie, czy ma jeszcze pistacje. I chociaż jest ramadan i pości, posmakuje może mężowskiego posiłku, żeby się upewnić, czy przypraw i soli jest w sam raz. Allah — zawsze dobrotliwy, zawsze wyrozumiały — powiada, że jeśli jesteś niewolnicą, służą bądź żoną, a twój pan, pracodawca lub mąż to człek porywczy, i obawiasz się bicia tudzież innych nieprzyjemności, wolno ci kosztować jedzenie, które mu przyrządzasz w czasie ramadanu, żeby sprawdzić, czy jest osolone i przyprawione wedle jego upodobań. Shamas smakoszem nie jest, ale ponieważ niedomaga, złamanie przez nią postu zostanie może podciągnięte pod kategorię żoninego poświęcenia i miłości, i wybaczone.

Pistacji nie ma. Kaukab zastanawia się, czy iść po nie do sklepu, chociaż boli ją między nogami, tam gdzie Shamas ją zadrapał, zanim zdążyła mu się wyrwać i uciec z pokoju; i bez tego zdarza się ostatnio, że trudno jej ustać na nogach.

Nie powiadomiła dzieci o pobiciu ich ojca, bo obawia się, że gotowe jeszcze uwierzyć w te plotki, jakoby w napaść na niego zamieszana była rodzina Chandy, i zrobić coś niewłaściwego albo niezgodnego z prawem. Jej dzieci, może z wyjątkiem Ujali, są łagodnego usposobienia, ale na ten widok na górze każdemu nóż sam by się otworzył w kieszeni. Wyobraża już sobie rozmaite straszne scenariusze, na przykład widzi, jak któregoś z jej synów wsadzają, tak jak braci Chandy, do więzienia za popełnienie jakiejś okropnej zbrodni.

„I pomyśleć tylko, jak ta Chanda zrujnowała życie swojej rodzinie”, powiedziała niedawno — konkretnie w dniu pobicia Shamasa — jedna z sąsiadek.

Fakt, że mężczyzna w równym stopniu odpowiedzialny za zrujnowanie życia rodzinie sklepikarzy jest powinowatym Kaukab, nie powstrzymał kobiety przed wypowiedzeniem tych słów w jej obecności, bo każdy wie, że Kaukab od początku potępiała

dwoje kochanków. Kaukab siedziała z sąsiadkami w ogródku przed swoim domem, który stoi po nasłonecznionej popołudniami stronie ulicy. Obierały i przygotowywały warzywa, gawędząc o tym i owym. Naraz gdzieś w pobliżu rozwrzeszczał się ptak, i to tak głośno, że musiały zakryć uszy; po chwili ustaliły, że wrzaskliwe ptaszysko siedzi w krzaku bzu przy furtce. Jedna z kobiet rzuciła w tamtym kierunku kapciem. Jakież było ich zdumienie, kiedy z bzu wyfrunęła i odleciała papuga z różową kryzą — tutaj, w tym kraju! Kapeć utknął między gałęziami, na ziemię opadło kilka strąconych sercowatych liści. Ptak przysiadł na drucie telefonicznym, poprawił sobie piórka, po czym poderwał się znowu do lotu i znikł na niebie. „Podobno za miastem lata całe ich stado. Widać tak się rozmnożyły, że już im tam za ciasno i szukają sobie miejsca tutaj”.

I naraz zmartwiały wszystkie na widok stojącego za furtką, przy krzaku bzu, Shamasa. Twarz i włosy miał zakrwawione, tulił do piersi plik porwanych gazet. Kobiety siedziały jak skamieniałe, zdumienie osiadało na nich warstwa po warstwie. Wokół jego głowy krążyło z tuzin much zwabionych zapachem krwi. Pierwsza oprzytomniała Kaukab. Z językiem wysuszonym aż po sam korzeń pobiegła otworzyć furtkę. Shamas wtoczył się jak pijany do ogródka. Kilka sąsiadek pośpieszyło mu z pomocą, reszta jęła uprzętać z drogi miski i koszyczki z cebulą, chili, ziemniakami i szpinakiem. Czmychnęło w popłochu stadko wróbli dziobiących obierki i odrzucone liście kolendry.

Któraś z sąsiadek wbiegła do niebieskiej kuchni z żółtym stołem i krzesłami, i zadzwoniła na pogotowie. Po raz czwarty w życiu rozmawiała swoją łamaną angielszczyzną z białym i zastanawiała się, czy nie wypadałoby wtrącić od czasu do czasu słówka „kurde” — którego z takim upodobaniem używały, cokolwiek znaczyło, jej anglojęzyczne dzieci — by uwiarygodnić się przed tamtym jako legalna obywatelka tego kraju. Przedłużająca się nieobecność Shamasa nie zaniepokoiła Kaukab; do pierwszej w nocy czytała Koran i dzisiaj przespała dzwonek budzika, który miał ją obudzić na przedpoŹny posiłek i poranne modły. Wstała dopiero za dziesięć dziewięta i stwierdziła, że Shamas wykapał się już i wyszedł z domu. Wcale jej

to nie zdziwiło, bo zazwyczaj w soboty albo chodził do miejskiej biblioteki, albo wsiadał do autobusu i jechał do podmiejskich lasów, albo pracował w swoim biurze — bywało, że i jedno, i drugie, i trzecie.

Co z tymi pistacjami? Robić pudding ryżowy bez zielonych juk awokado i ogniście różowych pistacji to jak ubierać dzieci na szaro i bez cekinów z okazji świąt, takich jak id al-adha, do których w Pakistanie pewnie wszyscy się już przygotowują, tak jak tutaj ludzie rozpoczęli przygotowania do świąt Bożego Narodzenia, bo chociaż te wypadają dopiero za kilka tygodni, to przez cały rok prawie wszystko planowane jest z myślą o nich.

Przeszywający ból między nogami nie wiedzieć czemu budzi w niej pragnienie odsłuchania głosu Ujali nagranego na automatycznej sekretarce. Ma już ruszyć do różowego pokoju, gdzie stoi telefon, kiedy rozlega się pukanie do drzwi frontowych. W progu stoi sąsiadka z bukietem róż owiniętych w gazetę, przez którą tu i ówdzie przebiły się grube kolce.

— Przycinałam właśnie swoje róże, Kaukab, i szkoda mi się zrobiło tych kwiatków. Pomyślałam sobie, że mogłyby przyozdobić pokój mojego brata-ji, niech Allah wróci mu zdrowie, .lak on się czuje? Uważaj, kłują.

Kaukab wydaje okrzyk zachwytu i bierze od sąsiadki kolczasty bukiet.

— Odpoczywa. Ale czy to nie za wcześnie na przycinanie róż? Ja nie zabieram się do swoich przed połową października.

— Masz rację, za wcześnie, ale robimy w domu remont i potem mogę nie znaleźć na to czasu. Wiesz, jak to jest z robotnikami i dzinnami: wpuść ich raz do domu, a tak łatwo się już ich nie pozbędziesz. — Zamiast skórzanych ogrodniczych rękawiczek ma na dłoniach żaroodporne rękawice kuchenne i materiał, z którego są uszyte, wygląda Kaukab na pakistański: bogato haftowany, z naszytymi małymi zwierciadełkami przypominającymi krople rosy. Musiała uszyć sobie te rękawice sama, bo w Pakistanie nie piecze się w domu, w związku z czym nie wynaleziono tam żaroodpornych rękawic, gdyż nie było takiej potrzeby.

Kaukab pamięta z dzieciństwa placki, które piekł ojciec Shamasa, niech spoczywa w pokoju, obkładając brytfannę



rozżarzonymi do czerwoności węgielkami, pamięta tamten zapach wanilii rozchodzący się zimą po uliczkach Sohni Dharti i odnajdujący wszystkie dzieci niczym ekspert w zabawie w chowanego.

— Korci mnie, żeby powąchać te róże — mówi Kaukab — ale tego nic zrobię. Olejku różanego używa się do wyrobu rozmaitych słodczy i obawiam się, że Allah mógłby mi to poczytać za złamanie postu, pomyśleć, że wącham te róże, żeby znaleźć się bliżej jedzenia.

Sąsiadka, ściągnawszy rękawice, siada przy stole i pomaga Kaukab w odrywaniu od łodyg nadmiaru listków i układaniu kwiatów w wazonie z wodą.

— Allah jest wyrozumiały, Kaukab, w każdym razie wie, co dzieje się w naszych sercach.

— Podyktował wszystko aniołom, a one zapisały to w Księdze Przeznaczenia.

— Myślałam dziś rano o tej Księdze, Kaukab. Myślałam, że gdyby tak można było do niej zajrzeć, dowiedziałabym się, jak długo jeszcze przyjdzie mi czekać na wieści od syna, a gdyby jeszcze dało się przerzucić kilka kartek wstecz, dowiedziałabym się, co się z nim stało, gdzie jest. — Odłamuje pąk róży i obraca go w palcach, mrugając szybko, by powstrzymać napływające do oczu Izy.

Kaukab gładzi ją delikatnie po ramieniu.

— Nic wolno rozpaczać. Allah przyjdzie ci z pomocą.

— Powiedziałałam mu, że jak chce jechać na urlop, to niech jedzie do wujów do Pakistanu. Ale on na to, że woli gdzie indziej, że podróżuje się po to, żeby „odkrywać nowe rzeczy” — cokolwiek to znaczy. W końcu sama byłam zadowolona, że wybiera się do tej Turcji, kraju bądź co bądź muzułmańskiego. — Kobiety patrzą na róże. — Przepadł w zeszłym tygodniu prawie zaraz po wylądowaniu w Stambule. Wczoraj policja znalazła w Bosforze czyjeś ciało i próbują teraz ustalić tożsamość. Niewykluczone, że został zabity dla paszportu.

Kaukab kiwa głową. Słyszała, że w biedniejszych krajach za brytyjski paszport można dostać nawet pięć tysięcy funtów.

— Wiem, Kaukab, że muszę wierzyć w Allaha, ale serce podchodzi mi do gardła, kiedy pomyślę, co mu się mogło

przytrafić. Abdul Haq z Gulmohar Street miał szczęście, ale czy mój syn będzie je miał? Abdul, jak pojechał w zeszłym roku do Stambułu zwiedzać zabytkowe meczety i rozbili mu tam głowę, to dopiero niedawno doszedł do siebie. Najpierw go struli, a potem dali po łbie i ukradli paszport. Ostatnie, co zapamiętał, to to, że jakiś gościnnie miejscowy poczęstował go herbatą. — Kobieta zniża głos do ledwie słyszalnego szeptu. — A wiesz, co się stało? Czytałam wczoraj w „Afternoon”, że pod gruzami tego wieżowca, co to go latem wysadzili w powietrze, znaleziono rozkładające się zwłoki.

— Nie wolno nam wątpić w Jego nieomyślność, siostró-ji. Wieżowca? Jakiego wieżowca?

— Pisali o tym w gazecie, ale nic bliższego jeszcze nie wiadomo. Podobno to był ciemnoskóry chłopiec, Pakistańczyk, Hindus albo Bengalczyk. Możliwe, że nielegalny imigrant, ale kto go tam wie?

— Niech Allah łagodnie obejdzie się z duszą tego biednego chłopca — szepce Kaukab. — Na pewno znał go niejedyn z innych nielegalnych imigrantów z tego miasta, ale żaden się nie zgłosi i nie powie, że go znał, bo będzie się bał, że go zaraz zatrzymają i deportują.

Sąsiadka wzdycha i kładzie rękę na dłoni Kaukaba.

— Jakaś ty dobra, Kaukab. Taką masz tragedię w rodzinie, a nie zapominasz o innych, pocieszasz mnie. Nie zwątpiłaś w Jego dobroć. To samo odnosi się zresztą do matki Chandy — ona też ma zawsze dla człowieka dobre słowo. — Wkłada różę do wazonu. — A jeśli już o niej mowa, Kaukab, to wczoraj w nocy nie mogłam zasnąć i tak mniej więcej o trzeciej nad ranem postanowiłam, że wstanę i przeczytam kilka stron z Koranu i pomodłę się o bezpieczny powrót mojego chłopca. Kiedy myślałam się w łazience, zobaczyłam matkę Chandy stojącą przed domem Jugnu.

— Tu, obok?

— Tak. Biedaczka chciała pewnie popatrzeć na ostatni dom swojej córki, postać przed nim, powspominać. W dzień nie mogła, bo ludzie by się dziwili, myśleli, że jest niełojalna wobec synów. Ileż to my, biedne matki, musimy znosić, Kaukab!

— To z jej strony nierozsądne, żeby tu przychodzić o trzeciej w nocy.

— Nie była sama. Był z nią ten młody mężczyzna, którego zatrudnili do pomocy w sklepie. Coś mu pokazywała — pewnie opowiadała rozmaite ciekawostki, na przykład, w którym pokoju mieszkały motyle.

— Słyszałam, że kogoś zatrudnili. Jak wiesz, sama już do nich nie chodzę, ale Sadiąa spod numeru sto dwadzieścia jeden mówiła mi, że widziała go kilka razy, tylko nie wiedziała, co to za jeden. Myślała, że może jakiś krewny z Pakistanu.

— Może i tak. Nie wiem.

Dzwoni telefon i Kaukab wstaje, żeby odebrać. Sąsiadka też wstaje i mówi, że już pójdzie, bo ma dużo roboty w ogrodzie.

Dzwoni ktoś z biura Shamasa z informacją, że negatywy fotograficzne, o których odkupienie od fotografa z centrum miasteczka Shamas zwracał się do magistratu, zostały niestety zniszczone. Shamas prosił wczoraj Kaukab, żeby zadzwoniła w tej sprawie do jego biura, wyjaśniając, że ta myśl już jakiś czas temu przyszła mu do głowy, ale po pobiciu zupełnie o tym zapomniał. Z fotografem trzeba się było jak najszybciej skontaktować. Shamas miał nadzieję, że nie jest jeszcze za późno, że ten człowiek nie wyrzucił jeszcze całej unikatowej kolekcji do śmieci. Ale najwyraźniej stało się. W zakładzie fotografa mieści się już inny sklep, a on sam, sprzedawszy oprawy oświetleniowe, krzesła i pozłacane ramy w sklepie ze starociami i wyrzuciwszy resztę — tła, portrety, negatywy, pluszowe zabawki do zabawiania małych dzieci, pierzaste boa — wyjechał na urlop do Australii.

Kaukab podchodzi z wazonem róż do schodów i spogląda w górę. Waha się, zbiera na odwagę, żeby na nie wstąpić. Przez ten ból całe pięć minut zajęła jej dzisiaj wspinaczka do Shamasa z lunchem, a potem drugie całe pięć minut powrót na dół. Na schodach jest ciemno, ponieważ w zeszłym tygodniu z cichym metalicznym pyknięciem przepaliła się żarówka, a ona nie potrafi jej wymienić, bo to dla niej za wysoko — gdybyż to w domu były dzieci. Dociera do ostatniego stopnia i wymrukuje do Allaha pod nosem, że kocha Go za opiekę, którą zawsze ją otacza.

Kiedy wchodzi do Shamasa, ten oczy ma zamknięte. Jego posiniaczone czoło przybrało niesamowicie zielony kolor, nad

lewym uchem widnieje guz wielkości śliwki. Skóra w kilku miejscach jest zbielała, ma barwę mydła Imperial Leather. Kaukab nie po raz pierwszy w ciągu ostatniego miesiąca odwraca wzrok; robi to z poczuciem winy, ale nie może na to patrzeć.

— Dzwonił przed chwilą Saleemuzzamaan z twojego biura — mówi cicho i rozgląda się za miejscem na postawienie róż.

Shamas otwiera oczy.

— Kazał ci powtórzyć, że się dowiadywali i że te negatywy zostały wyrzucone.

Stawia róże na półce i zostaje przy nich. Woli się do niego nie zbliżać, boi się, że znowu zbierze mu się na amory. W uszach rozbrzmiewają jej połajanki i urągania siedemdziesięciu dwóch hurys. Niektórzy wulgarni ludzie pytają, ilu mężczyzn dostanie w raju pobożna kobieta, skoro na pobożnego mężczyznę czekają tam siedemdziesiąt dwie żony? To oczywiście szczyt ignorancji i nieprzyzwoitości; pobożna kobieta nie może znieść myśli, że miałby jej dotykać mężczyzna niebędący jej mężem — dlaczego więc w raju, gdzie nie ma nic prócz szczęśliwości i zadowolenia, miałyby znosić obmacywanie i pieszczoty obcych mężczyzn? W raju każdy będzie miał co najmniej jednego towarzysza, bo w raju nie ma celibatu, tak więc pobożnej kobiecie do szczęścia w zupełności wystarczy, jeśli po Sądzie Ostatecznym dostanie na wieczność miejsce u boku swojego ziemskiego męża. Kaukab wzdycha. Mądrość Allaha nie ma granic. Para stanie się znowu młoda, nieziemsko piękna i oczyszczona. Nie będzie żadnej uryny, żadnych stolców, żadnego nasienia ani menstruacji; erekcje i orgazmy trwać będą całymi dekadami i mężczyźni często usłyszą od swoich ziemskich żon: „Na potęgę Allaha, nie znajduję w raju nic piękniejszego od ciebie”.

Shamas próbuje ułożyć wargi w uśmiech.

Ona też się do niego uśmiecha. Ma nadzieję, że nie zauważył, że jest w wyjściowym ubraniu; Anglia to plugawy kraj, kraj bezbożny, pełen ludzi zbrukanych odrażającymi nawykami i praktykami, gdzie, jak wszystkim wiadomo, nieczyste psy i koty albo niemyci ludzie, albo ludzie, którzy nie wykąпали się po seksualnym zbliżeniu, albo pijani i ludzie z niewidocznymi, wyschlými kropelkami alkoholu na koszulach i spodniach, albo

miesiączkujące kobiety, i im podobni mogli wcześniej zajmować w autobusie miejsce, na którym postanawia usiąść dobry muzułmanin, albo dotykać w sklepie przedmiotu, który on potem bierze do ręki — w związku z tym większość muzułmanów i muzułma-nek z osiedla ma po kilka kompletów ubrań, które wkłada tylko na wychodne i zdejmuje natychmiast po powrocie do domu, przebierając się w rzeczy, o których wie, że na pewno są czyste. Kaukab już od pięciu dni nosi po domu jeden ze swoich wyjściowych *szalwar-kamis*, bo musi podmywać Shamasa po każdym wypróżnieniu. Któregoś dnia dostał strasznej biegunki i ręce miała po łokcie w jego odchodach, ale teraz jest już lepiej. Najchętniej przemywałaby mu odbyt wodą, jak radzi Prorok, ale to niepraktyczne, bo woda uraża posiniaczone części ciała, chcąc nie chcąc, używa więc papieru toaletowego. I ilekroć go potem dotyka, nie potrafi pozostać obojętna na fakt, że jest nieumyty i nieczysty.

Shamas przywołuje ją do siebie. Kaukab podchodzi i przysiada na łóżku — tylko na chwilę, bo zbliża się pora trzeciej z pięciu dzisiejszych modlitw.

— Szkoda, że nie możesz sobie przypomnieć, kto ci to zrobił — mówi od drzwi. — Ludzie powiadają, że to pewnie sprawka rodziny Chandy. Nie obraż się, że to mówię, ale to wszystko przez Jugnu. Gdyby pozostał na przyzwoitej ścieżce życia, nic z tego by się nie wydarzyło.

— Rodzina Chandy nie miała z tym nic wspólnego.

— Skąd wiesz? Mówiłeś, że napadnięto cię od tyłu, dostałeś czymś ciężkim w głowę i straciłeś przytomność. Bronisz tylko Jugnu, instynktownie, jak zawsze.

Nie może powiedzieć jej prawdy. Patrzy bezradnie, jak zamykają się za nią drzwi — nie wie, jak jej ulżyć w cierpieniu. Zamyka oczy. Dopiero teraz, poprzez otumanienie wywołane środkami przeciwbólowymi, docierają do niego słowa o jakichś fotograficznych negatywach, ale nie bardzo kojarzy, o co chodziło.

Pamięta dokładnie wydarzenia tamtego poranka, ale gdyby komuś powiedział, Kaukab usłyszałaby od napastników o jego romansie z Surayą. To by ją zniszczyło.

Nie chciał też, żeby dzieci się dowiedziały, bo gotowe jeszcze przyjechać i wziąć go w krzyżowy ogień pytań — kto, dlaczego, kiedy, jak? Coś mogłoby mu się niechcący wymknąć.

Tyle że nawet gdyby zdecydował się komuś zwierzyć, to nie ma pewności, czy mógłby dobyć głosu. Uszkodzona tchawica zaczyna się już goić, ale nadal ma kłopoty z mówieniem. Nie jest całkiem niemy, bywa jednak, że zacina się jeszcze i jąka.

Gdy tylko wydobrzeje na tyle, żeby wstać z łóżka (lekarze twierdzą, że to może potrwać jeszcze kilka tygodni), pójdzie do Surai do domu. On dwa razy z rzędu nic stawił się na umówione spotkanie. Ona nic zjawiała się tamtego poranka. Dlaczego? A jeśli napastnicy przyszli pod „Salinę”, kiedy ona już tam na niego czekała? Robi mu się niedobrze.

Co postanowiła Suraya w sprawie ich dziecka? Ma nadzieję, że mimo wszystko nie jest brzemienna, że test ciążowy dał błędny wynik. Romans z nim niepotrzebnie skomplikował jej życie.

Pod skotłowane koce wdziera się zimne powietrze. Słyszy krzątającą się na dole Kaukab. Dom jest mały, tak mały, że wszystkie drzwi muszą być przesuwne: Kaukab, nie znając *jeszcze* dobrze angielskiego, powiedziała kiedyś: „Nie ma tu nawet miejsca, żeby pomachać drzwiami”. Nie może sobie przypomnieć, o czym myślał przed zaśnięciem... już wie: Suraya powiedziała, że powitałaby śmierć z otwartymi ramionami, i teraz rodzi się w nim obawa, że ona może targnąć się na swoje życie — może nawet już to zrobiła. I nagle nachodzi go przekonanie, że popełniła samobójstwo; nie ma też pewności, czy aby sam nic umarł tamtego poranka nad jeziorem. Podobno po nadjeziornych lasach snują się dwa duchy — tak, to na pewno on i Suraya, w jej łonie jarzy się ich dziecko, a jego dłonie płoną, świecą od gazet, które niesie, od przeszywającego bólu świata. Nie, nie, musi natychmiast wstać i zdobyć skądś wszystkie numery „Aftemoon”, jakie ukazały się w czasie, kiedy on był przykuty do łóżka — sprawdzić, czy nie ma w nich wzmianki o czyimś samobójstwie. Musi natychmiast wstać. Usiłuje walczyć z usypiającym działaniem Icków, ale jest jak ta lalka, która w pozycji horyzontalnej musi zamknąć oczy, bo innego wyboru nie ma. Tak, tak, powtarza, odpływając

w sen: odnajdzie ją w ten sam sposób, w jaki Siwa odnalazł Parwati, kiedy ta odeszła od niego po kłótni; pójdzie po śladach, które pozostawiła na ziemi, tropem paisleyowych wzorów — tych z kaszmirowego zakieciku.

Kaukab wygląda przez okno. Może ktoś będzie szedł do sklepu i kupi jej torebkę tych pistacji. Przechodzi nastolatek — broda zadarta, rozkołysany krok, co to nie on — ale idzie w przeciwnym kierunku; pali papierosa i Kaukab ma ochotę krzyknąć do niego, jak dobra ciotka, że to ramadan i powinien pościć.

Potrząsa głową, żeby pozbyć się z niej wspomnienia zapachu shamasowego lunchu — właściwie to już wyparował, ale koniuszek jego długiego ogona uwiązał pod pokrywką emaliowanego rondla, w którym zostały resztki. Ojciec przysłał jej z Pakistanu kartkę z życzeniami z okazji id al-adha; pełno na niej mew w locie, wiernie oddanych liści palmy i wianuszków z jaśminu; nie da się jej otworzyć bez rozdarcia rozmaitych ząbków i frędzelków, które przylegają do siebie jak rzęsy po przebudzeniu.

Podchodzi znowu do okna, wygląda i widzi przed kościołem fotoreportera z gazety robiącego zdjęcie wikaremu; to u białych typowe, że naigrawają się ze swojego świętego męża, który występuje przeciwko moralnej próżni tego obrzydliwego i zdeprawowanego kraju. Najchętniej wyszłaby teraz, bez względu na wszystko, z domu, powiedzmy, na pocztę, żeby nie patrzeć na tę zgniliznę, która toczy zachodnią kulturę.

Jezus Chrystus musi się przewracać w grobie.

Dlaczego utknęła w jakimś życiowym dołku, gdzie prawie wszystko przestało mieć sens? Zaczyna płakać. Nie rozumie, jak to, co On robi ludziom, można nazywać sprawiedliwością? Dlaczego wybrał dla niej takie życie, takie rzeczy zapisał pod jej imieniem w Księdze Przeznaczenia? Niech wybaczy jej te myśli. Tak, Jego poczucia sprawiedliwości nie można definiować w ludzkich kategoriach. Bo wyobraźmy sobie, że do raju trafiają dziecko i dorosły, którzy umarli w prawdziwej wierze. Dorosły ma jednak w raju wyższą od dziecka pozycję. Dziecko

pyta Allaha: „Dlaczego stawiasz tego człowieka wyżej ode mnie?”. „Bo on uczynił wiele dobrego”, odpowie Allah. A wtedy dziecko zapyta: „To czemu zabrałeś mnie do siebie tak wcześnie, że nie dane mi było czynić dobra?”. A Allah na to: „Wiedziałem, że wyrośniesz na grzesznika, i uznałem, że lepiej będzie, jeśli umrzesz jako dziecko”. I tu podniósłby się krzyk tych, którzy strąceni zostali do piekieł: „Dlaczego, o Panie, nie pozwoliłeś nam umrzeć, zanim staliśmy się grzesznikami?”.

To może się wydawać niesprawiedliwe nam, śmiertelnym, ale Jego wyroki są niezbadane, myśli Kaukab. Synowa, Stella, powiedziała kiedyś, że na drugie dano jej Iris po pięknej dziewczynie z greckich i rzymskich mitów, która miała opalizujące skrzydła, i tylko brak dostatecznie zróżnicowanych barwników sprawił, że rzadko pojawia się na starożytnych malowidłach. Podobnie ma się sprawa z Allahem. My, ludzie, nie dysponujemy tyloma kolorami i odcieniami, żeby Go namalować. Kaukab jest tutaj z dala od dzieci, z dala od swych zwyczajów i kraju, sama i zagubiona, a jednak On jej mówi, żeby pokładała wiarę w Jego miłosierdzie. I to właśnie powinna robić bez skargi, powtarzać sobie, że nie jest osamotniona, że On jest z nią w tym obcym miejscu. Nie wie jednak, co począć z faktem, że niemal przez cały czas czuje się całkiem pusta, tak jakby przeżyła samą siebie, jakby jechała dalej pociągiem, który minął już stację docelową.



## ***Dard di Raunak***

*Ki pata-tikana pućhde ho Mere šeher da na tanhai e Zila:  
Sukban-nawaz Tehstl: Hidżar*

*Dżeda dak-kbanna Ruswai e.*

*Oda rasta Gehrian Soćkan ban, te maśhur džudai e*

*Othe adż-kal Abid mil sakda e*

*Betba dard di raunak lai e*

Te słowa pendżabskiej pieśni przypominają się matce Chandy, kiedy otwiera sklep. Za nią, na jezdni, szeleszczą roznoszone przez wiatr żółte wczesnolistopadowe liście. Skamieliny ważek: po nieprzespanej nocy na jej policzkach i skroniach widnieją odciski od poduszki.

*Pytasz o mój adres —*

*Nazwa mego miasta to Samotność*

*Dzielnicy: Bajeczna*

*Osiedla: Tęsknota*

*A poczta, to Potępienie i Sromota.*

*Prowadząca tam ulica zwie się Pobożne Życzenia, a tamtejszy*

*słynny pomnik to Rozłąka. Tam właśnie spotkać można teraz Abida.  
autora tych strof— Tam przesiaduje, epatując przechodniów spektaklem  
bólu na*

*żywo.*

Układa na półkach towar wyjmowany z brązowych kartonów. Za czterdzieści minut otwiera sklep i wtedy momentalnie zaroi się tutaj od dzieciarni gotowej kupować na garście cukierki i czekoladę, bo dzisiaj święto id al-adha. A już za parę minut wpadną tu jej własne wnuczki. Słyszy ich krzątanie na górze. Wkładają sukienki i chusty wyszywane błyszczącymi *gota* i *kiran*. Wystrojone, obwieszane świecidełkami, pobrzękujące dziecięcą biżuterią i szklanymi bransoletami, zbiegną na dół do babki po błogosławieństwo na ten szczęśliwy dzień.

Uśmiechnięta kobieta puka w przeszklone drzwi wejściowe. Wpuszczają, wymieniają świąteczne życzenia. Kobiecie skończył się miód, a musi przecież zamarynować kurczaka na dzisiejszą kolację.

Kiedy matka Chandy pokazuje jej, gdzie stoją słoiki z miodem, wchodzi jeszcze jedna kobieta. Składa im od progu życzenia z okazji Święta Ofiary, a potem ciągnie:

— Tylko co to za święto w tym kraju — ani krewnych, ani znajomych, ani wypatrywania z dachu księżycy w noc poprzedzającą id al-adha, ani okolicznościowych świątecznych programów w telewizji, ani przekupniów z balonikami na ulicach, ani ludzi z tresowanymi małpkami przebranymi za Indirę Ghan-di, tych, wiecie, w sari i czarno-siwych peruczkach? Krótko mówiąc, ani *tamaśa*, ani *raunak*.

Tylko *dard di aunak* — myśli matka Chandy, przypominając sobie znowu ten pendzabski wiersz. Spektakl bólu. Kobieta od miodu przytakuje nowo przybyłej.

— Ugrzęźliśmy w obcym kraju, gdzie nikt nas nie lubi. Podśluchałam wczoraj przypadkowo, jak ktoś mówił, że pobito naszego biednego brata-ji Shamasa. To na pewno te białe rasistowskie łobuzy, bo któż by inny.

— Biali? A ja słyszałam, że pobili go ludzie z meczetu, żeby nie zeznawał przeciwko temu imamowi, którego podobno przyłapał na molestowaniu dziecka.

Wchodzi nowa klientka odebrać siekane mięso, które zamówiła przez telefon i które ojciec Chandy przygotował poprzedniego wieczoru i włożył do zamrażarki.

— Ale zimne! Biedny brat-ji odmroził sobie chyba ręce. Dlaczego nie zatrudnicie kogoś do pomocy?

— Siostro-ji, zastanów się, co mówisz — gani ją kobieta od miodu. — Na co im kogoś zatrudniać? Za miesiąc proces, a potem, jak Allah da, obaj chłopcy tu wrócą i zdejmą z barków ojca i matki prowadzenie interesu.

Ofuknięta kobieta zwraca się do matki Chandy:

— Wybacz, siostro-ji, nie chciałam przez to powiedzieć, że twoi synowie już nie wrócą. Bez wątpienia zostaną niewinni. I od grudnia brat-ji nie będzie już musiał własnymi rękami dotykać tych okropnie zimnych porcji mięsa. Allan zwróci wam na pewno obu chłopców. To tylko kwestia czasu. A kiedy mówiłam o zatrudnieniu kogoś do pomocy, miałam na myśli tego chłopca, którego widziałam tutaj parę dni temu. Pomyślałam sobie, że to jakiś dorywczy pracownik do rozładowywania towaru.

Matkę Chandy ściska w dołku, dech jej zapiera.

— Nie wiem, o czym mówisz — udaje jej się wykrztusić. Druga klientka marszczy czoło.

— Ja też widziałam tu w zeszłym tygodniu jakiegoś chłopca, siostro-ji. Na zapleczu. Nie?

Matka Chandy staje się trzciną, na której wiatr wygrywa płacziwą nutę. — To musiał być jakiś klient, który się tam zabłąkał. Nikogo nie zatrudniliśmy.

Kobiety na odchodnym śmieją się.

— Tak, to na pewno musiał być jakiś klient. A swoją drogą, siostro-ji, słyszałam, że biedna Kaukab ma kłopoty z macicą, że się z niej wyślizguje. To prawda? Mnie w zeszłym roku moją przyszyli, ale potem zapomniałam się, dźwignęłam ciężką donicę w ogrodzie i odnowiło mi się. Chyba lepiej wpadnę do Kaukab w najbliższym czasie i ostrzegę ją, żeby po operacji zanadto się nie wysilała.

Po wyjściu klientek matka Chandy rygluje drzwi i opiera się o nie, bo nogi ma jak z waty. Czuje się taka osamotniona jak młody Józef na dnie studni. A więc ludzie widzieli tutaj tego chłopca — rzekomego fałszywego Jugnu. Nikt nie może wiedzieć, że mają z nim cokolwiek wspólnego ani że to oni są autorami jego wersji losów Chandy i Jugnu. Powie na policji, że uciekał w Pakistanie ze swoją oblubienicą, że przenosili się z miasta do miasta,

z miasteczka do miasteczka, by zatrzeć za sobą ślady i pobrać się wbrew woli rodziny dziewczyny, której krewni ścigali ich i chcieli zabić; takich „honorowych zabójstw” popełnianych jest tam co roku kilkaset.

Kandydatki do roli fałszywej Chandy nie udało im się jeszcze znaleźć. I dopóki jej nie znajdą, chłopiec nie powinien się tu pokazywać. Wynajęli mu pokoik przy odległej ulicy i od tamtego czasu tylko trzy razy zjawił się w sklepie, żeby omówić z rodziną szczegóły planu.

Matka Chandy zaprowadziła go pod osłoną ciemności pod dom Jugnu i pokazała, które okno należy do jego pokoju, jaką część bagażu tam znaleziono, którymi drzwiami para zazwyczaj wchodziła i wychodziła.

Ale od teraz nie wolno mu tu przychodzić. Rodzina będzie udawała, że jest tak samo jak wszyscy wstrząśnięta i zaskoczona jego zeznaniami, kiedy te zostaną upublicznione. Domaga się zaliczki, ale dadzą mu ją dopiero w przeddzień wizyty na posterunku. A przez cały następny dzień ojciec Chandy i ich synowa będą na zmianę dyżurowali przy telefonie, czekając na wiadomość z policji.

Zasypiała już prawie wczoraj wieczorem, kiedy nagle zelektryzowała ją myśl o trupie znalezionym pod gruzami budynku wysadzonego w powietrze przed kilkoma miesiącami; wedle wszelkiego prawdopodobieństwa był to jakiś nielegalny imigrant — a jeśli ten ich fałszywy Jugnu wbije sobie w głowę, że ofiara to jego zaginiony brat, i pójdzie na policję dowiedzieć się czegoś bliższego? Przecież po czymś takim nie mógłby już wystanie w roli, jaką przewidziała dla niego rodzina Chandy. Wyobraża go już sobie, jak pyta na posterunku, czy martwy chłopiec wśród czarnych włosów na głowie miał jeden złoty. Na razie nic nie wskazuje, żeby wiedział coś o prasowych doniesieniach na ten temat — słabo czyta po angielsku, a poza tym szkoda by mu było czterdziestu pięciu pensów na „After-noon”. Unika — może ze strachu — rozmów z białymi, jeśliby więc coś o tym usłyszał, to najprędzej od kogoś mówiącego w urdu bądź pendżabi. Trzeba dopilnować, żeby od tej pory nie rozmawiał z Pakistańczykami ani z Hindusami. Muszą zniechęcić go do takich rozmów, mówiąc: „Jakieś wypowiedziane

przez ciebie nieopatrznie słowo może dotrzeć do władz i wydalą cię z tego kraju, zanim zarobisz pieniądze, które przyniesie ci nasz plan".

Matka Chandy wraca do pracy, od której oderwały ją przedwczesne klientki. Przez sufit słyszy wnuczki przygotowujące się do świątecznego dnia — tego *dard di raunak*, tego id al-adha nieszczęścia. Ale mija pięć minut i synowa, która zeszła tymczasem na dół, wskazuje naraz palcem na drzwi wejściowe i rzuca się ku nim, wołając:

— To ona! Otwórz drzwi i zatrzymaj ją!

— Kogo? — pyta matka Chandy i spogląda za synową, która nie bacząc, że straciła po drodze z półki stos paczek z wonnymi laseczkami kadzidła, dopadła już drzwi i mocuje się z nimi. — Kogo mam zatrzymać? — powtarza i nagle z rąk wypadają jej oliwkowozielone pudelka z kazurskim *methi*. — Chanda? Moja Chanda? Gdzie?

Podbiega do drzwi i mruczając pod nosem: „O Allahu, czy Twoja łaskawość dla tych, których stworzyłeś, zna jakieś granice?”, wypada za synową na zewnątrz. Ulica jest pusta i synowa rozgląda się gorączkowo, to wybiegając na środek zasłanej liśćmi jezdni, to wracając do krawężnika.

— Widziałaś moją Chandę? Gdzie? Przed chwilą? — W niektórych godzinach drzemie potężny potencjał, spełniają się w nich czy to pomyślane, czy wypowiedziane życzenia, bez względu na to, czy rzeczywiście chciało się ich spełnienia.

Synowa, zamiast odpowiedzieć, szepce do siebie:

— No była tutaj, przed momentem. — A potem, zwracając się do teściowej, wyjaśnia tonem, w którym pobrzmiwa hamowane rozdrażnienie: — Nic, nie Chandę, matko-ji. To była ta dziewczyna, która w lecie przyszła do sklepu. Opowiadałam ci o niej. Ta nielegalna imigrantka. — Znowu wychodzi na środek jezdni. — Gdzie ona przepadła? Nie mogła w tak krótkim czasie ujść daleko. Nosi szkaplarczyk z miniaturowym Koranem.

Matka Chandy siada powoli na schodku. Przesuwa się w bok, żeby przepuścić wracającą do sklepu synową.

— Widziałaś moją Chandę? Widziałaś moją Chandę? — przedrzeźnia ją młoda kobieta, wstępując na schodki. I syczy: — Na miłość boską! Ona nie żyje.

Matka Chandy jeszcze przez kilka minut siedzi na schodkach przed sklepem i patrzy błędnie w przestrzeń. Potem wraca synowa, skruszona kładzie jej dłoń na ramieniu i prosi, żeby weszła do środka, bo się przeziębi.

— Przepraszam, czasami zapominam, że los doświadczył cię tak samo jak mnie. Jeśli nie gorzej. Ja tracę tylko męża, ty dwóch synów i córkę. Przepraszam.

Matka Chandy mówi synowej, żeby się o nią nie martwiła, i odsyła na górę, żeby pomogła ubierać się dziewczynkom, u sama zaczyna układać z powrotem na półce paczki z laseczkami kadzidła, podnosi mechanicznie z podłogi oliwkowozielone *methi*.

Światło świata zgasło. Nade wszystko musi błagać dusze Chandy i Jugnu, by jej wybaczyły, że dla ratowania synów pomagała układać to wymyślne kłamstwo. Gdyby tak był grób: poszłaby i wcisnęła twarz w ziemię, w której leżą, czekając na odpylanie przez anioły w dniu Sądu Ostatecznego.

Stoi w sklepie i trzymając tuzin flakoników z wodą różaną, przywołuje z pamięci twarz Chandy. Jak wyjaśnić więź, która łączy ją z córką? Podejrzewa, że tamten okres przed siedmioma miesiącami był ostatnim w jej życiu, że menstruacje ma już za sobą — jej oddech zmienił zapach, serce kołacze, zimno jej w dłonie i stopy — ale pewnej nocy przyśniła się jej Chanda, i po przebudzeniu stwierdziła, że znowu zakwita tam od dołu, w miejscu, które u niej okazało się wrotami zarówno życia, jak i śmierci: wyszła nimi na świat Chanda, wyszli też na świat jej zabójcy.

## *Tysiąc stłuczonych luster*

Grudzień; dzisiaj skończył się proces. Trwał w sumie pięć dni i przed dwoma godzinami ława przysięgłych obwieściła swój werdykt. Był taki, jakiego większość obserwatorów oczekiwała. Na salę rozpraw nie wpadł w ostatniej chwili żaden nowy świadek. Nie przedstawiono żadnych nowych dowodów. Chociaż są, oczywiście, i tacy, którzy spodziewali się innego werdyktu. Ktoś rozpuścił nawet pogłoskę, że rodzice Chandy zapłacili jakiemuś młodemu człowiekowi za to, żeby zeznał na policji, że on i jego dziewczyna wjechali do Wielkiej Brytanii na paszportach, które odkupili w Pakistanie od Jugnu i Chandy, Za okłamanie policji rodzice Chandy wypłacili jakoby temu człowiekowi pokaźną sumę — co do jej wysokości, to różni różnie mówią. Ale chłopak wziął pieniądze i tyle go widziano, na posterunek policji się nic zgłosił — rodzice Chandy nadaremno czekali przy telefonie na wiadomość, że w związku ze zdobytymi ostatnio nowymi informacjami proces się nie odbędzie, zostaje odwołany.

Shamas stoi przed budynkiem sądu i czeka na autobus, który odwiezie go do domu. Chmury całkiem zakryły słońce, tu i ówdzie podmuchy wiatru spędzają kropelki zimnej mżawki w gęstsze stada, które przywodzą na myśl powiewające w powietrzu welony i szarfy. Drzewa otrząsają się jak zmokłe psy.

Stoi pod czarnym kwiatem swojego parasola, przed sklepem

„Zaczarowany Las”, w którym można kupić wypchane kolibry pakowane do szklanych słoiczków po tuzin sztuk jak cukierki, llamingi tak podobne do żywych, że można je wziąć za sztuczne, pstrąga z różowymi skrzelami oraz dzioborożce siedzące na grubych patykach, i gdzie płowa lwica na wystawie staje się pęgowaną tygrysią, kiedy słońce znajdzie się w odpowiednim miejscu na niebie i padają na nią cienie listew żaluzji.

Dopiero w tym tygodniu wstał z łóżka po pobiciu. I pierwsze, co zrobił, to poszedł do Surai do domu — domu, w którym się wychowała, domu jej matki, domu, w którym dwukrotnie kochał się z nią w lecie. Ale okazuje się, że Suraya sprzedała ten dom. Nie wie, gdzie teraz jest. Zadzwoił do szpitala, bo pamiętał jak przez mgłę, że mającąc w malignie, w której pozostawał przez wiele tygodni, zastanawiał się, czy nie odebrała sobie czasem życia albo nie poroniła. Poszedł nawet na cmentarz, żeby odszukać grób jej matki — w nadziei, że tam ją spotka — na próżno.

Już grudzień i dziś rano kałuże pokrywała warstewka lodu cienka jak szkło, z którego zrobione są żarówki. Kaukab nie mogła przyjść na rozprawę, bo jej stan się pogarsza. Już dawno powinna się poddać operacji tona, ale lekarze nie mogą znaleźć dla niej miejsca w szpitalu; operację przeprowadzą dopiero w styczniu. Shamas wie, że bardzo cierpi i trudno jej było przy nim chodzić, kiedy wracał do zdrowia.

Unosi rękę w powitalnym geście na widok zbliżającej się Kiran. Na jej parasolce osiada mżawka; jest zbyt niematerialna, by zbijać się w krople i spływać ku krawędzi jak zjeżdżające z górki dzieci.

Z walącym sercem słuchał, jak przysięgli uznawali dziś braci Chandy za winnych. Czując się nieważki i ciężki zarazem, słuchał, jak sędzia w uzasadnieniu mówi, że zabójcy rozwiązali swój problem, uciekając się do niemoralnego, niedającego się niczym usprawiedliwić czynu; a religia i tradycja, w których duchu zostali wychowani, pozbawiły ich wszelkich skrupułów. Owszem, w myśl tej religii i tradycji byli mordercami, ale przecież zamordowali tylko grzeszników. Sędzia mówił też, że Jugnu i Chanda nie uczynili nic nielegalnego, decydując się na bycie ze sobą, ale Shamas wie, że dla braci Chandy fakt, że coś jest legalne, nie znaczy jeszcze, że jest właściwe.



Kiran też była dzisiaj w sądzie. W procesie uczestniczyli również Charag, jego była żona Stella, Mah-Jabin i Ujala; na czas pobytu w Dašte-Tanhai zatrzymali się u jakichś znajomych. Shamas zdziwił się, widząc dziś na sali Kiran, ale był jej wdzięczny, że przyszła.

— Ależ zimno — mówi cicho Kiran, zatrzymując się przy nim i kręcąc głową, na której mnóstwo siwiejących włosów; w młodości zwykła zaplatać je w warkocz twardy jak skórzany pejcz, a luźne pasemka zwijała w pierścienic i upinała spinkami wysadzanymi podobnymi do diamentów kryształami górskimi.

— Dziś rano za moim oknem wisiał sopel cienki jak termometr.

— A pamiętasz tamten rok, kiedy zima zaatakowała niespodziewanie we wrześniu i wszystkim pozamarzała w ogrodach deszczówka do podlewania kwiatów? To było jakieś dwadzieścia lat temu.

— Naprawdę tyle czasu już minęło?

— Shamasie, czy policja natrafiła już na trop tych, którzy cię napadli?

— Nie. Nie widziałem ich, a więc brakuje punktu zaczepienia. Nie mówiliśmy o tym naszym dzieciom, ale dowiedziały się, kiedy w tym tygodniu spotkaliśmy się na procesie. Właściwie czuję się już zdrowy, ale i tak były wstrząśnięte moim stanem. Zasypały mnie takim gradem pytań, że głowa mnie rozboleła. Czy policja zrobiła to, czy policja zrobiła tamto? — Chciały go dziś odwiedzić do domu, ale podziękował. Wolał unikać ich towarzystwa — bał się, że mogą wyciągnąć zeń zawleczkę granatu prawdy.

Autobus jest zatłoczony i muszą szukać miejsc siedzących na górnym pokładzie. Rozgrzewają się szybko, a tymczasem na zewnątrz deszcz pada coraz rześniej, wielkie krople uderzają pod kątem w szybę, rozpryskują się na kilka mniejszych kropelek i pozostają na szkic, które wibruje jak struna harfy.

— Twoi synowie przypominają mi ciebie, starszy z postawy, młodszy ze sposobu mówienia. Widzę cię w nich.

— Dzieci mają wpaść do nas jutro na parę godzin, przez wzgląd na matkę. Strasznie za nimi tęskni. — Patrzy na swoje

zniekształcone odbicie w stalowych rurkach oparcia siedzenia przed nim i przypomina mu się Jugnu, którego widział kiedyś pochylonego nad skarabeuszem: podobnie odbijała się jego twarz w lśniącym srebrzyście grzbiecie chrząszcza.

— Wczoraj też chciałam przyjść do sądu — mówi Kiran. Ktoś za nimi szeleści gazetą i ten dźwięk kojarzy się z tańcem pawia, który rozpostarł ogon i stroszy pióra.

Przed Kiran i Shamasem siedzi ośmio-, może dziewięcioletni chłopczyk (w tym wieku jest syn Surai) i rozmawia z dorosłym — wujkiem albo ojcem; je jabłko, podróżując kęs za kęsem wokół jego równika, i najwyraźniej skarży się na szkołę:

— Teraz wszyscy, jak chcą pokazać na kogoś, kto stoi koło nich, to robią kciukiem o tak, w bok, naśladują tego nowego chłopca w klasie... — Urywa, żeby odgryźć kolejny kęs.

Nowy chłopiec w klasie? Shamasowi serce zaczyna bić szybciej. Może ten nowy to synek Surai? Czyżby udało jej się ściągnąć go do Anglii? Do której szkoły chodzi ten jedzący jabłko chłopczyk?

— ...nazywa się James Hamaby i wszyscy chcą się z nim kolegować.

Ten nowy na pewno nie jest synkiem Surai. A jeszcze przed chwilą Shamas widział siebie oczyma wyobraźni, jak wystaje przed szkołą tego chłopca i wypatruje Surai, która wcześniej czy później musi przecież przyjść po synka. Serce wali mu jak młot — odtąd we wszystkim będzie upatrywał ewentualnej mapy, która go do niej zaprowadzi. Obawia się, że skończy, wałęsając się po ulicach miasteczka z jej imieniem na ustach.

— Wiem, jak bolesne były dla was te ostatnie dni. Kiedy ze sobą zamieszkali, rozeszły się plotki, że tylko patrzeć, jak rodzina Chandy oboje otruje. Tak się, oczywiście, nie stało — nasze osiedle żyje plotką.

— Wiem, że Kaukab za to, co się stało, obwinia czasami Jugnu i Chandę. Próbowali odwrócić się plecami do całego świata, do jego kłopotów, i dostali w te plecy nożem.

— Z tego wniosek, że nikt na tej planecie nie zasłużył sobie jeszcze na prawo do bycia tak bez troskim?

Shamas kiwa głową, ale jego uwagę absorbują ludzie czekający na autobus na przystanku, na którym się właśnie zatrzymują: nie, nie ma wśród nich Surai. Zwraca się do Kiran:

— Znasz może ten pendżabski kuplet Munira Niaziego?

*Kudź serer de loke wi zalim san Kudź mainon maran da Śauk wi st*

Kiran tłumaczy te słowa na angielski:

— *Z jednej strony otaczające mnie miasto łatwo było sprowokować. Z drugiej ciekawiło mnie, co to znaczy umierać.* Tyle że to ciekawość życia sprowadziła na Jugnu i Chandę śmierć.

— Ta druga linijka powinna brzmieć: „Z drugiej, ciekawiło mnie, co to znaczy żyć”. *Kudź mainon dżisz da śauk wi si.* Oni nie chcieli umierać. Chcieli żyć.

— Jugnu z przepaską z motyli na oczach — odzywa się po chwili milczenia Kiran.

— Dlaczego byli tacy nieostrożni? Nawet zwierzęta wyczuwają potencjalne zagrożenie i wycofują się w porę. Kto jak kto, ale Jugnu, który tak kochał naturę, powinien wiedzieć, że zwierzęta stronią od ognia.

— Wszystkie, z wyjątkiem ciem.

Nadciąga wieczór, zatykając na swej drodze flagi smutku.

— Nie wolno ci popadać w takie przygnębienie — oznajmia Kiran. — W tym życiu mamy obowiązek cieszyć się najmniejszym okruszkiem szczęścia. Pamiętasz, jak w zeszłym roku przyjechał do Anglii z wizytą brat Kaukab?

Shamas spogląda na nią z zaciekawieniem.

— Spotkałam się z nim — mówi cicho Kiran. Shamas kiwa głową.

— Wiedziałem, że nie wytrzymasz. — Uśmiecha się do niej. — Mam nadzieję, że Kaukab nie widziała was razem.

Zerka na trzymaną w rękę gazetę. Nie pamięta już, kiedy ostatni raz czytał prasę. „Siedemnastoletnia Palestynka ze Strefy Gazy została zatłuczona na śmierć przez ojca za utratę dziewictwa... Straż przybrzeżna Stanów Zjednoczonych poinformowała wczoraj, że bahamskie władze znalazły na odludnej plaży 56

koczujących tam od sześciu dni haitańskich emigrantów i jedno ciało. Rozbitkowie twierdzą, że płynęli trzydziesto stopową łodzią, która zatoneła, i że na jej pokładzie, kiedy przed dziesięcioma dniami odbijała od brzegów Haiti, obierając kurs na Miami, znajdowało się 130 osób... W Arabii Saudyjskiej ścięto publicznie piętnastoletniego chłopca, który przeszedł z islamu na chrześcijaństwo...".

Shamas milczy; daje Kiran czas na zdecydowanie, czy ma ochotę rozmawiać z nim o swoim utraconym ukochanym. Kiedy

o nim wspomniała, kiedy wspomniała o swoim poszukiwaniu szczęścia, zauważył na jej twarzy zawstydzenie. Może myśli, że ludzie wezmą jej to za złe? Świat nie tyle wciera sól w nasze rany, co całych posypuje solą, i ilekroć zdarzy się nam ulec zranieniu, jest to w dwójnasób bolesne.

— Co tam u twojego ojca, Kiran? — pyta, dając jej w ten sposób do zrozumienia, że nie musi ciągnąć tematu, na wypadek gdyby żałowała teraz, że zwierzyła mu się z tego sekretu. — Nadal kończy każde zdanie śmiechem, jakby naigrawając się ze swojej choroby?

Ale Kiran chce jednak kontynuować.

— Nie spotkałam się z nim ani razu w czasie, kiedy gościliście go w swoim domu. Potem, jak pamiętasz, wyjechał z Dašte-Tanhai do Londynu, żeby dwa ostatnie tygodnie pobytu w Anglii spędzić z przyjaciółmi ze stolicy. Po kilku dniach przyszedł od niego list z Londynu. Pisał, że wraca do Dašte-Tanhai specjalnie, żeby się ze mną zobaczyć. Moja mina zaniepokoiła ojca. „Co było w tym liście — zapytał, bo widział, że go przed chwilą czytałam. — Umarł ktoś?”. Nic, chciałam nui odpowiedzieć, wprost przeciwnie — ktoś umarły ożył.

— Powiadasz, że napisał do ciebie i wrócił do Dašte-Tanhai? Coś takiego! A wiedziałaś, że dał córce twoje imię?

— Nie, nie wiedziałam, ale powiedział mi, kiedy się spotkaliśmy. Ty wiedziałaś?

- Tak, ale nie chciałem mówić, żeby cię niepotrzebnie nie ranić. Przepraszam.

- No i przyjechał, zawitał w moje progi wkrótce po liście.

Przez całe życie próbowałam doszukiwać się u innych mężczyzn jego gestów, karnacji skóry, podobieństwa uśmiechu. Teraz

miałam przed sobą nagromadzony smutek spustoszeń, jakich dokonał w jego rysach czas, co każdego czeka na starość.

— Nie sądzę, żeby wiedział o twojej podróży do Karaczi.

— Nie wiedział. Dopiero w zeszłym roku mu powiedziałam. — Kiran siedzi prosto, nie dotykając plecami oparcia. — Przyniósł mi, jak to określił, „pięć strzał miłości, zrodzonej w umyśle boga”: był to czerwony lotos, ciemnoczerwony kwiat *asoka*, koralowo-zielona pianka, która okazała się kwiatem mango, żółty jaśmin i niebieska lilia.

— Tak. Wiosna jest romantyczną porą roku, a to było pięć kwiatów subkontynentalnej wiosny.

— Zatrzymał się w hotelu i spotykaliśmy się w rozmaitych miejscach w mieście. — Kiran spogląda na Shamasę. — Co ty musisz sobie o mnie myśleć, Shamase? Stara kobieta żyjąca przeszłością.

— Większość ludzi żyje przeszłością, bo łatwiej jest wspominać, niż wybiegać myślą naprzód. Większość z nas nie potrafi myśleć o przyszłości — uczy się nas, co robić, żeby tego nic robić. I nie obawiaj się, ja nie myślę o tobie źle.

Kiran nie odpowiada, wygląda przez okno, wykręcając od czasu do czasu szyję, żeby zachować dłużej w polu widzenia jakiś fragment scenerii przesuwanej się za szybą pędzącego autobusu.

Przed dwoma dniami Shamasowi wydawało się przez moment, że na wystawie sklepu z używaną odzieżą rozpoznał kaszmirowy żakiecik Surai, kiedy jednak przyjrzał się lepiej, okazało się, że to ślady stóp kogoś innego, nie jej.

Autobus mija sklep z artykułami elektrycznymi, w którego witrynie wisi plakat głoszący, że ich oferta jest nie do przebicia. Fotografie imigrantów przepadły bezpowrotnie. Tam gdzie kiedyś znajdował się zakład fotograficzny, niedługo otwiera interes jubiler: w witrynie stoją już równymi rzędami puste etui na zegarki i pierścionki z otwartymi wieczkami — miniaturowy teatr z satynowo-pluszowymi fotelami. W środku stoi krzesło dla klientów; jego wysokie, bogato rzeźbione oparcie przywodzi na myśl ramę lustra.

— Zostawiając mnie tu, w Anglii, przed laty — mówi Kiran — obiecywał, że za dwadzieścia pięć dni będzie z powrotem.

Kiedy się znowu spotkaliśmy, powiedział, że gdyby był człowiekiem religijnym, uwierzyłby, że Bóg rozciągnął tych dwadzieścia pięć dni w dwadzieścia pięć lat za karę, że zapewniając mnie, że wróci, nie dodał „jak Bóg da”. Powiedziałam mu, że dla mnie nigdy nie wyjechał.

— Nigdy nie zrozumiem, dlaczego nie wyszłaś za kogoś innego.

— Owszem, były takie możliwości. Przestraszyłam się, że na starość zostanę sama, i znajomi z sikhijskiej społeczności próbowali swatać mnie z różnymi mężczyznami. Jedni mi się nawet podobali, inni nie. Ale... — Kiran macha z rezygnacją ręką, — Był nawet taki biały, z którym chodziłam do jednej klasy i na zabój się w nim wtedy kochałam. Byłam w swojej szkole jedyną Azjatką i nie mogłam zrozumieć, dlaczego nikt nigdy nie próbuje umówić się ze mną na randkę. W końcu sama zaproponowałam spotkanie temu chłopcu, ale odmówił. A kiedy spytałam dlaczego, powiedział: „No wiesz, jesteś ciemna!”. Określenie „Pakistka” wymyślono dopiero w latach siedemdziesiątych; gdyby już wtedy funkcjonowało, tego właśnie słowa by użył. Gdy mi to powiedział, wszystko od razu zrozumiałam. Oczywiście, byłam ciemna. A ponieważ go kochałam, to nie chciałam, żeby nazywał mnie swoją ciemną dziewczyną, i postanowiłam dać sobie z nim spokój. „Szkoda, że jesteś ciemna — powiedział jeszcze — bo gdybyś była biała, byłaby z ciebie naprawdę ładna dziewczyna”. I potem, ileś tam lat po skończeniu szkoły, wpadliśmy na siebie na ulicy... ale do niczego poważnego nie doszło. Moi sikhijscy przyjaciele i znajomi nadal próbują— przypuszczam, że chcą dobrze — ale ostatnio podsuwają mi samych wdowców i nielegalnych imigrantów.

Shamas ciekaw jest, jak długo był z nią zeszłego roku brat Kaukab, i pyta o to.

Kiran milczy przez chwilę, potem mówi:

- Był tu jeszcze późnym latem, kiedy zginęli Jugnu i Chanda.

— Korespondujecie ze sobą? Kiran nie odpowiada.

Shamas widzi łzę spływającą jej po policzku i robi mu się wstyd, że był taki niedyskretny i zadał tyle osobistych pytań. I to po tym, jak nie szczędziła trudu i przyszła na proces.

— Przepraszam — bąka.

— Płakałam już od jakiegoś czasu, ale łzy dopiero teraz popłynęły  
Kiran milknie i Shamas odwraca wzrok. Deszcz już nie pada, na zimowym niebie świeci dzienny księżyc.

Kiran, już spokojna, wzdycha i wraca do tematu.

— Spotkałam się z nim pięć razy na mieście i szósty, ostatni, w moim domu. Nie mówiłam ojcu, że jest w Anglii, i za tym szóstym spotkaniem, kiedy przyszedł do nas, też starałam się ukryć jego obecność. Przyszedł bardzo późnym wieczorem i wprowadziłam go od razu na górę...

— Nie musisz mi o tym opowiadać, Kiran. To pewnie dla ciebie bolesne.

— Jesteś bardzo miły. Ale pozwól, że opowiem. Byłam z nim na górze. Wlaliśmy w te chwile całą naszą tęsknotę. Kochaliśmy się tak, jakbyśmy się chcieli nawzajem pozabijać. W pewnym momencie usłyszałam kroki na schodach, ale było już za późno...

— Twój ojciec zdołał wspiąć się po schodach? Kiran przykłada rękę do piersi.

— Wiem, że myślisz, że przyszłam dzisiaj do sądu wysłuchać werdyktu z przyjaźni do ciebie.

— A nie?

— Przyszłam z powodu młodszego brata Chandy — Chotty. Myślałam, że wiesz o mnie i o nim. Staraliśmy się utrzymywać nasz związek w sekrecie, ale pewni ludzie z osiedla nas wyśledzili. Wciąż się zastanawiam, czy nie byłeś jednym z nich.

— I to on przyszedł, kiedy ty z...

— Dałam Chocie klucze do domu. Zobaczył nas i zbiegł po schodach, wykrzykując obelgi, zrywając ze ścian i rozbijając te lustra, które tam powiesiłam. Tysiąc stłuczonych lusterek: zostawił za sobą wieczność nieszczęścia. Hałas zbudził ojca. Musiałam mu wszystko powiedzieć. Z początku się opierałam, mówiąc: „Nie mogę ci powiedzieć, co zrobiłam”. Ale on mnie ofuknął: „Dobry człowiek nie może zrobić czegoś, z czym musiałyby się kryć przed innymi”. Przepraszam, Shamasie.

— Nie musisz przepraszać, Kiran. Kimże ja jestem, żeby zabraniać ci się spotykać, z kim chcesz?

Kiran wciska twarz w jego ramię. Kładzie jej rękę na głowie.

— Kochałaś Chotę?

— Płakałam za nim, a to chyba to samo, prawda?

— Nie wiem.

— A przeprosić ciebie, może nawet błagać o wybaczenie, muszę. Bo widzisz, właśnie tamtej nocy przypuszczalnie zamordowano Jugnu i Chandę. Ubrałam się szybko i pobiegłam za nim, ale przepadł jak kamień w wodę. Musiał wpaść w szal. Nie wątpię ani przez chwilę, że to ja doprowadziłam go do wściekłości, którą wyładował na Chandzie i Jugnu. Bardzo przepraszam. — Kiran patrzy przez chwilę na Shamasa, potem odwraca wzrok. — Powiedz coś, proszę.

Na nagim drzewie siedzi ptak, wydaje się czekać, aż znowu wyrosną na nim liście i kwiaty.

— Potem nie chciał mnie już znać — podejmuje Kiran. — Zatrzymuję się na jego widok na ulicy, a on zawraca albo skręca w przecznicę. Przydybałam go raz i próbowałam zagadnąć, ale powiedział, że kobiety to przyprawiona nektarem trucizna, puch mamy, tańczące motyle, i odepchnął mnie.

— Kiedy zaczęłaś się z nim spotykać?

— Chyba mniej więcej w tym samym czasie co Chanda i Jugnu.

— I obie te historie skończyły się tej samej nocy.

— Być może zapalał do nich nienawiścią za to, że oni nadal byli szczęśliwi, a on został zdradzony.

Zapał już zmierzch, ulicą płynie rzeka samochodowych i Hektorów. Autobus mija sklep z dywanami „Ali Baba”. Plastikowe ryby zawieszona za pyszczki na obwisłej lince nad sklepem z artykułami wędkarskimi wyglądają jak sznur suszących się syrenek.

Chanda i Jugnu gdzieś tam są.

Suraya też.

Może wróciła do Pakistanu? Ale jako niezamężna kobieta z dzieckiem w łonie zostałaby tam aresztowana za cudzołóstwo. Nic, nie, ona nadal jest tutaj, w Anglii.

A może usunęła dziecko, żeby móc wrócić? Jej mąż nosił się z zamiarem poślubienia innej kobiety, zrobiła więc wszyst-



ko, by znaleźć się z powrotem w Pakistanie i do tego nie dopuścić...

Próbował dowiedzieć się czegoś o „Perveen” od Kaukab, ale okazało się, że ich znajomość skończyła się na tamtej pierwszej wizycie. „To na pewno sprawka kobiet z osiedla — powiedziała z żalem Kaukab. — Naopowiadały jej kłamstw, nastawiły przeciwko mnie. A ja nie miałam kiedy do niej pójść, bo nie dość, że sama niedomagam, to jeszcze musiałam doglądać ciebie”.

— Chcesz wiedzieć, jak to się zaczęło? — pyta Kiran i nie czekając na odpowiedź, ciągnie: — Pewnego wieczoru usłyszałam pukanie, bardzo ciche, do moich drzwi. Było około dziesiątej. Otworzyłam. Zapytał, czy może wejść. Rozpoznałam w nim chłopca ze sklepu i chociaż zdumiała mnie ta wizyta, wpuściłam go i wprowadziłam do kuchni. Powiedział, że chce porozmawiać. Zakrzętałam się w kuchni, żeby zaparzyć herbatę, a on przyglądał mi się dziwnie, wcale się z tym nic kryjąc. Dopiero po jakimś czasie dotarło do mnie, że jest pijany. A zaraz potem wstał, nie odrywając ode mnie wzroku. Oboje wiedzieliśmy, o co mu chodzi, ale płynęły minuty, a żadne z nas nie wykonało pierwszego kroku. Coś nas hamowało. Ojciec zapytał ze swojego łóżka, kto przyszedł, odpowiedziałam, że nikt. Odebrał to jako sygnał. Do tej pory lękał się, że jeśli spróbuje się do mnie zbliżyć, zacznę krzyczeć, teraz już wiedział, że tego nic uczynię. I przemógł się. — Kiran nie patrzy na Shama-sa. — A ja się nie opierałam.

— Chyba rozumiem, dlaczego nie powiedziałaś nic policji ani nie przyszałaś porozmawiać ze mną.

— Ludzie zaczęliby wieszać na mnie psy.

— Ja nie.

— Po zniknięciu Chandy i Jugnu rozeszły się plotki, że rodzina Chandy ma z tym coś wspólnego. Chotta po tamtej strasznej nocy nie chciał się ze mną widywać ani rozmawiać, ale kilka tygodni później przyszedł i przyznał się do ich zamordowania. Więcej go nie widziałam. Tak mi przykro.

— Chcesz przez to powiedzieć, że ukrywałaś informacje, które mogłyby pomóc we wcześniejszym wyjaśnieniu sprawy?

— Nic, nie. Wyznał mi wszystko już po tym, jak policjanci

z Anglii zebrali zeznania od mieszkańców Sohni Dharti. Przepraszam.

— Nie wiem, co powiedzieć. Nie można mieć do ciebie pretensji, że broniłaś swojego dobrego imienia. Nawet on cię krył: w żadnym z jego zeznań nie ma najmniejszej wzmianki o wydarzeniach tamtej nocy — nie wspomina w nich ani razu, że był wtedy u ciebie i że to, co tam zastał, wprawiło go we wściekłość, którą postanowił wyładować na Jugnu i Chandzie.

Autobus zatrzymuje się na ich przystanku. Schodzą oboje z górnego poziomu i wysiadają. W twarze uderza ich zimowy chłód. Każdego dnia Shamas wracał po rozprawie do domu

i opowiadał Kaukab ze szczegółami, co się działo na sali sądowej. Na podstawie tego, czego dowiedział się w sądzie, układają wspólnie sekwencję zdarzeń, które doprowadziły do zamordowania Chandy i Jugnu, uzupełniając ją każdego dnia o nowe szczegóły i odtwarzając krok po kroku ostatnie godziny życia kochanków. Ale to, co usłyszał dzisiaj od Kiran, będzie musiał zachować w tajemnicy.

Przystają z Kiran na parę chwil, zanim się rozstaną.

— A wiesz, dlaczego pijany zapukał tamtego wieczoru o dziesiątej do moich drzwi?

Shamas spogląda w niebo, na księżyc, który ma kolor łupiny czosnku.

— Pomylił mój dom z domem mieszkającej po sąsiedzku prostytutki, a skoro mu już otworzyłam, postanowił spróbować szczęścia ze mną.

— Zeszłego roku w grudniu nie było takich chłodów.

— Cóż, nie zapominaj, że jesteśmy o kolejny rok starsi i słabsi. — Kiran uśmiecha się. Shamas odwzajemnia ten uśmiech i upominają, żeby szła ostrożnie, bo jezdnia po deszczu jest śliska.

Po napisaniu zdania poczucie estetyki każe nam cofnąć pióro iło miejsca, gdzie trzeba jeszcze dostawić kropkę nad „i”, przedłużyć poziomą kreskę w literce „t”; i w trakcie wykonywania tych machinalnych działań pracujący na jałowym biegu umysł przypomina nam nic wiedzieć czemu, że gdzieś w pokoju leży niedojedzone do samego ogryzka jabłko, stoi szklanka, w której zostały jeszcze dwa łyki herbaty; i tak teraz, po

skończonej rozmowie z Kiran, Shamasa ogarnia nieokreślone poczucie niedosytu. Po chwili już wie, skąd się bierze: chciał ją zapytać, czy rozmawiała kiedykolwiek z bratem Chandy o żyjących ze sobą bez ślubu Chandzie i Jugnu. Byli przecież kochankami, ten temat powinien wypłynąć w rozmowie. Jak brat Chandy usprawiedliwiał przed sobą swoje nieobyczajne, co tu ukrywać, grzeszne schadzki z Kiran, skoro za to samo potępiał Chandę i Jugnu?

Patrząc za oddalającą się Kiran, zastanawia się, czy powiedziała mu całą prawdę, zastanawia się, czy mogła znać szczegóły morderstwa na wiele tygodni albo nawet miesięcy przed podjęciem przez brytyjską policję tropu w Sohni Dharti. A trzymała język za zębami, bo bała się, co ludzie sobie o niej pomyślą.

I teraz, w autobusie, okłamała go, bo nadał nie potrafi się przełamać.

Shamas wątpi, czy zdobędzie się kiedykolwiek na wygarnięcie Kiran prosto w oczy, że ją o to podejrzewa, nie wspominając już o przyparciu jej do muru i zmuszeniu do wyznania, jak było naprawdę.

To patowa sytuacja, z której dla nich obojga nie ma wyjścia.

## *Ile trzeba mi dłoni, by wyrazić, jak cię kocham?*

— Rozpoczynani tę pracę w imię Allaha — szepce po arabsku Kaukab.

Jest wczesne przedpołudnie, ale ona już zabiera się do przygotowania wieczornego posiłku; ten dom — przez tak długi czas wyludniający się stopniowo — dziś wieczorem będzie miał gości. Ciekawa jest, czy w nocy uśmiechała się choć trochę przez sen — bo teraz jest wciąż przybita po wczorajszym werdykcie.

Chichoczące skrzekliwie sroki dokazują w żywopłocie za oknem; ubarwione jak pandy, ogony sterczą jak łyżeczki ze szklanki.

Kaukab wyjmuje z siatki na zakupy *karelas*: sześciocalowe, spiczaste z obu końców przepękle, o skórce koloru limonki, pokrytej zielonymi sinusoidalnymi naroślami, które przywodzą na myśl grzbiety krokodyli wystające ponad powierzchnię bagna. Liczy je. Dziesięć. Wystarczy: po jednej dla sześciorga dorosłych i jedna dla wnuczka, jeśli przyjdzie mu ochota poeksperymentować. I zostają jeszcze trzy, żeby potem nie (ryło zakłopotania i zawodu, gdyby komuś mało było jednej. Hierze je po kolei i zeskrobuje twarde naroślą na rozpostartą na siole siatkę, mrużąc przy tym oczy przed kropelkami wilgoci, które siekają jej twarz jak zacinający deszcz. Potem nacina czubkiem noża każdą przepęklę na całej długości. Pestki w środku są duże, kanciaste i szkarłatne, zatopione w białej flanelowej pulpie. Wydłubuje ostrożnie kciukiem tę pulpę wraz z pestkami. Każde wydrażone do czysta warzywo nafaszeruje później

na wpół ugotowanym mielonym mięsem, owinie ciasno nitką, żeby nadzienie nic wyciekło, i będzie dusiła, dopóki skórka nie zmięknie i nie dojdzie mięso. Na razie wrzuca wydrażone przepękle do miski i posypuje je solą, żeby usunąć ze skórek gorzkość.

Spożywaniu tego dania towarzyszy zawsze mały taniec rytmicznie unoszonych i opuszczanych rąk: trzeba odnaleźć i pociągnąć koniec nitki — warzywo wiruje na talerzu jak szpulka, nitka zostaje w palcach. Kaukab nigdy nie zaszywa nacięć nitką nawleczoną na igłę, jak to czynią inne kobiety; wie, że niektóre metale są trujące i woli nie ryzykować.

Jako perfekcyjna gospodyni konotuje sobie w pamięci, żeby przed samym posiłkiem postawić na stole spodeczek na niepotrzebne już tłuste nitki.

Na dużej patelni wielkości odcisku stopy słonia (jak nazywał ją Jugnu) namacza porcję ryżu basmati. *Bas* — zapach, *mań* — ziemia. Wciąga głęboko w płuca zapach pakistańskiej ziemi. Zaczyna pocierać lekko ziarenka, żeby wymyć z nich skrobię, i po chwili klaruje się mętna do tej pory woda, a ryż wygląda jak małe kamyczki na dnie krystalicznie czystego strumienia.

Ze stojącego na lodówce radiomagnetofonu płynie głos Nusrata Fateha Ali Khana śpiewającego ku chwale Allaha. Nusrat odszedł, pozostały po nim tylko pieśni, tak jak po umierającym ślimaku pozostaje skorupa. Za te trzy importowane z Pakistanu kasety z dwudziestoma kilkoma pieśniami zapłaciła przed dwoma laty w sklepie rodziców Chandy pięć funtów; w sklepach muzycznych białych w centrum miasteczka ten sam komplet kaset kosztowałby co najmniej czterdzieści pięć funtów, bo biali też ostatnio odkryli Nusrata. Kaukab aż się wzdrygnęła, kiedy ktoś jej o tym powiedział; dzisiejsza wystawna kolacja — nadziewane prze-pękle, kurczak z różną, baranina z ziemniakami w sosie curry, pilaw (na wypadek gdyby komuś nie odpowiadały ćapati), ćapati (na wypadek gdyby komuś nie odpowiadał pilaw), kebaby *szami*, kalafior z grochem w sosie curry, sałatka owocowa, wermiszel udekorowany jadalną złotą folią, wszystko to przyprawione i doprawione do smaku najlepszymi i najświeższymi przyprawami — będzie kosztowała niewiele ponad trzydzieści dziewięć funtów. Naje się nią dziś wieczorem sześcioro doros-

łych i jedno dziecko, a tym, co zostanie, Kaukab z Shamasem żywić się będą jeszcze przez dwa dni.

Mówi się, że islam zakazuje słuchania muzyki, przypomina sobie Kaukab, marynując filety z kurczaka zalewą z naturalnego jogurtu z dodatkiem australijskiego miodu wielokwiatowego i soku z dwóch cytryn, tartej cebuli, oraz imbiru i czosnku, ale wiadomo przecież, że kiedy prorok Mahomet, pokój niech będzie z Nim, przenoślił się do Medyny, tamtejsze dziewczęta witały go, grając na bębenkach *dujji* śpiewając *ta 'ala al-badru (łlajna*, co po arabsku znaczy *księżyc wschodzi nad nami*.

Schyla się i z szafki pod zlewem, gdzie jest ciemno jak w najniższym piętrze lasu (znowu ten Jugnu), wyjmując paczkę suszonych arabskich daktyli, które tam schowała: schowała przed sobą, bo przepada za daktylami. Prostuje się i ostry ból w dole brzucha sprawia, że musi się przytrzymać szafki.

Otwiera każdego daktyla, sprawdza, czy jakieś owady nic złożyły w nim jajeczek, wydłubuje pestkę, po czym opłukuje owoc i wrzuca go do miski z gorącą wodą. Odrzucając robaczywe owoce, przypomina sobie, jak za młodu żartowała z przyjaciółkami, że nie powinny wyrzucać owocu ze świętej ziemi Arabii tylko dlatego, że jest trochę nadpsuty, za czym przemawia najlepiej historia pewnego Pakistańczyka, który wybrał się do Arabii Saudyjskiej na pielgrzymkę i znalazłszy się na tej świętej ziemi, wpadł w taką euforię, że zaczął całować słowa wypisane na murach wzdłuż drogi: arabski był dla niego językiem, w którym spisano Koran — nie wiedział, że jest również językiem potocznym i to, co bierze za wersety z Koranu, jest w rzeczywistości reklamą kremu do depilacji. Kaukab wzdycha, wspominając lata młodości, i nagle zdaje sobie sprawę, że przed chwilą zgrzeszyła myślą przeciwko Allanowi.

Potrząsa głową.

Muzułmanie muszą się wystrzegać takich myśli: szatan, ojciec wszelkich nieszczęść, zawsze jest w pobliżu, gotów nasikać ci przez uszy do umysłu, kiedy tylko wyczuje, że nic masz się na bacności!

Żeby odpędzić przekłętą, odtwarza z pamięci święte fakty dotyczące Koranu: tekst składa się ze 114 sur, z których około 70, jak wiedzą muzulmanie, archanioł Gabriel objawił Maho-

metowi w Mekce, a 40 w Medynie. Podzielony jest na 621 podrozdziałów i na 6236 wersetów. Zawiera 79 439 słów i 323 670 liter, z których każdej przyporządkowano dziesięć specjalnych cech. W tekście wymienione są imiona dwudziestu pięciu proroków: Adama, Noego, Ismaela, Izaaka, Jakuba, Józefa, Eliszy, Jonasza, Lota, Salija, Huda, Shuaiba, Dawida, Salomona, Zu al-Kafli, Idrisa, Eliasza, Yahjia, Zachariasza, Hioba, Mojżesza, Aarona, Jezusa i Mahometa. Niech modlitwa i pokój będą z nimi wszystkimi, a zwłaszcza z Mahometem. W Koranie nie ma motyli, ale wspomnianych jest dziewięć ptaków albo innych uskrzydłych stworzeń: komar, pszczoła, dudek, kruk, pasikonik, ptak Jezusa, nietoperz, mrówka i perski słowik...

Daktyle, obmyte i oczyszczone z pestek, zostaną ugotowane w tłustym mleku, do którego doda się potem wermiszelu — lśniącego jak złote włosy księżniczki z bajki. Skrobaczką do ziemniaków oczyszcza stos cienkich woskowatych półksiężyców z suszonego orzecha kokosowego, które doda do wermiszelu razem z esencją różaną, orzeszkami pistacjowymi w różowych łupinkach (i daktylami napęczniałymi od zamoczenia we wrzątku). Kwadrat złotej folii wsunęła między dwa prostokąty tekturki, żeby się nie wygniół; położy go na wierzchu gotowego deseru. Złota folia trzepocze przy najmniejszym powiewie, kiedy Kaukab unosi rąbek tekturowego prostokąta, żeby na nią spojrzeć. Zupełnie jak coś nie do końca martwego między kartkami książki, jak świetlista, uwięziona tam ćma.

Jedzenia, które przygotowuje, jest więcej, niż trzeba dla sześciorga osób, ale kto wie, czy Allan nie zapisał w Księdze Przeznaczenia, że kiedy rodzina zasiądzie do stołu, wejdą tu Chanda i Jugnu — cali i zdrowi; w takim wypadku z kolacji nie zostanie nic na jutro, a tym bardziej na pojutrze. Otwiera drzwi frontowe, żeby wyrzucić pestki daktyli na klomby z różami. Może zakiełkują w przyszłym roku; wysokie, niebosiężne palmy, synowie i córki drzew rosnących tam, na uświęconej ziemi Arabii. Ale jest zmuszona natychmiast zamknąć drzwi, bo wysadzaną klonami uliczką schodzi ze stoku ta sikhijka Kiran, jest już między meczetem a kościołem.

Kaukab przecina kuchnię i wyrzuca pestki daktyli na rabatki kwiatowe w ogrodzie na tyłach. Jawory i głogi na zboczu za

domem zrzuciły już liście. Pamięta, jak na wiosnę gałązki głogu uginały się pod obfitością pięciopłatkowych kwiatów jak pod śniegiem. Obwisłe, długie na łokieć witki zachodziły na siebie jak ptasie pióra. Wspominając białe kwiaty głogu, uświadamia sobie naraz, że zapachem przypominają pakistańskie mydło toaletowe, które, jeśli wierzyć reklamie, „wybrało dziewięć na dziesięć gwiazd filmowych”. Teraz w powietrzu unosi się zapach świeżo ściętego drzewa, a słońce jest jak biała dziura w niebie.

W tym momencie rozlega się pukanie do drzwi i Kaukab zamiera w bezruchu. Jest przekonana, że to Kiran. Czego ona chce? Pukanie powtarza się, idzie więc otworzyć, a tam stoi

Ujala.

— O życie moje!

Kiedy odszedł z domu, to jakby ktoś wygryzł kawałek z jej życia. Z jednego oka tryska jej Ganges, z drugiego Indus, bierze syna w objęcia, rozczapierzając szeroko palce, żeby poczuć pod dłońmi jak największą połąć jego pleców. Kiedy wypuszcza Ujalę z objęć, ten nic nie mówi, odrzuca tylko tym swoim aroganckim, energicznym ruchem głowy grzywę długich włosów wpadających mu do pięknych oczu antylopy. Wprowadza go do środka i już chce ująć w dłonie jego twarz, i całować, całować. Upij się moje serce. Oszalej me oko. Ale w ostatniej chwili przypomina sobie, co powiedziała jej kiedyś w sklepie pewna kobieta o najnowszych zachodnich teoriach dotyczących więzi istniejącej między matką a synem: „Podobno wszystkie matki w skrytości ducha pragną pójść do łóżka ze swoimi synami. Wczoraj wieczorem rozmawiała o tym w telewizji grupa ludzi w garniturach i pod krawatami”. Kaukab aż odrzuciło, zrobiło jej się niedobrze na samą tę myśl; tego rodzaju rzeczy opowiadają obleśni straganiarce i zdemoralizowane przekupki na bazarach w Pakistanie, ale tutaj? W Anglii? Wykształceni ludzie? W telewizji?! Mówić w ten sposób o matczynej miłości! Ta amoralna i dekadenccka cywilizacja, gotowa /brukać wszystko, co czyste i wzniosłe w ludzkiej egzystencji! To prawda, matka sprawdza z samego rana, czy penis jej synka jest sztywny, ale robi to tylko z rodzicielskiej troski o dziecko, żeby się upewnić, czy wszystko z nim w porządku, czy rozwija



się jak trzeba; i po cichu zaczyna szukać śladów zmasów nocnych na pościeli i piżamach, kiedy syn kończy trzynaście lat, ale w tym też nic można się dopatrywać niczego poza matczyną troską o prawidłowy rozwój, taką samą zresztą, jak wobec córek.

Kaukab odsuwa się od Ujali, który do tej pory słowem się nie odezwał.  
Osiem lat!

— Wyglądasz... — zaczyna, ale urywa, żeby otrzeć szalem łzy.

— No, jak wyglądam?

Jak chodzące marzenie, ciśnie jej się na usta.

— Wiedziałam, że masz przyjść, ale nie wiedziałam kiedy. Niech przyjdzie jak najszybciej, myślałam sobie. — Chce użyć angielskiego zwrotu „im szybciej, tym lepiej”, ale nie ma pewności, czy nie brzmi on aby „im lepiej, tym szybciej”, a woli się nie kompromitować w oczach syna. Przez takie drobne potknięcia można stracić twarz. Podchodzi i znowu bierze chłopca w ramiona, ale ten już po paru sekundach próbuje się wyswobodzić z jej objęć, uchyla przed pocałunkami. Puszczą go, harmidru, jaki ma w głowie, nic zagłuszyłby nawet werbel monsunowego deszczu o kryty blachą dach — myśli, lęki i słowa wykluwają się i pękają jak pęcherzyki powietrza.

Ujala siada i ciężki kamień milczenia znowu przygniata mu usta.

— Zjesz śniadanie? Nie? Może herbaty? Robię dla ciebie wermiszel. Kiedy byłeś mały, nazywałeś go „włosami księżniczki”. - Boi się, że ją ofuknie, powie, żeby nie rozkopywała grobu czasu, który przeminął, dni, które umarły. Ale on uśmiecha się grzecznie, oczy ma zmęczone, cerę ziemistą. Kiedy była z nim w ciąży, przyśniło jej się pewnej nocy, że nosi w łonie tęczę. Co skradło mu kolory?

— Czym przyjechałeś? — pyta.

Milczy, jakby język przyrósł mu do podniebienia.

— Jedna kobieta zaczepiła mnie wczoraj na ulicy i powiedziała, że widziała cię w centrum miasteczka — mówi Kaukab. — To byłeś ty?

Ujala bierze głęboki oddech i wzrusza ramionami.

— Powiedziałaś jej, że musiała cię pomylić z kimś podobnym. „Był chociaż przystojny, siostró-ji? — spytałam. — Bo

moi synowie są bardzo, ale to bardzo piękni". — Ma nadzieję, że pozwoli jej napatrzeć się na siebie do syta. Tyle czekała na jego powrót, tyle długich lat z oczyma uczemionymi *kohlem* tęsknoty, z błyszczącym cekinem nadziei przyszytym do welonu. Jego twarz, kiedyś pełna i zdrowa, jest teraz wymizerowana i ściągnięta — księżyc w pełni stał się półksiężycem.

— A ty dokąd? — pyta z paniką w głosie, kiedy Ujala wstaje. — Dopiero co wszedłeś. Nie możesz tak odejść. Na Allaha, nic wypuszczę cię...

Na dźwięk jego głosu przebiega ją dreszcz, widmo odruchu z czasów, kiedy dzwoniła na jego automatyczną sekretarkę i bała się, że sam podniesie słuchawkę.

— Nigdzie nie idę. Chciałbym się tylko zdrzemnąć na górze. Od świtu jestem na nogach.

— Wejdę z tobą i dam ci dodatkowy koc. Nie mamy centralnego ogrzewania i w pokojach zimno, zwłaszcza w tych na górze. Najcieplej w kuchni. Pierwsza wspina się po schodach — za szybko, ostry ból odzywa się znowu między nogami. W sypialni wyjmuje z komódki plastikową, zapinaną na zamek błyskawiczny torbę, a z niej nowy koc.

— Ciepły jak lipiec. — Uśmiecha się i wręcza go Ujali.

— Nie przychodziłeś do sądu — odzywa się Ujala. — Poćwiartowali ich ciała i spalili. Teraz wiemy już na pewno.

— Nie przychodziłam — przyznaje Kaukab. Z otwartej komódki ulatnia się zapach naftalinowych kulek, zabezpieczenie przed Jugnowymi ćmami. — To twoje — zmienia temat Kau-kab, pokazując na stojący w rogu słoik napełniony do połowy jednopensowymi monetami. — Pamiętasz? — Pamiętam. A ty wiesz, co to za słoik? — Podchodzi i gładzi szkło dłonią. I nie czekając na odpowiedź, ciągnie: — To jeden z pary. Drugi Jugnu oplótł miedzianym drutem, a potem stłukł szkło młotkiem i uzyskał w ten sposób klatkę dla samiczki pawicy. Wykluła się przed samczykami, zamieszkała w tej klatce i zaczęła wysyłać chemiczne sygnały. — Mówi jak w transie. — Samczyki, po wykluciu się, trafiły do niej po tym zapachu, przelatując przez strych do sypialni, w której wisiała klatka.

— To była jego pierwsza noc w sąsiednim domu.

— Obudził się rano i zobaczył klatkę pokrytą całkowicie wibrującym aksamitem. Noc pawic — szepce Ujala, a potem, normalnym już głosem mówi: — Opowiadałaś mi kiedyś, że jakiś mężczyzna z Sohni Dharti popełnił samobójstwo, wypijając wodę, w której gotował przez długi czas garść monet.

Kaukab kiwa głową.

— Tak, gotowany metal zatrzał wodę.

Ujala rozpina pasek i dwa górne guziki rozporka džinsów. Kaukab odwraca się i rusza do drzwi.

— Pamiętać takie straszne historie. — Chciałaby popatrzeć na jego twarz, może wyczytałaby z niej, czemu napomknął o tym samobójstwie, ale słyszy, jak zdejmuje spodnie, słyszy szelest materiału ocierającego się o skórę, nie może się więc obejrzyć. — Na pewno będzie ci tu wygodnie? Kuchnia jest dokładnie pod tym pokojem, a ja będę cały dzień gotowała: zapach przypraw przeniknie przez podłogę i dywan.

— Wychodząc, zamknij za sobą drzwi.

Na dole Kaukab pojękuje w duchu — echo, a potem echo echa — krzyk w lesie podeszłego wieku, samotności. Nie udało jej się przełamać lodów, on nadal obwinia ją o zniknięcie Chandy i Jugnu. Wyczuwa w nim nienawiść, mur nienawiści, w którego fundamentach leżą krwawe szczątki poćwiartowanych ciał dwojga kochanków. Myślała, że już mu przeszło. Myślała, że zapyta: Tęskniłaś za mną? A ona odpowiedziałaby wtedy: Jak ślepiec za wzrokiem. Nie widzieli się przez osiem lat, czyli w sumie mają do nadrobienia lat szesnaście, ale on prawie się do niej nie odezwał. Mah-Jabin i Charag przysyłali jego zdjęcia, przestali jednak, kiedy się o tym dowiedział i zagroził, że z nimi też zerwie wszelkie kontakty. Przez kilkadziesiąt lat odbudowywała szczęście, które zburzyły jej przenosiny do Anglii: budowała je, wspierając się na swoich dzieciach i, tak, na Jugnu, ale nigdy nie zdawała sobie sprawy, jak kruche było, jak podatne na wszelkie wstrząsy.

Siedzi przez kilka minut przy stole, oddychając spazmatycznie przez łyżę, potem wstaje ostrożnie. Tyle jest jeszcze do zrobienia. Ziemiaki obrała wieczorem i zalała je wodą, żeby nie szerniały, podstawę do pilawu też przygotowała wieczorem: wystarczy tylko podgrzać ją na pół godziny przed podaniem na

stół i wrzucić ryż. Wczoraj przyszła niepiśmienna sąsiadka z prośbą o przeczytanie listu, który dostała od brata z Pakistanu, i całe popołudnie siekały potrzebną na dzisiaj cebulę.

A tuziny ząbków czosnku oczyściło się jakby same, kiedy wieczorem wpadła swatka i zabrały się do ich łuskania, gawędząc przy pracy o tym i owym, od sposobów na dzinny poczynając poprzez nowe materiały dostępne teraz w sklepach z tkaninami i kończąc na małżeństwach, które swatce udało się w tym roku skojarzyć, ze szczególnym uwzględnieniem tego ostatniego, gdzie oblubienicą jest kobieta imieniem Suraya — nie da się opowiedzieć jak urodziwa.

Dzisiaj, po porannych modłach, Kaukab usiadła z koszykiem i z wprawą kieszonkowca wyłuskała groch ze wszystkich strąków.

Mięso mielone na kebaby *śami*, utłuczone w wielkim móżdzierzu z czarnego kamienia ciężkim drewnianym tłuczkiem do konsystencji mokrego piasku, tak że ściśnięte w garści przeciekało między palcami, ugotowane zostało z ciecierzycą, laseczkami cynamonu i innymi przyprawami dwa dni temu, i uklepane na małe krążki, które leżą teraz w lodówce i pozostaje tylko obtaczać je w jajku i usmażyć na małej ilości oleju słonecznikowego na parę minut przed podaniem — jajeczna powłoka uszczelni mięso najcieńszym z możliwych do wyobrażenia omletów. Do robienia sałatki owocowej zaangażuje kogoś z reszty gości, kiedy już przybędą — jabłka, granaty (ostatnie w tym roku), gruszki, winogrona i brzoskwinie, które wyglądają jak jabłka w aksamitnej skórce — muszą pozostać świeże i jędrne. W małym marmurowym móżdzierzu wielkości gołębiego gniazda — o Jugnu! O mój Jugnu! — który przed pięcioma laty dostała w prezencie od wracającej z Pakistanu sąsiadki, trzeba jeszcze utrzyć kolendrę i miętę na sos korzenny.

Bierze kurtkę, którą Ujala zostawił na kuchennym stole, i niesie ją do różowego pokoju gościnnego. Tego by tylko brakowało, żeby zapachy gotowanych potraw wniknęły w materiał. Biali nazywają Azjatów „zapachowcami”, i mają po temu powody, gdyż okrycia wieszane w kuchni przesiakają wonią przypraw. Azjaci, którzy przeprowadzili się na przedmieścia, również nazywają Azjatów z tego ubogiego osiedla „zapachowcami”, a nawet „śmierdziuchami”. Niektóre z miesz-

kających tu kobiet pochodzą z wiosek, gdzie powszechną praktyką jest nacieranie włosów masłem — często cuchną okropnie. Kaukab pilnuje, żeby jej i Shamasa płaszcze nie wisiały nigdy w kuchni.

Wentylator wyciągu pracuje już od ponad godziny i popracuje jeszcze do wieczora.

Kaukab chętnie zadzwoniłaby do Shamasa do biura i powiedziała mu, że Ujala już jest. Ale po tym, jak dwa dni temu pomyliła się przy wybieraniu numeru i usłyszała: „Wyłącz się, ty zapyziła pakistańska suko, i wracaj do swojego kraju”, ma jeszcze uraz do telefonu. Rada jest, że Shamas nie ma samochodu: wypadki się zdarzają i nigdy nie wiadomo, komu zadrapie się karoserię albo komu nie spodoba się twój sposób prowadzenia i od jakich wyzwie cię przy ludziach.

Podnosi z podłogi wełnianą rękawiczkę, która wypadła z kieszeni kurtki Ujali, i kładzie ją na kurtce, którą wyniosła do sąsiedniego pokoju. Rękawiczka jest jasnozielono-jaskrawo-czerwono-ciemnożółta. Ulubione kolory dzieci. W zimie w centrum miasteczka znaleźć można mnóstwo takich rękawiczek z jednym i z pięcioma palcami, szalików i czapeczek z pomponami, zupełnie jakby dzieci umówiły się, żeby je gubić.

Kiedy przyszedł Ujala, wyłączyła radiomagnetofon, teraz włącza go z powrotem, ale ciszej, żeby nie przeszkadzał synowi. Rozcina kalafior i myje poszczególne części w misce — jej dłonie stają się rozgwiazdami, części kalafiora, wśród których się poruszają — rafą koralową. Na przygotowywaniu curry do ziemniaków z baraniną i grochu z kalafiorem oraz zaczynieniu ciasta na ćapati schodzi jej się do pierwszej. Kurkuma ufar-bowała jej czubki palców na złoto, wyglądają jak obsypane złotym pyłkiem z kwiatu lotosu. Wyciera stół do czysta. Pora na południowe modły, ale najpierw, z duszą na ramieniu, wchodzi na paluszkach na górę, zakrada się do pokoju, w którym śpi Ujala, i zabiera stamtąd słoik z monetami. Chowa go w kuchni pod zlewem. Napomknął o samobójstwie i ta myśl tłucze jej się po głowie jak kulka w elektrycznym bilardzie. Słyszała gdzieś, że któryś z japońskich cesarzy odebrał sobie życie, wachając złoty listek, i zastanawia się, czy jadalna złota folia mogłaby komuś posłużyć do podobnego celu. Po abhicjach klęka do modlitwy na atlasowym dywaniku modlitewnym. Bicie

pokłonów sprawia jej ogromny ból. Po modłach otwiera drzwi frontowe, żeby spojrzeć w stronę kościoła; gdyby ktoś się tam kręcił, poprosiłaby go, żeby wszedł i zapytał, czy mają na sprzedaż ciasto Pieśń Salomona: zawiera wszystkie przyprawy wspomniane w tym chrześcijańskim poemacie i Ujala za nim przepada, od kiedy skosztował go na jakiejś szkolnej zabawie. Nie ma jednak czasu spojrzeć w stronę kościoła, bo na progu siedzi Mah-Jabin, przyciskając do piersi jak niemowlę bukiet lilii zapakowany w czerwony papier.

— Dzwoniłam — mówi Mah-Jabin, wstając.

— Modliłam się. Nic nie słyszałam.

— Mam nadzieję, że nie przeszkadzam. Pukać, też pukałam — mówi przepraszającym tonem dziewczyna, kładąc na stole bukiet lilii.

— Podczas modlitwy dwa razy myśl mi uciekła. Nic tak nie denerwuje szatana, jak widok modlącego się wiernego. Dzisiaj udało mu się mnie rozproszyć. Zaczęłam się zastanawiać, jakiego rodzaju złotej folii używają Japończycy.

Mah-Jabin uśmiecha się.

— Wermiszel na deser, jak rozumiem?

— Pytałam właśnie Ujalę, czy pamięta, że nazywał go „włosami księżniczki”.

Mah-Jabin, rozwijając z papieru lilie, zerka na Kaukab.

— Wszedł, kiedy jeszcze spaliśmy. O której tu był?

— Około dziesiątej. Mah-Jabin, jaki on chudy.

Ujala jest zdrowy jak piłkarz, jak baletmistrz, ale Mah-Jabin nie chce tak od razu wyprowadzać matki z błędu. Idzie do pokoju gościnnego po wazon. Różowe tulipany, schnąc i więdnąc, zmieniły kolor na niebieski, tu i ówdzie płatek odchyła się od reszty kielicha jak odpoczywający owad, któremu nie udało się doprowadzić skrzydełek do porządku po wylądowaniu. Wstawiwszy lilie do wazonu, Mah-Jabin idzie na górę do łazienki (w której siedziała przed laty z szydełkiem i nie wiedziała, co dalej). Zdejmuje jedwabną apaszkę i wiesza ją na haczyku. Materiał na nią kupiła w sklepie z azjatyckimi tkaninami, tylko dwie stopy, kiedyś wzięłaby kilka jardów, żeby starczyło na *szatwar-kamis*, Śmieje się, ilekroć jej koleżanki modnisie narzekają, kiedy przychodzi im spruć parę cali źle

położonego ściegu. W dzieciństwie widziała, jak matka — i inne kobiety z osiedla — po tuzin razy pruły i poprawiały szwy, wycinały i podcinały rękawy, dekolty i zakładki. Kaukab, która nigdy nie kupiła gotowej zachodniej koszuli ani spodni i nigdy nie uszyła sobie *szalwar-kamis* za pieniądze u szwaczki, wyliczyła kiedyś, że w swoim życiu położyła w sumie pięćset kilometrów szwu.

Mah-Jabin stoi nieruchomo. Napięcie ostatnich dni i poczucie wybicia z codziennego rytmu, które nie opuszcza jej od przyjazdu do Dašte-Tanhai, wprawiają ją w stan zbliżony do szaleństwa: ma wrażenie, że na przemian blaknie i pojawia się znowu w rytm fal tej łagodnej gorączki, to czuje pod podszewkami podłogę odreagowującą jej ciężar, to znów wszystko wydaje jej się odrealnione. I teraz, przypominając sobie coś, otwiera wąską, kanciastą szafkę w rogu, w której mieści się zanurzeniowy podgrzewacz wody izolowany otuliną z lśniącego srebrzyście nylonu. „Witaj, kosmonauto”. To tutaj wyrzuciła wiosną list od męża—nieprzeczytany, zgnieciony w kulkę. Kosmonauta miał go zabrać swoją rakieta: toksyczny odpad do wrzucenia w jakąś odległą czarną dziurę. Ale list wciąż tu leży i sięgając po niego, ot tak, z ciekawości, słyszy nagle głos Ujali. Czym prędzej cofa rękę, zatrząskuje luk i odwraca się w momencie, kiedy Ujala wchodzi do łazienki. Ujala uśmiecha się i wyciąga do niej rękę. Podchodzi i wymacuje zapinkę wenezuelskiego naszyjnika na jej szyi. Rządek nasion nanizanych na sznurek, który kupił jej przed dwoma dniami.

— Muszę go odnieść do sklepu. Okazuje się, że te nasiona są trujące. W witrynie sklepu wisi ostrzeżenie z prośbą do nabywców o zwrot, dali też ogłoszenie do gazet. — Poważnie? — Mah-Jabin, chichocząc, odpina pośpiesznie naszyjnik. Ten zaplątuje się jej we włosy, a próbujący pomagać Ujala pogarsza tylko sprawę. Na jego twarzy pojawia się panika, tak jakby zachodziła obawa, że już nigdy nie pozbędą się tych śmiertelnych nasion z jej szyi, spomiędzy jego palców. Mah-Jabin uspokaja go i padają sobie w objęcia, pomrukując i łaszcząc się jak kocięta bawiące się kłębkami przędzy.

Na krótko przed jej wyjazdem z Anglii do Pakistanu, gdzie miała wyjść za mąż i osiaść na stałe, Ujala wymknął się z domu zaraz po tym, jak Shamas z Kaukab położyli się spać, i wrócił

grubo po północy. Miał wtedy dwanaście lat i wszystko wskazywało na to, że eksperymentował z alkoholem gdzieś na wzgórzach albo nad jeziorem. Mah-Jabin cicho, żeby nie pobudzić rodziców, zaprowadziła go do łóżka. Odór piwa bijący mu z ust przyprawiał ją o mdłości. Tulił się do niej i prosił z płaczem, żeby nie wyjeżdżała do Pakistanu i nie zostawiała go tu samego; bełkotał, że Charag to zaszary kujon, ale ona jest jego przyjaciółką, jedyną *przyjaciółką*, *jedyną* przyjaciółką: „Co ja tu będę robił bez ciebie? Nie, uwieszę się twojej nogi i nie puszczę, dopóki nie obiecasz, że zostaniesz. Naprawdę. Będę cię tak trzymał aż do skutku. Zaraz zobaczysz”. Posykiwała, żeby ściszył głos, ale on mamrotał dalej w pijackim widzie, robiąc komiczne błędy językowe, tak jak ich matka, kiedy mówi po angielsku (pewnego razu, kiedy bolała ją głowa, krzyknęła na dokazujące dzieci: „Hałasujcie cicho!”).

Kilka dni później spoliczkowała go w gniewie. Wróciła z centrum miasteczka z nową walizką i zastała Kaukab w kuchni całą we łzach. Nie musiała pytać, co się stało. Wbiegła od razu na górę i wpadła do jego sypialni. „Przestań oskarżać ojca i matkę. Oni nie zmuszają mnie do tego małżeństwa. Wychodzę za mąż, bo sama chcę”. Powiedział, że jest głupia, skoro nie widzi, że oni nie próbują jej nawet tego odradzać, nie mówią jej otwarcie, w co się pakuje.

Mah-Jabin, uwolniona od wenezuelskich nasion, schodzi na dół, przykazawszy uprzednio Ujali, żeby też zszedł jak najprędzej do kuchni, bo trzeba pomóc matce w szykowaniu kolacji.

Kilka oddzielnych potraw złoży się na trzydaniowy posiłek i Kaukab planuje doprowadzić je wszystkie przez kilka najbliższych godzin do takiego stadium zaawansowania, żeby dokończenie każdej nie zajęło potem więcej niż dwadzieścia minut. Przepękle są już prawie gotowe, obwiązane fioletową nicią, której Kaukab używała niedawno do obszywania nowego obrusu z frędzlami. Opowiada teraz Mah-Jabin, jaki miała z tym problem i skąd ten kolor nici.

— Bo materia! był żółty we fioletowe ciapki, a żółty ścieg odcinałby się na takiej fioletowej ciapce i na odwrót.

— Najlepsza byłaby nić przezroczysta: pająki powinny wejść w spółkę z producentami żyłek wędkarskich i wynaleźć taką cienką, ale wytrzymałą.



Kaukab, puszczając mimo uszu ten frywolny komentarz, rozgląda się i mówi:

— Zawsze chciałam mieć większą kuchnię. — Odcedza wodę z ziemniaków i wrzuca żółte cząstki na patelnię, na której skwierczy już curry. - Ciasno tu się zrobi dziś wieczorem, wszyscy będą musieli siedzieć ściśnięci przy stole.

— Możemy jeść w pokoju gościnnym — podpowiada Mah--Jabin. — Przeniesiemy tam stół. — Rozsuwa drzwi, zagląda i stwierdza, że w pokoju gościnnym miejsca jest pod dostatkiem. Kiedy z góry schodzi Ujala — z tą głową wylaniającą się spod swetra, który po drodze wciąga, przypomina nurka wynurzającego się na powierzchnię — przenoszą stół i krzesła z kuchni na środek sąsiedniego pokoju, przestawiają pod ścianę stoliczek z wazonem z liliami. Na różowych ścianach, nad sięgającymi pasa półkami na książki, wiszą oprawne w czarne ramki wersety z Koranu.

— Wycinałam z książek ojca wstążeczki do zakładania stron i wiązałam nimi włosy lalkom — mówi Mah-Jabin. Ujala bierze do ręki ostatni numer prenumerowanego przez Kaukab muzułmańskiego czasopisma dla kobiet — wydawanego w Pakistanie miesięcznika „Veir — i ze zniesmaczoną miną odkłada z powrotem na stertę ten periodyk, pełen ortodoksyjnych tyrad i opinii, apokaliptycznych wizji i prorocत्व.

— Niech sobie to czyta — szepce Mah-Jabin. — Nikomu nie dzieje się z tego powodu krzywda.

— A właśnie, że się dzieje. Mah-Jabin odwraca wzrok.

— Ją to podnosi na duchu.

— Nie sądzę. Nigdy nie widziałem jej bardziej przybitej i podłamanej niż po lekturze czegoś, co tam wysmażono. To piśmidło zmieniło ją w bezdusznego potwora. To przez nią ojciec nigdy nie potępi głośno idiotyzmów islamu. Nie chce jej ranić. A ona co? Zraniła już każde z nas. Przez nią rozsądek nic ma do tego domu wstępu. — Mah-Jabin wychodzi z pokoju, a on stoi i patrzy na rozwieszzone na ścianie wersety. Dla milionów ludzi religia to często tortura jeszcze bardziej uprzykrzająca im życie, które i bez tego nie wygląda tak, jak powinno. Ich egzystencja jest żałosna od chwili poczęcia po złożenie w grobie, nad niczym nie mają kontroli, zupełnie jakby linie

życia na ich dłoniach wycięte zostały nożem, by sprawiały ból od momentu narodzin. Ten świat zadaje im straszne rany, a potem święci mężowie i kobiety każą im posypywać te rany workami soli.

Wraca za Mah-Jabin do kuchni. Kaukab z kopyściami w obu dłoniach miesza jednocześnie zawartości dwóch rondli.

— Chciałam nagotować grochówki, Charag bardzo ją lubi, ale jest ciężko strawna i jeszcze brzuch by go rozboleł.

— Ach, ta grochówka, tak wspaniale wygląda, pachnie i smakuje — mówi Mah-Jabin, odbierając od Kaukab jedną z kopyści.

— O tak — przyznaje Kaukab. - - Jugnu mawiał: „Nie zjeść — źle, zjeść — też niedobrze”...

Atmosfera w kuchni ulega zmianie. Na dźwięk imienia nieżyjącego wuja Mah-Jabin krzywi się w duchu i wstrzymuje oddech. Kaukab ogląda się powoli przez ramię na Ujałę, który szczotką na długim kiju zamiata linoleum w miejscu, gdzie stał stół. Zastygł na chwilę, ale już podjął pracę. — Zapomnij o tej zupie — mówi Mah-Jabin, wrzucając do rondla kawałki kalafiora. — Naszykowałam na dzisiaj tyle, że więcej nie trzeba. Prawdziwa uczta. — Uczta? — Kaukab wzrusza ramionami. — Kosztowało mnie to tylko trzydzieści dziewięć funtów.

— Nie, mamó. — Mah-Jabin kręci głową. — Tyle kosztowały składniki. Dodaj do tego koszty planowania, organizacji i samego gotowania. Za taki posiłek zamówiony w restauracji zapłaciłabyś parę setek. Setek. A pewnie nie byłby nawet w połowie tak smaczny, jak w twoim wykonaniu.

Kaukab uśmiecha się.

— Jestem prostą kobietą. Ty o wiele lepiej gotujesz.

— Ale od ciebie się uczyłam.

— Może któraś z was przestałaby na chwilę lizać drugiej cipkę i powiedziała mi, gdzie jest śmietniczka.

Wzburzona Mah-Jabin odwraca się na pięcie. — Ujala!

Ujala zaciska zęby, oczy ma zaczerwienione.

— Jak śmiesz odzywać się tak do matki i siostry — mówi Kaukab. — Nie mogę odżałować, że przyjechałam do tego kraju.

Ujali łyzy ciekną po policzkach, ale nada! posapuje jak byk, szczeka mu chodzi.

— I po kiego grzyba to wszystko? Co my tu niby świętujemy... z jakiej okazji ta cała uczta? Pozwólcie sobie przypomnieć, że wczoraj ostatecznie potwierdzono, że wujek Jugnu i Chanda zostali zamordowani, poćwiartowani i spaleni.

Kaukab odwraca się do rondli rozstawionych na palnikach.

— Niczego nie świętujemy. Moje dzieci zjechały do domu po długiej nieobecności, pomyślałam więc, że wypadałoby czymś je poczęstować... Potem zaczęłam sobie przypominać, co które z was najbardziej lubi...

— A nie przemknęło ci przez myśl, że to może być trochę niestosowne — tych twoich siedem przyprawionych uszafranionych dań, kurczak tandu<sup>1</sup> z ćapati albo z ryżem, do wyboru?

— Ujala, przestań, proszę cię. — Mah-Jabin postępuje krok w jego stronę. — Mama już drugi dzień się z tym mozoli.

Kaukab ściąga brwi.

— Powiedziałam, że to żadna uczta. Przygotowałam tylko kilka potraw. To nie przyjęcie. Wiem, że kiedy ktoś wspomina o szafranie, to od razu się myśli, że to jakiś luksusowy i specjalny posiłek, ale ja zawsze dodaję do ryżu szczyptę szafranu, nieważne czy to święto, czy zwykły dzień. — Miejmy nadzieję, że poprzestaniesz na szafranie i nie zaczniesz dodawać do potraw innych składników — mówi Ujala. — Co to ma znaczyć? — Mah-Jabin ogląda się przez ramię i zwraca do Kaukab: — O czym on mówi? Kaukab też nie bardzo rozumie. - Jakich innych składników? To Charag nic lubi kminku, ty jesz wszystko...

— Miałem na myśli ten proszek, który dał ci muzułmański imam, kiedy mu się poskarżyłaś, jaki to krnąbrny jest twój syn Ujala, jak nic, tylko się z tobą o wszystko wyklóca, odkąd wszedł w wiek dojrzewanania. Pamiętasz? — Patrzy na Kaukab z pogardliwym uśmieszkiem. — I ten święty mąż odczytał specjalne wersety Koranu nad jakimś proszkiem i kazał ci dosypywać go potajemnie do posiłków syna, mówiąc: „Z pomocą Allaha dziecko w ciągu trzydziestu dni stanie się ci posłuszne" albo coś w tym stylu.

Kaukab jest wyraźnie zawstydzona.

---

<sup>1</sup>Hinduska metoda zapiekania potraw w glinianym naczyniu.

— Nie widziałam innego wyjścia. Bo ty... ty... Skąd o tym wiesz?

— Dodawałaś mi różne świństwa do jedzenia! — krzyczy Ujala. — Gdybyście ty i tobie podobne miały ogony, merdałybyście nimi na widok każdego faceta z brodą.

— Poprosiłam Allaha za pośrednictwem tego świętego męża, żeby mi pomógł. I dzięki Jego błogosławieństwu, udało się. Od kiedy zaczęłam ci dosypywać do jedzenia świętą sól, stałeś się bardzo grzeczny i uczuciowy, zacząłeś odnosić się z szacunkiem do starszych. Ale potem, nie wiedzieć czemu, zniknąłeś i od tamtego czasu cię nie widziałam. Czuję jednak przez cały czas, jak się poruszasz, jak chodzisz gdzieś tam w świecie. Zabierają matce dziecko, ale nie do końca, jego cząstka pozostaje w niej na zawsze i ona słyszy i czuje, jak to dziecko gdzieś tam się porusza.

— Chcesz wiedzieć, dlaczego odszedłem z domu? Chcesz?

— Teraz już wiem. Pewnie zobaczyłeś, jak dosypuję ci do jedzenia tę błogosławioną, poświęconą sól.

Mah-Jabin podchodzi do Ujali i kładzie mu dłoń na ramieniu.

— Co to za różnica, Ujala? Te obrządki nikomu nie szkodzą, a ona lepiej się z tym czuje.

Kaukab gromi córkę wzrokiem.

— Nie mów o mnie jak o dziecku, Mah-Jabin. Ujala strąca z ramienia dłoń siostry.

— Owszem, widziałem, jak dosypujesz tego czegoś do mojej porcji jedzenia, ale nie z tego powodu odszedłem z domu. — Zwraca się do Mah-Jabin: — Z początku też myślałem, że to coś nieszkodliwego, ale potem podpatrzyłem, gdzie ona to chowa, i sprawdziłem. To był bromek, substancja, którą dodają do posiłków więźniom, żeby obniżyć im libido i uczynić uległymi. To wtedy odszedłem.

Mah-Jabin wydaje cichy okrzyk i spogląda na Kaukab.

— To było tylko trochę soli, nad którą imam-ji odczytał święte wersety — mówi Kaukab. — I podziałała. Od kiedy zaczęłam mu ją dawać, stał się innym człowiekiem. Każda matka byłaby dumna z tak przykładnie zachowującego się syna... — Urywa, bo nic może ignorować zgrozy w oczach Mah-Jabin. — A co to jest to libido? — pyta. — Co to jest bromek, Mah-Jabin?

Ujala, nie oglądając się na matkę i siostrę, przecina zdecydowanym krokiem kuchnię i wychodzi z domu.

— Biegnij za nim, Mah-Jabin. Weź jego kurtkę i biegnij za nim. Sprowadź go z powrotem... Tak, tak, sama też włoż płaszcz...

— Czy ty wiesz, mamó, co to był za proszek?

— Już ci powiedziałam, że to była najzwyczajniejsza sól, nad którą imam odczytał kilka wersetów z Koranu. Co to jest ten bromek?

— Później ci powiem. Teraz muszę za nim lecieć. Kaukab zostaje w kuchni sama i dopiero teraz widzi, że chyba

naprawdę przesadziła z tą obfitością jedzenia. Gdzie tylko spojrzeć, stoją miski, talerze, spodki, garnki, *katon*, rondle, *kamandal* i szklanki pełne składników. Czego tu nie ma — czarny kardamon, zielony kardamon, goździki, cynamon, gałka muszkatołowa, kminek, nasiona kolendry, szafran, jogurt *rajfa*, zielone chili, czerwone chili, cebula, czerwona cebula, czosnek, miód, mąka kukurydziana, mąka pszenna, piersi kurczaka, pokrojona baranina, ćwiartki ziemniaków, kalafior, zielony groszek, buraki ćwikłowe, kebaby, ryż basmati, przepekle, wermiszel, śmietana, sułtanki, wiórki kokosowe, cytryny, owoce, daktyle, łuskane pistacje, olejek różany (pot proroka Mahometa, mech pokój będzie z Nim), liście sałaty zwijające się jak morskie muszle, masło solone, masło niesolone, masło oczyszczone. Wstyd jej, że nie pomyślała, że wszystko to może się komuś wydać niestosowne, bo przecież dopiero co potwierdzono śmierć Jugnu i Chandy. Za jaką niewrażliwą musiałaby uznać ją — i wszystkich Pakistańczyków i muzułmanów w ogóle — ta biała dziewczyna, Stella. Krew uderzyła jej do głowy, kiedy uświadomiła sobie, że jej rodzina po raz pierwszy od wielu miesięcy — wielu lat — zbierze się w komplecie pod jednym dachem. A teraz zachodzi obawa, że Ujala znowu przepadnie. Czego dodawała mu do jedzenia? Co to takiego ten bromek? Jakaś trucizna?

Z piersi wyrywa jej się cichy skowyt.

Gasi gaz pod rondlami i zaczyna uprzętać niektóre z przygotowanych składników. Myśli gorączkowo, o co by tu okroić dzisiejszą kolację, to skomplikowana kulinarna algebra. Tylko baranina z ziemniakami w sosie curry i pilaw? No tak, ale ta biała dziewczyna Stella nic je mięsa. To może kalafior z groszkiem

w sosie curry i pilaw? Ale Shamasnie lubi kalafiora, musiałaby zatem usmażyć dla niego kcbaby *sami*. Prawie gotową baraninę z ziemniakami w sosie curry schowa chyba do zamrażarki, zje się ją kiedy indziej... Czym karmiła syna? Czy mu to jakoś zaszkodziło i jest teraz chory? Wspiera się czołem o ścianę. Sałatki owocowej nie będzie, wermiszel poda bez roziskrzzonej złotej folii, która na pewno zachwyciłaby wnuka... Przypomina sobie, że miała włączyć podgrzewacz, bo goście będą pewnie chcieli umyć ręce w ciepłej wodzie. Wspina się powoli po schodach i wchodzi do łazienki, żeby to zrobić, póki pamięta. W szafce z podgrzewaczem zauważa kulkę zmiętego papieru. Bierze ją zaintrygowana i rozprostowuje. Od ręczne pismo, litery jak czarne mrówki... *To opowieść o miłości...* Czyje to?

*Telewizja informuje nas w wiadomościach, że znowu ponosimy klęskę. To samo krzyczą nagłówki w gazetach. Jesteśmy pokonani, pognębieni, skończeni. A wodze znajdują się teraz w rękach tych, którzy ani się nie modlą, ani nie poszczą. Jak długa i szeroka la ziemia Allaha, my, mali, pokorni muzułmanie przestajemy się liczyć. Nasze życie i nasze ziemie marnieją. Nasze kobiety stały się nieposłuszne jak kobiety Zachodu. Nie poznajemy własnych dzieci uwiedzionych przez Zachód.*

*Ścinane są głowy, które nie pokłoniły się dotąd nikomu, prócz Allaha.*

Kaukab patrzy spod ściągniętych brw i na kartkę. Czyta się to jak tekst piątkowego kazania w meczecie. Skąd to się tu wzięło?

*To opowieść o miłości. Karawany miłujących Allaha są raz po raz napadane i ograbiane. Ci, którzy utrzymują którzy twierdzą, że posiadli wszystkie rozumy, mówią: „Powinniśmy przyznać wreszcie, że jesteśmy słabi, i pokłonić się silniejszemu”.*

*Od Adama po dzień dzisiejszy, od Noego po Abrahama, od Abrahama po Lota. od Chrystusa po Mahometa, niech pokój będzie z nim — wierni głosili prawdę na ulicach i placach. Kamienowano ich. Prześladowano. Byli ośmieszani przez tych, którzy nie chcieli uwierzyć. Kłamcy wyjęli nas spod prawa. Niewierni powiedzieli, że wykorzenia z nas wiarę. Wierni po-*

*wiedzieli, że nie wyrzekną się wiary, choćby nas zabijali, choćby przypiekali nam pośladki rozżarzonym węglem. (Pamiętasz czubek mojego papierosa na skórze, Mah-Jabin? Nie zapominaj tego ognika. Ognie piekielne są tysiąc kroć gorętsze).*

Kaukab wydaje cichy okrzyk i szybko odwraca stronę, żeby sprawdzić, od kogo ten list. Nie ma podpisu. Ale ona wie, że autorem jest mąż Mah-Jabin: któż inny mógłby pisać do niej w urdu? A skoro tak, to co ma niby znaczyć ta wzmianka o przypalaniu papierosem — czyżby oparzył nim kiedyś niechcący Mah-Jabin?

*Wracając do tematu: Czy ten przejściowy kryzys — fakt, że muzułmanie są wszędzie na tej planecie upokarzani.....to klęska wiary? Niebo i ziemia mówią nie. Wszechświat mówi nie. On, który ten wszechświat stworzył, mówi nie. Ci, którzy stają po stronie kłamców, którzy śmieją się z głęboko wierzących, którzy krzywią się na każde wspomnienie imienia Allaha. którzy sami mienią się Bogiem — zostaną po śmierci przykładnie ukarani, dzień i noc smażyć się będą w ogniu. Taka kara czeka tych, którzy pozostają głusi na prawdę. Będą przebijani włóczniami. (Pamiętasz te igły do szycia w swoich udach, Mah-Jabin?).*

Kaukab zatacza się i przysiadła bezwiednie na krawędzi wanny. Przecież z tego, co opowiadała Mah-Jabin, wynikało, że jej mąż był mężczyzną kochającym i troskliwym...

*Owszem, nam — dobrym — zdarza się czasem pobłądzić. Szatan podjudził mnie, bym wszedł do izby, w której nocowała Chanda, kiedy gościli u nas z Jugnu. Nie mogłem już znieść ciężaru chuci, który dźwigałem, od kiedy opuściła mnie moja kobieta. Szatan kazał mi podejść do jej łóżka i błagać, by zdjęła ze mnie to brzemię. Szatan podszeptał mi, że skoro ona jest z Zachodu, to i prowadzi się lekko. Powiedziała, że narobi krzyku i obudzi mojego ojca i Jugnu, który spał w sąsiedniej izbie. Opamiętałem się i wyszedłem. A nazajutrz Allah — pewnie po to, żeby usunąć sprzede mnie pokusę — kazał Chandzie powiedzieć Jugnu, że stęskniła się za Zachodem, i jeszcze tego samego dnia*

*wyjechali. Do późnej nocy klęczałem na modlitewnym dywaniku i dziękowałem Attahowi, że usunął sprzed moich oczu pokusę, ale Jego życzliwość dla mej duszy była nieskończona: modliłem się jeszcze, kiedy odezwał się telefon; dzwoniła ciotka Kaukab, żeby nas uprzedzić, że Jugnu i Chanda są kochankami, grzesznikami. Miłosierny, łaskawy AUah uchronił mnie przed zabrudzeniem się w tym nieczystym strumieniu'. Nie mówiłem ci o tym wcześniej, ale teraz chcę, żebyś wiedziała, jaki On jest.*

Kaukab nie wierzy własnym oczom i czyta ten ustęp jeszcze raz. Czyli to nie z jej powodu Jugnu i Chanda wyjechali z Pakistanu wcześniej, niż planowali. Niewielka to jednak pociecha.

— Biedna Chanda. — Kaukab siedzi na wannie z twarzą ukrytą w dłoniach. — Moja biedna Mah-Jabin.

Nagle wstaje i zagląda za bęben podgrzewacza wody. A jeśli ten list został spreparowany i podrzucony tu przez Mah-Jabin? Jeśli to fałszerstwo, które ma ją pognać? Spisek uknuty przez Mah-Jabin, Ujalę, Charaga, tę białą dziewczynę Stellę i Shamasa, żeby ją upokorzyć, żeby ośmieszyć jej wiarę? Za bębniem leży zmięta koperta, w której znajdował się list. Rozpoznaje ją. pamięta, jak przyszedł w niej wiosną. Pamięta ten znaczek: w tle drzewo obsypane różowo-białym kwieciem, na pierwszym planie gałązka z pomarszczonym, podobnym do orchidei kwiatem i liściem przypominającym odcisk kopyta wielbłąda — to *Bauhinia variegata*, informuje napis na pionowym marginesie, a napis na marginesie poziomym, że to jedna z LECZNICZYCH ROŚLIN PAKISTANU. Wypuszcza kopertę z ręki i czyta dalej list.

*Błędzimy, ale błagamy o wybaczenie i nasze przewiny zostają nam darowane, ponieważ jesteśmy dobrzy. Świat oświecła jedynie nasza miłość do Niego, nas, mężczyzn, którzy jesteśmy Mu posłuszni, i posłusznych nam kobiet.*

*W Księdze Dziejów zapisywane jest wszystko i On sporządza w niej listę wiernych i listę niewiernych. Spróbuj się domyślić, nu której z tych list znajdzie się twoje imię, Mah-Jabin, i bój się. Jaki koniec cię czeka po tym krótkim pięćdziesięcio- albo sześćdziesięcioletnim życiu?*



Doczytawszy do końca, Kaukab podnosi z posadzki wygniecioną kopertę i wsuwa do niej złożony we czworo arkusz papieru. Siedzi na wannie i patrzy na znaczek z ładnym kwiatem drzewa, cenionym między innymi za to, że pomaga na gorączki malaryczne, reguluje zaburzenia miesiączkowania i jest antidotum na jad węża.

Słońce wylania się zza węgła i zaczyna żeglować przed frontem domu. Kaukab siedzi i zastanawia się, czy ta kobieta w lustrze to naprawdę ona: matka, która podaje truciznę synowi, matka, która wyciąga pochopne wnioski i obarcza córkę winą za rozpad jej małżeństwa? Te myśli są jeszcze świeże, nic ma pewności, jaki efekt wywrą na jej duszę, jeśli pożyje z nimi przez godzinę, dzień, miesiąc. Na razie czuje dopiero gorycz trucizny na języku i w ustach; co będzie, kiedy ta wniknie w żyły?

Słyszy zatrzymujący się pod domem samochód i wygląda przez okienko łazienki. Przyjechał Charag ze Stellą. Charag otwiera tylne drzwiczki i wypuszcza z wozu ośmioletniego synka. Przed dwoma dniami temperatura bardzo spadła i Kaukab stwierdza z ulgą, że chłopiec jest ubrany odpowiednio na grudnio we chłody. Podwinięty otok wełnianej czapki osłania mu dodatkowo czoło, uszy i kark. Gdy przyjechali tu kiedyś, jeszcze jako małżeństwo, Charag pocałował Stellę w usta na ulicy. Kaukab była oburzona. Muszą się afiszować z tą lubieżnością przed ludźmi? (Jugnu z Chandą oszczędzali jej przynajmniej takich obscenicznych zachowań na widoku publicznym). I to na oczach chłopca, który bez wątpienia zacznie się niedługo uganiać za dziewczynami i rozpocznie życie seksualne przed ukończeniem piętnastu lat, bo będzie uważał, że taka bezwstydnosc i seks przedmałżeński to norma, a nie grzech śmiertelny! A potem ożeni się z białą i jego dzieci też; zostaną z nich wyplenione wszelkie ślady skromności i obyczajności. Co będą myślały o Charagu jego wnuki? „Moja matka i ojciec są biali, i rodzice mojej matki też są biali. Ja trochę ciemniejszą karnację mam po dziadku, który był Pakistkiem”. Wnuczek zaraz po przekroczeniu progu rzuca wełnianą czapkę na linoleum. Kaukab przeprasza gości za wypełniające kuchnię zapachy przygotowywanych potraw i prosi, żeby rozebrali się w sąsiednim pokoju. Przed zamknięciem drzwi wejściowych przemiata wzrokiem ulicę, ale nie widzi nigdzie

wracającej z Ujalą Mah-Jabin. Przytula wnuka i całuje go w głowę, buzią i obie rączki.

— Co to? - pyta Charag, pokazując na wygnieciony list, który Kaukab nieświadomie wciąż trzyma w dłoni.

Kaukab chowa szybko list do kieszeni swetra.

— List od twojego dziadka z Pakistanu. Pisze, że nie podoba mu się, że twój syn — a jego wspaniały wnuk — po ukończeniu czwartego roku, czwartego miesiąca i czwartego dnia życia nie podjął nauki Koranu jak każde muzułmańskie dziecko.

Stella zagląda do pokoju gościnnego.

— Mah-Jabin i Ujali jeszcze nie ma? - Stół jest już nakryty. Obrus pochodzi zapewne ze sklepu z azjatyckimi tkaninami — piękny materiał w ukwiecone pnącza, z którego Azjatki szyją sobie często stroje; Charag powiedział kiedyś, że te jaskrawe kolory i wymyślne kształty kazały mu w młodości uważniej przyjrzeć się pracom Matisse'a.

— Poszli na spacer — mówi Kaukab, pocierając zapałkę o draszkę, żeby zapalić z powrotem gaz pod rondlami. Trzyma zapałkę łebkiem w dół, żeby drewnienko zajęło się ogniem. — Wejdźcie, proszę, do pokoju gościnnego i tam na nich poczekajcie. Nie chcę, żeby ubrania przeszły wam zapachami. — Miała nadzieję, że kiedy Mah-Jabin wróci, weźmie ją na stronę, przyzna, że znalazła list, i poprosi, żeby opowiedziała, jak naprawdę wyglądało to pakistańskie małżeństwo. Ale wychodzi na to, że przez kilka najbliższych godzin nie będzie po temu okazji. A musi jeszcze wyjaśnić Ujali, że nie chciała wyrzucić mu krzywdy tą świętą solą. Ci przekłęci uczeni muszą wszystko analizować! Unosząc po kolei pokrywki z rondli, przypomina sobie — zupełnie wyleciało jej to z głowy, kiedy czytała na górze list — że miała ograniczyć liczbę dań na kolację. Szkoda, że nie ma tu Mah-Jabin, ona by doradziła. Woła do Charaga, żeby poszedł poszukać brata i siostry, ale on nie słyszy.

Charag, włączywszy w sąsiednim pokoju telewizor, krzywi się porażony rykiem, jaki wydobywa się z nastawionego na cały regulator odbiornika. Nie zamierza jednak pytać Kaukaba, czy ojciec nic ma czasem czegoś ze słuchem; raz już zapytał i zaprzeczyła z taką miną, jakby popełnił coś niestosownego. Syn nie powinien dostrzegać ułomności ojca. Wieczorem pokaże Shama-

sowi, jak wywoływać napisy na ekran pilotem: białe, zielone, żółte, czerwone — zależnie od osoby wypowiadającej daną kwestię.

Znajduje synkowi czarno-białego Tarzana i Stella siada z chłopcem przed telewizorem, zapewniając go, że film mu się spodoba.

— A w co ten Tarzan się zmieni? — pyta po chwili malec i traci natychmiast całe zainteresowanie, kiedy słyszy w odpowiedzi, że w nic — ani w potwora, ani w stwora nie z tego świata — że pozostanie do końca człowiekiem. Ale po chwili spogląda znowu na ekran i pokazując palcem na Tarzana, zauważa: — On mówi całkiem jak babcia Kaukab!

Przechodzą w trójkę do kuchni w momencie, kiedy Kaukab wpuszcza wracającą Mah-Jabin.

— Ujala został jeszcze nad jeziorem — oznajmia Mah-Jabin i zerkając na Kaukab, ledwie zauważalnym kiwnięciem głową daje jej znak, że wszystko w porządku. — Zaraz wróci, mamó. Doszliśmy aż do „Safiny”.

Bierze w objęcia bratanka i całuje go w oba policzki. Ile lat miałoby jej dziecko, gdyby go nie straciła? Stella mówi, że chyba się przeziębila.

— Na sztuce, na którą się niedawno wybrałam, była bardzo natural i styczna scena burzy. Maszyna do robienia wiatru, deszcz z prawdziwej wody.

Mah-Jabin uśmiecha się, stawia malca na podłodze i zwraca się do Kaukab:

— No to szykujmy tę kolację. Charag, Stella, przygotujcie swoje kubki smakowe. Mama na pewno nie poprosiła was o pomoc, bo się krępuje... — Stelli przydzielone zostaje zadanie odszukania w zamrażarce celofanowej torebki z rozdrobnioną miętą i dodania jej do miski z jogurtem. Ubita masa zamarzała w celofanie na kość, przypomina grudę wiecznej zmarzliny, w której uwięzły prehistoryczne algi, i żaden dorosły jej nie rozkruszy — trzeba do tego dziecięcej cierpliwości.

Kaukab przy pierwszej nadarzającej się sposobności nachyliła się do Mah-Jabin, żeby jej powiedzieć, że zna już prawdę o jej małżeństwie.

— Uwierzysz mi — szepce — jeśli powiem, że o niczym nie wiedziałam?

Mah-Jabin ściąga brwi, układa wargi w bezgłośnie „Ciii” i odszeptuje:

— Wszystko w porządku. Później porozmawiamy. On chyba wie, że myślałaś, że to zwyczajna sól.

— Nie chodzi mi o Ujalę — mówi Kaukab i nie ma pewności, czy zdobędzie się później na poruszenie z Mah-Jabin tematu jej małżeństwa.

— Ale o tym też nie wiedziałam. — Oczy ma zaczerwienione.

Mah-Jabin wyciąga z kieszeni płaszcz paczuszkę tamaryndowej pulpy.

— Pomyślałam sobie, że dodamy jej do sosu korzennego, mamo. Wracając, skręciłam do sklepu.

Kaukab ogarnia niepokój.

— Wchodziłaś do sklepu? — Kobiety z osiedla wiedzą, że Mah-Jabin jest rozwiedziona, i na pewno wzięły dziewczynę na języki — zaczęły komentować jej charakter, zachodni strój i krótko obcięte włosy.

— Tak. Sklep rodziców Chandy jest zamknięty. Poszłam więc do tego ulicę dalej. — Mah-Jabin odwija tamaryndową pulpę. — Kiedy tam byłam, weszła jakaś dobrze ubrana, zamożnie wyglądająca kobieta. Widocznie słyszała, że gdzieś tu w okolicy dwaj bracia zabili swoją siostrę i jej przyjaciela, i nie wiedząc, że jestem bratanicą jednej z ofiar tej zbrodni, zaczęła pomstować na morderców. „Właśnie tacy ludzie psują Pakistanowi opinię za granicą”, perorowała. Przyjechała z Pakistanu w odwiedziny do krewnych, którzy mieszkają pod miastem, i ci przywieźli ją do naszego osiedla, żeby pokazać, jak żyją tu, w Anglii, biedni Pakistańczycy — robotnicy z fabryk, kierowcy autobusów, kelnerzy. Nie kryła, jak nami pogardza. Okazało się, że w pierwszym tygodniu pobytu jakiś biały nazwał ją w centrum miasteczka „czarniawą suką” i nie mogła tego przetrwać. „Mężczyzna, który mnie tak nazwał, był brudny i cuchnący — krzyczała. — A nie nazwałby mnie tak, gdyby nie ludzie z tego osiedla, którzy swoją mentalnością i zachowaniem wypaczyli wizerunek Pakistanu w obcych krajach. Pomyśleć tylko! Śmiał ubliżyć mnie, która mieszkam w Islamabadzie w rezydencji, o jakiej jemu podobnym w życiu się nie śniło, mnie, mówiącej po angielsku lepiej od niego, z dyp-

lomem z Cambridge, mnie, matce synów, którzy studiują teraz na Harvardzie. A to wszystko przez was, wy mordujący własne siostry, zasmarkani, przesiadujący w meczetach, poślubiający kuzynów, okutani w chusty, odmóżdzeni imbecyle". Kaukab kręci z niedowierzaniem głową.

— To przez takich jak ona ludzi — bogatych i ustosunkowanych — wyjeżdżamy ze swoich krajów. Wyjeżdżamy, bo ich samolubstwo pozbawia nas środków do życia i odziera z godności. A teraz mają do nas pretensję, że się tu znaleźliśmy. A niby gdzie mieliśmy się podziąć? Biedni i nieuprzywilejowani walczący o przetrwanie tracą szacunek do bogatych i uprzywilejowanych. Dobrze mówię?

— Była bardzo elegancka, nie wyglądała na taką, co niedawno zbiła fortunę i teraz kłaniajcie się narody.

Kaukab postukuje drewnianą warząchwią o wrąbek rondla, żeby otrząsnąć z niej sos — ale trochę mocniej niż trzeba, wyrażając w ten sposób swoją dezaprobatę.

— A co to za różnica, stare pieniądze czy nowe? Jeśli dorobiła się niedawno, to te pieniądze splamione są krwią i potem biednych, których wykorzystywano i gnębiono w ostatnich czasach, a jeśli nie od dziś jest bogata, to te pieniądze splamione są krwią i potem biednych wykorzystywanych i gnębionych w przeszłości. Nogi tronów bogaczy zawsze wspierały się na głowach ubogich. — Kaukab odwraca się do kuchenki. — Żyję z twoim ojcem od czterdziestu lat i czegoś się przy nim nauczyłam. Chciałaby powiedzieć to wszystko po angielsku, żeby pokazać Stelli, że jest inteligentną, myślącą osobą. Tak, w końcu polubiła Stellę. Pamięta, jak Charag przyjechał kilka lat temu z uniwersytetu i powiedział, że zakochał się w białej dziewczynie i ta spodziewa się ich dziecka. Kiedy minął pierwszy szok, Kaukab poszła na dworzec kolejowy, żeby udać się pociągiem do Charaga, jego białej przyjaciółki i ich nienarodzonego dziecka. Wstyd jej było, że zaślepiona egoizmem nie pomyślała, jak wielką miłością musiał darzyć tę dziewczynę jej syn! Kaukab wpajano od dziecka, że to, co zrobiło tych dwoje przed ślubem, jest złe, że to rozpusta i przejaw deprawacji, ona też wbijała to w głowy swoim dzieciom. I jeśli to, co się stało, tak trudno było zaakceptować jej, to jak trudno musiało być jej

synowi, jak wielka musiała być ta miłość, skoro zdecydował się postąpić wbrew jej naukom. T w Pakistanie każdy kocha kogoś przed ślubem, ale na odległość — rzuca ukradkowe spojrzenie, na które odpowiedzią jest wymowny uśmiech. Tyle że Zachód daje ludziom przyzwolenie i stwarza warunki do działania na fali tych uczuć — to nie była wina jej syna. Idąc na dworzec kolejowy, wyobrażała już sobie, jak bierze w ramiona swoją przyszłą synową, zwraca się do niej po imieniu — Stello — alekiedy przy okienku kasowym powiedziano jej, że będzie się musiała przesiadać, opuściła ją odwaga. Przestraszyła się, że ze swoją słabą znajomością języka nie znajdzie właściwego peronu, że wstydząc się swojego akcentu i łamanej angielszczyzny, nie poprosi nikogo w wskazanie drogi. A na dodatek jak i gdzie znajdzie w obcym mieście taksówkę? Była jak ta żebraczka, która boi się wyciągnąć rękę po jałmużnę, bo ta ręka jest brudna. No i wróciła z zaczerwienionymi oczami do domu, żeby poczekać na powrót Shamasa; kiedy wrócił, poprosiła go, żeby zawiózł ją do syna.

— Ten sos curry już gotowy. Muszę teraz sprawdzić, czy wystarczy ciasta na ćapati. Kto chce ćapati zamiast ryżu?

Charag obiera i tnie owoce na sałatkę; miska jest już prawie pełna słodkich cząstek — kolorowa kupka obierek obok niej przywodzi na myśl pocięte flagi tuzina państw.

— Gdzie cytryny? I z jakiej okazji ta dzisiejsza uczta?

— Żadna tam uczta — wtrąca szybko Mah-Jabin. — Mama już mi wyjaśniła, a ja powtórzyłam Ujali, kiedy zadał mi nad jeziorem to samo pytanie, że postanowiła za jednym zamachem naszykować jedzenie na kilka dni. Taki miała kaprys.

Kaukab zerka z wdzięcznością na Mah-Jabin.

— Właśnie. To, czego dzisiaj nie zjemy, zapakuję w folię, i zamrozę. Stella kiwa z aprobatą głową.

— Bardzo dobry pomysł. — Pokazuje na ośmiolatka. — Zapytał mnie niedawno, „Czemu babcia Kaukab wciąż gotuje?”.

Kaukab jest wzruszona. A więc chłopiec ją obserwuje, i to na lyle uważnie, by wychwycić tę ni to wadę, ni zaletę. Najchętniej ucałowałaby go i przytuliła, ale powstrzymuje się, bo niewykluczone, że na temat uczuć babć do wnuczków biali też ukuli jakieś wydumane teorie.

— O uczcie można by mówić, gdybym przyrządzała coś specjalnego, a to wszystko je się przecież na co dzień. — Znalazła jeszcze jeden argument na uprawdopodobnienie kłamstwa, którym uratowała ją Mah-Jabin. Podbudowana, zadowolona z siebie wygłasza wesoły komentarz: — Ale zgoda, życie gospodyni domowej to nie przelewki. Myślę sobie czasami, że gdybym studiowała medycynę, to wystarczyłoby mi zdać jeden egzamin i przez resztę życia ludzie odnosiliby się do mnie z szacunkiem i nazywali lekarką, za to w domu codziennie trzeba zdawać egzaminy, a i tak nie ma gwarancji, że zostanie się docenioną. — Właśnie tłumaczy to sobie w głowie na angielski, żeby powtórzyć Stelli, kiedy wraca Ujala.

Z tą zwieszoną głową wygląda jak przerośnięty słonecznik, zerka na Kaukab wilkiem i zachowuje rezerwę, kiedy ta odważa się cmoknąć go w policzek, ale włącza się w wir zajęć, a nawet bierze ośmiolatka na ręce i podchodzi z nim do kuchenki, na której bulgoczą duszące się w rondlu przepekle.

— Wiesz, co to? — pyta malca.

— Rozgwiadzy! — wykrzykuje chłopiec na widok rozmiękłych, spiczastych przepekli, które podczas duszenia zbrązowiały i naprawdę wyglądają jak rozczłonkowane rozgwiadzy.

— Zgadza się — mówi Ujala. — Na kolację będą rozgwiadzy w sosie curry.

Przez następną godzinę — podczas gdy za oknem zapada grudniowy zmierzch — kuchnia rozbrzmiewa gwarem ożywionych głosów. Potrawy kosztowane prosto z rondli przysparzają Kaukab pochwał; wnuk wypluwa na wpół przeżutą garść M&M--sów przypominających kolorowy żwir; Charag uśmiecha się i upomina Mah-Jabin, żeby dojadła swoje jabłko, które brązowieje na stole (Jabłka nie rosną na wierzbach, jak zawsze mówiła nam mama); chłopiec zaczyna dokazywać, rodzice grożą mu karą, babka, młody wujek i ciotka starają się godzić zwaśnione strony, ale trwa to krótko i atmosfera szybko się zagęszcza, w kuchni zapada cisza. Wczorajszy dzień — dzień ogłoszenia werdyktu — jest jak ogromny blok lodu, wciąż jeszcze nieodległy, zionący na wszystkich chłodem. Dom, dryfując poprzez czas, napotkał na swej drodze górę lodową i nikt nie ma teraz pewności, czy kiedykolwiek zdołają opłynąć

i zostawić za sobą. Kaukab, żeby wypełnić czymś niezręczne milczenie, wymrukuje od czasu do czasu: „Allah jest wielki!”.

Kiedy wchodzi do łazienki na górze zaraz po opuszczeniu jej przez Charaga, który obmywał tam twarz, wyczuwa, że w miejscu, gdzie przed chwilą stał, linoleum jest cieplejsze, i serce jej się raduje—jej zimny dom jest znowu pełen dzieci, W najmniej spodziewanych miejscach natrafić można na wysepki ciepła.

Shamas wchodzi do domu, kiedy Kaukab opowiada Stelli o pewnej kobiecie z sąsiedztwa, której córki bliźniaczki, podobne do siebie jak dwie krople wody, w tym samym czasie zaszły w ciążę: jedna z nich urodziła w siódmym miesiącu i teraz trzeba to utrzymywać w tajemnicy przed drugą, bo i ona gotowa jeszcze nie donosić swojej ciąży. Na szczęście ta ciężarna jeszcze dziewczyna mieszka w Ameryce i dzięki temu łatwiej ukryć prawdę. Kaukab przed każdym odezwaniem się do Stelli chucha ukradkowo w zagłębienie dłoni i pociąga nosem, żeby się upewnić, czy nie cuchnie jej z ust. Że też nie może tu dostać korzenia kolcorośli, który w Sohni Dharti wrzucało się do mosiężnych i glinianych pojemników na wodę do picia, żeby ta była słodsza i nie tylko gasiła pragnienie, ale również odświeżała oddech.

Shamasowi przychodzi do głowy, że wnuk jest mniej więcej w wieku synka Surai. Stara się odpędzić od siebie tę myśl.

Zdaje sobie sprawę, jak niewiele brakuje, by skończyło się na tym, że będzie się wałęsał po ulicach tego miasteczka, wymrukując pod nosem jej imię. Przygląda się spod oka zajętej przyrządzaniem posiłku Kaukab i próbuje odgadnąć, jaki miała dzień. Wie, ile przeżyła przez tych kilka ostatnich dni, jeśli nie miesięcy. Każdego dnia wracał po rozprawie do domu i opowiadał jej ze szczegółami, co się działo na sali sądowej, a ona słuchała z zapartym tchem. Wczoraj wieczorem zastanawiał się, czy nie uzupełnić relacji z ostatnich kilku godzin życia Chandy i Jugnu o to, co wyznała mu w autobusie Kiran, czy wpleść ten mroczny wątek w i tak już ponurą opowieść. Obawiał się jednak reakcji Kaukab — uznałaby pewnie sekretny romans Kiran z bratem Chandy za dowód, że Kiran jest kobietą lekkich obyczajów i że jej rodzina słusznie postąpiła w latach pięćdziesiątych, nie pozwalając ożenić się z nią jej bratu; może nawet orzekłaby, że Kiran



kłamie, twierdząc, że jej brat odwiedził ją w tajemnicy w Dašte-Tanhai? Przyznać jednak musi, że brał też pod uwagę reakcję odwrotną: że Kaukab zacznie go prosić, by nie mówił nikomu o romansie Kiran z bratem Chandy ani o nocy, którą spędziła z jej bratem. „Ludzie wezmą tę biedną kobietę na języki i będą wytykać palcami. Nawet nie wiesz, jak łatwo zniszczyć życie kobiecie”. Teraz, zerkając na nią ukradkowo, zastanawia się, która z tych dwóch Kaukab jest prawdziwa.

Otoczona dziećmi wydaje się zadowolona.

Rondle śpiewają na gazie. Kebaby *kami* obtaczane w ubitym jajku obciekają jak pyski krów, które przed chwilą napiły się z wiadra, i skwierczą głośno w zetknięciu z trzeszczącym jak celofan olejem. Wszyscy prócz Kaukab i Mah-Jabin siedzą przy stole przeniesionym do pokoju gościnnego i jedzą z żółtych talerzy. W kuchni Mah-Jabin — mając na uwadze, że matka od rana jest na nogach, a do tego odczuwa te bóle w dole brzucha — prosi Kaukab, żeby dołączyła do biesiadników, ale Kaukab odmawia. Mah-Jabin mówi jej, że przyjedzie w styczniu do Dašte-Tanhai, żeby być przy niej, kiedy będzie musiała pójść do szpitala na operację, że załatwiła już sobie urlop w pracy na ten okres. Kaukab każe jej zniżyć głos:

— Mężczyźni jeszcze usłyszą, a to kobieca sprawa.

Matka z córką tworzą zgrany zespół; Mah-Jabin przenosi partiami na stół parujące kebaby, a tymczasem zręczne dłonie Kaukab lepią ćapati w tempie jednej sztuki na minutę. Stella jak zwykle włosy ma w nieładzie i Charag odgarnia palcem niesforny kosmyk z jej policzka. Kiedyś robił to językiem, a potem całował.

Kiedy pierwszy głód już zaspokojony, po brzuchach biesiadników rozchodzi się miłe ciepło i posiłek wchodzi w bardziej rozluźnioną fazę, Kaukab prosi Mah-Jabin, żeby usiadła przy stole.

Shamas odwija nitkę z „nogi rozgwiadzy” wnuka.

Ostro przyprawiony kalafior znika w ustach Stelli i wypływa jej oczami pod postacią łez.

Malutkie czerwone gwiazdki — które Kaukab wycięła pracowicie z plasterków buraka ćwikłowego — odrzucane teraz przez Ujalę tworzą wydłużający się naszyjnik na krawędzi jego talerzyka z sałatką.

Kaukab, stawiając na stole półmisek z ćapati, zauważa z za-

skoczeniem białe cętki na paznokciach Stelli, świadczące o niedoborze wapnia. Jej też się czasami takie robią i bardzo się ich wtedy wstydzi — są dla białych jeszcze jednym dowodem, że Pakistańczycy to ludzie niezdrowi, zapowietrzeni, brudni roz-nosicielec epidemii, jak na przykład ospy, którą w latach sześćdziesiątych przywlekli ze sobą do Anglii. Od przyjazdu Charaga i Stelli wyrzuca sobie, że zapomniała wyszczotkować wcześniej zęby, by pozbyć się przykrego zapachu z ust.

Stella opowiada, jak była nie tak dawno z synkiem na odpuście. Kupili sobie po celofanowej torebce wypchanej jak poduszka cukierkami i weszli do namiotu, w którym na wyłożonych atłasem marach leżała Śpiąca Królewna. Była jak z wosku, i na dowód, że nie żyje, impresario ukłął ją przez suknię długą szpilką do kapelusza z perłowym łebkiem. Podchodząc do śpiącego ciała, Stella poczuła się jak dziecko, które budzi się z koszmarne snu i przestraszone chce biec do pokoju rodziców, czy może raczej jak złodziej włamujący się do domu, którego mieszkańcy pogrążeni są we śnie.

Kaukab mówi, że księżniczka powinna rozstawiać w korytarzach pałacu wonne geranium, bo wtedy, gdy o któreś otrze się jakiś nieproszony gość, zapach ja obudzi.

Twarz na marach, otoczona włosami bujnymi niczym grzywa dzikiego konia, należała do kobiety ukrywającej się pod woskowym manekinem — kiedy odpust się skończył, spotkali ją pijaną, zataczającą się po brukowanym placu; wymachiwała ściągniętą z głowy peruką i obrzucała wyzwiskami przechodniów.

W połowie posiłku Charag przypomina Stelli, że mają w samochodzie prezent dla Shamasa i Kaukab. Stella chce iść do auta, ale Kaukab prosi ją, żeby nie wstawała.

— Zimno na dworze jak w kosmosie — mówi. — Charag niech idzie.

Stella jest w spódnicy, nogi poniżej kolan ma odsłonięte, a Kaukab nie chce, żeby ktoś z sąsiadów zobaczył nagą skórę i odpowiednio to skomentował; kiedy byli jeszcze małżeństwem, prosiła Charaga, żeby powiedział Stelli, żeby nie nosiła takich nieskromnych strojów — przynajmniej, kiedy tu przyjeżdżają — ale nie poskutkowało. Nie oczekiwała od Stelli, że zacznie się ubierać w *szalwar-kamis* i okrywać głowę chustą

(choć nic by jej bardziej nie uszczęśliwiło; wiele białych kobiet po wyjściu za mąż za muzułmanina zarzuca dawny styl ubierania się), ale nie życzyła sobie, by synowa wystawiała ciało na widok publiczny.

Charag wstaje i wychodzi do samochodu. Wraca z małą kwadratową paczuszką owiniętą w szary papier i obwiązaną sznurkiem.

— Niespodzianka, mamó. Otwórz.

Kaukab, rozplątując supełek na sznurku, przypomina sobie, jak pierwszy raz zawiązała na czymś węzeł w obecności Stelli: zdrętwiała wtedy na moment, zastanawiając się, czy nie istnieje czasem jakiś zachodni sposób wiązania węzłów — bardziej wyrafinowany, lepszy. Może sposób, w jaki ona zawiązała ten węzeł, jest prymitywnym sposobem wiązania węzłów?

— Będąc tu ostatnio, odkupiłem od fotografa z centrum miasteczka wszystkie zdjęcia i negatywy, jakie miał w archiwum. Pochodzą z lat pięćdziesiątych, sześćdziesiątych i siedemdziesiątych i przedstawiają pakistańskich i hinduskich imigrantów — mówi Charag. — Spotkałem wtedy nad jeziorem jakąś kobietę i to mnie zainspirowało do podjęcia próby sportretowania w swoich pracach społeczności, w której się wychowywałem.

— 1 szperając w pudle, znalazł to — wtrąca z uśmiechem Stella. — Coś niebywałego.

To rodzinna fotografia — Charag i Mah-Jabin jako dzieci siedzą w studio po turecku na wzorzystym dywanie; Shamas stoi i wygląda niewiarygodnie młodo; Kaukab siedzi w stylowym fotelu, jest właśnie w ciąży z Ujalą i brzuch ma pękaty jak żarówka, jak wazon. Kaukab uśmiecha się i pokazuje wszystkim oprawioną w ramki fotografię.

Shamas

Kaukab (Ujala)

Charag

Mah-Jabin

— Pamiętam, jak szylałam ci tę koszulę, Charagu — mówi z uśmiechem. — Skarzyłeś się, że kołnierzyk jest za sztywny. Materiał był szorstki jak nowy banknot.

— Wszedłem tam zupełnie przypadkowo, żeby się trochę rozejrzeć, i fotograf powiedział mi, że w tym roku zwija interes. Patrzcie na te dwa warkocze Mah-Jabin! W którym miesiącu ciąży wtedy byłaś, mamó?

— Nie bądź wulgarny. — Kaukab ściąga brwi. — Później Mah-Jabin zażądała, żeby pleść jej tylko jeden warkocz. „Kiedy idę z braćmi do szkoły — poskarżyła mi się — biorą mnie między siebie i pociągają to za jeden, to za drugi warkocz”. Z jednym warkoczem zredukowała tę niedogodność o połowę.

Shamas nie wierzy własnym uszom. Kiedy przekazywana z rąk do rąk fotografia dociera wreszcie do niego, nie spoglądając na nią, pyta Charaga:

— A gdzie reszta? W bezpiecznym miejscu? Kaukab zerka znacząco na Stellę: „Ach, ci mężczyźni!”.

— Co cię obchodzi reszta? Patrz na tę, którą masz przed oczami.

— Nie, nie, to ważny dokument — mówi Charag. — Są bezpieczne, tato. Może namaluję na ich podstawie cykl obrazów.

— Chciałem, żeby miasto je wykupiło, ale w końcu nieważne, kto je ma, byle tylko jego mieszkańcy zostali w taki czy inny sposób upamiętnieni. — Kładzie dłoń na ramieniu Charaga. A więc zdjęcia ocalały!

Charag zastanawia się, czy dotychczasowa obojętność ojca na jego malarstwo nie wynikała czasem z tego, że nie dostrzegał w jego pracach społecznego przesłania. Shamas, pomimo że widywał w domu przykłady jego talentu, pomimo że jego szkice luszem indyjskim regularnie ilustrowały prowadzoną przez Jugnu w „Afternoon” rubrykę *Notatki z natury*, nigdy nie zachęcał go do zostania malarzem, a kiedy Charag został malarzem, nie pochwalał tego. Czyżby Shamas — znający wielu politycznie zaangażowanych artystów z Pakistanu — był zdania, że artyści w Anglii też powinni się zajmować tego rodzaju trywialną działalnością?

Shamas patrzy na Charaga, a ptak w jego piersi popiskuje z dumą: *Mój syn... Mój syn...* Dawniej nie wiedział, jak od-

czytywać malunki Charaga — byty zbyt osobiste, by wzbudzić jego zainteresowanie — ale teraz, teraz, kiedy Charag wspomniał, że może wykorzysta w jakiś sposób fotografie imigrantów, Shamas już wie, że syn dojrzeva jako artysta, staje się świadomy odpowiedzialności, która ciąży na nim jako artyście.

*Czemu większą mam poświęcać uwagę: miłości do ciebie czy niedolom całej reszty świata? Powiadają, że mieszając dwa rodzaje win, człowiek bardziej się upija.*

Dobry artysta wie, że społeczeństwo warte jest portretowania.

— A widziałeś zdjęcie Charaga w gazetach z ostatniej niedzieli? — pyta Shamasa Stella i nie zważając na protesty Charaga, wyciąga z torebki niedzielny dodatek do gazety. Na okładce Charag w towarzystwie dwóch innych młodych malarzy.

— To wujek Philip i wujek Toby! — krzyczy dziecko. Artykuł utrzymany jest w pochlebnym tonie, ale nie brak

w nim krytycznych uwag dotyczących twórczości Charaga: on przejdzie jakoś nad tą krytyką do porządku dziennego, ale wolałby, żeby ojciec nie czytał tekstu, bo gotów go jeszcze uznać za beztalencie.

Ujala, przebiegłszy artykuł wzrokiem, zaczyna czytać na głos:

— Napisano tutaj: *W pewnych kręgach artystycznych nakładanie farby na płótno uważane jest obecnie za wsteczniestwo. Ale dla mnie malarstwo pozostaje nadal jednym z najważniejszych środków wyrazu, mówi trzydziestodwuletni Charag Aks. Malarz siedzi w swoim mieszkaniu z czekoladowym batonikiem w ręku, dookoła pochlapane farbą monografie i książki poświęcone teorii krytyki...* Dalej opisywany jest jeden z jego obrazów i ten opis kończy się tak: *Nie ma tu żadnego efekciarstwa; to rapsodia powściągliwej formy i koloru. Artysta narzuca sobie bardzo surową dyscyplinę. I właśnie kombinacja tych cech tak zafrapowała kolekcjonera Marschalla Gaffneya, że zamówił u niego na pniu wszystko, co namaluje w ciągu roku. Obrazy, które w tym okresie powstały a jest ich w sumie osiem (z czterostopowym aktem zatytułowanym Autoportret nieprzy-*

cięty włącznie), będzie można obejrzeć na drugiej wystawie *Młodych Artystów Brytyjskich*, która otwarta zostanie w styczniu w Galerii Gaffneya w Londynie.

Kaukab bierze magazyn i uśmiechając się z dumą, patrzy na fotografię Charaga. W środku zamieszczono również zdjęcie *Autoportretu nieprzydętego* i na jego widok Kaukab zamyka magazyn. Charag namalował siebie bez ubrania, stojącego pośród zamglonego gaju pełnego małych, nieskazitelnych motyli, gałęzi uginających się pod ciężarem kwiatów i liści, dudków, papug oraz mnóstwa owadów i zwierząt. Znad jeziora w tle unosi się mgła, a jego penis jest nieobrzezany.

Charag widzi na twarzy matki zgorzenie i wyjaśnia:

— Próbuję przez to powiedzieć, że to był pierwszy akt gwałtu dokonany na mnie w imię systemu religijnego czy społecznego. I zastanawiam się, czy ktokolwiek ma prawo to robić. Powinniśmy wszyscy kwestionować takie czyny.

— Jak możesz! — mówi cicho Kaukab. — Dlaczego wykpiwasz w ten sposób moje uczucia i naszą religię? — Za oknem pojawił się wielki księżyc, jego góry i doliny są szaro-białe, ledwo rozróżnialne, jak na marnej fotokopii. Kaukab najchętniej wyfrunęłaby teraz przez okno.

— To metafora, mamó, i nie chciałem cię urazić. Wybacz, ale dlaczego ty zawsze bierzesz tak wszystko do siebie? Jugnu nauczył mnie, że powinniśmy zrywać kajdany i więzy, które rozmaite grupy manipulantów wymyśliły dla własnej korzyści. Nie możesz tego nie dostrzegać.

— Jugnu tak zrywa! te więzy, że aż umarł — mruczy Kaukab.

— On nie umarł, mamó — wtrąca cicho Mah-Jabin. — On został zamordowany.

— Obrzezanie wychodzi chłopcu na zdrowie — mówi Sha-mas, żeby wesprzeć jakoś Kaukab. — Tak twierdzą zachodni lekarze.

— A gdyby lekarze odkryli jutro, że obrzezanie jest szkodliwe dla zdrowia, to muzułmanie zarzuciliby ten obrządek? — pyta Ujala, nie podnosząc wzroku znad talerza.

— Oczywiście, że nic — fuka Kaukab.

— Też tak myślę. A tak nawiasem mówiąc, gdyby się okazało, że ci zachodni lekarze są tymi samymi zachodnimi leka-

rzami, którzy odradzają małżeństwa między kuzynami, to też byście się na nich powoływali?

— Nie rozumiem, za jakie grzechy jestem raz po raz w ten sposób upokarzana — mówi Kaukab.

— Wiem, że obrzezanie jest korzystne dla zdrowia — mówi cicho Charag — sami kazaliśmy obrzezać naszego synka, ale nie zrobiliśmy tego bynajmniej ze względów religijnych. Nie obraż się, aleja nie mogę malować zakuty w kajdanki.

— A ja myślę, że bardziej pożałowania godne jest twoje prowadzenie. Co chcesz tym obrazem osiągnąć? Udowodnić, że religia, która dała godność milionom ludzi na świecie, jest barbarzyńska?

Ujala prostuje się na krześle i patrzy na Kaukab.

— Godność? Mamo, czy wiesz, że muzułmance nie wolno wyjść za niemuzułmanina? Jej zeznania w sądzie są o połowę mniej warte od zeznań mężczyzny. Niemuzułmanie mieszkający w kraju muzułmańskim są tam w myśl koranicznego prawa obywatelami niższej kategorii: nie mogą zeznawać przeciwko muzułmaninowi. Niewiernych trzeba zabijać; z siedemnastu grzechów głównych islamu brak wiary jest najcięższym, gorszym od morderstwa, kradzieży, cudzołóstwa. W Arabii Saudyjskiej niemuzułmanom zakazuje się praktykowania ich religii, budowania kościołów, posiadania Biblii, bo Mahomet powiedział: „W Arabii nie mogą istnieć dwie religie”.

Podniósł trochę głos i ośmiolatek spogląda na niego gniewnie, wypina pierś i mówi:

— Ty, przestań krzyczeć!

Ujala wyciąga rękę nad stołem i czochra go po główce, wyczuwając na jej czubku guzek wielkości jednopensówki.

— Przepraszam — mówi.

— A ty skąd to wszystko wiesz? — Kaukab, która właśnie wychodziła, zatrzymuje się, odwraca i patrzy na Ujalę.

— Przeczytałem Koran, po angielsku, w odróżnieniu od ciebie, która godzina za godziną, dzień po dniu, zawodzisz monotonna jego wersety po arabsku, nic znając nawet znaczenia poszczególnych słów.

— Jednego nie rozumiem - zaperza się Kaukab. — Dlaczego rozwodząc się tak nad prawami kobiet, nie pomyślisz

o mnie? Co z moimi prawami, z moimi uczuciami? Nie jestem kobietą, jestem eunuchem?

— Religia, która dała godność milionom ludzi na świecie? — podejmuje z przekąsem Ujala. — Amputacje, kamienowanie, chłosta — to nie barbarzyństwo?

— To boskie kary i nie można ich osądzać ludzką miarą. Ujala patrzy na matkę i kręci głową.

— Co by się ze mną stało, mamó, gdybym mieszkając w kraju takim jak Pakistan zmienił religię?

— Dosyć już tej dyskusji, kolacja stygnie — wtrąca Shamas. Nie chce przypominać sobie znowu okoliczności śmierci swojego ojca.

Żeby stworzyć pozory, że wszystko wróciło już do normy — bo przysłuchiwanie się tej wymianie argumentów musi krępować białą dziewczynę — Kaukab podchodzi do Stelli i dotyka jej kolczyków.

— Jakie ładne.

Stella przekrzywia głowę, podstawiając wysadzany diamentami kolczyk pod światło.

— Mama mi je dała, bo teraz kiedy nie ma już takich jędrnych płatków uszu, są dla niej za ciężkie. Naciągają jej skórę i nad zatrzaskiem robią się trzy zmarszczki, jak domalowane lalce rzęsy.

— Bardzo ładne. Spójrz tylko, Mah-Jabin.

Mah-Jabin udaje, że ogląda kolczyki, wydając przy tym pomruki podziwu, które mają zagłuszyć dudnienie bitewnych kotłów, wrzawę i dym starcia.

Ale mimo wszystko Kaukab nie może podarować; Ujala za bardzo ją zranił, żeby puściła mu to płazem.

— A dlaczego miałbyś zmieniać religię? — zwraca się do Ujali. — Islam jest najszybciej rozprzestrzeniającą się religią na świecie.

Shamas słyszał to już kilka razy z rozmaitych źródeł, ale nigdy nie znalazł przekonującego dowodu, jednak nie powie tego teraz, żeby jeszcze bardziej nie pognebiać Kaukab.

— Nikt nigdy nie słyszał, żeby muzułmanin zmieniał religię — dodaje Kaukab.

Shamas wie, że to nieprawda, ale nic nie mówi, skupia się na posiłku.



— A ja może bym zmienił, bo islam nadal otumania proste, niewykształcone kobiety do tego stopnia, że podają trucizną własnym synom — mówi Ujala.

Wszyscy spoglądają na niego — wszyscy z wyjątkiem Kaukab.

— O czym ty mówisz? — pyta Charag.

— Kocham swoje dzieci. — Kaukab patrzy Ujali w oczy.

— Jestem pewien, że tak ci się wydaje — odpowiada Ujala.

— Dostyc tego, Ujala, proszę cię — wtrąca się Mah-Jabin. — Są powody, dla których mama jest niewykształcona. Słabo zna angielski i boi się wychodzić z domu, bo nie ma pewności, czy na ulicy nie spotka ją jakaś przykrość...

— Nie oszukujmy się — wpada jej w słowo Ujala. — Byłaby dokładnie taka sama, nawet gdyby nie mieszkała tutaj, w Anglii. Jakie zrobiła postępy w Pakistanie, gdzie znała język i była wśród swoich...

Mah-Jabin kręci głową.

— Jeśli jest taka, jaka jest, to dlatego że przeszła, przez co przeszła. Nie mówiłbyś tak, gdybyś wiedział, jaki jest status kobiety w Pakistanie. Ty...

Teraz przerywa jej Kaukab;

— Status kobiet w Pakistanie jest taki jak powinien. Ujala uśmiecha się triumfująco. — Widzisz, Mah-Jabin? A powiedz nam, mamó, czy według ciebie Chanda i Jugnu byli grzesznikami?

— Jeśli myślisz, że przyklaskuję ich mordercom, to się mylisz.

— Ale czy byli plugawymi, nieczystymi grzesznikami? Kaukab rozgląda się jak osaczone zwierzę.

— Tak.

— Czyli przykro ci, że ich zamordowano, ale grzesznikami byli. To tak, jakby sędzia mówił: „Wytoczmy temu przestępcy sprawiedliwy proces, a potem go powieśmy”. Czy po śmierci poszli do piekła? Tak czy nie? — Trzyma w ręku łyżkę i mówiąc, wpatruje się w nią. Zniekształcone odbicie własnej twarzy w wyoblonej stali przypomina mu Jugnu przeglądającego się w lśniącym grzbiecie skarabeusza.

— Czego ty ode mnie chcesz, czego chcesz od nas? — pyta Kaukab. Najchętniej zakończyłaby już tę rozmowę, tę bitwę bez widocznego rozlewu krwi. — Chcesz usłyszeć od swoich rodzi-

ców, że wszystko, co robili, było złe? Chciałbyś się dowiedzieć, jakie błędy popełnili w życiu i których najbardziej żałują? To ci powiem: moim największym błędem był przyjazd do tego kraju, kraju, gdzie dzieciom wolno odzywać się tak do rodziców, kraju, gdzie grzech jest na porządku dziennym. Ale przyjechałam tu, bo twój ojciec był niepoprawnym marzycielem i zadarł z władzami. Kiedyś, kiedy mu powiedziałam, że mamy teraz dziecko i pora pomyśleć o przyszłości — o oszczędzaniu pieniędzy na naukę dziecka, na budowę domu, odparł, że zanim dziecko dorośnie, na świecie zapanuje komunizm i takie rzeczy, jak nauka, opieka zdrowotna i dach nad głową, będą za darmo.

Shamas unika spojrzeń obecnych, ale tylko dlatego, że nie chce podejmować tego tematu. Bo nic wstydzi się wcale tego, w co kiedyś wierzył - nadal wierzy, że trzeba znaleźć sprawiedliwszy, bardziej ludzki sposób organizacji świata.

— Trudno sobie wyobrazić związek dwojga ludzi bardziej niebezpieczny od waszego — mówi Ujala. — Ty tęskniłaś za światem i czasami swoich dziadków, za ich porzekadłami i zwyczajami; ojciec snuł mrzonki o świecie i czasach, które chciał pozostawić w spadku swoim wnukom. A co z waszymi obowiązkami wobec ludzi, którzy otaczali was tutaj i teraz? Dla ciebie ci tutaj byli mniej ważni od tamtych leżących w grobie, dla ojca ważniejsi byli ci, którzy chodzili mu po głowie, którzy się jeszcze nie narodzili.

Mah-Jabin zaprzecza.

— Moim zdaniem marzeń ojca nie wolno nazywać mrzonkami. To szlachetna idea: dbać, by nikt nie miał za wiele, dopóki każdy nie będzie miał w sam raz. — Oczywiście, że szlachetna — mówi Ujala — ale co on zrobił, żeby ten cel osiągnąć? Niewiele, jeśli w ogóle cokolwiek.

Shamas zawsze to sobie wyrzucał — zrobił niewiele, jeśli w ogóle cokolwiek.

— Nieprawda — odzywa się Charag. — Ojciec po przyjeździe do Anglii namawiał robotników ze swojej fabryki, żeby wstępowali do związków zawodowych, i walczył też ze związkami, które nie chciały przyjmować w swoje szeregi obcokrajowców. Przez całe życie prowadził tego rodzaju działalność.

Kaukab jest przygnębiona. *Patrzcie, jak oni wszyscy bronią*

*ojca, złego słowa nie dają na niego powiedzieć, a na mnie bez skrepowania naskakują.*

Ujala wzdycha, wstaje i podchodzi do okna. Tyle ma jeszcze do powiedzenia. Czuje się jak nakręcany samochodzik, który utknął w puszystym dywanie; stoi, ale jest wciąż naładowany energią. Nagle zrobiło się cicho. Przez cały wieczór zimowy wiatr hulał po ulicach, roznosząc i wytwarzając dźwięki, tarmosząc hawajską spódniczkę z traw na wierzbie w sąsiednim ogrodzie, rozwiewając z głośnym szelestem zmrożone liście jaworu na ścieżce za domem, poświstując w wysokiej trawie porastającej stok wzgórza, ale teraz wszystkie te ulotne pieśni zamarły i dwadzieścia klonów wzdłuż bocznej uliczki otrząsa się sztywno z resztek wiatru.

Shamas i Stella zaczynają sprzątać ze stołu, a Kaukab siada na krześle bokiem (żeby mieć wolne nogi na wypadek, gdyby była potrzebna i musiała szybko wstać); zaczyna jeść, nałożywszy sobie na talerzyk z niedojedzonym posiłkiem wnuka. Mah--Jabin siedzi z bratankiem przy stoliczku, chłopiec jest zafascynowany obrotową tarczą dwudziestopięcioletniego telefonu, którą teraz znaleźć można tylko w dziecięcych zabawkach. Ten telefon dzwoni zamiast terkotać, słuchawkę ma ciężką jak automaty w budkach telefonicznych, podczas gdy słuchawki współczesnych aparatów są leciutkie jak piórka. Mah-Jabin uświadamia sobie teraz, że nie dzwoni nigdy do domu, jeśli wie, że po rozłączeniu się nie będzie miała nic do roboty i siłą rzeczy zacznie rozpamiętywać rozmowę; zawsze wynajduje sobie zawczasu coś, czym będzie się mogła zająć natychmiast po odłożeniu słuchawki. Stół już uprzątnięty, Charag idzie za Mah-Jabin do kuchni po wermiszel. Tam pyta Mah-Jabin, co miał na myśli Ujala, napomykając, że Kaukab truje swoich synów. Mah-Jabin ociąga się, ale w końcu mówi mu prawdę.

Kaukab widziała, jak Charag wchodzi za Mah-Jabin do kuchni, i domyśliła się, że poszedł zapytać siostrę na osobności, o co chodziło Ujali z tym truciem. Kiedy długo nie wracają — no bo ileż może zająć zabranie półmiska, stosu miseczek i łyżek? — wyteża słuch, może dojdą ją stamtąd jakieś szepty. Z miny Charaga wchodzącego do pokoju z półmiskiem wermiszelu wyczytuje, że Mah-Jabin wszystko mu powiedziała.

i jakby na potwierdzenie Mah-Jabin — idąca za Charagiem

z miseczkami i łyżkami — unika jej wzroku. Dziewczyna nieumiejętnie nakryła wermiszel złotą folią i ta, porozdzierana tu i ówdzie, wygląda jak pokryte bąblami lustro.

— Wiem, że macie mnie wszyscy za najgorszą na świecie kobietę — słyszy swój głos Kaukab — aleja... — I spokojnie, zwracając się to do Charaga, to do Shamasa, przechodząc od czasu do czasu na angielski, żeby i Stella coś z tego zrozumiała, zapewnia obecnych, że nie wiedziała, że solą, którą dał jej imam-ji, był bromek — czymkolwiek ten bromek jest — i widząc siebie sięgającą do kieszeni swetra na wiele sekund przed faktycznym wykonaniem tego ruchu, wyjmuje list i mówi: — Wiem, Mah-Jabin, że nie mogłaś zrozumieć, czemu tak cię namawiam do powrotu do męża, ale nalegałam, bo nie miałam pojęcia o tym, co tu napisane. Wiem, że wygląda to tak, jakbym nie potrafiła zrobić kroku, żeby nie nadepnąć komuś na odcisk, ale ja naprawdę nie chcę nikomu sprawiać bólu.

Mah-Jabin rozpoznała list i doskakuje do Kaukab, żeby go wyrwać.

Kaukab wychodzi z pokoju i wbiega po schodach na górę. Chce być sama. Zamyka za sobą drzwi sypialni, przekręca klucz w zamku i kładzie się na łóżku. Chciała odpocząć tylko chwilę, ale wychodzi z sypialni dopiero po półtorej godzinie. Musi szybko zejść na dół, bo inaczej Mah-Jabin sama zabierze się do zmywania, a za dużo dzisiaj talerzy i rondli, żeby ją tym obarczać.

Schodzi na dół, a tam Shamas wnosi krzesła z powrotem do kuchni. Stół stoi już na swoim dawnym miejscu.

— Stella i Charag poszli? — pyta Kaukab. Shamas kiwa głową, a zapytany o Mah-Jabin i Ujalę, odpowiada, że oni też już wyszli:

— Zabrali się razem. Mah-Jabin pukała do ciebie przed wyjściem, ale nie odpowiadałaś.

— Dokąd pojechali? Kiedy wrócą? — pyta z paniką w głosie Kaukab. — Muszę porozmawiać z Mah-Jabin, powiedzieć jej, że następny mąż, którego jej znajdę, będzie porządnym człowiekiem, i z Ujalą też chcę porozmawiać. Nie oczekiwałam radosnego pożegnania, ale mogli mi przynajmniej powiedzieć „do widzenia”. — Podbiega do drzwi frontowych, otwiera je i rozgląda się z rozpaczą w oczach. Na jej widok czmycha w popłochu włączający się po ogródku kot koloru drewna san-

dałowego. — Dawno pojechali? - - Tak szybko to się skończyło; nastawiała się od rana, że spędzi z dziećmi wiele godzin, a z Ujalą nawet parę dni: czuje przygniatające rozczarowanie, tak jak w dzieciństwie, ilekroć zdarzyło jej się połknąć niechcący cukierek, który zamierzała ssać powolutku, by jak najdłużej rozkoszować się jego smakiem.

Przenikliwie zimno wdziera się do domu niczym morze. Shamas prosi ją, żeby się uspokoiła i przysiadła na parę minut na krześle. Kaukab robi to z kamienną twarzą, ale zaraz wstaje i zaczyna zmywać, machając tylko ręką, kiedy Shamas proponuje, że ją w tym wyręczy. Szoruje mechanicznie rondle i patelnie, dopóki nie lśnią tak, że można się w nich przejrzeć. Ma do umycia pięćdziesiąt pięć sztuk naczyń. Potem trzeba jeszcze przełożyć na mniejsze talerze i schować do lodówki to, co zostało z kolacji. O dziesiątej odmawia nocną modlitwę i chociaż modli się bezgłośnie, jej wiara nie jest niema: Shamas słyszy ją, jak krzyczy, klęcząc na dywaniku modlitewnym. Sprzątają potem, nie odzywając się do siebie słowem, i o jedenastej kuchnia i pokój gościnny przywrócone zostają do pierwotnego stanu — szuflady pozasuwane, patelnie i rondle poukładane w szafkach, podłogi zamiecione, a na stoliczku do kawy przestawionym z powrotem na środek pokoju gościnnego jarzą się białe lilie.

Zasypiając, Shamas słyszy Kaukab w sąsiedniej sypialni.

W środku nocy otwiera oczy, wybudzony ze snu jakimś hałasem, który doleciał z dołu. Zimowe noce są zwodnicze, przypomina sobie: za oknem ciemno, ale świt zapewne już blisko — i Kaukab zeszła na dół na pierwszą tego dnia modlitwę. Zerka na zegarek i stwierdza, że jest dopiero trzecia nad ranem. Za wcześnie na poranne modły. Chociaż nie pierwszy to raz, kiedy któreś z nich wstaje w nocy, schodzi na dół i zagrzechocze tam buteleczką aspiryny, ale mimo wszystko postanawia przeprowadzić rekonesans. Zstępując po ciemnych schodach, widzi cieniutką jak koperta kreskę światła pod zamkniętymi drzwiami do kuchni. Na ostatnim stopniu popełnia błąd — myśli, że schody ma już za sobą—i jego noga spada w dwudziestocentymetrową przepaść, lądując z głośnym tąpnięciem na podłodze. To tak, jakby nacisnąć z całych sił pusty zszywacz do papieru, będąc przekonanym, że jest załadowany zszywkami. Wchodząc do kuchni, odnosi wrażenie,

że Kaukab nie słyszała hałasu, jakiego narobił, bo pozostaje w bezruchu, i mówi tylko cicho, patrząc na rondelka stojący na kuchence:

— Czekam, aż ostygnie. Za gorące, żeby pić.

— Mleko? — Shamas chce zajrzeć do rondelka, a wtedy ona doskakuje od tyłu i odpycha go. Shamas uderza biodrem o kant szafki i zgina się z bólu wóół. Zamykał właśnie dłoń na uchwycie rondelka i teraz rondelka przechyla się i spada z palnika: chlusta z niego przezroczyta struga wody niosąca tysiąc jednopensowych monet, które rozsypują się ze stłumionym pobrzękiwaniem po linoleum.

Krag pary unosi się od rozlanej wody ku czterem ścianom. Kaukab pada na czworaki i zbiera jednopensówki.

— Zostaw mnie. — Stara się strącić z ramienia rękę Shama-sa. — Wypiję tę wodę. — Kiedy Shamas próbuje podnieść ją z podłogi, odwraca się i pazurami lwicy orze mu twarz. — To ty mnie tu przywiozłeś, do tego przeklętego kraju. Przez ciebie straciłam dzieci.

Shamas jest przerażony. Pewien mężczyzna z Sohni Dharti popełnił samobójstwo, wypijając wodę, w której gotowały się monety, krewni myśleli, że zatacza się, bo jest pijany, i położyli go do łóżka, żeby się wyspał.

Kaukab patrzy na niego dzikim wzrokiem.

— To przez ciebie moje dzieci mnie nienawidzą. — Rzuca się przed siebie, ale on jest tym razem przygotowany, chwytają od tyłu i odciągają od monet zachodzących na siebie jak rybie łuski. Nie ma już wprawdzie żadnego niebezpieczeństwa, bo woda się rozplynęła, ale mimo wszystko lepiej, żeby tych monet moczących się przed chwilą w śmiercionośnym wywarze nie dotykała.

— Tak, to przez ciebie. Czytałeś, co ta bestia, twój bratanek, robił mojej córce, mojej piękniejszej od kwiatu córce? — Wyswobadza się z jego objęć i wstaje. Tył jej *komis* i góra *szabwar* nasiąknięte są trującą wodą. — Wiedz, że odebrałeś Mah-Jabin szansę na szczęśliwe życie. Nic chciałeś się przeprowadzić do lepszej dzielnicy, a żadna porządna rodzina nie przyjdzie nigdy prosić o rękę dziewczyny mieszkającej w tym trzeciorzędym osiedlu ludzi, którzy pracują w młynie albo w „Klejnocie Korony”, albo w „Gwieździe Pendżabu”. Trzeba

myśleć o takich rzeczach, kiedy ma się córki. Prosiłam cię, żebyś zapomniał na chwilę o zasadach, kiedy była mowa o nadaniu ci Orderu Imperium Brytyjskiego, dla dobra dziewczyny, żeby przynajmniej miała pochwalić się czymś przed ludźmi, choćby twoim zdjęciem w urdyjskiej gazecie, ale ty się zapałeś, powiedziałeś, że nic zależy ci ani na zaszczytach, ani na władzy. Przysięgam na Koran, nie chciałam tego dla siebie, lecz dla dzieci. Chciałam wykierować Charaga na lekarza, żeby ludzie mówili, że Mah-Jabin jest siostrą doktora, ale to moje marzenie też się nie spełniło. I jak ja znajdę jej innego męża teraz, kiedy zdjęcie jej brata jest w gazecie, ale z odrażająco niemoralnych powodów, wstrętnych powodów. Mogę mieć tylko nadzieję, że nikt nie zobaczy tego magazynu. Jak spojrzę w oczy przyzwoitym, bogobożnym ludziom z osiedla, jeśli rozejdzie się wieść o tym upodlającym zdjęciu? Jakże ja cię nienawidzę za to, że pozwoliłeś szatanowi zasadzić swoje nasiona w moim brzuchu.

Shamas wie, że to nawiązanie do wierzenia, że jeśli mąż przed penetracją nie przeczyta stosownych wersetów Koranu, szatan będzie dzielił z nim stosunek seksualny. Surowa jest też kara, jeśli mąż nie wyrecytuje określonych wersetów dokładnie w momencie ejakulacji: nasienie szatana wpływa wraz z nasieniem męża do łona kobiety i poczęte w ten sposób dziecko będzie miało skłonności do szatańskich postępów.

Słucha monotonnego głosu Kaukab. Wśród jednopensówek leży jedna moneta półpensowa, wycofana już z obiegu. Dawno takiej nie widział. Monety odnajdywane czasem w murszejących kieszeniach zakopanych zwłok pomagają policji w ustaleniu, z jakiego mniej więcej okresu mogą pochodzić. Co mieli w kieszeniach Chanda i Jugnu, kiedy ćwiartowano ich ciała?

— Charag nie dostał się na studia medyczne, bo nie mógł się w tym domu skupić na nauce; sąsiadka zza ściany zaczęła szyc dzinsy dla jakiejś firmy odzieżowej, zainstalowała sobie w kuchni przemysłową maszynę do szycia i jej warkot słychać było przez dwanaście godzin dziennie w każdym pokoju. W lepszej dzielnicy tak by nie było. A Ujala dorastał wśród żyjących z zasiłku synów robotników z fabryki, zaczął myśleć jak oni i skończyło się na tym, że mając piętnaście lat, rzucił szkołę. W lepszej dzielnicy miałby wokół siebie lepsze przykłady do

naśladowania. W zeszłym miesiącu o mało nie wyzwalałeś mnie od snobek, kiedy powiedziałam, że nie chcę widzieć w swoim domu tego dawnego koleżki Ujali, a nie chciałam nie dlatego, że on jest na zasiłku, a jego ojciec pracuje w młynie, lecz dlatego, że ten chłopak jest podobno sprytnym złodziejaszkiem i gdyby tylko chciał, potrafiłby ci ukraść *kohl* z oczu. Brakowałyby mi kobiet z osiedla, gdybyśmy się stąd wyprowadzili, ale gotowa byłam się poświęcić dla dobra dzieci. Dzisiaj wieczorem bardziej od fotografii swojej rodziny interesował cię los innych zdjęć.

— To ważny dokument.

— Zdjęcie twojej rodziny też.

Górna warstwa monet już ostygła, ale te pod spodem są jeszcze ciepłe, unosi się nad nimi smużka pary, jak nad przełamanym tuż po wyjęciu z piekarnika ciastkiem. Shamas bierze słoik, w którym się znajdowały (bliźniak tamtego, na którym uformowana została klatka pawicy), i napełnia go ponownie, zbierając z podłogi śliskie krażki. Czuje na twarzy lekki, prawie namacalny dotyk pary; w pewnym momencie nachodzi go taka odraza, jakby la para unosiła się z trzewi zarżniętego zwierzęcia, ale to mija. I teraz para jest jak to skrzydło łabędzia, które w tym roku, pewnej letniej nocy wyciągnęło się do niego i musnęło policzek; on wracał z zebrania w ratuszu miejskim, które przeciągnęło się do późnych godzin wieczornych, a ten mlecznobiały ptak siedział na środku jezdni, chłonąc z asfaltu resztki dziennego ciepła.

Wchodzi za Kaukab na górę. Kaukab wspina się po schodach bokiem jak staruszka, trzymając się poręczy: zeszłoroczny zastrzyk ze steroidów w rzepkę kolanową pomógł trochę na artretyzm, ale noga nadal nie jest taka jak dawniej. Shamas patrzy, jak Kaukab przebiera się w suche ubranie i kładzie do łóżka. Może chciałaby gorącego mleka?

Schodzi do kuchni, wyciera podłogę, a potem siada i patrzy na słoik z monetami (dziewczynka z sąsiedniego domu kaszle przez sen). Widok monet budzi w nim bunt, poczucie zagrożenia. Wraca szybko na górę i zajrzawszy do Kaukab, ubiera się, bierze słoik i wychodzi z domu. Nie będzie ich trzymał pod swoim dachem. Wrzuci je do jeziora; to nie potrwa długo. Ale po minucie marszu zimno zmusza go do zawrócenia. Grudzień wysysa z jego ciała ciepło białymi obłoczkami pary. Wspina się znowu po schodach



i zajrząwszy do Kaukab, wchodzi do garderoby, w której trzyma whisky. Bierze na podeście dwa łyki, wsuwa butelkę do kieszeni płaszcza i rusza ponownie nad jezioro. Podśluchał kiedyś, jak Charag mówił do Stelli, że rad jest, że islam zabrania picia alkoholu, „bo gdyby nie, to mój ojciec i moja matka zostaliby niechybnie alkoholikami”. Klony wzdłuż stromej bocznej uliczki przebiegającej między meczetem i kościołem zaczęły z początkiem jesieni krwawić kropla po kropli i teraz już się prawie wykrwawiły, są szkieletami dawnych siebie. Księżyc przegląda się w kałuży na poboczu drogi, a gwiazdy w tę przenikliwie zimną noc są bliżej idącego nad jezioro Shamasa niż roziskrzony welon z głowy panny młodej (jak powiedziała kiedyś Kaukab).

Kaukab siada na łóżku i przytomniejąc, uświadamia sobie, że w domu nie ma już dzieci. Przespała niespełna godzinę, więcej nie może. Brzuch przeszywają spazmy bólu przypominającego ten „trzydniowy” u kobiet po porodzie, kiedy łożo szaleje, nie mogąc się doszukać płodu, który jeszcze niedawno się w nim rozwijał.

Tak by chciała dostać choć na kilka minut do ręki Księgę Przeznaczenia. Przekartkowałaby ten złoty tekst w poszukiwaniu szczęścia, nie zważając na werbel rozbijających się o okienną szybę ciemwabionych przez światło emanujące z inkaustu Allaha. Ach, gdyby tak anioły upuściły przypadkiem Księgę i ta wylądowała w jej ogrodzie spowita złotym nimbem szczerzłotej jasności. Spadając poprzez ciemność, przywabiałaby ómy z cieplejszych zakątków wszechświata i te leciałyby za nią jak zasysane przez wir. Te ómy z innego świata, ze skrzydełkami owłosionymi lekko jak grzbiet dłoni mężczyzny, wirowałyby nad leżącą w ogrodzie Księgą w szaleńczym tańcu iskier nad ogniskiem. A ona wyszłaby przed dom i podniosła Księgę, odpędzając wolną ręką owady, wprowadzając je w amok woniami przypraw, którymi dzisiaj przesiąkła. Księga po podróży przez kosmos byłaby bardzo zimna. Wróci z nią szybko do domu, tuląc do piersi sekrety swojego przeznaczenia. Po otwarciu Księgi na twarz padłby jej blask zawartych tam świetlistych słów i szukając szczęścia, czułaby na skórze ciśnienie tego blasku.

Odnajdzie stronę, na której rodzina idzie zrobić sobie to zdjęcie (jak chciał Allan i jak zapisały anioły piórami wyrwanymi ze swoich skrzydeł).

Wystarczy przewrócić kilka kartek i oto ona sprzed sześciu lat, patrząca przez okno na przechodzącego przed domem młodego mężczyznę, który był szkolnym kolegą Ujali — jej ślicznego syna Ujalia. Ujalia, jak to robią czasami chłopcy, dał mu kiedyś kurtkę w zamian za parę butów. Zauważyła, że kurtka jest za mała dla noszącego ją teraz chłopca, i pomyślała ze ściśniętym sercem, jak też musiał wyrosnąć Ujalia przez te lata, przez które nie widziała nawet jego zdjęcia. W tym wieku chłopcy rosną i potężnieją w takim tempie, że kupione im w sklepie ubrania po rozpakowaniu w domu są już za małe.

Przerzucając stronicę Księgi w przód, poszuka tamtego dnia w zeszłym roku, kiedy zrodziło się przypuszczenie, że Chanda i Jugnu nie żyją — żeby znaleźć dowód, że sąd się pomylił, że Allah jest mimo wszystko miłosierny i litościwy. A jeśli okaże się, że to wszystko prawda? Jakie intencje miał Allah, nakazując zabicie dwojga kochanków? Kaukab przypomina się dwuwiersz mogolskiego poety Ghaliba: *Rękopis mego przeznaczenia — przez niechlujstwo skryby - pełen jest rozmazanych liter i kleksów z inkaustu; te ciemne miejsca to czarne noce, które spędziłem bez ukochanej.*

Nic, nie, nie wolno jej nawet przez moment uskarżać się na ogrom cierpienia, które On zapisał jej w Księdze: musi pamiętać, że Hazrat Rabi'a — niech Allah po wieczność opromienia swym blaskiem tę zasnęłą córkę zarania islamu — wyznała kiedyś przyjaciółce, że ogrom szczęścia, jakie spotyka ją w życiu, zaczynają niepokoić: „Zastanawiam się, czy aby Allah nie jest na mnie z jakiegoś powodu rozgniewany. Dlaczego od jakiegoś czasu nie rzuca mi kłód pod nogi, żebym ku Jego chwale mogła je przekraczać albo potykać się o nie, nie tracąc w Niego wiary?”.

I naraz ogarnia ją lęk: jak mogła snuć takie myśli o Księdze Przeznaczenia? Nie spocznie na niej nigdy oko śmiertelnika. Cóż za karygodne wykroczenie! Nie, nie, gdyby Księga kiedykolwiek spadła na ziemię, podniosłaby ją i czekała na anioły, które po nią przylecą. Wiedziałyby, że przybyły, bo ścichłby

wtedy werbel dobijających się do okna ciem — blask bijący od aniołów odciągnąłby część z nich od jej domu. Czy wyglądałyby choć w przybliżeniu tak, jak je sobie wyobraża? Podczas wojny między Indiami i Pakistanem w 1965 roku część bomb zrzuconych przez indyjskie odrzutowce na Pakistan nie eksplodowała i kilku imamów twierdziło, że widzieli na własne oczy, jak anioły przechwytyują te bomby w powietrzu i kładą ostrożnie na umiłowanej przez Allana ziemi Pakistanu. Czy ich wygląd zgadzałby się z opisami aniołów, które Kaukab czytała w ówczesnych gazetach? Opalizujący obłok na niebie, a w nim otwór, przez który wylatują anioły. Usiądą bez wątpienia na dachu meczetu i rozsiewając wokół siebie jasność, czekać tam będą, aż ona przyniesie im Księgę. Na dachówkach spoczywać będą kraje ich kolorowych jedwabno-brokatowych szat, bo muzułmańskie anioły w odróżnieniu od chrześcijańskich nie noszą się na biało ani nie mają białych skrzydeł: ich pióra są zielone, niebieskie, czerwone, pomarańczowe, żółte. Rajskie ptaki! Z ich szyfonowych turbanów sterczą diamentowe gałązki, a policzki mają jak ufarbowane cynobrem. Jedne ułożą się na dachu, inne spoglądać będą w stronę tego domu; Kaukab jest przekonana, że widzą przez ściany, a wzrok mają tak bystry, że wypatrzą płomyk świecy na księżycu, a kilka odejmie sobie skrzydła i zacznie rozcierać obolałe ramiona, tak jakby skrzydła były dla nich za ciężkie, a lot na ziemię za długi. Nie ma pewności, czy będzie je mogła zobaczyć, bo niektórzy imamowie utrzymują, że anioły i duchy świętych postaci nie ukazują się kobietom, które stoją niżej od mężczyzn, ale potem przypomina sobie, że w Koranie jest wyraźnie napisane, że matka Mojżesza odebrała od Allaha boskie przesłanie, doznała objawienia jak wszyscy prorocy, będący co do jednego mężczyznami.

Kaukab wstaje z łóżka, dokonuje ablucji i otwiera Koran.

Nie, nie musi zaglądać do Księgi Przeznaczenia.

Ma tę księgę.

Tak, nie nam pytać Go „dlaczego?” ani „jak?”; wolno nam tylko wołać „pomóż!”.

## *Stronica z Księgi Przeznaczenia*

W ostatnim dniu swojego życia Jugnu obudził się na półtorej godziny przed świtem wyrwany ze snu krzykami pawi w ogrodzie za domem.

Jakiś mężczyzna biegnący w stronę meczetu na pomoc imamowi, który chwyciwszy się lewą ręką za serce, osunął się na ziemię, spłoszył wałęsające się po ciemnych ulicach stado pawi i te rozpierzchły się na wszystkie strony. Z tymi pawiami było utrapienie — rysowały lakier na samochodach, a przed tygodniem wmaszerowały jak gdyby nigdy nic do meczetu i ukradły kilka różańców; paciorki dyndały im u dziobów, kiedy umykały środkiem jezdni przed pościgiem.

Kilka ptaków wbiegło teraz do ogrodu za domem Jugnu, szukając schronienia na gałęziach jabłoni. Stado pojawiło się w okolicy przed dwoma tygodniami — nikt nie wiedział, skąd się wzięło. Większość dnia spędzały w lasach nad jeziorem i na odludnych łąkach wśród wzgórz otaczających osiedle, ale o świcie wychodziły na ulice. Ich obecność w okolicy napawała niektórych niepokojem. Wierni zawsze mieli ambiwalentny stosunek do pawi, bo to właśnie ten dobroduszny ptak wpuścił nieświadomie szatana do edenu. Szatan, przebrany za starca, prosił odźwiernych o wpuszczenie, ale ci go rozpoznali i odpędzili, a wtedy paw, który obserwował całe zajście, siedząc na murach, sfrunął na dół, chwycił starca i przeniósł go do edenu górą.

Jugnu ostrożnie, żeby nie obudzić Chandy, wstał z łóżka,

wyjrzał przez okno i zobaczył pawie. Błady letni księżyc rozkładał się na granatowym niebie, na którym za półtorej godziny, o świcie, rozleje się zorza czerwona jak kandaharski granat. Jugnu ubrany był w zaimprovizowane *dholi*; gdy wstawał w lecie z łóżka, miał zwyczaj przewiązywać się w pasie cienkim płóciennym prześcieradłem, pod którym sypiał.

Przyjechali z Chandą z lotniska o dziesiątej wieczorem i godzinę później, wyczerpani długim, ośmiogodzinnym lotem, zasnęli w objęciach; Jugnu mawiał często, że podróże samolotami są dla ciała o wiele bardziej męczące niż jazda prymitywnym, zaprzężonym w woły wozem podskakującym na wykrotach wiejskiego gościńca. Chanda, zamykając wieczorem ciemnozielone oczy, nie przeczuwała, że już nigdy Jugnu nie zobaczy.

Nie rozpakowali siejeszcze. I Jugnu, zszedłszy w tym przedświcie dnia swej śmierci na dół, zaczął otwierać walizki. Wkrótce potem pochłoneły go zeszyty, w których podczas pobytu w Pakistanie zapisywał informacje o tamtejszych motylach. W dolinie Kaghan widział na własne oczy, jak muchodławka rozrywała na strzępy mormona pospolitego i karmiła nim swoje młode. W Salt Rangę w Pendżabie, po monsunowej ulewie, tropił odlatujące na południowy wschód błękitne tygrysy, dane mu było też obserwować doroczną migrację bladocytrynowych bielików przez przełęcz Chajbar.

W kuchni wyklejonej tapetą w szeregi cedrów, która bardziej niż tapetę przypominała papier do pakowania prezentów, otworzy! jedno z wielu małych tekturowych pudełek z motylami przywiezionych z Pakistanu.

Jedno takie pudełko, z kilkoma błękitkami pospolitymi schwytanymi na plantacjach drzew gujawy w Malir i Landhai pod Karaczi, znalezione zostanie na kuchennej półce przez policję, która włamie się do domu dopiero za trzynaście dni, bo para wróciła wcześniej, niż zapowiadała, w związku z czym jej zaginięcie zgłoszono z opóźnieniem.

Ponieważ w domu nie było nic do jedzenia, Jugnu zagotował wodę i nad filiżanką czarnej kawy czekał na pierwsze oznaki budzenia się życia w sąsiednim domu, żeby pójść wtedy do Kaukab i pożyczyć chleba, mleka i jajek. Wypiwszy kawę,

wyszedł przed dom i na palcach zbliżył się do denimowej marynarki, która od wiosny wisiała na sznurze do bielizny, bo w jednej z kieszeni uwił sobie gniazdko strzyżyk. Stwierdził, że ptasia rodzina powiększyła się pod jego nieobecność.

Przedarł się przez gąszcz lilii w sąsiednim ogrodzie i z niewielkiej grządki warzywnej Kaukab, świecącymi w ciemnościach dłońmi wyrwał cebule, na omlet. Nie wiedział, że jest obserwowany.

Pawie już się wyniosły, zostały tylko dwa, które stały nieopodal Jugnu i też go obserwowały. Ale kiedy wychodził z domu po raz drugi (zostawiwszy w kuchni wypatroszone truchła walizek), żeby zapukać do Kaukab, bo w oknie paliło się światło, ich też już nie było.

Pukanie pozostało bez odpowiedzi.

Na małym trawniczku przed tylnymi drzwiami domu osiadła rosa i Jugnu, wodząc po trawie dłonią jak pędzlem, napisał na niej *Vision*. Słowo odcinało się wyraźnie czystą zielenią od srebrnoszaro-zielonych kropelek. Była to informacja dla Chan-dy: Jugnu postanowi! przejść się na farmę o tej nazwie, gdzie o tej porze można już było kupić świeży chleb i inne produkty spożywcze.

Farma leżała w odległości mili, za jeziorem z ksylofonowym nabrzeżem. Gospodarująca na niej rodzina hodowała również orchidee w szklarni, nad którą górował rozłupany piorunem wiąz. Od kiedy Jugnu ich znał, próbowali też wyhodować kwiat podobny do tego, który mieścił się w złotym, wysadzonym rubinami jaju Faberge. Rodzina odziedziczyła je przed dziesiątkami lat w spadku i każde kolejne pokolenie tych pracowitych, żółtowołosych olbrzymów dążyło obsesyjnie do stworzenia żywej kopii owego dzieła jubilerskiej sztuki. „Przecież ten kwiat w naturze nie występuje — powiedział im kiedyś Jugnu, uśmiechając się. — To tak jakby próbować wieść życie opisane w jakimś pięknym wierszu albo idealnej powieści”. Przychodzili co roku na osiedle imigrantów z Azji, żeby zaprosić dzieci do udziału w organizowanych na farmie dorocznych zawodach w „wabieniu dżdżownic”. Pod akrem ziemi mogło żyć tych stworzeń nawet pięćdziesiąt milionów; każdej dziecięcej drużynie przydzielano na polu działkę wielkości obrusa. Potem

waliło się w ziemię kijami, bębniło pięściami, tupało, dopóki wibracje nie wywabiły dżdżownic na powierzchnię. Nagrody przyznawano za największą liczbę zebranych dżdżownic (od kilku lat rekord 763 sztuk na działkę pozostawał niepokonywany), za najdłuższą dżdżownicę i za najcięższą. Ale matki z imigranckiego osiedla niechętnie były udziałowi swych dzieci w tej zabawie, bo pole, na którym się odbywała, sąsiadowało z cmentarzem i nie chciały, żeby ich dzieci brały do ręki coś, co mogło żywić się trupami.

Jugnu zabrał klucze i wyszedł przez ogród na tyłach swojego domu. Kiedy pojawił się na ulicy, przed domem rodziców zatrzymywał się właśnie syn fryzjera jeżdżący całą noc na taksówce. Stary siedział w taksówce obok syna, który, o czym świadczyła czarno-biała fotografia wisząca w zakładzie fryzjerskim, wyglądał dokładnie tak samo, jak w młodości jego ojciec.

Jugnu zatrzymał się, bo drogę zagrodziły mu otwarte drzwiczki samochodu od strony chodnika. Powitał z uśmiechem sąsiadów i uwolnił starego fryzjera od pudła, które ten trzymał na kolanach. Kiedy je przechylił, ze środka doleciało drapanie pazurków. Silny odór ptasich odchodów i piór wydobywający się z pudła powiedział Jugnu, że syn, wracając po pracy do domu, zabrał ojca z całonocnych walk przepiórek. Niektórzy przedstawiciele starszego pokolenia oddawali się z pasją temu procederowi zakazanemu w Anglii, ale dozwolonemu w pakistańskich, hinduskich i bangladeskich wsiach i miasteczkach, z których pochodzili. Większości młodych mężczyzn urodzonych tu, w Anglii, laka forma rozrywki nie interesowała, co jeszcze nie znaczyło, że walkom kibicowali sami starzy, chodzili na nie również ich zięciowie (w większości bratankowie), których sprowadzili z ojczystych wiosek dla swoich urodzonych w Anglii córek. Wśród kibiców coraz więcej było też niedoszłych azylantów i nielegalnych imigrantów.

Ptaki przez dwa tygodnie głodzono i przed samą walką karmiono ziarnem, które ich właściciele polewali alkoholem, trzymając przez szmatę nieczystą w myśl islamu butelkę. Następnie przymocowywano ptakom do nówek ostrogi.

— W pudle były zdychające, zakrwawione ptaki — zezna

kilka miesięcy później syn fryzjera — i bałem się, że Jugnu nabierze podejrzeń i narobi nam kłopotów. Był wykształconym człowiekiem. Nie to co my, synowie niepiśmiennych wieśniaków.

Syn fryzjera pozwolił Jugnu pomóc ojcu, chociaż ten uważał Jugnu za wstrętnego, niemoralnego grzesznika i przed chwilą omal na jego widok nie splunął.

Jugnu pomógł staremu wysiąść z samochodu, a potem zaniósł mu owo pudło z przepiórkami pod same drzwi. Taksówka ruszyła, ale zaraz się zatrzymała, syn fryzjera opuścił boczną szybę i zawołał do ojca, że usłyszał właśnie w radiu, że imam z meczetu zasłabł, prawdopodobnie serce. Fryzjerem, który akurat szukał w kieszeni kluczy do drzwi, wstrząsnęła ta wiadomość. W czasie kiedy Jugnu i Chanda bawili w Pakistanie, imam miał najświętszy sen, sen, który zelektryzował wszystkich muzułmanów z osiedla; wspomniano o nim również w listach i telefonach do Pakistanu, Indii, Bangladeszu i Sri Lanki, gdzie również wywołał sensację. W tym śnie imamowi objawiła się święta postać trzymająca różaniec o tysiącu paciorków i kazała mu napisać do amerykańskiego prezydenta list z apelem, żeby nawrócił się na islam. Święta postać stała w meczecie wykutym w litej perle, która — jak zapamiętał ze snu imam — płukana była dwa razy dziennie w olejku różanym. Święty powiedział duchownemu, że bardzo mu imponuje swoją niezłomną wiarą i na dowód, jak bardzo jest zadowolony z jego postawy, właśnie jemu zleca nakłonienie amerykańskiego prezydenta do przejścia na islam.

Fryzjer, wyrecytowawszy uduchowionym głosem: „Tylko najpobożniejsi umierają w piątek”, pożegnał się niedbale z Jugnu. Później będzie twierdził, że kiedy Jugnu brał od niego pudło z poranionymi ptakami i na moment zetknęły się ich palce, to palce Jugnu były zimne i sztywne jak u nieboszczyka.

Odprowadziwszy starego fryzjera pod drzwi, Jugnu poszedł w stronę wysadzaną klonami bocznej uliczki, która pnie się pod górę i przebiega między kościołem i meczetem.

Na rogu przystanął, zdumiony widokiem prowadzącej do nieba drabiny. W poprzednim miesiącu — kiedy on był w Pakistanie — robotnicy, którzy przyszli wymienić słup telefoniczny,



stwierdzili, że do słupa przytwierdzona jest skrzynka pocztowa czerwona jak wóz strażacki i nagrzana przez letnie słońce jak piec, pomimo cienia rzucanego przez pobliskie klony. Nie mieli specjalnych kluczy niezbędnych do jej zdemontowania, uradzili więc, że ściągną skrzynkę ze starego słupa górą, a potem wsuną na nowy, jak zegarek na rękę. Nowy słup okazał się jednak grubszy u podstawy od starego i skrzynka zaklinowała się na nim dwanaście stóp nad ziemią. Do czasu rozwiązania problemu, do słupa przystawiono drabinę dla wysyłających i odbierających listy. Niektórzy mieszkańcy osiedla dopatrywali się w tym bezczelnej, uknutej przez białych intrygi mającej na celu utrudnienie Azjatom kontaktu z rodzinami, które zostały w ojczyźnie. Po drabinie i słupie pobiegł powój, jego wici oploty szczeble, piękne białe kwiatki kołysały się w powietrzu na cienkich gałązkach porośniętych liśćmi rzeźbionymi w kształt serc.

Niecałe dwa tygodnie później Kaukab zaciągnie tę drabinę, a wraz z nią płataninę zakurzonych zielonych serc do ogródka przed domem Jugnu, przystawi do okna na piętrze i poprosi chłopca z sąsiedztwa, żeby się po niej wspiął i zajrzał do środka — gdyby w domu był Ujala, nie musiałaby prosić o to syna sąsiada.

Do stojącego pod słupem, uśmiechającego się do siebie Jugnu wybiegła ze swojego domu krawcowa Naheed i zapytała, czy brat-ji byłby tak uprzejmy, wszedł po drabinie i szybko wrzucił do skrzynki ten oto list. Przez kilka następnych miesięcy będzie toczyła ze sobą wewnętrzną walkę, czy powiedzieć komuś, że była jedną z osób, które widziały Jugnu w tej godzinie przedświt. List był do siostry mieszkającej w Bangladeszu, a nie chciała, żeby mąż się dowiedział, że z nią koresponduje; przed dziesięcioma laty, kiedy pojechał w odwiedzin do Pabny, oskarżono go o napastowanie młodszej siostry Naheed. Po powrocie zbył te oskarżenia przed Naheed machnięciem ręki i zakazał jej utrzymywania jakichkolwiek kontaktów z rodziną. Naheed pisywała do rodziców i siostry, kiedy tylko mogła, a listy wysyłała, kiedy mąż spał, nierzadko, tak jak wtedy, wymykając się chyłkiem z domu w środku nocy.

*Gdybym powiedziała policji, że widziałam wtedy Jugnu,*

napisze do siostry kilka tygodni po tym przedświcie — *on zacząłby się dopytywać, co robiłam o tej porze poza domem, rozmawiając na dodatek z mężczyzną. A jak jeszcze policja zacznie mnie nachodzić i przesłuchiwać, to już nie będę miała z nim życia.*

Co do fryzjera i jego syna taksówkarza — którzy też widzieli Jugnu o tej porze tamtego dnia — to ci nie chcieli się wychylać z obawy, że zostaną pociągnięci do odpowiedzialności za walki przepiórek.

Wrzuciwszy do skrzynki list krawcowej Naheed — list zalepiony kulkami ciasta na ćapati, bo tubka kleju była gdzieś na górze, a Naheed wołała tam nie wchodzić, bo jeszcze mąż by się obudził — Jugnu ruszył wysadzaną klonami uliczką w stronę meczetu.

Latarnie jeszcze się paliły i zalewały trotuar morelową poświatą.

Kiedy mijał meczet, wyszedł stamtąd z posepną miną Shaukat Ahmed, który miał stoisko z dzianinami w hali targowej, i widząc Jugnu, poprosił go, żeby wszedł i zbadał imama. („Zawsze myślałem, że on jest lekarzem!” — powie później, mając na myśli Jugnu). Imamowi brakło już tchu, mówił powoli i chciał, żeby go ułożono na jego dywaniku modlitewnym. Za ten dywanik służyła mu wyprawiona skóra jelenia. Jugnu mu ją przyniósł i rozłożył.

Kiedy niebawem rozejdzie się wieść o śmierci imama, do meczetu zbiegną się tłumy wiernych, ale Jugnu zastał tam tylko kilka osób słuchających imama, który trzymał w ręku zmięty list od amerykańskiego prezydenta.

Wszyscy, prócz Jugnu, byli przerażeni tym, co mówił starzec: Okazywało się mianowicie, że „Brodatą postacią” z jego snu, którą wcześniej nazywał po prostu świętym, był nie kto inny, tylko prorok Mahomet, niech pokój będzie z Nim, we własnej osobie. Imam ukrywał dotąd ten fakt przed muzułmanami z wrodzonej skromności. „Nic chciałem wyjść na samochwałę. Nie należę do tych zadufanych w sobie mężów, dla których Gabriel to pionek; oni chcieliby kontaktować się z samym Bogiem”.

Jugnu opuścił meczet, kiedy wyjaśniło się, że nie jest lekarzem.

Dopuszczenie do siebie myśli, że prorok Mahomet mógłby się mylić — w czymkolwiek — groziło głęboką duchową traumą; tak więc kiedy imam wkrótce po wyjściu Jugnu umarł, mężczyźni obecni przy jego łożu śmierci zdecydowali, że tego, co wyznał im, umierając, nie należy pod żadnym pozorem podawać do publicznej wiadomości. Mężczyźni ci nie zgłoszą się później na policję, by zeznać, że tamtego przedświt widzieli Jugnu. Swoim najbardziej zaufanym przyjaciółom albo żonom powiedzieliby, rzecz jasna, że spotkali Jugnu w meczecie, gdyby zdecydowali się zachować milczenie z jakiegoś innego powodu — na przykład z takiego, że nie chcą się wikłać w śledztwo o morderstwo. Ale to była sprawa natury religijnej.

Z tej zmowy milczenia wyłamie się tylko jeden. I ten jeden powie do żony: „Kiedy zobaczyłem Jugnu, od razu wiedziałem, że jest już trupem. Wiedziałem, że bracia Chandy tylko czekają na ich powrót z Pakistanu, żeby ich zabić. Gdyby to moja siostra związała się z kimś tak rozwiązłym, już dawno rozpuściłbym oboje w kwasie”.

Wstając z łóżka, by odmówić poranne modlitwy, imam przypomniał sobie, że nie przejrzał wczorajszej poczty; znalazł w niej list od amerykańskiego prezydenta, w którym ten odmawiał grzecznie przejścia na islam. A więc najpotężniejszy kraj świata nie będzie w najbliższym czasie rządzony przez muzułmanina! Całe osiedle znało sen w najdrobniejszych szczegółach i niektórzy z wiernych, nie wątpiąc, jaka będzie odpowiedź prezydenta, snuli już rozmaite plany. Kiedy prorok Sulajman (przez chrześcijan zwany królem Salomonem) wysłał do Bilkis (królowej Saby) list z wezwaniem, by wraz z całym swym ludem czciła tylko Allaha, ta postanowiła osobiście go odwiedzić; a kiedy była już w drodze, Sulajman rozkazał swoim dzinnom przenieść jej tron do siebie, żeby pokazać, co to znaczy mieć Allaha po swojej stronie. Mieszkańcy osiedla zastanawiali się, czy prezydent po przeczytaniu listu też pojawi się w Dašte-Tanhai i czy Allah rozkaże paru swoim dzinnom przenieść z tej okazji do miasteczka taki czy inny słynny symbol Ameryki. Jakby wyglądała Statua Wolności na najwyższym wzgórzu, obok fortu Iron Age? Czy grunt w centrum miasteczka jest dostatecznie wytrzymały, by nie zapaść się pod ciężarem

Empire State Building? Czy most Golden Gate jest wystarczająco długi, by połączyć przeciwległe brzegi jeziora, opasać w talii zarytego w dnie olbrzyma?

Opuściwszy meczet, Jugnu, żeby dotrzeć do Vision, musiał przejść przed sklepem rodziny Chandy. Wrócili z Chandą do Anglii wcześniej, niż planowali, ale ich zabójcy wiedzieli, że sajuż w domu, bo wspomniał o tym od niechcienia przez swoje samochodowe radio taksówkarz, który poprzedniego dnia wieczorem wiozł ich z dworca kolejowego. Tak się złożyło, że bracia Chandy byli akurat w firmie taksówkowej w centrum miasteczka i przekazano im tę wiadomość. Policja nigdy nie ustali, kto wiozł Jugnu i Chandę ze stacji do domu. Kierowcami taksówek byli przeważnie nielegalni imigranci, którzy albo bali się zgłosić na policję, bo zostaliby od razu zatrzymani i deportowani, albo zmienili pracę, albo przenieśli się do innego miasta, zanim wszczęte zostało śledztwo.

Starszy brat Chandy, Barra, który przyszedł na świat z grudką krzepnącej krwi w zaciśniętej piąstce, nie spał już, bo kiedy imam zasłabł niedawno w meczecie, ktoś przybiegł do sklepu i załomotał w drzwi, wołając, że potrzebna mu paczuszka anyżu gwiazdkowatego i paczuszka cynamonu na wywar wzmacniający dla świętego męża. I Barra zobaczył przez szybę wystawową przechodzącego w szarówce przedświtu Jugnu.

Dwaj bracia przesłuchiwani przez policję wkrótce po uznaniu pary za zaginioną będą się zarzekali, że nic nie wiedzieli o powrocie Chandy i Jugnu do Anglii. Ale podczas rozmów — po części przechwałek, po części spowiedzi — z członkami rodziny i bliskimi przyjaciółmi w Pakistanie, przyznają, że Barra widział Jugnu przechodzącego przed sklepem tamtą wczesną godziną.

Jugnu, obserwowany przez Barrę z okna, zatrzymał się, kiedy zobaczył godzinę wskazywaną przez zegar na wieży wznoszącej się w narożniku boiska szkoły podstawowej Mount Pleasant. Była za kwadrans piąta — do wschodu słońca jeszcze pięćdziesiąt pięć minut. Jego zegarek wskazywał czas pakistański, cofnął więc wskazówki. Barra poszedł do pokoju młodszego brata, Chotty, żeby go obudzić. „Woleliście być mordercami niż braćmi siostry, która żyje w grzechu?“, spyta potem w Paki-

stanie ktoś z tych, którym powiedzą prawdę. „Tak — odpowiedzą — wolimy być mordercami. Jesteśmy mężczyznami, a ona, postępując wbrew naszej woli, zrobiła z nas eunuchów”.

Kiedy Chanda po dwóch nieudanych małżeństwach wróciła z Pakistanu do Anglii, bracia i ojciec spytali ją, czy nie zechciałaby nosić okrywającej kobietę od stóp do głów burki, mówili, że czują się niezręcznie, kiedy stoją ze znajomymi na rogu ulicy, a ona przechodzi obok. „Widzimy po oczach, co sobie myślą — jedni nam współczują, inni obwiniają, że nie zapewniłszy ci lepszego życia”, wyjaśnili. Gdyby nosiła burkę, mogłaby sobie chodzić, gdzie chce, i nikt by jej nie rozpoznał. Sklep miał w nazwie jej imię, Chanda Food & Convenience Store, ale kiedy wróciła, wlokąc za sobą swąd nieudanych małżeństw, szyld nad wejściem zamalowano. Rodzina uznała, że dotychczasowa nazwa niepotrzebnie przypominałaby dziewczynę ludziom, a ich pierwszym skojarzeniem byłoby: „Chanda — dwukrotna rozwódka”. *Czuję się wymazywana*, napisała rozgoryczona Chanda w swoim pamiętniku.

Barra nie zastał Chotty w jego pokoju. Wiedział, gdzie go szukać — w ramionach cichodajki Kiran, w sypialni sąsiadującej z pokojem, gdzie leży jej przykuty do łóżka ojciec — wyszedł więc z domu, żeby go stamtąd wyciągnąć. Zmierzał w przeciwnym niż Jugnu kierunku i nie wiedział jeszcze, że po raz ostatni widział Jugnu żywego. Żeby dotrzeć do domu Kiran, musiał przejść obok meczetu. Spotkał tam kilku mężczyzn, którzy stali w szarówce, przerzucając się przykładami świadczącymi o świętości zmarłego właśnie imama, i wymienił z nimi pozdrowienia.

Wśród zgromadzonych przed meczetem mężczyzn byli tacy, którzy od kilku miesięcy wypominali braciom Chandy, że pozwalają siostrze spółkować z mężczyzną, któremu nie jest poślubiona. Wielu z tych, którzy widzieli wtedy Barrę pod meczetem, przesłuchiwanym potem przez policję, będzie zaręczało, że tam przez cały czas był. Shahid Ali, który pracował na nocną zmianę — od szóstej wieczór do szóstej rano — w fabryce (co nie przeszkadzało mu pobierać również zasiłku dla bezrobotnych), zezna, że kiedy zobaczył brata Chandy tamtego wrześnieowego piątku, od razu pomyślał, że nic dziwnego, iż

nie spełniła się obietnica złożona we śnie imamowi, że wizja świętej postaci okazała się fałszywa; jak mogłoby być inaczej, skoro świat pełen jest takich bezwstydných ludzi? „Nie jesteśmy ludźmi zasługującymi na cuda”, powiedziałem sobie z żalem.

Haidar Kashmiri, który wcześniej pobiegł do sklepu po przyprawę, zobaczywszy Barrę pod meczetem, pomyślał, że ten znalazł w końcu gdzieś na półce paczuszkę anyżu gwiazdkowatego, co przy nim mu się nie udało, i osobiście ją tu przyniósł.

Ludzie zaczęli już powątpiewać, czy imamowi rzeczywiście przyśnił się jakiś święty mąż.

— Ale on utrzymywał, że ta postać ze snu była bardzo czcigodną istotą — mówi Zubair Rızvi — siedziała w meczecie tak pięknym, że gdziekolwiek spojrzeć, oczu nie można było oderwać, otoczonym klombami, na których rosły bujnie wszelkie kwiaty — *gul, rehan, lala, nargis, nasrin, jaśmin* i co tam jeszcze.

— Wymienił je wszystkie, co do jednego — przyznaje Ijaz Rahmani. — Powiedział jeszcze, że powietrze pełne było ptasich treli — śmiechu *andlib*, ryku *kumri*, zawodzenia *kojal* i wabienia *kubk* oraz *daradz*.

Barra pokiwał głową i powiedział:

— Mógł się pomylić. Był zwyczajnym śmiertelnikiem... Ale w słowo wpadł mu Naveed Jamil, któremu takie spekulacje wydały się krzywdzące dla zmarłego.

— Nie jestem bezwstydný, jak niektórzy z tu obecnych, i muszę zaprotestować przeciwko takiemu gadaniu, i to przed meczetem. W tym śmiertelniku nie było nic zwyczajnego. Mówił nam kilka razy, że kiedy modlił się tam w samotności, przychodziły wróżki z prezentami, kładły je obok niego i znikwały. On nigdy nie przyjmował żadnych prezentów. „Zabierzcie je, dziewczęta, córki — mówił — różaniec w rękę, dywanik modlitewny pod nogami, podłoga meczetu pod dywanikiem modlitewnym, niczego więcej mi nie trzeba”.

Jeśli Barra poczuł się urażony, że mu przerwano, to nie okazał tego po sobie; niektórzy z mężczyzn przed meczetem chodzili z nim do szkoły i pamiętali, jaki był wtedy krewki.

— „Zrób to jeszcze raz, a obrysują cię kredą”, powiedziała by w szkole sprowokowany — przypomni sobie później leworęczny Rashid Uddin. — Ale my wszyscy mieliśmy wtedy takie odzywki. Młodość prowokuje człowieka do walczenia ze wszystkim, co stanie mu na drodze.

Wtedy, pod meczetem, nikt nic był pewien, czy brat Chandy wie, że w zeszłym tygodniu, w zakładzie fryzjerskim Naveed Jamil — ten, który mu teraz przerwał i nazwał go, choć nie wprost, „bezwstydnym” — powiedział, że żona Barry w noc poślubną nie była dziewicą, że została zdeflorowana na długo przedtem. Każde spotkanie na tym osiedlu pełne jest takiego potłuczonego szkła — trzeba ostrożnie stąpać po tym polu uraz, pretensji, afrontów i pomówień. Naveed Jamil chciał przed laty poślubić Chandę, ale odrzucili go jej rodzice; powiadano, że główną przeszkodą było niskie pochodzenie — jego ojciec trudnił się naprawianiem nargili w Ćicókimaljan.

Barra odszedł spod meczetu i widziano go, jak maszeruje wysadzaną wiśniami drogą w stronę domu Kiran. Wiedział od jakiegoś czasu, że ta sikhijka jest kochanką Chotty, ale nie poruszał z bratem tego tematu. A ponieważ nie miał nigdy okazji porozmawiać z Kiran, to zbliżając się do jej domu, czuł się coraz bardziej niewyraźnie. W jej mniemaniu o nocach, które dzieliła z jego bratem, nikt nie wiedział, i pewnie będzie teraz bardzo zakłopotana, kiedy okaże się, że była w błędzie; kto wie, czy nie zareaguje agresywnie z obawy przed zdemaskowaniem i nie oskarży go o próbę szargania jej dobrego imienia. Była mimo wszystko sikhijką, a o ich temperamencie krążyły legendy. Niektóre osoby ze społeczności muzułmańskiej też wiedziały o tym potajemnym romansie i uważały, że Chotta najlepiej by zrobił, gdyby poprosił Kiran o przejście na islam i poślubił ją. Ani oni, ani sam Chotta, nie dostrzegali żadnych podobieństw między jego potajemnymi schadzkami z kobietą, która nie była mu poślubiona, a sytuacją Chandy żyjącej bez ślubu z Jugnu. „Jestem grzesznikiem — powiedział kiedyś Chotta, mając na myśli swój pociąg do alkoholu — ale nie odstępca. Wiem, że grzeszę. A to różnica”.

Ale Barra nie musiał pukać do drzwi Kiran. Runęła na niego od tyłu ciemnoniebieska falanga pawi rozczapierających w pa-

nice ogony z piórami zdobnymi w opalizujące oczka. Zatrzyma! się i odwróci!. Ptaki spłoszy! biegnący za nim, zdyszany Giotta. Dopad! do niego blady jak śmierć i chwyci! za ramię.

— Chodź ze mną... nad jezioro — wysapał. — On chyba nie żyje.

Kiedy Jugnu — niedługo po tym, jak obudziły go pawie, na parę godzin przed śmiercią — pukał do drzwi Kaukab, jej nie było w domu, chociaż światło zostawiła zapalone.

Nie mogła zasnąć, wstała więc i wyszła zobaczyć się z mężczyzną, którego poślubiła Chanda. Tydzień wcześniej spotkała go przypadkowo na ulicy i zaapelowała do niego, żeby zrobił dobry uczynek i rozwiódł się z Chandą, „bo to pozwoli jej wyjść za mojego szwagra”. Mężczyzna odniósł się do jej apelu z rezerwą i burknął tylko, że zobaczy, co da się zrobić, kiedy Chanda wróci do Anglii. Zapytała, gdzie mieszka, żeby wysłać do niego na męską rozmowę Shamasa.

Pracował w fabryce, wcześniej rano wychodzi! do pracy i Kaukab nie zmrużyła przez całą noc oka, zabijając czas rozmyślaniami w ciemnościach o Charagu i wasektomii, której się poddał.

W zeszłym tygodniu Kaukab, wracając z centrum miasteczka z zakupami od Marksa and Spencera, zauważyła zbliżającą się z naprzeciwka kobietę z osiedla, która kiedyś bardzo się oburzyła, widząc ją z reklamówką Marksa and Spencera, i powiedziała, że muzułmanie nie powinni robić zakupów w sklepach prowadzonych przez Żydów. Kaukab zatrzymała się na moście nad rzeką, żeby ukryć pod płaszczem siatkę z logo świętego Michała. Kiedy tamta podeszła bliżej, Kaukab odetchnęła z ulgą. To nie była ona, za to w mężczyźnie stojącym na moście niedaleko niej rozpoznała trzeciego męża Chandy. Podeszła do niego i przedstawiła się. „To ty popchnąłeś ją do grzechu”, powiedziała. Przypomniała mu, jak bardzo takich jak on nienawidzi Allah, i zapytała o adres. Zaskoczony jej zdecydowaną postawą powiedział, gdzie mieszka.

Żeniąc się z Chandą, już trzeci rok przebywał nielegalnie w Anglii. Przyjechał do Wielkiej Brytanii na trzymiesięczną



wię z ekipą telewizji z Lahauru, oficjalnie, żeby kręcić odcinek serialu telewizyjnego, i „rozpłynął się w tłumie”. W rzeczywistości nie było żadnego serialu: aktorzy, ekipa techniczna, operatorzy — byli to młodzi mężczyźni i kobiety, którzy zapłacili tysiące rupii ludziom organizującym tego rodzaju imigracyjne przekrety. Zmywał talerze w restauracji, ale rodzice Chandy zaakceptowali go jako zięcia, bo bardzo chcieli, żeby ich dwukrotnie rozwiedziona córka wyszła wreszcie za mąż i ustatkowała się. „Życie waży tyle co góra — powiedziała matka Chandy — jak więc poradzi sobie sama z tym brzemieniem?”. Ojciec przyznał jej rację: „Nawet drzewo usycha, kiedy zostawi się je samemu sobie”. Zdawali sobie sprawę, że muszą zaufać Allanowi i nie podupadać na duchu, bo bycie rodzicem dziewczyny to od niepamiętnych czasów próba ogniowa. Matka Chandy zacytowała pakistańskiego poetę Hasana Abdiego:

***Zapach ludzi wsiąka w ściany —***

***Czy w tym lochu więziono przede mną innych?***

Ucałowali oboje świadectwo ślubu. Oczyma wyobraźni widzieli już szczęśliwą przyszłość, przynajmniej dla swej córki, ale było to jak wyświetlanie filmu na pajęczej sieci, bo od początku nie ulegało wątpliwości, że mężczyzna ten ożenił się z Chandą tylko po to, żeby zdobyć obywatelstwo brytyjskie. Bracia i rodzice Chandy odnosili się do niego grzecznie — nawet z szacunkiem — a on mniej więcej przez rok, bo tyle trwała procedura naturalizacji, odwzajemniał się im tym samym. Potem zmienił się nie do poznania, zaczął ich szantażować, że jeśli nie kupią mu samochodu i nie przepiszą na niego sklepu, to się z Chandą rozwiedzie. Chotta uderzył go pewnego dnia wyprowadzony z równowagi i niedługo potem mężczyzna ten zniknął, a z nim cała zawartość sklepowej kasy.

Bracia Chandy znosili z pokorą lekceważenie, jakie im okazywał przez ostatnie tygodnie. Od dzieciństwa wpajano im, że mężczyzna musi szanować swojego szwagra, bo ten zdjął z jego barków brzemień siostry, że należy mu we wszystkim ustępować, bo jeszcze gotów się obrazić i pobić siostrę albo się z nią rozwieść. Upokorzenia na tym się nie kończyły: tych,

którzy próbowali żyć czyimś kosztem, upominało się formułka: „Życie to nie dom rodziny żony”. Słowo *sala*, „szwagier”, uważane było na całym subkontynencie za obraźliwe. Nazwać kogoś *sala* to tak, jakby mu oznajmić: „Pieprzę twoją siostrę i nic na to nie możesz poradzić! Nie możesz mi przeszkodzić w wypróbowywaniu mojej męskości na jednej z twoich kobiet!”. Cóż może bardziej upokorzyć mężczyznę, któremu wpajano od dziecka, że przede wszystkim ma bronić honoru swoich kobiet? Dla mężczyzny szwagier był ucieleśnieniem przekleństwa, i chcąc nie chcąc, musiał się z tym pogodzić.

Tuż przed świtem dnia śmierci Jugnu i Chandy Kaukab zapukała do drzwi tego mężczyzny.

— Wystarczająco długo grałeś już swoją rolę w tym grzechu — wygarnęła mu w oczy, kiedy otworzył jej w szlafroku, z pędzlem do golenia w ręku. O piątej musiał być w pracy. — Żądam, żebyś jak najszybciej skontaktował się z rodzicami swojej żony i formalnie rozwiódł się z ich córką. — Chciała mu podyktować numer telefonu do sklepu, ale powiedział, że już go gdzieś zapisał, ale numer do domu Jugnu i Chandy przyjął, kiedy Kaukab zaproponowała mu, żeby, jeśli woli, zadzwonił do niej bezpośrednio. Poszedł po długopis, a ona czekała w progu. Po drugiej stronie ulicy, na gigantycznym billboardzie reklamowym, prezentowała się blondynka w koronkowym staniku, i Kaukab po raz nie wiadomo który pomyślała, że w Anglii jest jak w jednym wielkim burdelu. Na billboardzie z tą samą kobietą w koronkowym staniku, tylko ustawionym bliżej meczetu, ktoś miłujący Allaha napisał wielkimi literami: „Bój się Stwórcy”. Kiedy mężczyzna wrócił, powiedziała mu:

— Jedno dwusylabowe słowo wypowiedziane trzy razy — *talak, talak, talak* — i uszczęśliwiłbyś Boga. Jest wyrozumiały i miłosierny. — Odeszła dopiero, kiedy jej obiecał, że po pracy zajdzie do sklepu.

Nie zaszedł.

Kaukab była przekonana, że napominając go, by uwolnił Chandę, robi dobry uczynek. Prorok, niech pokój będzie z Nim, powiedział przecież: „Ten, kto pośredniczy w dobrym uczynku, ma taką samą zasługę jak bezpośredni dobroczyńca, i w raju czeka go nagroda”. Nie było jej w domu, kiedy zapukał Jugnu.

Bracia Chandy, przyznając się w Pakistanie do popełnienia morderstwa, powiedzieli: „To była sprawa honoru”. I wszyscy obecni przyznali im rację. Takie zabójstwa były w Pakistanie na porządku dziennym, ale zabójcy zabijali tam otwarcie i szczycili się swoim czynem. Niektórzy szli nawet na policję i mówili, że zrobili, co było trzeba, i gotowi są teraz ponieść taką karę, na jaką w myśl prawa tego kraju zasłużyli. Pakistańskie prawo było dla nich prawie zawsze pobłażliwe i wychodzili z więzienia o wiele wcześniej od tych, którzy popełnili inne rodzaje morderstw. A na swoich ulicach i osiedlach czyn, którego się dopuścili, uszlachetnia! ich w oczach sąsiadów. Bracia Chandy natomiast nie przyznawali się do zabicia siostry i jej kochanka. Wiedzieli, że prawo kraju, w którym mieszkają, nie potraktuje tej zbrodni z pobłażaniem. Owszem chwalili się, że zabili Chandę i Jugnu — ale tylko w Pakistanie, gdzie obowiązujące prawo, religia i obyczaj umacniały ich w przekonaniu, że postąpili właściwie i prawidłowo. Ludzie, dowiadując się o ich zbrodni, poklepywali ich po plecach i mówili, że wypełnili swój obowiązek, że tacy synowie rodzą się tylko prawdziwym mężczyznom i prawdziwym kobietom. Twierdzili, że kto popełnił wielki, plugawy grzech pozamalżeńskiego seksu, nie jest lepszy od diabła; nikogo by nie zdziwiło, gdyby po zasztyletowaniu albo zarabaniu takiego kogoś z ran wyfrunęły nietoperze. Przyjaciele z Pakistanu powiedzieli im, że mądrze zrobili, nie wyjawiając prawdy angielskiej policji.

— Oni by nigdy nie zrozumieli motywów, jakimi się kierowaliście. Zachód jest pełen hipokrytów, którzy bezkarnie zabijają naszych ziomków i mówią, że to wszystko sprawa zasad i sprawiedliwości, ale kiedy to samo robimy my, mówią, że nasza definicja „zasad” i „sprawiedliwości” jest niewłaściwa.

Tutaj, w Anglii, sędzia, puszczać mimo uszu wszelkie odwołania do „kodeksu honoru i wstydu”, nazwie ich w dniu zakończenia procesu „tchórzami” i „dewiantami”. W „After-noon” napiszą: *Byli ludźmi, którzy nie rozumieją, że nie wszystko może się układać w życiu po ich myśli. Krótko mówiąc, nie dorośli. Myśleli, że cały świat obraca się wokół nich.* Znany pakistański komentator radia azjatyckiego też otwarcie powie: „Niektórzy imigranci myślą, że skoro zaliczają się do mniej-

szości, to należy im się specjalne traktowanie, że powinno im się wszystko wybaczać tylko dlatego, że sami też są przez innych dyskryminowani". Co do samych morderców, to po ogłoszeniu werdyktu zaczną wykrzykiwać na sali sądowej całe litanie rojące się od słów takich, jak „rasizm" i „uprzedzenia". Komentarze sędziego nazwą „obraźliwymi dla naszej kultury i religii". Powiedzą, że Anglia to kraj „prostytutek i homoseksualistów". Młodszy, Chotta, wyprowadzany z sali zawoła: „To cyrk, nie sąd!".

— Chodź ze mną... nad jezioro — wy sapał w ostatnim dniu życia Jugnu i Chandy młodszy brat, blady jak śmierć, nie zważając na wrzaski pawi, których stado przed chwilą rozpedził. — On chyba nic żyje.

Bracia nie widzieli się od późnego popołudnia poprzedniego dnia, kiedy to w centrum miasteczka Chotta wpadł przypadkowo na Barre wracającego z kliniki aborcyjnej, w której leżała jego żona. Zbliżał się już termin porodu, kiedy badania wykazały, że płód jest płci żeńskiej. Mieli już pięć dziewczynek i szóstej nie chcieli. Kobieta zamartwiała się, jak znajdą w przyszłości tym, co już są, odpowiednich kandydatów na mężów, bo przecież nikt nie będzie się chciał żenić z dziewczyną, której ciotka żyła bez ślubu z mężczyzną z nieprawego łoża.

Kiedy spotkali się w centrum miasteczka, Chottę od razu zaniepokoiła ściągnięta, zboląta twarz Barry. Zapytał, co się stało, a Barra wymruczał tylko:

— Postanowiłem nie jechać autobusem. Wrócę do domu na piechotę, muszę przewietrzyć trochę głowę. — Ale kiedy ruszyli ramie w ramie ulicą, prawda wyszła wkrótce na jaw. — Jestem skończony — podjął Barra. — Lekarze mówią mi teraz, że się pomylili: to był chłopiec, nie dziewczynka.

Chotta też był zdruzgotany tym, co usłyszał. A Barra mówił dalej cicho, ze łzami w oczach, jakby do siebie:

— Zabili mi syna, zabili mi syna. — W laboratorium doszło do pomyłki i teraz było już za późno. — Zacząłem się awanturować i musieli wezwać ochroniarzy. Gdyby nie oni, uderzyłbym lekarza.

Chotta zaproponował, że odwiezie go do domu, ale Barra nie chciał, bo rodzinna furgonetka śmierdziała w tym tygodniu mięsem.

— Niedobrze mi — powiedział Barra.

— W takim razie weź taksówkę — doradził mu Chotta. Odprowadził go do firmy taksówkowej i to tam dowiedzieli

się, że ich siostra i jej kochanek są już w Anglii. Chociaż wiadomość tę przekazano im mimochodem, obaj zaczęli podejrzewać, że krył się za tym jakiś złowrogi zamiar: firmę taksów-kową prowadzili Banglijczycy, a to zdraдлиwe i podstępne plemię; oderwali się od Pakistanu, żeby utworzyć własne państwo, knuli zaś i spiskowali już od osiemnastego wieku, kiedy to tuż przed bitwą pod Plassey, Mir Dżafar, głównodowodzący armii Siradž ad-daula, podpisał tajny pakt z Anglikiem Robertem Cliv'em, dzięki czemu ten odniósł zwycięstwo nad dobrym Siradžem, zwycięstwo, które dało początek brytyjskiemu zwierzchnictwu nad Indiami, a zarazem stało się początkiem końca muzułmańskich rządów. O tak, ilekroć jakiś nowy cyklon spustoszył Bangladesz, zabijając za jednym zamachem setki, czasami tysiące ludzi, bracia słyszeli w swoim sklepie, jak ten i ów pakistański klient mruczy pod nosem, że to Allah zemścił się na tych przeklętych Banglijczykach za to, że najpierw przyczynili się do położenia kresu muzułmańskim rządóm w Indiach, a potem w 1971 roku, oderwali się od Islamskiej Republiki Pakistanu.

Kiedy przekazywano im w firmie taksówkowej wiadomość o powrocie Chandy, bracia zaprotestowali, twierdząc, że obcy mężczyzna nie powinien wypowiadać imienia ich siostry z taką poufałością. „Nikomiu nie wolno mówić mężczyźnie o kobietach z jego rodziny<sup>1</sup>”. Był to jeden z przejawów nękającego ich koszmaru: bracia wiedzieli, w jakim wulgarnym tonie utrzymane są rozmowy młodych mężczyzn, kiedy zgromadzą się w takich miejscach — w niejednej sami uczestniczyli — i podejrzewali od jakiegoś czasu, że za ich plecami komentowane są bez przebierania w słowach prowadzenie się i charakter ich siostry.

— Musimy coś z nią zrobić — powiedział starszy do młodszego, wsiadając do taksówki, która miała go zawieźć do domu.

Po zamknięciu o dziewiątej sklepu Giotta udał się do centrum miasteczka po nowe pokrowce na siedzenia rodzinnej furgonetki. Był to jedyny środek transportu rodziny i służył zarówno do prywatnych przejażdżek, jak i wizyt w ubojni, do której jeździło się dwa razy w tygodniu. Mięso spożywane przez muzułmanów uzyskiwane jest w specyficzny sposób: zwierzę musi być żywe, kiedy podrzyna mu się gardło, krew musi wyciekać z jego ciała, kiedy jeszcze żyje — zwierzęcia nie można przed zabiciem ogłuszać, jak to jest praktykowane wśród niemuzułmanów; i cały proces zarzynania, od początku do końca, musi być przeprowadzony tylko i wyłącznie przez muzułmanina. W zeszłym tygodniu bracia zarznęli w ubojni kilka jagniąt i owiec i przywieźli je furgonetką do domu; krew i tłuszcz wyciekły jakimś sposobem z plastikowych worków i poplamiały pokrowce na siedzeniach. Żadne pranie nie mogło usunąć z materiału niesamowitego smrodu i w końcu postanowiono kupić nowe pokrowce. Giotta pojechał do zaprzyjaźnionego domu towarowego, ale nie mieli tam odpowiedniego rozmiaru. Barre spotkał, gdy szedł do pubu.

Pub ów znajdował się kilka przecznic od firmy taksówkowej: słynął z miłej atmosfery i powiadano, że przesiadujący tam biali nie są niechętni ciemnoskóрым; to sprawiało, że zaglądało do niego wielu Azjatów. Jednak po rozstaniu z bratem Chotta musiał się jak najszybciej napić, postanowił więc, że zajdzie do pubu niemającego tak dobrej reputacji, za to położonego bliżej. I chociaż przez godzinę, jaką tam przesiedział, popijając samotnie, oplakując w duchu nieszczęście, które spotkało brata, i rozmyślając o Chandzie, nie spotkała go żadna przykrość, to przez cały czas pozostawał spięty i czujny. Opuścił lokal o jedenastej.

Pojechał prosto do domu, ale nic wszedł na górę, gdzie wszyscy już chyba spali. Wszedł między półki, wziął sobie butelkę wódki i pil dalej w ciemnościach, wyciągnięty na sfatygowanej sofie na zapleczu sklepu. Od rzuconych w kąt starych pokrowców na siedzenia wciąż zalaływało zapachem krwi. Około drugiej nad ranem otrzeźwiał trochę i zabierając ze sobą opróżnioną do połowy butelkę wódki, poszedł do domu Khan.

Otworzył drzwi kluczem, który mu dała, wszedł na górę i zobaczył ją nagą w łóżku z innym mężczyzną. Potykając się i krzycząc, zbiegł po schodach i wypadł z domu. Ojciec Kiran, zaalarmowany hałasami, też zaczął wołać i wykrzykiwać zapytania ze swojego łóżka bóleści w pokoju na dole.

Chotta wrócił do swojego domu, ale tym razem nie wszedł do środka, tylko poszedł prosto do ogrodu na tyłach i wykopał pudełko z pistoletem, który kupili do spółki z Barra, kiedy trudnili się szmuglem heroiny. Wsunął naładowaną broń za pasek — pistolet nie mieścił się w kieszeni i przez chwilę nie wiedział, gdzie go schować, ale potem przypomniał sobie, że na filmach nosi się go za paskiem. Wracął początkowo po własnych śladach do domu Kiran, wywarkując co chwila pod nosem „suka” i „dziwka”, ale uszedłszy kilkadziesiąt kroków skręcił w kierunku domu, w którym mieszkali Chanda i Jugnu; a jeszcze wcześniej wprowadził liczbę mnogą do tego, co mówił — brzmiało to teraz „suki” i „dziwki”.

Obszedł dom od tyłu, przeskoczył strumyk, wspiął się na stok porośnięty wiązami i głogiem, i tam usiadł. Nie bardzo wiedział co dalej i po chwili usnął. Pusta butelka po wódce wysunęła mu się z ręki, stoczyła cicho po pochyłości i rozbiła o wystający ze strumyka kamień. Nie obudził go brzęk tłuczonego szkła. Wrzaski stada pawi — spłoszonego przez mężczyznę biegnącego do meczetu na pomoc imamowi, który zasłabł — wyrwały go ze snu, tak samo jak Jugnu, półtorej godziny przed świtem. Niedługo potem zobaczył Jugnu w oknie sypialni na piętrze.

Siedział i patrzył, jak Jugnu wychodzi z domu owinięty w pasie samym prześcieradłem, niewątpliwie przez całą noc leżał nagi obok jego siostry.

Patrzył, jak Jugnu wrywa cebulę.

Patrzył, jak Jugnu bezskutecznie puka do drzwi domu swojego brata. A kiedy Jugnu zniknął ze ścieżki (zatrzymując się na chwilę, żeby zgarnąć z niej nogą odłamki szkła ze stłuczonej butelki po wódce), Chotta podszedł do tylnych drzwi i nacisnął klamkę. Niestety były zamknięte. Odwrócił się i zobaczył wiadomość, którą Jugnu zostawił Chandzie na trawie: Vision — litery lśniły czystą zielenią w morzu ciemnych diamentów rosy.

Chotta ruszył pod górę. Znał drogę na przełaj przez wzgórze i dotarł do ścieżki prowadzącej do Vision przed Jugnu, który musiał kluczyć ulicami i uliczkami. Zaczaił się przy ścieżce i czekał. Jugnu nadszedł dopiero po dziesięciu minutach.

Powalił go na ziemię dwoma ciosami pięścią, potem wyciągnął pistolet, ale nie mógł się zdecydować, w co strzelić: głowa, serce, krocze? Jugnu trochę tymczasem oprzytomniał, przekręcił się na brzuch, podźwignął na czworaki, próbował wstać. Brat Chandy zdzielił go kolbą pistoletu w podstawę czaszki raz, drugi, trzeci... przesta! dopiero, kiedy uświadomił sobie, że ręce ma całe we krwi. Ta krew fosforyzowała, jarzyła się jak dłonie Jugnu.

Chotta był tym faktem tak wstrząśnięty, że dopiero po chwili zauważył, że Jugnu się już nie rusza. Nie wiedział, co zrobić z trupem, zaciągnął go w krzaki i zostawił tam razem z pistoletem. Starł garścią ziemi świetlistą ciecz z dłoni i pobiegł w kierunku osiedla. Musiał się naradzić z bratem.

Kiedy był już blisko sklepu, zobaczył go nadchodzący od strony meczetu Shafkat Ali i krzyknął, że imam-ji właśnie umarł.

— Tylko najwięksi szczęśliwcy umierają w piątek. To nie dla takich jak my grzeszników — powiedział Shafkat Ali i mimochodem napomknął, że wśród zgromadzonych pod meczetem był jego brat Barra.

Kiedy bracia dotarli do wąskiej, biegnącej wśród brzeziny ścieżki, ciała Jugnu nie było tam, gdzie ukrył je Chotta. Barra poczuł od Chotty woń alkoholu.

„Pomyślałem sobie, że żadnego ciała nie było, że to tylko pijackie przywidzenia — powie później, opowiadając w Pakistanie o wypadkach tej nocy. — Ale potem znaleźliśmy pistolet. Był zakrwawiony — ale się nie świecił: znowu pomyślałem, że z tym świeceniem to też takie pijackie gadanie. Ale potem zauważyłem, że trawa upstrzona jest tu i ówdzie białymi kropkami światła. — To też nie była świecąca krew: białe kropki były w rzeczywistości świetlikami, o których występowaniu w Dašte-Tanhai krążyło wiele plotek.



Nie ulegało wątpliwości, że Jugnu nie zginął: oprzytomniał i powlókł się gdzieś. Bracia, idąc po śladach kropek prawdziwej krwi, przedzierali się przez wrześniowe kwiaty, liście, gałęzie. Barra sprawdzał jeszcze raz dla pewności miejsca, które przeszukał już pijany Chotta.

— W tym stanie nie znalazłbyś meczetu w Pakistanie ani modlitwy w Koranie — utyskiwał.

Ich uwagę przyciągnęło jakieś poruszenie na pobliskiej polanie porośniętej gęsto dzikimi kwiatami — jednym z tych urokliwych zakątków, z których słynie Dašte-Tanhai. Podkradli się tam i zobaczyli dwoje kochających się nastolatków. Nadzy kochankowie porwali swoje ubrania, buty i bieliznę i popędzili w stronę zarośli, zatrzymując się co chwila, żeby podnieść jakiś upuszczony element garderoby, zasłaniając jedno drugie, obiegając się nawzajem jak te dwa liście niesione przez jesienny wiatr.

Dwadzieścia po piątej — dwadzieścia minut przed świtem — nie mieli już wątpliwości, że krwawy trop prowadzi z powrotem do domu Jugnu i Chandy. Jugnu wybrał drogę na skróty przez wzgórze — tę samą co wcześniej Chotta - i wracał do domu, do Chandy.

Wspinając się ku szczytowi wzgórza, minęli kilka pawi z rozpostartymi w wielkie wachlarze ogonami mieniącymi się kolorami tęczy w szarówece przedświt.

Zbiegli na dół przeciwległym zboczem, tym porośniętym wiązami i głogami. Kiedy wpadli do ogrodu na tyłach domu Jugnu i Chandy, wiadomość zostawiona na trawie wciąż tam była, podkreślana dodatkowo przez każdą roziskrzoną kropelkę rosy. Drzwi stały otworem. Weszli niepewnie i usłyszeli kroki na schodach.

— Gdzie on jest? — spytał Chotta Chandę, kiedy ta ukazała się ich oczom.

— Na górze — odparła cicho, otrząsnąwszy się z pierwszego szoku.

Obudziła się wkrótce po tym, jak Jugnu ruszył w drogę do Vision, zeszła na dół i otworzyła drzwi od ogrodu, żeby odetchnąć rześkim powietrzem letniego świtu. Zobaczyła napis w rosie i już wiedziała, że Jugnu poszedł kupić coś na śniadanie.

Zostawiła drzwi otwarte na oścież i zajęła się walizkami, wносиła po jednej na górę i tam rozpakowywała. Ponieważ wyjeżdżali z Pakistanu w pośpiechu, musiała ściągnąć swoje niewyschnięte jeszcze rzeczy ze sznura w Sohni Dharti i zapakować do walizki wilgotne. Wyjmowała teraz z walizki te rzeczy — *szalwar-kamis*, przezroczyście chusty i czadory — i rozwieszała na sznurze rozciągniętym w pokoju przy kuchni; sznur do suszenia bielizny w ogrodzie na tyłach domu nie był używany od wiosny, kiedy to w kieszeni wiszącej na nim kurtki Jugnu uwił sobie gniazdko strzyżyk. Wypełniła cały pokój kolorowymi częściami garderoby i długimi połaciami jaskarwo barwionej tkaniny. Kiedy przyszli bracia, była na górze i natłuszczała sobie włosy, polewając głowę wonnym olejkiem, tak jakby dodawała oleju do curry — obficie. Przez całe życie stosowała ten sam rodzaj, ten sam co matka. Pachniał piękniej od słynnych róż z Quetty, które miała okazję wąchać podczas wizyty w Pakistanie; pojechała do tego górskiego miasta z Jugnu na poszukiwanie motyli — widzieli słynną sylwetkę martwej dziewczyny, która pojawia się o zachodzie słońca w ogromnym paśmie górskim Koh-e-Murdar, niedaleko Quetty — rozplątane warkocze, profil twarzy, tors ze stożkowymi piersiami. Bracia zaciągnęli ją na górę, ale Jugnu tam nie było.

— Gdzie on jest, dziewczyno? — Barra potrząsnął ją za ramiona. Młodszy brat splunął na skotłowane łóżko, które dzieliła z Jugnu.

— Gdzie się schował? — warknął.

Oczywiście okłamała braci: Jugnu nie wrócił jeszcze z Vision, ale pomyślała, że będą wobec niej mniej napastliwi, wiedząc, że jej mężczyzna jest na górze.

— Wyoście się stąd — powiedziała spokojnie, widząc, jak Chotta znowu pluje na łóżko — bo zadzwonię na policję!

— Grozisz nam, bezwstydna dziwko? — krzyknął Barra i wymierzył jej policzek.

— Wydaje ci się, że świat ma kształt serca? — zaszydził Chotta. — Niektórzy nie mają tyle szczęścia co ty i popadają w kłopoty. Gadaj, gdzie ten hinduski bękart!

Bracia przeszukali wszystkie pomieszczenia, ale Jugnu nie znaleźli.

— O kurwa! — krzyknął nagle Chotta. — Jego tu chyba naprawdę nie ma. Jest wciąż gdzieś tam, krwawi. Mógł się ukryć za ogonami tych pawi, kiedy nas zobaczył, a my przeszliśmy, niczego nie podejrzewając.

— Krwawi? — Dla Chandy stało się teraz jasne, że bracia mieli gdzieś tam, na zewnątrz, ostrą konfrontację z Jugnu, i spanikowana o mało nie krzyknęła, kiedy od strony furtki ogrodu na tyłach doleciał jakiś odgłos. Straszne pytanie, co też mogło się stać z Jugnu, znalazło swoją odpowiedź, kiedy Chotta wyszarpnął zza paska pistolet i przystawił lufę do jej głowy.

— Ani mru-mru! — wyszeptał. Przed domem przejechała z turkotem furgonetka rozwoziciela mleka.

Kiedy hałas ścichł, Chanda poprosiła:

— Powiedzcie mi, gdzie jest Jugnu.

Odparli, że nie wiedzą, że nie widzieli go od trzech tygodni, od kiedy wyjechał do Pakistanu.

Rozpłakała się, bo wiedziała, że kłamią, i rzuciła do schodów. Udało jej się zbiec w kilka sekund na dół, ale dogonili ją i zagrodzili drogę do drzwi wyjściowych. Zaczęła krzyczeć, że zadzwoni na policję. Barra zatkał siostrze usta dłonią i powlekli ją ku drzwiom do piwnicy.

„Zamknęliśmy ją tam i poszliśmy szukać Jugnu. Szarpała się z nami na schodach jak lwica — powie potem Chotta w Pakistanie — a potem nagle oklapła. Nie skojarzyłem tego z chrupnięciem, jakie chwilę wcześniej usłyszałem. Nie rozumiałem, co się stało, myślałem, że zemdlą. Ale potem zobaczyłem małe wyrzuszenie na jej karku. Barra skrzył jej kark”. — Co się stało, to się nie odstanie — powiedział Chotta po chwili milczenia. — Zachowajmy spokój.

Barra kiwnął głową i puścił nadgarstek Chandy. Bezwładna ręka opadła na podłogę. Szeroko otwarte oczy dziewczyny w błyskawicznym tempie zmieniały kolor.

— On gdzieś tam jest — ciągnął Chotta. — Może zadzwonił już po policję i zaraz będziemy ją mieli na karku.

W tym momencie z ust Chandy wydobył się cichy, cichutki jęk. Barra pochylił się nad nią i rzekł:

— Jeśli mnie słyszysz, proś Allaha przed śmiercią, żeby wybaczył ci twój grzech. I proś o wybaczenie nas i naszych

rodziców, bo wiele musieliśmy przez ciebie wycierpieć. A nie zapomnij o swoich mężach, proś ich o wybaczenie tego, że nie dostrzegałaś, jak się o ciebie troszczą i jak starają się ci dogodzić. Duszy łatwiej będzie opuścić ciało, jeśli się przed śmiercią pokajasz.

— Ona odeszła — powiedział Chotta, który szukał jeszcze u siostry oznak życia. — I co teraz? Nie chcę trafić do więzienia. — Pokręcił głową, otworzył kanister stojący na piwnicznej półce, powąchał i stwierdził, że to olej napędowy do „Darwina”. Na półce stał jeszcze jeden kanister — z benzyną, bo silnik motorówki napędzany był ropno-benzynową mieszanką. Powie później w Pakistanie, że w tym momencie był przytłoczony ogromem tego, co się wydarzyło, wielkimi trudnościami, jakie się przed nimi piętrzyły. „Czułem się jak pająk, który wpadł we własną sieć”. Ale sprawy ułożyły się po ich myśli. „To, co z dużej odległości wyglądało na ogromną górę, oglądane z bliska okazało się łatwe do pokonania”, powie później Barra.

Słońce wylaniało się już zza wzgórz i niebo na wschodzie nabierało koloru krwistoczerwonych anemonów, kiedy Barra wyszedł z domu szukać Jugnu. Chotta został, na wypadek gdyby ranny Jugnu wrócił. Chanda leżała w piwnicy na posadzce, obok niej stały dwa jeszcze pełne kanistry. „Kiedy dwadzieścia minut później otworzyły się drzwi, myślałem, że to policja”, będzie potem opowiadał w Pakistanie, a Barra wpadnie mu w słowo: „Ale to tylko ja wróciłem. Nie znalazłem go, ale przechodząc koło naszego sklepu, zobaczyłem, że dostarczono już gazety. Wziąłem dwie z leżących na progu paczek i zaniósłem je do domu Jugnu, żeby owinać w nie jej ciało”.

Wiadomość pozostawiona na trawie zaczynała już wyparowywać.

Postanowili, że zostawią ją w piwnicy, a w nocy podjadą furgonetką i wywieżą do lasu nad jeziorem.

Matka Chandy, otworzywszy sklep tuż po wpół do siódmej, zadzwoniła do firmy kolportującej prasę z reklamacją, że brakuje części zamówionych przez nią gazet. Chotta i Barra byli już w sklepie. Barra stał za ladą, zastępując żonę, która zwykle o tej porze pomagała matce, ale teraz dochodziła do siebie w szpitalu po aborcji.

Chotta poszedł spać. Przez cały dzień zjadały ich nerwy i Chotta aż się rwał do dostarczenia do domu Shamasa mąki na ćapati, którą zamówiła telefonicznie Kaukab. Matka mówiła mu, że to może poczekać do następnego dnia, kiedy będą rozwozili furgonetką po domach worki ryżu, ziemniaków i cebuli, ale on mimo wszystko poszedł, chociaż w sklepie tłoczyli się ludzie, którzy przyszli odmówić pogrzebową modlitwę za imama-ji.

Chotta powie później w Pakistanie, że miał nadzieję dowiedzieć się od Kaukab, czy nie zrodziły się jakieś podejrzenia, czy Jugnu aby nie wrócił.

„Ale Kaukab nic specjalnego nie mówiła, odebrała tylko mąkę. Była dla mnie bardzo miła i grzeczna, od początku trzymała naszą stronę w całej tej aferze. Tak więc Jugnu jeszcze się gdzieś tam tułał”.

Okolo pierwszej w nocy, tak jak zaplanowali, wzięli dwa rzeźnicze noże, topór rzeźniczy, piłę, dwa młotki, pudło czarnych, plastikowych worków na śmieci, łopatę i jedną z tych siekier, które sprowadzano tysiącami z Chin i sprzedawano w sklepie z artykułami metalowymi po cztery i pół funta sztuka, i wrócili do domu Jugnu.

W lesie zeszło im się do piątej. Rąbiąc, piłując, tnąc, kopiając, paląc i podsycając płomienie olejem i benzyną z kanistrów, rozczłonkowali i spalili jej piękne oczy, jej włosy, cielistą orchideę jej łona.

Nadal nie wiedzieli, gdzie jest Jugnu. Dwa dni po pozbyciu się szczątków Chandy zakradli się znowu do domu, żeby sprawdzić, czy wszystko posprzątało jak należy, bo któraś z kobiet w sklepie powiedziała, że jej synek wszedł do ogrodu na tyłach, żeby zajrzeć do strzyżyka mieszkającego w kieszeni denimowej kurtki i poczuł dziwny zapach wydobywający się z domu.

Kaukab też czuła tę słabą woń, ale myślała, że pewnie pod nieobecność Jugnu powyzydychały stworzenia, które trzymał w domu, albo zepsuła się lodówka pełna kokonów motyli i ciem. Któregoś roku Jugnu kupił kameleona — chociaż protestowała, bo to kameleon przegryzł Hazratowi Abbasowi bukłak na pustyni i Abbas został bez wody na palących piaskach

Karbali — i ten kameleon wlaźł jakoś pod deski podłogi i tam zdechł. W całym domu śmierdziało przez wiele dni.

Kiedy Chotta i Barra weszli tam o drugiej w nocy, w domu cuchnęło śmiercią — znali tę woń ze swojego rzeźniczego fachu i z tych paru godzin, które spędzili niedawno nad jeziorem zatopionego olbrzyma. Jej źródłem był zdechły paw. Bracia przechodzili właśnie przez pokój na dole, ten, w którym rozwieszane było monsunowe pranie, kiedy gdzieś za długimi na jard chustami i czadorami zadzwonił telefon. Zmartwieli. Dopiero po drugim czy trzecim dzwonku Chotta ochłonał i podszedł do aparatu, żeby zdjąć słuchawkę z widełek. Za welonem w zielone i niebieskie groszki, który zwisał ze sznura, dotykając podłogi, zobaczył na podłodze ciało Jugnu. Obok niego leżał kolorowy trup pawia.

Jugnu przez cały ten czas był w domu. Był tam, kiedy bracia weszli tamtego pierwszego poranka przez otwarte drzwi. Dowłókł się do domu przed nimi i przedarł przez gąszcz kolorowych ubrań, żeby włączyć telefon. I tam dopadła go śmierć, nie zdążył zadzwonić na policję. Chanda, tak samo jak oni, nie wiedziała, że tam leży.

Brytyjska policja, zebrawszy zeznania od mieszkańców Sohni Dharti, sprawdzi potem, czy o tej konkretnej godzinie i tego konkretnego dnia do domu Jugnu były jakieś telefony. Ustala, że dzwonił mąż Chandy. Pijany, postanowił w środku nocy wypróbować numer, który dała mu Kaukab. „Chciałem jej powiedzieć, że chcę wrócić. Ale nikt nie odbierał i rano obudziłem się ze słuchawką w rękę, a na mikrofonie było pełno pęcherzyków mojej śliny, tak jakby ktoś z tamtej strony próbował wołać spod wody”.

„Mieliśmy podwójne szczęście, że tam poszliśmy, bo zobaczyliśmy coś jeszcze — powie Chotta w Pakistanie. — Kiedy przed wyniesieniem ciała Chandy wycierałem szmatą półkę, żeby usunąć z niej wszelkie odciski palców, cały kurz osiadał na małym stoliczku, który pod nią stał. A na tym stoliczku leżał pistolet. Zabrałem go, kiedy wychodziliśmy z ciałem. Podczas tej drugiej wizyty zobaczyłem na stoliczku idealny kształt pistoletu. Kurz z półki opadał na broń i na powierzchnię stolika wokół niej. Zupełnie jakby ją ktoś namalował przy użyciu szablonu”.

„A co do tych pawia, które wyfrunęły z domu, kiedy tydzień

później włamała się tam policja — powie Barra — to nie mamy zielonego pojęcia, jak się dostały do środka".

Ptaki nasikały do talerza, wydlubały z gablot przypięte szpilkami motyle i zjadły je, plując naokoło szpilkami, jak ludzie ościami ryb, a samica zniosła jajo w otwartej walizce. Samce pobiły się na dzioby i pazury o pożywienie i o samicę, a to, co wyciekło z ich ran, sprawi, że nigdy nie będzie wiadomo na pewno, czy krew pobrana do analizy z podłogi należała do człowieka — do Jugnu.

Sam dom — dom grzechu, dom śmierci, dom miłości — też doświadczał tego, co mu było pisane, zamknięty, opieczętowany, wydany na pastwę kurzu i owadów. Ogród na jego tyłach przekopywała policja.

Pajęczna sieć rozpięta między dwoma jabłoniąmi w ogrodzie, obwisała pod ciężarem stu kropelek rosy, wśród których nie znalazłoby się dwóch jednakowej wielkości, była w świetle późnego poranka przezroczyście żółta — jak niebo oglądane przez kostkę mydła Pears w dniu, kiedy Chanda po raz pierwszy przekroczyła próg tego domu. Był marzec. Wróble gotowały się do zrzucenia pięciuset nadmiarowych piórek, które wyrosły im na początku zimy dla ochrony przed chłodem, i przyjęcia letniego upierzenia, na które składa się trzy tysiące piórek. Jabłonie nie wypuściły jeszcze swoich białych jak muszle kwiatów (zakwitną w maju, a kiedy te kwiaty przekształcą się na jesieni w owoce, Chanda nie będzie już żyła, a jabłka leżeć będą wokół każdej jabłoni kręgami soczystości czerwonych kropek aż do stycznia, kiedy to spadną i przykryje je śnieg).

Chusta zaczepiła się jej o gałąź (tak jakby znające przyszłość drzewo próbowało ją zatrzymać i nie puścić dalej, jakby zeszłoroczne owoce nie były jabłkami, lecz kryształowymi kulami napełnionymi krwią, wieszczącymi czerwoną wściekłość i czerwoną śmierć), ale odczepiła ją i podeszła do drzwi.

Na górnej wardze miała pieprzyk wielkości nasionka kiwi, jej oczy zmieniały kolor wraz z porami roku: wiosną były jasnozielone jak pączkujące liście, w lecie ciemniejsze, koloru dojrzałego listowia, i chociaż na początku jesieni, kiedy liście zaczynają ciemnieć i dostawać tu i ówdzie różowych i czer-

wonych plamek, były jasnożółto-brązowe, to na resztę jesieni i zimą stawały się jednolicie brązowe, a na wiosnę cały ten cykl zaczynał się od początku.

Zapukała kilka razy, ale nikt jej nie odpowiedział; po chwili wahania weszła.

W środku na ścianach wisiały przeszklone gabloty pełne przypiętych szpilkami motyli, istnych uciekinierów z rajów. Dziewczyna z torebką anyżu gwiazdkowatego nie wiedziała jeszcze, że wśród motyli, na które patrzy, część od chwili ich odkrycia pozostaje w centrum zainteresowania człowieka, nadaje się im imiona bohaterów i bohaterek greckiej mitologii i królowych morskich potęg, że kiedyś za pewien rzadki okaz zapłacono złotem, a inne wybierane są na królewskie podarunki. Obchodziła powoli pokój i nagle stanęła jak wryta. Przed nią na błękitnym jak niebo stole leżało dziesięć martwych motyli. Należały do tego samego gatunku, odwłoki miały długie jak zapałki, skrzydełka zapierającej dech w piersiach urody, i ona — dziewczyna ubrana na słomianożółto — pochyliła się, żeby lepiej im się przyjrzeć. Czarne jak węgiel skrzydełka przednie były zaokrąglonymi owalami, natomiast każde skrzydełko tylne miało kształt łzy, a z jego podstawy sterczały trzy cienkie ostrogi; przednie skrzydełka oznaczone były białymi paskami, każde tylne — choć w zasadzie tego samego koloru i wzoru co przednie — zdobiło kółko wielkości dziesięciopensowej monety, podzielone na trzy barwne sekcje, wiśniowoczerwoną u góry, niebieską pośrodku i żółtą u dołu; z tego żółtego obszaru wypływała cieniutka smuga sięgająca daleko w głąb każdej z trzech ostróg.

Dziewczyna przyglądała się im z wyrazem powagi i skupienia na twarzy, tak jakby szykowała się do wyszeptania magicznego zaklęcia, które cofnie śmierć. I patrząc tak na tych dziesięć wspaniałych owadów, zaczęła myśleć o matce, która po umyciu włosów lubiła rozpalić w miedzianym kociołku wonne kadzidło, przykryć je małym, odwróconym do góry dnem wiklinowym koszyczkiem, a potem położyć się na pół godziny i znieruchomieć z zamkniętymi oczami, z głową opartą na dnie koszyczka; jej włosy spływały po ściankach koszyczka, ciepły wonny dym przeciskał się przez szpary w wiklinowym splocie, susząc i nasycając je jednocześnie swoim zapachem; kilka zbłąkanych



smużek dymu wspinało się na czoło i tańczyło tam, można by pomyśleć, że tam w środku jej mózg i myśli stoją w ogniu.

Zastanawiając się, co też wywołało to wspomnienie włosów matki, dziewczyna uświadamia sobie, że skrzydełka martwych motyli wydzielają ledwie uchwytny zapach, zapach odzieży nasiąkniętej wonią jaśminu i drewna sandałowego, ciemnych włosów suszonych nad kadzidłem i piżma.

Dziewczyna pochyła twarz nad dziesięcioma motylami i błękitnym prostokątem blatu stolika i zastanawia się, gdzie jest Jugnu. Miała osiem lat, kiedy Jugnu wrócił z Ameryki — była od niego o dwadzieścia trzy lata młodsza — i dorastała, widząc w nim wujka, podobnie zresztą jak chyba każde dziecko z osiedla. Słyszała czasami, jak ludzie mówią, że pochodzi z nietypowej rodziny. Jakaś kobieta powiedziała kiedyś, że wcale by się nie dziwiła, gdyby usłyszała, że któryś z członków jego rodziny po śmierci i przygotowaniu do pochówku usiadł nagle, żeby zedrzeć z siebie całun, bo nawet w tej sytuacji nie chciał być więźniem żadnej tradycji ani obyczaju. Jugnu kochał motyle i one odwzajemniały mu się tym samym, zlatywały się do niego jak do róży i jeśli wierzyć opowieściom dzieci, pomimo że te owady były jego pasją, to ilekroć przeszkadzały mu w jakimś zajęciu swoją namolnością, zwabiał je na dłoń i połykał pełną garścią. Ale szybko znowu zaczynał za nimi tęsknić, robił się smutny i w końcu wyjmował jednego po drugim z ust i wypuszczał na wolność, by znowu wokół niego krążyły.

Tuż przed pojawieniem się Chandy w ogrodzie na tyłach domu Jugnu oglądał leżące na stoliku, czarne jak węgiel motyle. *Bhutanińs lidderdalli*. Chluba Bhutanu. Gatunek ten, spokrewniony z motylami o nazwie girlandy, był bardzo cenny i wymieniony w *Czerwonej Księdze Zagrożonych Gatunków*. Żył we wschodniej części Himalajów, w Buthanie i sąsiednim Asamie, jak również w pewnym rejonie Birmy. Jego naturalnym środowiskiem były góry i górskie doliny porośnięte wysokimi trawami. Lubiły latać w koronach wysokich drzew i składać jaja na trujących lianach. Chluby Buthanu wydzielają zapach, który nawet po ich śmierci przez jakiś czas się utrzymywał. Jugnu zamroził dziesięć żywych okazów suchym lodem, żeby wprowadzić je w stan głębokiego snu i zbadać mechanizm

uwalniania tego zapachu. Skończywszy, schował mikroskop i notatniki, zostawił motyle, żeby w stosownym czasie odżyły, i poszedł na górę.

Kiedy tam przebywał, ciepło promieniujące z twarzy Chandy przywróciło chluby Bhutanu do życia.

Chanda wydała cichy okrzyk, kiedy pierwszą „martwą” chlubę Bhutanu przeszedł spazmatyczny dreszcz; motyl zatrzepotał skrzydełkami w białe paski i odzyskując pełnię sił, poderwał się z niebieskiego blatu stolika do lotu, by — coś nadzwyczajnego — nie tracąc nic ze swej elegancji, pomimo że jeszcze przed chwilą znajdował się w stanie hibernacji — rozpocząć swój motyli taniec po pokoju. Za jego przykładem poszedł następny i jeszcze jeden i wkrótce, jakby nawleczone w równych odstępach na niewidzialną nić, utworzyły razem w powietrzu wygięty, kołyszący się i falujący ogon niewidocznego kota.

Torebka z anyżem gwiazdkowatym wypadła Chandzie z ręki i przyprawa — składnik karmy dla jakichś motyli, który zamówił telefonicznie w sklepie, prosząc, by przysłano mu go przez kogoś do domu — rozsypała się po podłodze.

— Nie wiedziałam, że one żyją, myślałam, że je wskrzesiłam — wyjaśniała kilka minut później Jugnu, który pomagał jej zbierać z podłogi anyż. Wszystkie dziesięć chlub ocierało się skrzydełkami o ściany, badało znajdujące się w pokoju obiekty i sufit w górze, i powoli nasączało powietrze milionami molekuł swojego zapachu.

Za miesiąc Jugnu i Chanda zaczną się potajemnie spotykać i kochać przy zasłoniętych oknach w różnych pokojach tego domu, nie wiedząc jeszcze, że ryzykują życie.

Szukali nie tylko zmysłowych przyjemności, odwiecznym zwyczajem kochanków Jugnu opowiadał Chandzie o Keśaw-dasie, nadwornym poecie radży Madhukara Śaha z Orchy, który pisał w szesnastym wieku, jak to w każdy dzień lata pasterze bydła gromadzą się nad Jamuną — dziewczęta na jednym brzegu, Kriszna z tłumem chłopców na drugim: obie grupy nurkują w rzece, by po chwili wynurzyć się z powrotem po swojej stronie rzeki. Każdy kochanek spotkał się i połączył pod wodą z wybranką, zaspokoił na jakiś czas chuć, a surowy świat nie wie, że w ogóle doszło do jakiegoś zbliżenia.

## *Duchy*

Shamas zbliża się ze słojem monet do jeziora. Linie na nadbrzeżnym piasku emanują matowajasnoscą i przypominają zaschnięte smugi ziarnistego krochmalu na nożu, którym krojono ziemniaki. Czy to tutaj snują się rzekomo duchy Jugnu i Chandy? Jezioro cuchnie minerałami, sam środek tej wodnej masy unosi się pod wpływem przyciągania księżyca, tworząc z nagła i na moment wodne wzgórze, z którego ześlizgują się ku brzegom pływające po powierzchni liście, które lgnęły do ciał dzieci, ilekroć te, rzucając wyzwanie zimnu, przychodziły się tu wykapać wczesną jesienią, i z których dzieci obierały się nawzajem po wyjściu z wody.

Stojąc tu, na brzegu jeziora w ciemnościach nocy, ze słoikiem monet, które błyszczą w blasku księżyca, jest jak postać z bajki opublikowanej w „Pierwszych dzieciach na księżycu” — powiedzmy rybakiem, wypuszczającym do wody rybkę będącą w rzeczywistości morską księżniczką, której wdzięczny ojciec hojnie go za to wynagrodzi, obdarzając zdolnością uciekania od rzeczywistości. Shamas rusza brzegiem, zatrzymuje się w miejscu, gdzie woda jest głęboka, i zatapia słoje w jeziorze. Słoje tonie z bulgotem, wyrzucając w górę chmurę pęcherzyków powietrza. W wodzie pełno tutaj dużych kamieni — każdy byłby wielkości końskiego jaja, gdyby konie znosiły jaja (tak opisał coś w dzieciństwie Ujala). Shamas wraca, pokonując skokami małe łąchy wilgotnego piasku, zupełnie jakby grał w klasy wyrysowane kredą na chodniku. Księżyc tańczy na

falach, a on mija „Safinę” i pociąga łyk whisky na ksylofono-wym nabrzeżu, gdzie zakochani wycięli na drewnianych palach swoje imiona i inicjały po angielsku, w hindi, po bengalsku i w urdu. Kiedy Kaukab krzyczała na niego dziś wieczorem, przez głowę przemknęła mu paniczna myśl, że do tego wszystkiego dowiedziała się skądś o Surai: wystarczy puścić plotkę, a ta zaczyna żyć własnym życiem i zataczać coraz szersze kręgi. Rusza dalej, mija wysokie sosny, na które tak bardzo lubią wspinać się dzieci. Charag opowiadał, że kiedy pewnego razu znalazł się tam wysoko w górze, czuł się jak ptak uczepiony szyi żyrafy. Nocne powietrze zamarzło na kość, ale teraz, kiedy idzie, ciepło krwi wytapia mu w nim drogę. W ciemnościach marzy wciąż głośno jezioro. Zatrzymuje się przed rozwidleniem ścieżki, a potem zamiast skrócić w odnogę, którą doszedłby do domu, wybiera tę drugą, prowadzącą na cmentarz, wąską ścieżynkę, przy której w lecie rosną podobne do napastrków jak sama nazwa wskazuje, napastrnice przywabiające motyle pawice. Może Suraya, żeby się na niego nie natknąć, po ciemku odwiedza miejsce wiecznego spoczynku swojej matki? Wspinając się pod coraz bardziej strome, zarośnięte głogiem zbocze, grzęźnie niespodziewanie w paprociach, których czubki wyginają się jak gryfy skrzypiec. Nie wie, kiedy zбочzył ze ścieżki, którą późnym latem pokrywa czerwona pasta rozdeptanych jagód głogu. Jest bardzo wysoko i ogarnia z góry wzrokiem odcinek brzegu jeziora, którego przebycie zajęłoby z pięć minut. Zabłądził, jest tu sam ze swoimi myślami. Co chwila wdeptuje w strumień, jeden z wielu spływających do jeziora, których trasy dzieci znają tak, jak on linie na swoich dłoniach.

Zabłądził. Ręce dygocą mu z zimna i wsuwając je do kieszeni, natrafia w jednej z nich na pudełko zapalek. Charag wychodził w tym płaszczu przed dom na papierosa. Wyjmuje zapalki, ale nie ma w palcach dość siły, by skrzesać ogień — przy każdej próbie spod łebka tryska tylko mała trójwymiarowa konstelacja pomarańczowych iskierek. Dopiero za szóstym czy siódmym razem z ogłuszającym sykiem pojawia się płomień. Unosi zapalkę nad głowę, żeby się zorientować, gdzie jest. Owalny płomyk zabarwia dym unoszący się z rozsiewanego przezeń kręgu światła. Kolejne zapalki rozwijają mu ścieżkę światła po

zesztywniałej zmrożonej trawie. Dygocze. Pociąga sążnisty łyk whisky i nie zakręca już butelki. O tej porze trudno uwierzyć w istnienie słońca.

Zatrzymuje się — tam, przed nim, coś się w ciemnościach poruszyło.

Stoi jak wrośnięty w ziemię — powietrze tętni nadzieją, faluje leciutko. Podchodzi do tego miejsca i widzi chłopca, który odwraca się, usłyszawszy jego kroki. To mały Hindus, któremu złożono na kwaśne jabłko tyłek w procesie wypędzania dzinnów. Białka oczu lśnią w ciemnościach, chłopiec odwraca wzrok i patrzy w tym, co wcześniej kierunku, wyraźnie czymś oczarowany.

Shamas zatrzymuje się, nie chce go spłoszyć.

— Widzisz ją, wujku-ji? Patrz, jest tam.

— Co tu robisz o tej porze? Chłopiec pokazuje na drzewa.

— Widzisz jej ducha? Ja też z nią jestem. Oboje tam jesteśmy.

Oczywiście nic tam nie ma. Chłopiec ma przywidzenia.

— Duchy? Ludzie mówią, że to mój brat Jugnu i jego przyjaciółka Chanda. Dłonie Jugnu świecą jak zawsze. Brzuch Chandy też jasno świeci, bo nosi w nim dziecko. Trzy duchy. Dwoje dorosłych i nienarodzone dziecko.

Chłopiec kręci głową.

— Słyszałem o tym. Ale to nie oni. To ja i ona: jej brzuch świeci, bo na nim położony został mój list, kiedy składano ją do grobu, list, który napisałem do niej w dniu pogrzebu. A moje ręce świecą od orchidei, które jej niosę.

Chłopiec chyba majaczy albo jest lunatykiem.

— Wracaj lepiej do domu, *put*. Przeziębisz się.

— Wiem, że mi nie wierzysz, wujku-ji. Ale ci tam, to my dwoje. — Jest myślami gdzieś daleko, wzrok ma błędny

Shamas podchodzi bliżej i zagłada chłopcu w twarz. Spotykają się ich oczy.

— Nie jesteś martwy, żyjesz... stoisz obok mnie. Chodź, odprowadzę cię do domu. Przypomnij mi, gdzie mieszkasz.

Chłopiec rozgląda się i rusza przed siebie. Shamas idzie za nim w milczeniu, wie, że nie wolno mu zostawić go tu samego.

Wychodzą na biegnącą brzegiem jeziora drogę. Chłopiec wyprowadził go z lasu, w którym zabłądził. Chłopiec pokazuje na dom po drugiej stronie drogi.

- Ona wyszła za człowieka, który mieszka w tym domu. On ma obsesję na punkcie syna, ale jak dotąd żadna z jego żon nie urodziła mu chłopca.

Zaczyna padać śnieg.

— Niedawno znowu się ożenił.

Shamas spogląda na dom i w oknie na piętrze dostrzega Surayę.

Ich oczy spotykają się i Suraya wycofuje się w głąb pokoju, ale on jest przekonany, że to była ona. Jej oczy emitowały światło jaśniejsze od księżycowej poświaty, od padającego śniegu. Łzy? Miała na sobie swój żółty zakieciak. W paisleyowy deseń. Paisleyowy deseń, który utworzyły stopy Parwati, kiedy po kłótni uciekała od Siwy.

Brzuch miała okrągłszy, czy tylko mu się wydawało?

Ogląda się, ale chłopca już przy nim nie ma.

Shamas zapamiętuje numer domu i odchodząc, odczytuje nazwę ulicy z tabliczki na rogu. To ulica Neela Pathar. Osiadają na nim płatki śniegu, grubieje ich zmrożona warstwa na jego ramionach. Czy Suraya wie, że mężczyzna, którego poślubiła, nie ma zamiaru w najbliższym czasie się z nią rozwieść, że chce najpierw sprawdzić, czy potrafi mu dać upragnionego syna? Może nie powiedziała mu, dlaczego chce za niego wyjść, z obawy, że na tych warunkach nie zechce jej poślubić. Ona sama nie ma zamiaru rodzić mu syna — chce tylko, żeby się z nią jak najszybciej rozwiódł, bo wtedy będzie mogła wreszcie wyjść znowu za swojego pierwszego męża i być znowu ze swoim synkiem. Ale ten mężczyzna ożenił się z nią tylko po to, by mieć z nią dziecko. Pewnie zmusza ją co noc do współżycia, bierze siłą. Przez co ona musi przechodzić.

Słyszy za sobą kroki i nic zatrzymując się, nie oglądając, wie, że to Suraya idzie za nim przez prószący śnieg. Musi iść dalej, zostawić za sobą tę ulicę, gdzie ktoś, kto ją zna, może zobaczyć, jak rozmawiają. Skreca w stronę jeziora, gdzie pod wodą, uwięziony, ale wciąż żywy, leży olbrzym. Ogląda się, ale nie widzi jej — została z tyłu, nie dotrzymała mu kroku. Idzie

jednak dalej, bo ona wie, gdzie go znajdzie. W Sarinie". W ich „Safinie". W ich Miejscu Skandalu. Tam na nią zaczeka. Tyle ma jej do powiedzenia. Czy interesowała się procesem? Czy słyszała plotkę, że rodzice Chandy zapłacili jakiemuś młodemu mężczyźnie za to, żeby poszedł na policję i powiedział, że on i jego dziewczyna kupili w Pakistanie paszporty od Jugnu i Chandy i wjechali na nich do Wielkiej Brytanii? A ten mężczyzna wziął pieniądze i zniknął, nie pojawił się na posterunku policji? A teraz krąży nowa plotka, że rodzice Chandy dostali pocztą paczkę z pieniędzmi, które mu wypłacili; nie dołączył żadnego listu z przeprosinami, że nie zdobył się na odwagę, by zrobić to, o co go prosili, ale nie chciał ich pieniędzy.

Zatrzymuje się pod księgarnią i ogląda. Nadal jej nie widzi, ale wie, że zaraz nadejdzie — nawet gdyby pobłądziła, nawet gdyby nie od razu skojarzyła sobie, gdzie ma go szukać, w końcu odnajdzie drogę do „Safiny", wie to, tak jak na początku lata, wychodząc z występu Nusrata Fateha Ali Khana, wiedział, że będzie tu na niego czekała. Stoi w milczeniu i zastanawia się, co powie, od czego zacznie, kiedy ona nadejdzie. Wokół cisza maćona jedynie przez fale pluskające w rytm bicia serca uwięzionego olbrzyma, śnieg sypie coraz gęściej. Wyciąga rękę, żeby złowić na dłoń mały, leciutki płatek. Stary zwyczaj. Wita tak pierwszy śnieg, od kiedy przyjechał do Anglii. Płatki tracą na jego dłoni swoją biel, stają się przezroczystymi tafelkami lodu, a w końcu zostaje z nich woda — kryształki śniegu przemienione w kroplę monsunowego deszczu.

Ma teraz nadzieję, że zaszła z nim w lecie w ciążę, że jej nowy mąż — sądząc, że to on jest ojcem — dzięki temu daje jej spokój.

Dziecko Shamasa już ją chroni, już zdejmuje z niej część bólu istnienia na tej Dašte-Tanhai zwanej planetą Ziemia.

## *Pierwsi kochankowie na księżycu*

Płatki śniegu wirują lekko jak gronostajowe ćmy wokół chłopca, który miał zeznać, że podszył się pod Jugnu. Chłopiec idzie przez wszyskwiedzącą ciszę zimowego poranka.

Wieje silny wiatr. Chłopiec kryje się przed jego podmuchami w wejściu do sklepu, siada w kucki, kuli się, kurczy jak martwe pszczoły i osy. Czuje, jak gęsta niczym atrament kropla krwi skapuje mu z głębi nosa do gardła. Marzy o słońcu, o jego promieniach jak szprychy rowerowego koła.

Po lewej stronie dokazują z wrzaskiem w padającym śniegu papugi o różowych kryzach.

Wstaje i idzie ulicą, przy której otwierane są sklepy. Zatrzymuje się przed salonikiem prasowym i zagląda przez szybę do środka. W lokalnej gazecie zamieszczono zdjęcie Pakistańczyka, którego znaleziono martwego w śniegu nad jeziorem — wygląda na to, że był to ktoś zasłużony i szanowany.

W Księdze Przeznaczenia zapisano: *Chłopiec popatrzy na zdjęcie Shamasa tylko przez chwilę i ruszy dalej, ale dzięki tej zwłoce natknie się na młodą Pakistankę ze szkaplerzykiem zawierającym pasemka włosów jego brata, dziewczynę, którą szwagierka Chandy poznała w lecie w sklepie. Dziewczyna, idąc wśród płatków śniegu z opuszczoną, wciśniętą w ramiona głową, skreśli w ulicę z drugiego końca, tego, ku któremu zmierza chłopiec.*



Za niecałą minutę zderzą się na rogu, a nic doszłoby do tego, gdyby uwagi chłopca nie przyciągnęło na chwilę zdjęcie nieżyjącego mężczyzny — dziewczyna nie zdążyłaby dojść do narożnika...

Dziewczyna idzie pod murem, szukając lam osłony przed wiatrem, zbliża się do rogu ulicy. Przemyka jej przez myśl, że te płatki śniegu są jasne jak księżyc w pełni.

Chłopiec patrzy na twarz w gazecie. Pierwszy raz od ponad dwóch tygodni odważył się pokazać w centrum miasteczka; boi stę ludzi, boi się, że zostanie rozpoznany. Ktoś może za nim pójść, a potem powiedzieć rodzicom Chandy, gdzie się zaszył — muszą być na niego bardzo źli, że nie zrobił tego, o co go prosili, i zniweczył ich plan. Źle teraz sypia i ma przeczucie, że nadciąga jakiś kataklizm, śni mu się wciąż rzucanie kamieniami w motyle. Ale dziś o świcie postanowił wyjść znowu na świat. Jeśli rzeczywiście nadciąga jakiś kataklizm, to gdzie powinien go oczekiwać, jeśli nie wśród ludzi? Co prócz nich się liczy?

Odrywa się od witryny saloniku prasowego i idzie dalej zasypaną śniegiem ulicą.

*Londyn — Dašte-Tanhai*

*październik 1991 — kwiecień 2003*